

ELIZABETH LOWELL

Martwe słowa

Tytuł oryginału Moving Target

Cissy Hartley, niezwyklej bogini Internetu i wszystkich
wspaniałych lokatorów z całego świata na

<http://www.elizabethlowell.com/wwwboard>

Prolog

Na wschód od Palm Springs Styczeń

Niebo bez jednej chmurki było błękitne, puste jak serce mordercy.

Kobieta, która nosiła trzy nazwiska, uśmiechnęła się ponuro do wstecznego lusterka w swoim starym pikapie. Jadący za nią w białej czterodrzwiowej toyocie mężczyzna pędził tak szybko, że niemal zlewał się z autostradą, ale szczęście przestało mu sprzyjać, gdy droga zrobiła się węższa i mniej zatłoczona, a potem przeszła w nieutwardzony podjazd, prowadzący do jej samotnego domu.

Ciężko ukryć się na pustyni. Próbował utrzymywać odpowiedni dystans, nie rzucać w oczy, ale i tak przykuwał uwagę jak neon.

Sucha, dzika okolica sprawiała wrażenie martwej, ale w rzeczywistości pełno tu było przyczajonego życia, niespodzianek zarówno przyjemnych, jak i zabójczych. Takich jak zapadający się grząski piasek, który nie miał nic wspólnego z polami golfowymi. Skały i wyboje również potrafiły niemile zaskoczyć.

Miała nadzieję, że ten nieduży biały samochód złamie oś, a kierowca kark. Nie musiałyby wtedy strzelać do tego, kto ją śledzi - zakładając, że widzi na tyle dobrze, że zrobi to, zanim on ją uprzedzi.

Starzejesz się, uznała bezlitośnie.

Przez ponad pięćdziesiąt lat udawało jej się przechytryć lisa, ale w końcu została przyparta do muru. Ale nie będzie łatwym łupem. Nie odda prastarej, bezcennej Księgi Uczonych. Prędeż umrze.

Pikap podskoczył na wyboju, wjeżdżając na ostatni, stromy odcinek drogi: ćwierć mili od domu. Tablice z napisem „teren prywatny” pojawiały się teraz przed jej oczami jak czerwone smugi, żwir pryskał spod kół, łysiejące opony nie zapewniały dobrej przyczepności. Ostatnio czas mijał tak szybko, że z niczym nie mogła nadażyć.

A może po prostu, mając świadomość nadchodzącej śmierci, odnosiła wrażenie, że czas uderza w jej życie jak woda spadająca na twarde, nieustępliwy głaz.

Czy właśnie tak czuły następczyni pierwszej Sereny, kiedy nadchodziła pora, by umrzeć? Czy spoglądały na stary, sfatygowany warsztat tkacki, którego używały kolejne pokolenia noszące nazwisko Weaver (ang. tkacz, tkaczka, prządka.)? Czy ujmowały w delikatne dłonie tkackie czółenka, by wpleść swoje ostatnie wątki w starożytne desenie?

Nie wiedziała. I nigdy się nie dowie. Tak wiele pochłoneła żarłoczna katarakta czasu. Ale nie wszystko zostało utracone. Słowa szeptane przez kolejne pokolenia kobiet świadczyły o tym, że na początku Księga Uczonych liczyła ponad sześćset stron. Czas i dramatyczne okoliczności zmniejszyły tę liczbę do pięciuset siedmiu. Na tych kartach zgromadzono historię i mądrość Uczonych: zdobyły je iluminacje ze złota i sproszkowanego lazurytu, zieleń życia i szkarłat krwi przydawały im intensywności.

Żadna Weaver w ostatnich siedmiu pokoleniach nie była w stanie rozszyfrować wysmukłych, eleganckich słów zdobiących Księgę Uczonych, ale nikt nie poddawał w wątpliwość wartości tego tomu. Oprawa była wysadzana kamieniami szlachetnymi o intensywnych barwach, tworzącymi najważniejszą część zawiłych, tajemniczych wzorów wytrawionych w szczerym złocie.

A teraz tym prastarym kartom znów groziło niebezpieczeństwo.

Jako ostatnia ze starego rodu Weaverów, miała całe życie, żeby przygotować się na taką sytuację. Tradycja musiała zostać przekazana. Jej własne życie dobiegało końca: cóż, to nieuniknione. Księga Uczonych była zabezpieczona przed człowieczą chciwością.

Jej chata znajdowała się w małej dolinie i była zasłonięta niskim górskim grzbieciem. Deski w studni i drewniane ściany uprzyły na kamień bezlitosne słońce pustyni Mojave. Wprawdzie granitowe słupy wystające z suchej ziemi były teraz chłodne, ale za parę miesięcy rozgrzeją się do białości. W takie dni będzie piekła chleb i fasolę w piecyku, który zbudowała przed domkiem, a o północy poczuje zbawienny powiew chłodnego wiatru.

Jeśli przeżyje.

Zahamowała gwałtownie, wzbijając tuman żwiru i kurzu, zgasiła silnik i chwyciła pakunek z fotela obok. Ukryte w nim drogocenne karty skłoniły ją do opuszczenia kryjówki, do zmierzenia się z niebezpieczną przeszłością, od której przez całe życie uciekała. I od której musiała uciekać w tej chwili.

Z determinacją, dzięki której udało się jej przeżyć prawie osiemdziesiąt lat, zmusiła swoje chude nogi do wysiłku i wbiegła po niskich schodkach do chaty. Piach skrzypiał pod znoszonymi trzewikami. Czarne, powykręcane konary drzewka Jozuego odcinały się od jaśniejszego nieba. Gdzieś w górze jastrząb śmignął w pustkę.

Słyszała tylko swój nieregularny oddech i widziała coraz bliższe drzwi niszczonego domku. Ciężko dysząc, otworzyła je i wpadła do środka, w momencie gdy biały samochód śmignął po grani i wjechał do ukrytej doliny. Zatrzasnęła drzwi i zasunęła metrową żelazną sztabę. Potem opuściła wewnętrzne żaluzje na oknach i zaryglowała je.

W środku zapanowała niemal całkowita ciemność, ale nie potrzebowała światła, żeby odnaleźć drogę. Jako młoda wdowa zbudowała tę chatę z kamienia i drewna własnymi rękami. Teraz, po latach, znała tu każdy centymetr, wady i zalety, wszystko.

Pokuśtykała do drzwi po wiszącą na kołku dubeltówkę. Wiedziała, że broń jest naładowana. Jak zawsze.

Walenie do frontowych drzwi.

- Pani Weaver? Chciałbym z panią porozmawiać o...

- To teren prywatny, a ja mam strzelbę! - krzyknęła, przerywając mu w pół zdania.

Mężczyzna po drugiej stronie drzwi szybko rozejrzał się dookoła. Żadnych kamer czy wizjerów. Wcale się ich nie spodziewał, ale wołał zachować ostrożność; właśnie dzięki tej ostrożności nadal żył i był wolny, w przeciwieństwie do swoich przeciwników. Nie dostrzegł żadnego przewodu instalacji elektrycznej czy telefonicznej, ani nawet radia czy anteny telewizyjnej. Z doświadczenia wiedział, że w tej części pustyni Mojave telefony komórkowe nie mają zasięgu. Stara kobieta była naprawdę sama.

Uśmiechnął się.

Płynnym, lecz zdecydowanym ruchem, który wiele o nim mówił, wsunął dłoń pod wiatrówkę. W jego ręku pojawiła się broń.

- Nie ma powodu do obaw - powiedział uspokajającym tonem. - Nie chcę zrobić pani krzywdy. Chcę panią wzbogacić. Dam pani dwa miliony dolarów za Księgą Uczonych. Jeżeli pani mnie wpuści, będziemy mogli porozmawiać...

- Daję panu sześćdziesiąt sekund na opuszczenie mojego terenu.

- Niech pani będzie rozsądna, pani Weaver. Dwa miliony dolarów to mnóstwo pieniędzy. Nikt inny nie zapłaci pani więcej za to, co zostało z tej cholernej księgi druidów.

- Trzydzieści sekund.

- Niech przynajmniej weźmie pani moją wizytówkę.

W odpowiedzi usłyszał tylko charakterystyczny szczełk świadczący o tym, że kobieta odbezpieczyła broń. Oszacował grubość kamienia i ścian, solidnych, zahartowanych przez słońce drzwi, a także zdumiewającą hardość ofiary. Pomyślał, że do sforsowania chatki będzie potrzebował specjalnych pocisków. Do pokonania staruszki też. Ależ twarda ta stara suka.

Zaklął paskudnie, odwrócił się, wszedł do samochodu i odjechał, zostawiając przedmiot, dla którego był gotów zabić.

Zaraz po zachodzie słońca zerwał się wiatr. Fale powietrza suche, chłodne, wręcz lodowate, niosły zapach, który kojarzył się raczej z przemijaniem niż z życiem. Naftowa lampa wewnątrz chatki rzucała na okna i ściany dziwne, ruchome cienie. Stary warsztat tkacki stał w rogu; niedokończona tkanina częściowo wypełniała ramę. Czółenka z nawiniętą kolorową przędzą zwisały z nicielnic krosna, czekały, by je wpleść w jednolity wzór.

Niedawno rozpalony ogień przyjemnie buzował w kominku, odganiając nocny chłód pustyni. Kobieta owinęła się długim szalem, równie starym jak jej warsztat. Szal był dość szorstki w dotyku, więc zazwyczaj zostawiała go obok Księgi Uczonych. Ale dzisiaj jej duszę przenikał chłód, a szal koił niemiłe doznania.

Siedziała w otępieniu przy kominku, ze wzrokiem utkwionym w migoczące płomienie. Widziała tylko kawałki cienkiego, niezapisanego kartonu, które po kolei wrzucała do ognia.

Kiedyś obiecywał, że prześle jej skradzione strony Księgi Uczonych. I kolejny raz ją zawiódł, nie dotrzymując danego słowa. Przesłał współczesny papier, a nie starożytny pergamin. Nie było kart zapisanych cienkimi i w jakimś sensie niebezpiecznymi literami, w pradawnym języku, stanowiącym milczące świadectwo dawno już nieistniejących ludów i miejsc. To, że nie potrafiła odczytać słów, nie miało znaczenia. Najważniejsze, żeby przechować księgę bezpiecznie i przekazać następnej Serenie.

Wedle rodzinnej tradycji, Księga Uczonych była duszą człowieka opisaną na pergaminie atramentem z dębowej żywicy i żelaza. Duszą potężnego mężczyzny. Dumnego i tajemniczego, a także zawziętego. Duszą Erika Uczonego. Erika, który posiadał wiedzę zbyt późno. Jednak to, czego się nauczył i co utracił, uległo zapomnieniu, albowiem ci, którzy strzegli Księgi Uczonych, już nie potrafili czytać w starożytnym języku.

Jednak nawet nie rozumiejąc słów, wiedziała, że księga jest bezcennym skarbem. Wartym o wiele więcej niż kawałek dawnej tkaniny, którą owinęła sobie teraz szyję, cenniejszym niż kute złoto i wspaniale oszlifowane kamienie szlachetne oprawy; z Księgi Uczonych emanowała kusząca wiedza, która jednak mogła prowadzić na manowce. Eleganckie, pełne zawijasów duże litery drażniły umysł, bowiem zawarte w nich wzory wykraczały poza znaczenie słów. Dorobek poprzednich generacji, jej własnych przodków, ludzi, którzy byli mądrzy albo głupi, którzy byli świętymi albo przestępcami, wojownikami i wiedźmami, doradcami i pustelnikami, wieśniakami i arystokratami – całe doświadczenie ludzkości zdawało się wyrażać jaskrawymi kolorami: szafirem, rubinem, szmaragdem i złotem. Przede wszystkim złotem, które rozświetlało ciemność jak żaden inny kruszec, lśniło z ponadczasową niezłomnością.

Lecz ona sama była tylko ciałem, wyczerpanym niezłomną postawą.

Jakiś hałas na zewnątrz wyrwał ją z ponurej zadumy. Odwróciła się i w tym momencie okno pokoju zostało wysadzone. W kamienną posadzkę uderzyła butelka, która od razu eksplodowała, rozpryskując po izbie płonąca benzyna. Potem do wnętrza wpadła kolejna butelka, a potem następna, jak bezlitosny deszcz spalający powietrze.

Na koniec dojrzała wzór, który jej umykał przez całe życie. Z uśmiechem wyciągnęła rękę, żeby go uchwycić. Żałowała tylko, że zginie i już nie zobaczy miny mężczyzny, kiedy ten przekona się, że znowu go przechytrzyła.

Księga Uczonych została już przekazana następnej właścicielce.

Rozdział 1

Rok później Palm Springs, poniedziałek

Podobnie jak wiele budynków w mieście, kancelaria adwokacka Mortona Hinghama stanowiła pamiątkę po czasach, kiedy ludzie byli spokojniejsi i mieli większą skłonność do zbytku. Z łukowych okien na drugim piętrze można było podziwiać niskie domy, wysokie palmy i skaliste góry, przy których wzniesione ludzką ręką obiekty wydawały się śmiesznie małe. W recepcji kancelarii kołysały się kremowe ściany i bujna zieleń. Meble z litego drewna lśniły politurą. Dywan był już trochę wytarty, ale w dobrym guście, jak owdowiała, ale zamożna księżniczka.

Funkcję sekretarki i recepcjonistki pełniła jedna osoba. Miała suchy, lekko załamujący się głos, w którym jednak nigdy nie pojawiał się ton szorstkości.

- Pani Charters? Pan Hingham za chwilę się z panią spotka.

Serena przez chwilę patrzyła nieprzytomnym wzrokiem na recepcjonistkę. W tym chłodnym, eleganckim pomieszczeniu, roztaczającym aurę praworządności i cywilizacji, bardzo ciążyła świadomość, że jej babka zginęła w wyniku aktu przemocy, który mógł być kojarzony raczej z kryminalnymi gettami wielkich miast niż z dziką, odludną pustynią.

Nieliczne zwierzęta zabijają tylko dlatego, że są do tego zdolne. W pierwszym rzędzie zalicza się do nich gatunek homo sapiens.

- Dziękuję - powiedziała Serena schrypniętym głosem.

Starsza pani skinęła głową, wprowadziła klientkę do gabinetu Mortona Hinghama i zamknęła za sobą drzwi.

Serena natychmiast zauważyła, że żaluzje na oknach gabinetu zostały opuszczone, a na ścianach nie widać tapet, gdyż całą powierzchnię zajmują szafy z książkami, których okładki były równie nudne i pozbawione polotu jak tytuły. Na solidnym biurku Hinghama piętrzyły się sterty rozmaitych dokumentów. Stojące pod przeciwległą ścianą komputery zupełnie nie pasowały do oprawnych w skórę tomów, w których przechowywano postanowienia, nakazy i ekspertyzy sprzed lat.

Obrotowe krzesło zaskrzypiało, gdy adwokat wstał, by przywitać się z klientką. Mimo że dawno przekroczył wiek emerytalny, wciąż zajmował swój bystry umysł procesami i tarapatami, w jakie wpadali ludzie nieraz znacznie od niego młodszy.

- Przepraszam, że musiała pani czekać, pani Charters - powiedział Hingham, odchrząknąwszy. - Mamy tu szczególnie trudny przypadek aresztowania, który... - Adwokat znów chrząknął.

- Rozumiem. - Serena skłamała przez grzeczność. - To nie ma znaczenia. - Akurat te ostatnie słowa były szczerze. Prawdę mówiąc, miała ochotę spojrzeć przez okna na góry, jakie otaczały ją w dzieciństwie i stały się fundamentem dorosłych marzeń. - Rozumiem, że stan Kalifornia zamierza zamknąć śledztwo w sprawie zamordowania mojej babki?

- Śledztwo nie będzie zamknięte, dopóki zabójca nie zostanie wykryty. Ale rzeczywiście, jako wykonawca jej testamentu jestem upoważniony do zwrotu tego, co zostało z doczesnych dóbr Lisbeth Charters, to znaczy pani babki.

To, że użył prawdziwego imienia i nazwiska Lisbeth Charters, wskazywało, iż babka ufała temu mężczyźnie tak, jak ufała tylko jeszcze jednej osobie na świecie: swojej wnuczce.

Dopiero po chwili do Sereny dotarła druga część zdania. Zacisnęła usta, żeby nie wybuchnąć ironicznym śmiechem. Doczesne dobra. Babka prowadziła surowy, wręcz spartański tryb życia. Nagrodą okazała się dla niej okrutna, gwałtowna śmierć.

- Rozumiem - stwierdziła obojętnym tonem. - Czy fakt, że wreszcie otrzymuję tak zwany spadek, oznacza, że nie jestem podejrzana o zamordowanie własnej babki?

Z trudem powstrzymywany gniew w głosie klientki sprawił, że Hingham przyjrzał się jej uważniej. Średniego wzrostu, ubrana ze swobodą: niebieskie dżinsy i marynarka z jakiejś dziwnej tkaniny, szczupłe, ale kobiece ciało, które kiedyś by go podnieciło, a i teraz budziło zainteresowanie, rudozłociste włosy splecione w długi warkocz francuski, owalna twarz i zimne oczy, którymi mierzyła go jak kot. Z dokumentów, które trzymał w ręku, wynikało, że ma trzydzieści parę lat. Nie wyglądała na swój wiek. Natomiast jej oczy o dziwnym kolorze miały w sobie niezachwianą moc, jakiej można było się spodziewać raczej u kobiety władczej i dwa razy starszej. Lisbeth Serena Charters miała właśnie takie oczy. Fiołkowoniebieskie. Szeroko rozstawione. Fascynujące.

Niepokojące.

Hingham znowu odchrząknął.

- Pani Charters, nigdy nie była pani naprawdę podejrzewana. Detektyw już wyjaśnił, że była to tylko rutynowa procedura, żeby ustalić, gdzie pani przebywała w tę noc, kiedy zostało popełnione morderstwo, zwłaszcza że jest pani jedyną osobą, która odziedziczyła spadek.

- Detektyw wyjaśnił. Choć nie poprawiło mi to samopoczucia.

- Cóż, to musiało być dla pani bardzo trudne.

- I jest nadal. Wprawdzie nie byłyśmy ze sobą zbyt blisko, ale prócz babki nie miałam żadnej rodziny.

Codziennie zadawała sobie pytanie, czy gdyby były sobie bliższe, babka nadal by żyła.

Na to pytanie nie było odpowiedzi. I nigdy nie będzie. Machnęła ręką ze zniecierpliwieniem.

- Załatwmy tę sprawę. Mam dużo pracy.

- Pracy? - Hingham zerknął na trzymane w ręku dokumenty. - Jak zrozumiałem, prowadzi pani własną, jednoosobową firmę.

- Dokładnie. Żadnych wolnych godzin za dobre sprawowanie. Moja pracodawczyni to wredna baba.

Pomarszczoną twarz adwokata wykrzywił upiorny uśmiech.

- Czy będzie miała coś przeciwko temu, że poświęci pani trochę czasu na kawę?

Serena uśmiechnęła się mimo niezadowolenia z prawa, adwokatów i biurokracji stanu Kalifornia.

- Dziękuję, ale powinnam wracać do Leucadii, zanim autostrady zamienią się w parkingi.

- Może jednak zechce pani usiąść... ?

Pomimo napięcia i zdenerwowania Serena podeszła do dużego tapicerowanego fotela, który czekał na nią przy biurku Hinghama. Starła się panować nad sobą, siedzieć spokojnie. Bardzo często w życiu maskowała energię i inteligencję, które mimo to emanowały z niej z taką siłą, że budziła u innych ludzi niepokój. Z rozmysłem rozsiadła się wygodnie na fotelu, skrzyżowała nogi i czekała, aż stary prawnik powie jej to, co już i tak wiedziała: że babka nie miała żadnych, godnych uwagi doczesnych dóbr.

Kiedy Hingham usiadł na swoim krześle, ostro zaskrzypiało.

- Rozumiem, że nie życzy sobie pani żadnego owijania w bawełnę.

- Zgadza się.

Skinął głową i przesunął dokumenty.

- Pani spadek to szczątki domu oraz pięć akrów działki, na której ten budynek postawiono. Nie obciążają go żadne długi hipoteczne ani jakiegokolwiek zaległości. - Podał siedzącej po drugiej stronie biurka Serenie mapę działki oraz tytuł własności. - Wszystkie podatki za zeszły rok zostały zapłacone. Ze względu na pożar złożyłem wniosek o ponowną wycenę. - Wręczył Serenie kolejne dokumenty. - Nie ma rachunków za światło czy gaz, bo w tym domu nie były używane. Lisbeth - pani Charters - była samowystarczalna do samego końca.

Nawet jeśli Hingham uważał za dziwne, że jego klientka na oficjalnie przechowywanym dokumencie figurowała jako Ellis Weaver, pomimo że w swoim prywatnym życiu nazywała się Lisbeth Charters, to nie dał tego po sobie poznać. Używanie więcej niż jednego nazwiska jest zupełnie legalne, o ile dana osoba nie zmienia danych personalnych w celu zatajenia niezgodnych z prawem poczynań.

Odbierając dokumenty, Serena zaciskała zęby, miotana nie tylko gniewem, ale i dojmującym smutkiem: Lisbeth Charters nie zasłużyła na tak okrutną śmierć.

- Naprawdę doradzam, żeby zleciła pani ponowną wycenę samej działki - dorzucił Hingham. - Ten rzeczoznawca jest chciwy.

Serena próbowała się przejąć jego uwagami. Bezskutecznie. Jak mogła się nimi przejąć, skoro trzymała w rękach wszystko, co pozostało po jej babce: plik papierów, które nie były warte nawet tyle, ile Serena otrzymywała za zrobienie tkaniny, którą właściciele jakiejś galerii uznawali za „ważną”. Ale dokumenty, podobnie jak galerie, pomijały wiele, właściwie wszystko, co liczyło się naprawdę: śmiech i okresy milczenia, łzy i ciepło, gdy wiały zimne wiatry, i wspomnienie latarni rzucających złociste światło na bezpieczny, mały świat jej dzieciństwa.

W domu swojej babki nigdy nie czuła się biedna, chociaż teraz miała świadomość, że żyły na skraju nędzy.

Hingham chrząknął. Zazwyczaj doskonale wyczuwał nastroje swoich klientów, ale siedząca naprzeciwko niego, opanowana młoda kobieta była nieprzenikniona. Pod tym względem bardzo przypominała Lisbeth Charters vel Ellis Weaver sprzed lat. Ponownie odchrząknął, uporządkował swoje dokumenty, wyciągnął jeden z nich i podał Serenie.

- Miała jedno konto bankowe - powiedział. - W Bernie.

Kiedy ta ostatnia informacja dotarła do Sereny, przestała rozmyślać o przeszłości i skupiła uwagę na adwokacie.

- Gdzie?

- Berno w Szwajcarii. Konto numeryczne. Dlatego nie ma żadnego dokumentu. Tylko numer konta wypisany odręcznie przez Lisbeth. Mimo że jestem wykonawcą jej testamentu, diabelnie ciężko było mi wydobyć od Szwajcarów informacje o tym koncie.

- Jest pan pewien, że było to konto mojej babki?

- Całkowicie. - Hingham uśmiechnął się, zadowolony, że zdołał zburzyć spokój klientki. - Sądząc po numerze, domyślam się, że konto jest dość stare. - Czekał, aż Serena zapyta, ile pieniędzy jest na koncie. Nadaremnie. Nie mając wyjścia, chrząknął i kontynuował: - Suma na koncie wystarczy na pokrycie wszelkich wydatków związanych z jej śmiercią. Jak pani wie, wyraziła życzenie, by jej zwłoki zostały skremowane, a prochy rozsypane w jej posiadłości.

W głosie Sereny toczyły walkę gniew i łzy. Zwyciężył gniew.

- Jakie to sprytne, że morderca spełnił jej ostatnie życzenia.

Hingham skrzywił się, słysząc ten ironiczny ton. W tym momencie postanowił, że oszczędzi klientce całej prawdy. W rzeczywistości przekazał zwęglone szczątki Lisbeth do oficjalnej kremacji, gdy tylko biuro szeryfa wydało stosowne zezwolenie. Potem pojechał na pustkowie, które Lisbeth nazywała swoim domem, i rozsypał jej prochy na wietrze.

Serena znowu położyła nogę na nodze. Ten gest był jedyną oznaką potwornej wściekłości, jaką odczuwała za każdym razem, gdy przypominała sobie, że ktoś zamordował jej babkę dla brutalnego kaprysu. Ale takie refleksje do niczego nie prowadziły. Dlatego postanowiła myśleć o czymś innym.

- Dlaczego moja babka miałaby zakładać numeryczne konto w szwajcarskim banku?

- Podejrzewam, że z typowych powodów.

- Przecież nie była zamieszana w żadne przestępstwo. Hingham uśmiechnął się.

- Istnieje wiele uzasadnionych powodów, dla których ludzie chcą mieć anonimowe konta w bankach. Pani babka była osobą niesłychanie, jakby to powiedzieć, dyskretną. Konto zostało założone dawno temu. Domyślam się, że na długo przed pani przyjściem na

świat. Nie ma żadnego związku z panią, chyba że zdecyduje się pani je zlikwidować. Mogę to za panią zrobić.

Serena spojrzała na trzymany w ręku kawałek papieru. W zagranicznym banku znajdowało się dwanaście tysięcy siedemset czterdzieści dziewięć dolarów i osiemdziesiąt jeden centów.

- Sama się tym zajmę.

Adwokat lekko zacisnął usta. Nie był w stanie zliczyć, ile razy Lisbeth odpowiadała mu dokładnie tak samo: „Sama się tym zajmę”. Bez względu jak mocno nalegał, nie chciała od niego niczego oprócz najbardziej niezbędnych usług prawnych. Nie żeby miała coś przeciwko niemu. Po prostu nie lubiła mężczyzn i nie ufała im.

- Jak sobie pani życzy. - Te bezosobowe słowa grzęzły mu w gardle zupełnie tak samo, jak w przeszłości. Głośno odchrząknął i wręczył Serenie małą kopertę z logo swojej kancelarii w miejscu adresu zwrotnego. - Tu jest klucz do jej skrytki.

- W Szwajcarii?

Uśmiechnął się.

- Nie. W Palm Springs. Ponieważ jestem wykonawcą testamentu...

- Otworzył ją pan - dokończyła Serena chłodno.

Nie podobała jej się myśl, że czyjeś obce ręce grzebały w życiu jej babki. Za dużo było tego po jej śmierci: samotną chatkę i wypalonego pikapa otoczono żółtą taśmą, a tuman szarego popiołu wznosił się przy każdym powiewie.

- Prosiła o to, kiedy zmieniała testament. Reprezentuję prawo, pani Charters. Upewniłem się, że w tej skrytce nie ma niczego, co mogłoby zainteresować państwo.

- Dlaczego państwo miałyby się interesować pamiątkami, jakie zostawiła mi babka?

- W przypadku, gdyby miały pewną wartość, pojawiłaby się kwestia podatku.

- Oczywiście. Jak mogłam o tym zapomnieć. - Głos Sereny nie zdradzał żadnych emocji, tylko lekko zaciśnięte wargi świadczyły, że była zdegustowana.

Jej babka nigdy w życiu nie otrzymała niczego od władz - miejskich, stanowych czy federalnych. Co nie powstrzymywało ich od roszczeń dotyczących części jej majątku, nawet jeśli nie miały większej wartości.

Hingham otworzył głęboką szufladę biurka i ostrożnie wyjął grubą podniszczoną skórzaną teczkę.

- W skrytce było kilka przedmiotów. - Położył obok teczki nową kopertę formatu A4. - A to znaleziono w pogorzelisku, przy warsztacie tkackim pani babki.

- Co to jest?

- Tkanina. Ponoć staruszka leżała na niej.

Prowadzący śledztwo domyślali się, że najpierw przytuliła do siebie tę tkaninę, jakby chroniła dziecko; potem zaczęła cierpieć i odczuwać straszny ból. Hingham uznał, że Serena nie musi jednak znać tych detali ani oglądać makabrycznych fotografii w policyjnych aktach. Pewnych szczegółów lepiej nie znać.

- Ponoć? - zagadnęła Serena. - Nie rozumiem. Hingham westchnął pocierając grzbiet nosa.

- Z chaty nie zostało prawie nic oprócz kamiennych ścian i kamiennego komina. To cud, że ten skrawek materiału ocalał z pożaru.

Serena zmarszczyła czoło, wzięła do ręki kopertę, otworzyła ją i wyciągnęła z niej tkaninę - miała ponad metr długości i jakieś trzydzieści centymetrów szerokości. Pachniała dymem, ale nie była osmalona. Nitki były sprężyste, lśniły różnymi kolorami albo może ich trudnym do nazwania zestawieniem: szeptały do Sereny w jakiejś prastarej mowie, wciągając ją coraz głębiej, a niedokończony wzór wywoływał u niej niepokojące poczucie absolutnej pewności.

Ona jest moja.

Nosiłam ją.

Serena widziała tę tkaninę pierwszy raz w życiu.

Rozdział 2

Pani Charters, dobrze się pani czuje? - spytał Hingham.

Serena z trudem oderwała wzrok od stare tkaniny o tajemniczym, zagadkowym wzorze, spojrzała na adwokata. Miała bujną wyobraźnię, a teraz odnosiła nieodparte wrażenie, że coś ją łączy z bardzo długą historią przadek. Właśnie dzięki temu wzory na jej pracach były tak niezwykle, że galerie zaczynały się nimi poważnie interesować. Ale też przeświadczenie o bezpośredniej więzi było zbyt realne, zbyt niepokojące. Zbyt...

Niebezpieczne.

- Pani Charters?

- Przepraszam - odparła. - Te wspomnienia są dla mnie trudne. - Uświadomiła sobie z ironią że powiedziała adwokatowi coś bardzo prawdziwego. W tym przypadku właściwsze byłoby zapewne słowo „niemożliwe”; bowiem niemożliwe, by ona utkała ten skrawek. - Dla takiej tkaczki jak ja, ta tkanina jest czymś zupełnie wyjątkowym. Wzór jest fascynujący, a sam materiał przypomina w dotyku najdelikatniejszy atłas. Choć może aksamit. Przy dotyku zmienia się zdumiewająco. Tkaczka, która go wykonała, musiała być niezwykle utalentowana.

- Pani babka?

- Nie. Kobieta, która dawno temu utkała ten materiał. Bardzo dawno. Przez moment doznała osobliwego wrażenia, że ktoś zgadza się z tym,

co właśnie powiedziała. Słowa aprobaty były ciche jak szept, lecz dobitne jak grzmot. Prawie tysiąc lat temu.

Hingham spojrzał na trzymany przez Serenę szal. Stwierdził, że ładne jest połączenie barw, ale nie był w stanie zauważyć żadnego konkretnego wzoru. Natomiast dotknięcie materiału przyprawiało go o niemiły dreszcz. Trudno mu było znieść kontakt z tkaniną nawet przez te parę sekund, kiedy musiał ją włożyć z powrotem do koperty. Tymczasem jego klientka gładziła szal jak ukochanego kota. Zdumiewające.

Pokręcił głową i odwrócił się od tkaniny. Inne pamiątki po Lisbeth nie miały odpychających cech. Prawdę mówiąc, były to najpiękniejsze przedmioty, jakie zdarzyło mu się widzieć. Bardzo ostrożnie otworzył teczkę.

Serenie na moment z wrażenia zaparło dech. Na miejscami uszkodzonej, spłowiałej skórze jasno błyszcząły intensywne odcienie rubinu i lapisu, szmaragdów i złota, niezwykła gra barw, wzniosła jak pieśń na tle ciszy. Kunsztownie wykaligrafowane czarne litery opisywały czas i miejsce sprzed lat, językiem przodków, który dzisiaj rozumiało niewiele.

Serce Sereny na chwilę zamarło, a potem zaczęło bić w przyśpieszonym rytmie. Kiedy przemówiła, jej głos był cichy jak szept.

- Mój Boże.

Gdy adwokat przewrócił kartę, złoto zalśniło i zamigotało. Wzór sprzed tysiąca lat zajaśniał nowymi kolorami. Serenę przeszył elektryzujący zachwyty. To był jej wzór, ten sam, o którym całe życie śniła.

- Nie wiedziała pani, że ona je ma, prawda? - zagadnął Hingham.

- Myślałam, że tylko o nich śnię. - Serena zamknęła powieki, a potem znowu je otworzyła. Sen wcale się nie skończył. Z niezwykłą ostrożnością powiodła opuszką palca po miękkiej krawędzi pergaminowej stronicy. - Ona jest prawdziwa!

- Och, tak. Najzupełniej prawdziwa. Cztery luźne karty zapisane po obu stronach. W sumie osiem stronic.

- Prawdziwa. - Aż trudno jej było w to uwierzyć. - Mówił pan, że w skrytce nie ma niczego wartościowego.

- Na ile się orientuję, one nie mają wartości. - Z wysiłkiem oderwała wzrok od nieoprawionych resztek pięknie iluminowanego niegdyś kompletnego manuskryptu: nie powinna ani nie mogła pamiętać, jak wyglądał kiedyś. - Podejrzewam, że mają ogromną wartość.

- Jeśli to prawda, są o wiele starsze od jakiegokolwiek rządu, który pragnąłby je opodatkować. - Uśmiech Hinghama był łagodny i w jakiś nieokreślony sposób smutny. - Pani babka chciała, żeby pani otrzymała te karty. Nie widziałem powodu, żeby je dawać do wyceny, przez co prawdopodobnie zmusiłbym panią do sprzedaży spadku w celu zapłacenia podatków stanowi, który nie zrobił dla Lisbeth nic. Nawet nie zapewnił jej możliwości przeżycia...

- Pan... - Serena zawahała się. - Panu na niej zależało, prawda?

- Kochałem ją. Ale nie chciała na to pozwolić.

- Przykro mi.

- Mnie też. - Westchnął, zdjął okulary i znów potarł grzbiet nosa. Jego oczy były czarne, tak jak kiedyś jego włosy. - W życiu nie znałem kobiety równie upartej. To była jej największa wada. A jednocześnie największa zaleta. - Westchnął raz jeszcze i włożył okulary. Kiedy odezwał się po chwili, w jego głosie już nie było emocji. - Oto rzecz ostatnia.

Serena zaczerpnęła powietrza i przez moment wpatrywała się w zapieczętowaną kopertę, którą podawał jej adwokat. W końcu wzięła ją do ręki, rozcięła podsuniętym przez Hingham nożykiem i przeczytała list, który Lisbeth Serena Charters uznała za stosowne przesłać wnuczce po swojej śmierci.

„Serenie,

Kiedy będziesz czytała te słowa, będę już martwa. Nie smucę się tym. Żyłam dłużej od wielu innych ludzi i moje ciało już się zużyło.

Jeśli ten list dotrze do ciebie z czterema tylko kartami z Księgi Uczonych, oznacza to, że nie dopełniłam obowiązku. Przez tysiąc lat księga była przekazywana przez matki ich pierwotnym córkom. W ciągu minionych stuleci utraciliśmy część kart, ale nie tak znowu wiele.

Aż nadeszło moje pokolenie. Czynię starania, by te karty odzyskać. Jestem już tak stara, że śmierć bardziej mnie kusi, niż przeraża. Jeśli mi się nie powiedzie, a ty postanowisz odzyskać swoje dziedzictwo, zapamiętaj mnie taką, jaką byłam, gdy miałam dwadzieścia parę lat. Myśl jak kobieta, którą byłam. A potem myśl jak dziecko, którym byłeś, kiedy pustynia była dla ciebie czymś nowym. Wtedy Księga Uczonych się odnajdzie.

Bądź bardzo ostrożna. Fałszerstwo jest niebezpieczną sztuką.

Kobieta rozsądna nie prowadziaby takich poszukiwań. Ale od kiedy to pierwotne kobiety z mojego klanu były rozsądne? Z pewnością nie od tysiąca lat. Jeśli udasz się tam, gdzie cię poprowadzą te karty, nie popełnij błędu, który ja popełniłam - bądź ruchomym celem, a nie czekającą na rzeź owieczką.

Nie powierzaj żadnemu mężczyźnie swojego dziedzictwa.

Od niego zależy twoje życie".

Serena jeszcze raz przeczytała list. Nie pierwszy raz wolałaby, aby jej babka nie była tak podejrzliwa w stosunku do otoczenia. Lisbeth ufała Hinghamowi na tyle, by zostawić u niego list, ale nie do

tego stopnia, by pozwolić mu zapoznać się z jego treścią. Przekazała wnuczce tyle informacji, ile uznała za absolutnie konieczne.

Tak więc początkowo Serena nie miała ich zbyt wiele. Dowiedziała się jedynie, że gdzieś istniał bardziej kompletny manuskrypt, który stanowił jej dziedzictwo, i że musi być ostrożna. Ostrzeżenie było sformułowane wyraźnie, ruchomy cel, w przeciwieństwie do sposobu, w jaki dziedzictwo miałyby zostać odzyskane.

Marszcząc brwi, złożyła list i wsunęła go z powrotem do koperty. Chociaż Hingham był wyraźnie zaciekawiony, udał, że nie zauważa, jak Serena chowa list do torebki, i nie zapytał o jego treść.

- Muszę się dowiedzieć czegoś więcej na ten temat - oświadczyła, wskazując palcem iluminowane żywymi kolorami stronice. Może te barwy naprawdę są zbyt świeże. Może w grę wchodzi fałszerstwo. - Zna pan kogoś, kto mógłby dyskretnie dokonać ich wyceny?

Hingham spodziewał się tego rodzaju pytania. Pchnął w jej kierunku arkusik. Pod logo adwokata widniały dwa adresy z numerami telefonów i e - mailami. Jeden był nowojorski, drugi - miejscowy.

- Numer z Palm Springs należy do Erika Northa - wyjaśnił., - Mimo młodego wieku, ten człowiek zna się świetnie na staroangielskich manuskryptach. Jednak z tego co wiem, często podróżuje, więc akurat może nie być go w mieście.

- A drugi numer? - spytała krótko Serena.

- Należy do House of Warrick.

Serena знала tę nazwę. Wszyscy ją znali. Świat aukcyjny dochował się trzech gigantów: Sotheby's, Christie's i House of Warrick.

- Warrick od dawna specjalizuje się w starych manuskryptach - ciągnął Hingham - więc mogę polecić ich usługi. Z uwagi na charakter naszej społeczności mają tu małą filię, ale Nowy Jork zajmuje się bardziej wartościowymi wycenami. Chętnie prześlę im pani karty.

„Nie powierzaj żadnemu mężczyźnie swojego dziedzictwa. Od niego zależy twoje życie”.

Serena w milczeniu zastanawiała się, w jakim stanie psychicznym znajdowała się jej babka pisząc ten list. Była jej nieodrodną wnuczką i

podobnie jak Lisbeth, zachowywała wielką ostrożność, nikomu nie ufała.

- Dziękuję - powiedziała - ale sama się tym zajmę.

- Jak pani sobie życzy. Pozwoliłem sobie wykonać kolorowe odbitki własnoręcznie. - Podkreślił ostatnie słowo, jakby chciał ją zapewnić, że sprawa została załatwiona bardzo dyskretnie. - Wprawdzie nie sądzę, by te karty łatwo było zniszczyć... - wzruszył ramionami - ale wożenie ich w walizce na pewno im nie pomaga. Mając do dyspozycji kilka kolorowych kopii, kompetentny ekspert powinien móc stwierdzić, czy oddawanie do wyceny całego zestawu ośmiu oryginałów jest warte zachodu i wydatków.

- Jeszcze raz dziękuję. Zadał pan sobie wiele trudu dla osoby, której nawet pan nie zna.

- Warto było znowu zobaczyć oczy Lisbeth. Uśmiechnął się lekko.

Serena nie wiedziała, co odpowiedzieć; właściwie nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa, bo nagle poczuła łzy w gardle. Mimowolnym gestem wzięła do ręki tkaninę i przyłożyła ją do skóry szyi. Tkanina koła jak pieszczota. Serena pogłaskała ją delikatnie, jakby chciała się odwzajemnić.

A potem zabrała swój niezwykły spadek i zostawiła Mortona Hinghama zatopionego we wspomnieniach. Czowała, że musi stąd wyjść i dobrze się zastanowić, co powinna zrobić.

Albo czego zrobić nie powinna.

„Nie powierzaj swojego dziedzictwa żadnemu mężczyźnie. Od niego zależy twoje życie. Bądź ruchomym celem”.

Rozdział 3

Palm Springs. środa rano

Erik North siedział wygodnie w fotelu na osłoniętym dziedzińcu. Słońce podkreślało jasne pasemka w jego gęstych, złocistokasztanowatych włosach. Bosy, z nagim torsem, w znoszonych sportowych szortach, czekał na umówionego gościa rozmyślając o stronie tłumaczonego manuskryptu.

„Żadna kobieta od czasów Ewy nie była tak zdradliwa. Zostałem uwięziony w suknie utkany jej własną ręką, suknie zaklętym, nieczystym; zostałem omotany jej planami jak owad pajęczyną; i cały czas sądziłem, że mnie kocha. Nie kochała. Kochała tylko własny klan, ode mnie nie potrzebowała niczego prócz nasienia.

Przeklęta czarodziejka. Wciąż o niej śnię.

Tęsknię.

Pragnę.

Widzę jej włosy lśniące w blasku płonącego ognia. Widzę jej oczy w każdym fiołku. Czuję jej zapach w każdym letnim ogrodzie.

Boże, ratuj mnie od tych diabelskich mąk”.

Erik omal się nie uśmiechnął, ale przerwał bezruch. Nie uległo wątpliwości, że pisząc te słowa Erik Uczony był ogromnie nieszczęśliwy. Kunsztowne pismo nie mogło ukryć dzikości jego uczuć. Z perspektywy czasu trudno stwierdzić, co powodowało uczonym skrybą: nienawiść, miłość czy bluźniercza kombinacja tych uczuć. Jednej rzeczy Erik North był zupełnie pewien. Sposób zaprojektowania inicjałów wskazywał, że karta pierwotnie znajdowała się na początku Księgi Uczonych. W miarę upływu lat, które poświęcono na stworzenie księgi, wzory i ozdoby stawały się coraz bardziej skomplikowane, podobnie jak znaki zbiorcze na marginesach.

Pomimo wygodnego otoczenia i ciepłego, styczniowego dnia, Erik nie wylegiwał się beztrząsco przy basenie. Wręcz przeciwnie; jego ciało zastygło w bezruchu, jakby szykował się do ataku. Kępka ciemnych włosów na jego klatce piersiowej ledwie się poruszała, kiedy oddychał.

Ludzie zwykle wiercą się, bawią się guzikiem, skubią odzież, drapią się po nosie lub bębnią palcami. Erik nie robił żadnej z tych rzeczy. Nawet powieki miał półprzymknięte, żeby nie poruszać nimi zbyt wyraźnie podczas mrugania. Stara sztuczka myśliwego.

Na zamkowym murze pojawił się, jak teleportowany, ptak zwany kukawką kalifornijską. Okrągłe, błyszczące ślepka przyglądały się uważnie każdemu skrawkowi dużego dziedzińca, otoczonego arkadami porośniętymi winoroślą, krzewom róż, które wyhodowano ze średniowiecznych szczepów. Czarny grzebień ptaka prężył się i opadał jak nerwowo bijące serce. Na pustyni zwierzęta narażały życie tylko dla dwóch rzeczy: wody i zaspokajania popędu płciowego. Turkusowa tafla basenu stanowiła pokusę nie do odparcia.

Chociaż ptak obserwował teren długo i uważnie, nie dostrzegł niczego oprócz poruszających się na lekkim wietrze pnączy bugenwilli, jaracandy, cytrusów i ogródka ziołowego. Upewniwszy się, że jest tu bezpiecznie, brązowa kukawka wielkości jastrzębia skoczyła z wysokości dwóch metrów na kamienne płyty dziedzińca i natychmiast zbliżyła się do łukowatej krawędzi źródła, połączonego z basenem. Pośrodku wygięcia lśniła płytka tafla szemrzącej wody, która ściekała po małym występie prowadzącym ze źródła do basenu. Kukawka zgrabnie dojrzała do środka występu i szybko, a przy tym w osobliwie wdzięczny sposób poruszając główką, zaczęła pić wodę z basenu.

Ptak znajdował się w zasięgu ręki Erika. Gdyby miał ochotę na pierzastą przekąskę, mógłby spokojnie zjeść kukawkę na lunch.

Zastygły w jednej pozycji, obserwował ptaka zapamiętując każdy jego ruch, subtelną grę światła na nakrapianych brązowych i kremowych piórkach, eleganckie balansowanie skrzydłami i szyją, nóżkami i długim ogonem. Samiec zachowywał się niespokojnie, choć nie tak nerwowo jak przed czterema dniami, kiedy Erik siedział na dziedzińcu i czekał, aż ptak zdobędzie się na odwagę, by zaspokoić pragnienie. Podczas tegorocznej wyjątkowo suchej zimy basen stał się codziennym przystankiem w wyprawach kukawki.

Erik czuł, że za tydzień, najwyżej dwa, ptak będzie mu jadł z ręki. Wszystkie zwierzęta go akceptowały. Zawsze tak było. Może dlatego, że potrafił całkowicie znieruchomieć na dłuższy czas. A może po prostu dlatego, że okazywał im szacunek, traktował jak niezależne, rozkosznie skoncentrowane na sobie istoty, które tak intensywnie przeżywały każdą chwilę.

Gardziołko kukawki poruszało się szybko, gdy wypijała ostatnie łyki. Potem ptak gwałtownie podniósł swój wąski ogon, jakby to była batuta dyrygenta. W następnej chwili odwrócił się lekko podskakując

po kamiennych płytach i odfrunął na szczyt wysokiego muru. Rozległ się szelest, trzepotanie czarnego ogona i ptak zniknął za kaskadą ciemnoróżowej bugenwilli.

- Tak wygląda moja przerwa na kawę - zwrócił się Erik do pustego dziedzińca.

Nie doczekał się żadnej reakcji, nawet cienie się nie poruszyły.

Wstał, przeciągnął się i wrócił do pracowni znajdującej się w najwyższej z wymyślnych wieżyczek jego posiadłości. Odziedziczył tę ziemię i kamienie, które kiedyś zebrano na miejscu starożytnych szkockich ruin i przetransportowano na pustynię. To była kosztowna zachcianka, ale w tamtych czasach pieniądze - nowe pieniądze - nie stanowiły problemu; pochodziły od pradziadka Erika, który walczył z Errolem Flynnem na planie licznych filmów. Podobne jak wielu innych mieszkańców Hollywood, pradziadek Perry zarobił tyle, że mógł sobie pozwolić na bajkowy azyl w Palm Springs.

Członków jego rodziny od zawsze cechowało zamiłowanie do przedmiotów pochodzących z epoki średniowiecza. Dziadek Erika ze strony ojca i jego żona byli cenionymi mediewistami. Ojciec prowadził badania naukowe dotyczące średniowiecza i pisywał książki dla dzieci. Rysunki matki Erika były równie fascynujące, jak ilustrowane przez nie opowiadania.

Przeciągnąwszy się jeszcze raz, Erik usiadł na wysokim, pięknie wykonanym taborecie z wiśniowego drewna, niegdyś należącym do jego matki. Pochylił się nad pulpitem zaprojektowanym przed wiekami; podobnie jak „zamek Northa”, mebel przeszedł oczywiście kilka renowacji.

Chociaż była dopiero dziesiąta, a na północnej stronie obszernego pomieszczenia w wieżyczce znajdowały się okna - Perry'emu nie zależało na stwarzaniu tu autentycznego mroku - ilość światła dziennego ledwo starczała Erikowi do pracy.

- Chyba będę musiał przyciąć tę starą bugenwillę - mruknął pod nosem.

Potrzebował dobrego światła, ale z niechęcią myślał o przycinaniu bugenwilli z obsypanej jaskrawymi różowymi pąkami. Któregoś dnia nad pustynię nadciągnie w końcu mróz i zwarzy bujnie rosnącą bugenwillę. Erik postanowił, że do tego czasu będzie się napawał widokiem kwiatów.

I będzie pracował mrużąc oczy.

Żeby mieć lepsze światło, lekko przechylił blat. Leżały na nim dwie karty. Pierwsza, pergaminowa, została starannie poliniowana, ale nie było na niej żadnego tekstu. Na drugiej znajdowała się fotografia wykonana w świetle ultrafioletowym, przedstawiająca wyblakły ze starości celtycki manuskrypt, pochodzący z dwunastowiecznej Brytanii. W świetle ultrafioletowym oryginalne zapiski były widoczne, choć wymazano je, by umieścić na starym pergaminie inne, nowsze ilustracje. W ten sposób mnisi mogli ponownie użyć drogiego pergaminu, zastępując świecki tekst świętym słowem bożym.

Była to również sztuczka stosowana przez fałszerzy: zakrywali prosty, nabożny tekst czymś bardziej błyskotliwym, żeby przyciągnąć uwagę któregoś z bogatych kolekcjonerów. Tak zwaną „stronę dywanową” o żywych kolorach można było sprzedać znacznie łatwiej niż szesnaście czy dwadzieścia linijek tekstu w języku nieznanym nabywcy.

Jak zawsze, głos mężczyzny znanego jako Erik Uczony zdawał się wibrować w umyśle jego imiennika, który dziś odczytywał wyblakłe linijki z połyskującej fotografii:

„Dziś stanąłem na granicy, w dniu rocznicy mojego »małżeństwa«. Przez przeklętą mgłę usłyszałem dzwony Silverfells obwieszczające narodziny córki klanu - pierwszy taki poród, odkąd sięgam pamięcią.

A mgła przytrzymała mnie jak metalowa sieć.

Mój koń odmówił wejścia na szlak. Sokół wędrowny został oślepiiony światłem czarów. Nos mego psa gończego nie rozróżniał zapachów. Ja zaś czułem się całkiem bezradny. Nie miałem sposobu, by w oparach mgły wybrać właściwą drogę i dotrzeć do źródła mojej niedoli.

Niechaj przeklęte będzie całe Silverfells.

Wyczuwałem radość mrocznego klanu, gdy wygrażałem niegodziwej czarodziejce, która tak mnie omamiła, że z własnej woli zostałem jej niewolnikiem".

Na twarzy Erika pojawił się grymas, tak samo jak za pierwszym razem, gdy tłumaczył ten fragment. Jego imiennik był naprawdę rozsierdzony, przepojony taką wściekłością, że mimo upływu czasu jego wyblakłe listy jeszcze teraz nią ociekały, i ogarnięty takim gniewem, że nawet nie wymienił imienia owej czarodziejki, które nie pojawiło się na żadnej z siedmiu stron, jakie Erik zdołał odszukać.

- Nieszczęśnik - mruknął Erik. - Naprawdę zalazła ci za skórę, co? A może ty jej zalazłeś? Dzwony z powodu narodzin, co? Podejrzewam, że w łóżku nikt cię do niczego nie zmuszał, chyba że w dwunastowiecznej Brytanii dzieci poczynano jakimś innym sposobem. Ciekawe, dlaczego coś się między wami zepsuło.... - Wykrzywił wargi. - Pewnie poszło o to, co zwykle. Ona chciała więcej niż mogłeś jej dać, nie tracąc poczucia, że jesteś mężczyzną.

Coś takiego właśnie przydarzyło się Erikowi Normowi. Jego narzeczona uważała, że powinien interesować się wyłącznie nią. Nie chciała być „macochą” dwóch nastolatków, młodszych sióstr Erika. Przecież miały wielu innych bliższych i dalszych krewnych. Czy ktoś z nich nie mógł wziąć dziewczynkę na wychowanie?

Koniec narzeczeństwa.

Początek rodzicielstwa w pojedynkę.

Erik ostrożnie odłożył narzędzia, których używał do liniowania pergaminu. Ten klient - łagodnie rzecz ujmując - był wyjątkowo wybredny. Erik posługiwał się kościanym ryłcem z metalowym czubkiem, żeby znaczyć pergamin takim samym sposobem, jaki stosowano już ponad tysiąc lat temu. Teraz poliniowane karty czekały, aż ktoś wypełni je kaligraficznym pismem. Erik musiał tylko widzieć stary tekst dostatecznie wyraźnie, by móc go skopiować.

Miałby o wiele łatwiejsze zadanie, gdyby mógł pracować dłużej z oryginalnym pergaminem, ale właściciel był, ze zrozumiałych względów, niezwykle zaborczy wobec swego skarbu. Prace „hiszpańskiego fałszerza” cieszyły się w dwudziestym pierwszym wieku wielkim popytem. Erik miał szczęście, otrzymał bowiem zgodę na wystawienie karty na działanie promieni ultrafioletowych i sfotografowanie jej, dzięki czemu odtworzył oryginalny tekst.

Powoli i tak długo przechylał drewniany pulpit, aż to, co dotąd wydawało mu się tylko mglistym zarysem cieni ukrytych pod powierzchnią oryginalnego pergaminu, pojawiło się na fotografii, na której widać było eleganckie, choć nieliczne linijki kaligraficznego pisma. Erik wydał głęboki gardłowy dźwięk, oznaczający aprobatę. Ten odgłos świetnie pasował do jego jasnokasztanowatych włosów i drapieźnych, złocistych oczu.

- Mam cię!

Nucąc melodię przekazywaną w jego rodzinie przez mężczyzn z pokolenia na pokolenie już od średniowiecza, ustawił blat pod

właściwym kątem. Następnie wybrał piórko ze stojaczka przykręconego do krawędzi stołu kreślarskiego. Ponieważ był leworęczny, wolał używać piórek z prawego skrzydła ptaka - zwykle indyka, czasami gęsi, jeżeli kopiował strony z najdrobniejszymi szczegółami.

Dziś posługiwał się piórem gęsim, bo sam był klientem. Pracując nad Księgą Uczonych stawał się niezwykle wymagający. Jeżeli do skrupulatnego odtworzenia oryginału koniecznie musiał mieć takie właśnie pióro, to potrafił je zdobyć w Palm Springs.

W dawnych czasach mnisi i skrybowie nie mieli kłopotu z pozyskiwaniem odpowiednich piór. W średniowiecznych klasztorach Starego Świata nie słyszano jeszcze o indykach żyjących w Nowym Świecie, natomiast hodowano gęsi, żeby mieć zapasy w spiżarniach i narzędzia pracy dla kaligrafów.

Erik nie był w tak skrajnej sytuacji, by musiał sam hodować te ptaki. Udało mu się nawiązać przyjazne kontakty z właścicielami ferm indyków oraz z kobietą, która sprzedawała europejskie gęsi z gatunku gęś gęgawa restauracjom specjalizującym się w nietypowych potrawach. Przewyciężywszy początkowe niedowierzanie hodowców, bez problemów otrzymywał od nich pióra.

Oczywiście Święto Dziękczynienia stanowiło doskonałą okazję, by zgromadzić całe tony indycznych piór. Jeśli chodzi o gęsi, najlepsze było Boże Narodzenie. Parę tygodni temu przygotował tysiące gęsiich piór, zanurzając każdy czubek w rozgrzany piasek, żeby „wyleczyć” dutkę, potem zdejmował kruchą, śliską osłonkę, a na koniec wydrapywał miękkie wnętrze. Kilka wprawnych ruchów scyzoryka sprawiało, że pióro nadawało się do pisania.

Musiał używać kadzidełek, żeby usunąć przykrą woń piór z odziedziczonego po dziadku starego zamku. Erik podejrzewał, że mnisi używali kadzidła z tego samego powodu. Mokre, nadpalone pióra wydzielały smród równie dokuczliwy jak zapach skunksa.

Automatycznym gestem podniósł pióro i obejrzał czubek pod światło. Idealne. Wprawdzie nie na długo, ale zawsze miał pod ręką ostry scyzoryk. Dosłownie pod ręką. Podnosił go prawą rękę, sięgając po pióro lewą. W XII wieku wszyscy skrybowie klasztorni byli praworęczni. Fakt, że ten był leworęczny, tłumaczył wybór tekstu: świecka historia klanu Uczonych widziana oczyma ich

najwybitniejszego przedstawiciela zamiast rozważań na temat natury Boga.

Erik zasiadł do pracy. Kaligrafia w średniowiecznym stylu wymagała dwóch rąk; jedną trzymało się pióro, drugą scyzoryk. Piórem pisano. Scyzorykiem zaś przytrzymywano śliski pergamin na pochylonym pulpicie, ostrzono pióra kończąc każdą stronę i usuwano błędy zdrapując atrament, nim zdążył wyschnąć.

Trzymając pióro w sposób, który dziś mógł się wydać dziwny - prostopadle do pergaminu - i poruszając nim całą ręką, Erik zbliżył czubek do kałamarza napełnionego atramentem przygotowanym według przepisu starszego niż nucona przez niego piosenka. Chociaż do odtwarzania starych manuskryptów wolał używać sadzy, jego klient uparł się, żeby zastosować starożytną kombinację siarczanu żelaza i popiołów dębianki. Otrzymany w ten sposób atrament był przyjemny w użyciu, ale z upływem lat brązował jak opadające jesienią liście.

Ale o to Erik nie musiał się troszczyć. Kiedy atrament zacznie blaknąć, jego od dawna nie będzie wśród śmiertelników. Teraz, kiedy nie pracował już dla działu ochrony Rarities Unlimited, miał większą szansę na dłuższe życie, a więc i na zebranie kolejnych części Księgi Uczonych.

Nie zdążył zanurzyć dziewiczego pióra w atramencie, gdy zadzwonił telefon.

Rozdział 4

Erika kusiło, żeby zignorować dzwoniącego, ale nie zrobił tego. To mógł być klient gotów zapłacić za usługę. Albo specjalizujący się w średniowiecznych manuskryptach uczony, pragnący przedyskutować tajne aspekty kaligrafii czy mieszania farb stosowanych do iluminowania.

A mógł też dzwonić ktoś z Rarities Unlimited.

Odłożył pióro i wziął do ręki przenośny aparat przymocowany z boku do stołu kreślarskiego. Zdjął słuchawkę z widełek, dzwonienie ustało.

- North - rzucił krótko Erik.

- Niall.

Erik poczuł przyływ adrenaliny. S.K. Niall - „wymawia się jak nazwę tej cholernejszej rzeki, chłopie” - był współzałożycielem Rarities Unlimited, która funkcjonowała nie tyle jako biznes, ile jako międzynarodowe grono współpracujących ze sobą mistrzów, których łączył szacunek dla najwspanialszych osiągnięć ludzkiej kultury. Dana Gaynor swoim cichym, kojącym i bardzo kobiecym głosem przekazywała mu zlecenia, jedne z najciekawszych w karierze Erika. Niall był znakomitym specjalistą od ochrony, zajmował się wieloma akcjami, nieraz o bardzo tajnym charakterze.

- Jak się żyje w mieście smogu? - zagadnął Erik.

- Pocałuj mnie w tyłek.

- Aż tak źle?

- Po prostu jesteś zazdrosny. Po ostatnim deszczu LA jest czyste jak łza, a ty ugrzęźłeś w Palm Springs, gdzie na ulicach macie kurz, bary są pełne kiepskich sobowtórów Elvisa.

Erik odczekał chwilę. Jego rozmówca dzwonił nie po to, by prowadzić pogaduszki o pogodzie. Obaj o tym wiedzieli. Ciemnowłosa, wysportowany szef działu ochrony zawsze miał ręce pełne roboty. Niall i Erik często razem uprawiali wspinaczkę, a także pomagali sobie w sprawach zawodowych. Krótko mówiąc, byli przyjaciółmi.

- Mam do ciebie pytanie od Faktoida - powiedział Niall.

Erik zamrużył powiekami. Faktoid, czyli Joseph Robert (Joe Bob) McCoy, był w Rarities ekspertem od komputerów, zafascynowanym nowymi technologiami człowiekiem XXI wieku. Ze względu na szczególne właściwości umysłu, z pomocą lub bez pomocy

komputera, Joe Bob McCoy umiał kojarzyć ogromne ilości niepowiązanych ze sobą faktów.

- Wciąż tam jesteś? - zapytał Niall.

- Odjęło mi mowę. Cóż takiego wiem, czego Faktoid nie potrafi znaleźć w bazach danych albo w swoim niezwykłym mózgu?

- Wiesz coś o umyśle pewnej kobiety.

- Wybacz, ale zadzwoniłeś pod niewłaściwy numer. Niall wybuchnął śmiechem.

- On uważa, że facet, który ma takie bary, musi znać sekrety kobiecej psychologii.

- Lepiej niech się zwróci do ciebie - odparł sucho Erik. - Ty jesteś typowym wysokim, ciemnowłosym przystojniakiem. Do diabła, przecież nawet nie byłem żonaty.

Niall znowu się roześmiał.

- W tym rzecz. On sądzi, że sam się tak ustawileś. Kobiety uganiają się za tobą, ale żadna nie może cię złapać.

- Ten gość ma bujną wyobraźnię - odrzekł Erik. - Powiedz mu, żeby pozostał w swoim świecie fantazji. Jest znacznie fajniejszy od rzeczywistości, w której żyję. Coś jeszcze kryje się w twojej małej główce?

- Delikatnie, chłopie. Obrażasz własnego szefa.

- Pracuję dla Dany.

- Obóz Pluszaków - powiedział Niall z obrzydzeniem, mając na myśli dział sztuk pięknych w Rarities, zupełnie różny od działu ochrony, którym zarządzał. - Kiedy zamierzasz wrócić do krainy prawdziwych mężczyzn? Przydałbyś się.

- Jestem nawróconym Pluszakiem.

- Jaja sobie robisz.

- Zapewniałeś, że Pluszaki w ogóle ich nie mają. Niall prychnął i na moment dał za wygraną.

- McCoy chce zrobić Gretchen prezent urodzinowy. Poradziłem mu, żeby nalał do wanny oliwy i...

- Stanowczo za dużo informacji! - przerwał mu szybko Erik.

- W takim razie co proponujesz?

Erik otworzył usta, ale nic nie powiedział. Z tego, że Faktoid za wszelką cenę pragnie zaciągnąć swoją szefową, Gretchen, do łóżka, wszyscy w Rarities Unlimited od dawna żartowali. Gretchen była dziesięć lat starsza od swojego niedoszłego kochanka, a sylwetką

przypominała wagnerowską diwę. McCoy miał znakomitą przemianę materii. Mógł pochłaniać mnóstwo tłustych, niezdrowych potraw, a i tak był chudy jak szczapa.

- Modlitwę - stwierdził w końcu Erik. - Jeśli to nie pomoże, głosuję na rzeczywistość wirtualną. Istnieją strony internetowe, od których człowiekowi może odpaść kutas. Coś jeszcze?

- Jeden z naszych informatorów w Sotheby's słyszał pogłoski o pojawieniu się jakichś nieznanych, ale bardzo wysokiej jakości kart z manuskrytu.

- Celtycki, z XII wieku? - zapytał natychmiast Erik, domyślając się prawdziwej przyczyny, dla której Niall się z nim kontaktował.

- To ja do ciebie zadzwoniłem, prawda?

- Pismo insularne?

- Nie wiem.

- Łacina czy wulgata?

- Do diabła, chłopie, czy ja jestem Pluszakiem?

- Czy te strony dotarły do Sotheby's? - zapytał Erik.

- Nie. Do House of Warrick. Do biura w Nowym Jorku.

- Cholera. Jeśli są naprawdę dobre, ten starzec kupi je za równowartość swojego domu aukcyjnego albo nawet za samego siebie. To, że preferuje manuskrypty z XV wieku, nie oznacza, że nie kupuje innych. Czy Warrick skontaktował się z tobą?

- Nie. Za to nasza wtyczka. Karty zostały oddane tylko do wstępnej wyceny. Kolorowe kopie, nie oryginały. W ogóle nie było mowy o sprzedaży.

- Każdy rodzaj wyceny jest pierwszym etapem do sprzedaży - odparł zniecierpliwiony Erik. - Muszę obejrzeć te karty. Jeśli nie da się tego zrobić, przyślijcie mi chociaż kopie. Odszukajcie nazwisko właściciela.

- Faktoid nad tym pracuje, ale na razie niczego nie umieszczono w komputerze Warricka, a jeśli tak, to jest zabezpieczone. Może ten chłopak gra na zwłokę w nadziei, że poddasz mu pomysł na naprawdę stylowy podarunek.

- Syrop czekoladowy.

- Co?

- Powiedz mu, żeby jej nalał do...

- To dopiero jest nadmiar informacji! - błyskawicznie przerwał mu Niall. - Jestem za młody, żeby wysłuchiwać takich rzeczy.

- Guzik prawda. - Zanim Niall zdążył zaprotestować, Erik dodał:
- Zdobądź dla mnie informacje o tych kartach.
- Od kiedy wydajesz polecenia swoim szefom?
- Przypominam, że jestem niezależnym konsultantem.
- Pracującym za zaliczkę.
- Chcesz zwrotu?
- Nie dzisiaj, chłopie. Zaczekam, aż porządnie mnie wkurzysz.

Dźwięk w słuchawce zmienił się; Erik domyślił się, że jego pracodawca

i przyjaciel rozłączył się z właściwą sobie bezceremonialnością.

- Ja też cię żegnam - powiedział Erik.

Wcisnął klawisz rozłączający i odłożył aparat z powrotem na widełki. W lewą rękę wziął pióro. Prawa powędrowała do scyzoryka.

W tym momencie rozległo się brzęczenie domofonu przy frontowej bramie.

Erik zaklął. Odwrócił się, wyjrzał przez okno wychodzące na południe i zobaczył furgonetkę kurierskiej firmy FedEx w charakterystycznych barwach bieli, fioletu i oranżu. Przez chwilę walczył z pokusą, żeby zignorować pracownika firmy. Nie spodziewał się żadnej przesyłki. Z drugiej strony, pamiętał, że to, czego człowiek zupełnie się nie spodziewa, może się okazać najciekawszym wydarzeniem dnia.

Podszedł do interkomu w drugiej części pokoju, wcisnął guzik i zapytał:

- Mam podpisać?

Ledwo słyszalny wśród trzasków głos odpowiedział:

- Tak.

Erik stwierdził, że powinien zrobić coś z interkomem. Zabytkowe przedmioty były dobrze zabezpieczone, ale interkom nie był podłączony do systemu antywłamaniowego, który funkcjonował bardzo przemyślnie; jedna z ekspertek od ochrony w Rarities miała genialne, choć nieco zwariowane pomysły. Erik podziwiał pracę Joelli, mimo że nie rozumiał jej genialnej paranoi.

- Już idę - powiedział do aparatu.

Odłożywszy na bok pióro, zbiegł po schodach i przez dużą, przerobioną kuchnię przeszedł do bocznej bramy, gdzie zawsze odbierał przesyłki. Kierownicą furgonetki była nieznaną mu osobą, kobieta, chyba nawet jeszcze niepełnoletnia. Erik, skończywszy

trzydzieści trzy lata, coraz częściej odnosił wrażenie, że otaczają go młodzi ludzie.

- Dziękuję - odrzekła z uśmiechem.

Wziął od niej paczkę i odruchowo odwzajemnił uśmiech, całą uwagę skupiając na przesyłce. Dziewczyna odeszła, a on trzymał paczkę palcami, które zachowały wrażliwość mimo zadrapań i zgrubień, jakich nabawił się uprawiając swoje hobby, czyli górską wspinaczką. Paczka była zbyt cienka, żeby wzbudzić szczególne zainteresowanie, chyba że jakiś ignorant w sprawach dzieł sztuki przesłał mu w niej karty manuskryptu.

Zaciekawiony, wyjął z kieszeni džinsów duży scyzoryk. Czarna plastikowa rękojeść była chropowata, co zapewniało dobry chwyt bez względu na błoto, deszcz, lód czy krew. Nieregularne, ząbkowane ostrze przecięło nylonową siateczkę jak błyskawica noc. Erik szybko uporał się z opakowaniem, złożył scyzoryk z charakterystycznym szczękiem i wyjął zawartość. Pierwsza strona była pisana przez osobę niemającą cierpliwości do układania pięknych listów.

„Szanowny Panie,

Proszę o obejrzenie załączonych kolorowych kopii dwóch arkuszy manuskryptu. Jeżeli uzna Pan, że zasługują na formalną wycenę, proszę o kontakt, numer telefonu podaję na górze strony.

Dziękuję,

Serena Charters"

Aż uniósł brwi, zdumiony przebijającą z tych słów energią. Zastanawiał się, czy Serena wie, że jej imię, podobnie jak imię Erik, było używane już w XII wieku, a może wcześniej. Jeśli wiedziała, to pewnie nie przywiązywała do tego wielkiej wagi. Ludzie XXI wieku mają obsesję na punkcie przyszłości, a nie przeszłości. W każdym razie większość.

Erik do nich nie należał. Jego pasją była przeszłość, zajmowała jego myśli i autentycznie ciekawiła.

Przewrócił stronę, odsłaniając znajdującą się pod spodem kopię. Nie spodziewał się zobaczyć wiele, ponieważ kolorowe wydruki trudno ocenić, nawet jeśli wykonano je starannie. Ta kopia była zaledwie poprawna. Kolory wyblakłe i nierównomierne, jakby w drukarce zabrakło tuszu albo odpowiednich ustawień. Pismo tak delikatne, że nie dawało się go odcyfrować.

Jednakże dokument zaparł mu dech w piersiach: drobny fragment tekstu był starannie wykaligrafowany charakterem pisma, który Erik znał równie dobrze jak własny.

Tekst był łaciński. Komentarz na marginesie napisano łącząc elementy anglosaskie i normańskie. Kilka wystarczająco ciemnych słów można było odczytać i sprawiły one, że Erik poczuł nagły przypływ adrenaliny.

Księga Uczonych.

Ta myśl odbiła się echem w świadomości Erika, tworzyła wzór, który wydawał mu się tak wyrazisty, jakby został wydrukowany wielkimi literami. Był urzeczony Księgą Uczonych od dzieciństwa, kiedy jako dziewięcioletni chłopiec zobaczył pierwszy arkusz w kolekcji starych książek i rodzinnych dokumentów, jakie pokazała mu ciotka. Od tamtego czasu oglądał wiele manuskryptów, stronic ze starych i nowszych ksiąg, bogato ilustrowanych, widział litery napisane w doskonalszy sposób... ale żaden rękopis nie poruszył go tak jak Księga Uczonych.

Może po prostu chodziło o to, że Uczony kaligraf i iluminator księgi również nosił imię Erik. Bez względu na przyczynę, fascynacja księgą sprawiła, że Erik studiował łacinę, staroangielski, nauczył się także sztuki iluminacji i kaligrafii.

Z mocno bijącym sercem wpatrywał się w kolorowe karty. Kopie były tak kiepskie, że zastanawiał się, czy nie jest to działanie rozmyślne. Kart nie ułożono w kolejności, ale z pewnością stanowiły część Księgi Uczonych. Kaligrafia wyraźnie na to wskazywała, podobnie jak styl inicjałów, połączenie pogańskiej i chrześcijańskiej wrażliwości, co nadawało unikalny charakter manuskryptom w stylu iluminatorstwa insularnego.

Miał przed sobą cztery karty, zapisane obustronnie dwa luźne arkusze wyglądały, jakby je wyjęto z oprawionego manuskryptu. Na ostatniej stronicy nie było śladu tekstu. Kolory zostały skopiowane fatalnie, malowidło było niemożliwe do odcyfrowania. Erik wpatrywał się długo, aż wreszcie dostrzegł obrazy.

Mężczyznę i kobietę w średniowiecznych strojach.

Mężczyzna miał jasne jak słońce włosy, przycięte tak, aby się mieściły pod wojennym hełmem. Jego płaszcz powiewał na wietrze, odsłaniając kolczugę. Na lewym ramieniu siedział sokół wędrowny, a u stóp leżał pies gończy wielkości kucyka. Mężczyzna patrzył na

kobietę tkającą na krośnie, które było wyższe od niego. Rozpuszczone włosy niewiasty ognistą kaskadą spływały po plecach aż do kolan. Spoglądała przez ramię na mężczyznę oczyma koloru leśnych fiołków. Zamiast murów zamkowych, tę parę otaczał skąpany w deszczu las, jakby na ziemi nie istniało nic prócz ich dwojga, pochwyconych przez mgły czasu.

Realistyczne ujęcie postaci było najważniejszym dowodem, że Erik ma do czynienia ze świeckim, a nie religijnym manuskrytem. Na początku dwunastego stulecia kościół wciąż jeszcze obawiał się bałwochwalstwa, toteż nakazywał, aby ludzkie sylwetki przedstawiano dwuwymiarowo, przez co wyglądały nienaturalnie.

Erik nabrał powietrza w płuca, nie zdając sobie sprawy, że przez dłuższą chwilę wstrzymywał oddech. Nie pamiętał, że wrócił do pomieszczenia w wieży i że oglądał te nędzne kolorowe kopie. Ale przecież musiał to zrobić, bo kiedy podniósł głowę, zorientował się, że znajduje się w pracowni, a skopiowane karty leżą porozkładane na podłodze, w miejscu gdzie padały promienie słońca.

Włosy kobiety, które zapamiętał jako rude, teraz zdawały się mieć odcień jasnego brązu. Włosy mężczyzny również były wyblakłe, a ubiór niczym się nie wyróżniał. Dumny sokół wędrowny na jego lewym ramieniu wyglądał jak bezkształtny węzełek, a pies gończy przypominał kupkę ziemi u jego stóp. Niezwykłe fiołkowe oczy kobiety stały się bezbarwne.

A przecież Erik widział całą scenę w tak żywych barwach. Wszystko było wyraziste - rude i jasne włosy, fiołkowy odcień i lśniące ogniwa kolczugi, sokół wędrowny i śpiący pies. Był pewien tej wizji jak bicia własnego serca.

Po dłuższej chwili Erik doszedł do siebie i wstał zgrabnym ruchem, jak przystało na kogoś, kto wspina się po skałach. Nie odrywając wzroku od kopii, wziął do ręki telefon i wystukał numer znajdujący się na samej górze listu.

Nikt nie odbierał. Nie włączyła się nawet automatyczna sekretarka.

Wykręcił prywatny numer Nialla. Nie ten naprawdę prywatny, a już na pewno nie najbardziej prywatny, ale w każdym razie nie ten co zwykle.

- Czego? - warknął Niall, co było jego powitalną formułą.

- Powiedz Faktoidowi, że kobieta, która przesłała kopie do House of Warrick, nazywa się Serena Charters. Mieszka w Leucadii. Chce wiedzieć, czy te karty są warte formalnej wyceny.

- A są?

- Tak. - Erik w myślach pożegnał się z kilkoma następnymi honorariami za doradzanie Rarities Unlimited. Powinien był to zrobić wiele lat temu, ale był zbyt uparty. I za nisko się cenił, bo dziewczynki kończyły studia. - Chcę otrzymać dokładne informacje dotyczące pochodzenia iluminowanych stron, których kopie mi przekazano. Szczegółowe dane przekażę Gretchen. I tak, zapłacę za ekspresową robotę.

- Psiakrew - westchnął Niall. - Powiem Danie, że jej ulubiony Pluszak rozpoczął prywatną misję.

- To nie potrwa długo.

- Tak jak umieranie, chłopie.

Rozdział 5

Leucadia, środa po południu

Zgodnie z lokalną tradycją, dom Sereny zbudował człowiek, który swój pierwszy milion zarobił szmuglując haszysz w hipisowskich latach sześćdziesiątych. Zapłacił ów milion (i o wiele więcej w haszyszu) swojemu adwokatowi, żeby wyciągnął go z więzienia. W rezultacie projekt wybudowania luksusowej rezydencji zastąpiła drastycznie okrojona wersja, którą mógł docenić jedynie „specjalny” nabywca.

Dom miał tysiąc metrów kwadratowych powierzchni - urządzono tu jedną sypialnię, jedną ogromną łazienkę, jedną kuchnię i jeden ogromny salon, z którego okien rozciągał się widok na kwietne uprawy Leucadii, autostradę międzystanową nr 5 i Ocean Spokojny. Nie było tu jednak biura. Żadnego pokoju. Ani sauny czy pokoju do ćwiczeń. Nie było nawet szafy. Brakowało podstawowych wygód dla osoby pracującej w domu pod koniec XX i na początku XXI wieku. W rezultacie dom rzadko odwiedzali goście.

Kiedy Serena kupowała tę nieruchomość, budynek miał pięćdziesiąt lat. W „wielkim salonie” urządziła swoją tkacką pracownię. Pięć krosien rzucało długie cienie w popołudniowym słońcu. Dwa krosna były wysokie, jedno średnich rozmiarów, pozostałe małe, a jedno tak malutkie, że Serena do tkania używała nici do szycia. Na wysokim krośnie, przygotowanym do pracy były tylko nitki osnowy. Na drugim dużym krośnie znajdował się prawie skończony kilim. Za wzór posłużyło heraldyczne godło z czasów drugiej krucjaty. Białe normandzkie tarcze w kształcie łez z prostymi czerwonymi chrześcijańskimi krzyżami tworzyły wielki krzyż na czarnym tle.

Serena spojrzała krytycznym okiem na kilim. Wykonywała go na zlecenie bogatego biznesmena zajmującego się nowymi technologiami; starał się obudzić w sobie snobistyczne przywiązanie do przeszłości. Jak zwykle w przypadku projektu narzuconego z góry, nie liczyła, że będzie szczególnie zadowolona z realizacji, ale nie mogła sobie pozwolić na zlekceważenie pewnego honorarium. Zwłaszcza gdy w grę wchodziła tak poważna suma.

Chociaż jej tkaniny prezentowały teraz galerie na Manhattanie, w Mediolanie, Los Angeles i Hong Kongu, mogło minąć parę lat, zanim coś uda się sprzedać. W międzyczasie musiała przecież coś jeść,

utrzymywać dom i samochód, płacić podatki, kupować niezbędne ilości dobrej gatunkowo przędzy, i pokarm, na który jej kot, zwany Koneserem, nie kręciłby swoim czarnym nosem.

Koneser lubił świeże ostrygi z Pacyfiku, krewetki królewskie, wędzonego łososa i delikatesowy pasztet z kurczaka. Ponieważ Serena nie miała dość pieniędzy, by jadać takie rzeczy na co dzień, ona i Koneser musieli się żywić tuńczykiem, serem i masłem orzechowym. I, oczywiście, gryzoniami.

W przypadku, rzecz jasna, kota, nie Sereny. Nigdy nie kusily jej myszy, ryjówki czy krety, które Koneser z dumą przynosił co rano do wglądu - szczególnie że zawsze najpierw wyjadał najlepsze kawałki. W ten sposób dawał do zrozumienia, co myśli o karmie dla kotów, tuńczyku w puszcze, serze i maśle orzechowym.

Wspomniany kot głośno mrucał i ocierał się o nogi Sereny tak mocno, że musiała się chwytać belki krosna, aby nie stracić równowagi. Koneser miał wielkość rysia. Cudowne pomarańczowe oczy, lśniące czarne futro, przycięty ogon i pędzelki na uszach. Sięgający niemal do kolan, zwinny, silny, drapieżny, rządził domem swymi aksamitnymi łapkami, zawsze gotów wysunąć ostre pazurki. Prócz tego, że atakował akwizytorów, nie miał żadnych poważniejszych wad, a już z pewnością nie takich, jakie należałoby utemperować.

- Jeśli jesteś głodny, zapoluj. - Serena schyliła się, by pogłaskać kota. - Jeśli chce ci się pić, idź straszyć karpie koi w baseniku. A jeśli chcesz na dwór, to wiesz, gdzie są kocie drzwiczki.

Koneser otarł się o starą tkaninę, którą Serena owinęła szyję.

- Podoba ci się, co? - Uśmiechnęła się. Nie rozstawała się z szalem, odkąd wzięła go od adwokata Mortona Hinghama. Na noc wkładała go pod poduszkę.

Sny miała ostatnio bardzo niepokojące: widziała błagające o coś fiołkowe oczy podobne do jej oczu. Słyszała dziki krzyk sokoła wędrownego szukającego łupu, a także ujadanie gończego psa, krążącego na skraju mgły, która wciąż się cofała. Już niedługo. Już niedługo. On ujrzy mnie, a ja jego i nie będzie żadnych barier, żadnej ochrony, tylko los, który odcisnął się na moim warsztacie tkackim.

Koneser zamruczał tak głośno, że Serenie zadrżała dłoń. Wspomnienie snów ulotniło się, a razem z nim niepokój Sereny. Zarówno szal, jak i mrużący kot stanowiły miłą odskocznnię od

niesamowitych wspomnień. A właściwie snów. Przecież nie mogłaby ich zapamiętać, chociaż w czasie trwania wydawały się tak prawdziwe.

- Szkoda, że jesteś wykastrowany - zwróciła się do Konesera. - Chciałabym mieć kilka takich kotów.

Spojrzał na nią, jakby chciał powiedzieć: „Możesz sobie tylko pomarzyć. Takich kotów jak ja jest mało na tym świecie”.

- Uciekaj. Muszę pracować.

Koneser odszedł, gdy tylko ujęła czólenko. Nauczył się, że jeśli będzie się plątał pod nogami swojej pani, kiedy tka, natychmiast zostanie wyrzucony z domu. Wolno mu było patrzeć. Chodzić po pokoju. Mógł pożądać szybko poruszającego się czólenka. Ale gdyby skoczył na nie lub na zwisające, owinięte przędzą szpule czy piętrzące się wokół stosy ślicznej przędzy, od razu zostałby wyrzucony na dwór, gdzie bywało zimno.

Serena w roztargnieniu pstryknęła palcami. Zdalnie uruchamiany odtwarzacz włączył się i z głośników popłynęła muzyka. Przeważnie wybierała muzykę kameralną: renesansowe motety albo dwudziestowiecznego bluesa, ale motyw krucjaty zdawał się wymagać surowej muzyki wojennej i lamentów. Teraz w rozległym pomieszczeniu zabrzmiały ballady z amerykańskiej wojny domowej, smutne i piękne. Oczywiście, to była zupełnie inna wojna niż krucjaty, ale miała też z nimi wiele wspólnego. Piekło na ziemi w imię wyższej moralności.

Zadzwoił telefon.

Nie wstała, żeby go odebrać.

Zignorowała telefon już dwa razy. Taki już miała niedobry zwyczaj. Przedstawicielom rozmaitych galerii obiecywała, że pozbędzie się tego nawyku albo przynajmniej sprawi sobie sprawną automatyczną sekretarkę. Ale Koneser uwielbiał różne mrugające światełka i stukał w nie łapkami, aż w końcu udawało mu się doszczętnie rozregulować każdy sprzęt: automatyczną sekretarkę, komputer, telefon, wszystko. Przez jakiś czas próbowała to wyjaśnić tym, którzy nalegali, by znalazła lepszy sposób na odbieranie wiadomości. W końcu przestała się tym przejmować. Ludzie zawsze znajdowali sposób, by do niej dotrzeć. Może dla nich nie było to łatwe, za to ona miała więcej czasu na tkanie.

Telefon znowu się odezwał. I nie przestawał dzwonić. Dzwonił i dzwonił.

Serena skończyła rządęk i sięgnęła po słuchawkę, mając nadzieję, że tamten ktoś już się rozłączył.

- Halo?

- Dzień dobry. Czy pani Charters?

- Jeżeli chodzi o akwizycję, to uprzedzam, że przez telefon niczego nie kupuję. W ankietach też nie uczestniczę.

- Dzwonię z House of Warrick - odezwał się energiczny kobiecy głos. - Nazywam się Janeen Scribner. Czy mogę rozmawiać z panią Serena Charters?

- Och, przepraszam. - Serena założyła jedwabisty lok, falujący za ucho ruchem wyrażającym irytację, lecz także zaniepokojenie. - Tu Serena.

- To pani wysłała nam cztery kopie kart z iluminowanego manuskryptu?

- Tak. Zastanawiam się, czy warto zabiegać o pełną, oficjalną wycenę.

- Na to pytanie najlepiej byłoby w stanie odpowiedzieć pan Norman Warrick. Specjalizuje się w iluminowanych manuskryptach.

- Niechętnie myślę o wysyłaniu oryginałów do Nowego Jorku - odparła Serena. - A teraz nie mam czasu, żeby przekazać je osobiście.

- To nie będzie konieczne. Pan Warrick spędza pół roku w Nowym Jorku, a drugą połowę w Palm Desert. Obecnie przebywa z rodziną w Palm Desert. Jeśli pani może przyjąć zaproszenie, będzie na panią czekał dziś wieczór.

- Dziś wieczór?

- Tak. Pan Warrick ma prawie sto lat. I nigdy nie marnuje czasu.

- Och... - Serena spojrzała na prawie skończony kilim. Potem pomyślała o pięknie zdobionych kartach znajdujących się w skórzanej aktówce w jej zamkniętym wozie, gdzie były zabezpieczone przed ciekawością Konesera. - Świetnie. O której godzinie i gdzie?

Janeen przekazała jej instrukcje i dodała:

- Oczywiście, pan Warrick pragnąłby obejrzeć oryginały.

Te słowa nie brzmiały ani jak rozkaz, ani jak pytanie. Serena zacisnęła pełne wargi, choć jednocześnie tłumaczyła sobie, że popada w śmieszność: jeśli nie potrafi zaufać szefowi House of Warrick, nie może ufać nikomu.

Ale mimo to ilekroć spoglądała na te karty, narastało w niej dziwne poczucie zaborczości. W jakiś nieokreślony sposób należały do niej. Na myśl o dzieleniu się nimi z kimkolwiek odczuwała niepokój. A może po prostu nie była w stanie zapomnieć ostrzeżenia babki.

Wprawdzie Norman Warrick miał prawie sto lat, jednakże był mężczyzną.

- O siódmej? - zapytała Serena.

- Pan Warrick będzie oczekiwał na panią i oryginały. Szczęk odkładanej słuchawki.

Serena popatrzyła na milczący telefon, wzruszyła ramionami i wzięła do ręki czólenko. Miała do dyspozycji jeszcze pół godziny. Nawet czterdzieści pięć minut, jeśli potem dociśnie pedał gazu.

Wiedziała, że będzie jechać szybko. Zawsze tak robiła.

Rozdział 6

Palm Spring, środa po południu

Erik patrzył na swój dwudziestosześcioro-calowy plazmowy monitor równie uważnie jak na manuskrypt do wyceny. Nigdy nie kupiłby kart przez Internet, ale nie miał nic przeciwko oglądaniu ich w ten sposób. Dzięki temu sporo oszczędzał na biletach lotniczych i przesyłkach.

Przy bardziej szczegółowych badaniach i porównywaniu wolał korzystać ze swojej bogatej biblioteki lub antologii na CD-ROMach. Oglądanie na CD-ROMie nie mogło się równać ze studiowaniem oryginalnych dokumentów, lecz było znacznie wygodniejsze. Ponadto większość interesujących go manuskryptów przechowywano w sejfach i rzadko udostępniano. Taki sposób chronienia drogocennych rękopisów był z pewnością skuteczny. Lecz przy tym równie skutecznie utrudniał pracę naukowcom.

Na szczęście karty, którym Erik przyglądał się w tej chwili, były pokazywane publicznie. Zostały wystawione na sprzedaż na aukcji. Erik najchętniej wchodził na stronę internetową z aukcjami Bodleian Market, zawdzięczającą swoją nazwę słynnej na cały świat angielskiej bibliotece posiadającej w swoich zbiorach imponującą kolekcję iluminowanych manuskryptów. Erik wpisał do wyszukiwarki te same co zwykle hasła i kryteria wyszukiwania: palimpsesty, czternastowieczna albo piętnastowieczna iluminacja, karty albo całe manuskrypty, nowe nabytki w bieżącym miesiącu.

Ze względu na zawężone ramy czasowe i kluczowe słowa nie spodziewał się niczego nadzwyczajnego. Sprawdzał tę stronę regularnie i zazwyczaj przybywało na niej niewiele wpisów.

Tym razem znalazł sześć, ale zainteresował go tylko zamieszczony przez byłego kuratora manuskryptów w małym muzeum Reginalda Smythe'a, który potem zajmował się handlem nieruchomościami, żeby realizować swoje cele. Erik nigdy nie znał Reggiego osobiście, ale wiele o nim wiedział.

W każdym razie ten człowiek idealnie spełniał jego oczekiwania. Erik szukał kart, na które inni nie zwracali uwagi, kart, które sugerowały coś, jednocześnie ukrywając zupełnie inną treść. Krótko mówiąc, zależało mu na palimpsestach, arkuszach pergaminu, z których usunięto oryginalny tekst; w to miejsce za pomocą farby albo atramentu nałożono nowy.

Erik kliknął ikonkę ze zdjęciem. Na ekranie natychmiast pojawił się obraz. Jedną z ubocznych korzyści doradztwa dla Rarities Unlimited było wspomagane satelitarnie łącze z komputerowym systemem firmy. Prędkość tego łącza biła na głowę najświeższe komercyjne oferty połączeń internetowych.

Na widok tego obrazu poczuł gwałtowny przypływ adrenaliny. Po chwili jednak zmarszczył czoło. Ta miniatura nie dorównywała poziomowi prac Hiszpańskiego Fałszerza, człowieka, którego bezprawna działalność stała się wartością samą w sobie. Zamiast lirycznego stylu fałszerza z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku, imitującego romańskie zdobnictwo początku piętnastego wieku, rysunek wydawał się prawie nieporadny. Prawie, lecz nie całkowicie. Z pewnością był wystarczająco dobry, by zmylić większość zainteresowanych. Mógł nawet być autentyczny; najwięksi artyści w swojej twórczości też miewali gorsze okresy.

Erik przezornie sprawdził dostępność arkusza. Jeszcze nikt go nie licytował. Arkusz można było oglądać w sklepie Reggiego w Los Angeles albo na Międzynarodowym Świecie Książki Antykwarycznej.

Erik skrzywił się, nie miał najmniejszej ochoty brać udziału w największej na świecie wyprzedaży starych druków. Przeszedł do kategorii „pochodzenie”. Pierwszym z trzech ostatnich właścicieli - tylko tytu podawano w opisie - był dom aukcyjny Christie's (pośredniczący w imieniu klienta, któremu zapewniał największą dyskrecję); później karty zostały sprzedane prywatnej zmarłej w ubiegłym roku kolekcjonerce Sarah Wiggant; następnie w ich posiadanie wszedł Reggie, wyjątkowy ryzykant. Niespełna rok temu zakupił karty z majątku kolekcjonerki.

Wstukując dane działu badań Rarities Unlimited, Erik nie musiał nawet patrzeć na swój przenośny aparat, będący skrzyżowaniem komputera i komórki. Potrafił wprowadzić odpowiedni kod nawet po ciemku, co zresztą często się zdarzało, bo kiedy wstawał w środku nocy, nagle przychodził mu do głowy nowy pomysł.

Ponieważ jego kod był automatycznie rejestrowany, kiedy wybierał numer, rozmowa została przekierowana bezpośrednio do osoby, która zajmowała się jego poprzednim zleceniem.

- Mówi Shelby. Myślisz, że jestem Panem Bogiem? Nie miałem twoich rzeczy wystarczająco długo, żeby...

Erik zaraz mu przerwał.

- Chciałem tylko dodać coś do listy poszukiwań. To, co mam na ekranie, skopiowałem na twój komputer, więc musisz tylko...

- Tak, tak, załapałem. Coś jeszcze?

- Nie.

Shelby się rozłączył.

- Pozdrów ode mnie żonę i dzieciaki, Shel - powiedział Erik do wyłączonego telefonu. - Aha, i możesz się ze mną pożegnać.

Erik z uśmiechem odłożył aparat. Czarnoskóry Shelby Knudsen, kiedyś zawodowy futbolista, podczas bijatyki doznał urazu kręgosłupa. Leżąc na wyciągu w trakcie długiej, bardzo trudnej rekonwalescencji odkrył, że ma niezwyklej dar wydobywania informacji z komputerowych plików.

Badaczy można wytrenować. Prawdziwie utalentowani badacze zdarzają się rzadko. Poza Faktoidem, Shel był najgenialniejszym researcherem Rarities. Erik zdawał sobie sprawę, że połączono go z Shelem tak szybko wyłącznie dlatego, że Dana Gaynor szanowała jego pracę.

A może wiedziała o tych stronicach coś, czego nie chciała Erikowi zdradzić. Zresztą nie pierwszy raz. I nie ostatni.

Rozdział 7

Palm Desert, środa wieczór

Kiedy Serena dotarła do rezydencji Warricka w Palm Desert, zrobiło się już ciemno. Jednak nawet nocą posiadłość robiła duże wrażenie. Dom w stylu śródziemnomorskim stał na tle malowniczych, stromych, czarnych gór, oświetlony cienkimi jak miecze snopami reflektorów i otoczony murami ze stiuku z bramami z kutego żelaza. Wokół budynku rosły drzewa palmowe, kaktusy ocotillo i beczułkowate euforbie. Światła podkreślały rozmiary klombów obsadzonych barwnymi petuniami i lwimi paszczami. Bujne pnącza bugenwilli zrzucały jasne płatki, które piętrzyły się na parapetach okien i u podstawy wysokich ścian.

Brama frontowa czterometrowej wysokości miała zamontowane kamery, a także panel z cyframi. Ponieważ Serenie nie podano kodu, nacisnęła guzik z napisem „gość” i podała swoje imię i nazwisko do kratki mikrofonu.

- Witamy, pani Charters. Patrickowie oczekują pani. - Głos był miły, należał do mężczyzny. - Proszę jechać głównym podjazdem pod dom.

Brama rozsunała się, ale tylko na tyle, by umożliwić wjazd. Gdy samochód minął zakamuflowany detektor, zamknęła się tak szybko, że omal nie stuknęła w zderzak. Po chwili Serena znalazła się wśród starannie przystrzyżonych trawników, fontann i drzew, które bardziej kojarzyły się z Italią niż z Nowym Światem. Podjazd miał co najmniej ćwierć mili. Sam dom był tak duży, że można by go było uznać za magnacką rezydencję; fasadę zbudowano z jasnych kamieni; pionowe okna były równomiernie rozmieszczone na wszystkich czterech kondygnacjach. Po obu stronach chodnika prowadzącego do wejścia rosły oliwki i cyprysy przystrzyżone w fantastyczne formy.

Serena pamiętała z dzieciństwa, że tu nie było nic, tylko skalista pustynia, a posiadłość Warricka wyglądała, jakby znajdowała się tutaj od pięciuset lat.

Ciekawe, czy nie potrzebują jakichś kilimów na ściany swojego zamku, pomyślała z ironią.

Warricków z pewnością byłoby stać na jej tkaniny. Zawsze odczuwała rozbawienie, ale też lekką gorycz na myśl, że nie ma dość pieniędzy, by kupować własne wyroby. Z trudem mogła sobie

pozwolić na to, by zatrzymać w domu ulubioną tkaninę i nie wystawiać jej na sprzedaż.

Gdy tylko Serena zgasiła silnik, otworzyły się potężne frontowe drzwi. Myślała, że ujrzy w progu długonogą młódkę w stroju francuskiej pokojówki, ale czekał na nią bardzo wysoki mężczyzna. Wsiadła z samochodu i stała czekając, aż do niej podejdzie. Jej palce machinalnie powędrowały do starej tkaniny, którą włożyła pod bluzkę. Szal miał na nią kojący wpływ: był przyjemny w dotyku, jedwabisty, miękniejszy niż jedwab.

Mężczyzna zszedł po schodach swobodnie, elastycznym krokiem właściwym dla wysportowanego, młodego człowieka. Jego włosy wydawały się ciemne, z wyjątkiem kilku srebrnych kosmyków, które lśniły w sztucznym świetle. Wyprostowany, starannie wygolony, nie wyglądał na szczególnie wyluzowanego, chociaż miał na sobie zwyczajne spodnie i koszulkę, mokasyny i lekką wiatrówkę.

Dyskretnie zerknął na szybę samochodu Sereny, żeby sprawdzić, czy przyjechała sama. Zlustrował ją od stóp do głów w równie dyskretny sposób. Jej czarne džinsy, czarny bawełniany pulower i czarne sandały najwyraźniej nie wzbudziły w nim podejrzeń. Czarna skórzana torba, którą miała przy sobie, była dość duża, by w razie czego służyć jako podręczny bagaż, ale wiele kobiet nosiło takie torby, a w nich tak groźne przedmioty jak zestaw do makijażu, woda i wygodne buty.

- Witamy w rezydencji Warricków, pani Charters.

- Czuję się jak Alicja w Krainie Czarów. W uśmiechu błysnął białymi zębami.

- Zareagowałem tak samo, kiedy pierwszy raz tu przyjechałem. Nazywam się Paul Carson. Warrickowie czekają na panią z niecierpliwością. Mogę pani pomóc?

- Na przykład nieść karty? - zagadnęła. Z dużym wdziękiem udał zasmuconego.

- Przepraszam. Wszyscy jesteśmy podekscytowani. Kolorowe kopie były intrygujące, ale niezbyt użyteczne. - Wzruszył ramionami.

- Jestem pewien, że pani to rozumie.

- Chcicie się przekonać, czy karty prezentują coś więcej niż ich kopie. O to chodzi?

- Oczywiście.

- Dlatego je przywiozłam. Ja też chciałabym wiedzieć.

Kiedy wyciągała z tylnej części samochodu dużą skórzaną teczkę, obserwował ją czujnie swymi jasnymi oczyma - mogły być niebieskie, szare lub zielone. Dostrzegła jego baczne spojrzenie i uniosła lewą brew w niemym pytaniu.

- Przepraszam, jeśli wydaję się pani nieuprzejmy - powiedział szybko. - Niektórych nawyków trudno się wyzbyć. Spędziłem dwadzieścia lat w tajnych służbach, a potem dziesięć jako szef ochrony pana Warricka. Tę posiadłość odwiedza niewielu gości, więc, szczerze mówiąc, jestem zdenerwowany.

- Mnie też się udziela pańskie zdenerwowanie - odparła z uśmiechem. Trudno było powstrzymać uśmiech. Myśl, że mężczyznę o wyglądzie Car -

sona miałyby zdenerwować obecność nieuzbrojonej kobiety, bardzo ją rozbawiła.

- Jeszcze raz przepraszam - powiedział. - Rzecz w tym, że w dzisiejszych czasach wiele młodych kobiet nosi zakamuflowaną broń.

- Ja się do nich nie zaliczam.

- To dobrze, bo musiałbym prosić, żeby zostawiła pani broń w furgonetce. Takie panują tu reguły. - Znów się uśmiechnął. Tym razem w jego głosie zabrzmiała aprobata dla jej kobiecych kształtów i delikatnych rysów twarzy. - Czy pani coś jadła?

Serena zamrugła oczami. Ten facet był cholernie przystojny, mimo że starszy od niej o dwadzieścia lat. Ogniki w jego oczach nie zestarzały się ani trochę.

- Czy jadłam? Chyba tak.

- Nie wie pani?

- Pracowałam przy krośnię. Kiedy tkam... - Wzruszyła ramionami. - Nie burczy mi w brzuchu, więc chyba musiałam coś zjeść po drodze.

- Gdy tylko przedstawię panią Warrickom, zobaczę, co mamy w kuchni.

- To nie jest konieczne, panie Carson.

- Paul. - Przepuścił ją, by weszła przed nim na szerokie marmurowe schody. - To jest absolutnie konieczne. Mam siostrzenicę w pani wieku. Czuję się okropnie, gdyby zemdląca u moich stóp, bo nie pomyślałem, żeby ją nakarmić.

- Pewnie tak właśnie czuje się Koneser.

- Koneser? - zwrócił się do Sereny, otwierając drzwi frontowe.

- Mój kot. Zawsze zostawia mi różne... smakołyki, żebym mogła sobie podjąć.

- Smakołyki? - Zamknął drzwi za sobą i swoim gościem. - Na przykład jakie?

- Widać, że nie ma pan kota.

- Nie mam.

- Koneser łapie rozmaite zwierzątka, ale zjada tylko soczyste kawałki. Dla mnie zostawia resztki.

- Fuj. Nic dziwnego, że pani nie je. Tędy, pani Charters.

- Serena.

- Serena. Niezwykle imię. Urocze.

- Słyszałam, że to bardzo stare imię. - Mówiąc to, pochłaniała wzrokiem niezwykle ryciny, malowidła, zbroje i oprawione w ramy strony z iluminowanych rękopisów wiszące na ścianach korytarza. Były znacznie ciekawsze niż dywan Ludwika XV, którego miękkość łagodziła chłód kamiennej posadzki. - Wedle rodzinnej legendy pierwsza dziewczynka urodzona w każdym pokoleniu przybiera imię Sereny. Tak jest od dwunastego stulecia.

- Do cholery, Paul, gdzie ona jest? - zapytał schrypnięty, zirytowany głos. - Prędzej chyba umrę niż...

- Jesteśmy w holu - szybko odparł Carson. Potem zwrócił się łagodnym tonem do Sereny. - Z góry przepraszam za pana Warricka. Jest nieuprzejmy, arogancki i błyskotliwy.

- Postaram się skupić na błyskotliwości.

- Wszyscy to robimy - rzekł ironicznie. - Czasami przychodzi nam to łatwiej, czasami trudniej. Proszę tędy.

Serena nie wiedziała, czy przestrzeń, w której się znalazła, była oficjalnie nazywana „wielkim salonem”, ale z pewnością zasługiwała na to miano. Pod ścianami stały francuskie i włoskie antyki, tworząc pełne wdzięku kompozycji które niejedno muzeum chciałoby mieć w swoich zbiorach. Warrickowie najwyraźniej mieli szczególne upodobanie do ozdobnych motywów, zwłaszcza złożonego brązu, który przydawał splendoru całości. Serena była pewna, że wystawiono tu najlepszą sewrską porcelaną, kryształ były ręcznie rzeźbione, a meble nosiły sygnatury najznakomitszych mistrzów epoki.

Chociaż wystrój wnętrza nie był w guście Sereny, uśmiechała się patrząc na ten przepych, podziwiała artyzm i precyzję, z jaką wykonano każdy ze sprzętów.

W pewnej chwili na przeciwległej ścianie ujrzała średniowieczny francuski gobelin i natychmiast przestała myśleć o meblach. Stopień złożoności gobelinu mógł ocenić tylko ktoś, kto sam zajmował się tkaniem; delikatny wątek, skomplikowany wzór, technika szrafowania, mieszanie kolorów w taki sposób, że wydawało się, że jest ich ponad dwieście: standardowa liczba w średniowiecznej palecie, nitki złota i srebra wplecione w cieniutką wełnę, tysiące godzin pracy i bystre oko kogoś, kto najpierw wyobraził sobie wzór, a potem nauczył innych, jak go wykonać. Jednorożec i ubrana we wspaniałe szaty dziewczyna, rycerze gotowi do bitwy, kolorowe namioty, w których dworzanie odpoczywali po posiłku złożonym z wina, sera i różnych mięs. Cała scena przedstawiała wycinek epoki, który wraz z tkaniną przetrwał aż do dwudziestego pierwszego wieku.

Humanizm gobelinu przemawiał do Sereny. Arystokrata i wieśniak, rycerz i łajdak: wszyscy pragnęli żywności, zabawy i piękna. Był to portret pełen zrozumienia dla niedoskonałości ludzkiej natury i ulotnej doskonałości mijającej chwili.

Stojąc w bezruchu chłoneła wzrokiem spłowiata, niezwykłą materię, która została utkana i ozdobiona przed kilkoma stuleciami. W milczeniu oddawała hołd dawno już nieżyjącym artystom, którzy stworzyli coś tak pięknego z motków zwykłej przędzy.

- Co stoisz jak owca oślepią przez reflektory? Przynieśże tę teczkę! Serena uświadomiła sobie poniewczasie, że w tym pokoju byli ludzie. Nie

zauważyła ich, zachwycona wspaniałościami wystroju.

- Ojciec - odezwał się ostrożny, zmęczony, kobiecy głos - nie masz powodu, aby być nieuprzejmym. Nie każdy mieszka wśród antyków, które kiedyś zdobiły zamki francuskich i włoskich królów.

- I królowych - dodała Serena, spoglądając na przeciwległą ścianę. - Ten gobelin należał do kobiety. Jest niezwykły. Jeśli nie liczyć eksponatów z Luwru, nie widziałam jeszcze tkaniny, która mogłaby się z nim równać. - Niechętnie odwróciła wzrok od fascynującego portretu dawno minionych czasów. - Nazywam się Serena Charters.

- Oczywiście, że tak się nazywasz - odparował starzec. Był chudy, ruchliwy. Miał cienkie siwe włosy i ręce, które wydawały się delikatne pomimo zgrubiałych kostek. Wyglądał raczej na

energicznego siedemdziesięciolatka niż na osobę zbliżającą się do setki. - Inna osoba nie zostałaby wpuszczona przez bramę.

- To mój ojciec, pan Warrick - Wygląd kobiety współgrał z jej głosem: miała dyskretny makijaż, umiejętnie rozjaśnione włosy; była średniego wzrostu, wykształcona, ale na luzie, bardzo nowojorska. - Nazywam się Cleary Warrick Montclair. Młody człowiek o dobrych manierach to mój syn, Garrison Montclair.

Serena skinęła głową w stronę Garrisona, który na pierwszy rzut oka wyglądał na osiemnaście lat. Dopiero kiedy podszedł, żeby się z nią przywitać, zauważyła pod jego stopami dywan z czasów dynastii Safawidów. Francuski gobelin sprawił, że nie od razu dostrzegła ten wspaniały przykład tkackiego rzemiosła. Jego kolory były wciąż żywe mimo upływu pięciu stuleci, wzory wyraziste.

- Bardzo mi miło panią poznać - powiedział Garrison.

Serena uświadomiła sobie, że zamiast zwrócić uwagę na gospodarzy, wciąż wpatruje się w dywan. To była jaskrawa nieuprzejmość. W poczuciu winy z trudem oderwała wzrok od wspaniałego dywanu i spojrzała na dłoń, którą Garrison wyciągał do niej. Potrząsając nią stanowczo, zdała sobie sprawę, że z bliska wydaje się przynajmniej o dziesięć lat starszy, niż myślała. Miał pewność siebie wynikającą z bogactwa i ekskluzywnej edukacji. Jeśli on także był arogancki, dobrze to ukrywał.

Doszła do wniosku, że w tym domu jeden arogant powinien w zupełności wystarczyć, i ta myśl trochę ją rozbawiła.

Serena wychowywała się bez mężczyzn, wydawali jej się albo zabawni albo nieznośni. Lecz także fascynujący. Byli jak duże koty. Naprawdę duże. Ale, jak babcia wielokrotnie zapewniała swoją wnuczkę, dla mężczyzn nie warto włamywać się do domów.

Serena zawsze bardzo poważnie traktowała słowa babki. Dopiero gdy dorosła, zaczęła się zastanawiać, dlaczego, skoro mężczyźni byli tak kłopotliwi, kobiety zadawały sobie tyle trudu, strojąc się i upiększając kosmetykami, żeby ich zdobyć.

Piwnie oczy Garrisona uśmiechały się do Sereny przyjaźnie. Otoczył jej dłonie ciepłymi dłońmi. Kiedy skłonił się dyskretnie, błysnęły jego lekko kręcone, kasztanowate włosy.

- Cała przyjemność po mojej stronie, pani Charters. Czy mogę mówić do pani: Sereno? - zapytał Garrison.

Zastanawiała się, czy kiedykolwiek jakaś kobieta mu odmówiła.

- Owszem, panie Warrick.

- Och, proszę - powiedział ze śmiechem. - Tutaj jest tylko jeden pan Warrick, czyli dziadek. Ja jestem Garrison, główny pacholek House of Warrick.

Cleary rzuciła synowi przeciągłe i wymowne spojrzenie, ale on je zignorował.

Serena powstrzymała uśmiech. Być może zaborcza matka była powodem, że ten czarujący młody człowiek, dziedzic fortuny, nie miał jeszcze żony.

- Dość już tych bzdur - stwierdził bezceremonialnie Warrick. - Przynieś mi te cholerne karty.

Garrison wznosił oczy do nieba, ale już nie protestował.

- Czy mogę...? - zagadnął, wyciągając rękę po teczkę.

Przez chwilę Serena zaciskała palce na skórzanej teczce. Ogarnął ją przypływ zaborczości. Z wysiłkiem rozprostowywała palce. Tak dalece posunięta ostrożność była absurdalna. Człowiek, który był właścicielem otaczających ją bezcennych wspaniałości, z pewnością nie wydarłby jej czterech arkuszy pochodzących z manuskryptu, o którym nikt nigdy nie słyszał.

- Oczywiście - powiedziała.

Przekazała skórzane portfolio i tłumaczyła sobie, że jest nienormalna, bo tłumi w sobie protest, który narastał w niej od chwili, gdy oddała kartki. Zachowywała się jak kotka, który ma tylko jedno kociątko.

Pohamowała się, by nie ruszyć za Garrisonem, który przeszedł po kosztownym dywanie i położył teczkę na zabytkowym stole przed swoim dziadkiem. Błat stołu lśnił - był pokryty mozaiką z półszlachetnych kamieni, lapisu, malachitu, kości słoniowej, hebanu, karnelianu i macicy perłowej.

Jednak sądząc po zachowaniu Warricka, dla niego stół mógłby być ulepiony z gliny.

Zadziwiająco zwinnymi palcami starzec odpiął sprzączkę teczki i otworzył ją niecierpliwie jak zwycięski rycerz, który rozkłada kobiece uda. Kiedy przewracał kolejne strony, w wielkim salonie panowała cisza.

Podniósł wzrok i przyszpilił Serenę spojrzeniem ciemnych oczu.

- Skąd je masz?

- Odziedziczyłam po babce.

Powiedział coś, czego nie była w stanie zrozumieć, a co zabrzmiało jak „gówno prawda”.

- Słucham? - odezwała się Serena.

- Gdzie reszta tych stronic?

Serena była pewna, że nie to starzec wypowiedział poprzednio, jednakże odpowiedziała mu:

- To wszystko, co mam. Prychnął.

- Akurat ci wierzę. Zapytam jeszcze raz: gdzie jest reszta tych stronic?

- Odpowiem jeszcze raz - odparła Serena z lekką irytacją w głosie. - Nie mam innych stronic.

Warrick obrzucił ją spojrzeniem oczu, które utraciły swój wyrazisty błękitny kolor, ale zachowały przenikliwość.

- Kiedy zmarła?

- Rok temu.

- Dlaczego tak długo nie oddawałaś ich do wyceny?

Serena poczuła irytację. Starła się ją stłumić, pamiętając, że Warrick ma opinię genialnego, ale też nieuprzejmego fachowca. Mimo to jednak nie widziała powodu, by opowiadać mu ponurą historię śmierci babki.

- Jestem kobietą zapracowaną - wycedziła Serena przez zęby.

- A ja jestem stary. Nie będę marnował czasu dla sprytnej młodej cizi, która chce zerować na dorobku rzekomych krewnych.

Patrzyła na niego, zastanawiając się, czy przypadkiem w starym mózgu coś się pomieszało.

- Obawiam się, że nie zrozumiałam. Prychnął pogardliwie.

- Proszę wybaczyć, że zawracałam panu głowę - dodała spokojnie. - Przedstawię te karty do wyceny komu innemu.

- Strata czasu. Oboje doskonale wiemy, jaka jest ich wartość. Ile chcesz za całość? Sto tysięcy?

- Chyba zaszło jakieś nieporozumienie. - Mówiła bardzo spokojnie i powoli, nie chcąc potwierdzać stereotypów na temat porywczosci rudowłosych kobiet. - Nie przyjechałam do pana, by je sprzedawać.

- Akurat w to wierzę - odparował Warrick. - Dwieście tysięcy. Serena popatrzyła na ludzi znajdujących się w salonie. Odwzajemnili jej spojrzenie, nie kryjąc ciekawości.

- Trzysta tysięcy. Za każdą - powiedział Warrick. - Ale za tę kwotę chcę resztę księgi. Całość, pamiętaj. Nie dam się wykiwać.

Odnosząc wrażenie, że to wszystko nie dzieje się naprawdę, Serena zwróciła się do starca siedzącego na hebanowym krześle z wysokim, rzeźbionym oparciem.

- Nie.

Na bladych, pomarszczonych policzkach Warricka wykwitły rumieńce gniewu.

- Jeśli myślisz, że możesz sobie robić...

- Jest pan zmęczony - wtrącił się Carson. Wypowiedziane chłodnym tonem słowa zagłuszyły schrypnięty głos pryncypała. - Ma pan za sobą długi dzień. Wrócimy do tej sprawy, kiedy trochę pan odpocznie.

Obaj mężczyźni przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem. W końcu Warrick, syknąwszy coś pod nosem, wstał i wyszedł z pokoju. Garrison westchnął z ulgą.

- Bardzo mi przykro, Sereno. Dziadek jest człowiekiem o bardzo zdecydowanych poglądach.

- Jest u siebie, więc może sobie na to pozwolić. - Serena podeszła do stołu i zaczęła zamykać teczkę.

- Ma pani prawo do niezadowolenia - rzekł Carson - ale niekoniecznie odbyła pani tę podróż na darmo. Mamy pokój gościnny oraz sejf, gdzie jeśli pani zechce, można umieścić teczkę. A rano wrócilibyśmy do tematu. Zapewniam, że pan Warrick będzie się zachowywał rozsądniej.

- Dziękuję, ale nie skorzystam. - Serena posłała Carsonowi wymuszony uśmiech. - Jutro mam bardzo dużo pracy.

W rzeczywistości planowała zostać w Palm Springs, porządnie się wyspać, a potem odwiedzić dom babki - teraz należał do niej - żeby zobaczyć, w jakim stanie jest po pożarze, dochodzeniu na miejscu zbrodni i roku zaniedbania.

- Pan Warrick najwyraźniej uważa, że te karty są cenne - stwierdził Carson. - Czuję się nie w porządku na myśl, że pozwalam młodej kobiecie jechać nocą samej z dziełami sztuki wartymi ponad milion dolarów. Przechowajmy je do czasu, aż pani zdecyduje się je sprzedać.

Wsunęła teczkę pod pachę i spojrzała Carsonowi prosto w jasnoniebieskie oczy.

- Brama otwiera się automatycznie, czy trzeba dzwonić?
- Odprowadzę panią - zaproponował Garrison.
- Nonsens - wtrąciła się Cleary. - Niech Paul to zrobi. - Obrzuciła teczkę spojrzeniem równie chłodnym jak jej głos. - Jeśli zmieni pani zdanie w sprawie sprzedaży kart, proszę do nas zadzwonić. Ale niech pani z tym nie zwleka. Propozycja nie będzie aktualna wiecznie.

Cleary i Garrison w milczeniu patrzyli, jak Serena opuszcza salon. Młoda kobieta szła wyprostowana, z determinacją, która sugerowała, co Serena miałaby ochotę im powiedzieć, zwłaszcza: „Idźcie do diabła!”

- Fatalnie, że dziadek był w złym nastroju - powiedział Garrison.
- Ona jest całkiem niezła. I ma ładny tyłek.
 - Przestań ciągle myśleć o seksie.
 - Nie przestanę, póki nie będę stary jak dziadek.
 - Nigdy tego nie doczekasz - powiedział stojący w wewnętrznym korytarzu Warrick. - Zadzwoń do Rarities Unlimited. Pora, by zaczęli zasługiwać na swoją zaliczkę. Ta mała suka - szantażystka jeszcze pożałuje, że ze mną zadarła.

Rozdział 8

Góry San Jacinto, czwartek, wczesny ranek

Owca gruboroga stała na suchym, skalistym grzbiecie. Z odchylonym do tyłu łbem i napiętymi mięśniami wietrzyła, czy nie ma jakiegoś zagrożenia. W powietrzu unosił się zapach człowieka, ale owca знаła tę woń i nigdy nie kojarzyła się ona małemu stadu z niebezpieczeństwem. Wręcz przeciwnie, zapach człowieka mógł oznaczać, że w pobliżu znajdzie się sól do lizania. Na pustyni sól była skarbem, równie niezbędnym do życia jak woda, pożywienie czy owce.

Baran prychnął, otarł łeb o przednią nogę, jakby chciał zdjąć z niego ciężkie, kręte rogi, i znowu zaczął skubać trawę. W pobliżu pasły się cztery owce. Pokryte wełną brzuchy samic chroniły i ogrzewały następne pokolenie.

Siedząc jakieś dwadzieścia metrów dalej Erik pośpiesznie szkicował scenę, chcąc uchwycić niepokój i pogodzenie się z losem tych dzikich zwierząt. Teren wokół był stromy, opustoszały, skalisty i suchy. A także znacznie łatwiej dostępny niż ten, gdzie owce pasły się latem. Po przejściu zimowych burz owce gruborogie zostały zmuszone do zejścia niżej. Ich ulubione miejsca były teraz skute lodem, a niedawne opady śniegu przykryły wszystko, co nadawało się do jedzenia. Jediną zapowiedzią zmiany była chmura nadciągająca znad najwyższych szczytów.

Dzisiaj deszcz spadł po drugiej stronie górskiego grzbietu: zwykle tam kłębiły się ciemne chmury, roniąc srebrzyste życiodajne łzy. Natomiast w niższych partiach po stronie Palm Springs, czyli tam gdzie rezydował Erik, brakowało wody. Trzeba było porządnej burzy, aby wiatr przemieścił chmury deszczowe nad liczącym około sześciu tysięcy metrów górskim grzbieciem.

Wiało mocno. Erik był zadowolony, że włożył dziś markową koszulę firmy Pendleton. Owce miały własną wełnę, on zaś musiał ją kupować. Uśmiechnął się na tę myśl. Skończywszy rysunek, przewrócił kartkę w szkicowniku i szybko zaczął kreślić nową scenę.

Większą część nocy spędził studiując irytująco kiepskie kopie stron z Księgi Uczonych. Niezależnie jak mocnego i jakiego rodzaju światła używał, zdołał odcyfrować tylko nieliczne frazy, napisane przez dawno nieżyjącego autora.

„Myśl, że tym razem ją zobaczę, sprawia, że czuję się jak wygłodniały wilk...

Niechaj Chrystus wybaczy...

Ja nie potrafię...

.. .przeklęta mgła, przepuść mnie!"

Na następnej stronie autor wyrażał niepokój z powodu małżeństwa młodej kobiety, Caoilfhionn z Mist, z synem Simona i Arianne, Ranulfem z Rowan. Odnotowano narodziny wnuka Dominicka le Sabre'a i Duncana z Maxwell. Za urodzaj i dobre żniwa dziękowano modlitwą. Świętowano też nadejście trzech ksiąg od pewnego normandzkiego księcia. Miejsce albo lud zwany Silverfells było przeklęte lub okryte żałobą, choć może chodziło o jedno i drugie.

Fragmenty księgi doprowadzały Erika do szału. Pracował nad nimi, póki nie rozbolały go oczy. Wpadł w zły humor. Potem sprawdził, czy nie ma nowych wiadomości od Rarities na temat pochodzenia tych stron - odpowiedź Shela była dosadna i nieprzyzwoita. W końcu zasnął.

Po trzech godzinach obudził się, czując przyptyw adrenaliny. Śniło mu się, że lata jak sokół wędrowny, krąży jak pies gończy, trzymając się fiołkowookiej czarodziejki, która nagle wybuchła pozbawionym ognia płomieniem. Kolory były wyraziste, Erik rozpoznał też język, jakim posługiwano się w tym śnie, ponieważ sam się w nim specjalizował: dwunastowieczny brytyjski, stanowiący mieszaninę normandzkiego, francuskiego, anglosaksońskiego i swobodnej gwary, która ostatecznie stała się angielszczyzną.

Zbyt niespokojny, by ponownie zasnąć, wyjął z szafy sportową odzież i udał się w góry San Jacinto. Iluminowane manuskrypty były jego pasją i profesją; rysowanie ginących owiec rasy gruborogiej stanowiło hobby i formę relaksu. Przed świtem potrzebował i jednego, i drugiego.

Spojrzał w niebo, po czym wrócił do szkicowania. Nie sądził, że owce przetrwają do czasów, kiedy jego własne dzieci będą tak duże, by wspinać się po stromiznach pustynnych gór. Oczywiście, o ile w ogóle będzie miał dzieci. Skończył trzydzieści sześć lat, ale ojcostwo było teraz równie odległe jak w czasach, kiedy miał lat szesnaście. Nigdy nie myślał, że sprawy tak się ułożą. Jeżeli w ogóle w młodości poświęcał tej kwestii uwagę, zakładał, że będzie miał potomstwo,

które połączy go z nieznaną przyszłością, tak jak przodkowie łączyli go z nieznaną przeszłością.

Jednak mijały lata i nic się nie zmieniało prócz jego wieku. Musiał brać pod uwagę i tę możliwość, że w ogóle nie będzie miał dzieci. Z każdym mijającym rokiem stawał się coraz bardziej wymagający. Kobiety, które zainteresowałyby go dwadzieścia lat wcześniej, teraz wydawały się dziecinne. Dwudziestoparolatki, które poznawał, były albo zamężne albo pochłonięte swoimi karierami. Trzydziestoparolatki - często udręczone albo zgorzkniałe po rozwodzie - całkowicie poświęcały się pracy zawodowej albo interesowała je wyłącznie niezobowiązująca przygoda.

Erik nie należał do mężczyzn o małych wymaganiach. Szukał kobiety inteligentnej, pełnej pasji, uczciwej, dostatecznie silnej, by być dobrą partnerką, której zależałoby na stworzeniu razem z nim prawdziwego związku. Spotkał wiele kobiet, które miały którąś z tych cech. Raz nawet znalazł taką, która miała ich więcej, lecz była zainteresowana wyłącznie jego umysłem.

Złocisty orzeł sfrunął z góry, wytrącając Erika z tych niewesołych rozmyślań. Chwilę później z kryjówki wyskoczył królik i zaczął kluczyć zygzakiem pośród skał. Orzeł nie zdołał pochwycić zdobyczy; albo się spóźnił, albo za bardzo mu na niej zależało. Wydał krzyk, ogłaszając niebu swą porażkę.

Erik zagwizdał, naśladując krzyk rozwścieczonego orła. Drapieżnik zatoczył w powietrzu krąg, kierując wzrok w dół, jakby chciał rozpoznać swego rywala. Erik gwizdnał jeszcze raz. Teraz nie była to zawziętość, raczej pytanie niż zapowiedź ataku. Orzeł odpowiedział w podobny sposób, zakreślił nad Erikiem koło, a potem machając potężnymi skrzydłami pofrunął wyżej. Gwizd, jaki dał się słyszeć na ziemi, zabrzmiał jak pożegnanie.

Wibrowanie pagera, jaki Erik miał w kieszeni, było niewątpliwie sygnałem powitalnym.

Najchętniej by go zignorował, ale jego szefowie w Rarities należeli do wąskiego grona osób dysponujących tym numerem. Jeśli chcieli rozmawiać - zwłaszcza o kartach z Księgi Uczonych - był gotów ich wysłuchać. Te kopie dręczyły go całą noc. Śnił, że litery szepczą, zdradzając sekrety z przeszłości.

Potem śniły mu się mgły i lasy, pies gończy i sokół, który zastępował mu wzrok.

Uśmiechając się na myśl o swojej bujnej, inspirowanej średniowieczem wyobraźni, wcisnęła klawisz pagera. Na wyświetlaczu aparatu pojawił się jeden z numerów Dany Gaynor w Rarities Unlimited. Poruszając się wolno i ostrożnie, by nie przestraszyć owiec, Erik sięgnął do plecaka i wyciągnął aparat będący skrzyżowaniem komórki i komputera. Kciukiem uruchomił pierwszy numer w pliku szybkiego wybierania.

Dana podniosła słuchawkę po pierwszym dzwonku.

- Dzień dobry, Erik. Możesz rozmawiać?

- Owce jeszcze mnie nie sprzedały.

- Boże, czyżbyś znowu robił numer ze swoimi górskimi kozłami?

- Owcami, Dana. W południowej Kalifornii nie ma górskich kozłów.

- Owce, kozły, nieważne. Wszystkie mają kopyta i śmierdzą. Roześmiał się cicho. Dana podchodziła pedantycznie do wszelkich szczegółów, jednakże dzika przyroda nie była jej mocną stroną.

- Mam nadzieję, że dzwoniś w sprawie kart, które Serena Charters przysłała na mój domowy adres.

- Zgadza się. Twoje prywatne poszukiwania zostały upublicznione. Serce szybciej mu zabiło.

- Jak to?

Dana zignorowała pytanie, woląc realizować własne cele.

- Czy prośba do działu badań o zbadanie pochodzenia kart twojego manuskryptu jest częścią twoich prywatnych poszukiwań?

- Tak.

- W takim razie odbywa się na koszt firmy - stwierdziła z ironią.
- To znaczy, House of Warrick.

Erik myślał szybko. Serena go nie wynajęła; złożyła tylko zapytanie. Gdyby wybrała go do dokonania wyceny, to i tak nie wystąpiłby konflikt interesów. Wszystko, czego się dowiadywał podczas wykonywania badań dla Rarities, wzbogacało jego fachową wiedzę, a przecież właśnie za tę wiedzę płacili Serena i Warrick.

- Staruszek nie może się zdecydować, czy karty warte są wyceny?

- Paul Carson ci to wyjaśni. Garrison i Cleary Warrick Montclair prawdopodobnie również tu będą.

- Tutaj, czyli w głównej siedzibie Rarities w Los Angeles?

- Tak. Dziesiąta rano.

- Dzisiaj?
- A jak ci się zdaje? Staruszek ma prawie sto lat.
- Chyba nie zdążę przed drugą, nawet jeśli autostrady będą puste.

A nie będą.

- Helikopter przyleci po ciebie o dziewiątej.

Erik aż gwizdnął z wrażenia. Ostatni raz leciał helikopterem Rarities towarzysząc dożywotniemu prezydentowi pewnego małego afrykańskiego kraju. Wielką pasją, ale i powodem ostatecznego upadku owego prezydenta były iluminowane manuskrypty. Wydawał na nie pieniądze przeznaczone na pensje dla wojskowych, amunicję, a także na wręczanie całkiem jawnie łapówki.

- Faktoid jest teraz głównym pracownikiem działu badań - ciągnęła Dana. - Shel ma mnóstwo roboty przy ściganiu jakiegoś cholernego starego mistrza na przestrzeni czterech wojen.

- Faktoid? Mam to traktować jako pochlebstwo czy powód do zmartwienia?

- Traktuj, jak chcesz, byleś się nie spóźnił.

Rozdział 9

Los Angeles, czwartek, późny ranek

Helikopter prowadzony umiejętnie przez pilota, krążył spokojnie jak sokół. Erik zastanawiał się leniwie, czy takie przeloty były źródłem obrazu, jaki regularnie pojawiał mu się we snach. W końcu jednak doszedł do wniosku, że jest to raczej sprawa jego wyobraźni. Jeszcze zanim zaczął latać swoim pierwszym helikopterem, często śnił, że frunie jak sokół albo biegnie jak pies.

W końcu jednak Los Angeles stanowił przeciwieństwo spowitych mgłą dębowych lasów i dzikich łąk smaganych wiatrem i deszczem. Wzgórza LA obrastały domy i eukaliptusy. Zamiast wilków słyszało się tu kojoty, których wycie dobiegało z miejsc, gdzie pojemniki ze śmieciami czekały przy krawężnikach na wywóz. O zagrzewającym krew pościgu za łosiem przez prastare dębowe lasy już dawno wszyscy zapomnieli.

Zabudowania Rarities Unlimited wcinały się w zbocze wysoko ponad betonową dżunglą. Zlokalizowana była korzystnie na styku dzielnic mieszkaniowej i handlowej. Bardziej przypominała apartamentowiec niż biuro. Siedzibę firmy urządzono jak kampus małej, bardzo ekskluzywnej uczelni, pięć budynków łączyły pasáže. Żaden z nich nie przekraczał trzech pięter. Wszystkie, oprócz jednego, były wtopione w otoczenie zaprojektowane na japońską modłę: spokój i wiecznie zielone rośliny, głązy przypominające rzeźby, cichy szum wody ściekającej po ciemnych kamieniach.

Odstępstwo tego stylu stanowił dom Nialla otoczony wiejskim ogródkiem. W każdej porze roku kwiaty pięły się tu w górę, osiągały imponujące rozmiary, rozrastały się w kępy i beztrudnie pieniły się wokół domu z drewna i szkła. Wśród kwiatów rosły zioła, o które Niall i Daria toczyli wieczny spór. On twierdził, że nie ma z nich żadnego pożytku. Ona upierała się, że stanowią jedyny użyteczny element całego ogrodu.

Pilot obniżył lot, helikopter siadł na lądowisku tak delikatnie, jak motyl na kwiatku. Lany Lawrence służył kiedyś w piechocie morskiej, był strażakiem w Krajowej Służbie Leśnictwa i reporterem drogówki dla KCLA. Potrafił wykonywać tą maszyną najbardziej skomplikowane sztuczki.

- Czekają w sali konferencyjnej Dany - powiedział Larry.
- Kto jest?

- Przywiozłem Garrisona i Cleary Warrick Montclair. I wieżę Eiffla.

Larry miał mniej niż metr siedemdziesiąt wzrostu. Z zasady nie lubił naprawdę wysokich mężczyzn. Erik, mając nieco ponad metr osiemdziesiąt, jeszcze się mieścił w granicach tolerancji Larry'ego. Paul został wybrany do służby w Secret Service, ponieważ kolejni prezydenci mieli ponad metr osiemdziesiąt. Charles de Gaulle dawno temu stwierdził, że wysocy ochroniarze doskonale przyjmują kule przeznaczone dla wysokich prezydentów. Larry kiedyś chciał zostać prezydenckim ochroniarzem w Secret Service, ale dokonał mądrego wyboru i zaciągnął się do piechoty morskiej.

- Nigdy nie wybaczyłeś Carsonowi, że dostał robotę, o której marzyłeś, prawda? - zagadnął go Erik.

- Im są wyżsi, tym krótszy mają interes - odparował Larry.

- Mówisz tak, żeby się pocieszyć.

Erik zerwał z głowy słuchawki, chwycił kopertę z odbitkami stron z Księgi Uczonych i szybko wyskoczył z helikoptera, żeby nie słyszeć riposty Larry'ego, która z pewnością była soczysta. Komandosi kleli jak marynarze, którymi kiedyś chcieli być, nawet jeśli w rzeczywistości byli pilotami helikopterów.

Larry wyrównał rachunki: wystartował tak energicznie, że Erik zachwiał się, z trudem utrzymując równowagę na swoich wielkich stopach.

Niall poczekał, aż tuman kurzu opadnie, i podszedł do gościa. Był ubrany podobnie jak Erik: wygodne dżinsy, wygodne buty i czysta koszula z długimi rękawami zakasany do łokcia. Jeżeli tego ranka włożył marynarkę, zapewne teraz wisiała na oparciu krzesła.

- Ile razy mam ci powtarzać, chłopie? - zapytał Niall, ściskając rękę Erika. - Nigdy nie wkurzaj niskiego pilota.

- Albo wysokiego, skoro o tym mowa. Co tu robisz? Dołączyłeś do obozu Pluszaków?

- Ktoś musi utrzymywać przy życiu te kochane, delikatne istotki.

Erik przekrzywił głowę i spojrzał w niebieskozielone oczy Nialla.

- Coś się dzieje?

- Chciałbym, żeby tak było. Ale jeśli zrobi się spokojniej, zapadnę w śpiączkę.

- A co ze starym mistrzem, którego pilnowałeś w jednej z separetek? - zapytał Erik. Miał na myśli specjalne pomieszczenie, w

którym potencjalni nabywcy, sprzedawcy i inne zainteresowane osoby spotykały się, by rozmawiać o interesach. To była jedna z najpopularniejszych usług Rarities Unlimited - neutralne miejsce, gdzie można było oglądać bezpiecznie bezcenne dzieła sztuki.

- Ten van Dyck? - Niall wzruszył ramionami. - Wrócił do pierwotnych właścicieli.

- To fatalnie.

Niall wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wcale nie. Patrick stwierdził, że na tym bękartcie farba ledwo wyschła. Mówił o Patricku Marquette, który preparował wiele obrazów dla Rarities

Unlimited.

- Co minutę jakiś się rodzi. - Erik powiedział ironicznie.

- Optymista. Mnie się wydaje, że frajer rodzi się co sekundę.

- Przynajmniej masz ruch w interesie.

- Idioci. Nigdy nie są w stanie pojąć, że jeśli coś brzmi zbyt dobrze, żeby mogło być prawdą, to na pewno jest kłamstwem.

Niall otworzył szklane drzwi. Były kuloodporne, jak wszystkie tafle na zewnątrz - i większość wewnątrz - na terenie siedziby Rarities Unlimited. Dana była przeciwna temu pomysłowi do momentu, gdy jakiś narkoman z pistoletem urządził polowanie na byłą dziewczynę, do której miał zadawnioną urazę, a która pracowała na pół etatu dla Rarities. Zanim Niall zdołał rozbroić napastnika, pokaleczył się odłamkami. Tydzień później zainstalowano szyby kuloodporne. Niall nigdy potem nie wspominał o sprawie. Dana też.

- A co z kolorowymi kopiami, które przesłała ci Serena Charters? - zapytał Niall, zerkając na dużą kopertę. - Masz je ze sobą?

Erik skinął głową.

- Nadal ci się podobają? - zapytał Niall.

- Tak.

- Ciekawe.

- Dlaczego?

- Niech ci Dana powie.

Erik w zdumieniu uniósł brwi, ale nie odezwał się słowem.

Dana czekała w swoim gabinecie, z którego rozciągał się widok na ogród i na miasto. Kiedy obaj mężczyźni weszli do środka, spojrzała na swój duży złoty zegarek.

- Nie moja wina - powiedział Erik. - Ruch powietrzny na trasie do LA jest równie fatalny, jak na autostradach.

- Sam wyruszyłeś w pogoń za kozłami.

- Owcami - cierpliwie poprawił ją Erik.

- Nieważne - stwierdziła Dana lekceważącym tonem. - Wszystkie mają futro.

- Raczej wełnę - odparł Erik, na pół serio. Niall roześmiał się szyderczo.

Dana spojrzała na Nialla swymi łagodnymi, ciemnymi oczami.

- Zabij go.

- Przed czy po rozmowach z klientami? - zagadnął Niall.

- Jasna cholera - warknęła.

- Ja też cię kocham - odparł Erik. Skrzywiła się.

- Co wiesz o Normanie Warricku?

Erik zdążył przywyknąć, że Dana ni stąd, ni zowąd zmienia temat rozmowy.

- Więcej, niż sobie wyobrażasz.

- Czy jest tak dobry, jak głosi fama? - zagadnęła.

- Czy mówimy o jego fachowości związanej z wyceną?

- Nie interesuje mnie jego sprawność seksualna, nie musisz robić z niego świętego - odparła zniecierpliwiona. - Po prostu: czy jest dobry, czy tylko jedzie na dawnej renomie?

- Słyszałem, że wzrok mu nadal służy, umysł także funkcjonuje sprawnie. Toteż wciąż zalicza się do grona najlepszych na świecie ekspertów od wyceny iluminowanych manuskryptów, a szczególnie piętnastowiecznych francuskich rękopisów.

- Lecz nie dwunastowiecznych celtyckich manuskryptów w stylu insularnym?

- Jest równie dobry jak parę innych osób, które przychodzą mi na myśl.

- A co z tobą?

Erik spojrzał ostro na drobną brunetkę, która wydawała się zbyt delikatna, żeby zachowywać się tak stanowczo i bezpośrednio, chociaż wiedział, że bywa nieugięta. A także bardzo bystra.

- Dobrą opinią cieszy się od dawna, zresztą na całym świecie. Natomiast ja, jeśli chcesz wiedzieć, dopiero zbliżam się do punktu, w którym moje nazwisko będzie figurowało na liście ekspertów od celtyckich manuskryptów w stylu insularnym.

- Chcę wiedzieć, kto będzie miał rację - on czy ty? - zapytała bezceremonialnie.

- To rzeczywiście bardzo ciekawe.

Niall wybuchnął głośnym śmiechem.

- Chłopie, nie pasujesz do Pluszaków.

- Wypchaj się - zastrzegła szybko Dana. - Nie dostaniesz go.

- Jeżeli zawałę sprawę - zwrócił się Erik do Nialla - jestem twój.

Dana rzuciła Niallowi mordercze spojrzenie, włożyła marynarkę z brązowego jedwabiu na perłowoszary sweter, wygładziła pasujące do kostiumu spodnie i powiedziała:

- Nie zawał sprawy. Jesteś jedynym naszym ekspertem od manuskryptów mówiącym po angielsku.

To rzekłszy, wyszła z pokoju. Mężczyźni udali się za nią korytarzem, na którego ścianach wisiały zdjęcia dokumentujące ich najbardziej spektakularne znaleziska. Wśród prac, które Erik cenił najwyżej, był kilim pochodzący z dwunastowiecznej Brytanii; skomplikowany wzór przyprawiał o zawrót głowy, a przy tym fascynował. Każdy widział w nim coś innego. Bezcenna tkanina została odkryta na pchlim targu. Rarities potwierdziła jej autentyczność.

Wysokie obcasy Dany rytmicznie stukały w podłogę. Chociaż stawiała kroki krótsze niż jej towarzysze, nie zostawała w tyle. Poruszała się tak, jak myślała: szybko i pewnie. Starsza od niego o dziesięć lat, była szefem Erika. Nie interesował jej jako mężczyzna, Erik jednak nie mógł pohamować podziwu na widok rytmicznego, bardzo kobiecego ruchu jej bioder pod dopasowanym jedwabnym żakietem. Sposób, w jaki chodziła, mógł roztopić stalową płytę.

- Patrz, gdzie idziesz, chłopie - cicho zwrócił mu uwagę Niall - a nie, gdzie przed chwilą była.

- Ten widok jest lepszy.

- Cicho, dzieciuchy - powiedziała szorstko Dana. - Pora na show.

Rozdział 10

Cleary, Garrison i Paul siedzieli przy okrągłym, stalowym, ośmioosobowym stole konferencyjnym. Filiżanki z gorącą kawą i talerze pełne wybornych ciasteczek i biszkoptów, stanowiły dowód, że asystent Dany dobrze się spisał.

Dana przedstawiła Erika klientom. Jeden rzut oka wystarczył, by stwierdził, że Cleary ma na sobie drogie, ale niezbyt gustowne ciuchy, podobnie zresztą jak jej syn. Paul był lepiej ubrany. Jeśli mógł sobie pozwolić na garnitur za cztery tysiące dolarów i mokasyny za tysiąc, to dziś ich nie włożył. Jego lekko szpakowate włosy były starannie przystrzyżone. Fryzura Garrisona miała w sobie coś z hollywoodzkiej fantazji. Włosy Cleary, przyprószone siwizną, sięgały do ramion i były ułożone w stylu, który bardziej pasował do rówieśniczki jej syna. Ale w południowokalifornijskim społeczeństwie, mającym obsesję na punkcie ciała, wiele kobiet ubierało się tak, jakby były o jedno lub dwa pokolenia młodsze. Niektóre z nich nawet wierzyły, że tak jest naprawdę.

Na dyskretny znak Dany Niall usiadł na swoim miejscu: na krześle pod ścianą, skąd miał widok na drzwi.

- Dziękuję, że tak szybko zgodziliście się z nami spotkać - rzekł Paul. Cleary spojrzała na szefa ochrony Warrick tak, jakby chciała powiedzieć,

że dostatecznie dużo płacą Danie za przywilej bywania w ich towarzystwie, że nie muszą okazywać jej uprzejmości. Roczna stawka wypłacana Rarities Unlimited przez House of Warrick co najwyżej zapewniała firmie obecność w napiętym kalendarzu Rarities; jeśli dochodziło do konkretnych zleceń, czasami wydatki rosły w błyskawicznym tempie. Oczywiście, efekty także bywały imponujące.

- Cała przyjemność po naszej stronie - powiedziała Dana z ożywieniem. - Mówiliście państwo, że to sprawa niecierpiąca zwłoki.

Garrison wpatrywał się w czubki swoich drogich butów. Wyraz malujący się na jego przystojnej twarzy sugerował, że młodzieniec sam już nie jest pewien, czy to spotkanie było istotnie tak pilne.

- Pan Warrick - oznajmiła Cleary - nalegał, żeby sprawa została załatwiona jak najszybciej.

Dana nie była tym zaskoczona. Ktoś, kto zbliżał się do setki, nie ma czasu na czekanie. Zresztą, cierpliwość nie leżała w naturze pana

Warricka. Powinien był urodzić się imperatorem, bogiem albo carem. Tyranizowanie ludzi stanowiło jego zupełnie naturalny odruch.

- Pewna młoda kobieta przesłała panu Warrickowi do wyceny kopie czterech stron z rzekomo oryginalnego iluminowanego manuskryptu - wycedziła sztywno Cleary.

- Rzekomego? - wtrącił Erik.

Cleary rzuciła mu zniecierpliwione spojrzenie.

- Dobrze pan słyszał. Rzekomo. Mogę kontynuować?

- Oczywiście - mruknął. Najwyraźniej nie tylko stary Warrick był w gorącej wodzie kąpany.

Cleary westchnęła nerwowo. Na moment nawet spuściła głowę. W końcu zwróciła się do Erika.

- Przepraszam. Byłam bardzo zdenerwowana. Prawdę mówiąc, mój ojciec wpadł w furję, co w jego wieku jest wyjątkowo niebezpieczne. Ze względu na stan zdrowia spokój jest dla niego konieczny.

- Na czym dokładnie polega problem? - zapytał Erik.

- Tamta kobieta próbowała mu sprzedać fałszywe stronicie.

Erik czekał. Ponieważ Cleary nie dodała nic więcej, odezwał się ostrożnie:

- Przecież na pewno takie rzeczy już nieraz się zdarzały.

- Tak. Oczywiście. - Cleary popatrzyła na swoje pomalowane paznokcie takim wzrokiem, jakby widziała je pierwszy raz w życiu. Jej spojrzenie sugerowało, że to, co zobaczyła, nie przypadło jej do gustu. - Pan Warrick, mój ojciec, od czasu do czasu jest nagabywany przez takie osoby.

- Dzięki czemu powiększa się moja kolekcja - rzekł z uśmiechem Garrison.

Cleary westchnęła.

- Mój syn kolekcjonuje sfalszowane przedmioty. Upiera się, że to również jest sztuka.

- Jeśli się nad tym głębiej zastanowić - powiedział Garrison, pochylając się nieco - nie ma żadnej różnicy między dobrze wykonanym...

- Nie teraz - przerwała mu matka. - To nie jest odpowiedni moment na twój wykład o rzeczywistości, oczekiwaniu i postpostmodernizmie.

Uśmiechnął się, jakby sam sobą rozbawiony.

- Przepraszam. Czasami nie umiem się pohamować. Chciałbym mieć kartki Sereny w swojej kolekcji. Oczywiście nie za cenę, jakiej żąda. Sfałszowane dzieła mają to do siebie, że kiedy ich nieautentyczność zostanie odkryta, od razu robią się tańsze.

- Chce pani, żebyśmy udowodnili, że te kartki są fałszywe, żeby mogła je pani kupić na korzystnych warunkach? - zapytał obojętnym tonem Erik.

- Dowód nie jest wymagany - wyjaśnił Garrison. - Dziadek na ich widok dostał szału. Nienawidzi oszustów tak, jak niektórzy ludzie nienawidzą węży. Rozumie pan, taka fobia.

- Pan tej fobii nie podziela - zauważył Erik.

- Ani trochę - odparł Garrison, szczerząc zęby w uśmiechu. - Myślę, że Hiszpański Fałszerz jest jednym z wielkich artystów końca XIX i początku XX wieku.

Erik uniósł brwi. On również miał słabość do Hiszpańskiego Fałszerza, ale tylko dlatego, że jego miniatury były malowane na wcześniej używanym pergaminie. Niektóre z tych kart pochodziły z Księgi Uczonych. Głośno powiedział jednak tylko:

- To musi wywoływać w domu poważne spory. Garrison wybuchnął śmiechem.

- Chyba pan żartuje. Jeszcze rozbiłby coś cennego. W domu o swoim hobby nie rozmawiam.

- Skoro jest pan pewien, że te karty są fałszywe, do czego potrzebuje pan Rarities? - zagadnął Erik.

- Dziadek— odparł krótko Garrison. - Powiedział, że chce, by znikły z rynku. Jakoś nie możemy mu tego wyperswadować.

- Nasze usługi nie obejmują konfiskaty - rzekł Niall.

Cleary drgnęła, jakby zapomniała o jego obecności. Co zresztą nie było takie trudne. Jak na wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę, Niall, jeśli mu na tym zależało, potrafił zajmować bardzo niewiele przestrzeni.

- Nie zależy nam na tak drastycznych posunięciach - rzekł Paul z uśmiechem. - Próbowaliśmy kupić te karty, ale panią Charters zirytowało bezceremonialne zachowanie pana Warricka i odjechała. Wielokrotnie dzwoniłszy do niej do domu, ale nie odbierała. Postanowiliśmy przekazać całą sprawę wam.

Niall zerknął na Danę.

- A więc państwo sobie życzą, aby Rarities odszukała panią Charters i w waszym imieniu wynegocjowała zakup kart, które pani Charters wam przywiozła? - zapytała Dana. - Czy dobrze zrozumiałam?

- Dobrze - odparła Cleary. Spojrzała na Nialla. - Zdaje mi się, że takie zadanie mieści się w profilu działania firmy.

- „Kupujemy, Sprzedajemy, Wyceniamy, Chronimy”. - Niall zacytował motto firmy.

- Dokładnie - stwierdziła Dana. - Jaki jest górny próg cenowy pana Warricka za te strony?

- Nie mówił o tym - wtrącił Paul, uprzedzając Cleary. - Był naprawdę bardzo rozsierdzony.

- Jego rozsierdzenie jest warte milion dolarów? - zapytał sucho Erik.

- Dwa miliony. Trzy. Ile będzie trzeba. - Cleary łamał się głos. - Tu nie chodzi o interes. To kwestia życia i śmierci. Mojego ojca.

Rozdział 11

Dana czekała, aż do jej uszu dotrze dźwięk startującego helikoptera, który miał odwiedzić Cleary Warrick Montclair i jej towarzyszy do Palm Desert. Dopiero kiedy upewniła się, że wzbił się w powietrze, sięgnęła po kopertę przyniesioną przez Erika.

- Czy to oznacza, że mam wracać do domu na piechotę? - zapytał, patrząc przez okno, jak helikopter zatacza szeroki łuk.

- Może skończę z tobą, zanim Larry wróci - powiedziała, układając kolorowe kopie.

- To brzmi groźnie - zauważył Erik, zwracając się do Nialla.

Chrząknął.

- Podobają ci się te karty?

- A komu by się nie podobały? - odparła Dana, patrząc na stronicę. - Kopie są okropne, ale oryginały mogą być piękne.

- Robota Hiszpańskiego Falszera też była piękna - zauważył Erik.

- Kim on był? - zapytał Niall.

- To mogła być ona. Tego nie wie nikt. - Erik wzruszył ramionami. - Specjalnością Hiszpańskiego Falszera było usuwanie tekstu z autentycznego starego pergaminu, malowanie a potem sprzedaż miniatur niby wyjętych ze starych ilustrowanych manuskryptów.

- Usuwanie? W jaki sposób? - zapytał Niall.

- Stosował wiele metod. Czasami usuwał dawne słowa i malował miniaturę na takim „wydrapanym” pergaminie. Czasami wycinał prostokątny, pozbawiony ornamentów kawałek marginesu starego chorału i malował na nim bardzo wymyślny inicjał. W rezultacie ten skrawek papieru wyglądał tak, jakby został wycięty ze starej Księgi Godzinek albo Psalterza.

- Na co się przydawał sam inicjał? - zapytał Niall.

- W epoce wiktoriańskiej panowała wielka moda na elementarze, w których słowa składały się wyłącznie z wymyślnych inicjałów, uprzednio wyciętych ze starych manuskryptów.

- Chcesz powiedzieć - skrzywiła się Dana - że dla jednej ładnej litery niszczone piękne księgi?

Erik spojrzał na kartę, którą mu wskazała. Trzeba było dobrego oka i jeszcze lepszej wyobraźni, żeby zobaczyć wypełniające stronę czyste, równe kolumny wykaligrafowanych znaków. Jedyne

wytchnienie dawała drukowana litera T o rozmiarach dłoni, składająca się ze splecionych ze sobą smoków, których ślepie, szpony i łuski prawdopodobnie były ozdobione złotem; na kopii ten kolor przypominał raczej żółtawy brąz. Jak zwykle w przypadku ilustrowanych manuskryptów, bogato zdobiony i pozłacany inicjał zwiastował początek ważnego fragmentu: „Myśl, że tym razem ją zobaczę, sprawia, że...” Pomysł, że Erik Uczony mógł zaaranżować spotkanie z tajemniczą czarodziejką kochanką i wrogiem, zaintrygował jego imiennika. Te słowa aż pulsowały emocjami, ale nie dało się z nich wywnioskować, czy takie spotkanie odbyło się w przeszłości, czy dopiero miało się odbyć, czy też istniało wyłącznie w umyśle skryby.

- Tak właśnie postępowali fałszerze - wyjaśnił Erik Danie. - Nie umieli czytać tekstów starołacińskich, a tym bardziej pisanych w potocznym języku tamtej epoki. Niewielu ludzi to potrafiło, a wśród nich ci, którzy kupowali ilustrowane manuskrypty. Jeszcze mniej osób potrafiło odczytać komentarz wulgatą między wierszami i na marginesach.

- Wulgarnie komentarze? - zagadnął Niall, który po raz pierwszy wydawał się zainteresowany słowami Erika.

Dana poczęstowała go spojrzeniem, które wypaliłoby dziury w stalowej płytce o grubości pięciu centymetrów.

- Wulgata - powiedział Erik. - Ten sam rdzeń. I prawie to samo znaczenie. Pospolita albo nieokrzęsana, łacina była językiem edukacji i pisania. Angielski był uważany za język wulgarny, język prostaków.

- I nadal bywa - rzekł Niall.

- W twoich ustach z całą pewnością - orzekła Dana.

- Przestań, ranisz moje pluszakowe uczucia - powiedział Niall.

- Wpierw musiałabym je odnaleźć.

- Szukaj, kiedy tylko zechcesz, kochanie. Pora nie gra roli.

Starła się nie uśmiechać. Przegrała. W Niallu lubiła między innymi to, że nie bał się jej ostrego języka i błyskotliwego umysłu. A ona nie czuła się onieśmielona jego inteligencją, siłą i zgubnymi talentami. Od czasu do czasu strasznie się ze sobą kłócili, ale jednocześnie bardzo się nawzajem szanowali.

- Zaczęłeś o czymś mówić? - Niall zachęcał Erika.

- Elementarze - podsunęła Dana.

Erik nawet nie mrugnął okiem. Przywykł do pełnych dygresji rozmów, jakie w siedzibie Rarities Unlimited uchodziły za poważne rozmowy o interesach.

- Pod koniec XIX wieku, kiedy tacy przedsiębiorcy jak J. Pierpont Morgan kupowali dzieła sztuki na tony, żeby utwierdzić swoją pozycję w społeczeństwie, ilustrowane manuskrypty w całości lub w malutkich częściach stały się szalenie modne. Morgan kupował je na kilogramy. Autorem wielu z nich był Hiszpański Falszerz.

- Chcesz powiedzieć, że stary lis kupił wiele falsyfikatów? - zapytała Dana, uśmiechając się na myśl o takiej możliwości.

- Kupował to, co w tamtym czasie było dostępne. Prace Hiszpańskiego Falszerza stanowiły pokaźną część rynkowej oferty. Ciekawe, że w dzisiejszych czasach prace Hiszpańskiego Falszerza również są kolekcjonowane. Był - może była to kobieta - artystą. Nie umiał czytać po łacinie - jego miniatury nie pasowały do znaczenia słów, jakie zachowały się na stronicach - ale same obrazy były naprawdę piękne.

- Zatem nie chodzi tu o coś, co mogłoby wywołać u kogoś atak serca? - mruknął Niall. - Róża, która jest nazywana inaczej, w dalszym ciągu ma kolce. Gdyby Waniek dał się nabrać na te rzeczy - powiedział, wskazując na karty - potrafiłbym zrozumieć jego furję. Ale przecież nie dał się nabrać. Więc o co tak naprawdę mu chodzi?

- To bez znaczenia - natychmiast odrzekła Dana. - Ludzie okłamują samych siebie, a co dopiero innych ludzi. Gdybyśmy przed podjęciem działań musieli znać motywacje wszystkich naszych klientów, wylądowalibyśmy po uszy w bagnie. Dlatego zadbałam, żeby nas wynajęto do wykonania konkretnego zadania: mamy próbować kupić te karty dla House of Warrick. Dlaczego Warrickowie chcą je zdobyć, to już ich problem.

- Który w końcu stanie się naszym problemem - zawyrokował Niall.

- Kiedy przejdziemy ten most, spalimy go. Jeśli uda się go przejść. - Popatrzyła na niego w sposób, który onieśmiałał mniej odpornych mężczyzn. - Chwilowo nie życzę sobie, żeby twój pokręcony, paranoiczny, wojskowy umysł schrzanił proste, zyskowe zlecenie.

- Pokręcony? - zagadnął Niall, rozkoszując się każdą sylabą. - Czy w taki sposób Pluszaki określają błyskotliwość?

- A jeśli te karty są prawdziwe? - zapytał szybko Erik, blokując pełną furią dyskusję swoich szefów, którzy słynęli z tego, że nie przebiegali w słowach.

Być może Niall i Dana traktowali tego rodzaju wymianę zdań jako coś odświeżającego, ale słuchacze woleli czmychać najbliższym wyjściem.

- A są? - Dana zwróciła się do Erika.

- Nie będę miał pewności, póki nie zobaczę oryginałów, ale gdybym miał wyrazić opinię już teraz, powiedziałbym, że są prawdziwe. Kaligrafia z pewnością jest z tamtej epoki. A jeśli ilustracje odpowiadają treści tekstu... - Wzruszył ramionami. - Dostarczcie mi oryginały. Wtedy wam powiem, czy są prawdziwe czy sfałszowane.

- Jasna cholera - powiedziała Dana. - To może skomplikować naszą sytuację. House of Warrick uważa, że te karty są falsyfikatami. Jeśli będziemy się upierać, że są autentyczne, mogą się na nas wkurzyć.

Milczała jakiś czas, stukając opuszkami palców w połyskujący klonowy blat konferencyjnego stołu. Nie było to chaotyczne bębnienie palcami sygnalizujące zniecierpliwienie, raczej skomplikowane ruchy kogoś, kto często grywał na flecie.

Erik czekał.

Niall również czekał. Wprawdzie lubił się droczyć z Daną przy każdej możliwej okazji, ale żywił głęboki szacunek dla jej inteligencji. Była Pluszakiem z wyboru, nie dlatego że brakowało jej zdecydowania i pragmatyzmu, który umożliwiał trzeźwe patrzenie na świat.

- Jeżeli te karty są prawdziwe, oczywiście będziemy je chronić - powiedziała. - Jesteśmy winni lojalność sztuce, a nie klientowi. House of Warrick zdaje sobie z tego sprawę równie dobrze jak my. Ta klauzula znajduje się w umowie, którą co roku podpisują z Rarities Unlimited.

- To dobrze - stwierdził lakonicznie Erik.

- W przeciwnym razie miałeś zamiar zająć się tą sprawą jako wolny strzelec, czy o to chodzi? - zapytał Niall.

Erik skinął głową.

- Pamiętajcie, że Serena Charters skontaktowała się ze mną?

- Byłeś zainteresowany z ogólnych powodów, czy ze względów osobistych? - zapytała Dana.

- Jedno i drugie.

- Czy występuje konflikt interesów, zważywszy zlecenie klienta? - naciskała.

- Wolałbym kupić te karty dla siebie, ale nie jestem w stanie przebić House of Warrick, czego jestem świadom. - Erik wzruszył ramionami. - Przyjąwszy to założenie, nie ma konfliktu, jeśli chodzi o spełnienie życzeń mojego klienta.

- W porządku - powiedziała. - Zatrudniam cię.

- Będę potrzebował szczegółowych informacji na temat Sereny Charters - powiedział Erik. - A także na temat jej babki, ponieważ Serena twierdzi, że karty dostała od niej.

- Nazwisko babki? - zapytał Niall.

- Wiem tylko, gdzie Serena mieszka. - Erik podał mu list, który Serena dołączyła do kart. - Numer telefonu do niczego się nie przyda, bo ona i tak nie podnosi słuchawki.

Niall lekko zmarszczył brwi, ale nie skomentował słów Erika.

- Na kiedy mam dostarczyć informacje? - zapytał.

- Jak zwykle, na wczoraj - odparł Erik.

- To mnie nie dziwi. - Niall wstał i popatrzył na zegarek. - Czy dzisiaj Faktoid pracuje w domu?

- Zaczął częściej przyjeżdżać do pracy. - Dana uśmiechnęła się chytrze. - Twierdzi, że praca na odległość jest mniej skuteczna, niż, że się tak wyrażę, obecność cielesna.

- Podoba mi się ambicja u tego chłopaka - powiedział Niall, kierując się do drzwi. Przystanął w progu i mrugnął do Dany. - Dobrze się składa, że zależy mu na ciele Gretchen, a nie twoim. Nie chciałbym pogruchotać kostek w jego pluszakowym ciałku.

- Jeśli mu coś złamiesz, będziesz musiał go zastępować - odparła Dana.

- Gretchen nie jest w moim typie. Wolę filigranowe brunetki.

- Nie jestem filigranowa!

- A kto mówił o tobie? Niall zamknął za sobą drzwi.

- Któregoś dnia zamorduję tego faceta - powiedziała Dana w zamyśleniu.

- Jak?

- W jego łóżku.

- Wątpię, żeby spał tak mocno. Uśmiechnęła się jak kot.

- Czy mówiłam o spaniu?

Znowu zaczęła stukać w blat palcami, wpatrując się w marne kolorowe odbitki rozłożone na stole. Żałowała, że nie ma przed sobą oryginałów, na których byłoby widać barwy klejnotów i pełne wdzięku, zawile celtyckie wzory.

- Bez względu na to, czy są autentyczne czy nie, wydają się niezwykle - powiedziała wreszcie. - Kiedy będziesz wiedział?

- Czy to autentyk? Skinęła głową.

- Gdy je dostanę w swoje ręce - odparł Erik. - Sprawdzenie tego zajmie mi dużo czasu.

- To będzie trudne? Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Nie, ale na pewno bardzo przyjemne.

Rozdział 12

Palm Springs, czwartek, przed północą

Erik wysiadł z helikoptera Rarities na czystym, niezatłoczonym i w przeważającej części odkrytym lotnisku w Palm Springs. Nie skorzystał z wątpliwych rozkoszy lotniskowej gastronomii i pojechał dwa kilometry dalej do małej knajpki, gdzie serwowano porządne tacos. Papryczki chili były prawdziwe jak łzy, które wywoływały.

Nie zdążył przełknąć kęsa, gdy poczuł wibrowanie pagera przy pasku.

- Co znowu? - mruknął.

Wytrzeł palce w chusteczkę mniejszą od taco, lecz prawie równie zatłuszczoną; wcisnął guzik, by zobaczyć numer na wyświetlaczu. Oddzwonił i czekał. Abonent zgłosił się po sześciu dzwonekach.

- McCoy. Czego chcesz. - W warkliwym głosie odbiorcy nie było pytania, najwyżej lekka irytacja.

- Sam mi powiedz - odparł Erik. - Ty do mnie zadzwoniłeś.

- Minuta.

Erik zaczął jeść. Wszyscy w Rarities wiedzieli aż za dobrze, co dla Faktoida oznacza „minuta”. McCoy nosił komputer przy pasku, używał palmtopa zwanego widgetem jako klawiatury w sytuacji, kiedy podejście do komputera byłoby nieuprzejmością, i oglądał rozmaite ekrany przez specjalne okienka zamontowane w okularach, które służyły tylko do tego celu. Faktoid często rozmawiając z kimś bezpośrednio, jednocześnie przebywał na drugim końcu świata, pograżony w dialogu z kilkoma nawet superkomputerami. Dla niego rzeczywistość była konstrukcją wirtualną.

- W porządku - powiedział McCoy. - Czego chciałeś? - . Dowiedzieć się, po co do mnie dzwoniłeś.

- Aha. W porządku. Załadowałem to, co do tej pory znalazłem, pod twoim kodem dostępu.

- Tam gdzie zwykle?

- Tak. Folder Rarities, tytuł pliku to dzisiejsza data.

- Gdy skończymy rozmowę, zmienię tytuł pliku na „Księga Uczonych”. Tam powinny wędrować wszystkie następne informacje w tej sprawie.

- Minuta.

Przytrzymując komórkę ramieniem, Erik skończył taco, wytarł ręce i pomyślał, że byłoby dobrze, gdyby jego aparat będący

skrzyżowaniem komórki i komputera mógł podczas rozmowy przeprowadzać operacje obliczeniowe. Raz tego spróbował. Efekty były nie do opisanego, co nie przeszkodziło Faktoidowi nieustannie wspominać ów epizod.

- Fajna książka! - powiedział Faktoid.

- Masz w swoich bazach danych Księgę Uczonych? - zapytał Erik.

- Tylko kilka niesprawdzonych doniesień. Chcesz je mieć?

Erik uśmiechnął się. Do tej pory nie mógł sobie pozwolić na dokładne przeszukanie baz Rarities. Dana albo Niall daliby mu dostęp za darmo, ale nie chciał o to prosić. Księga Uczonych była tylko jego hobby. I chociaż po nocach nękały go niesamowite sny, zawsze łączące się ze średniowieczem, za nic nie przyznałby, że stała się jego obsesją.

- To gdzie mam wlać ten syrop czekoladowy? Erik zamrugnął i odparł bez wahania:

- Do jej buta.

- Jej buta.

- Mm... - bąknął Erik, starając się pohamować wybuch śmiechu.

- Jezu, dziwne, że w ogóle czasem coś zaliczasz. Do jej buta. Zaraz sprawdzę pod tym kątem bazy danych.

- Daj mi znać, jak ci idzie.

- But. Matko. Jesteś stuknięty, North.

- Wszystko przez ten syrop czekoladowy.

Śmiejąc się od ucha do ucha, Erik przerwał rozmowę i uruchomił na silikonowym mózgu swojego podręcznego komputera połączenie internetowe.

Po chwili dowiedział się, że Serena nazywa się Serena Lyn Charters, ma trzydzieści cztery lata, prowadzi jednoosobową działalność gospodarczą, jest właścicielką domu w Leucadii i pięcioletniego samochodu, nie ma zaległych ani niedawno wystawionych mandatów, zarejestrowała w przychodni weterynaryjnej wykastrowanego kota samca imieniem Koneser, nigdy nie była zamężna i jeśli używała komputera, to nie był on podłączony do Internetu, bo inaczej McCoy wyciągnąłby więcej informacji na jej temat. Jej numer ubezpieczenia był nieznany, ale nie na długo. Faktoid miał nadzieję zdobyć więcej danych po rozpracowaniu historii rachunków. Zdobył dostęp do rachunku telefonicznego Sereny.

Wiedział, że gdy tylko odszuka nazwisko jej matki - zwłaszcza jej nazwisko panięskie - będzie w stanie dotrzeć do kart kredytowych i debetowych. Potem wszystko pójdzie jak po maśle.

Erik spojrzął na zegarek. Za kwadrans pierwsza. Zamiast mrużyć oczy i wpatrywać się w mały wyświetlacz, mógł odczytać te dane znacznie wygodniej na monitorze domowego komputera.

Nadal jednak wyteżał wzrok, nie mogąc przestać myśleć o wyblakłych kopiach kart, na których przed wiekami tamten mężczyzna spisał gorzkim stylem swój żywot, rozpoczynając od namalowania dwóch smoków - splecionych, lecz wzajemnie wrogich. Erik nie wątpił, że bestie okazywały sobie nienawiść, a nie miłość; zdołał przecież odczytać kilka słów.

„Myśl, że tym razem, tego dnia... zobaczę ją, doprowadza mnie... jak wygłodzony wilk na jedzenie.

Choć wiem...

Na zęby Boga, byłem głupcem. Dlaczego niczego nie spostrzegłem?"

Erik czuł wyraźnie gniew i pogodzenie się z losem swego dawno zmarłego imiennika. Zamrugął powiekami. Miał przed oczyma malutki ekranik, a nie fragmenty zapisków, które liczyły sobie niemal tysiąc lat, słowa wyryte w jego pamięci tak mocno, jakby sam je zapisał, jakby wszystko czuł i przeżywał.

Zniecierpliwiony, przewinął tekst na ekranie, by dojść do świeższych informacji. Potrzebował tylko paru chwil, żeby stwierdzić, że babka stanowiła jeszcze uboższe źródło informacji niż wnuczka. Jej prawdziwe nazwisko brzmiało: Ellis Weaver.

Erik przerwał czytanie i zmarszczył brwi. Dziwne imię dla kobiety. Zapewne było związane z rodzinną tradycją i nadano je córce, gdy w kolejnym pokoleniu nie urodził się syn.

Ellis Weaver nie miała numeru ubezpieczenia. Nie była nigdzie zatrudniona. Nie osiągała dochodów. Nie otrzymywała emerytury ani zasiłku. Nie miała zwierząt, nie posiadała niczego prócz kawałka ziemi i domu zbudowanego na pustynnej wyżynie, gdzie rosły tylko drzewka Jozuego, bo tylko one mogły przetrwać w suchym klimacie. Samochód, który spalił się wraz z domem, był zarejestrowany na Mortona Hinghama, adwokata, mieszkającego w Palm Springs. Ellis nie miała prawa jazdy. Data urodzenia nieznana. Żadnego konta w

banku. Jedna skrytka depozytowa. Jedyna jej córka zmarła. Żyła tylko wnuczka.

Jedno niewyjaśnione morderstwo.

Nawet jak na wstępne wyszukiwanie informacji było mało. Erik pomyślał, że Faktoid na pewno wyłazi ze skóry, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Najwyraźniej babka Sereny żyła w całkowitej izolacji. Płaciła zawsze gotówką, nie używała kart kredytowych ani czeków; nie korzystała z żadnego z licznych oficjalnych programów, jakie przygotowano z myślą o ułatwieniu życia starszym osobom, chociaż w praktyce sprowadzały się do tego, że rozmaite rządy śledziły każdego obywatela aż po grób, jedną ręką rozdając przywileje, a drugą zgarniając podatki.

Przez otwarte okna do samochodu wpadał ciepły wiatr, a z nim lekki zapach pustynnych ziół. Powietrze nasycone słonecznym ciepłem, wydawało się jedwabiste. Błękitne niebo było pogodne. Myśl, że miałby teraz siedzieć w czterech ścianach i zajmować się regułami kaligrafii czy iluminacji, jakoś nie przemawiała do Erika. Potrzebował fizycznego wysiłku, żeby uśmierzyć niepokój ciała i ducha.

Przewinął dane Ellis Weaver do początku, zanotował jej adres i postanowił rozejrzeć się po tej okolicy. Jeśli ktoś mieszkał w jednym miejscu przez prawie pięćdziesiąt lat, musiały przetrwać jakieś ślady, czy drobne przedmioty, które pozwoliłyby lepiej poznać kobietę, która prawdopodobnie posiadała - i ukrywała - cztery wyjątkowo dobrze zachowane karty z Księgi Uczonych.

Chyba że cała historia została zmyślona, a Serena miała taki cel, jaki przypisywał jej Warrick: zrobić dobre pieniądze na fałszerstwie.

Erik uruchomił silnik i wyjechał na Bob Hope Drive. Uświadomił sobie, że wcale nie chciałby, aby Serena była oszustką, ponieważ to oznaczałoby, że stronice z Księgi Uczonych również są oszustwem.

To znaczy pogodziłby się z faktem, że Serena jest oszustką, ale pragnął, by karty okazały się autentyczne.

Rozdział 13

Na wschód od Palm Springs, czwartek po południu

Serena stała patrząc bezradnie, jak zmienny wiatr rozwiewa popiół na pustym palenisku w domu babki.

Z ciężkim sercem spoglądała na miejsce zbrodni, konfrontowała dawne wspomnienia ciepła i bezpieczeństwa z obecnym obrazem zniszczeń. Sięgające ramion kamienne ściany były osmalone i zniszczone. Drewniane belki i dach, który położono na tyle wysoko, by mógł się pod nim zmieścić duży warsztat tkacki, zostały całkiem zwęglone. Z grubych drewnianych drzwi praktycznie nie zostało nic. Komin sterczał jak samotny obelisk upamiętniający wybuch pożaru, który strawił wszystko oprócz kamieni i starej tkaniny.

Cudownie ocalały kawałek materiału prześladował i fascynował Serenę w sposób, którego nie potrafiła opisać. Nosił ją na szyi, wsunięty za dekolt. Był cudowny: chłodny, kiedy robiło się jej za gorąco, ciepły, kiedy dokuczało jej zimno, mięciutki jak kociak i bardzo przyjemny w dotyku.

Stronice prześladowały ją i fascynowały tak jak sny. Za każdym razem, gdy na nie patrzyła, miała wrażenie, że zna je doskonale. Doznawała niezwykłego, nieodpartego uczucia, że łączy ją z nimi silna więź. Zastanawiała się, czy to samo czuła jej babka: czy ona również była zauroczona przeszłością, nie potrafiła się od niej oderwać i czy pochłaniało ją życie, jakie nie było jej udziałem, lecz które znała tak dobrze, że nie mogła go wyrzucić ze świadomości.

„Jeśli mi się nie powiedzie, a ty postanowisz odzyskać swoje dziedzictwo, zapamiętaj mnie taką, jaką byłam, gdy miałam dwadzieścia parę lat. Myśl jak kobieta, którą byłam.”

Chociaż temperatura dochodziła do trzydziestu stopni, Serena rozcierała pokryte gęsią skórą rękę. Nie bardzo wiedziała, co jej babka chciała wyrazić - przecież nie mogła myśleć jak Ellis przed wielu laty, skoro nie znała jej jako młodej kobiety - ale ostrzegawczy ton kolejnych zdań nie mógł budzić żadnych wątpliwości.

Zastanawiała się, czy babka chciała ją ostrzec przed szaleństwem czy przed nagłą śmiercią.

„Nie powierzaj swojego dziedzictwa żadnemu mężczyźnie. Od tego zależy twoje życie.”

Drżała na całym ciele, nie mogąc się uwolnić od myśli, że szeryf popełnił błąd, a śmierć Lisbeth to było morderstwo z premedytacją, a

nie przypadkowy akt przemocy. Jeśli tak, to wysyłanie kopii kart dwóm ekspertom, którzy byli mężczyznami, przypominało rzucanie surowego mięsa zgłodniałym wilkom.

„Falszerstwo jest niebezpieczną sztuką.”

Może pergaminowe stronice, które leżały teraz zamknięte w bagażniku jej samochodu, zawierały niezwykle skomplikowane, niebezpieczne kłamstwa, kłamstwa, które w końcu zabiły jej babkę. Czyżby teraz przyszła kolej na wnuczkę? Czy do tego sprowadzało się dziedzictwo?

Zupełnie bezwiednie Serena przycisnęła dłonie do szyi, dzięki czemu spokojna energia starej tkaniny mogła przeniknąć do jej ciała. Racjonalny umysł podpowiadał jej, że nie powinna nosić tego szala, że dotyk jej skóry uszkadza bezcenny wzór, lecz nie potrafiła się zmusić, by go zdjąć. Bez niego czuła się naga, słaba.

„Staję się taką samą wariatką, za jaką ludzie mieli moją babkę.”

Serena otrząsnęła się z zadumy i odsunęła myśli o niebezpieczeństwie, morderstwie, obłądnie, śmierci, o wszystkim, co ją nękało, odkąd przeczytała list babki, ujrzała karty i poczuła, że tkanina staje się ciepła w dotyku, jakby była żywym organizmem. Bez względu na to, czym miało się okazać jej dziedzictwo, nic nie przetrwało w wypalonym skorupie domu jej dzieciństwa.

Uczucie pustki i opuszczenia przywarło do tego miejsca jak sadza. Gdy policja przestała się interesować zgliszczami, wprowadzili się tu strzelcy. Ktoś przywiązał kawałek żółtej taśmy odgradzającej miejsce zbrodni do zwęglonego wraku pikapa i używał jej do ćwiczeń. Spłowiałą taśmę postrzępiły wiatr i kule. Piasek pustyni usiany był mosiężnymi nabojami - niektóre już zmatowiały, inne lśniły w słońcu. Zużyte różnokolorowe łuski leżały porozrzucane jak wielkie konfetti na podwórzu przed domem. Najwyraźniej nowi lokatorzy uznali, że strzeleckie ćwiczenia w opustoszałym domu będą zabawniejsze niż w miejscu, którego używali wcześniej, położonym przy stromej drodze.

Serena kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Odwróciła się w stronę nieutwardzonego podjazdu, prowadzącego do ruin chatki. W odległości półtora kilometra mknął jasny samochód, wzniesając tumany piasku i żwiru.

Natychmiast domyśliła się, że zmierza w tę stronę. W okolicy nie było innych zabudowań, do których mógłby się kierować. Ślady kół jej samochodu kończyły się tuż przy samotnej chatce jej babki.

„Nie ufaj żadnemu mężczyźnie. Od tego zależy twoje życie.”

Bez chwili zwłoki, Serena wyszarpnęła z kieszeni kluczyki i włączyła blokadę w swoim wozie. Potem odwróciła się i pobiegła ledwo widocznym szlakiem, prowadzącym na strome zbocze za domem.

Mimo dumnej nazwy drzewka Jozuego nie mogły zapewnić osłony wysokiej, postawnej kobiecie. Nie miała gdzie się ukryć. Kruche krzewy rosnące na nieprzyjaznej glebie sięgały jej zaledwie do pasa. Nie mogła się schować za ich kłującymi gałązkami.

Zresztą nawet nie brała pod uwagę takiej możliwości. Świetnie wiedziała, dokąd zmierza. Pamiętała, że do tego miejsca prowadzą dwie drogi. Krótsza trasa była trudniejsza, musiałyby zejść najbardziej stromą częścią popękanego zbocza. Już kiedyś miała okazję przekonać się na własnej skórze, że wspinaczka jest łatwiejsza - schodząc miała ograniczoną kontrolę nad własnymi ruchami.

Serena wybrała więc dłuższą trasę do swojej kryjówki. Z nierównej, skalistej gleby wystawały głazy, często większe od człowieka. Serena kluczyła wśród nich tak długo, póki nie dotarła do wąskiej rozpadliny. Im bardziej się w nią zapuszczała, tym bardziej stromy robił się szlak - kończył się popękanym, granitowym klifem. Mniej więcej na trzech czwartych wysokości ściany znajdowało się płytkie wgłębienie. W dzieciństwie często wspinała się tam, by siedząc wysoko, spoglądać na rozciągające się wokół pustkowia i wyobrażać sobie wzory, jakie pragnęła tknąć na krośnie swojej babki.

Ostre krawędzie skalnej ściany pod wpływem wiatru i słońca stały się tak kruche, że teraz rozpadały się pod dotknięciem. Granit nieprzewidywalny przy suchej pogodzie i zdradziecki w deszczu. Gdyby było mokro, Serena nawet nie próbowałaby piąć się po klifie. Teraz było sucho, a mimo to poślizgnęła się i kilkakrotnie omal nie spadła ze skały, nim wreszcie dotarła do ukrytej jaskini.

Stara miotła, którą dawno temu wcisnęła między skały, wciąż jeszcze tam tkwiła, twarda teraz jak kamień. Serena chwyciła za kij, wepchnęła miotłę w otwór nad skalnym występem i czekała. Z ciemności w głębi jaskini nie dobiegł żaden podejrzany szelest. Na wszelki wypadek jeszcze raz zaszurała miotłą, żeby mieć pewność; grzechotniki, podobnie jak ona, lubiły tę pieczarę, toteż gdy odkryła je w dzieciństwie, trzymała w pobliżu miotłę.

Kiedy stwierdziła, że nic jej nie grozi, podciągnęła się na rękach i wgramoliła do jaskini. Teraz trudniej było się tu schować, niż gdy miała osiem czy dwanaście lat. Mimo że dość szczupła, miała sporo do ukrycia. Kryjówka odpowiednia dla chudej dziewczynki z trudem mieściła kobietę, która bez obcasów miała prawie sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu.

Kładąc się na boku, podciągnęła kolana pod brody i objęła nogi tak, że wystawały tylko jej otarte palce. Zakurzone dżinsy i ciemnoniebieska koszula Sereny zlewały się z cieniami.

Ciężko dysząc, spojrzała w dół na chatę i w tym momencie zobaczyła, że z zakurzonego srebrnego mercedesa wysiada jakiś mężczyzna. Rozejrzał się dookoła, a potem wykrzyknął coś, co brzmiało jak jej imię.

Nie zareagowała.

Krzyknął jeszcze raz.

Tym razem Serena była pewna, że zawołał jej imię. To jednak wcale nie zachęciło jej do odpowiedzi. Ponieważ nie mówiła nikomu, że wybiera się w te okolice, musiała zakładać, że cały czas była śledzona.

Ta myśl wcale nie była pocieszająca.

Milcząc, w bezruchu patrzyła, jak nieznajomy bez pośpiechu spaceruje wokół domu. Szedł zygzakiem, jakby się za czymś rozglądał. Zauważyła, że był dość wysokim, bardzo dobrze zbudowanym mężczyzną. Poruszał się bardzo swobodnie: z łatwością wspinał się na skały i schodził z nich, zeskakując lekko i nie spuszczać oczu z ziemi.

Jeśli czegoś szukał, nie zajęło mu to dużo czasu. Wrócił do wozu, wyjął jakieś niezbyt atrakcyjne buty, naciągnął je i ruszył niezbyt widocznym szlakiem prowadzącym do jaskini. Szybko zniknął w rozpadlinie.

Serena czekała, wstrzymując oddech. Jeśli szedł jej śladem, to za minutę powinien się zjawić w przejściu przed wąwozem.

Ujrzała go o wiele szybciej. Jego długie nogi pokonywały kolejne odcinki trasy w zastraszająco szybkim tempie. Obserwował granitową ścianę, jakby wyczuwał, że Serena ukrywa się w którymś z ciemnych zagłębień.

Natychmiast zaczęła obmyślać plan ucieczki. Jeżeli nieznajomy rozpocznie wspinaczkę, ona wdrapie się na szczyt ściany skalnej, aby

przejsć do następnego jaru, który prowadził na tyły domu. To była krótka trasa w dół. Kiedy mężczyzna będzie w połowie drogi, ona zdąży wsiąść do samochodu i odjechać.

- Serena? Wszystko w porządku?

Nie odpowiedziała. A on zaczął się wspinać po urwisku, jakby wybrał się na przechadzkę po parku. Szybkość i koordynacja ruchów wzbudziła w niej przerażenie.

Nagle jaskinia stała się pułapką.

Wyskoczyła z ciemności i rzuciła się w stronę kruchej ściany, która dzieliła ją od bezpiecznej trasy powrotnej do chaty. Znajdowała się najwyżej od szczytu, kiedy odłamek zwiertzałego granitu obsunął się pod jej stopą. Nagle zaczęła się ześlizgiwać, wymachując rękoma. Szeroko rozpostarła ramiona, próbując przytrzymać się czegoś, by złagodzić upadek.

Na jej nadgarstku zacisnęły się mocne dłonie. Serena rzuciła się na ścianę z takim impetem, że straciła dech. Jednak zjechałaby w dół, gdyby nie coś, co od tyłu przygwoździło ją do skały.

To był mężczyzna. Duży mężczyzna.

- Mam nadzieję, że karty znajdują się w bezpieczniejszym miejscu niż ty - powiedział ostro niskim, zniecierpliwionym głosem.

Serena zastygła. Czyżby to był głos człowieka, który zamordował jej babkę?

I który zaraz ją też zabije?

Rozdział 14

Nic ci nie jest? - zapytał Erik przyciskając do skały kobietę odwróconą do niego plecami.

Serena wydała zduszony dźwięk, który mógł znaczyć cokolwiek.

- Ponieważ nie odebrałaś mojego telefonu - pomyślałem, że może zabiłaś albo jesteś ranna. Wspinaczka po takim granicie bywa niebezpieczna.

Serena poczuła w płucach nagły przyptyw powietrza. Wzięła kilka głębokich oddechów, żeby mieć pewność, że zdoła przemówić normalnym głosem.

- Kim jesteś?

- Erik North.

- Ekspert od manuskryptów?

- Tak.

Bogu dzięki. Nie był obcy. A przynajmniej nie całkiem obcy. Co oznacza, że prawdopodobnie nie grozi jej niebezpieczeństwo.

Prawdopodobnie.

Doznała takiej ulgi, że ugięły się pod nią kolana. Głęboko zaczerpnęła powietrza i mocno przywarła do szorstkiej skały.

Erik poczuł, że coś się zmieniło, jakby pękła w niej jakaś struna. Z trudem zachowywała pozycję pionową. Podtrzymał ją teraz mocniej, zastawiając własnym ciałem, by nie osunęła się na skaliste podłoże.

Serena zeszywniała i z pewnością by się przewróciła, gdyby muskularny mężczyzna nie przycisnął jej do ściany.

- Spokojnie, Sereno. Trzymam cię.

- To ma mi poprawić samopoczucie? - zapytała przez zaciśnięte zęby. Wybuchnął śmiechem. Wiatr roztrząpał miękkie pasma jej włosów. Był

tak blisko, że mógł podziwiać odcienie czerwieni i złota w jej luźno zaplecionym warkoczu. Czuł ciepłe ciało Sereny, czuł jej oddech. Mógł jej dotknąć. Jednak przedtem musiałby odsunąć ten piękny, niezwykle szal, który osłaniał jej szyję.

Ta myśl bardzo mu się spodobała. Zastanawiał się, co okaże się bardziej miękkie: szal czy jasna skóra kobiety. Wiedział, że znajdzie odpowiedź na to pytanie, i to niedługo.

Był zadowolony, że Serena nie umie czytać ludziom w myślach, w przeciwnym razie podjęłaby desperacką wspinaczkę, byle tylko

przed nim uciec. Erik nie miał nic przeciwko pościgowi, w górach czuł się świetnie, ale nie był pewien jej umiejętności. Skruszałe granitowe skały były zdradzieckie, zwłaszcza gdy komuś się spieszyło.

- Możesz stać, czy zwichnęłaś sobie kostkę? - zapytał.

Kiedy poczuła, że jego ciałem wstrząsa śmiech, wróciły dawne doznania. Na jakimś głębszym poziomie ten śmiech był jej znany. Znała również głos mężczyzny. Podobnie jak karty z manuskryptu i szal, który podsunął się trochę wyżej, jakby chciał ochronić jej twarz przed chropowatą skałą.

Znała tego mężczyznę.

To przeświadczenie wstrząsnęło nią równie mocno, jak przed chwilą nagła utrata gruntu pod stopami.

- Na pewno nazywasz się Erik North? - zapytała ochryplym głosem.

- Na pewno.

Nie wiedziała, jak powiedzieć, że jej zdaniem nie wygląda na eksperta od średniowiecznych iluminowanych manuskryptów, a nie chciała wyrywać się z głupim pytaniem w rodzaju: „Czy ja ciebie skądś nie znam?” Dlatego zadała pytanie, które dręczyło ją, odkąd go zobaczyła.

- Co tutaj robisz?

- Spróbuj się zorientować, czy możesz chodzić, inaczej będę musiał cię nieść.

- Nie możesz. Jestem za duża.

Roześmiał się, znowu poczuła na szyi jego ciepły oddech. Szal uniósł się lekko na wietrze, muskając wargi Erika. Wtulił nos w miękką, przywierającą do jego ciała tkaninę.

- Niall jest znacznie większy od ciebie - zauważył Erik - a kiedyś musiałem go wynieść na rękach z gór Santa Rosa.

- Niall?

- O tym później. Chyba nie chcesz opowiadać historyjek o życiu w momencie, gdy ledwo trzymamy się na skale?

Ni stąd, ni zowąd granitowe podłoże pod lewą stopą Erika zaczęło się usuwać. Poślizgnął się i daremnie próbował znaleźć oparcie. Wymacał szczelinę, wsunął w nią palce, mocno przyciskając Serenę biodrami. Czekał.

Nic więcej nie pękało.

Ostrożnie badał grunt, aż w końcu znalazł pęknięcie, w którym mógł umieścić lewą stopę. Czując się bezpiecznie, pogratulował sobie w duchu, że przezornie zmienił obuwia, zanim ruszył za Sereną. W skalistych górach miejskie obuwie było równie bezużyteczne jak rolki.

- Nic ci nie jest? - zapytała Serena, wstrząśnięta.

- Wszystko w porządku.

Wpatrywała się w jego mocne dłonie, którymi uczeplił się chropowatych występow w skalnej ścianie.

- To nie wygląda zbyt przyjemnie.

- Fakt. Ale znacznie lepsze niż spadanie. Nie ruszaj się, muszę zmienić chwyt.

Wyciągnął ze szpary jedną, potem drugą dłoń, poruszył palcami. Otarta skóra piekła. Tego można było się spodziewać. Z ranek ściekała krew, ale nie tak obficie, by nie mógł rękoma szukać oparcia. Powoli, bardzo spokojnie balansował ciałem tak, by przytrzymywać Serenę przy skale, a jednocześnie jej nie zgnieść.

Bliskość ocierającego się o nią ciała mężczyzny burzyła równowagę Sereny. Starła się nie myśleć o tym patrząc, jak Erik znajduje kolejne punkty oparcia. Jego wybory były starannie przemyślane, podobnie jak ruchy umięsnionego ciała.

- Już nieraz to robiłeś, prawda? - zagadnęła.

- To znaczy, nie raz przestraszyłem kobietę tak, że omal się nie zabiła, uciekając przede mną? Nie, to pierwszy raz.

Uśmiechnęła się, mimo że wciąż jeszcze czuła strach i przyptyw adrenaliny.

- Miałam na myśli górskie wspinaczki.

- To moje hobby. Ale zwykle jestem odpowiednio ubrany.

Dopiero teraz zauważyła, że miał na sobie miękką, brązową koszulę z podwiniętymi rękawami. Od razu spostrzegło, że została uszyta z drogiego materiału, jednak nie tak delikatnego jak złocista jedrna męska skóra, od której dzieliło ją zaledwie parę centymetrów. Ramię Erika pokrywały zjaśniałe od słońca włoski. Z jego ręki ciekła strużka krwi.

- Jesteś ranny?

- Co? - Zerknąwszy na drobne skaleczenie pożałował, że zbyt mało zna Serenę, aby ją prosić, żeby go pocałowała w to miejsce. Patrząc na jej usta, doszedł do wniosku, że mogą mieć właściwości

lecznicze, i nie tylko. Zapewne były zdolne do wielu bardziej interesujących rzeczy. - Tej ranki nie nazwałbym nawet draśnięciem.

Roześmiała się, co dla obojga było zaskoczeniem.

Erik odetchnął z ulgą. Podobało mu się to, co czuł, kiedy Serena poruszała się, bezwiednie dotykając bioder. Podobało mu się aż za bardzo. Jeśli nie zacznie myśleć o czymś innym, za chwilę zacznie skakać o tyczce po tym cholernym klifie.

- Chcesz iść w górę czy w dół? - zapytał niemal szorstko.

- W górę będzie łatwiej.

- Wiem. Tylko nie byłem pewien, czy zdajesz sobie z tego sprawę. Gotowa?

- Zaczekaj. Sprawdzę, czy mam oparcie.

W milczeniu znosił jej delikatne manewry, kiedy stawiała najpierw na jednej, a potem na drugiej nodze. Poślizgnęła się lekko. Odruchowo przycisnął ją do ściany biodrami.

- Lepiej się nie spieszyć - powiedział.

- Staram się.

- Czuję - powiedział przez zaciśnięte zęby.

Nie robiła tego umyślnie, ale jej ruchy sprawiły, że miał erekcję.

- Gdybyś nie zjawił się na tej skale jak Spiderman na pełnym gazie i nie napędził mi stracha... - zaczęła.

- Moja przyjaciółka Dana w takim momencie powiedziałaaby: „Przymknij się”. Później będziesz mi zawracała tyłek.

- Czy to obietnica? - odparowała.

- Tak. Ale najpierw mi dziękujesz. Zgadnij, na co czekam z większym utęsknieniem.

Kiedy Serena przesunęła się zmieniając pozycję, poczuła wyraźne oznaki podniecenia stojącego za nią i przyciśniętego do jej pośladków mężczyzny. Z wrażenia wydała zduszone westchnienie.

- Bez paniki - powiedział obojętnym tonem. - To tylko reakcja fizjologiczna. Ustanie, gdy twój jędrny tyłeczek przestanie się ocierać o moje krocze.

- Zrób więcej miejsca, to problem zniknie - odparowała.

Przygryzł wargi, żeby nie odpowiedzieć na tę zaczepkę i trochę się od niej odsunął. Serena zdołała się utrzymać w pionie i stracić oparcie. Umysł Erika był z tego bardzo zadowolony. W przeciwieństwie do jego przyrodzenia.

- W porządku? - zapytał.

- Fantastycznie - odparła z ironią w głosie. - Wreszcie nie muszę lizać skały.

Nie przychodziła mu do głowy żadna rozsądna odpowiedź, którą nie pograżyłby się jeszcze bardziej. Odsunął się od Sereny, zachowując bezpieczną odległość, żeby w razie czego móc ją przytrzymać.

Bez słowa ruszyła w górę po stromej skale. Teraz już nie próbowała uciekać, skoncentrowała się na bezpiecznej, a nie szybkiej wspinaczce. Poruszając się w górę, poślizgnęła się kilka razy, przez chwilę nawet musiała iść na czworakach.

Erik wspinał się za nią. Jeszcze nigdy podczas górskiej wspinaczki nie przytrafiła mu się tak potężna erekcja. Już nigdy w życiu nie chciałby się znaleźć w podobnej sytuacji. Mijając otwór jaskini, zajrzał do środka. Zauważył tam tylko zniszczoną miotłę. Prócz niej Serena nie zostawiła tam niczego - na przykład kart z Księgi Uczonych.

Dotarłszy na szczyt, Serena spojrzała w stronę chaty. Gdyby teraz zaczęła biec, mogłaby pobiec do samochodu. Zaraz jednak przypomniała sobie, jak szybko Erik wspinał się po skalnym rumowisku i stwierdziła, że najprawdopodobniej dogoniłby ją w połowie drogi.

W każdym razie musiała przyznać, że jeśli Erik North zamierzał ją zabić, to dość dziwnie podchodził do tego zadania.

Obserwowała go czujnie swoimi fiołkowymi oczami, kiedy szybko i sprawnie wspinał się na szczyt. Ale nawet gdyby był świętym Mikołajem, i tak czułaby się nieswojo, przebywając na pustyni sam na sam z tym obcym mężczyzną, który wydawał się jej dziwnie znajomy.

Do diabła, przecież go znam. Jestem tego pewna.

Może widziała go w którejś z reklam sprzętu do uprawiania sportów ekstremalnych, używanego wyłącznie przez silnych, sprawnych fizycznie i kompletnie zbzikowanych facetów.

Kiedy podszedł do niej, przekonała się, że jest wyższy, niż sądziła; z pewnością miał grubo ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Poruszał się jak sportowiec. Jego blond włosy miały rozmaite odcienie - od białych jak len po jasnokasztanowate. Oczy Erika były wyraziste i piwne, jak u orła. I równie przenikliwe spojrzenie.

Już kiedyś widziała te oczy.

Erik dostrzegł, że Serena jest spięta. Zastanawiał się, czy to normalne zaniepokojenie u kobiety, która znalazła się sama z obcym mężczyzną, czy może jest to nerwowość oszustki mającej wiele do ukrycia. Ta druga możliwość nie bardzo mu się podobała, ale musiał ją brać pod uwagę.

Choćby nie wiadomo jak pragnął, żeby te karty były autentyczne, Warrick widział oryginały i uznał je za falsyfikaty. Erik byłby głupcem, gdyby zlekceważył tę ekspertyzę tylko dlatego, że czuł emocjonalną więź z Księżą Uczonych.

- Dobrze - rzekł, patrząc w czujne oczy Sereny. - Dokąd zmierzamy?

- To zależy.

- Od czego?

- Od przyczyny, dla której mnie śledziłeś.

Rozdział 15

Erik długo mierzył Serenę wzrokiem.

- Dlaczego myślisz, że cię śledziłem?

- Bądźmy poważni. To miejsce nie zalicza się do największych turystycznych atrakcji na terenie południowej Kalifornii.

Uśmiechnął się lekko. Nawet pokryta kurzem, pocięta i spocona w pustynnym upale, Serena wydawała mu się wyjątkowo atrakcyjna. Może to efekt niezwykłego połączenia rudawozłotych włosów i fiołkowych oczu. Może wrażenie robiły jej inteligentne i czujne oczy, a także szybkie i cięte riposty. Albo krągłości rysujące się pod luźnym ubraniem. A może smugi brudu i blade piegi na wydatnych kościach policzkowych. Lub ten tajemniczy, z wyglądu jedwabny szal, który miała na szyi.

Albo wspomnienie dotyku jej bioder.

Wydawała się dobrze znajoma, a jednocześnie całkiem obca. Te sprzeczne wrażenia budziły jego niepokój.

Zastanawiał się, czy miała podobne odczucia, czy też po prostu czuła się niezręcznie przebywając sam na sam z obcym, w dodatku mężczyzną, w sercu pustyni. Może w towarzystwie innych osób byłaby bardziej swobodna. Młodsze siostry często powtarzały, że Erik po prostu nie rozumie, jak niepewnie czuje się kobieta w takiej sytuacji.

Zresztą może Serena w tłumie wcale nie czułaby się swobodniej. Oszust ma wiele powodów do zdenerwowania w towarzystwie osoby, której zawód polega na demaskowaniu oszustów.

- I co, nie masz języka w gębie? - zapytała chłodno.

Erik trochę się zirytował. Bez względu na powód jej nerwowości: pociąg, jaki do niego czuła, instynktowna kobieca ostrożność wobec obcych mężczyzn lub Coś znacznie mniej przyjemnego, musiał znać odpowiedź. Teraz mógł zaryzykować i gdyby obruszyła się słysząc jego słowa, przycisnąć ją do muru.

- Jestem konsultantem Rarities Unlimited - odparł. I czekał.

- To coś wyjaśnia? - zapytała.

Omam się nie uśmiechnął. Serena nawet nie drgnęła, nie wyglądała na bardziej spiętą, żyłka na szyi nie pulsowała w przyspieszonym tempie, źrenice niezwykłych fiołkowych oczu nie rozszerzyły się ani nie zwężyły. Albo była świetną aktorką, albo naprawdę nie słyszała o Rarities. Jeśli w grę wchodził drugi wariant, świadczyło to o jej

niewinności. Jeśli jednak prawdziwe było to pierwsze, jest oszustką albo po prostu osobą niezwykle ostrożną, której zależy na wyciągnięciu od niego informacji, a nie na ich udzielaniu.

- Działalność Rarities polega na współpracy specjalistów - powiedział. - Kupujemy, sprzedajemy, wyceniamy i chronimy rzadkie wyroby i sztukę.

- I każdy może cię wynająć?

- Są pewne ograniczenia.

- Jakie w twoim przypadku?

- Jeśli mam do czynienia ze znanymi naciągaczami.

- Pracujesz tylko dla uczciwych, tak? - W głosie Sereny zabrzmiała nutka cynizmu.

- A jak sądzisz?

- Myślę, że poszedłbyś z torbami, gdybyś czekał tylko na zlecenia od świętych.

Uśmiechnął się lekko.

- Sądzę, że masz rację. Ale w Rarities mamy na względzie przede wszystkim sztukę, a nie zleceniodawców. Przewiduje to umowa, jaką podpisują wszyscy nasi klienci.

- To znaczy?

- Jeśli trzeba wybierać między sztuką i klientem, klient stoi na straconej pozycji.

Jej uniesiona lewa brew tworzyła teraz złocistorudy łuk.

- To często się zdarza?

- Będziesz musiała zapytać Danę.

- Kogo?

- Danę Gaynor. Ona i S.K. Niall są właścicielami Rarities.

Serena włożyła ręce do tylnych kieszeni dżinsów i odwróciła wzrok od świdrującego spojrzenia Erika.

- Kupujecie, sprzedajecie, wyceniacie i chronicie. Hm... Ja niczego nie chcę kupować ani sprzedawać, ale na pewno przydałaby mi się obiektywna wycena.

Ochrona też by jej się przydała, ale tego tematu nie zamierzała poruszać. Sposób, w jaki uciekała przed Northern, zapewne nasunął mu myśl, że była troszkę niezrównoważona. Gdyby wyznała, że boi się, iż morderca babki teraz czyha na jej życie, Erik na pewno doszedłby do takiego wniosku i kropka. Śmierć Lisbeth nie była

zaplanowana, lecz przypadkowa. Tak przynajmniej odnotowano w policyjnych aktach.

Ona jednak nie była dziełem sztuki, które należało chronić. Była po prostu zwykłą ludzką istotą, która obawiała się, że znalazła się w nienormalnej sytuacji.

- Obiektywna wycena - powtórzył Erik, patrząc na jej smukłe plecy i piękny profil. - Ciekawie to ujęłaś.

- Dlaczego?

- Większość ludzi po prostu chce znać wartość danego przedmiotu.

Na jej twarzy na krótko zagościł surowy uśmiech. Zarabianie na życie tkactwem artystycznym nauczyło Serenę, że bez względu na ilość pracy włożonej w wyrób, cena w gruncie rzeczy nie ulega zmianie.

- Towar jest wart tyle, ile ktoś jest skłonny zapłacić. Ani więcej. Ani mniej.

Erik spojrzał na jej krągłe biodra. Świerzbiły go ręce, żeby poczuć to, co miał przed oczami, żeby objąć jej pośladki, uszczypnąć, nasycić dłonie jej ciałem. Zdumiała go intensywność tego pragnienia. Owszem, była atrakcyjna, ale nie zaliczała się do kobiet, przed którymi dorosły mężczyzna zżerany żądzą pada na kolana.

A jednak kolana się pod nim uginały.

- Więc dlaczego nie wystawisz tych kart na aukcji? - zapytał z irytacją w głosie, odwracając wzrok. - Rynek da ci odpowiedź, ile są warte.

- Nie chcę ich sprzedawać. Chcę tylko wiedzieć, czy są autentyczne.

- Żeby się zabezpieczyć?

Wygięła usta.

„Jeśli postanowisz odzyskać swoje dziedzictwo... Bądź bardzo ostrożna. Fałszerstwo jest niebezpieczną sztuką.”

- W pewnym sensie.

- W jakim sensie?

- Czy to ma znaczenie? - odparła z napięciem w głosie.

Mimo że chwilami ten mężczyzna wydawał jej się niepokojąco znajomy, nie zamierzała dzielić się z nim życiowym sekretem babki, czyli Księgą Uczonych. Jednak żeby udać się na poszukiwanie reszty

swojego dziedzictwa, musiała się dowiedzieć o tych stronach więcej. Teraz grała w ciuciubabkę, a cena porażki była wysoka.

„Nie ufaj żadnemu mężczyźnie.”

Patrzył na jej zmrużone oczy i pełne wargi.

- Ciężko pracować z kimś, kto ci nie ufa.

- Zaufanie nie jest dla mnie problemem - odparła dobitnie. -

Zawsze pracuję sama.

- Tak jak ja.

- Więc dlatego przybyłeś tu dzisiaj? Żeby być tu samemu?

Erik z niechęcią musiał przyznać, że Serena jest nie tylko atrakcyjna, lecz także inteligentna.

- Nie odbierasz telefonów.

- I co z tego?

- Chciałem zobaczyć te karty. Nie mogłem, więc wybrałem się tutaj.

- Jak znalazłeś adres mojej babki? - zapytała Serena, bezceremonialnie.

- Przez Rarities.

- A jak odszukała go Rarities? - zapytała przez zaciśnięte zęby.

- Zapytaj...

- Danę - przerwała mu ostro. Uśmiechnął się.

- Zgadza się.

Pomyślała o złotym wilku. Nie o takim, który uwodzi panienki. O takim, który je zjada na kolację.

- Jesteś tutaj. Ona nie.

- To da się zmienić.

- Nic mi nie powiesz, prawda?

- Potraktuj to jak branżową tajemnicę.

- Potraktuj mnie jak swoją dobrą wróżkę - odcięła się.

Jego uśmiech zmienił się - był cieplejszy. Ale przez to wcale nie przestała czuć się jak ścigana zwierzyna.

- Jest w tobie coś z elfa - przyznał po chwili.

Wydała odgłos wyrażający niesmak i otrzepała swoje zakurzone dżinsy.

- Spróbuj jeszcze raz. Mam prawie metr osiemdziesiąt wzrostu. Za dużo jak na elfa.

- No to coś z wiedźmy. Nie. Czarodziejki. Wiedźmy mają czarne włosy i nieświeży oddech. Wszystko przez te potrawki z ropuch.

Usiłowała się nie uśmiechać, ale widząc wesołe iskierki w jego oczach domyśliła się, że nie zdoła go nabrać. W roztargnieniu przejechała opuszkami palców po szalu, który miała na szyi i który unosił się przy najlżejszym podmuchu.

- Znasz dużo wiedźm?

- Na marginesach jest ich pełno.

- Tu już się zgubiłam. Wyciągnął do niej dłoń.

- Znalazłaś mnie. Więc teraz mnie stąd wyprowadź.

Zanim uświadomiła sobie, co robi, wzięła go za rękę. Wyszarpnęła palce z cichym jękiem.

- Nie zarażam - powiedział.

- Jesteś zbyt czarujący.

- To kolejny pierwszy raz - roześmiał się głośno.

- Jakie marginesy? - zagadnęła Serena.

Zamrugnął powiekami. Postanowił za wszelką cenę podtrzymać rozmowę, choćby nawet zbaczała na niebezpieczne tory.

- Marginesy?

- Te, na których są wiedźmy - rzuciła zniecierpliwiona.

- Chodzi o średniowieczne manuskrypty.

- Aha. - Zmarszczyła brwi i w roztargnieniu chwyciła szal, który zdawał się mieć swoją własną wolę, ciągle bowiem unosił się i lepił do koszuli Erika. - Na moich kartach nie zauważyłam żadnych wiedźm.

- Oczywiście, nie chodzi o złe wiedźmy z bajek. Spiczaste kapelusze pojawiły się później. Na twoich kartach występowałyby zapewne wiedźmy uczone. Albo, jak nazywali je uczeni, glendruidki.

Serena westchnęła tak głęboko, że zafalowały kosmyki włosów, które wymknęły się z jej warkocza. Przy okazji również poruszył się szal. Schwyciła powiewający koniec, by znów nie zanurzył się w wycięciu koszuli Erika.

- Inteligentne wiedźmy? Może odrobinę szkockiej? Bo, co prawda, wygląda na to, że mówisz po angielsku, ale...

- Szkockiej? - zapytał Erik, zdezorientowany.

- Tak. Wiesz: Glenmorangie, Glenfiddich, Glendruid, cokolwiek. Gatunki szkockiej whisky.

Rozbawiony, zastanawiał się, czy dawnym glendruidkom podobałoby się porównywanie ich do butelek szkockiej whisky.

- Skoro o tym mówisz, to ja mam identyczny problem, kiedy rozmawiam z tobą po angielsku. Może powinniśmy lepiej się poznać. Chcesz się przejść?

- Dokąd? - zapytała z niepokojem.

- Wróćmy do samochodów. Poczujesz się mniej zdenerwowana swoją samotnością, jeśli znajdziesz się w pobliżu czegoś, co da się zamknąć na klucz.

- Dlaczego tak uważasz?

- Wychowałem dwie młodsze siostry. A jak było z tobą?

- Jestem jedynaczką. Przyzwyczaiałam się do samotności. - W miejscu zamkniętym na klucz, poprawiała samą siebie w myślach.

- To by wiele wyjaśniało.

- Co takiego?

- Twój brak zaufania do bliźniego.

- Lektura gazet zapewnia wystarczająco dobre wyjaśnienie - odparła obojętnym tonem, chociaż teraz właśnie pomyślała o babce, uwięzionej i umierającej samotnie w podpalonym domu. - Drugi człowiek, o którym tyle czytasz w gazetach, przyprawiłby o mdłości nawet Pollyannę.

To rzekłszy, odwróciła się od Erika i zaczęła prowadzić go na skróty do chaty.

Szedł za nią i rozkoszował się widokiem. Słońce sprawiło, że włosy Sereny przybrały intrygujący ognisty odcień, który odbijał się na noszonym przez nią zalotnie szalu. Energiczny, swobodny krok kobiety świadczył o tym, że swoich pieszych wypraw nie ograniczała tylko do cementowych chodników. Sama powiedziała, że zdecydowanie nie jest typem elfa.

No, ale przecież on interesował się tymi delikatnymi maleństwami tylko ze względów naukowych. Podobały mu się kobiety, które śmiało kroczyły przez życie - i które kroczyłyby przez życie razem z nim, jeśli do czegoś by między nimi doszło.

Siostry zapewniały go, że kiedyś to się stanie. Według nich był zbyt apodyktyczny, żeby dało się z nim wytrzymać. Nawet się z nimi nie spierał. Ostatecznie, czy nie taki powinien być starszy brat, zwłaszcza jeśli musiał zastąpić dwóm nastoletnim siostrom zarówno matkę, jak i ojca?

Na szczęście żadna z jego sióstr nie poruszała się tak jak Serena. W przeciwnym razie musiałyby trzymać je na łańcuchu w piwnicy i

mierzyć z dwururki do tabunu ogarniętych podnieceniem mężczyzn. Obserwowanie Sereny poruszyłyby nawet posąg, a jemu daleko było do nieczułego, martwego przedmiotu.

To nieustanne seksualne ciśnienie strasznie działało Erikowi na nerwy. Już dawno miał za sobą etap nieustannej młodzieńczej chuci, kiedy miał erekcję na samą myśl o piersiach dziewczyny. W każdym razie powinien mieć ten etap za sobą. Co bowiem innego miałyby znaczyć siwe włosy, jakie dostrzegął na swojej lewej skroni?

Chyba nie warto się starzeć, jeśli z upływem lat człowiek nie staje się mądrzejszy.

Erik rozmyślnie odwrócił wzrok od lekko rozkołysanych bioder Sereny i skoncentrował się na otaczającej go pustyni. Kiedy szli, piasek chrzęścił pod ich stopami. Rośliny muskały ich ubrania z szelestem przypominającym szept. Gdzieś w górze przed nimi rozległo się ostrzegawcze nawoływanie przepiórki. Z daleka nadleciał jastrząb; zatoczywszy elegancką spiralę wylądował na kolczastej koronie drzewka Jozuego. Blask słoneczny był jak pieszczota, różnił się od brutalnego, zwalającego z nóg lipcowego żaru. Suche powietrze pachniało delikatnie, miało smak światła, przestrzeni i czasu. Prócz białych szlaczków, jakie pozostawiały na niebie samoloty, nie było tu innych śladów obecności człowieka. Erik i Serena mogli być ostatnimi ludźmi na Ziemi. Albo pierwszymi...

Jak zawsze, przestrzeń i samotność koły zszargane nerwy Erika, który nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest spięty. Nie pojmował, jak ludzie mogą żyć w betonowych kanionach miast i nie zwariować. Nawet senne, staroświeckie Palm Springs po pewnym czasie zaczynało mu działać na nerwy. Dana i, do pewnego stopnia, Niall byli inni. Nie potrafili zrozumieć, jak Erik może mieszkać na hollywoodzkim cmentarzu na skraju pustyni i nie dostać kompletnego bzika.

Erik uśmiechnął się do własnych myśli. To było w ludziach najciekawsze, że tak bardzo się między sobą różnili.

Przed nimi spomiędzy wypalonych ścian wyrósł komin, który przypominał pokryty sadzą grobowiec. Serena czekała na Erika, stojąc przy swoim samochodzie. Wyglądało, że traci resztki cierpliwości.

- Skoro nie śledziłeś mnie... - zaczęła.

- Nie śledziłem cię - przerwał jej w pół zdania.

- To dlaczego jechałeś tyle kilometrów kiepską drogą do spalonego domu mojej babki?

Rozdział 16

Przyjechałem, żeby się dowiedzieć, co mógłbym zrobić w sprawie Ellis Weaver - powiedział spokojnie Erik.

Serena uświadomiła sobie, że istotnie miał jeszcze wiele do odkrycia w związku z jej babką, na przykład to, że Ellis Weaver nie było jej prawdziwym nazwiskiem.

- Dlaczego?

- Nie odbierasz telefonów.

- A co to ma wspólnego ze śmiercią mojej babki? Popatrzył na nią z determinacją.

- Jaki może być związek między twoim nieodpowiedzialnym ignorowaniem telefonów i śmiercią Ellis Weaver?

Serena zacisnęła zęby.

- Po prostu odpowiedz na moje pytanie.

Zauważył napięcie na jej twarzy i uśmiechnął się dość ponuro.

- Nie widzę żadnego związku.

- Więc po co tutaj jesteś?

- Nie odbierasz...

- To już ustaliliśmy - przerwała bezceremonialnie.

- ... telefonów - dokończył. - Gdybyś to zrobiła, mógłbym umówić się na spotkanie, żeby zobaczyć te oryginały, albo przynajmniej zadać ci kilka pytań. Ale nie byłem w stanie się z tobą skontaktować, więc postanowiłem przyjechać tutaj, zobaczyć, czy uda mi się dowiedzieć czegokolwiek o kobiecie, która miała cztery kompletne arkusze z Księgi Uczonych i nikomu nie pozwalała ich obejrzeć.

- Księga Uczonych? - natychmiast zareagowała Serena, przypominając sobie zagadkowy list babki. - Ona wymieniła tylko tytuł tej księgi, nie chciała powiedzieć nic więcej. Co o niej wiesz?

- Hm, czegoś już się dowiedziałem. Ona nie zdawała sobie sprawy, co posiada. Albo co prawdopodobnie posiadała. Tego nie mogę być pewny, dopóki nie będę miał możliwości zobaczyć tych stron na własne oczy.

Obserwowała go bacznie, z niepokojem.

- Jeśli mi nie ufasz - dorzucił beznamiętnie - to po co w ogóle wysłałaś mi kopie tych stron?

Odetchnęła, odwróciła wzrok i zaoferowała mu część prawdy, tę, która nie miała znaczenia:

- Nie spodziewałam się, że poznam cię nad grobem mojej babki. To mnie trochę... zdenerwowało.

- Na pewno coś cię zdenerwowało - zgodził się cicho. Miał ochotę poprosić ją wprost, żeby mu pokazała strony, ale zdołał przewyciężyć zniecierpliwienie. Nie przypuszczał, że panowanie nad sobą okaże się takie trudne. Ta fiołkooka kobieta niebędąca elfem założyła mu za skórę skuteczniej niż kolce kaktusa. Nie oczekiwał od kobiet, by padały mu do stóp, ale nie oczekiwał też, że będą od niego uciekały - zwłaszcza kobieta, która nawet nie musiała się starać, żeby całkowicie zawrócić mu w głowie. - Czy byłabyś mniej zdenerwowana w innym otoczeniu?

W jego głosie było coś, co sprawiło, że aż się wzdrygnęła. Pomyślała jednak, że chyba nie powinna mu mieć za złe zniecierpliwienia. W końcu pierwsza nawiązała z nim kontakt.

- Nie.

Przynajmniej ta odpowiedź była całkowicie prawdziwa. Serena zdawała sobie sprawę, że nie zazna spokoju, póki się nie dowie, czy strony zostały sfalszowane, i czy poszukiwanie resztek rodzinnego dziedzictwa doprowadziło do śmierci Lisbeth.

Jej babka znajdowała się we własnym domu i nic dobrego z tego nie wynikło.

Serena westchnęła głośno.

- Tu jest równie dobrze jak gdzie indziej. - Zrobiła gest ręką, jakby odgradzała się od Erika, a jednocześnie go przeproszała. - Co chcesz wiedzieć o babce?

Już otwierał usta, żeby zapytać Serenę o pozostałe karty z Księgi Uczonych, ale po chwili się rozmyślił. Ilekroć mówiła o swojej babce, oprócz niepokoju w jej oczach pojawiał się smutek.

- Jaka ona była?

Nie tylko suchy wiatr sprawił, że Serena miała zaczerwienione oczy.

- Była typem samotnicy.

- Żadnych przyjaciół.

- Żadnych. - Ale zaraz przypomniała sobie o prawniku. - Może Morton Hingham. Był jej adwokatem.

- Twoja matka była córką pani Weaver czy jej synową?

- Córką.

- Nie były ze sobą zżyte?

- Trudno żeby były. Marilyn Charters uciekła stąd, kiedy miała siedemnaście lat. Dołączyła do komuny hipisowskiej, paliła marihuanę, zaszła w ciążę, urodziła mnie, miała straszny odłot narkotykowy, wbiegła pod samochód i zginęła.

- Ile miałaś lat?

- Pięć. Nie pamiętam jej zbyt dobrze, z wyjątkiem tego, że miała długie, ognistorude włosy, które wyglądały przepięknie w blasku świateł. Nauczyła mnie tkąć i sprzedawała moje bransoletki, żeby zarobić pieniądze.

Erik oczyma wyobraźni widział młodą kobietę o ognistych włosach sięgających do bioder, czujnych, fiołkowych oczach i warsztatem tkackim przed sobą - ta wizja przeszła go jak lodowata błyskawica.

„Stała i obserwowała go właśnie w taki sposób, jakby nie była pewna, czy on zamierza ją zabić.”

Poczuł, że ciarki przechodzą mu po plecach, i starał się odsunąć dziwne wspomnienie. Nie, to nie mogło być wspomnienie. Nigdy wcześniej nie widział takiego warsztatu tkackiego, chyba tylko w wyobraźni. A już na pewno nie widział Sereny z sięgającymi aż do bioder włosami, tworzącymi ognistorudą zasłonę.

Weź się w garść, zganij siebie surowo. Serena ma zły wpływ na to, co się dzieje z twoim mózgiem.

Popatrzył na nią uważnie. Najwyraźniej uczucia, jakie istniały między matką i córką, już dawno wykroczyły poza etap żałoby czy gniewu. Kiedy mówiła o matce, w jej wyrazie twarzy i głosie nie było niczego poza miernym zainteresowaniem.

- A co z twoim ojcem? - zapytał Erik.

- Byłam, jak to się określa, „dzieckiem miłości”. - Jej wargi skrzywiły się cynicznie. — Miłość nie miała z tym nic wspólnego. Dlatego też moi rodzice nie pobrali się. Nie byli nawet zaręczeni, łączył ich tylko seks, i to nie na prawach wyłączności. Miałam wielu „wujków”. Ale co to ma wspólnego z kartami?

- Myślę, że być może nie doceniasz uczuć swoich rodziców.

Dumnie uniesiony podbródek Sereny sugerował, że nie zgadzała się z nim w tej kwestii.

- Przybrała jego nazwisko - zauważył Erik. - Wiele kobiet tego nie robi, nawet jeśli biorą ślub.

- O czym ty mówisz? Ona wcale nie przybrała jego nazwiska.

- Twoja matka nie zmieniła nazwiska?
- Zgadza się - odparła lakonicznie Serena.
- Ciekawe.
- Dlaczego? Większość niezamężnych matek zostaje przy nazwisku panieńskim.
- Czy twoja matka wyszła potem za mąż?
- Nigdy.
- A twoja babka brała ślub więcej niż jeden raz?
- Nie. - Serena rzuciła mu poirytowane spojrzenie. - Babcia twierdziła, że mama była prawowitym dzieckiem. Ja nie. Jeszcze jakieś pytania?

- Tak. Dlaczego twoja babcia i mama miały inne nazwiska?

Serena uświadomiła sobie, zbyt późno, dokąd doprowadziły ją pytania Erika. W duchu przeprosiła babkę za wydanie tajemnicy, którą zabrała do grobu. Ale z drugiej strony, czy ta tajemnica miała jeszcze jakieś znaczenie? Babka nie żyła. Podobnie jak jej matka.

- Babcia miała obsesję na punkcie prywatności - wyjaśniła. - Wychowywała Marilyn, moją matkę, pod nazwiskiem Weaver, ale kiedy moja matka uciekła, zmieniła swoje nazwisko na Charters. I dlatego od tamtej pory moja babka nie zamieniła z nią ani słowa.

Kobieta, która wybrała nazwisko Weaver, wyraźnie dała do zrozumienia swojej upartej wnuczce - która chciała nazywać się Serena Charters - że nikt nie ma prawa wypytywać ją, skąd się wzięła Ellis Weaver i czy miała jeszcze jakieś inne nazwiska. Dla świata zewnętrznego Serena nosiła nazwisko Charters, bo tak nazywał się jej ojciec. A przynajmniej takim kłamstwem poczęstował dziewczynę, którą uwiódł i porzucił.

I właśnie taką wersję wydarzeń podawały obcym ludziom.

Dla Sereny nie miało to większego znaczenia. Liczyło się tylko to, że mogła zachować jedyną część matki, na jaką pozwalał czas i okoliczności - jej nazwisko. Nawet teraz trudno jej było przełamać głęboko zakorzenioną chęć dochowania tajemnicy. Zwłaszcza teraz, kiedy wciąż brzmiało w jej uszach ostrzeżenie babki. „Nie ufaj żadnemu mężczyźnie.”

Erik bez wątplenia był mężczyzną.

Erik rozglądał się dookoła z roztargnieniem, spodziewając się, że Serena będzie kontynuowała swoją opowieść. Nie doczekawszy się, spytał:

- I co dalej?

- Kupiła tę ziemię na panięskie nazwisko swojej własnej babki, Weaver.

- A zatem jej mąż nosił nazwisko Charters, a ona po prostu zmieniła je na Weaver, kiedy się tu przeprowadziła?

- Nie wiem. Nigdy nie wspominała o swoim mężu. Ani razu. - Serena wzruszyła ramionami; pomyślała, że nie zna Erika wystarczająco dobrze, by wyjawić mu nazwisko Lisbeth Charters. - Moim zdaniem nigdy nie wyszła za mąż, pomimo że nosiła na palcu ślubną obrączkę.

- Niedaleko pada jabłko od jabłoni - zasugerował ironicznie.

- Może. Czy to ma jakieś znaczenie?

Tylko dla Faktoida i jego komputerowych poszukiwań, pomyślał Erik. Ale nie miał zamiaru wypowiadać tej myśli na głos.

- Pochodzenie ma duży wpływ na wycenę. Żeby prześledzić pochodzenie twojego spadku, muszę wiedzieć, jakiego nazwiska mam szukać na fakturach.

Serenie przyszło do głowy, że w swoim liście nie wspominała, w jaki sposób weszła w posiadanie tych stron.

- Skąd wiesz, że je odziedziczyłam?

Powiedział mu o tym Norman Warrick, ale Erik uznał, że w tym momencie nie powinien się do tego przyznawać. Już i tak powiedział zbyt dużo. Był tak zaabsorbowany oczyma Sereny, jej zmysłowym głosem i długimi nogami, że popełnił błąd, jaki nie przydarzyłby się nawet amatorowi.

- Logiczne założenie - odparł. - Czyżby było nieprawidłowe?

- Dlaczego logiczne?

- Na rynku nie było tego rodzaju kart nawet w czasach, kiedy ciębie nie było na świecie.

- Skąd wiesz?

- Moja praca polega na tym, żeby wiedzieć takie rzeczy. Odziedziczyłaś te strony po swojej babce? Tak czy nie, Sereno? Jeżeli nie ufasz mi tak bardzo, że nie możesz odpowiedzieć nawet na takie pytanie, to oboje marnujemy czas.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Tak, odziedziczyłam je po mojej babce. Westchnął głośno.

- Postęp.

- Mówisz to takim tonem, jakbym sprawiała tobie takie same trudności jak ty mnie.

- W takim razie nie idzie mi najlepiej. W życiu nie pomyślałbym, że będziesz robiła takie trudności.

Wyszczrzyła swoje białutkie zęby w szerokim uśmiechu.

' - Niektóre rzeczy nie wymagają myślenia. W twoim przypadku jedną z nich jest sprawianie trudności.

Za wszelką cenę starając się zachować cierpliwość, znowu zaczął drażnić interesującą go kwestię.

- Twoja babka kupiła ten dom na przybrane nazwisko, zgadza się?

- Kupiła tę ziemię. Całą resztę, którą widzisz, osiągnęła pracą. Ten dom zbudowała własnymi rękami.

Erik odwrócił się i spojrzał na domek zupełnie innymi oczyma, w zupełnie inny sposób. Podszedł do jednej z ocalałych chropowatych ścian i zaczął jej się przyglądać uważnie. Powstała z tutejszych skał, cementu i łoż. Ale babka Sereny nie była zwariowaną ascetką znajdującą szczęście w brzydocie własnej roboty. Wyszukała bogate w żelazo skały i użyła ich do budowy ścian. Rdzawa czerwień skał tworzyła przyjemny wzór na tle zwyczajnego jasnego granitu. Przypominało to trochę bardzo prostą robotę tkacką.

- Musiała być niezwykłą kobietą - stwierdził.

- Dlaczego to mówisz?

- Najwyraźniej żyła ubogo, a jednak poświęciła mnóstwo czasu i wysiłku, żeby ściany jej domu były czymś więcej niż tylko podporami dachu.

Serena spojrzała na wzór, po którym Erik wodził długimi palcami, palcami poety, kapłana albo pianisty. Ale wiedziała, jak szybkie i silne potrafią być te zwodniczo delikatne, piękne ręce. Wszak niedawno chwycił ją nimi, uratował przed upadkiem i przyciskał do twardej skały, póki nie odzyskała równowagi i mogła bezpiecznie, bez pomocy, kontynuować wspinaczkę.

W tamtej chwili twarda była nie tylko skała. Na wspomnienie nieoczekiwanej seksualnej intymności wciąż robiło jej się gorąco. Nie była świętoszką, ale też nie zaliczała się do dziewczyn rozrywkowych. Silna, kobieca reakcja na obcego mężczyznę wywoływała u niej na przemian niepokój i zaciekawienie.

- Moja babka uwielbiała wzory. I właśnie dlatego kochała tkactwo. Z kłębka nitek potrafiła stworzyć piękno. - Wypowiadając te słowa, Serena pieściła materiał wokół szyi, jakby sama obecność szala dawała jej pociechę. Po kilku chwilach przeszła przez próg chatki, po raz pierwszy od czasu, kiedy Lisbeth została zamordowana. - Tutaj, w rogu, gdzie padało światło z północnego okna, stał jej warsztat tkacki. Mówiła, że to mądre światło, uczone światło.

Erik znieruchomiał, ale zanim zdążył się odezwać, Serena mówiła już dalej:

- Kiedy pytałam, w jaki sposób światło może być uczone, babcia nic nie mówiła, tylko nadal tkiała - powiedziała Serena.

Serena uklękła w pyle wśród zwęglonych odłamków, które niegdyś tworzyły warsztat tkacki babki. Tyle wspomnień... lampy naftowe zamieniające noc w złoto, strugi chłodnej wody, kiedy naciskała długą rączkę pompy, zapach pieczonego chleba, oszałamiający wysyp gwiazd o północy, świt w krainie wypełnionej po brzegi czarnym aksamitem i ciszą, rozpalony do białości ciężar letniego słońca w południe, kiedy płonęły nawet cienie.

- To wszystko, co powiedziała o Uczonych? - zapytał wreszcie Erik. Dłoń Sereny zastygła w popiołach dzieciństwa. Jej palce zacisnęły się na

jednym z wypalonych na kamień czółenek, na które niegdyś była nawijana jasna przędza. Serena zadrżała, jakby ktoś spacerował po jej grobie. Ale to był grób jej babki i to ona sama zakłócała jego spokój. Rozwarła palce. Zostawiła skamieniałe czółenko w miejscu, w którym je znalazła; leżało teraz pośród innych czółenek w zgliszczach tego, co kiedyś było życiem.

- Uczonych? - zagadnęła Serena pełnym bólu głosem.

- Mówiła ci coś o uczonym świetle. - Pomimo zniecierpliwienia Erik mówił łagodnym głosem, bo jej oczy przypominały zmierzch, który zmienia się w coraz głębszy mrok.

- Uczonym świetle - machinalnie powtórzyła Serena. W końcu jednak coś sobie przypomniała. - Księga Uczonych. - Księga, z której miały pochodzić jej piękne karty, chyba że zostały sfalszowane, albo cała księga została sfalszowana, albo wiele innych rzeczy było kłamstwami, choć nawet tego nie podejrzewała. - Już o to pytałeś.

- Tak.

- Wierzysz, że z niej pochodzą moje karty.

- Możliwe. - Niemal pewne, Erik poprawił się w myślach. Ale o tym również nie był jeszcze gotów rozmawiać.

- Babcia też tak myślała. Nazywała Księgę Uczonych swoim dziedzictwem. Powiedziała mi, że straciła to dziedzictwo. I próbowała je odzyskać przed śmiercią.

- Jak długo przed śmiercią? - Erik zapytał ostrym głosem, chociaż wiedział, że powinien lepiej panować nad emocjami. Życie i śmierć Ellis Weaver zaczynały się układać w odpychający wzór.

Serena nie odpowiedziała mu na to pytanie. Zastanawiała się, czy warto było zabić za garstkę sfałszowanych stronic. Zastanawiała się nad tym nie pierwszy raz od momentu, gdy przeczytała list od babki, i wiedziała, że jeszcze nieraz będzie o tym rozmyślać.

I zawsze będzie ją przenikał chłód.

Zbocze wzgórza owiewał popołudniowy wiatr, który dosięgał szczytków chaty i Lisbeth Charters, znanej świata jako Ellis Weaver.

Pomimo słonecznej pogody Serena czuła, że robi jej się coraz zimniej. Wytarła ubrudzone sadzą z kamiennego czółenka palce o dżinsy: pocierała je tak mocno, że przez moment poczuła ciepło. Świadomość, że jej babka została zamordowana z premedytacją w związku z Księgą Uczonych, a nie w przyпіływie szaleństwa, była trudna do zniesienia.

Zrozumiała bowiem, że jeśli taka jest prawda, ona będzie kolejną ofiarą.

Pomyślała z goryczą, że byłoby lepiej, gdyby babka zostawiła jej w spadku coś bardziej przydatnego niż tylko ostrzeżenie i fałszywe nazwisko.

Rozdział 17

Serena? - zapytał Erik, klękając obok niej na zimnej, kamiennej posadzce. - Dobrze się czujesz?

Próbowała coś odpowiedzieć. Miała wyschnięte usta. Kilkakrotnie przełknęła ślinę, ale to nie pomogło. Miała wrażenie, że jeśli otworzy usta, wysypie się z nich piasek.

Dotknął dłonią jej policzka. Był zaszokowany chłodem jej skóry.

- Co się stało, kochanie?

Mówił cichym, łagodnym głosem, dokładnie tak, jak w chwilach, gdy któraś z jego sióstr budziła się w nocy z płaczem, a wówczas szedł do jej pokoju i przytulał ją, aż senny koszmar mijał.

Serena zamknęła oczy i czuła, że ciepło ręki Erika przenika jej ciało, uwalnia ją od strachu.

- To jest jej grób. Nie chcę, żeby był moim grobem. Ledwo rozpoznał jej ochrypły głos.

- Dlaczego miałby być twoim grobem? - zapytał rzeczowym tonem.

- A dlaczego nie? - Z jej głosu przebijało ogromne napięcie. Zacerpnęła głęboko powietrza i dotknęła starej tkaniny, którą również odziedziczyła. - Zresztą nieważne. Po prostu jestem...

Erik czekał, co powie, zastanawiając się, czy Serena zdaje sobie sprawę, że opiera się na jego ręce, jakby była ogniem, a ona sama zamarzała.

- Po prostu kim? - zagadnął, kiedy umilkła.

Po prostu idiotką, pomyślała. Im więcej się dowiaduję, tym bardziej wierzę, że śmierć babci nie była przypadkowa. A tymczasem klęczę na jej grobie w objęciach obcego mężczyzny. Mężczyzny, który wie o zaginionej Księdze Uczonych.

Ciekawe, czy on wie także, jak się robi bomby z benzyny.

Serena zerwała się na równe nogi i odsunęła się od Erika z szybkością, która uświadomiła mu, że jeśli chodzi o zaufanie, znowu znaleźli się w punkcie wyjścia. Sam również wstał, czując przypływ energii, a może raczej gniewu.

- Powiedziałem coś nie tak? - zapytał zgryźliwie.

- O czym mówisz?

- O tobie. O mnie. O zaufaniu.

- Nie znam cię wystarczająco dobrze, żeby ci ufać.

- I nawzajem - zauważył.

Przez chwilę wydawała się speszona. Wzruszyła ramionami.

- Oczywiście. Ale ty jesteś ode mnie o wiele wyższy, a poza tym twoja babka nie została zamordowana.

Erik w milczeniu przetrwał to, czego Serena nie ujęła w słowach.

- Dlaczego ciągle do tego wracasz? Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Że jesteś ode mnie wyższy?

Machnął ręką ze zniecierpliwieniem, jakby chciał zapomnieć o czymś nieistotnym.

- Zachowujesz się, jakby zamordowanie przed rokiem twojej babki zagrażało ci teraz bezpośrednio. Dlaczego?

- Już ci mówiłam, że jestem nerwowa. - Skrzyżowała ręce na piersiach. Na co przyda się ostrzeżenie, jeśli je zlekceważysz? - Wyjeżdżam. Nic tu po mnie.

- Dobrze. Mam wrażenie, że dobrze by ci zrobiła filiżanka kawy po irlandzku i długa kąpiel w źródle.

- Miejsce, w którym mieszkam, nie ma źródła.

- U mnie jest.

- Szczęściarz z ciebie.

- Masz telefon komórkowy?

- Nie.

Mając nadzieję, że Serena nie wie, że w tym miejscu nie ma zasięgu, wyciągnął swój komunikator ze skórzanej kabury na plecach.

- Proszę. Dzwon na policję. Podaj im moje imię, nazwisko oraz numer prawa jazdy i powiedz, że jeśli nie będziesz się z nimi kontaktowała co kwadrans, powinni wysłać oddział szybkiego reagowania.

Nie mogła się powstrzymać i wybuchnęła śmiechem.

- Mówię poważnie - rzekł beznamiętnie. - Chcę, żebyś wiedziała, że ze mną jesteś bezpieczna. A najszybciej przekonasz się o tym, jeśli spędzimy więcej czasu razem.

Wpatrywał się w nią intensywnie piwnymi oczyma, których inteligencja wcale nie uśmierzała jej niepokojów. Ten mężczyzna przywykł, że dostaje wszystko, co chce. Zupełnie jak Norman Warrick.

O dziwo, to porównanie sprawiło, że Serena poczuła się lepiej. Erik mógł być równie zdeterminowany jak Warrick, ale trudno go

uznać za despotę. I próbował ją pocieszyć delikatnie, co dopiero teraz zaczynała doceniać. Mimo głęboko zakorzenionej nieufności, stwierdziła, że chciałaby dowiedzieć się czegoś więcej o tym obcym, a jednak dziwnie znajomym mężczyźnie.

- Dlaczego? - zapytała. - Myślisz, że nie pozwolę ci spojrzeć na karty, dopóki ci nie zaufam?

- Po części tak.

- A pozostała część?

- Chcę, żebyś...

- Żebyś mi zaufała - przerwała mu w pół zdania. - Już mi to mówiłeś. Pokręcił głową.

- Chcę ciebie. I kropka. Otworzyła szeroko oczy.

- Ale masz minę... - Odchylił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. - Myślisz, że dostaję erekcji za każdym razem, gdy jakaś kobieta otrze się o mnie? Zapewniam cię, że ten etap mam już dawno za sobą.

Serenę piekły policzki. W duchu przeklinała swoje niedające się kontrolować rumieńce, ale nie dała się zbić z pantałyku.

- Nie mogę uwierzyć, że o tym mówimy.

- My o tym nie mówimy, tylko ja.

- Nie znam cię dostatecznie dobrze.

- A czyja to wina?

- Losu - odcięła się. - Znamy się niecałą godzinę.

- Ale w tym czasie uratowałem cię przed groźnym upadkiem, miałem erekcję, od której rozboleł mnie brzuch, ponadto dowiedziałem się, że boisz się, że zostaniesz zamordowana jak twoja babka. Czy mamy lepiej się poznać, żeby móc rozmawiać o czymś tak normalnym jak seks?

- Zapomniałeś powiedzieć, że szedłeś za mną po skale i śmiertelnie mnie przeraziłeś.

- To drobiazg.

Serena przygryzła wargę.

- Jesteś szybki w gębie.

- Daj mi powód, żebym zwolnił tempo.

Westchnęła, jakby miała się roześmiać, a raczej jakby dawała za wygraną. Im dłużej przebywała z Erikiem, tym większej nabierała pewności, że już kiedyś go widziała, że już skądś go zna. A jednak za każdym razem, gdy próbowała dokładnie ustalić czas, miejsce i

okoliczności spotkania, wszystko się gdzieś ulatniało. Zupełnie jakby w jej umyśle krystalizował się pomysł na wzór tkaniny - bardzo konkretny, a jednocześnie zupełnie nierzeczywisty.

I postąpiła tak, jak zawsze gdy prześladował ją nie całkiem uformowany wzór. Pozwalała, żeby tworzył się w naturalny, niewymuszony sposób, i spokojnie czekała na efekty.

Pomyślała, że jeśli nie spodoba jej się ta sytuacja, zawsze będzie mogła się z niej wycofać.

- A może zawrzemy rozejm zapoznawczy? - zaproponowała.

- Interesujące. Więc uważasz, że jesteśmy w stanie wojny...

Chciała zaprzeczyć. Jednak ta część Sereny, która zdawała się pamiętać Erika, nie była skłonna do tak stanowczej reakcji. Wahanie, jakiego doświadczała, było dla niej równie szokujące, jak owo absurdalne poczucie, że skądś się znają.

- Zapytaj mnie o to, jak się lepiej poznamy - powiedziała w końcu.

Chciał wymusić na niej więcej. Pomyślał jednak o niezłomnej samowystarczalnej starej kobiecie, która samotnie wychowywała swoją wnuczkę w sercu tej pięknej pustyni. Nic dziwnego, że Serena miała podejrzliwość we krwi.

- Zrobię to - powiedział. - Czy mogę ci zaufać, że pojedziesz za mną do mojego domu, czy mam jechać za tobą?

- Wywierasz na mnie presję.

- Zaczynaj przejmować inicjatywę.

- A gdybym powiedziała, że nie jestem zainteresowana? - zapytała.

- To bym odparł, że nie masz kontaktu z własnym ciałem.

- Jesteś arogancki.

- Widzisz, wciąż lepiej się poznajemy. Jedziemy do mnie czy do ciebie?

- A gdybym nie miała stronic z Księgi Uczonych? - zapytała bez namysłu.

- Wówczas byśmy się nie poznali, a to byłaby wielka szkoda. Ale masz je i poznaliśmy się, więc jedyne, co nam zostało, to iść naprzód.

- Przerabiałam to. Przerażające.

- Już ustaliliśmy, że łatwo cię przestraszyć. - Erik się uśmiechnął.

- Wiesz co? Pokażę ci moje arkusze, jeżeli ty pokażesz mi swoje.

- Arkusze?

- Stronice. Takie w iluminowanych manuskryptach.
- Masz jakieś?
- Kilka. - Zrobił pauzę. - Sto - dorzucił. Wytrzeszczyła oczy.
- Ciągłe zapominam.
- O czym?
- O tym, że jesteś znawcą iluminowanych manuskryptów. A naprawdę na takiego nie wyglądasz.
- Nie mam na czole złotej cynfolii? - zapytał ironicznie.
- Nie masz wątych ramion i nie garbisz się jak uczonec.
- Przykro mi, że cię rozczarowuję.

Zignorowanie tej uwagi było lepsze niż przyznanie, że wcale nie czuła się rozczarowana.

- Jedziemy do ciebie - zdecydowała. - To krótsza droga niż do mnie.
- Skąd wiesz?
- Mówił mi o tym adwokat babki.

Erik już miał zapytać, czy u niego zdeponowała karty, ale postanowił nie naciskać jej zbyt mocno.

Przynajmniej na razie.

Rozdział 18

Manhattan, czwartek po południu

Manhattan owijał się wokół głównej siedziby House of Warrick niczym betonowa anakonda. Ryk syren i niecierpliwe, niezgodne z przepisami dźwięki klaksonów zapowiadały, że poza budynkiem życie toczy się normalnie. W środku również nie działo się nic niezwykłego. Garrison Warrick siedział wygodnie oparty na swoim szarym, skórzanym fotelu i patrzył na telefon w odcieniu ostrygowym tak, jakby aparat tykał, a nie dzwonił.

Czerwona kontrolka na telefonie mrugała równomiernie, jak puls zdrowego człowieka. Właśnie trzykrotnie zaświeciło się kolejne światełko, jakby chciało powiedzieć: „No dobrze, jesteś głuchy. Z twoim wzrokiem też coś jest nie tak?”

Zabrzączał interkom na jego biurku. Ponieważ dziadek nie przyjechał z rodziną do Nowego Jorku, Garrison uznał, że nic się nie stanie, jeśli odbierze.

- Tak? - powiedział.

- Przepraszam, sir. - Jego rzekomo brytyjska asystentka przesadnie przeciągała samogłoski, prawdopodobnie dlatego, że związek Sheili ze starą poczciwą Anglią ograniczał się do powieszenia stosownej mapy na ścianie gabinetu. - Ma pan telefon na linii...

- Dziadek? - przerwał jej krótko.

- Nie. Pan Warrick nadal jest na dwójce. A raczej jego asystent. Szybko pulsujące światełko kontrolki nagle przestało mrugać. Garrison

wydał westchnienie ulgi. Najwyraźniej asystent starego drania zrozumiał aluzję i rozłączył się. Drugie światełko nadal leniwie pulsowało.

- Kto jest jeszcze na linii?

- Pani Risa Sheridan.

- Sheridan, Sheridan - mruknął Garrison. Nic mu nie przychodziło do głowy, prawdopodobnie dlatego, że wciąż myślał o swoim pełnym obsesji, upartym dziadku. - Czy ją znam?

- Towarzysko?

Garrison spojrzał na sufit. Głos i ciało Sheili prezentowały się pierwszorzędne, ale jej mózg nie zawsze funkcjonował należycie.

- Zawodowo.

- House of Warrick sprzedał jej kilka wyrobów ze szczerego złota - odparła oficjalnym tonem Sheila.

- Kolekcjonerka?

- Kuratorka kolekcjonera.

Garrison sięgnął po resztkę swojej kawy z lunchu, przełknął łyk i skrzywił się niemiłosiernie. Liczył, że kiedyś w końcu pojmie, iż po rejsach międzykontynentalnych miewa się dwa razy większego kaca. Skoro lata spędzone w wywiadzie wojskowym nie nauczyły go, jaką cenę płaci się za brak umiarkowania, wątpliwe, by taką szansę dały mu wygodne przeloty pasażerskie.

- Kto jest jej szefem? - zapytał, przetykając ślinę. Miał w ustach posmak, którego nie była w stanie zlikwidować nawet ta okropna kawa.

- Shane Tannahill.

- Och, ta Sheridan. Jasne. Risa. Czarne włosy i... - Urwał w pół zdania. Risa była zbudowana jak marzenie każdego nastolatka i miała usta, które

każdego mężczyznę skłoniłyby do grzechu, ale Garrison nie sądził, żeby jego nienagannie słuźbista asystentka chciała wysłuchiwać tego rodzaju informacji. W każdym razie nie w godzinach pracy. Po godzinach słodka Sheila potrafiła przejść samą siebie. Była tak utalentowaną i energiczną kobietką, że mężczyzna mógł jej wybaczyć niezbyt imponujący iloraz inteligencji. Risa stanowiła jej przeciwieństwo, przynajmniej jeśli chodzi o poziom umysłu. Nigdy nie miał okazji sprawdzić jej w sypialni, toteż trudno mu było powiedzieć coś o jej talentach seksualnych.

- ..trochę jakby południowy akcent, zgadza się? - zapytał.

- Ach, tak to się nazywa, sir? Bo mnie się wydawało, że ona ma w buzi zimną owsiankę.

Kiedy Garrison usłyszał lekko ironiczny ton w głosie swojej asystentki, postanowił, że nie spotka się z nią na nocną przekąskę w hotelu w centrum miasta. Sheila stawiała się zaborcza. Nie potrzebował tego rodzaju uczuć u kochanki na godziny, bez względu na jej talenty. Miał już serdecznie dość tłamszenia i emocjonalnego szantażu ze strony matki. Właśnie to popchnęło go w objęcia armii w wieku osiemnastu lat, aż w końcu uświadomił sobie, że powtarzanie: „Tak jest!” niezbyt się różni od przytakiwania matce.

Wygładził jedwabny szkolny krawat na starannie wykrochmalonej białej koszuli, poprawił marynarkę z francuskiej wełny i powiedział:

- Dzięki, Sheila. Odbiorę tę rozmowę.

Wcisnął mrugający klawisz, przełączył rozmowę na głośniki i oparł się w fotelu. Mikrofon był tak wrażliwy, że wyłapywał wycie syren na ulicy, a co dopiero wyraźnie wypowiedane przez niego słowa.

- Pani Sheridan, cóż za miła niespodzianka. Co mogę dla pani zrobić?

- Właściwie chodzi raczej o to, co mógłby pan zrobić dla mojego szefa, Shane'a Tannahilla.

- Ach, tak. Złote Runo. Zdaje mi się, że w zeszłym tygodniu czytałem coś w „New York Times” na temat najnowszego kasyna w Las Vegas.

- Artykuł napisany wyniosłym tonem, jak mniemam?

- Zdecydowanie.

- Świetnie. Nic nie wkurza znawców sztuki bardziej niż ktoś, kto ma mnóstwo pieniędzy i kolekcjonuje dzieła, jakich oni nie akceptują. Garrison roześmiał się.

- Na szczęście House of Warrick nie ogranicza się do wysokiej sztuki Manhattanu.

Na drugim końcu linii Risa Sheridan zdobyła się na profesjonalny śmiech uznania i popatrzyła na swojego szefa.

Shane Tannahill obserwował ją oczyma barwy ciemnozielonego jadeitu. Bawełniana koszula z długimi rękawami idealnie do nich pasowała, a spodnie miały dokładnie ten sam odcień ciemnego brązu co jego włosy. W każdej chwili mógł się odezwać i zdradzić Garrisonowi swoją obecność, ale postanowił tego nie robić. Był tu po to, by ocenić, jak układa się rozmowa Risy z uroczym dziedzicem House of Warrick. Pewien stopień bliskości jest dla interesów korzystny. Zbyt duża bliskość może spowodować straty finansowe.

I to duże.

- Może nie ogranicza się do wysokiej sztuki, ale do wysokich kosztów - stwierdziła ironicznie Risa.

- Oczywiście. Pierwsze, czego nauczyłem się w wojsku: bieda nie przynosi zysków.

Tym razem roześmiała się mniej profesjonalnie. Nie była pewna, czy lubi Garrisona Warricka, ale musiała przyznać, że potrafi być zabawny. Jego pogodny kapitalizm stanowił miłą odmianę w stosunku do świętoszkowatej postawy niektórych właścicieli galerii, którzy sprzedawali status kulturowy po zawyżonych cenach nuworyszom i nieuleczalnym frajerom.

- Możemy oboje osiągnąć zysk dzięki pewnej interesującej pogłosce, jaka do mnie dotarła - powiedziała Risa. - Jeżeli nie zajmie to panu zbyt dużo cennego czasu...

Uprzejmie podjął wątek.

- Zawsze mam czas na słuchanie pogłosek. To przecież istota rynku sztuki. Co pani ma?

- Chodzi raczej o to, co pan ma. Zna pan galerię złota, którą przygotowuje pan Tannahill dla kasyna?

- Chyba wszyscy ją znają? Miałem nadzieję, że będzie pani potrzebowała czegoś, czego nie są w stanie zapewnić... hm... zasoby pana Tannahilla. Jeśli tak, House of Warrick jest gotów dostarczyć wszystko, czego pani potrzebuje. I, oczywiście, wszelkie zakupy, jakie poczynimy na pani rzecz, będą w pełni gwarantowane naszą znakomitą reputacją. Nieskazitelne pochodzenie to nasza specjalność.

Shane uniósł swe czarne brwi. Wprawdzie Garrison nie wyraził tego wprost, ale słowa, jakich użył, oraz ton jego głosu z pewnością sugerowały, że niektóre źródła, z których Shane pozyskał dzieła sztuki, są podejrzone.

I rzeczywiście, niektórzy z dostawców House of Warrick mogli budzić podejrzenia. Byli też najbardziej niezawodni, jeśli chodziło o dostarczanie dzieł sztuki i wyrobów ze złota.

- Zdaję sobie sprawę z nieposzlakowanej reputacji House of Warrick - oświadczyła Risa. - I właśnie dlatego zadzwoniłam do pana natychmiast, gdy usłyszałam pogłoskę o karcie z dwunastowiecznego manuskryptu celtyckiego, bogato zdobionej złotem. Wprawdzie specjalizuję się w starożytnej złotej biżuterii, ale wydaje mi się, że złote iluminacje były rzadkością w celtyckich manuskryptach w stylu insularnym.

- Ogromną rzadkością - zgodził się Garrison. Risa czekała.

Uważnie słuchając rozmowy, Shane przekładał szczerozłote pióro między palcami ręki: do przodu i do tyłu, do przodu, do tyłu, niczym złote czółenka tkające w transie materiał. Nawet na chwilę nie

spuszczał wzroku z pełnych warg kuratorki. Te ponętne usta nie zaciskały się wymownie, nie spłaszczały w kącikach, nie zdradzały w najmniejszym stopniu, by ich właścicielka była szczególnie spięta.

Nieco rozleniwiony, kolejny raz doszedł do wniosku, że chociaż kuratorka nie jest klasyczną piękną, jej twarz przyciąga uwagę. Jej ciało było takie jak usta: zmysłowe i pociągające, aczkolwiek Risa Sheridan nie zrobiła niczego szczególnego, by podkreślić krągłość piersi i bioder czy smukłość talii.

Risa odczuwała pewien dyskomfort widząc, że Shane bez przerwy ją obserwuje, z trudem zachowując cierpliwość.

- Słyszał pan o takiej karcie? - zapytała Garrisona bez ogródek.

- Tak.

- I?

- House of Warrick bada możliwości. Beznamiętny głos Garrisona nie zmylił Risy.

- Widział pan tę kartę? - naciskała.

- Tak. Krótko.

- Czy jest na sprzedaż?

Nastąpiła długa przerwa. W końcu Garrison westchnął tak głośno, że było go słychać przez mikrofon.

- To bardzo delikatna sytuacja.

- Pod jakim względem?

- Sądzimy, że te karty powinny zostać zbadane z dużą dozą, że tak powiem, sceptycyzmu, zanim zostaną zaaprobowane na rynku. A już z pewnością, zanim do pośredniczenia zobowiąże się House of Warrick.

- Czy w towarzystwie owych „sceptyków” znajduje się Norman Warrick?

- Z całą pewnością. Risa spojrzała na szefa.

Shane płynnym ruchem ułożył pióro w odpowiedni sposób i na kalendarzu stojącym na biurku napisał: „zdobądź ją”.

- Niemniej jednak pan Tannahill chciałby zobaczyć tę kartę - powiedziała Risa.

Nieco chłodniejszy ton jej zmysłowego głosu był jedyną oznaką dezaprobaty. Wątpliwe pochodzenie było czymś w rodzaju czerwonej flagi, która odstraszała szanującego się kuratora, a Risa Sheridan nie zamierzała wystawiać swojej reputacji na szwank. Nie urodziła się, jak Shane Tannahill, ze szczerozłotą łyżeczką w buzi. Chociaż w jego

przypadku zapewne należałoby mówić o platynowej łyżeczce, w dodatku wysadzanej brylantami.

Była pewna, że muszą istnieć jakieś minusy bycia potomkiem jednego z najbogatszych przedsiębiorców w branży komputerowej. Z pewnością status bogacza był czymś o wiele lepszym niż mieszkanie z łazienką pełną karaluchów.

- O którą kartę chodzi? - zapytał Garrison.

- Opisano nam ją jako stronę dywanową, składającą się niemal wyłącznie z dużego inicjału albo połączonych inicjałów pokrytych grubą warstwą złota.

Garrison wydał dźwięk, który mógł oznaczać wszystko: od potwierdzenia do sceptycyzmu.

- Czy osoba będąca autorem opisu oglądała iluminowane manuskrypty?

- Jesteśmy spokojni o kwalifikacje tej osoby. - Risa pomyślała z ironią, że Garrison również byłby o nie spokojny, gdyby wiedział, o kim mowa. Jane Major była doradcą House of Warrick. Specjalizowała się w średniowiecznej ikonografii. - Czy ma pan taką kartę?

- W tej chwili nie.

- Czy możemy oczekiwać, że to się zmieni?

- Życie to przede wszystkim zmiany, pani Sheridan. Dzięki nim wiemy, że jeszcze nie umarliśmy.

Risa wzniosła oczy do sufitu.

- Pan Tannahill miał nadzieję na bardziej określoną zmianę.

- A jeśli ta karta nie jest tym, czym się wydaje?

Shane niemal leniwie przymknął powieki i znów zaczął manipulować piórem. Tej sztuczki używali magicy i karciarze, żeby zachować elastyczność palców. Po chwili pióro raptownie zniknęło. Shane wstał i wyszedł z pokoju.

Jednak zanim opuścił pokój, postukał w kartkę z napisem: „zdobądź ją”.

Risa oparła się wygodnie na krześle, skrzyżowała nogi w nylonowych pończochach i zaczęła obliczać, ile tym razem będzie kosztowała obsesja Shane'a na punkcie posiadania najlepszych i najszlachetniejszych wyrobów ze złota.

Rozdział 19

Los Angeles, czwartek po południu

Dzięki, że zjawiliś się tak szybko - powiedziała Dana, prowadząc trzech Donovanów korytarzem do jednej z separarek w Rarities.

- Nie ma problemu - odparł Kyle Donovan. - Właśnie mieliśmy się spotkać z niektórymi naszymi partnerami Pacific Rim w Los Angeles, kiedy pani zadzwoniła z Seattle.

- Mów za siebie - wtrącił się Archer Donovan, ze swobodą i nonszalancją typową dla starszego brata. - Hannah urwie mi głowę, jeśli nie wrócę do domu na czas, żeby wykąpać naszego małego słodkiego potwora.

Lawe Donovan prychnął. Podobnie jak Kyle, miał jasne włosy z wyblakłymi od słońca pasemkami. W przeciwieństwie do Kyle'a, na jego twarzy było widać upływ czasu.

- Potwora? Małego Attyle? O czym ty mówisz, braciszku? Twój mały syn jest dokładnie taki jak ty. Nawet jego czarne włosy i instykt drapieżnika są identyczne.

- Proszę, przyganiał kocioł garnkowi - odparł Archer, unosząc brwi. - Po prostu jesteś zazdrosny, bo sam nie masz dzieci.

- Żona? Dziecko? Nie ma mowy! Już i tak mam dość problemów na głowie.

Lawe zerknął na rozkołysane biodra Dany i jej chód. Żeby ją zobaczyć, warto było przejechać całe miasto. Słyszał o jej sposobie chodzenia od innych mężczyzn z rodziny, ale nie wierzył im zbytnio. Miły widok. Naprawdę miły.

Uśmiechając się do siebie, Dana szła pierwsza do separatki. Niejednego zapewne przytłoczyłaby obecność Donovanów: ci trzej mężczyźni z niejednego pieca chleb jedli, a ich imponujący wzrost przyprawiłby o kompleksy niepozornie wyglądającego pilota, należącego do Rarities Unlimited helikoptera. Ale na Danie ich towarzystwo nie robiło najmniejszego wrażenia. Lubiła dużych mężczyzn. Pokazywanie, gdzie jest ich miejsce, sprawiało znacznie większą satysfakcję. Już kiedy zrobiła to pierwszy raz, rozczuliło ją kompletne zaskoczenie, malujące się na ich twarzach.

Nie znaczyło to, że nosi się z zamiarem upokarzania Donovanów. Wszyscy członkowie tej rodziny byli znani z inteligencji, uczciwości i zaciężności, która pozwalała im wykonywać zleczone zadania. Dana

niczego więcej od nikogo nie wymagała, a i tak mało kto był w stanie spełnić jej oczekiwania.

Jedynym wyjątkiem był Niall.

On stanowił wyjątek od wielu reguł, jakie sobie ustaliła. Kiedyś będzie musiała coś z tym zrobić.

- Sprawdziłam listę prac Susy w jej galerii na Manhattanie - oznajmiła Dana. - Julian powiedział, że nigdy nie słyszał o Sidewalk Sunset. Podpis też jest trochę podejrzany, chociaż trudno stwierdzić coś konkretnego. Artyści często zmieniają swoje podpisy w trakcie kariery. A także styl malowania.

- Co sądzi Julian o samym obrazie? - zapytał Archer.

- Mówił dość wymijająco. Powiedział, że musiałby zobaczyć go na własne oczy. - Dana wzruszyła ramionami i otworzyła drzwi. - Znając Juliana, wahałby się nawet wówczas, gdyby zobaczył obraz osobiście. Zawsze strasznie się wkurza, jeżeli któreś z dzieł matki rodu Donovan - to znaczy Susy - nie przechodzi przez jego ręce.

- To rozumiałe - powiedział ironicznie Archer. - Miał ją na wyłączność przez dwadzieścia lat.

- Ale - odparł Lawe, przypatrując się obrazowi wiszącemu na sztalugach na środku pokoju - ona zaczęła malować w wieku sześciu lat.

Przez kilka następnych minut wszyscy w milczeniu oglądali Sidewalk Sunset. Wprawdzie Donovanowie wychowywali się w cieniu talentu matki i dlatego uznawali go za niepodlegający dyskusji, ale z upływem lat coraz lepiej sobie uświadamiali, że była wyjątkowa.

Bracia Donovan kolejno kiwali głowami.

- Czy kiwacie głową na znak, że to jej dzieło, czy dlatego, że uważacie obraz za falsyfikat? - zagadnęła Dana.

- To ona go namalowała - powiedział Lawe. Zrobił krok naprzód i stanął tak blisko obrazu, że niemal go dotykał. Na jego ustach pojawił się dziwny uśmiech, jakby coś sobie przypomniał. - Był to prezent dla Justina i dla mnie na nasze ósme urodziny. Jęczyliśmy, że chcemy jechać w góry albo nad morze, albo w jakieś inne dzikie, piękne miejsce, na co rodzice nie mogli sobie wtedy pozwolić, a mama - Susa - powiedziała, że piękno jest wszędzie, tylko trzeba umieć patrzeć. Żeby to udowodnić, namalowała zachód słońca odbity w kałużach deszczu na chodniku. - Opuszkami palców delikatnie dotknął ramy obrazu. - Boże, jak to było dawno.

- Przestań - powiedział Archer. - Jestem od ciebie starszy.

- A ja nie - odparł zadowolony z siebie Kyle.

- Wypchaj się - odparli równocześnie Archer i Lawe.

Lawe patrzył na obraz jeszcze przez chwilę, rozpamiętując czasy, kiedy świat był znacznie prostszy, a on sam zbyt niewinny, żeby ów fakt należycie docenić.

- Czy ten obraz jest na sprzedaż? - zapytał.

- Tak - odparła sucho Dana - ale właśnie znacznie podbiłeś jego cenę, przypisując go jednej z największych żyjących artystek na kontynencie północnoamerykańskim.

Zerknął przez ramię i poczęstował ją uprzejmym, szybkim, pozbawionym wyrachowania uśmiechem, którym zawrócił w głowie niejednej kobiecie.

- Nic nie szkodzi - powiedział.

- Jeśli on nie zechce go kupić, ja to zrobię - powiedział Archer, wpatrując się w Lawe'a z napięciem.

Już od dawna nie widział, żeby Lawe tak się uśmiechał. Jeżeli obraz Susy mógłby podtrzymać ten pogodny nastrój, należało dać Sidewalk Sunset nowego właściciela.

Dana odwzajemniła uśmiech i aż pokręciła głową, bo nie spodziewała się tak wylewnej reakcji Lawe'a. Ten facet mógłby stopić swoim uśmiechem lodowiec.

- Nic dziwnego, że Donovanom morderstwo uchodzi na sucho.

- Nie dosłownie - odparł swobodnie Archer.

Ale spojrzenia, jakie między sobą wymienili, sugerowały, że chcieli raczej odpowiedzieć: „Od niedawna nie uchodzi”.

- Czy jedna z waszych separetek będzie dostępna w ciągu najbliższych czterech dni? - zapytał Archer.

Dana wiedziała, kiedy jej rozmówcy zależy na zmianie tematu. Wiedziała również, kiedy nie należy wypominać zmiany tematu.

- Dla Donovanów oczywiście tak.

Archer uśmiechał się jak Lawe. Było to zaskakujące u mężczyzny, który zwykle wyglądał na prawdziwego twardziela.

- Lawe ma trochę szmaragdów i siedmiu handlarzy, o których nigdy nie słyszeliśmy, chce je obejrzeć.

- Wtorek będzie pasował?

- Doskonale. Możecie wystawić rachunek na Donovan Gems and Minerals.

Dana machnęła ręką, jakby odrzucając ten pomysł, i zwróciła się do Lawe'a.

- Moglibyśmy negocjować wymianę. Mój ekspert od szmaragdów na Zachodnim Wybrzeżu właśnie zaczął pracować dla Smithsonian. Jego żonie podoba się Waszyngton, D.C. Tak to bywa. W każdym razie jeżeli zgodzisz się, żebyśmy cię umieścili na liście znawców szlifowanych kamieni szlachetnych dla Rarities Unlimited, to my zgodzimy się, żebyś używał separatek na potrzeby swojej firmy.

- Zgódź się - powiedział Archer. - To dobry układ. Dana uśmiechnęła się jak kot. Mam cię.

Rozdział 20

Palm Springs, czwartek po południu

Kiedy automatyczna bramka strzegąca wstępu do posiadłości Erika Northa zasunęła się za jej samochodem, Serena zaczęła się zastanawiać, czy postąpiła właściwie. Prawie nie słyszała odgłosu zamykanych drzwi. Raczej to wyczuła. Prawda była taka, że bez względu na to, ile chciała wiedzieć o swoim spadku i jak bardzo intrygował ją Erik, w gruncie rzeczy prawie go nie знаła.

Warricka też nie znałam, a jednak pojechałam do niego nocą i to sama, przypomniała sobie. W dodatku mnie obrażono.

Ale mogła być pewna, że Erik nie przyjechał na pustynię po to, by ją zabić. Gdyby miał taki zamiar, już by nie żyła. Ale zaraz przyszło jej do głowy, że może oszczędził ją, bo chodziło mu o coś więcej niż te kilka kart z Księgi Uczonych. Może sądził, że Serena ma jeszcze jakieś inne skarby.

Doznawała przerażającego uczucia, że igra własnym życiem. Zawsze radziła sobie sama, obywając się bez pomocy, trzymając ludzi na dystans. Nie posunęła się do takiej ostateczności jak babka i nie zaszyła się na bezludziu, ale ciężko jej było zdobyć się na zaufanie wobec otoczenia.

Zerknęła na aparat połyskujący na siedzeniu obok i westchnęła. Trudno jednak wciąż obawiać się człowieka, który zostawia swój osobisty telefon w takim miejscu, że gdyby spanikowała, mogła wezwać policję.

Pamiętaj o tej możliwości, powiedziała sobie.

Gładząc szal, żeby poczuć przyjemność i ulgę, ruszyła za srebrnym wozem Erika krętym podjazdem. Oceniała, że posiadłość ma dwa akry powierzchni, a może więcej. Podobnie jak Warrick, Erik otoczył swoją rezydencję wysokim, grubym murem. Domyślała się jednak, że w przeciwieństwie do ogrodzenia posiadłości Warricka, kamienie tworzące ten mur pochodziły z jakiejś starej budowli. Z wyjątkiem czerwonawej barwy, kojarzyły się jej z mostem London Bridge, jak gdyby ktoś rozebrał go cegła po cegle, wywiózł z Anglii i postawił w sercu arizońskiej pustyni.

Rzeczywiście, kształt i fasada domu Erika wyraźnie nawiązywały do średniowiecza. Jednak w przeciwieństwie do Warricka, Erik nie kazał wysadzić podjazdu przystrzyżonymi w dziwaczne kształty drzewami ze Starego Świata. Teren porastały nieliczne jaracandy,

których koronkowe, podobne do paproci liście rzucały delikatne cienie na cementowe podłoże. Za jaracandami znajdowały się cytrusy, których gałęzie uginały się od owoców, palmy i bugenwille, a także lawenda, kapryfolium i inne rośliny, których Serena nie umiała rozpoznać.

Tęsknym wzrokiem obrzuciła dające cień jaracandy. Kilka razy w roku usiłowała odtworzyć albo przynajmniej zasugerować wdzięk jaracandy w swoich tkaninach. Na razie nie udało jej się zbliżyć do dzieła natury.

Serena, zobaczywszy dom Erika z bliska, zapomniała o swoich projektach. Dach był pokryty łupkiem, jak stare angielskie wiejskie rezydencje. Mury składały się z bloków z czerwonego kamienia: wcześniej widziała taki budulec wyłącznie zwiedzając czerwone zamki Caerlaverock i Carlisle na granicy ze Szkocją. Medaliony i panele z kolorowych emaliowanych płytek stanowiły dobrą przeciwwagę dla nieociosanego kamienia. Zamiast gryfów, lwów, jeleni czy innych heraldycznych motywów, na płytkach widniały stylizowane celtyckie wzory, które równie dobrze mogłyby się znaleźć na iluminowanych manuskryptach albo starych gobelinach. Błękit, złoto, fiolet, czerwień, żółć: kolory były wspaniałe, a wzory zaskakujące.

Dopiero po dłuższej chwili Serena zorientowała się, że Erik czeka przy drzwiach jej Wozu. Chwyciła torbę i wysiadła z samochodu, podając mu jego telefono-komputer. Erik zerknął na wyświetlacz. Nic pilnego. W każdym razie nic tak naglącego, jak pragnienie, by obejrzeć karty Sereny.

Faktoid nadal się nie odzywał. Podobnie jak Erik, który nie chciał rozmawiać z Rarities o Ellis Weaver Charters w obecności Sereny. Przeklinając w myślach to, że nikomu nie może ufać, schował aparat do futerału na plecach.

Serena zamknęła wóz i stanęła twarzą w twarz z gospodarzem. Widziała, jak Erik wsuwa aparat do futerału na plecach. Szybkie, oszczędne ruchy świadczyły, że robił to tak często, jak ona posługiwała się czółenkiem tkackim.

- Iluminowane manuskrypty to chyba niezły interes - stwierdziła, spoglądając na obszerny dziedziniec i duży dom. Ale zaraz dotarło do niej, co powiedziała, i skrzywiła się. - Przepraszam. Niektórzy muszą

się bardzo starać, żeby powiedzieć coś niestosownego. Mnie przychodzi to z ogromną łatwością.

Uśmiechnął się.

- Żaden problem. Jestem właścicielem Zamku Północnego w czwartym pokoleniu. Dziadek dobrze znał mojego ojca, toteż lokował gotówkę w funduszu powierniczym, żeby zachować rodzinny dom, więc nie mogę sobie przypisać żadnej zasługi.

- Mądry facet.

- Ja, czy dziadek?

- Tak. Skąd, u licha, wytrzasnąłeś te przepiękne celtyckie płytki?

- Wykonała je moja matka.

Serena lekko uniosła lewą brew, okazując zaskoczenie, a także chęć głębszej oceny ozdoby.

- Te wzory są wprost niezwykle, mają w sobie coś ze starożytności, a przy tym wyglądają współcześnie. Zachowano spirale oraz intensywność przekazu Celtów, ale bez klaustrofobicznych klimatów. - Spojrzała na płytki wbudowane w chodnik prowadzący do frontowych drzwi. Nie były pokryte jaskrawymi kolorami. Na fascynujący wzór składało się subtelne cieniowanie na każdej płytce i ich staranne rozmieszczenie. - Nadzwyczajne. Jeden z najbardziej eleganckich projektów, jakie widziałam w życiu.

- To mi pochlebia.

- Dlaczego? Przecież wykonała je twoja matka.

- Nie wspomniałem, że zaprojektowałem te wzory? Wzniósła ręce w górę.

- Jasne. Masz prawo być dumny.

- Czy to właściwy moment, żeby pochwalić twoje bystre oko? Dotąd nikt jeszcze nie zauważył, że te wzory stanowią współczesne ujęcie starożytnych motywów.

Spojrzała na niego z ukosa.

- Dlaczego jakoś nie mogę ci uwierzyć?

- Nie mam pojęcia. Mówię prawdę. Nikt tego nie zauważył. Och, te wzory podobają się i w ogóle, ale ludzie ich nie rozumieją. A ty rozumiesz. Chcesz zobaczyć moją kukułkę szturmową?

Serenie opadła szczęka.

- Jedno z nas kompletnie oszalało.

- Chętnie się przekonam, które. - Wyciągnął rękę. - Chodź. On pewnie jest gdzieś pod murem na tyłach i zbiera się na odwagę, żeby

wyruszyć na popołudniowego drinka. Jeśli będziemy naprawdę cicho, nie zauważy nas.

- Kto nas nie zauważy?

- Pan kukułka.

- Pierwsza, druga, w pół do trzeciej - mruknęła. - O drugiej spotkamy się z kukułką?

Erik roześmiał się, przyciągnął ją do siebie ramieniem i powiedział:

- Chyba nie powinienem się z tobą droczyć, ale... Kurczę, fajnie toczyć spory z kimś tak bystrym jak ty.

Już miała odwzajemnić uścisk, kiedy uświadomiła sobie, co właściwie robi. Odsunęła się od Erika tak gwałtownie, że się potknęła.

- Uważaj - ostrzegł, wyciągając ku niej rękę. - Chodnik jest nierówny. Korzenie drzew cały czas rosną, w przeciwieństwie do płytek.

- W takim razie będę musiała bardzo uważać, po czym chodzę. Zmrużył oczy.

- Nie martw się. Jeśli się potkniesz, to cię podtrzymam.

- Dzięki, ale od dawna stoję na własnych nogach.

Starając się nie okazywać rozdrażnienia, Erik odwrócił się i otworzył zamek frontowych drzwi. Nawet nie spojrzął na umieszczony na nich ulubiony wzór: stylizowane Drzewo Życia. Miał wrażenie, że za każdym razem gdy robi drobny postęp w stosunkach z Sereną, ona cofa się o krok. Pomyślał, że jeśli sprawy będą się posuwały w takim tempie, nie zdoła obejrzeć iluminowanych stron nawet w święto narodowe czwartego lipca.

- Za parę minut oprowadzę cię po domu - powiedział, ciągnąc ją całkiem delikatnie do środka - ale jeśli teraz się nie pośpieszymy, on ucieknie.

- Kto?

- Mój pan kukułka szturmowa, nie pamiętasz?

- Erik, martwisz mnie.

Zerknąwszy na nią, upewnił się, że Serena po prostu się z nim przekomarza, więc szybko wskazał drogę do kuchni. Kiedy popatrzył na źródło, już wiedział, że zjawili się w samą porę.

- Stań tu, obok mnie - powiedział cicho, - Nie ruszaj się. Nie odwracając głowy spójrz na źródło. Widzisz go? ,

Serena zastosowała się do polecenia i ujrzała dużego, nakrapianego, brązowo - kremowego ptaka, który pił wodę, szybko i niespokojnie przekrzywiając łebek.

- Też mi kukułka - szepnęła, ledwo poruszając wargami. - To kukawka kalifornijska.

- Zalicza się do rodziny kukułek.

- Znowu się ze mną droczysz.

- Nie tym razem.

- Przysięgasz na własną głowę?

- Aleś ty krwiożercza?

- Jeśli chodzi o przysięgi i obietnice, tak.

Przez chwilę, nie dłuższą niż oddech, spojrział prosto w jej fiołkowe oczy.

- Dobrze, przysięgam na własną głowę.

Serena chciała się uśmiechnąć, ale nie była w stanie. Ciemne oczy Erika wpatrywały się w nią intensywnie, wręcz drapieźnie, i wyglądały tak znajomo, że aż serce jej się ścisnęło. Dreszcz przebiegi jej po plecach; miała wrażenie, że ktoś stąpa po jej grobie. Kolejny raz.

- Dobrze, że śmierć nie będzie konieczna - zdołała wyksztusić. - Nie chciałabym odpowiadać za twój zgon.

- Kolejna dobra wiadomość - uśmiechnął się. Pomyślał z żalem, że gdyby chciał ją pocałować tak, jak to sobie wymarzył, zaraz by uciekła. - Zawracasz mi w głowie.

- A ty zawracasz mi w brzuchu.

Zaśmiał się tak głośno, że spłoszona kukawka odfrunęła.

- Żeby tylko to zobaczyć, może jednak nie zrobię ci kawy po irlandzku.

- Dobry pomysł. Czeka mnie długa podróż powrotna.

- Do Leucadii, prawda? Skinęła głową.

Przez chwilę sprawdzał, pod jakim kątem padają promienie słońca.

- Mamy mnóstwo czasu. Jadłaś lunch czy może masz chęć na kanapkę? Zawahała się.

- To znaczy, że nie jadłaś lunchu i masz chęć kanapkę - zawyrokował Erik. - Lubisz wędzonego łososia?

- W każdej postaci.

- Zaraz cię uszczęśliwię.

Krzatając się po kuchni, kolejno wyciągał z szuflad kredensu talerze, filiżanki i sztucce. Następnie podał Serenie puszkę.

Spojrzała na etykietkę: „Łosoś królewski złowiony przez Erika Northa”.

- Serio? - zapytała.

- Serio. Mam przyjaciół na północy. Uchyliwszy wieczko puszki, wciągnęła zapach.

- Mniam. Pan Koneser nigdy mi tego nie wybaczy.

- Pan Koneser? - spytał, chociaż wiedział, że mówi o swoim zwierzaku. Przecież nie mógł zdradzić, że tyle o niej wie. I miał świadomość, że powinien o tym pamiętać, zamiast przyglądać się Serenie, która oblizywała wargi.

- Mój kot. Wyczuje, że jadłam łososia, i porządnie się na mnie wkurzy.

- Dam ci miętowego dropsa.

- Równie dobrze mógłbyś mi dać płyn do płukania ust z benzyną. Koneser i tak się zorientuje. Uwielbia wędzonego łososia.

- Wolisz chleb czy krakersy?

- Jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej... Z uśmiechem wręczył jej widelec.

- Smacznego.

Zjadła kawałek ryby i aż zamruczała z rozkoszy.

- Tego łososia złapałeś chyba w niebie.

- Na Alasce.

Była zbyt pochłonięta zlizywaniem z warg kawałeczka ryby, żeby mu odpowiedzieć.

Erik podejrzanie szybko odwrócił się i zaczął odkrawać plasterki sera z dużej gomółki goudy. Wiedział, że jeśli będzie dłużej patrzył, jak Serena oblizuje widelec, zacznie myśleć członkiem. A to nie byłoby rozsądne.

Tak więc umył winogrona, obrał jabłko i wyciągnął opakowanie krakersów z sezamem.

- Kawa? Herbata? Cola? Woda? Piwo? Wino? - zapytał, nie patrząc na nią.

- Kawa - wymamrotała, szybko przełknąwszy ostatni kęs. - Poproszę.

- Czarna czy z dodatkami?

- Z cukrem.

Chciał wylać resztki porannej kawy, ale Serena złapała go za nadgarstek.

- Jeśli nie masz nic przeciwko, wypiję taką - powiedziała.
- Miałem zamiar zrobić świeżą.

Rozejrzała się wokół, a zobaczywszy mikrofalówkę, powiedziała:

- Nie rób sobie kłopotu. Wystarczy, że się podgrzeje.
- Nic dziwnego, że używasz cukru.

Wlał zimną kawę do dzbanka, podgrzał i podał Serenie parującą filiżankę. Uśmiechnął się widząc, że prawie cały łosoś został skonsumowany.

- Chcesz jeszcze? - zapytał.
- Mój kot zamordowałby mnie, gdybym zjadła więcej.
- Pan Koneser jest kotem - zabójcą?
- Skoro trzymasz u siebie kukułkę szturmową, ja mogę mieć kota - zabójcę.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Dam ci trochę łososa w prezencie.
- Powinnam odmówić.
- Ale nie odmówisz.
- Chyba sobie żartujesz? Wiesz, jaki jest dobry? - Oblizwała widelec do czysta i westchnęła.

Erik stwierdził, że musi natychmiast zadzwonić do Rarities. Bo inaczej może postąpić naprawdę nierozsądnie i na przykład zacznie karmić Serenę kawałeczkami wędzonego łososa - za pomocą języka.

- Muszę coś sprawdzić - powiedział odchodząc. - To nie potrwa długo. Mruknęła coś niezrozumiale i zaczęła pałaszować winogrona, jabłka, ser

i krakersy szybko i z wyraźnym apetytem.

Erik udał się na górę, pokonując po trzy schodki na raz. Korytarzem, którego posadzka była przykryta perskim dywanem, ruszył do swojej sypialni. Panował w niej idealny porządek, co oznaczało, że pod jego nieobecność krzątała się tu gospodyni opłacana z funduszu dziadka. Nawet nie spojrzał na dobrze znajome meblowanie, tylko usiadł przy biurku obok dużego łóżka i przekazał wszystkie informacje oraz przemyślenia Danie i Faktoidowi.

Nieobecność Erika trwała zaledwie kilka minut, w tym czasie Serena zdążyła pochłonąć wszystkie winogrona i ser. Wyraz jej twarzy świadczył o tym, że smakował jej każdy kęs.

- Dobrze - stwierdził Erik. - Umyj ręce, to będziesz mogła obejrzeć moje ryciny.

Spojrzała na niego spod półprzymkniętych powiek, okolonych gęstymi rzęsami barwy mahoni.

- Ach, ryciny. - Odkręciła kran w zlewie i zaczęła myć ręce. - Mam nadzieję, że są iluminowane.

- Jeśli przyniosą ci iluminację, to cię nie zadowolili?

- Nie.

- Znów raz masz szczęście. - Podał jej mały ręcznik. - Są iluminowane. Ale zdziwiłabyś się widząc, co niejednen z uczonych skrybów uznał za wartę iluminowania.

- Skoro sułtani mogli zamawiać dywany szkoleniowe dla swoich serajów, to przypuszczam, że średniowieczni królowie również mieli prawo trochę się rozerwać.

- Dywany szkoleniowe? Interesujące.

- Pod warunkiem, że umie się czytać po arabsku - powiedziała, energicznie wycierając ręce. - Wiersze, nie obrazy.

- W takim razie sztuka, nie ilustracja. Obawiam się, że uczeni średniowiecznej Europy mieli bardziej... bezpośrednie podejście do opisów.

- Do odmalowywania - poprawiła. W pornografii nie chodziło przecież o to, żeby marnować czas na słowa.

- Do tego też!

Serena uśmiechnęła się szyderczo, a potem umilkła, bo zaczęła się zastanawiać, jak wyglądało pożądanie w czasach średniowiecza. Prawdopodobnie tak samo jak w dzisiejszych czasach, jeśli pominie się stroje i fryzury.

- Dziwnie się uśmiechasz - stwierdził Erik, prowadząc ją korytarzem. - Opowiesz mi ten dowcip?

- To żaden dowcip. Po prostu pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

- Na przykład części ciała? - podsunął ironicznie. Wzruszyła ramionami.

- I sprowadzanie seksu do części ciała. Część A wchodzi w część B, w razie konieczności powtórzyć.

- Ujmijmy rzecz tak: to brzmi nudno.

- Ujmijmy rzecz tak: to jest nudne. Zerknął na nią z ukosa.

Nie zwróciła na to uwagi. Właśnie ujrzała stare fotografie Edwarda Curtisa na ścianach korytarza, utrzymaną w sepii kronikę odległych w czasie wydarzeń i ludzi, którzy odeszli.

Erik zastanawiał się, co Serena czuje przyglądając się pomarszczonym twarzom Indian Chumash, których trudny los był zapisany w każdej bruzdzie. Patrzył na zdjęcia, nie mogąc się uwolnić od rozmyślań o tym, co czuje ktoś, kto ma świadomość, że jest ostatnim z rodu; że nie ma żadnej szansy, żadnej nadziei, nic prócz rozciągającej się przed nim pustki. Wymarcie.

Co może zrobić ktoś, kto zdaje sobie z tego sprawę? Do czego byłby zdolny człowiek - mężczyzna lub kobieta - żeby zyskać gwarancję, iż oprócz pustki istnieje inny wariant przyszłości?

Zadawał sobie te pytania od kiedy po raz pierwszy spojrzął w ciemne, pełne wyrazu oczy ginących Indian. Wówczas był już dużym chłopcem, więc pojął, że śmierć jest ostateczna i nieunikniona. Jednak wciąż nie umiał znaleźć na te pytania odpowiedzi.

Potem pomyślał o czterech starych, iluminowanych arkuszach, o niedawno zmarłej Ellis Weaver, i jej wnuczce, która nie wiedziała, jakie problemy potrafi stworzyć starożytna historia.

- Babcia miała fotografię - powiedziała wolno Serena - na której była oaza, niskie palmy i kobieta, równie zniszczona i zakurzona jak te palmy.

Babcia mówiła, że oczy tej kobiety są jak dziury wypalone w wieczności, przez które wykrwawia się czas.

- Twoja babcia wprost tryskała optymizmem. Serena uśmiechnęła się lekko.

- Tak, chyba istotnie zaliczała się do ponuraków. Ale z drugiej strony, to jak może się czuć matka, która traci swoje jedyne dziecko?

- Nieszczęśliwa - zgodził się Erik. - Czy obwiniała się o śmierć córki?

- Nigdy o tym nie wspominała. Nie wierzyła ani w Boga, ani w diabła. - Serena odwróciła wzrok od fotografii i spojrziała w niesamowite, drapieżne oczy Erika. - A więc mogła obwiniać tylko siebie.

- A ty ją obwiniasz?

- Nie, obwiniam to coś, co sprawia, że ludzie tak się zmieniają. Kocham pustynię. Moja matka jej nienawidziła. Pustynia była więzieniem, z którego uciekła najszybciej, jak mogła. Fakt, że uciekła

do innego rodzaju więzienia. .. - Serena wzruszyła ramionami. - Kto wie? Może kochała ubóstwo hippisowskiej komuny. Mam taką nadzieję. Z pewnością nie miała lekkiego życia. Kiedy zmarła, była ode mnie o dziesięć lat młodsza.

Erik pomyślał o własnych rodzicach, którzy z wzajemnością kochali siebie i swoje dzieci, i z pewnością równie wielką miłością darzyli wnuczeta. Chociaż rodzice zmarli przedwcześnie, zostawili dziedzictwo miłości, które pomnażało się zawsze, gdy ich córki śmiały się do swoich dzieci, całowały ich skaleczenia i biegły do spragnionych uścisku mężów.

Po raz pierwszy zastanawiał się, co sam myślałby o życiu i zaufaniu, gdyby stracił rodziców w wieku pięciu lat i gdyby wychowywała go babka, kobieta surowa, jakie rzadko się spotykało pod koniec lat dziewięćdziesiątych.

Nic dziwnego, że Serena nie kwapiła się, by mu ufać. Nie miała powodu wierzyć komukolwiek. Pomyślał, że może nie uda mu się obejrzeć kart nawet do czwartego lipca. Bardziej prawdopodobnym terminem wydawał się Halloween.

Z przykrością stwierdził, że nie może się pozbyć wrażenia, iż czas jest luksusem, na jaki on nie może sobie pozwolić.

Rozdział 21

Palm Springs, czwartek wieczór

N a nic się zda szloch i szat rozdzieranie na grobie dawnej zdrady. Zaufałem, choć nie powinienem. Wątpiłem, choć nie powinienem. Zgubiłem coś, choć nawet nie wiedziałem, com znalazł.

Uczony mąż niczym nie różni się od innych. Kiedy stajemy w obliczu bezlitosnej prawdy, zakrywamy oczy. Kiedy mamy nas kłamstwo, pędzimy ku niemu co sił.

Nie, to nie my. To ja. Ja, ja, ja...

Głupcem jest, kto kocha kłamstwo, a przed kochającą prawdą ucieka.

Matko boża, miej litość dla mnie, gdy, zrzuciwszy odzież stoję na grobie tego, co być mogło, dusza moja jest naga i drżąca, jęcząc wymawiam imię, które zbyt późno pokochałem.

Czy ona stoi naga przy innym grobie?

Czy wzywa mego imienia w piekle?

A może żyje i czy za życia przeklina mą duszę?"

Erik odłożył kartę, której treść odczytywał, a jego cichy głos zdawał się drżeć jak czarny płomień.

Serenę ogarnął niepojęty smutek; miała wrażenie, że wbija się szponami w jej racjonalny umysł. Odwróciła się od Erika, próbując skupić uwagę na pokoju, ścianach, na czymkolwiek, byle tylko nie pamiętać tych słów, echa udreki sprzed niemal tysiąca lat.

Z wyjątkiem skutecznego systemu wentylacyjnego, który usuwał zapach świec, pomieszczenie przypominało średniowieczną bibliotekę. Wysokie okna były zamknięte. Przy ścianach stały pootwierane rzeźbione szafy, wypełnione oprawnymi w skórę książkami. Opasłe tomy leżały na wysokich drewnianych stołach. Niektóre były związane na klamry albo mocno obwiązane, co zapobiegało zwijaniu się grubych pergaminowych kart. Jedyne źródło światła stanowiły świece, których płomienie dygotały i przygasały przy najłagodniejszym podmuchu powietrza, jak gdyby żyły i oddychały w powolnym rytmie. Podobnie było z otwartymi księgami. Kiedy połyskiwały odbitym światłem, karty pokryte złotymi literami i wzorami zdawały się oddychać.

Zupełnie jakby w tym pokoju otaczał ich czas, który żył własnym życiem.

- To jedna ze stron z Księgi Uczonych, jaką udało mi się wskrzesić - powiedział Erik.

Kiwnęła głową bez zastanowienia, nie będąc w stanie wykrztusić słowa.

- Oryginalna strona znajduje się w prywatnej kolekcji na Florydzie - ciągnął, patrząc na plecy Sereny i zastanawiając się nad przyczyną widocznego u niej napięcia. - To palimpsest. Właściciele byli na tyle uprzejmi, że pozwolili mi sfotografować stronę pod ultrafioletem, żebym mógł odczytać dawny tekst.

Znowu skinęła głową, chociaż tak naprawdę słyszała tylko krzyk rozpaczony wydobywający się z krtani nieżyjącego już mężczyzny. Ilekroć poruszyła się choćby odrobinę, jej włosy zdawały się płonąć złocistą czerwienią w blasku świec.

- Wiesz, co to jest palimpsest? - zapytał cicho. Potrząsnęła głową.

- A chcesz się dowiedzieć? Skinęła głową potakująco.

- Pochodzi od greckiego słowa, które oznacza „dwukrotnie wymazany” albo „ponownie wymazany”. W taki sposób skrybowie usuwali błędy albo ponownie wykorzystywali pergamin: wydrapywali zapisane na nim litery i powtórnie wykorzystywali miejsce na karcie. Pergamin był bardzo drogi.

Serena westchnęła tak, że zakółsał się płomień świecy.

- W jaki sposób usuwali stary tekst?

- Jeżeli chodzi o papirus, tylko zmywano atrament. Pergamin wymagał większej pracy, ale był trwalszy. Skrybowie usuwali drobne błędy nożykami. Można było wymazać w ten sposób całą stronę, ale szybsze i łatwiejsze było używanie szorstkiego kamienia. Przeważnie pumeksu. Sam go używam.

Odwróciła się powoli. Jedną rękę, jakby w obronnym geście, trzymała na piersi, a drugą przyłożyła do szyi, jakby chciała przytrzymać swój niezwykły szal. Cały czas miał ochotę go dotykać. A także Sereny. W jej niezwykłych, fiołkowych oczach dostrzegł cień. Miał wrażenie, że jego płuca ściskają obręcze.

- Wciąż się obawiasz, że cię skrzywdzę? - zagadnął ją cicho.

- Ja... - Opuściła ramiona i znowu wydała westchnienie, od którego zadrżały płomienie świec. - Coś jest w tym tekście, który właśnie przeczytałeś. Ból tego człowieka. Ja go czułam. - Potarła dłońmi ramiona, jakby przejął ją chłód, i spojrzała na kartę, leżącą na

politurowanym, dębowym meblu. - To jakieś szaleństwo, ale ja czułam się tak samo. Nieszczęśnik. Czym sobie zasłużył na taki ból?

- Nie mam pojęcia. To jedna z przyczyn, dla których szukam Księgi Uczonych albo przynajmniej jakichś jej fragmentów. Strasznie mnie ona ciekawi, i to od bardzo dawna.

- Skąd pochodzi tamta karta? - zapytała Serena. - To znaczy, do kogo należała, zanim ją nabyli ci ludzie z Florydy?

- Do jakiegoś drobnego handlarza z Chicago.

- A wcześniej?

- Miał ją duży dom aukcyjny.

- Warrick? - zapytała ostrym tonem.

- Christie's. Wstrzymała oddech.

- A przedtem?

- Osoba prywatna, która dziś już nie żyje.

- A przed nią? Kiedy po raz pierwszy karta pojawiła się na rynku?

- Nie wiem.

- A możesz się dowiedzieć?

- Rarities prowadzi w tej sprawie poszukiwania - powiedział.

- Dlaczego akurat teraz? Dlaczego nie w momencie, gdy ją znalazłeś?

- Wtedy to było tylko hobby, a poza tym prosiłem tylko o niedawną historię karty. Ludzie z Florydy podali nazwiska trzech właścicieli wymienione na ich dowodzie sprzedaży.

- Tylko trzech? Nawet jeśli było ich więcej?

- Trzy to akceptowana liczba, jeśli chodzi o udowadnianie pochodzenia - powiedział Erik. - Wiele przedmiotów nie ma oficjalnie nawet tylu właścicieli. Długi, szczegółowy rodowód to stosunkowo nowy wymóg, który wprowadzono po fali nazistowskich kradzieży i nieco późniejszych grabieżach stanowisk archeologicznych.

Serena lekko przygryzła dolną wargę. Zastanawiała się, ile może zaryzykować w poszukiwaniu swojego dziedzictwa... a także, prawdopodobnie, mordercy babki. Nie zamierzała ufać nikomu, ale od czegoś musiała zacząć.

- Masz jeszcze jakieś inne strony z Księgi Uczonych? - zapytała w końcu.

- Trochę.

- Wiesz coś więcej o ich pierwotnym pochodzeniu?

- Pierwotne pochodzenie. - Uśmiechnął się lekko. - Nie. Chcesz je obejrzyć?

- Czy wszystkie są takie jak ta?

- Niektóre są iluminowane. Na niektórych znajdują się wspaniałe wykonane miniatury. Niektóre zawierają kolumny o alianckich sojuszach po łacinie i dosadne komentarze na temat sojuszników, napisane wulgatą na marginesach.

Uśmiechnęła się, chociaż jej ciało przenikały lodowate dreszcze.

- Chodziło mi o to, czy wszystkie strony są takie ponure?

- Nie. Zresztą nawet ta strona nie wyraża zupełnej desperacji.

- Omal mnie nie nabrałeś. - Cierpienie zawarte w tamtych słowach sprawiało, że wciąż czuła ciarki na plecach.

Erik wyciągnął dłoń.

- Podejdź do stołu. Pokażę ci, że na to, co właśnie ci przeczytałem, można spojrzeć zupełnie inaczej.

Podawała mu rękę i dała się poprowadzić do stołu, na którym leżała karta. Była ładna i elegancka, pełna stylizowanych czarnych linii i drukowanych liter, w których kryły się kolorowe geometryczne kształty. Połyskiwała kawałeczkami złota, które wyglądały jak rześiste łyzy.

- Wiersze, które przeczytałem na głos, znajdują się tutaj - powiedział, wskazując odpowiedni fragment.

Serena wodziła oczyma za opuszką jego palca, który unosił się nad rzędami liter.

- Tutaj - palec Erika powędrował do drugiej kolumny - jest mowa o zastosowaniu rozmaitych owoców i warzyw dla zrównoważenia „humorów”. Autor rozpacza nad czynem, który sprawił tyle bólu, ale też pisze, że trzeba jeść mniej porów i rzepy, a więcej zupy z jęczmienia.

- Dlaczego?

- Uważano, że pory i rzepa zwiększają produkcję spermy i polepszają seks. Zupa z jęczmienia miała poskramiać zapalczywą naturę.

- Taki średniowieczny odpowiednik zimnego prysznic? Wybuchnął śmiechem.

- Tak. Zamieszczając swoje żale wraz z ironiczną poradą, Erik próbował znaleźć sposób na uspokojenie.

- Erik?

- Erik Uczony. To on jest skrybą, który napisał Księgą Uczonych.

- Skąd wiesz?

Otworzył szufladę. Wewnątrz znajdował się postrzępiony pergaminowy arkusik, zapewne wycięty, a może wyszarpany ze strony o większych rozmiarach. Był nie większy niż jego ręka, i całkiem ładny: zapisany skromnymi, czarnymi literami. Kaligrafia była stylowa, ale w jakimś sensie bardziej osobista niż iluminowane pismo na poprzedniej stronie.

- To jest litera „E” - powiedział Erik. - A jednocześnie imię, modlitwa i krótki opis człowieka, który ją stworzył.

Serena wpatrywała się w zawiły rysunek.

- Widzę literę „E”.

- Modlitwa znajduje się tutaj - odparł, pokazując stylizowany znak w miejscu, które zapewne stanowiło margines oryginalnej strony. - Symbol Chrystusa - ryba - nałożony na znak, ma odstraszać złe oko. Skrybowie uważali, że błędy są sprawką określonego demona.

- Wygodne.

- Zastanawiałem się, czy i ja nie powinienem tak postępować. Ale Erik modlił się przede wszystkim o to, by Chrystus ochronił jego manuskrypt przed czarami. Żeby podkreślić swój szacunek i to, jak ważna jest ta modlitwa, pomalował stylizowaną rybę na czerwono i umieścił ją na tle ze złotej folii. Na znak pokory inicjał Erika jest czarny i pozbawiony jakichkolwiek ozdobnych motywów.

- Skąd wiesz, że „E” symbolizuje Erika?

- Pozostała część imienia jest napisana wewnątrz drukowanej litery. Widzisz? Litera „r” biegnie równolegle do górnej kreski, „i” przy grzbiecie, a „k” jest częścią wszystkich liter.

Serena patrzyła na literę przez dłuższą chwilę, a potem starała się nie koncentrować zbyt wzroku, żeby nie zwracać uwagi na ozdobne szczegóły.

- Erik.

- Tak?

- Chodziło mi tylko o to imię. - Jej serce znów ścisnął smutek; dotarły do niej echa życia, jakiego nigdy nie zaznała. Potarła pergamin opuszkami palców i natychmiast szybko cofnęła dłoń. - Przepraszam za tę bezmyślność. Nie zamierzałam tego dotykać.

- Nie ma problemu. Niektórzy uważają, że pergaminu należy dotykać regularnie, tak aby mógł wchłaniać tłuszcz z rąk i zachować elastyczność.

- Ale czy tłuszcz nie przyciąga brudu?

- Mówisz jak prawdziwa, nowoczesna Amerykanka. Rzuciła mu chłodne spojrzenie.

- A kto mi kazał myć ręce, zanim zacznę się bawić arkuszami?

- Przyznaję się do winy. Ale sam nie zakładałam rękawiczek, kiedy badam moje pergaminowe manuskrypty. Poprzedni właściciele również tego nie robili. Życie nie odbywa się w próżni, a te karty kiedyś żyły.

- Nadal są żywe - powiedziała łagodnie, patrząc na złocone elementy; miała wrażenie, że karty oddychają. - Jak mój szal - dodała, głaszcząc starą tkaninę.

- Uroczy. - Spojrzał na szal i smukłą, kobiecą szyję, którą otulał. Ilekroć spojrzał, szal i szyja wydawały się coraz piękniejsze. - Niezwykły. Ale mnie chodziło o życie, bez przenośni. Pergamin to zwierzęca skóra; początkowo do jego wyrobu używano skóry cielęcej, potem wołowej, owczej, koziej. - Ujął arkusik i położył go na dłoni Sereny. - Rozmiar i kształt książki zależały od wielkości zwierzęcia. Chorały, które musiało czytać wiele osób i to z pewnej odległości, były bardzo duże i niemal zawsze robiono je ze skóry wołowej. Żeby uzyskać dwie sąsiadujące ze sobą strony, potrzeba było skóry złożonej na pół. Czyli jeden wół na kilka dużych linijek zapisu nutowego.

Wskazał ręką ścianę. Wisiała tam oprawiona i wspaniała w swojej izolacji karta o rozmiarach metr na ponad pół metra. Złote litery połyskiwały w migotliwym świetle świec. Czarne kwadraty poszczególnych nut wspinały się i opadały na czterolinijkowej drabinie liturgicznych pieśni. Rozmiar tej karty z manuskryptu i jej przejrzystość wskazywały, że mógł z niej korzystać cały chór.

- Robiono książki z zapisem każdej ważnej mszy - powiedział Erik - a także ewangelie i brewiarze, zielniki i bestiariusze, a także zwykłe księgi rachunkowe ze szczegółami na temat prowadzenia domu. Tylko bogate klasztory mogły sobie pozwolić na hodowlę zwierząt, których skóry były przerabiane na pergamin, a poza tym trzeba było wielu mnichów, żeby zajmowali się wyprawą skór, a potem ich zapisywaniem.

Serena od razu próbowała sobie wyobrazić bydło jako papier.

- Nic dziwnego, że gdy tylko wymyślono prasę drukarską, przerzucono się na włókna roślinne.

- Ilość zdominowała jakość - zgodził się. - Coś jak produkcja maszynowa zamiast unikalnego, ręcznie tkanego materiału twojego szala. Ale nawet w dzisiejszych czasach, kiedy możemy wyprodukować papier w każdym rozmiarze i kształcie, niemal zawsze wybieramy tradycyjny prostokąt, który wziął się stąd, że zwierzęca skóra przeważnie miała taki kształt.

Ostrożnie podniosła rękę, żeby dotknąć skrawka dawnego życia.

- Śmiało - powiedział, przyciągając jej palce do pergaminu. - Dotknij. Nie zniszczysz go. Poglądź pergamin jeszcze raz, z zamkniętymi oczami. Zewnętrzna strona, niegdyś porośnięta sierścią, ma trochę inną fakturę.

Potał opuszkami jej palców brzeg pergaminu, a potem go odwrócił. Na drugiej stronie było więcej znaków, ale najwyraźniej ktoś nie ukończył pisania. Kolumna została przecięta na pół, tak że zostały tylko frazy. Powoli muskał jej palcami tę stronę pergaminu.

- Czujesz różnicę? - zapytał.

- Tak. Gładsza, jakby chłodna powierzchnia. Ale nie jest miękka. Sprężysta.

- Masz bardzo wrażliwe opuszki palców. To była wewnętrzna część skóry. Stronica, która z nią sąsiadowała w otwartej księdze, również byłaby zapisana po wewnętrznej części pergaminu, bo gdyby pokryto znakami tę część, która była porośnięta sierścią, atrament wchłaniałby się zupełnie inaczej. Dobrze zrobiona książka uwzględniała te różnice. A ponieważ manuskrypty były w owym czasie równie cenne jak klejnoty, przyprawy korzenne i złoto, przy ich produkcji stosowano nadzwyczajne środki ostrożności.

Otworzyła oczy i uświadomiła sobie, że Erik lustruje ją baczным wzrokiem. Na moment przestała oddychać. Palce, którymi dotykał jej ręki, były gorące jak ogień. Już kiedyś czuła żar jego dotyku, w blasku świec, ale wówczas on był nagi, a ona miała na sobie suknię zrobioną z tego samego niezwykłego materiału, który ocalał ze strawionej pożarem chaty babki, a teraz spowijał jej szyję.

Serena wzdrygnęła się tak gwałtownie, że pergamin zsunął się z jej dłoni. Erik płynnym ruchem złapał arkusik.

- Co zrobiłem tym razem? - zapytał zniecierpliwiony tonem pełnym ironii.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.
- Odskoczyłaś do tyłu przez pół pokoju.

Temu nie mogła zaprzeczyć. Nie była w stanie. Stała przyciśnięta do bibliotecznego stołu, jakby próbowała wejść na blat. Nie przychodziła jej do głowy żadna sensowna odpowiedź.

- Masz strasznie gorące palce.

- A twoje są zimne. Ale czy z tego powodu zrywam się z miejsca, jakby coś mnie ukąsiło?

- Chyba nie jestem pierwszą kobietą, która w twojej obecności poczuła się niepewnie?

Przechylił głowę. Przyglądał się Serenie jak sokół wędrowny, obserwujący wyjątkowo dorodnego gołębia.

- Szczerze mówiąc, jesteś pierwsza.

- Chyba musiały być ślepe.

Erik pomyślał, że Serena postrzega pewne rzeczy o wiele wyraźniej niż inni, ale doszedł do wniosku, że nie przyjęłaby dobrze tej informacji. Większość ludzi - zarówno mężczyźni, jak i kobiety - akceptowała jego swobodny styl bycia, odwzajemniała jego uśmiechy, nie zastanawiając się, co kryje jego wnętrze.

Serena nie zastanawiała się nad jego wnętrzem. Ona je знаła. W jakiś sposób wyczuła rodzaj napięcia, które tak bardzo starał się ukryć przed światem.

A tak bardzo chciał stworzyć luźną atmosferę.

Rozdział 22

Ten inicjał mówi jeszcze inne rzeczy - ciągnął spokojnie Erik. - Chociaż nasz skryba był praktykującym chrześcijaninem, jego religijność mocno tkwiła w pogańskich rytuałach Celtów.

Serena starała się oderwać myśli od niepokojącego poczucia, że czas i pamięć połączyły się i niczym wartki nurt rzeki pchają ją w ramiona Erika. Zaczęła rozmyślać o historiach, które przeczytała na temat tkactwa.

- Mówiłeś, że ile lat ma Księga Uczonych? - zapytała.

- Nie mówiłem. - Uśmiechnął się lekko. - Ale sądząc po tekście, stylu kaligrafii i doborze kolorów, jestem prawie pewien, że pochodzi z początków XII wieku, pomimo konsekwentnie insularnego stylu, charakterystycznego dla wcześniejszych stuleci.

- Wydaje mi się, że w XII wieku mieszanina pogaństwa i chrześcijaństwa nie była niczym niezwykłym - odparła Serena. Wolno dotykała palcem szala i, mrużąc oczy, usiłowała sobie coś przypomnieć. - Myślę nawet, że w związku z tym wydano bullę papieską. Papież dał jasno do zrozumienia, że misjonarze mają dopasować chrześcijaństwo do lokalnych wierzeń, a nie upierać się przy zachowaniu czystości teologicznej. Czyli tolerancja nie tylko w teorii, ale i w praktyce.

- Papież był mądrym człowiekiem. Ludzie są przywiązani do swoich zwyczajów i świąt. Przejście na inną religię jest łatwiejsze, jeżeli pozwala się ludziom zachować tradycję. - Popatrzył na kawałek pergaminu, który przetrwał tyle stuleci. - Dlatego na kartach tyłu iluminowanych manuskryptów pojawiają się smoki, gryfy i inne fantastyczne stwory. Mocom, które te zwierzęta symbolizowały w pogańskich czasach, nadano chrześcijański charakter.

- Co masz na myśli?

- Weźmy na przykład jelenia. W czasach pogaństwa był uważany za symbol odrodzenia.

- Dlatego że zrzucał rogi i wyrastały mu nowe?

- Dokładnie. Jeleń miał też inne cechy. Podobnie jak lew i orzeł, jelenie nie tolerował węża.

- Gdzież te zwierzęta się zapodziały w Raju? - zapytała ironicznie Serena. - Wszystkim przydałaby się ich obecność.

Erik uśmiechnął się i z trudem zwalczył pokusę, by owinać wokół palca kosmyk jej włosów.

- W średniowieczu jeleni był również symbolem czystego, samotniczego trybu życia - powiedział.

- Czystego i samotniczego? Najwyraźniej poczciwi mnisi nigdy nie widzieli jelenia na rykowisku.

Umilkł na chwilę.

- Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób. Ale kto powiedział, że symbol musi być całkowicie logiczny?

- Z pewnością nie powiedział tego podobny do boga, logiczny samiec tego gatunku.

- Czyżbym słyszał fragment przemówienia twojej babki?

- Prawdopodobnie. Babka była mądrą kobietą.

- Wiele ich było w ciągu tych wszystkich lat. W średniowieczu były znane ze swoich uzdrowicielskich mocy. Myślę, że to kolejny powód, dla którego Erik czasami przedstawiał samego siebie jako jelenia - ponoć jelenie potrafiły rozpoznać rośliny lecznicze. Sądząc po niewielkiej części Księgi Uczonych, jaką widziałem, Erik był z pewnością wielkim znawcą ziół.

- Prawdziwie wszechstronny jeleni - powiedziała niby to poważnym tonem. - Jeszcze jakieś właściwości?

- Czasami jeleni jest pokazywany z krucyfiksem między rogami.

- Jakby był w pełni schrystianizowany.

- W każdym razie na pewno dążący do chrześcijaństwa. - Erik przesunął kawałek pergaminu tak, by chwiejny blask świecy lepiej go oświetlał. - W przypadku dawnego Erika na rogach jelenia znajduje się sokół wędrowny, z którego dzioba zwisa krucyfiks.

- Co to oznacza?

- Nie wiem. Najwyraźniej miało to jakieś znaczenie dla Erika, gdyż używa mocno stylizowanej wersji tego znaku jako znaku zbiorczego albo hasła. Obserwując, w jaki sposób ten znak ewoluuje w manuskrypcie, można ocenić, które karty zostały spisane jako pierwsze.

- Znak zbiorczy?

Spojrzał na nią z ukosa swoimi błyszczącymi oczami.

- A nie będziesz żałowała, że zadałaś to pytanie?

- Dlaczego?

- To skomplikowana sprawa.

- Tkanie też jest skomplikowane. I jakoś daję sobie radę. Co to jest znak zbiorczy?

Erik wolałby raczej poprosić o pokazanie oryginału karty, na której rudowłosa tkaczka obserwowała mężczyznę z sokołem na ramieniu i psem gończym u stóp.

Nie powiedział jednak na ten temat ani słowa.

Dręczyła go myśl, że wyczuwa w tym wszystkim coś znajomego, że zna imię czarodziejki Silverfells, która niegdyś upokorzyła dumnego Uczzonego mężczyznę. Nie istniał żaden powód, by Erik miał taką pewność, a jednak czuł ją. Zdarzało mu się już to wiele razy w przeszłości. Jakaś drobna wzmianka, potem dociekanie, poczucie, że tworzy się logiczny wzór, a potem błyskawicznie krystalizująca się pewność. Jego młodsze siostry żartowały, że Erik jest jasnowidzem, bo zawsze wiedział wcześniej od nich, że są w tarapatach. Odpowiadał im, że po prostu jest mądry.

Mądry, jasnowidz, szczęściarz: Erik nie zastanawiał się, które z tych określeń było najwłaściwsze. Po prostu wiedział, że jest w stanie dostrzec prawidłowości, których inni ludzie nie zauważali.

Czarodziejka nosiła imię Serena.

Już otwierał usta, żeby jej opowiedzieć o tym przedziwnym zbiegu okoliczności, ale po chwili rozmyślił się. Takie zbiegi okoliczności były zabawne pod warunkiem, że przydarzały się komuś innemu. W biały dzień.

W migoczącym, intymnym blasku świec w tym pomieszczeniu zbiegi okoliczności potrafiły być przerażające.

Gdyby wyjawiał Serenie imię nemezis Erika, prawdopodobnie wypadłaby z domu i uciekła, nie oglądając się za siebie. Już lepiej nadal wyjaśniać kwestie związane ze znakami zbiorczymi i hasłami.

- Sama tego chciałaś - powiedział z uśmiechem. - Tylko pamiętaj: jeden arkusz równa się dwóm kartom, ponieważ arkusz jest zapisany po obu stronach.

- Jeden arkusz. Dwie karty.

- Wyobraź sobie wyprawioną skórę zwierzęcia, przyciętą w kształt prostokąta - powiedział.

- Dobrze.

- Teraz złóż ją na pół.

- W którym kierunku?

- Przez środek, w taki sposób, żeby strona, która była porośnięta włosami, była zwrócona na zewnątrz.

- Ale jak przez środek? Wzdłuż czy wszerz?

- Robiono to na oba sposoby, ale nie w tej samej książce. Dlatego wybierz jeden ze sposobów i konsekwentnie go stosuj.

Zamrugnęła powiekami.

- Dobrze. Złożyłam skórę na pół.

- To jest bifolium. W liczbie mnogiej bifolio. Teraz znowu złoż ją na pół.

- Gotowe.

- W tym miejscu się zatrzymamy, chociaż większość manuskryptów była składana wiele razy. Ile arkuszy masz teraz?

- Mam... osiem kart, co oznacza cztery arkusze, a one składają się na jedną skórę.

Uśmiechnął się widząc głęboką zmarszczkę między brwiami Sereny. W tej chwili naprawdę żałował, że nie może jej pocałować, żeby to wgłębienie wygładzić.

- Teraz włóż swoją poskładaną skórę do drugiej skóry, która została złożona w identyczny sposób.

Z półprzymkniętymi oczyma, powiedziała, że już to zrobiła.

- Powtórz tę czynność.

- Z trzecią skórą?

- Tak. Zamknęła oczy.

Popatrzył na cień jej długich rzęs, na lśniącą w blasku świecy skórę, na usta, które błyszczały, bo właśnie je zwilżyła językiem. Zapragnął jej tak gwałtownie, że czuł, jak uginają się pod nim nogi. Zastanawiał się, czy jego imiennik z dawnej epoki doświadczał równie silnych emocji i czy dlatego mimo upływu lat krzyk bólu wciąż rozbrzmiewał tak głośno.

Najbardziej jednak bał się, że wkrótce się o tym przekona. Nie znosił zbiegów okoliczności. Przypominały mu, w jakim stopniu nie potrafi kontrolować własnego życia.

- Teraz znów je rozłóż - powiedział. - Już wiesz, jedna skóra powinna wystarczyć na cztery arkusze sporych rozmiarów, a to daje osiem stronic, ponieważ skóra jest zapisana obustronnie.

- Rozkładam je.

Erik poczuł wibrację pagera przytroczonego do paska. Zignorował ten sygnał. Nie miał zamiaru pozwolić, by cokolwiek - nawet Rarities Unlimited - przeszkodziło mu w zdobyciu zaufania Sereny. Wzór, którego powstawanie wyczuwał, był skomplikowany, niezwykle, jak gdyby czas stanowił księgę, którą można składać i

rozkładać, zszywać i rozpruwać, a nienastępujące po sobie strony ułożyć tak, by patrzyły na siebie mimo przerwy, której nie mogły wypełnić posiadane przez nich strony.

Za to umysł był do tego zdolny.

- Teraz napisz ciągły tekst na swoich nieposkładanych skórach w taki sposób, żeby jej strona wewnętrzna zawsze spotykała się ze stroną wewnętrzną, a strona niegdyś pokryta sierścią zawsze spotykała się z taką samą stroną - ciągnął, starając się mówić spokojnie.

Oboje milczeli przez dłuższą chwilę.

- Pogubiłam się - przyznała w końcu.

- Wielu mnichów też się w tym gubiło. I dlatego robili znaczki na marginesach każdej strony, żeby mieć pewność, że prawidłowo ją składają. Niektórzy skrybowie używali symboli. Inni wypisywali słowa wskazujące, które karty mają być zestawiane i zszywane.

- Znaki zbiorcze i hasła - powiedziała z triumfem w głosie, otwierając oczy.

Pager wciąż wibrował. Erik nadal nie odbierał sygnału.

- Tego pojęcia używamy dzisiaj jeszcze, chociaż czasy składanego pergaminu dawno minęły. Kiedy manuskrypt oprawiano, znaki zbiorcze i hasła znikwały w głównym szwie książki, tak zwanym rowku.

Serena już chciała coś powiedzieć, ale uświadomiła sobie, że Erik patrzy na jej wargi, jakby nigdy nie widział ust równie kuszących. Poczła dziwne drżenie, które przypominało strach, ale nim nie było. Różnica była subtelna i oszałamiająca.

- Nie wiedziałam, że robienie książek jest tak skomplikowane - powiedziała schrypniętym głosem.

Erik zamknął oczy. Kiedy je otworzył, starał się za wszelką cenę nie patrzeć na usta Sereny. Sądził, że wpadł na świetny pomysł - oglądanie manuskryptów przy takim oświetleniu, jakiego używano przed wiekami - teraz jednak doszedł do wniosku, że z jego strony był to szczyt głupoty. Dla ludzi wychowanych we współczesnej kulturze świece i seks kojarzyły się w sposób równie oczywisty jak piorun i błyskawica. Nieuchronnie. Pager w końcu przestał wibrować.

- To nawet nie stanowi połowy procesu - odparł. - Chciałem tylko ci pokazać, jaki był skomplikowany.

Czekała, co jeszcze powie dalej. Ponieważ milczał, zaczęła go zachęcać, żeby mówił dalej.

- Nie tym razem - powiedział.
- Co masz na myśli?
- To proste. Pokazałem ci to, co mam. Czy ty pokażesz mi swoje karty?

Rozdział 23

Los Angeles, czwartek wieczór

Erik nie odbiera telefonu - powiedziała Dana z niesmakiem. Odsunęła się na fotelu z czarnej skóry, patrząc gniewnie na aparat.

Niall opierał się biodrem o róg uporządkowanego - jego zdaniem aż za bardzo - biurka Dany.

- Może akurat bierze prysznic.
- Może jest w łóżku - odparowała.
- Diabelnie dobry pomysł. Może podejdziesz tutaj i...

Przerwało mu brzęczenie interkomu w biurze Dany. Z głośnika dobiegł głos jej asystenta.

- Jest tutaj Faktoid.
- Powiedz mu, żeby... - zaczął Niall.
- ...wszedł - dokończyła za niego. I zaraz zwróciła się do Nialla. -

Daj sobie spokój, chłopie. Pamiętaj o incydencie z Gretchen.

- Jakim incydencie? Wcale nas nie widziała pod tym stołem konferencyjnym.

- Gdyby weszła wcześniej, zastałaby nas na stole.
- Gdyby weszła później, wyszłoby na to samo - Niall odparł z uśmiechem, odświeżywszy sobie pamięć.
- Innym razem? - zagadnęła Dana.
- Ja też będę mógł?
- Ile tylko zechcesz i kiedy zechcesz. Ale nie teraz! - powiedziała

ze śmiechem i uchyliła się od leniwego klepnięcia jego wielkiej dłoni.

Kiedy wszedł McCoy, Dana siedziała przy biurku, a Niall wyglądał przez okno. Los Angeles było takie jak zwykle, ale patrząc na pewną część spodni Nialla można było zaobserwować interesujące zmiany. Nie zamierzał się odwracać, póki to, co miał w spodniach, nie wróci do normy.

- Erik potrzebuje nowego pagera - stwierdził McCoy.
- Dlaczego? - zapytała Dana.
- Stary nie przekazuje impulsów elektrycznych.
- On cię ignoruje, prawda?
- Tak.
- Nie przejmuj się. Mnie również.
- Podziwiam jego WT - mruknął pod nosem McCoy.

Dana pamiętała, że WT to skrót od „Wskaźnik Testosteronu”. Nie zareagowała na komentarz McCoya. Było to łatwiejsze niż próby radzenia sobie z jego skomplikowanym poczuciem humoru.

- Jeżeli to pilne, mam plan zapasowy.

Niall rzucił jej dyskretne spojrzenie, jakby chciał zapytać: „Czy chodzi o zapasy pod stołem, kochanie?”

Jego również postanowiła zignorować. Bywały dni, kiedy odnosiła wrażenie, że jej życie polega na ignorowaniu mężczyzn.

- Czy to pilne?

McCoy już miał odpowiedzieć twierdząco, ale dopadł go rzadki u niego atak zdrowego rozsądku i tylko westchnął.

- Nie, ale za to interesujące.

- Słuchamy - odparł Niall.

McCoy wyprostował swoje chude członki i zaczął mówić:

- Ta babcia...

- Czyja? - przerwali mu zgodnie Niall i Dana.

- Nie umiemy czytać w myślach - dodała Dana łagodnie, chociaż z nutką zgryźliwości.

- No tak, zapomniałem. Chodzi o te karty. Szef i szefowa spojrzeli na niego pytająco.

- Przecież wiecie. Chodzi o te stare karty.

- Który klient, chłopie? - zapytał Niall.

McCoy spojrział na nich rozlatanym wzrokiem i zaczął nerwowo poruszać prawą ręką, przebierając pięcioma palcami po swoim palmtopie niczym wprawny pianista.

- Jasna cholera - wymamrotał Niall, jednakże tak cicho, by nie zdenerwować Faktoida. - Znowu gdzieś odleciał.

- Cierpliwości.

- Wolałbym go odłączyć.

- Wtedy nikomu się nie przyda, prawda? Zwłaszcza samemu sobie.

- Kiedyś to sprawdzę.

- Daj mi jakieś fory - powiedziała Dana, odwijając miętowy cukierek z miseczki na biurku. - Odłączony Faktoid to niezbyt ładny widok.

Faktoid wciąż poruszał palcami.

- Czy ktoś mówił temu chłopakowi, że jest aroganckim draniem?
- zapytał Niall całkiem swobodnie.

- Ty. Wielokrotnie.
- Widocznie za rzadko i nie dość dobitnie... Zaczekaj, chyba wrócił do rzeczywistości.
- Przepraszam - powiedział McCoy pokornie. Wiedział, że Niall po prostu nie rozumie skomputeryzowanej, okablowanej generacji. - To była CD. Chciała wiedzieć, czy istnieje jakikolwiek dowód, że insekty uprawiają seks dla rozrywki, a nie po to, żeby mieć małe.
- Nie pytaj - Dana szybko ostrzegła Nialla.
- Nie mogę się powstrzymać. Istnieje?
- Jakiś Brazylijczyk prowadził badania nad karaluchami na barkach na Amazonce i...
- Nie! - Głos Dana był nieprzejeđnany, podobnie jak wyraz jej twarzy. - Co z tą babcią?
- Babcią... babcią... - McCoy zmarszczył czoło i poruszył się nerwowo, ale jego komputer nie zarejestrował poprzedniej konwersacji. Na szczęście uczynił to jego mózg. Czasami tradycyjna technologia okazywała się bezkonkurencyjna. - Warrick.
- Ach, Serena Charters. Karty z manuskryptu - powiedziała Dana.
- Mów dalej.
- Według wszystkich danych komputerowych, do jakich mam dostęp, starsza pani nie istniała przed 8 listopada 1949 roku. Właśnie tamtego dnia kupiła bardzo tanio trzy hektary pięć akrów największego rządowego pustkowia, przyrzekając, że poprawi jego stan w ciągu roku. Słowa dotrzymała. Ósmego listopada 1950 roku stała się pełnoprawną właścicielką wspomnianych trzech hektarów.
- Nie ma na jej temat żadnych wcześniejszych danych? - zapytał Niall, marszcząc brwi.
- Kompletne nic. Żadnej metryki, ubezpieczenia społecznego, aktu małżeństwa, aktu zgonu, paszportu, wizy, prawa jazdy, papierów z urzędu imigracyjnego, ani jednego zapisku. Ellis Weaver zjawiła się któregoś dnia tak, jakby wysiadła z przelatującego statku kosmicznego. I nie widać, by od tego czasu jakoś mocno zaznaczyła swoją obecność. Jej adwokat raz do roku płaci podatek od jej nieruchomości. To wszystko. Żadnych kart kredytowych, czeków, rachunków za gaz czy energię; nie należała do Medicare ani do MediCal, nie miała polisy zdrowotnej, prawa jazdy, wozu zarejestrowanego na swoje nazwisko. Nic, zero, nul, totalna pustka.

Ta kobieta była jak miś Yogi w fazie zejścia, który żyje tylko powietrzem i czystym rozumem.

- Nie przestawaj szukać - powiedział Niall.

- Zakładam, że szukałeś również pod nazwiskiem Charters - zagadnęła Dana.

McCoy rzucił jej urażone spojrzenie.

- Ellis Charters nie ma w żadnej kartotece. Namierzam każdą kobietę z jej rodziny noszącą nazwisko Charters, ale to idzie powoli. Stare dzieje po prostu nie są skomputeryzowane.

- Stare dzieje są starsze niż 1949 rok, chłopie.

- Naprawdę? Nie sądziłam, że jesteś taki stary - odparła Dana. Uśmiech Nialla zdawał się zapowiadać spektakularną zemstę.

- Im trudniej znaleźć jakąś informację, tym większe prawdopodobieństwo, że okaże się przydatna. Ludzie nie ukrywają jasnych sytuacji, tylko brudne tajemnice.

- Czy nie możesz wziąć do tej roboty kogoś, kto będzie przeglądał materiały wydrukowane na papierze? - zapytał McCoy tonem, przypominającym rozpaczliwy jęk. Ale zaraz coś zaświtało mu w głowie: Gretchen była fantastyczna w przeszukiwaniu tradycyjnych źródeł. - Nieważne. Dzięki. Idę.

I rzeczywiście poszedł. Niall zamrugał oczami.

- Chyba nigdy nie widziałem, żeby ten chłopak tak śmigał.

- Po prostu przypomniał sobie, że Gretchen uwielbia stare szpargały.

- A on uwielbia Gretchen.

Dana uśmiechnęła się niczym psotna kotka.

- To twoja sprawka, mój ty mały głąbie kapuściany. Ty podsunąłeś mu trop.

- On się urodził po to, żeby tropić Gretchen, a ja nie jestem twoim małym głąbem kapuścianym.

- No to dużym.

- Lubisz zawracać mi tyłek.

- Chciałbyś.

Niall już miał zareagować, ale gdy spojrzał na Danę, pojął, że teraz wcale się z nim nie droczy. Znowu przebierała palcami w charakterystyczny sposób, jakby grała na flecie. Usiadł wygodnie w fotelu i czekał na rewelacje, które z pewnością miał do zaoferowania jej skomplikowany, wspaniały i pragmatyczny umysł.

Rozdział 24

Palm Desert, czwartek wieczór

Cleary Warrick Montclair krążyła po salonie w swojej części domu Warricków na zachodnim wybrzeżu. Skrzydło rezydencji, na które składało się dziesięć pokoi, wydzielono do jej użytku, kiedy się rozwiodła i ponownie zamieszkała tu ze swoim małym synkiem. Czasami nie była pewna, czy szczodroblliwość ojca była dla niej nagrodą czy karą. Natomiast nie miała wątpliwości, że wywierał na nią wpływ, którego nie dało się porównać z wpływem żadnego innego mężczyzny; nie wiedziała tylko, dlaczego tak się dzieje.

W przeciwieństwie do Normana Warricka, Cleary wolała wystrój współczesny, a w każdym razie późniejszy niż epoka Ludwika XV. W jej pokojach nie było ciężkich „brązowych mebli”. W salonie gobeliny i meble o geometrycznych kształtach, obite tkaninami w odcieniach beżu, kremowym i bieli, stwarzały wrażenie przestronności. Obrazy wiszące na ścianach oraz inne elementy wystroju zaliczały się do typowej awangardy i były dość drogie dla nabywców, którzy korzystali z usług ekspertów od sztuki współczesnej. Ponieważ w House of Warrick było wielu ekspertów, którzy doradzali ignorantom i nuworyszom, Cleary uznała za swój obowiązek eksponować w swoim domu sztukę XXI wieku, żeby zrównoważyć zdecydowanie staroświeckie gusta ojca.

Jednakże prawdziwą jej pasją była nie sztuka czy antyki, lecz firma, czyli House of Warrick. Sposób urządzenia domu i biura był dla niej istotny tylko dlatego, że umacniał reputację Warricka jako wyroczni w kwestii dobrego smaku, a zatem działał na korzyść firmy House of Warrick.

Cleary, mimo trzeźwego umysłu, przez większość życia usiłowała sprostać życzeniom ojca, jakby chciała zastąpić swojego starszego brata, który w stanie zamroczenia alkoholowego wbił się swoim maserati w betonową ścianę. Chociaż zdawała sobie sprawę, że nie zdoła ani zadowolić ojca, ani zastąpić mu syna, w głębi duszy wierzyła mocno, że jeśli będzie często robiła to, co do niej należy, tata w końcu zaakceptuje swoją małą dziewczynkę.

I bez względu na to, jak często i jak bardzo umysł tej kobiety zmagił się w niej z umysłem dziecka, Cleary - dziecko było uparte, podczas gdy Cleary - - kobieta czuła przymus zabiegania o to, co wydawało się nieosiągalne.

Nawet kiedy rozwiodła się z nieakceptowanym przez ojca mężem i przeprowadziła się ze swoim synem do rezydencji Warricków, nieustannie spotykała się z ironicznymi uwagami ze strony głowy rodu. Mimo to latami starała się udowodnić, że jest w stanie uczestniczyć w zarządzaniu House of Warrick, tak jak kiedyś jej brat.

To jej się nie udało. Codziennie, kilkakrotnie, ojciec dawał jej do zrozumienia, że będzie żył wystarczająco długo, by wyszkolić swojego wnuka, i że on przejmie ster, a nie ona. Na razie stawiał na Paula Carsona, który miał głowę do interesów i potrafił pilnować personelu, a także strzec informacji.

Cleary wmawiała sobie, że brak wiary ojca w jej umiejętności nie jest ważny, liczyła się ciągłość rodu. W lepsze dni potrafiła nawet w to wierzyć.

Dzisiejszy dzień do takich się nie zaliczał.

- Dlaczego ojciec nie pozwala, żebym zajęła się tą sprawą? - odezwała się podniesionym głosem Cleary. - Do diabła, można by pomyśleć, że wciąż jestem oseskiem.

Paul wyciągnął długie nogi, podziwiając ciemny połysk swoich drogich butów na tle białego dywanu. Nie zwracał specjalnej uwagi na żale Cleary. Słyszał je już wielokrotnie i wiedział, że jeszcze nieraz je usłyszy. Był szefem ochrony i prawą ręką Warricka, a także, nieoficjalnie, kochankiem Cleary, toteż znosił jej narzekania jako część swoich obowiązków.

- Na pytanie, czy zrobił jakieś postępy w sprawie znalezienia tej dziewczyny, odparł, żebym pilnowała własnych interesów - Cleary mówiła coraz głośniejszym głosem. - Jakby jego firma nie była także moją firmą! Kto załatwia wszystkie skargi personelu? Kto pilnuje, żeby podatki były płacone na czas, i kto zatrudnia ludzi? Kto podlizuje się wszystkim starszym bogatym wdowom? Kto jest w podróży trzysta dni w roku, promując House of Warrick? Kto...

Paul zerknął ukradkiem na zegarek. Płaski, ze złota, bardzo drogi; nedorzeczny, luksusowy przedmiot, który potrafił tylko odmierzać sekundy, minuty i godziny. Nie umiał przyjmować faksów ani poczty głosowej czy e - maili, nie potrafił ich przesyłać, nie miał wbudowanego kalkulatora, nie zapamiętywał adresów ani dat urodzin. Wykonywał wspaniale tylko jedną czynność: podawał czas.

Niezawodnością zegarek przypominał broń. Żadnych nonsensów. Żadnych nieporozumień co do funkcji. Żadnych wątpliwości co do efektów. Po prostu celujesz i strzelasz.

Tłumiąc ziewanie, Paul ułożył swoje długie ciało w wygodniejszej pozycji na niskim kremowym krześle, którego owalny kształt i żółty podnózek nasuwał skojarzenia z kaczką. Żałował, że nie może teraz zamknąć oczu i uciąć sobie parominutowej drzemki. Tej nocy kochali się z Cleary jak para nastolatków. To znaczy, on tak się kochał. Cleary nie była kobietą zmysłową. Jednakże była chętna, lubiła sprawiać rozkosz i świetnie mu obciągała, a przy tym zachowywała wszelkie pozory entuzjazmu.

W sumie nie miał powodów do narzekań: mógł być tylko wdzięczny. Dlatego trzymał buzię na kłódkę i cierpliwie wysłuchiwał niezmiennie tych samych skarg kochanki na to, jakim palantem jest jej ojciec.

Nie żeby Paul się z nią nie zgadzał. Norman Warrick rzeczywiście był palantem. Nie ulegało wątpliwości. Ale przyjęcie tego założenia niczego nie zmieniało, a już z pewnością nie zmieniały się rodzinne układy i ta delikatna relacja między pracodawcą i przełożonym.

Nie mówiąc o relacji między kochankami.

- ... pilnuje nawet tego, żeby każdy z jego trzech domów miał służbę, był zaopatrzony, sprzątnięty i gotowy do przyjęcia go w każdej chwili? - ciągnęła Cleary. Zacisnęła usta, jak zawsze wściekła na gruboskórność ojca, a także i na siebie za to, że się tym przejmuje. Dzisiaj przygryzanie warg nie pomogło. Ani odchylenie głowy. Jej oczy napełniły łzy gorące jak gniew małej dziewczynki. - Niech to cholera!

Paul omal nie westchnął. Nie wiadomo, który raz doprowadziła się do wściekłości z powodu czegoś, czego i tak nie mogła zmienić. Nie mogła. Rozumiał problem Warricka; sam go odczuwał. Ludzkie ekstazy i udreki po prostu były mu obce. Wiedział, że są autentyczne, i zdawał sobie sprawę, że nigdy ich nie doświadczy. Podobnie jak Warrick. Jedyna różnica między nimi polegała na tym, iż Warrick przyszedł na świat w rodzinie, która miała tak dobrą sytuację finansową, że nie musiał udawać uczuć, by go akceptowano.

Paul nie miał tyle szczęścia. Członkowie jego rodziny musieli ciężko pracować, płodzić dużo dzieci i z najwyższym wysiłkiem awansowali z nędzy do niższej klasy społecznej.

Paul był chłopcem bystrym, więc szybko się zorientował, że jeśli chodzi o uczucia, różni się od otoczenie. Przekonał się również, że ludzie, którzy są inni, stają się wyrzutkami. W końcu odkrył, że wyrzutki nie robią karier, nawet jeśli są bardzo inteligentni czy bezwzględni.

Paul postanowił, że nie stanie się wyrzutkiem. Uważnie analizował ludzkie zachowania, aż w końcu nauczył się odgadywać potrzeby otoczenia. Potem, jeśli Rzecz była tego warta, dawał ludziom to, czego właśnie oczekiwali.

Nachylając się do przodu, chwycił Cleary za rękę, pociągając ją na swoje kolana.

- Chodź tu, moja słodka. Musisz się porządnie wypłakać. Ja wiem, jak cenna jest twoja praca.

Przez chwilę opierała się, ale w końcu dała za wygraną i odprężyła się w znajomych objęciach Paula. Uroniła kilka łez, które popłynęły wartkim strumyczkiem i które wyschły, zanim zdążyły zmoczyć mu koszulę.

Zmienność jej nastrojów zawsze go fascynowała. Miał wrażenie, że patrzy przez dziurkę od klucza na świat, do którego nigdy nie będzie miał wstępu, na świat, który skrywa tajemnicę sukcesu.

Wąskimi dłońmi gładził rozwichrzone włosy Cleary, wodził nimi po jej chudych plecach i bardzo szczupłych, zgodnie z wymogami mody, biodrach. Wolał kobiety mniej kościste, ale nie zdradzał się z tym przed Cleary. Za wszelką cenę pragnęła wyglądać jak dziewczynka, zapewne by przypodobać się ojcu. Jeśli w tym celu musiała ograniczać posiłek do jednego liścia sałaty i marchewki, była gotowa się poświęcić.

Poza tym te części ciała, które naprawdę go u niej interesowały, były miękkie i wilgotne. Może opakowaniu brakowało seksapilu, ale przecież zawsze mógł zamknąć oczy i zrobić co trzeba.

- Pozwól mi z nim porozmawiać - rzekł Paul. - Czasami udaje mi się do niego dotrzeć.

Wydała z siebie coś pośredniego między westchnieniem a szlochem.

- A jeśli on wpadnie w furję i umrze?

Gdyby do tego doszło, Paul z pewnością odtańczyłby taniec radości, ponieważ Cleary odziedziczyłaby furę pieniędzy, ale wiedział, że nie powinien poruszać z nią tego tematu.

- Nie wpadnie. Nie dziś wieczorem. Niestety, to było najbardziej prawdopodobne.

- On nie może umrzeć. - Cleary powiedziała to pełnym napięcia, zdesperowanym głosem.

Nie pierwszy raz Paul zastanawiał się, jak to jest, u diabła, możliwe, że ta inteligentna, dobiegająca pięćdziesiątki kobieta może być nierozgarnięta, jeśli chodzi o najbardziej elementarne sprawy. Ludzie umierali. Ciągłe. Z najrozmaitszych powodów albo bez żadnej przyczyny. Dzień w dzień. Za dnia albo nocą.

Ale raz, gdy jej to powiedział, Cleary wybuchła i nazwała go zimnym potworem. Przez cały następny tydzień musiał się bardzo starać, żeby zaczęła się do niego odzywać; kolejne dwa tygodnie zajęło mu przekonanie Cleary, żeby mu obciągnęła.

Paul potrafił się uczyć na błędach.

Pocałował Cleary w czoło, pogładził jej plecy i biodra.

- Ten krzepki staruszek bez trudu dożyje swoich setnych urodzin. Westchnęła i mocniej się do niego przytuliła.

- Wiem. Po prostu martwię się o niego. Nie chcę, żeby zmarł, zanim... - Głos uwiązł jej w gardle. Zanim uświadomi sobie, jaką dobrą jestem dla niego córką.

- Zanim co? - zagadnął Paul.

Jej ramiona zdrząły. Nie lubiła ujawniać nawet przed sobą własnych potrzeb. Zawsze starała się ukrywać je przed ludźmi, również przed mężczyzną, którego kochała tak mocno, jak tylko mogła kochać mężczyznę, który nie był jej ojcem.

- Nie wiem - odpowiedziała potulnie, jak mała dziewczynka.

Ale język, który wędrował po szyi Paula, zdecydowanie należał do kobiety. Podobnie jak ręce, które właśnie sięgały do jego rozporka.

Paul uśmiechnął się i przesunął, żeby ułatwić jej zadanie. Dawanie ludziom tego, czego chcieli, miało tę zaletę, że ci, którzy byli inteligentni, odwzajemniali przysługi.

Cleary była inteligentna.

- Obiecuj, że zdobędziesz te kartki - powiedziała. - Musimy to utrzymać w tajemnicy, bo inaczej nie uda nam się połączyć z

mniejszymi, internetowymi domami aukcyjnymi. A wtedy połknie nas Christie's albo Sotheby's, albo - nie daj Boże - Auction Coalition.

Stęknął, czując, że jej usta zagłębiły się w rozporoku.

- Obiecaj mi - powtórzyła, nie przestając go lizać. Poruszył gwałtownie biodrami.

- Obiecuję.

Uśmiechnęła się i od razu poczuła się lepiej. Nie była w stanie kontrolować swojego ojca, ale z pewnością umiała skupiać uwagę jego zausznika. To było łatwe jak ssanie cukierka.

Rozdział 25

Telefon zadzwonił po północy. Tylko jedna osoba usłyszała dzwonek telefonu komórkowego.

Ten ktoś czekał na sygnał od dłuższego czasu.

- Słucham - powiedział cichym głosem.

- Pojechała do swojego domu tą samą drogą, którą wyjeżdżała od Northa - z pustymi rękami.

- Cholera! Czyżby zostawiła te rzeczy w skrytce w Palm Springs?

- Chcesz, żebym przetrząsnął dom?

Już rozważał ten pomysł i odrzucił go. Skoro Serena nie wniosła niczego do domu, w takim razie kart tam nie było.

- Nie. Ta sprawa ma być od początku legalna. Kłamstwo, ale użyteczne.

Gdyby doszło do kolejnego morderstwa, nie chciał, by dowiedział się o tym ktokolwiek prócz Sereny, ponieważ ona nie byłaby już w stanie nikomu o nim powiedzieć. Nigdy.

Właśnie to było takie przyjemne w martwych ludziach. Nie mogli otworzyć ust.

Rozdział 26

Palm Springs, piątek świt

A więc dobrze, Shel. Przekonajmy się, czy wszystko dobrze zrozumiałem - powiedział Erik do słuchawki. Przewinął listę stron, które były owocem poszukiwań Rarities. Żeby uprościć sobie życie, ponumerował je od jednego do jedenastu. - Jak dotąd, bez względu na liczbę właścicieli w większości przypadków pochodzenie można odtworzyć tylko do lat siedemdziesiątych.

- Zgadza się. - Shel nawet nie próbował stłumić potężnego ziewnięcia. Był przyzwyczajony do pracy na długie zmiany, ale tym razem nawet kofeina nie była w stanie go ożywić. Pocieszał go jedynie fakt, że właśnie w tej chwili Faktoid kłął na cały głos w korytarzu na powolne - „na miłość boską, ten pieprzony mikrofilm pochodzi chyba z epoki kamienia łupanego” - tempo przeszukiwania jakichś wyjątkowo starych archiwów amerykańskiego rządu. - Właśnie kontaktujemy się z wymienionymi jako ostatnie na tej liście osobami prywatnymi i handlarzami na wschodnim wybrzeżu. Potem zabierzemy się za kolejne strefy czasowe. Do południa powinienem dowiedzieć się czegoś więcej. Najpóźniej do wieczora.

- A co z domami aukcyjnymi? Założę się, że prędzej czy później spora część tych stron wyląduje na aukcjach.

- Dana pracuje nad tym. Ludzie z Christie's reagowali bez zapału, póki nie powiedziała, że odniosą korzyść, jeśli wykażą, jak dokładne są ich metody wyszukiwania. Sotheby's zasięgał opinii naszych ekspertów na różne tematy w zamian za możliwość przeszukania ich baz danych.

Erik chrząknął. Nie zrobiło to na nim wrażenia.

- A co z Warrickiem?

- Wczoraj, kiedy dostali naszą prośbę, skierowali paru ludzi do poszukiwań. A może to było przedwczoraj? Albo... - Ziewnął tak przeciągle, że omal nie złamał sobie zuchwy. - Cholera, muszę się trochę przespać.

Erik wiedział, co czuje Shel. Sam nie mógł tej nocy spać spokojnie. Śniło mu się, że tuli do siebie Serenę, jak ciepło otaczające płomień. Tyle że to nie był naprawdę on. We śnie miał bardziej poranione ręce: widniały na nich blizny od miecza, kuszy i szponów sokoła wędrownego, którymi ptak potrafił przebić nawet skórzaną rękawicę. Czarodziejka również nie do końca przypominała Serenę.

Oczy i włosy miała takie same, ale usta były inne, węższe, poza tym pachniała goździkami, smakowała jak ciemne wino, była ubrana w średniowieczną szatę, której materiał pieścił go, jakby był żywy.

- Jesteś tam? - zapytał Shel.

Zniecierpliwiony Erik odrzucił myśl o ciele kobiety okrytej niezwykłą, pełną miłości tkaniną. Miał teraz przed sobą inne zadanie: musiał ustalić pochodzenie pewnych przedmiotów.

- Jestem. Jeśli badając pochodzenie kart znajdziesz się w martwym punkcie, daj mi znać. Natychmiast.

- Dobra. - Ziewnięcie. - Kazałem Takeo i Suelynn popracować nad tym. Mają świeże pomysły. Obudzą mnie, jeśli w czymś ugrzęzną.

- Dzięki, Shel.

- To ja winienem tobie podziękowania. Gdy sprawa zostanie zakończona, Dana obiecała mi trzy tygodnie urlopu.

- Nie bierz ze sobą aparatu do połączeń z Rarities - ostrzegł go Erik.

- Och, wezmę go, zgodnie z tym, co mam w umowie o pracę. Tylko nie mów mi nic o bateriach...

Powodowany niecierpliwością, która targała nim jak ostre szpony, Erik rozłączył się, wydrukował listę tego, co zdobył do tej pory, szpetnie zaklął i poszedł wziąć prysznic. Miał już tego dość. Zamierzał dobrze się przyjrzeć dziedzictwu Sereny; do diabła z jej brakiem zaufania.

Nie rozumiał, dlaczego ma wrażenie, że czas osacza go jak wróg. Po prostu wiedział, że tak jest.

Rozdział 27

Leucadia, piątek rano

Dzwonek u frontowych drzwi domu Sereny zabrzmiał dokładnie o dziewiątej; dźwięk zmienił się w długi, głośny terkot. Parę miesięcy temu coś się zepsuło w elektronicznej melodyjce. Naprawa była droga. Toteż Serena musiała zdecydować, czy kupić przędzę i nowe opony do samochodu, czy zlecić naprawę dzwonka. Właściwie nie miała wyboru. Nie mogła tkać za pomocą nut, nawet jeśli dzwonek znowu brzmiałby ładnie. Nie mogła również dostarczać tkanin do galerii w południowej Kalifornii, jeśli nie zmieni opon. I dlatego postanowiła, że gdy tylko dostanie kolejny czek, zakupi nowe „buciki” dla swojego wozu.

A dzwonek brzmiał nieprzerwanie.

- Co to było, do diabła? - zapytał Erik, gdy Serena otworzyła frontowe drzwi.

Nie odpowiedziała. Miała ochotę wyrznąć drzwiami w jego wygoloną, przystojną twarz. W džinsach, sportowych butach, ciemnozielonej koszuli i ciemnej kurtce z miękkiej skóry wyglądał tak, jakby przed chwilą reklamował aktywny wypoczynek.

Sama wyglądała jak osoba ze zdjęcia przed kuracją w reklamie uzdrowiska. Widać było po niej każdą nieprzespaną noc. Upór nie pozwolił jej - czuła się zbyt nieswojo - przenocować w pokoju gościnnym zaoferowanym przez Erika, z telefonem i możliwością zaryglowania drzwi od wewnątrz, co gwarantowałoby prywatność. Ale zamiast okazać zdrowy rozsądek i zostać za zamkniętymi drzwiami pokoju gościnnego, ruszyła w podróż powrotną do domu.

To nie był najmądrzejszy wybór. Dotarła do siebie po północy, przez ponad godzinę usiłowała zasnąć, a potem senny koszmar, w którym ginęła w płomieniach, sprawił, że zbudziła się obłana zimnym potem.

Tłumaczyła sobie, że jej rozchwianie emocjonalne jest całkiem zrozumiałe. Ostatnie dni były naprawdę wyczerpujące: adwokat, spadek po babce, Warrickowie, karty, które nie wiadomo, czy były prawdziwe, list ostrzegający o niebezpieczeństwie, a przede wszystkim niepokojące poczucie déjà vu, które narastało, im dłużej przebywała z Erikiem Northern. Dlatego jechała do domu, jakby ścigały ją demony.

Tymczasem demon stał przed frontowymi drzwiami.

- Twój dzwonek ma trochę dziwną elektronikę - powiedział.
- Więcej niż dziwną. Jest kompletnie porębana.

W jego głosie czuło się irytację. Był w kiepskim nastroju od chwili, gdy Serena wsiadła do swojego rupiecia i, zostawiając go samego, odjechała w noc. Kiepski nastrój kilka minut temu przerodził się w morderczy, gdy zauważył, że facet, który zaparkował wóz na ulicy Sereny, ma na uszach małe słuchawki i jeździ brązowym japońskim autem.

Erik uważnie, a przy tym bardzo dyskretnie, przyglądał się Serenie. Jeśli wiedziała, że jest obserwowana, nie dawała tego po sobie poznać. Nawet nie spojrzała w kierunku ulicy. Mimo to wyglądała na bardzo zdenerwowaną. Zastanawiał się, czy w ciągu nocy zmieniła zdanie i nie pokaże mu kart w świetle dnia.

- Cieszę się, że bezpiecznie dojechałaś do domu - powiedział, wymownie zerkając na jej samochód na podjeździe. - Twoje opony mają taki bieżnik jak zwykle jajko.

- Nie wyglądają aż tak źle.

- Sprawdzałaś je ostatnio?

- Tak.

- Więc zbadaj wzrok u okulisty i przyjrzyj im się jeszcze raz. Potrzebujesz nowych opon.

- Są na pierwszym miejscu listy, zaraz po karmie dla kota.

- Jeśli pojedę zrobić ci zakupy, wpuścisz mnie potem do środka?

- Chodzi ci o karmę dla kota?

- Albo opony. Sama wybierz.

Spłoszona, po raz pierwszy spojrzała mu prosto w oczy. Były jasne jak światło słońca i niemal równie złociste. Malowała się w nich powaga. A więc wcale sobie nie żartował: karma dla kota albo opony - dostarczy jedno albo drugie, wedle jej życzenia.

Wyszła z korytarza i dała znak, żeby wszedł do środka.

- Nie oczekuję od gości, żeby mi przynosili prezenty.

Faktu, że się do niej wprosił - prawdę mówiąc, krzyknął, że zobaczy się z nią nazajutrz, wcześniej - nie skomentowała. Chociaż teraz mówił szorstkim tonem, jego oczy i usta zdradzały ogromną determinację. Zrozumiała, że Erik zeszłego wieczoru naprawdę nie chciał wypuścić jej z domu.

A Serena naprawdę nie chciała tam zostać. Czuła zbyt duży niepokój.

Za każdym razem gdy na niego spoglądała, miała wrażenie, że jest tam jeszcze inny Erik. Erik promieniejący blaskiem i niedostępny, Erik, którego obecność kojarzyła się z ciemnością i światłem, z przepelniającym powietrze zapachem goździków i wina. Kiedy spuściła głowę, zobaczyła, że sama również rozacza blask: miała na sobie suknię o wyjątkowo pomysłowym splocie, taką samą jak jej szal. W dodatku na palcu prawej ręki znajdował się stary pierścień z rubinem, którego nigdy przedtem nie widziała.

Wpadła w panikę.

Ja nie oszalałam, Serena powtarzała sobie tysięczny raz. Szaleńcy nie martwią się tym, że oszaleli. Po prostu są szaleni.

Wielki czarny kot wślizgnął się do korytarza i wbił w Erika swe ogniste ślepie.

- A co z kotem? - zagadnął Erik. - Wygląda tak, jakby domagał się hołdów.

Serena natychmiast odsunęła od siebie myśli o dziwnych snach i jeszcze dziwniejszych momentach przebudzenia.

- Pan Koneser? Nie. To wcielenie miłości na czterech łapach i z czarnym futerkiem.

- Nie zapominaj o zębach i pazurkach.

- Zdaje się, że nie przepadasz za kotami.

Erik rzucił jej rozbawione spojrzenie. Potem przysiadł na piętach i zaczął rozmawiać z Panem Koneserem. Burczenie, mruczenie i łagodne pomiaukiwania, jakie wydawał z siebie Erik, brzmiały, jakby wydobywały się z gardła kota - bardzo dużego kota.

Pan Koneser najwyraźniej docenił wysiłek Erika. Skoczył mu na kolana i zwinął się w kłębek, jakby miał tam zwyczaj leżeć od niepamiętnych czasów.

Uśmiechając się, Erik usiadł na podłodze po turecku i zaczął pieścić zwierzę. Brakowało mu w domu obecności kotów, ale ponieważ bardzo często wyjeżdżał, mógł sobie pozwolić najwyżej na dogładanie jakiegoś dzikiego zwierzęcia, np. kukawki.

Patrząc, jak kot tuli się do nieznanego mężczyzny, Serena odczuła zazdrość, a jednocześnie fascynację. Koneser bardzo dobrze znosił obcych, ale na ogół ich ignorował, zwłaszcza gdy zwracali na niego uwagę.

Tym razem było inaczej. Kocur przymknął oczy w rozmarzeniu. Był w ekstazie.

Erik nadal wydawał różne kocie dźwięki.

- Co do niego mówisz? - zapytała podniesionym głosem.

- Skąd mam wiedzieć, u licha. Najważniejsze, że mu się to podoba. Koneser wbił swój wielki łeb w klatkę piersiową Erika i zamruczał jak tygrys. Zwracaj uwagę na mnie, nie na nią.

Trzymając kota, Erik wstał zrećźnie. Koneser zaczął się wiercić, niezbyt delikatnie wpił się w Erika pazurkami i ogólnie dał do zrozumienia, że nie ma zamiaru porzucić swojego dawno utraconego, całkiem nowego przyjaciela.

- Można by pomyśleć, że nigdy nie głaszczę tego niewdzięcznego szczura - stwierdziła Serena.

- Kota.

- Szczura. Zobaczymy, czy teraz podzielę się z nim świeżymi krewetkami.

Koneser zaczął mrużyć jeszcze głośniejsze, jakby chciał zagłuszyć narzekania swojej pani.

- Chcesz kota? - zapytała.

- Proponujesz mi tego zwierzaka?

- Zastanawiam się nad tym.

Wielki kocur poruszył się, przeciągnął i dosłownie wpłynął w ramiona Sereny. Ani na moment nie przestał mrużyć. Westchnęła i otarła się brodą o jego miękkie, błyszczące futerko.

- Zatrzymam go - powiedziała.

- Nigdy w to nie wątpię.

- Ten szczur też w to nie wątpił.

Koneser zignorował te obelgi, delikatnie trącił podbródek Sereny i zeskoczył na ziemię. Chwilę później cicho zaskrzypiała klapka w kocich drzwiczkach w kuchni.

- Czy powiedziałem coś nie tak? - zażartował Erik. Serena parsknęła śmiechem.

- Mruczenie zaostryło mu apetyt. Poszedł na łowy.

- Kojoty niech się lepiej schowają.

- Właśnie to lubię w Koneserze. Jest tak duży, że każdy kojot, który miałby apetyt na kocie sushi, najpierw dobrze się zastanowi.

- To jeden z powodów, dla których nie mam kota - powiedział Erik. - Nie znalazłem takiego, który byłby w stanie przegonić, przechytrzyć albo pokonać w walce kojota. W Palm Springs jest ich pełno.

- Jak na razie, wszystko idzie dobrze. Chcesz kawy albo coś do zjedzenia, zanim zaczniesz oglądać prawdziwe cuda?

Oglądanie cudów. Ciała Sereny.

Erik raptownie powrócił do rzeczywistości. Mówiła o arkuszach z Księgi Uczonych. Fakt, że nie od razu przyszło mu to na myśl, świadczył, jak wielkie wrażenie na nim wywarła.

- Może być kawa - powiedział.

Jeszcze lepszy byłby prysznic z kostek lodu, ale tej myśli Erik nie zamierzał wypowiadać na głos.

- Śmietana? Cukier? - zapytała idąc w stronę kuchni.

- Bez dodatków.

Gdy tylko znikła mu z oczu, odwrócił się i zerknął przez szybkę w drzwiach frontowych. Niepozorny japoński samochód stał dokładnie w tym samym miejscu. Natomiast mężczyzna zmienił pozycję. Właśnie za pomocą dyskretnej, wyrafinowanej lornetki, przyglądał się tablicy rejestracyjnej wozu Erika.

Cholera!

Erik odruchowo sięgnął do aparatu przypiętego do paska na plecach. Dotychczas nie skorzystał z niego tylko dlatego, że był pewien, iż jego niechętna gospodyni nie zrozumie, dlaczego rozmawia przez zabezpieczony przed podsłuchem telefon komórkowy z Rarities na temat tego, czy firma kazała komuś śledzić Serenę Charters i czy ten ktoś miał obowiązek zapisywać w dzienniczku numery tablic rejestracyjnych wszystkich odwiedzających ją osób.

Rarities zazwyczaj informowała Erika, czy zajęła się zorganizowaniem wsparcia. Zazwyczaj.

Niall potrafił być całkowicie nieprzewidywalny. To utrzymywało wszystkich w czujności, zwłaszcza ludzi, którzy próbowali rozgryźć system zabezpieczeń w Rarities Unlimited.

Erik wybrał nieco gorszą opcję: e - mail. Zdążył już zapamiętać numer tablicy rejestracyjnej i markę samochodu gościa, który ich śledził. Co do samego „ogona”, był to nie rzucający się w oczy biały mężczyzna w wieku średnim. Mnóstwo takich typów pracowało dla FBI. Jednak FBI wciąż musiała korzystać z amerykańskich samochodów. Ten facet korzystał z kamuflażu idealnego na zachodnim wybrzeżu: miał samochód na zagranicznych tablicach rejestracyjnych.

Układając w myślach krótki tekst, Erik wyciągnął z aparatu specjalny pisak, zaprojektowany z myślą o takich kłopotliwych sytuacjach, kiedy nawet cicha rozmowa była niemożliwa. Przesłał wiadomość w staroświeckim stylu: pisząc szybko na małym elektronicznym ekraniku „oryginał” dla Dany, a kopię dla Faktoida. Potem wsunął aparat do kabury na plecach.

Wielu mężczyzn w tym miejscu nosiło broń. Erik miał nadzieję, że już nigdy nie będzie do tego zmuszony.

Pomimo szybkiego e - maila zamierzał zadzwonić do Rarities, gdy tylko upewni się, że Serena nie będzie mogła słyszeć tej rozmowy. Krótka informacja na piśmie nie mogła zastąpić prawdziwych słów, prawdziwych wrażeń, prawdziwej wymiany zdań.

Ruszył w ślad za Serena, mijając serię parawanów z materiału, które odgradzały główne pomieszczenie od frontowych drzwi, tworząc coś w rodzaju przejścia. W normalnych okolicznościach z pewnością zauważyłby i docenił jakość tkanin, ale chwilowo jego myśli zaprzętało coś pilniejszego niż kunszt ich wykonania.

Zastanawiał się, jak taktownie zapytać Serenę, czy wracając do domu poprzedniego wieczoru nie zauważyła, żeby ktoś za nią jechał.

Dotarłszy do drzwi kuchni, zamarł. Może przyczynę stanowiło rozkojarzenie. Może brak snu. Albo wiele innych rzeczy. W każdym razie poczucie deja vu, kiedy zobaczył, jak Serena nalewa parującej kawy do kubka, sprawiło, że stanął jak wryty.

Oszołomiony, przez kilka chwil był pewien, że już widział tę scenę. Kobieta nalewała nie kawę, ale coś parującego, co mogło rozgrzać człowieka w zimny dzień. I wtedy nie był to kubek, lecz miska, na której wyryto stare symbole runiczne.

On to wszystko widział.

Stanowczo potrząsnął głową, próbując odsunąć od siebie ten niepokojący obraz. To nie była odpowiednia pora na wsłuchiwanie się w średniowieczne echa duszy. Miał pilniejsze rzeczy do zrobienia i nie mógł się ciągle zastanawiać, dlaczego ma wrażenie, że już gdzieś widział policzek Sereny czy światło świec, które odbijało się w jej fiołkowych oczach i złotorudych włosach.

- Wczoraj wieczorem był duży ruch? - zagadnął. Popatrzyła na niego z niedowierzaniem, unosząc lewą brew.

- Było już po północy. Nawet w południowej Kalifornii godziny szczytu kiedyś się kończą.

Wzruszył ramionami.

- Byłem tylko ciekaw. Czasami kiedy samotna kobieta jedzie o późnej porze, jakiś facet może pomyśleć, że fajnie byłoby za nią pojechać... - Zawiesił głos, jakby zachęcał Serenę do komentarza.

Odstawiła dzbanek z kawą.

- Jak z tymi kojotami, wszystko na razie w porządku.

- Nikt za tobą nie jechał?

- Jeśli tak, to nie zauważyłam. - Spojrzała na niego czujnie. - Często się martwisz takimi rzeczami?

- Mam dwie młodsze siostry. - Wiedział, że używa nieprzekonującego argumentu, ale zawsze była to jakaś wymówka.

- Czy zdarzyło się, że ktoś za nimi jechał?

- Raz.

- I co się stało?

- Zadzwończyły do mnie. Serena czekała.

Erik milczał. Serena nie poczułaby się lepiej, gdyby jej powiedział, że spisał numer tablicy rejestracyjnej tego faceta, wytropił jego nędzne mieszkanie i odbył z nim małą pogawędkę. A potem jeszcze podał numer tablicy gliniarzom, żeby mogli powiedzieć temu świrowi, jak bardzo go kochają. Słyszał później, że jedna z policjantek porządnie mu przyłożyła, kiedy się zorientowała, że jechał za jakąś przerażoną kobietą o drugiej w nocy.

- I co było dalej? - zapytała Serena.

- Nie straciły głowy i dotarły do domu całe i zdrowe. Czy ta kawa jest dla mnie?

Spojrzała na trzymany w rękach kubek.

- Och, tak. Przepraszam. Miała być bez niczego, prawda?

- Dzięki. - Wziął od niej kubek, przełknął łyk i aż cmoknął z zadowolenia. - Dobra - powiedział, nieco zaskoczony.

Uśmiechnęła się ironicznie.

- Rzadko truję gości podczas pierwszej wizyty.

- A podczas drugiej?

- Zwykle czekam do trzeciej.

Uśmiechnął się, wypił pół kubka i oblizał wargi.

- Po tym jak u mnie w domu zalewałaś fusy, spodziewałem się jakiegoś okropieństwa.

- Przykro mi, że cię rozczarowałam.

- Nie jestem rozczarowany.

Wypił resztę kawy, umył ręce, starannie wytarł je w ręcznik, który mu podała, i spojrział na nią wyczekująco.

Pomimo zaborczej niechęci do pokazywania pięknych kart komukolwiek, nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- A już myślałam, że przejechałeś taki kawał wyłącznie po to, żeby mnie zobaczyć.

Skrzywił się.

- Na to nie ma dobrej odpowiedzi.

Śmiejąc się, umyła ręce, wytarła je o dzinsy i poszła w stronę drugiego wyjścia z dziwnie zaprojektowanej kuchni.

- Idź za mną.

Patrząc na lekko rozkołysane biodra Sereny, powiedział schrypniętym głosem:

- Z przyjemnością.

Odwróciła głowę, zaskoczona, ale Erik przewidział jej manewr. Z niewinną miną wpatrywał się w jej twarz.

- Co? - zapytał.

Zacząła coś mówić, dostrzegła pułapkę i szybko się wycofała.

- Teraz wiem, jak się poczułeś. Cokolwiek powiem będzie znaczyło, że strzelam sobie w stopę.

- Twoje stopy wyglądają smakowicie.

Zamrugła powiekami, popatrzyła na swoje stopy, a potem na Erika.

- Zanim pójdziemy dalej, może najpierw powinieneś zjeść śniadanie.

- Dlaczego?

- Jeśli patrzysz ze smakiem na moje stopy, możesz pożreć karty. Śmiech Erika był tak po męsku zmysłowy, że Serenie zaparło dech w piersiach.

- Jeśli chodzi o dobre rzeczy, należę do mężczyzn, którzy działają powoli i bardzo dokładnie - zapewnił.

- Nie zamierzam o tym rozmawiać. Kąciki ust Erika zadrgały.

- Jesteś pewna?

- Moja babka wychowała tylko jedno głupie dziecko. Nie ja nim byłam.

Erik pomyślał o mężczyźnie z prawie niewidocznymi słuchawkami i pojemnikiem do sikania, bez wątpienia zamontowanym w odpowiednim miejscu. Miał nadzieję, że Serena nie przecenia

swojej inteligencji, ale nie był o tym do końca przekonany. Spryt i daleko idąca dyskrecja babki nie uchroniły jej przed gwałtowną śmiercią.

Zastanawiał się, czy Faktoid lub któryś z jego pomocników zdołał już się włamać do komputera szeryfa okręgu. Miło byłoby wiedzieć, co chłopcy w mundurach naprawdę sądzą o zamordowaniu Ellis Weaver. A może Ellis Charters? Biorąc pod uwagę informacje przesłane Rarities przez Erika zeszłego wieczoru, być może Faktoid odkrył coś użytecznego.

Tym razem Erik wyjątkowo nie miałby nic przeciw temu, żeby odezwał się pager przy jego pasku.

Ale teraz, jak na złość, to cholerstwo milczało jak grób.

Rozdział 28

Los Angeles, piątek rano

Dana Gaynor miała na sobie elegancki wełniany kostium, bardzo odpowiedni na ten wietrzny styczniowy dzień w Los Angeles, kiedy znad oceanu wiała zimna bryza, a chmury kłębiły się groźnie, gotowe skąpać wybrzeże ulewą. Żurawinowy kolor kostiumu podkreślał ciemne włosy Dany i łagodnie przyciągał do niej uwagę w pokoju pełnym okien, przez które było widać deszczową aurę, ale w tej chwili nie była świadoma tych nieistotnych szczegółów. Miała bardzo niezadowoloną minę, a między jej brwiami rysowała się pionowa zmarszczka.

Joe - Bob McCoy z zakłopotaniem przestąpił z nogi na nogę. Nie przywykł przychodzić z pustymi rękami, kiedy realizował zlecenie dla Rarities, zwłaszcza jeśli sprawą interesowała się Dana. Wolałby, żeby zlecenie wiązało się z malarstwem starych mistrzów, a nie ze średniowiecznymi manuskryptami. Zainteresowanie Dany starymi mistrzami było zawsze minimalne.

Zadzwoił telefon, odraczając wyrok dla McCoya.

Dana rzuciła aparatowi mordercze spojrzenie. Powiedziała swojemu asystentowi, Ralphowi Kungowi, żeby nie zawracał jej głowy, chyba że chodziłoby o Serenę Charters i karty z manuskrytu.

- Mam nadzieję, że to coś naprawdę ważnego - mruknęła chwytając słuchawkę. - Kto? - warknęła.

- Cleary Warrick Montclair.

- To nie wystarczy. Przytrzymaj ją.

- Odmówiła. Dość ostrym tonem, jeśli chcesz wiedzieć.

- Gdzie jest Niall?

- Wziął dzień urlopu. Akurat jest sezon gołych korzeni.

- Co?

- Sezon sadzenia róż o gołych korzeniach.

- Kwiatów? Ja haruję jak wół, a on sadzi te cholerne róże?

- Właśnie pada deszcz - powiedział Kung, takim tonem, jakby chciał ją pocieszyć. - Możesz go zobaczyć przez okno.

Nawet nie raczyła spojrzeć w tę stronę.

- Czy te róże mają kolce? - zapytała zimno.

- Myślę, że tak.

- Mam nadzieję, że posadzi na nich swój tyłek. Daj mi trzydzieści sekund i połącz mnie z Cleary. - Przyszpiliła Faktoida ponurym, groźnym spojrzeniem. - Dawaj kawę na ławę.

- Nic nowego w sprawie babki z wyjątkiem rzeczy na miejscu śmierci - odparł szybko. - Ona wymyśliła sobie zupełnie nową tożsamość.

- Niech to cholera. Tak przeczuwałam. Chcę wiedzieć, kim była przedtem i dlaczego wyrobiła sobie nową tożsamość. Więc przestań węszyć za Gretchen i bierz się do roboty.

- Wcale nie węszę... - zaczął, ruszając do drzwi.

- O nie - przerwała mu Dana. - Pracujesz tutaj. W moim gabinecie. Będę cię miała na oku.

- Ale...

Dana znowu mówiła, i to wcale nie do McCoya. Nawet gdyby nie mógł słyszeć słów, zorientowałby się, że jest to rozmowa z klientem. Z jej głosu przebijały spokój, uprzejmość, pewność siebie, a przede wszystkim zdroworozsądkowy ton.

- Witam, Cleary. Jak się miewa pani ojciec?

- Wściekły.

Dana jakoś nie potrafiła wzbudzić w sobie współczucia. Warrick był bardzo bogatym, bardzo nieprzyjemnym, bardzo starym człowiekiem, a jego córka wydzwaniała do Rarities co pół godziny od szóstej rano.

- Próbowала pani zmienić dawkowanie leków? - Dana zapytała uprzejmie.

Zdumienie odebrało Cleary mowę. Dana wykorzystała jej chwilową słabość.

- Pani Montclair, będę z panią szczerą. Trudno nam cokolwiek działać, kiedy House of Warrick wisi na telefonie i domaga się szczegółowych raportów. Doceniamy pani troskę, rozumiemy potrzebę pilnego działania, ale będziemy pracować o wiele efektywniej, jeśli rzadziej będzie się nam przerywać pracę. Mamy pani numer telefonu, faksu, pani e - mail, numer komórki, pagera, i błyskawiczne połączenie internetowe. Pani Charters towarzyszy obecnie nasz człowiek. Jeżeli pojawi się możliwość nabycia tych arkuszy, niezwłocznie panią poinformujemy.

Na klientce te uwagi nie zrobiły wrażenia.

- Proszę posłuchać, House of Warrick płaci Rarities mnóstwo pieniędzy za...

- Właśnie - przerwała jej zrećznie Dana. - Oczekuje pani zwrotu ze swojej inwestycji. Otrzyma go pani. Otrzyma go pani znacznie szybciej, jeśli pozwoli nam pani pracować bez przeszkód.

Na moment po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza.

- Ale on jest wściekły - podjęła Cleary zbolalym głosem. - Jego serce... Osobiście Dana wątpiła, żeby stary drań miał serce.

- Dzwoniła pani do jego doktora?

- Oczywiście!

Na pewno co pół godziny. Dana westchnęła. Trudno było sobie radzić z namiętnościami, jakie budziła u ludzi sztuka oraz interesy. Ale osobiste urazy i rodzinne dramaty były wprost nie do zniesienia.

- Robimy wszystko, co w naszej mocy - powiedziała łagodnym tonem. - Chciałaby pani, żebym osobiście zapewniła o tym pani ojca?

- Nie. Kiedy zasugerowałam taką możliwość, powiedział, że lepiej wykorzysta pani czas pracując, zamiast go niańczyć.

Dana uniosła brwi. Może ten staruch nie był jednak skończonym draniem. Z pewnością lepiej rozumiał specyfikę sytuacji niż jego córka.

- W takim razie pozostaniemy w kontakcie, Cleary. Do usłyszenia wkrótce.

- Proszę przynajmniej polecić asystentowi, żeby przysyłał raporty co godzinę.

- W godzinach pracy, oczywiście.

- Ale...

- Dziękuję za telefon, Cleary. Doceniamy pani troskę.

Dana rozłączyła się i spojrzała na McCoya. Spodziewała się, że będzie pograżony w komputerowym transie, ale on patrzył na nią.

- Coś nie tak? - zagadnęła.

- Erik minutę temu próbował się z tobą skontaktować, ale w końcu nadał e - maila, a mnie przesłał kopię.

- Coś pilnego?

- Jakiś facet sterczy na ulicy i obserwuje dom Charters. Erik przesłał numer tablicy rejestracyjnej i dokładny opis. Chce wiedzieć, czy gość jest od nas.

- Nikogo nie wysyłałam. - Sięgnęła po jedno z urządzeń nadawczo - odbiorczych, które musiała zawsze mieć w zasięgu, bo

Niall tego chciał. Ich milczące porozumienie zakładało, że ten sprzęt będzie używany tylko w sytuacjach awaryjnych. - Niall, jesteś tam?

- Co słyszeć, słonko?

- Kazałeś komuś śledzić Serenę?

- Nie.

- Załatwiłeś wsparcie dla Erika?

- Nie.

- Jasna cholera. Mamy na karku detektywa.

Rozdział 29

Leucadia, piątek rano

Erik spojrzał na starą skórzaną teczkę, którą Serena trzymała pod pachą.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że trzymałaś ją w swoim wozie zamkniętą w przytwierdzonej do podłogi plastikowej skrzynce na narzędzia.

. - Nie mów z takim przerażeniem. Skrzynka jest wodoodporna, czysta, a system alarmowy w samochodzie i zamki sprawne. Natomiast zamek w drzwiach domu jest równie beznadziejny jak dzwonek. A co do systemu alarmowego... - Wzruszyła ramionami. - Moje czujniki dymu są na baterie, czy można na nie liczyć?

Otworzył usta, ale po namyśle zaraz je zamknął. Im prędzej znajdą się w domu wraz z kartami, tym lepiej. Oczywiście, nie wątpił, że facet na ulicy nie widział, jak Serena otwiera swoją terenówkę i niedbale wyciąga z niej dużą skórzaną teczkę. Gość, który ich śledził, prawdopodobnie już zadzwonił gdzie trzeba, co oznaczało, że lada moment sytuacja może się bardzo ożywić.

Chyba że facet pracował dla Rarities.

Erik zastanawiał się, czy ten „ogon” to przyjaciel czy przestępca. Jeśli był tym drugim, miło byłoby się dowiedzieć, czy babka Sereny zginęła przypadkowo, czy może posiadała coś, co chciał zdobyć ktoś wyjątkowo niesympatyczny. Na przykład karty z Księgi Uczonych. A może nawet całą tę cholerną księgę.

Niech cię diabli, Faktoid. Gdzie jesteś, kiedy cię potrzebuję?

Żadnej reakcji, zwłaszcza na pagerze przy pasku. Doznawał niepokojącego uczucia, że bardziej niż milczący pager przydałby mu się pistolet. I nie cierpiał tego uczucia, gdyż nie lubił używać broni. A jeszcze mniej podobał mu się rozwój sytuacji.

Zostać spalonym - to okropny rodzaj śmierci.

- Masz jakiś dobrze oświetlony stół? - zapytał, idąc w stronę drzwi. Serena spojrzała na niego z ukosa. Chociaż nie zmienił się ani ton jego

głosu, ani wyraz twarzy, wyczuła, że Erik jest nieufny albo zły. Patrząc przenikliwie miał w sobie coś z drapieżnika.

- Może być ten w kuchni? - zaproponowała.

Mówiła o małym, niewygodnym stoliku do kawy, przy którym samotnie jadła posiłki. Mieścił się na nim talerz, sztućce i kubek. Na solniczkę i pieprzniczkę nie było miejsca.

- Coś większego? - zapytał.

- Mogę uprzątnąć stół do projektowania.

- Idealnie - powiedział. Stół, na którym robiła projekty, na pewno miał dobre oświetlenie.

Serena była ciekawa, jak Erik zareaguje na jej pracownię. Nikt jej jeszcze nie oglądał, z wyjątkiem pracowników firm kurierskich. Została wychowana na osobę samodzielną, ale i odludka. Przez lata nie zdarzyło się nic, włącznie z mężczyznami, co mogłoby zmienić ten stan rzeczy.

Kiedy miała już za sobą etap bycia dwudziestoparolatką, postanowiła dołączyć do grona „odrodzonych dziewic”, czyli osobliwego współczesnego fenomenu, polegającego na tym, że niezamężne kobiety dochodziły do wniosku, że życie bez seksu jest lepsze niż życie z seksem. Nie potrzebowała mężczyzny, który by ją utrzymywał, ponieważ była niezależna finansowo. Nie potrzebowała mężczyzny, żeby zająć w ciąży; wystarczyłaby wizyta w banku spermy. Nie potrzebowała mężczyzny, który naprawiałby jej samochód; w książce telefonicznej pełno było chętnych do pracy mechaników; mogła też przebierać w projektantach ogrodów, malarzach pokojowych, hydraulikach i elektrykach.

Jeśli chodzi o towarzystwo, nigdy nie poznała mężczyzny, który by rozwijał jej możliwości, zamiast je ograniczać. Biorąc tę okoliczność pod uwagę, Pan Koneser był idealnym męskim kompanem; potrafił zająć się sobą i tylko od czasu do czasu domagał się pieszczot.

Przenikliwy gwizd, kojarzący się z dźwiękami wydawanymi przez dzikiego sokoła, wytrącił Serenę z rozmyślań. Odwróciła się w stronę Erika.

Nawet tego nie zauważył. Oglądał warsztaty tkackie niemal z nabożną czcią.

- Jezusie, Józefie i Mario. Zamrugła powiekami.

- Właściwie nazywają się Duża Betty, Średnia Betty, J.M. Betty, Mała Betty i Betina.

- Nadałaś imiona krosnom?

- Spędzam z nimi większość życia. Powinnam je nazwać Jeden, Dwa, Trzy, Cztery i Pięć?

- Masz rację. Pięciokrotną. Co oznacza skrót J.M.?

- Jakby Mała.

Popatrzył na warsztat mający metr osiemdziesiąt wysokości i wybuchnął śmiechem.

- „Jakby” to właściwe określenie.

- Szkoda, że nie widziałeś warsztatu babci. Dlatego odległość od podłogi do sufitu musiała wynosić ponad trzy i pół metra. Ten warsztat był przekazywany z pokolenia na pokolenie od niepamiętnych czasów.

Erik nie musiał pytać, co się stało z warsztatem. Drewno było łatwopalne. Szczególnie stare drewno.

Serena podeszła do Średniej Betty. Nitki osnowy były naprężone, ale brakowało nitek wątku, które nadawałyby tkaninie właściwą gęstość i wzór. Osiem nicielnic ze sznurkami czekało, aż Serena znajdzie czas, by zacząć tkąć wzór, który prześladował ją od szóstego roku życia. Śniła o nim, rysowała w rozmaitych wersjach, wybierała przędzę i kolory, napinała osnowę, sprawdzała rysunek i przyrzekała sobie, że zabierze się do pracy, gdy tylko obrębi tkaninę z normandzkim krzyżem, którą skończyła w długą, bezseną noc.

Pomimo braku snu czuła wielki zapał na myśl o rozpoczęciu nowej tkaniny. Zwłaszcza tej. Przez całe życie rozwijała swoje tkackie umiejętności planując ten wzór. Wreszcie była gotowa. Nie miała co do tego wątpliwości.

Śniła o tym wzorze zeszłej nocy, tylko że... niezupełnie. Widziała na warsztacie tkaninę, która wyglądała jak jej szal, a ona przędła, marzyła, nuciła pod nosem.

„Przynęta dla jednego, wszystkich innych odstrasza.”

Erik obserwował twarz Sereny, kiedy gładziła nitki osnowy, delikatnie i z uczuciem, jak harfistka trącają struny swojego instrumentu...

„Ariane o potarganych włosach, ametystowych oczach i smukłych, białych palcach, które z harfy potrafiły wydobyć tyle smutku, że nawet sokół wędrowny płakał. Ariane w swojej sukni Uczonych, której materiał zdawał się wytrzymalszy od zbroi i był jak przynęta dla jednego mężczyzny. Niezwykłe sukno utkane przez czarodziejkę Serenę z Silverfells.

Cassandra wspaniale wtrącała się w związek Ariane i Simona. Gdybyż jego własny związek mógł być tak cudowny."

Czując nagły przypływ adrenaliny, Erik odsunął natrętne wspomnienia, które nie do końca były wspomnieniami. Wykonywać średniowieczną profesję - kaligrafię i iluminację - to jedno. Mieć średniowieczne wspomnienia, których nigdy nie napisał, nigdy nie iluminował ani nawet nie przeczytał - to coś zupełnie innego. Należało do sfery wyobraźni, a Erik miał bujną wyobraźnię.

Miał obsesję na punkcie Księgi Uczonych. Znał ją. Nie wiedział tylko, jak uciec od nieodpartego uroku tajemnicy albo przemożnego pragnienia, by poznać los Erika Uczonego.

- ... całego stołu? - zapytała Serena.

Odtworzył w pamięci kilka ostatnich chwil i odpowiedział na jej pytanie:

- Potrzebuję tyle miejsca, żeby rozłożyć te karty.

- Jeden cały stół. Już się robi.

Podczas gdy sprzątała z blatu, walczył z pokusą, by po prostu usiąść na podłodze i natychmiast zacząć oglądać karty z manuskryptu. Ale wyczuł, że Serena nie chce się z nimi rozstawać i że byłaby jeszcze bardziej niezadowolona, gdyby rzucił się na nie jak dzieciak na słodycze. Pomyślał, że skoro czekał tyle lat, może jeszcze poczekać te parę minut.

Powtarzał sobie te słowa kładąc teczkę na stół kreślarski, częściowo uprzątnięty. Kiedy podniósł nadpalony brzeg, wydał niski odgłos, w którym triumf mieszał się z podziwem.

Serena obserwowała go z zaciekawiona. Wydawało jej się, że, podobnie jak Warrick, Erik rozpoznał te kartki, ale w przeciwieństwie do starego despoty wcale się na ich widok nie rozżłościł.

Erik był urzeczony.

Cisza przedłużała się, przypominała drżeniu trąconej struny harfy.

- Więc? - zagadnęła.

- Więc co?

Odpowiedział, nawet na moment nie odrywając wzroku od kart rozłożonych na tej części stołu, którą Serena zdążyła uprzątnąć. Nie oderwałby spojrzenia, nawet gdyby usłyszał wybuch. Miał przed sobą cztery wspaniale zachowane arkusze z Księgi Uczonych. Żadna litera nie została wydrapana, by ustąpić miejsca niestosownym - choć pięknym - miniaturom. Na żadnej z kart nie było naleciałości

piętnastowiecznego stylu dworskiego, tylko prosta kaligrafia, prosta, ale jakże cenna: wszak zapisane tu słowa opowiadały fragmenty historii Erika Uczonego.

Czytał szybko, w milczeniu, żarłocznie, tłumacząc w myślach kolejne zwroty i wyrażenia.

„Pragnę, by synowie poślubili córki Simona i Dominika, i pragnę też, by córki wyszły za synów mojego pana i przyjaciół. Modlę się o taką żonę jak Amber albo Meg, albo Ariane, kobiety, którym nie brak odwagi, by kochać, ani siły, by nauczyć swoich dzikich panów współczucia.

Powinno wystarczyć, że moja krew żyje w dzieciach mojej siostry Amber, krew połączona z krwią Duncana, jej mrocznego i ukochanego wojownika. Ich dzieci będą łączyć się małżeńskimi więzami, majątkiem i potomstwem z dziećmi Simona i Dominika. Będą utrzymywali i strzegli tej ziemi, jak to czynili ich ojcowie.

A jednak to nie wystarczy.

Chcę mieć kogoś więcej, niż siostrzenice i siostrzeńców, chrześniaków i chrześniaczki, i synów moich przyjaciół wychowujących się w moim domu. Oby dobry Bóg zesłał synów, którzy wychowywaliby się w ich domach, i córki, które patrzyłyby zalotnie na przybranych synów. W taki sposób buduje się trwałe sojusze. W taki sposób zaczyna się historia.

Żadna historia nie zacznie się ode mnie.

Nie wiem, czy mam przeklinać czarodziejkę Serenę, czy przeklinać moją Uczoną osobowość za to, że nie byłem w stanie przed nią uciec. Ona wplotła się w mą duszę. Jakże chętnie bym ją wyrwał, aby móc żyć swobodnie, jak inni mężczyźni, nie wyłączając Uczonych.

Zauroczenie robi z mężczyzn głupców.

Zwłaszcza z Erika Uczonego."

- Czy one są sfalszowane? - zapytała Serena, nie mogąc dłużej znieść milczenia.

Gwałtownie podniósł głowę. W myślach wciąż jeszcze słyszał echa pewnego imienia, imienia czarodziejki, które znał od dawna, choć nie miał prawa go znać: Serena.

- Dlaczego o to pytasz?

Pomyślała o ostrzegawczym liście babki, ale powiedziała tylko:

- Czy nie dlatego ludzie dają rzeczy do wyceny? Żeby się dowiedzieć, czy są prawdziwe?

Erik uśmiechnął się niewyraźnie.

- Większość ludzi po prostu chce się dowiedzieć, ile dana rzecz jest warta.

Serena czekała.

- Będę musiał przeprowadzić kilka testów - powiedział.

I rzeczywiście zamierzał je zrobić, ale raczej dla własnej przyjemności, a nie dlatego, by trafiły go jakieś wątpliwości. Te kartki były autentyczne. Był tego tak pewien, jakby sam kiedyś je stworzył.

Po chwili, jak lód krystalizujący się na tafli jesiennego stawu, zamrażający wszystko, pojawiła się w jego umyśle pewność, że istotnie był ich twórcą.

Rozdział 30

Jakiego rodzaju testy? - szybko zapytała Serena.

Erik z trudem skupił się na tym, co działo się tu i teraz, ale wciąż widział przeszłość: wydawała się tak bliska, tak rzeczywista, jak kolorowy cień rzucany przez niesamowite światło. A może było dokładnie na odwrót; przeszłość była rzeczywista, zaś teraźniejszość stanowiła jedynie kolorowy cień intensywnego życia w przeszłości.

- Nie niszczące. - Erik dotknął brzegu karty w taki sposób, jakby ona żyła, oddychała, szeptała coś jego duszy. - Porównanie druku, porównanie tekstu, techniki wykonania, ultrafiolet, naoczne oględziny pergaminu, tego rodzaju czynności. Jeśli to nie zlikwiduje wątpliwości, zabiorę karty do laboratorium, które dokona analizy farby tak delikatnie, jak motyl uprawiający seks.

Zmarszczyła czoło.

- To laboratorium bardzo dba, żeby nie uszkodzić oryginału - zapewnił, gładząc kartę.

Delikatność i wyraźna powściągliwość palców Erika były dla Sereny bardziej wymowna niż jego słowa. Oto miała przed sobą człowieka, który dotyka czegoś, co podziwiał. Więcej, on to kochał?

Poczuła nagły, niepokojący przyływ zazdrości. Wmawiała sobie, że po prostu czuje niechęć na myśl o dzieleniu się kartami, ale ten argument jakoś nie bardzo do niej przemawiał. Z tęsknotą, która ścisnęła jej gardło, wierzyła, że cudownie byłoby być dotkniętą w ten sposób, czule i delikatnie.

Potem popatrzyła na kartę, która tak zafascynowała Erika. Nie przesłała mu kopii tej karty, za to przesłała ją Warrickowi. Obficie złożony i niezwykle skomplikowany wzór pokrywał całą kartę. Lśniłaby nawet w bladej księżycowej poświacie. W biały dzień była oszałamiająca. Blask świec podkreślałby piękno i tajemniczość karty, które tchnęłyby w nią życie.

- To moja ulubiona - powiedziała cicho Serena.

Erik drgnął gwałtownie, jakby zupełnie zapomniał, że nie jest sam.

- Te inicjały? Uśmiechnęła się lekko.

- Szybko je dostrzegłeś.

- Doświadczenie - odparł, wiedząc, że to tylko część prawdy.

- Ja potrzebowałam dużo czasu, żeby dojrzeć te inicjały - przyznała Serena. - Litery E i S są tak mocno ze sobą splecione, że nie

można ich rozdzielić nie niszcząc wzoru. Jego złożoność jest równie piękna, jak onieśmielająca.

- Onieśmielająca?

- Dla tkacza tak. Zwłaszcza dla dziecka, które nigdy wcześniej nie widziało czegoś podobnego, chyba że w snach.

Powoli skupił na niej swoją uwagę.

- Nie rozumiem.

Uniosła podbródek w geście, który wyrażał zarówno jej zakłopotanie, jak i determinację.

- A prosiłam cię, żebyś zrozumiał?

Zawahał się. Cienie pod jej oczami, rezultat bezsennej nocy, przydawały im dręczącej głębi.

- Ale chcę zrozumieć.

- Nie uwierzysz mi.

- Przekonaj się.

Serena spojrzała na palce Erika, tak ostrożnie dotykające jej dziedzictwa, jej snów. Zamknęła oczy i odparła szybko:

- Nie pamiętam, kiedy po raz pierwszy śnił mi się ten wzór. Wiem tylko, że matka wtedy jeszcze żyła. Uśmiechnęła się, kiedy próbowałam go narysować. Nie potrafiłam jeszcze napisać swojego imienia, a mimo to próbowałam stworzyć coś tak skomplikowanego, że nawet nie potrafiłam tego ogarnąć rozumem. - Serena wzruszyła ramionami i otworzyła oczy. Erik wpatrywał się w nią. Jego oczy były dzikie i wyraziste jak u sokoła. - W każdym razie próbowałam wielokrotnie, aż w końcu mi się udało.

- Ile czasu ci to zajęło?

- Skończyłam go w wieczór, kiedy moja babka została zamordowana. Sen, który mi się przyśnił tamtej nocy, był nieznośnie intensywny.

- Miałaś sen o jej śmierci? - zapytał ostro.

- Nie. Szalony śmiech, te inicjały owijające się wokół siebie jak winorośl, wycie kogoś, kto doświadczał niehumanitarnego bólu... - Potarła ramiona i spojrzała na błyszczącą, skąpaną w złocie kartę. - Obudziłam się obłana potem. Zaczęłam rysować. Nie przerywałam, dopóki nie skończyłam.

- Ile to trwało?

- Nie wiem. - Uśmiechnęła się nieznacznie. - Zdaniem Pana Konesera za długo. W trakcie drugiej nocy zaczął przynosić najlepsze kęski na stół do projektowania, żeby mnie wywabić.

- Nie zostawił żadnych chrupkich kawałków? - zapytał Erik.

Jej odpowiedzią był dźwięk, który zabrzmiał jak śmiech lub zduszony szloch.

- Nie. Tylko soczyste kęski.

- Zapewne trudno było się oprzeć - powiedział z ironią w głosie.

- Ważne, że o tym pomyślał. - Mówiła równie ironicznym tonem, ale cały czas próbowała rozcierać pokryte gęsią skórą ramiona. - W każdym razie skończyłam ten rysunek.

Rozważył to, co mu wyznała, i zastanawiał się, czego jeszcze nie powiedziała.

- Wzór, który ci się śnił - odezwał się w końcu, gładząc lekko margines iluminowanej strony, gdzie inicjały były splecione w oszałamiająco skomplikowany i piękny wzór. - Czy był taki jak ten?

- Nie. To był ten wzór.

- Często się zdarza, że wspomnienia z dzieciństwa są bardzo żywe i długotrwałe.

Skinęła głową, zawahała się, ale w końcu dała za wygraną. Może on będzie w stanie wyjaśnić jej coś, czego sama nigdy nie była w stanie pojąć.

- Nie mogłam widzieć tej strony, zanim mi się przyśniła. Uniósł gwałtownie brwi.

- Dlaczego?

- Babka nie przekazała kart mojej matce i nie odwiedzała jej, po tym jak moja matka uciekła. Nigdy też z nią nie rozmawiała, kiedy matka zmieniła nazwisko na Charters. A ja zobaczyłam babkę dopiero po śmierci matki.

- A mimo to śniłaś o tej karcie, kiedy wciąż jeszcze mieszkałaś ze swoją matką?

Serena spojrzała na niego z ukosa.

- Mówiłam, że nie uwierzysz. - Niezgrabnie poruszyła ramionami. - To nie jest zaskakujące. Ja też nie chcę w to wierzyć. To... niesamowite. - Odetchnęła. - Tak czy owak, to nie ma znaczenia.

Erik chciał się z nią zgodzić, ale nie mógł.

- Może mieć.

- Co?

- To może mieć znaczenie. Uniosła podbródek.
- Dlaczego?
- Pochodzenie - powiedział lakonicznie. - Stanowi część każdej wyceny. Jesteś jedyną żyjącą osobą, która mogła widzieć te karty w rękach babki.

- Morton Hingham je widział. Jej adwokat.

- Jesteś pewna?

Zawahała się. Niewykluczone, że babka używała skrytki i wcale nie powiedziała Hinghamowi, co jest w środku. To było do niej podobne.

- Nie - powiedziała z napięciem w głosie. - I co z tego?

- Żeby określić pochodzenie, muszę prześledzić właścicieli tych kart jak najdalej wstecz.

- Przecież ci mówiłam. Były przekazywane pierwородnej dziewczynce w każdym pokoleniu.

- Nie, nie mówiłaś mi o tym. Ale to mi ułatwi zadanie. Kim była matka twojej babki?

- Nie wiem.

- Spróbuj jeszcze raz.

- Mówiłam ci, że nie wiem.

- Dobrze. Kim był twój dziadek?

- Nie wiem.

- Prababka po kądzieli?

- Nie.

- Pradziadek?

- Nie.

- Ciotki, wujkowie, ktokolwiek?

- Nie. Jestem ostatnia w żeńskiej linii. Z tego, co wiem, w każdej linii.

Erik popatrzył na jej ogniste włosy i fiołkowe oczy i był pewien, że już kiedyś przed nim tak stała, wypowiadając prawie te same słowa: Jestem ostatnia z linii Silverfells.

Poczuł, że przypięty do jego paska pager wibruje. Sięgnął odruchowo, zerknął na wyświetlacz i zobaczył numer Nialla. Jego bardzo, bardzo prywatny numer, którego nawet Dana starała się nie używać.

- Przepraszam - powiedział Erik, wsadzając rękę za pasek. - To pilne, inaczej zaczekałby na mój telefon.

- Kto taki?
- S.K. Niall, jeden z moich szefów.

Erik uruchomił scramblera, nacisnął klawisz automatycznego wybierania i czekał.

Niall przycisnął klawisz odbioru, jak wygłodniały pstrąg rzucający się na przynętę.

- Masz na karku detektywa.
- Na ulicy?

- Nazwisko William Wallace, zwany też Złym Billym. Były komandos. Jakieś dziesięć lat temu wyrzucony z Agencji do spraw Zwalczania Narkotyków za „przesadną brutalność”. Teraz mniej lub bardziej legalnie pracuje jako prywatny detektyw, ponoć wynajmując swoje nielegalne talenty temu, kto oferuje najwyższą stawkę. Zaczął od prostych spraw, sprawiał manto niepłacącym dłużnikom i natrętom, tego typu rzeczy. Potem zajął się wysoko płatnymi zleceniami. Nie mam dowodów, ale założę się, że zasadził wiele drzew po obu stronach granicy.

- Wygląda na prawdziwego championa.

- Och, jest naprawdę uroczy. Zazwyczaj pracuje z Edem Hellerem, który nie jest lepszy niż musi. Właśnie wysyłamy Lapstrake'a do Leucadii, żeby cię wspierał.

- Przerzuć go do Palm Springs.
- Do twojej rezydencji?

- Tak. Nie ruszajcie systemu antywłamaniowego. Dokonałem w nim paru zmian.

- Psiakrew - mruknął Niall. - Ostatnim razem omal mnie nie usmażyłeś.

- Joella wciąż się śmieje ze swojej robótki. Następnym razem uprzedź mnie telefonicznie.

- Nie ma problemu, chłopie. Kiedy będziesz na miejscu?
- Odjeżdżamy za kilka minut.

Serena uniosła lewą brew. Mówiąc „odjeżdżamy”, Erik patrzył wprost na nią.

- Nie ruszaj się z miejsca - powiedział Niall. - Lapstrake może wynająć samochód i pojechać za tobą.

- Nie. Nasz „ogon” by się zorientował.
- Co zamierzasz robić w Palm Springs?

- Szkicować owce gruborogie. Niall szybko załapał, w czym rzecz.

- Ach. Wszystkie te piękne klify. Tam można sobie złamać kark.

- Chyba że ma przyjazne nastawienie i ochotę do rozmów. Wówczas musiałby się martwić tylko o pęcherze na stopach od chodzenia w miejskich butach.

- Dobrze - powiedział Niall po chwili. - Ale chcę, żeby pager był nastawiony na GPS. Jeśli coś pójdzie nie tak, będziemy mogli cię odnaleźć.

- Globalny System Pozycjonowania, jak w rozbitym samolocie. - Erik powiedział ironicznie. - Naprawdę myślisz, że jest aż tak zawzięty?

- Nie wiem, co myśleć, dopóki się nie dowiem, kto go wynajął i w jakim celu.

- Zakładając, że został wynajęty - odparł Erik. - A to ważne założenie. Niall chrząknął.

- Do roboty. Faktoid i jego pomocnicy wciąż prowadzą śledztwo. Jeśli zdarzy się coś gorszego, osobiście zobaczę się z tobą w Palm Springs.

- Jasne. - Erik nacisnął klawisz rozłączający rozmowę i z powrotem przypiął aparat do paska.

- Wygląda na to, że masz problem - stwierdziła Serena.

- Nie ja. My.

- Nie widzę żadnego problemu.

- To dlatego, że nie zauważyłaś tego kłowna na ulicy.

- Słucham?

- Faceta, który siedzi w samochodzie, niby to drzemiąc, a jednocześnie czeka, aż dzięki tobie karty znajdą się w jego zasięgu.

Serena zacisnęła usta.

- Mam złe przeczucie, że nie żartujesz.

- Mam złe przeczucie, że się nie mylisz.

- Wynajmę nową skrytkę.

- Będzie strasznie przepełniona - ty, ja, mój zestaw do badań i te kartki. Prawie się uśmiechnęła.

- Pojmuję. - Po chwili zakłęta cicho. Naprawdę nie chciała wypuszczać z rąk tych kart, ale... - Dobrze, możesz je ze sobą zabrać.

- Możemy.

- Mam do skończenia tkaninę.

- Nie skończysz tkaniny, jeśli zginiesz. Serena zmierzyła go ponurym spojrzeniem.

- O czym mówisz?

- Uważasz, że twoja babka została zamordowana, prawda?

- Tak.

- Dlaczego?

Znowu się zawahała. Nie widziała innego wyjścia, jak zaufać Erikowi Northowi, człowiekowi znajomemu, a jednocześnie obcemu. Otworzyła szufladę swojego stołu do projektowania, przekartkowała folder zawierający kilka dokumentów babki i wyciągnęła list, który Lisbeth napisała przed śmiercią.

Potem patrzyła, jak Erik zmienia się na twarzy czytając list. Podniósł oczy znad papieru i utkwiał je w niej jak drapieżne ptaszysko. Był wściekły i nie dbał o to, jak zareagują na to inni.

- Cholera jasna, kobieto. Ty naprawdę lubisz niebezpieczne życie. Od razu powinnaś mi była o tym powiedzieć.

- Uważam, że sama potrafię dać sobie radę z problemami.

- Tak też uważała twoja babka - odparował - i popatrz, do czego ją to doprowadziło. Została spalona żywcem.

Rozdział 31

Rozwścieczony brakiem zaufania ze strony Sereny, Erik organizował jej wyjazd za pomocą krótkich poleceń. Jej babka została zabita, gdy szukała zaginionych kartek. Serena również poszukiwała zaginionych stronic, a teraz ktoś ją śledził.

To oczywiste zestawienie sprawiało, że czuł skurcz w żołądku.

Nie starał się ukryć tego, że ładuje wielkie skórzane portfolio do swojego samochodu. Wręcz przeciwnie, robił wszystko, żeby ściągnąć na siebie uwagę śledzącego, może z wyjątkiem puszczania rac świetlnych.

Nie spodziewał się, że „ogon” da się nabrać. Jeśli był profesjonalistą, to na pewno jakiś czas odczeka, żeby mieć pewność, że dom jest pusty; potem przejdzie przez niego jak huragan, szukając kart. Albo zdecyduje się jechać za Sereną, czyli ruszy w drogę w momencie, gdy zrobią to Serena i Erik.

Erik zakładał, że mężczyzna zatrzyma się w Leucadii na czas, który pozwoli mu przetrząsnąć dom. Prawdopodobnie miał kogoś do pomocy albo zamontował w ich samochodach urządzenia naprowadzające, żeby móc ich później dopaść.

Erik zrobił tak kiedyś, jadąc za jednym z chłopaków swojej siostry, który wykradł najlepsze iluminowane karty Erika i ukrywał się z nimi. Baterie w małych radionamierzaczach wytrzymały ładnych kilka dni.

Erik wytrzymał tyle, ile było potrzeba, żeby wykonać robotę.

Dbając o to, żeby „ogon” miał szansę obserwować każdy manewr, Erik położył torbę z rzeczami Sereny na tylne siedzenie swojej terenówki.

Chociaż tylne fotele były złożone, torba ledwo się zmieściła. Mała Betty została umieszczona w pojeździe, a do tego jeszcze ilość przędzy, która starczyłaby na opasanie Afryki. A przecież należało jeszcze postawić na tej kupie rzeczy klatkę dla Pana Konesera. A ściślej rzecz biorąc, trzeba było go włożyć pod tę kupę rzeczy. Serena powiedziała, że kot woli nie oglądać przemykającego ze świstem świata. Najpierw wpada w szal, potem zaczyna wymiotować.

- Wiedziałam, że wszystko się jakoś pomieści - stwierdziła Serena, zerkając do wnętrza samochodu.

- Na pewno nie chcesz Dużej Betty? - zagadnął zgryźliwie.

- Na pewno chcę. Ale jestem pewna, że jej nie zabiorę.

Wgramoliła się na fotel pasażera, zamknęła drzwi i zapięła pas bezpieczeństwa, jak gdyby wyjeżdżanie na nie wiadomo ile czasu z nieznanymi mężczyznami było dla niej chlebem powszednim.

Do diabła, pomyślał Erik, a może rzeczywiście nieraz robiła takie rzeczy.

Już miał zamiar powiedzieć na ten temat coś kategorycznego, ale w tym momencie zauważył delikatne drżenie jej palców, którymi przyglądała swoje ogniste, złotorude włosy. Starła się za wszelką cenę udawać, że nic nie robi na niej wrażenia, ale w gruncie rzeczy była po prostu przerażona.

Ta obserwacja powinna była poprawić mu samopoczucie. Tak się jednak nie stało. Erik wychowywał swoje młodsze siostry i wiedział aż za dużo o inteligentnych, niezależnych, upartych kobietach, które zawsze chciały wszystko robić samodzielnie. Serena była teraz wystraszona, ale to wkrótce minie. A kiedy dojdzie do siebie, Erik znowu będzie miał pełne ręce roboty.

Na myśl o tym, że jego ręce mogłyby być pełne Sereny Charters, od razu poczuł w ciele gorące klucie, a jego serce zaczęło bić szybciej. Im dłużej był blisko niej, tym bardziej pragnął ją poznać. Dogłębnie. Biblijnie. Raz po raz. Potrafił dawać sobie radę z burzą hormonów, ale przebłyski średniowiecznego snu wspomnienia wyprowadzały go z równowagi, budziły w nim czujność, z jaką pies gończy węszy pod wiatr, żeby sprawdzić, czy nie grozi mu niebezpieczeństwo.

Zawsze wierzył, choć nie fanatycznie, że są na świecie takie rzeczy, których zachodni racjonalizm nie jest w stanie wyjaśnić. Takie podejście miało zresztą sens; żadna kultura nie mogła mieć odpowiedzi na wszystkie pytania.

W ten sam pozbawiony fanatyzmu sposób zawsze wierzył, że rzeczy niewytłumaczalne przydarzają się innym ludziom, ale nie jemu. Studiując kiedyś w college'u, był zawodnikiem rzucającym piłkę w drużynie baseballowej. Był też naukowcem specjalizującym się w średniowieczu, iluminatorem, podróżnikiem, amatorem wspinania się po skałach i w dziewięćdziesięciu pięciu procentach całkowicie normalnym facetem.

Ale musiał przyznać, wsiadając do samochodu i zatrzasnąwszy drzwi, że doświadczanie wspomnień innych ludzi nie było normalne. Te brakujące pięć procent potrafiło niezłe zaleźć mu za skórę.

- Mówiłam ci, że na tym drzewie na dziedzińcu rosną cytryny, a nie pomarańcze - powiedziała Serena.

- O czym ty mówisz?

- O tobie. Że ssiesz cytrynę.

- Nie ssę.

- Ale wyglądasz, jakbyś ssał.

Poczęstował ją uśmiechem drapieźnika, odsłaniając dwa rzędy zębów.

- Wracaj do cytryn.

Kiedy Erik uruchomił silnik, Pan Koneser zaczął żałośnie pomiaukiwać.

- Wszystko w porządku, kochanie - powiedziała łagodnym tonem. Wierciła się przez chwilę, aż w końcu zdołała włożyć rękę między dwa

fotele i wsunąć palec do klatki. Kocie okrzyki niepokoju zastąpiło mruczenie.

Erik na moment obejrzał się przez ramię, ale zaraz odwrócił się i bardzo uważnie obserwował scenę. Wielki kocur ssał palec swojej pani jak kociaczek. Na jego pyszczku malowała się rozmarzona kocia ekstaza.

- Niezły smoczek - zawyrokował, wjeżdżając w ulicę.

- Lepsze to niż wysłuchiwanie jego jęków, kiedy się zdenerwuje. Zaraz zaśnie, a ja odzyskam palec. Czy to jest ten samochód?

- Beżowy nissan?

- Tak.

- To ten. Nie gap się na niego.

- Ja tylko próbowałam zobaczyć jego tablicę rejestracyjną.

- Już ją mam.

Nissan czekał jakieś pół minuty, a potem zawrócił i ruszył w ślad za nimi.

Erik cicho zaklął.

- Jedzie za nami - oświadczyła Serena.

- Zauważyłem.

Nissan trzymał się blisko, dopóki nie wjechali na skierowaną na północ rampę do autostrady numer pięć. Potem zniknął im z oczu.

- Dlaczego nasz ogon zawrócił? - zapytała Serena.

- Może potrzebuje paliwa.

Erik w to wątpił. Ten, kto ich śledził, zapewne chciał się po prostu upewnić, że nie porzucili gdzieś teczki przed wyjazdem na autostradę. Teraz zapewne zawróci i będzie prowadził poszukiwania.

Erik nacisnął pedał gazu. Pojazd ruszył do przodu jak strzała. Szybko osiągnął prędkość stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Erik kupił tego mercedesa nie tylko ze względu na jego wygląd, ale także dla prędkości, jaką osiągał na autostradach południowej Kalifornii.

Serena spodziewała się, że Erik będzie mówił dalej.

On jednak milczał.

- Co zamierzasz zrobić z numerem tablicy rejestracyjnej? - zapytała wreszcie.

- Już zrobiłem, co trzeba.

- Czy ktoś powiedział ci kiedyś, że potrafiłbyś wkurzyć nawet Pollyannę?

- Moje siostry. Często. Twoim zdaniem, co twoja babka miała na myśli mówiąc o fałszerstwie?

Serena poczuła, że sztywnieją jej plecy. Nie chciał odpowiadać na jej pytania, ale miał czelność żądać odpowiedzi od niej. Dlatego powiedziała mu pierwszą rzecz, jaka przyszła jej do głowy.

- Idź do diabła.

- Nie sądzę, żeby twoja babka właśnie to miała na myśli.

- Miałaby, gdyby cię poznała.

Erik chwycił mocniej za kierownicę i starał się nie wybuchnąć.

- To nie jest gra.

- Ty tak mówisz. Ale z pewnością ma reguły.

- Jakie reguły?

- Ty pytasz. Ja odpowiadam. Ja pytam. Ty nie odpowiadasz.

- Cholera.

- Zgadza się. Cholera.

Zerknął na nią spod oka. Nie zauważyła jego spojrzenia. Patrzyła w boczne lusterko.

- Czy on za nami jechał? - zapytała.

- Jeszcze nie. Odetchnęła z ulgą.

- Jeżeli nie ma go teraz na autostradzie, to go zgubiliśmy. - Kątem oka dostrzegła cień uśmiechu na twarzy Erika. - To nie takie łatwe?

- Widział, jak pakuję karty.

- To mogła być zmyłka.

Uśmiechnął się szerzej, ale nie bardziej życzliwie. Może jej babka nawaliła pod koniec życia, ale udało jej się wychować bardzo konkretną wnuczkę.

- Tak, to jest możliwe. W tej chwili prawdopodobnie przeszukuje twój dom, żeby mieć pewność.

- Co? Wezwij policję!

- I co im powiem? Jesteśmy na autostradzie numer pięć, jedziemy na północ i wydaje nam się, że ktoś przetrząsa twój dom?

- Tak!

- Nawet gdyby gliniarze nam uwierzyli, kiedy już tam dotrzemy, jego nie będzie. Facet nie jest nowicjuszem w tej grze.

- Skąd wiesz? Rozpoznałeś go?

- Przesłałem numer jego tablicy rejestracyjnej pewnemu znajomemu. Otrzymałem od niego sporo informacji.

- Czy on zamordował moją babkę? - zapytała ponuro Serena.

- Tego w informacjach nie było.

- A co było?

Chciał się wymigać od odpowiedzi na to pytanie. Ale po namyśle doszedł do wniosku, że jeśli Serena dowie się czegoś o Złym Billym, będzie bardziej skłonna do współpracy.

- William Wallace, znany także jako Zły Billy, jest oficjalnie prywatnym detektywem, ale w rzeczywistości to zbir do wynajęcia.

- Jest ochroniarzem?

Erik pomyślał o Niallu, który spędził sporą część życia przyjmując na siebie kule w różnych częściach świata.

- Zły Billy nie jest ochroniarzem, który działa zgodnie z prawem. To kawał zimnego drania. W zależności od stawki złamie ci rękę albo skręci kark. Prawdziwy pies łańcuchowy.

- I myślisz, że chce zdobyć te karty.

- Masz lepsze wytłumaczenie, dlaczego za tobą jedzie?

- A jak się o nich dowiedział? Przecież nie mówiłam o nich nikomu, tylko tobie i House of Warrick.

- Nie patrz na mnie. Gdybym chciał twojej ręki albo karku, już bym się tobą zajął.

Serena nie zamierzała się z nim spierać w tej kwestii. Nie mogła. To był jedyny powód, dla którego przebywała z nim w tej chwili: mogła mu zaufać, bo wiedziała, że jej nie zabije.

Przynajmniej póki nie znajdą Księgi Uczonych.

Nawet jeśli zżymała się na tę myśl, że Erik mógł być mordercą, rozum podpowiadał jej, że musi słuchać rady babki: „Nie ufaj żadnemu mężczyźnie”.

- Warrick nie uważał, że te strony są prawdziwe - zauważyła Serena - więc dlaczego House of Warrick miałyby wynajmować oprycha, który by mnie śledził?

Rozdział 32

Nie powiedziałem, że House of Warrick kogoś wynajął - odparł ostrożnie Erik.

Oczywiście z wyjątkiem Rarities, a o tej firmie nie powiedział ani słowa. Postanowił, że na ten temat nie będzie mówił nic, dopóki Serena nie okaże mu większego zaufania, które będzie wykraczało poza gotowość nadstawienia eleganckiego karku.

Im dłużej ją znał, tym większej nabierał pewności, że kiedy ona odkryje, iż Erik jest, technicznie rzecz biorąc, przedstawicielem Warricka, nastąpi kosmiczna awantura.

- Ale nikt inny nie wiedział o tych kartach - zaprotestowała Serena. - Któż inny mógłby to być?

- Ten, kto dał ci te kartki, wiedział.

- Hingham.

- Kto? - zapytał Erik, chociaż znał odpowiedź.

- Morton Hingham, adwokat mojej babki.

- Duża kancelaria?

- Mała. Tylko sekretarka, która jednocześnie jest recepcjonistką.

- Która spotyka się z przyjaciółmi na lunchu i rozmawia o rodzinach, mężach, narzeczonych, dzieciach, i o pracy.

- Sprawy klientów są poufne.

- Takie przynajmniej jest założenie.

Serena pomyślała o siwiutkiej kobiecie w koronkowym kołnierzyku, która była sekretarką Hinghama, i potrząsnęła głową.

- Jakoś mi to nie pasuje.

- Nie musi. Są jeszcze inne możliwości. - Na przykład pomieszczenie pocztowe dużego domu aukcyjnego. Wprawdzie wiedział, w jaki sposób przesłała kopie, ale przecież teoretycznie nie miał prawa tego wiedzieć. Poza tym nigdy nie szkodzi zapytać. Czasami odpowiedź mogła się zmienić się w bardzo znaczący sposób.

- Jak dostarczyłaś kartki Warrickowi?

- Usługa kurierska.

- Do jego domu w Palm Desert?

- Nie. Do siedziby House of Warrick na Manhattanie.

- Gdzie pomieszczenie pocztowe sortuje rozmaite paczki, ochrona otwiera je, a potem przekazuje - otwarte, pamiętaj - do osoby, która ma być odbiorcą. Potem ta osoba prosi innych ludzi o opinie, a oni rozmawiają z innymi ludźmi z branży, i najdalej za dwie godziny

wieści o wspaniałych kartach z celtyckiego manuskrytu w stylu insularnym dochodzą z jednego krańca kraju na drugi, z kontynentu na kontynent.

- Jestem pewna, że do House of Warrick codziennie przychodzą wspanialsze rzeczy.

- Możliwe, ale nie przez pomieszczenie pocztowe. Zacisnęła wargi.

- Ale iluminowane manuskrypty to przecież wąska, naukowa specjalizacja. Nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłyby budzić tak duże zainteresowanie.

Erik spojrzał na nią z niedowierzaniem, ale zaraz musiał się skoncentrować na jeździe po wielopasmowej i szybkiej autostradzie międzystanowej numer pięć, gdzie kierowcy uwielbiali bawić się w wyprzedzanie.

- Pieniądze wzbudzają duże zainteresowanie - odparł zwięźle. - Odpowiednik średniowiecznej listy zakupów na podniszczonym kawałku pergaminu może pójść na aukcji za tysiące dolarów. Pojedynczy iluminowany arkusz można sprzedać za dziesiątki tysięcy dolarów. Godzinki z Saint - Lo osiągnęły cenę nieco powyżej trzech milionów sześćset tysięcy dolarów, i to ładnych parę lat temu. Mniej więcej w tym samym czasie co Godzinki, sprzedano za ponad pięć milionów dolarów bogato zdobiony, piętnastowieczny manuskrypt z Francji.

- Pięć milionów dolarów... - Serena głośno westchnęła. - Za książkę, o której nikt nawet nie słyszał.

- W tym rzecz. Rzadkość podbija cenę. Podobnie jak moda. Teraz modne jest wszystko, co ma związek z Celtami, stąd niezwykle popyt na ich wyroby.

- Ale ja mam tylko cztery arkusze, nie całą książkę.

Pomyślał o swojej własnej kolekcji, która zawierała kilka arkuszy Księgi Uczonych oraz kopie wszystkich stron, które był w stanie wytropić na rynku. Potem pomyślał o niepokojącym ostrzeżeniu babki Sereny: „Jeśli ty postanowisz odzyskać swoje dziedzictwo...”

List sugerował, że cała książka była nienaruszona z wyjątkiem iluś tam stron, które zagubiły się przez wieki. Nawet jeśli przetrwała tylko połowa, to samo istnienie księgi było czymś niezwykłym. Zastanawiał się, czy Warrick o tym wie. Myślał przez chwilę o sprytnym starcu i doszedł do wniosku, że prawdopodobnie tak. W ten

czy inny sposób, Warrick dowiadywał się o wszystkim, co się działo w branży iluminowanych manuskryptów.

Serena delikatnie odsunęła palec od szorstkiego jak papier ścierny języka Konesera. Kot spał.

- Ile byłaby warta cała Księga Uczonych? - zapytała, bezwiednie wycierając palec o dzinsy.

- Więcej niż Godzinki z Saint - Lo. O wiele więcej - oznajmił obojętnym tonem. - Jeśli okaże się, że są prawdziwe, to masz w posiadaniu najrzadsze z rzadkich kart. Iluminowane karty, a co dopiero całe manuskrypty, z pierwszej połowy XII wieku z Brytanii to prawdziwa rzadkość. W Brytanii, w przeciwieństwie do terenu, który później stał się Francją, XII wiek był okresem politycznej i społecznej konsolidacji, a nie nadwyżki bogactwa, a przecież bogactwo napędza tworzenie dzieł sztuki.

- A więc moje karty były czymś niezwykłym nawet w tamtej epoce?

- Z tego co nam wiadomo, tak. Zwłaszcza pod względem wyboru stylu iluminacji, który w tamtym czasie liczył sobie kilka wieków. Ale choćby jutro ktoś może wleźć do starej bieliźniarki swojej prababci, i wyciągnąć stamtąd coś, co zupełnie przyćmi nasze dotychczasowe znaleziska. Jeśli okażą się prawdziwe. - W głosie Erika pobrzmiwała teraz ironia. - W starej bieliźniarce prababci można odnajdować nowe falsyfikaty jakiegoś cwaniaczka.

Serena chciała ponownie zapytać o autentyczność własnych kart. Nie zrobiła tego. Nie miałoby to sensu. Erik nie wiedział o nich nic więcej ponad to, co wiedział, gdy spojrział na nie pierwszy raz.

- A więc uważasz, że wiele osób może wiedzieć o moich kartach - powiedziała.

- Wiadomość o czymś nowym, w celtyckim stylu insularnym, i to takiej jakości, rozniosłaby świat kolekcjonerski jak tornado barakowozy. Założę się, że każdy, kto zna choć trochę, pociąga za sznurki i proponuje łapówki, żeby móc popatrzeć na twoje karty.

Nachmurzyła się.

- To też nie za wiele pomoże. Praktycznie każdy mógł nam zafundować ten syf.

- Tak.

- Więc jak mamy się dowiedzieć, kto to zrobił?

- Kiedy przyjdzie odpowiednia pora, sam go o to zapytam. Zaczęła się śmiać, ale uświadomiła sobie, że wcale nie żartował.

- Mówisz od rzeczy. To może być niebezpieczne.

- Tak samo jak jazda zderzak przy zderzaku z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Po prostu tak się żyje w dwudziestym pierwszym wieku.

Zmienił pas, kiedy przekroczył sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Naciskał pedał gazu nawet po tym, jak wyprzedził jadącą sto dwadzieścia na godzinę ciężarówkę, z której obu nieosłoniętych przyczep wysypywał się żwir.

Sprawdził lusterka. Żaden z jadących za nim samochodów nie przyspieszył gwałtownie, żeby go nie stracić z oczu. Na razie nie było problemów. Postanowił, że za parę kilometrów zwolni do przepisowej prędkości i zobaczy, czy znajdzie się ktoś, kto nie będzie chciał go wyprzedzić.

- Nie mogę cię prosić, żebyś narażał się mając do czynienia z człowiekiem znanym z przemocy - powiedziała Serena.

- Nie prosiłaś. Sam chciałem.

- Ale nie mogę sobie pozwolić na wynajęcie...

- Daj spokój - przerwał jej w pół zdania. - Dopłaciłbym, żeby spędzić trochę - dużo - czasu z tymi kartami. W ten sposób oboje otrzymujemy to, na czym nam zależy.

Spojrzała w boczne lusterko. Na drodze znajdowało się kilka beżowych samochodów, ale z tej odległości nie można było odczytać numerów ich tablic rejestracyjnych. Ale z drugiej strony Erik jechał jak wariat. Przy tej prędkości można było co najwyżej czytać napisy na billboardach.

- A co z twoim szefem? - zapytała po jakimś czasie.

Erik zamrugał oczami. Zastanawiał się, dokąd podąża jej giętka, aż nadto bystry umysł. Zdjął stopę z gazu i zwolnił tak, by jechać z przepisową prędkością. Teraz miał wrażenie, że pełzną.

- Co z moim szefem? - zapytał ostrożnie Erik.

- Czy nie będzie zły, że poświęcasz czas na działania, które nie mają nic wspólnego z twoją pracą?

- Jestem konsultantem. To, jak wykorzystuję czas, jest moją sprawą. - Akurat w tym sensie Erik nie mijał się z prawdą. Ale nie uznał za stosowne powiedzieć jej wszystkiego, na przykład o swoich powiązaniach z House of Warrick i Rarities Unlimited. Nie żeby

między tym, czego chciała Rarities, a czego potrzebowała Serena, występował jakikolwiek konflikt. Jednak Erik czuł, że dopóki Serena mu nie zaufa, nie ma szans, by spojrzała na sprawę z jego punktu widzenia. - Poza tym mój drugi szef interesuje się manuskryptami.

- Naprawdę jest nimi zainteresowany?

- To kobieta. Dana Gaynor.

Serena patrzyła, jak czarne ferrari pędzi po pasie wolnego ruchu z prędkością odrzutowca, żeby ich wyprzedzić, ale tak naprawdę była pochłonięta czymś innym. Usiłowała zrozumieć wszystkie relacje i powiązania.

- A jaką firmę mają twoi szefowie? Dom aukcyjny? Galerię? Muzeum?

- Nie. Mają pakiet kontrolny Rarities Unlimited.

- Co to takiego?

- Nigdy o tej firmie nie słyszałaś? Potrząsnęła głową, ale odparła:

- Zaczekaj. Czy ja nie czytałam czegoś o Rarities parę miesięcy temu? Ktoś obrabował jakieś miejsce na Jukatanie, przeschmugłował wyroby ze złota do Stanów Zjednoczonych, a jakiś człowiek z Rarities Unlimited odnalazł je i przesłał z powrotem do Meksyku.

- To by się mniej więcej zgadzało.

Prawdę mówiąc, Shane Tannahill, niezwykle kolekcjoner wyrobów ze złota, naprowadził Rarities na tę sprawę. Ludzie ciągle proponowali mu sprzedaż trefnego złota. Zakładali, że każdy, kto posiada kasyno, musi być skorumpowany i nie będzie się przejmował pochodzeniem wyrobów. Shane bardzo się starał umocnić ich w tym przeświadczeniu. Chciał, żeby ludzie spoglądali na niego i od razu podejrzewali najgorsze rzeczy. W niektórych przypadkach ich przeczucia się sprawdzały.

- Czy właśnie tym zajmuje się Rarities? - zapytała Serena. - Nadzorowaniem handlu wyrobami?

- Ludzie w Rarities Unlimited kupują, sprzedają, chronią i wyceniają sztukę i wyroby. Jeżeli chcesz coś sprzedać, ale twoja firma ubezpieczeniowa nie chce, żebyś jeździła z tym towarem od jednego kupca do drugiego, a ci najlepsi nie chcą przyjechać do ciebie, masz do dyspozycji specjalne pomieszczenie w Rarities. Ty przywozisz swoje rzeczy, my wszystko wyceniamy, jeśli tego zechcesz, i wysyłamy zaproszenia. Wszyscy zainteresowani transakcją mają

pewność, że na terenie Rarities Unlimited nie dojdzie do żadnej kradzieży czy oszustwa.

- Zapewne Rarities pobiera sporą opłatę - zauważyła.

- Oczywiście. Przecież nie zajmuje się działalnością charytatywną. Właściciele, Niall i Dana, zarabiają cholernie dużo. Ale należy im się. Pracują na to dwadzieścia cztery godziny na dobę, pięćdziesiąt dwa tygodnie w roku.

Serena wzruszyła ramionami. Słowa Erika najwyraźniej nie zrobiły na niej wrażenia. Długie godziny pracy były normalną ceną za to, że nie miało się nad sobą szefa.

- A więc gdybym chciała sprzedać swoje karty, mogłabym użyć Rarities jako pośrednika?

Słyszając o możliwości sprzedaży kart, Erik poczuł gwałtowny przyływ adrenaliny. Może Warrick nie będzie chciał wszystkich kart, tym bardziej że jego zdaniem były falsyfikatami. A może po prostu próbował doprowadzić do obniżenia ceny. W branży artystycznej brutalne zagrywki były na porządku dziennym.

- Tak. A chcesz je sprzedać?

- Nie - odparła natychmiast. - Ale ty mówisz, że Rarities nie jest domem aukcyjnym.

Przestał mocno ścisnąć kierownicę. Może to i dobrze, że te strony jednak nie były na sprzedaż. Gdyby były, musiałby negocjować ich zakup w imieniu Warricka. Człowiek, który obwieścił, że są falsyfikatami, chociaż spojrzął na nie jeden raz, z pewnością nie zasługiwał na to, żeby je posiadać. Chyba że, oczywiście, kuty na cztery nogi Warrick wiedział coś, o czym nie wiedział nikt inny.

Na myśl o takiej możliwości Erik zrobił skwaszoną minę.

- Sprzedaż to tylko jedna z usług oferowanych przez Rarities - powiedział. - Tak samo jest z ochroną. Jeżeli masz cenną przesyłkę, my zajmiemy się jej doręczeniem. Jeśli masz coś do sprzedania, kupimy to od ciebie albo wyszukamy kogoś, kto będzie zainteresowany kupnem. Rarities ma obszerną listę życzeń klientów. Jeżeli znajdziemy coś z tego zestawu, kupujemy daną rzecz dla naszego klienta.

- Kupujemy, sprzedajemy, wyceniamy, chronimy. - Sera wyliczała te słowa na palcach. - Reputacja musi być dla was ważnym atutem w interesach.

- Jest ważna dla każdego - dla wyceniającego, dla właściciela galerii, dla kupca. Jeżeli jesteś znana z nieuczciwych praktyk, odbija się to na liście twoich klientów. A także na wynikach sprzedaży. Jeśli dajesz się poznać jako ktoś niekompetentny, będzie miało to wpływ na oferowane ci wyroby.

- Nie mogę uwierzyć w to, że w branży handlu sztuką pracują sami naukowcy i święci - wypaliła.

- Bo nie pracują. Uzyskanie możliwie najlepszej ceny to część gry. Ale nie jest nią oszustwo albo kradzież w celu uzyskania takiej ceny. - Piwne oczy Erika na moment spojrzały w lusterka. Oprócz małego pikapa w kolorze metalicznej zieleni, który pojawił się na drodze parę minut wcześniej, wszyscy kierowcy wyprzedzali sennie wlokącego się mercedesa. Jeśli gość jechał dozwoloną prędkością, wyprzedzało go wszystko, co miało kółka, nawet trzydziestoletnie landary prowadzone przez siedemdziesięcioletnie babcie. - Upiększanie każdego przedmiotu jest dozwolone - ciągnął. - Potajemne zabiegi renowacyjne już nie. Udokumentowanie trzech ostatnich sprzedaży, żeby pochodzenie nie budziło zastrzeżeń, jest dozwolone. Ignorowanie wątpliwego pochodzenia nie.

- Kto narzuca te reguły?

- Głównie ludzie z branży. Jeżeli zostaje popełniony poważny błąd, zajmują się tym rozmaite instytucje od przestrzegania prawa. Dlaczego pytasz? Planujesz złamać jakieś reguły?

- Nie. Chcę tylko wiedzieć, jakie one są i czy obowiązują wszystkich uczestników gry.

Uśmiechnął się dość ponuro.

- Założę się, że w świętego Mikołaja też nie wierzyłaś.

- A ty wierzyłeś?

- Jasne.

- A potem porównałeś szerokość przeciętnego komina domku na przedmieściach i szerokość tyłka przeciętnego grubasa, i doszedłeś do własnych wniosków.

Wybuchnął śmiechem.

- Skąd wiedziałaś?

- Wydaje mi się, że należysz do konkretnych facetów.

Pomyślał o dwunastowiecznych stronach, które go dręczyły, o obrazie czarodziejki o rudozłotych włosach i fiołkowych oczach, i o

bólu mężczyzny, którego nigdy nie spotkał, bo też i nie mógł go spotkać, mężczyzny, który żył prawie tysiąc lat temu.

A jednak Erik North miał dokładnie taki sam charakter pisma jak jego średniowieczny imiennik, do tego stopnia, że odrywał pióro od pergaminu w identyczny sposób, wyginając je lekko do góry i na prawo. Zaczynał podejrzewać, że śni sny tamtego Erika, niby kolorowy cień wspomnień i emocji zmarłego.

Odepchnął od siebie niepokojącą myśl. Postanowił, że będzie się opierał na tych dziewięćdziesięciu pięciu procentach swojej osobowości, które były aż do znudzenia normalne.

Poczułby się lepiej w związku z tą decyzją, gdyby nie wyczuwał chichotu historii sprzed stuleci, gdyby nie widział Erika Uczonego z odchyłoną do tyłu głową i piwnymi, drapieżnymi oczyma, w których tliły się iskierki rozbawienia, bo przecież dzielił szaleństwo z innym Erikiem, który był równie arogancki i zaślepiiony jak on sam.

Rozdział 33

Leucadia, piątek rano

Dom jest czysty - powiedział Wallace do swojej komórki. - Przedostałby się tutaj nawet początkujący włamywacz. Nie ma żadnego systemu alarmowego. Nic dziwnego, że zamknęła wszystko w swojej terenówce.

- A więc ma to ze sobą.

- Jechałem za nimi do autostrady. Ed przejął ich parę minut później. Nie mieli czasu, żeby się zatrzymać przy skrytce.

- Zostań z nimi.

- Nadal chcesz, żebyśmy obaj się tym zajmowali?

- Tak.

- Przydałoby mi się więcej ludzi.

- Dostajesz teraz tyle kasy, jak za czterech. Wynajmij kogoś, jak chcesz, ale nie za moje pieniądze.

- Ale...

To ostatnie Wallace mówił już tylko do siebie. Jego klient zdążył się rozłączyć. A nie mógł oddzwonić. Przed dwoma laty Wallace, kiedy został wynajęty pierwszy raz, próbował namierzyć jego numer. Bez powodzenia. Nigdy mu się to nie udało.

Natomiast forsa zawsze przychodziła w terminie, a za niektóre zlecenia - z zagranicy, tak że nawet urząd skarbowy nie był w stanie jej wyśledzić.

Nie miał pojęcia, czy jego klient jest mężczyzną czy kobietą, albo czy chodzi na czworakach: urządzenia zniekształcające głos były znacznie bardziej zaawansowane niż w czasach, kiedy wprowadzono je na rynek. Teraz tylko zawodowiec mógł stwierdzić, czy zostały użyte. Wallace był zawodowcem. Wziął pod uwagę rodzaj zlecenia i założył, że jego klient jest mężczyzną. Gdyby to była sprawa rozwodowa, stawiałby na kobietę.

Wallace wsunął językiem pod policzek bryłkę tytoniu do żucia i ruszył w stronę autostrady. On i jego partner dostawali potrójną stawkę plus zwrot kosztów. Skoro ich tajemniczy klient kazał pilnować jakiejś kobiety, robili to. Mieli dostać więcej po rozpoczęciu prawdziwej roboty. Właśnie wtedy miał zacząć pracować, żeby zasłużyć na wynegocjowaną sumę.

Bardzo się na to cieszył. Krew miała w sobie coś, co go podniecało bardziej niż wszystko inne - włącznie z seksem. Nie

wiedział dlaczego. I nie przejmował się tym. Całe zamieszanie było jednak tak fajne, że warto było przecierpieć dla niego okresy nudy między zleceniami.

Rozdział 34

Los Angeles, piątek po południu

Niall mógł obserwować przebieg transakcji z jednej z wyłożonych pluszem „sal pokazowych” na parterze, gdzie zainstalowano okna weneckie, przez które można było widzieć każdą separatkę, jeżeli polegało się tylko i wyłącznie na własnych oczach. Wolał jednak patrzeć ze swojego gabinetu. Widok był o wiele lepszy. Na dwóch ścianach zamontowano rzędy kolorowych monitorów plazmowych, dzięki którym miał przegląd tego, co działo się na całym terenie Rarities Unlimited z wyjątkiem prywatnej kwatery Dany. Jak na razie, nie pozwalała na zainstalowanie kamer światłowodowych w swoim domku, twierdząc, że jeśli on nie jest w stanie jej ochronić bez szpiegowania, to ona równie dobrze może wybrać ryzyko.

Chwilowo była całkiem bezpieczna. Przebywała w separatce wraz z Risą Sheridan i wyjaśniała klientowi, dlaczego złoty naszyjnik, który jego żona znalazła w Quartzite, wielkim dorocznym pchlim targu na świeżym powietrzu w Arizonie, jest nie tylko dość wartościowy, ale na dodatek prawdopodobnie stanowi część skradzionej przed trzema laty muzealnej kolekcji.

Niall nastawił głośność i rozsiadł się wygodnie, żeby posłuchać tej rozmowy. I patrzeć. Na Risę, podobnie jak na Danę, zawsze było warto popatrzeć. Miał wrażenie, że ogląda dwa wilki spacerujące w przebraniu po łące pełnej owiec i wyszukujące sobie smacznego kąska.

- ... technika jest stara, to fakt - mówiła przeciągle Risa. - Niektóre z nich są całkiem dobrze zrobione. Jeśli są sprzedawane jako starożytne wyroby, wówczas możemy je nazwać falsyfikatami. Ale to nie jest falsyfikat.

- Jest pani pewna?

Dana dobrze знаła Risę, toteż pojęła znaczenie niedbałego gestu ręki, którą koleżanka roztrzepała krótkie, czarne włosy. Risę zaczynało nudzić tłumaczenie upartemu facetowi z hollywoodzką fryzurą tego, co już i tak podejrzewał: zdobycz jego żony z pchlego targu z punktu widzenia prawa nie należała do nich i nie mogli liczyć, że się dzięki niej wzbogacą.

- McCoy. - Dana mruknęła do ledwo widocznego mikrofonu w klapie marynarki, który zawsze wpinała wchodząc do separatki na wypadek, gdyby doszło do tego rodzaju nieprzyjemnych sytuacji.

- Już idę - odparł Niall. Obrócił się w fotelu, wcisnął klawisz interkomu i powiedział:

- Faktoid. Natychmiast.

- Już - odpowiedział zasapanym głosem.

- Dyszysz, jakbyś dopiero co wbiegł na górę. McCoy wydał jakiś dźwięk, ujawniający zakłopotanie.

- Właśnie... hm... sprawdzałem sekcje.

- Jak tam Gretchen?

- Człowieku, ona jest taka seksowna. Perfekcja.

- Grozi ci erekcja. Dana jest w separacie numer 2. Potrzebuje ciebie.

- Już tam jestem.

Niall patrzył, jak Dana lekko dotyka lewego ucha, i zorientował się, że McCoy już się z nią skontaktował. Usłyszał jej prośbę o bazę danych „Nabywco, strzeż się”: „Wyszukaj informacje na temat kradzionej złotej biżuterii, mniej więcej z czwartego wieku przed naszą erą, Azja Mniejsza, albo może raczej Grecja, całkiem możliwe, że ze stanowiska archeologicznego pod nazwą Patikapaion”. Kiedy literowała McCoyowi ostatnie słowo, Niall przeniósł spojrzenie na Rise.

Właśnie dopadała swoją ofiarę.

- ... jedwabny sznureczek, na który nanizane są złote paciorki, jest niemal z pewnością młodszy niż podany przeze mnie w przybliżeniu IV wiek p.n.e. - Risa kontynuowała wywód swoim niskim głosem. - Końcówki na naszyjniku, tak zwane zapięcia, zostały dodane później. Wprawdzie podjęto próbę dopasowania stopów złota, ale nie była do końca udana. Jeśli wątpi pan w moje słowa, poddamy testom zapięcia i paciorki, i powiemy panu, skąd pochodzi złoto, które posłużyło do wykonania jednych i drugich. To nie będzie to samo miejsce.

Mężczyzna posłał jej spojrzenie, które sugerowało, że nie jest zainteresowany testowaniem czegokolwiek.

- Paciorki - powiedziała - nie są współczesne, ale wszystkie, z wyjątkiem czwartego od lewej, mają ten sam wiek i pochodzenie. Jeśli zechce pan jeszcze raz spojrzeć na monitor po pana lewej ręce, pokażę panu, jak doszłam do tego wniosku. W powiększeniu - za pomocą komputera - aparatu, który był zamontowany na stałe w każdej separacie, Risa powiększyła paciorek. - Można wyraźnie zobaczyć,

jak się wytarły, zwłaszcza ozdobne paciorki występujące na przemian ze zwykłymi. Filigran jest prawie gładki. Te paciorki są zrobione z miękkiego, niemal czystego złota i bardzo długo ocierały się o siebie nawzajem.

Chrząknął.

- Ktoś, kto dodał ten jeden paciorek, prawdopodobnie dodał również zapięcia - ciągnęła Risa. - Stop złota wygląda na bardzo podobny. I znowu, za pomocą testów można określić, czy złoto pochodziło z tej samej kopalni, co złoto, z którego zrobiono pozostałe paciorki. Jak już wcześniej wyjaśniałam, nie mamy sposobu, żeby określić wiek złota. W tym momencie mogę z całą pewnością powiedzieć, że ma pan autentyczne paciorki z wyjątkiem jednego, natomiast pochodzenie końcówek - zapięć - jest, szczerze mówiąc, wątpliwe.

Mężczyzna mruknął pod nosem coś nieprzyjemnego.

- Za tę forszę, którą sobie liczycie za wycenę, spodziewałem się większego... hm...

- Współczucia? - podsunęła niskim, zmysłowym głosem.

Wzruszył ramionami i poprawił swój krawat dobrany do grafitowego, wełnianego garnituru automatycznym gestem człowieka, który zawsze przywiązywał wagę do ubioru.

- Tak, chyba tak.

- Stawki ustala Rarities - powiedziała Risa. - Ja jestem tylko ekspertem z zewnątrz. Nie mam żadnego interesu w tym, żeby mówić nieprawdę.

- Tak, no cóż, za ten towar dostanie pani pieprzoną złotą gwiazdkę w swojej kartotece, podczas gdy ja zostałem wyrolowany.

- Tak to już jest z zakupami na pchlim targu. - Uśmiech Risy mówił wyraźnie, że podobnie jak on nie wierzy w historyjkę o pchlim targu. - W takich miejscach ludzie są regularnie rolowani. Przykro mi, że pan jest jednym z nich.

W to również żadne z nich nie wierzyło.

- O, proszę bardzo - Dana wskazała jeden z zamontowanych w pomieszczeniu płaskich monitorów. - To jest dokonany przez Rarities Unlimited zbiór wszelkiej skradzionej sztuki i wyrobów, zarówno z kolekcji prywatnych, jak i państwowych.

Obrazy zmieniały się w oszałamiającym tempie, lecz wszystkie pokazywały naszyjniki zrobione tylko ze złotych paciorków. Każda

fotografia miała numer w prawym dolnym rogu. Risa przyglądała im się uważnie.

- Siedemnaście - powiedziała.

- Zrób powiększenie - poleciała cicho Dana. - Podziel ekran, żeby pokazać panu Morrisonowi również naszyjnik.

McCoy przez chwilę manipulował elektroniką i połowę ekranu wypełnił sznur złotych paciorków. Kiedy po drugiej stronie dodano naszyjnik pana Morrisona, wyglądał jak lustrzane odbicie tamtego.

Ze swojego gabinetu Niall mógł ocenić nawet swoim niefachowym okiem, że paciorki naszyjnika w separacie i naszyjnika w bazie danych są identyczne. Z jednym wyjątkiem. Jeden paciorek był fałszywy.

- Uderzające podobieństwo, nie uważa pan? - zagadnęła Dana łagodnym tonem.

- Ten naszyjnik nie ma zapięć - zauważył Morrison.

- I brakuje mu paciorka - dodała Risa. - Jeśli usunie się późniejsze dodatki z pańskiego naszyjnika, to możemy mówić o identyczności, a nie tylko o podobieństwie.

- Dane. - Dana powiedziała do mikrofonu. Faktoid mówił do chipa w jej uchu:

- Naszyjnik po lewej stronie należał kiedyś do zbiorów Ermitażu - powiedziała Dana, słuchając instrukcji Faktoida. - Podczas niedawnej aktualizacji katalogów, odkryto jego zaginięcie.

- Czy pani sugeruje, że go ukradłem? - zapytał gniewnie Morrison.

- Nie. Sugeruję, że jest pan w posiadaniu skradzionego dzieła sztuki, którego prawowitym właścicielem jest jedno z największych narodowych muzeów Rosji. - Dana mówiła jednostajnym altem, który mógł brzmieć kojąco albo zgryźliwie, w zależności od tego, który ton wydawał jej się odpowiedniejszy dla osiągnięcia celu. Teraz wybrała opcję kojącą. - Jeżeli chciałby pan, żeby Rarities pośredniczyła w zwrocie naszyjnika, to zrzekniemy się honorarium za wycenę. Nie będzie nam pan nic winien. W zamian za to na pewno otrzyma pan list dziękczynny od wielu międzynarodowych organizacji zajmujących się sztuki. Złotą gwiazdkę, jak to pan ujął.

- Nie, dzięki. - Sięgnął po naszyjnik. - Spróbuję szczęścia gdzie indziej. Risa uśmiechnęła się cynicznie. Spodziewała się takiej reakcji.

Kiedy człowiek wychodził poza uniwersyteckie wieże z kości słoniowej, rynek sztuki był po prostu jeszcze jednym rynkiem.

- Pańskie prawo - odparła Dana. - Oczywiście jest pan zobowiązany powiadomić stosowne władze o posiadaniu na terenie Stanów Zjednoczonych czegoś, co uważamy za skradziony skarb kultury.

- Zaczeka pani pieprzoną minutę! - warknął. - Obiecała mi pani poufność. Zapłaciłem pieprzony majątek, żeby pani...

Niall nie chciał dłużej tego słuchać. W ciągu dwudziestu sekund opuścił swój gabinet, pobiegł korytarzem i otworzył drzwi separatu.

- ... chyba że odkryjemy, że te wyroby figurują ha liście skradzionych dóbr, tak - mówiła Dana, gdy Niall wszedł do pomieszczenia.

Nie była zaskoczona jego nagłym przybyciem. Niall stosował zasadę „trzy wulgaryzmy i wynocha”. Morrison wykorzystał już swój limit, i to kilkakrotnie, zanim Niall otworzył drzwi. Dana nie miała zastrzeżeń do samego języka, ale przekleństwa świadczyły o tym, że klient tracił panowanie nad sobą.

- Polityka Rarities Unlimited - ciągnęła - została wyraźnie określona w umowie, którą pan podpisał, zanim zgodziliśmy się wycenić pana przedmiot. Jeżeli musi pan odświeżyć pamięć, damy panu drugą kopię, kiedy będzie pan stąd wychodził.

- Ale to tylko pieprzony naszyjnik!

- Pan go myli ze złotymi dzwonkami i nefrytowymi pierścieniami, jakich używali starożytni Chińczycy - stwierdziła beznamiętnie Risa. - Były dość wysoko cenione jako akcesoria przy stosunku seksualnym.

- O czym pani gada? - wrzasnął Morrison.

- O biżuterii używanej do wzmocnienia erekcji mężczyzny - powiedziała Dana ironicznym tonem. - O pieprzonej biżuterii, jak to był pan łaskaw ująć.

Niall przygryzał język, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Czy mamy jakiś problem, pani Gaynor? - zapytał.

- Nie wydaje mi się. Pan Morrison właśnie zamierzał wyjść razem ze swoim naszyjnikiem.

- Wstrzymam wypłatę mojego czeku! Dana wzruszyła ramionami.

- Jak pan sobie życzy. Mamy do dyspozycji prawników. Niech w końcu trochę popracują, żeby zasłużyć na swoje wynagrodzenia. - Spojrzała na Nialla. - Czy sekretarzyk w stylu Ludwika XIV już został przywieziony?

- Właśnie wypakowujemy go w separacie numer 4.

- Wspaniale. - Zwróciła się do Risy. - Jak zawsze, to była przyjemność. Chciałabym uzyskać od pani pisemną wycenę możliwie jak najszybciej. Kiedy zechce pani przejrzeć taśmy i wybrać pojedyncze klatki, żeby dołączyć je jako fotografie do raportu...

- Taśmy? Fotografie? - zapytał głośno Morrison. - Co wy, u diabła...

- To jest w umowie, którą pan podpisał - przerwał mu Niall. - Żadne zdjęcia zrobione przez Rarities nie zostaną opublikowane bez pana pisemnego zezwolenia. Wycena nie jest przeznaczona do publikacji. Będzie zawarta w naszej dokumentacji i w pańskiej. Będzie to piękna karta w czterech kolorach, godna oprawienia w ramki.

Morrison spojrzał na naszyjnik jak na węża. Wiedział, że w tej potyczce nie ma żadnych szans. Wątpliwe, czy zdążyłby sprzedać naszyjnik, zanim przejedzie po nim walec biurokratycznej maszyny. Nadeszła pora, żeby zminimalizować straty i zacząć nową grę.

- Pieprzyć to - powiedział. - Zatrzymajcie sobie ten naszyjnik. Chcecie nazwisko faceta, który mi go sprzedał?

- Zawsze jesteśmy zainteresowani pochodzeniem - odparła Dana, głosem, który znowu był jak miód.

- Tak. Jasne, że jesteście. Mam jakąś szansę na znaleźne?

- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby ją panu zagwarantować. Mój gabinet jest w tej chwili wolny. Chciałby się pan napić kawy czy czegoś mocniejszego?

Klnąc pod nosem, Morrison wyszedł za Daną z separatki. Jeszcze długo było słycać jego głos: opowiadał o grze w pokera za duże pieniądze, w której stawiało się gotówkę, klejnoty i wyszukaną biżuterię. W rozmowie ani razu nie padły słowa „pchli targ” i „żona”.

Risa patrzyła z satysfakcją, jak Morrison znika w korytarzu. Dana była jedną z nielicznych osób na tej planecie, którą Risa naprawdę szanowała. Do tego grona zaliczał się również Niall.

Niall zobaczył, że zmysłowe usta Risy wyginają się w lekkim uśmiechu.

- Co? - zagadnął. - Przecież już nieraz widziałaś Danę w akcji.

- Zawsze to przyjemność, ale nie dlatego się uśmiecham.

- O?

- Przyszło mi do głowy, że skądś znam Morrisona. Regularnie odwiedza wersję twoich bezpiecznych separetek w firmie Złote Runo.

Niall pomyślał o bardzo prywatnych, bardzo bezpiecznych pomieszczeniach Shane'a Tannahilla na górnym piętrze Złotego Runa. Pokoje wynajmowano ludziom, którzy nie chcieli uprawiać hazardu w gwarnych akwariach publicznych.

- Mistrz przechwałki?

- Tak. Shane czasem nawet grywa z nim w pokera.

- Dzisiaj Morrison nie miał miny pokerzysty.

- Nie wiedział, że Dana będzie z nim pogrywać. Niall rzucił jej wilczy uśmiech.

- Człowiek całe życie się uczy.

Rozdział 35

Serena stała w pokoju gościnnym na drugim piętrze niezwyklej rezydencji Erika Northa. Widok ulicy częściowo przesłaniała, kwitnąca ogniście bugenwilla, ale i tak Serena zobaczyła więcej, niż by sobie życzyła.

- Wciąż tam jest - powiedziała ze smutkiem.

Erik nawet nie musiał spoglądać. Wiedział, o czym mówi. Mały zielony pikap rzeczywiście zjechał za nimi z autostrady, potem sunął po zapiaszczonej czteropasmówce prowadzącej na skraj miasta, przez chaotyczny labirynt dzielnic mieszkaniowych Palm Springs aż do bramy domu Erika.

- Wolalabyś inny pokój? - zapytał.

- Z którego nie byłoby widać ulicy?

- Tak.

- Jeśli nie miałbyś nic przeciwko... Wziął jej torbę z łóżka.

- Idź za mną.

Szła za nim, usiłując nie patrzeć na napięte mięśnie przedramienia, na którym zawiesił torbę, swobodny krok i świetnie dopasowane, trochę wyblakłe džinsy. Było w nim coś, co sprawiało, że czuła mrowienie w palcach, jakby miała ochotę coś pocierać albo gryźć. Te doznania niezbyt jej się podobały, poza tym nie wiedziała, jak sobie z nimi radzić, bo zanim poznała Erika, nigdy czegoś podobnego nie doświadczała.

Kiedy Koneser zaczął się łączyć do jej stóp, wyraźnie podrażniony i kapryśny z powodu nowego otoczenia, była zadowolona, że ma wymówkę i może go wziąć na ręce. Pozwolił jej na kilkanaście sekund adoracji, a potem zeskoczył na podłogę, żeby kontynuować zwiedzanie domu.

- Co powiesz na ten pokój? - zapytał Erik.

Rozejrzała się po przestronnym, słonecznym pokoju, urządzonego na wielkopańską modłę, z wysokim sufitem, pod którym obracał się mosiężny wiatraczek. Narzuta na wielkim, podwyższonym łożu była zrobiona z wykonanej maszynowo dekoracyjnej tkaniny, niegdyś lśniącej, która z upływem lat wyblakła i zachowała tylko część dawnego blasku. Na podłodze leżał stary kilim, utkany techniką splotu skośnego, która umożliwiała tworzenie wzorów w kształcie rombów, trójkątów i ukośnych schodków przebiegających przez środek. Kolory

kilimu - żółty, czerwony, zielony i błękitno - czarny - również trochę przybladły, ale nie utracił wiele ze swej wyrazistości.

- Idealny - powiedziała.

- Skąd wiesz? Nawet nie wyjrzałaś przez okna...

W poczuciu winy oderwała wzrok od pięknego, ręcznie tkanego i bardzo starego dywanika.

- Jestem pewna, że widok będzie... - Urwała w pół zdania, wyjrzawszy przez okno zajmujące większą część zachodniej ściany. - Och, góry! To jest Dry Falls (Dry falls (ang.) - Suchy Wodospad), prawda?

Uśmiechnął się.

- Zwłaszcza tej zimy nazwa nabrała znaczenia. Deszcze padały tak rzadko, że kamienny klif był suchy jak pieprz.

Po paru chwilach Serena przestała się wpatrywać w swoje ukochane góry. Wchodząc do pokoju, w pierwszym momencie nawet nie zwróciła uwagi na subtelne ślady, świadczące o tym, że ktoś tu mieszka, ale teraz dostrzegła je wyraźnie: rysunki przyklejone do dużej tablicy wiszącej blisko szafy, elektroniczne widełki podłączone w pobliżu serwantki, przenośny komputer cicho szumiący na stoliku przy łóżku, a także leżąca na drugim stoliku otwarta książka opisująca średniowieczne desenie.

- To twój pokój - uświadomiła sobie. - Nie mogę tu zostać.

- Nie martw się. Kazałem gospodyni przyjść rano i trochę ogarnąć przed moim wyjazdem. Wszystko jest czyste, włącznie z pościelą.

- Nie o to mi chodziło. Nie mogę cię usuwać z własnego pokoju.

- Wcale mnie nie usuwasz. Sam to robię. - Ale...

- Dzięki temu nie będę musiał tędy się przekradać, gdy będziesz spała...

- Przekradać... - zaczęła z gniewem.

- ... żeby sprawdzić, co robi nasz „ogon” - ciągnął Erik, ignorując jej wtręt. - Pokój gościnny ma najlepszy widok na ulicę. Poza tym moja sypialnia jest wystarczająco duża, żeby ustawić w niej twój warsztat tkacki. W inne pomieszczenie Mała Betty ledwo da się wcisnąć.

Wzięła oddech i już miała zaprotestować, ale na myśl o tym, że jakiś obcy facet miałby zaglądać do okna jej sypialni, dostała gęsiej skórki.

- Wróćmy do planu A.
- Według którego zostajesz w motelu?
- Tak.
- Nawet jeśli weźmiemy sąsiadujące pokoje, będzie nam ciasniej niż tutaj.

- Sąsiadujące pokoje. My. O czym ty mówisz?
- O tym, że będę chronił ciebie, a ty mnie. Trzymamy się razem, Sereno. We dwoje mamy w tej grze większe szanse, niż gdybyśmy działali osobno, a naszą największą szansą jest pozostanie tutaj. Mam dobry system alarmowy, wysoki mur i kukułkę szturmową.

Chciała się z nim spierać, ale nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem.

- Kukułkę szturmową. Mój Boże. Już lepiej walnąć tego faceta w łeb moim krosnem.

Erik wyszczerzył zęby.

- Dobry pomysł. A nie mówiłem, że będziemy mieli większe szanse, jeśli będziemy trzymać się razem?

Nie wyglądała na przekonaną. Oparł ręce na biodrach.

- Posłuchaj. Gdybym miał zamiar cię zranić albo rzucić się na ciebie, już bym to zrobił. Czy możesz powiedzieć to samo o facecie, który czyha tam na ulicy?

- Nie.

- Więc w czym problem?

Problem polegał na tym, że Serena nabierała ochoty, żeby rzucić się na Erika, ale nie zamierzała się do tego przyznawać. Te myśli wcale jej się nie podobały, lecz niewątpliwie pojawiały się w jej głowie, podobnie jak mrowienie w palcach i narastające ciepło w okolicach podbrzusza.

- Nie ma problemu - wycodziła przez zęby. - Przygotujmy warsztat, zanim wszystkie nitki się poplączą. Uspokoję się, jak będę miała czym zająć ręce.

W tej kwestii miał kilka pomysłów, ale trzymał buzię na kłódkę. Dopóki warsztat nie zostanie zainstalowany, mogłaby zmienić zdanie i uciec, zabierając ze sobą karty. Nie chciał tego. Naprawdę dałby się pokrajać za to, żeby je zbadać.

Kiedy dotarł do niego sens tej myśli, aż się skrzywił. Ta część o krajaniu brzmiała dość niefortunnie, zważywszy na to, że zaraz za bramą parkował jakiś zbir.

Faktoid, gdzie, do cholery, są te raporty policyjne na temat zamordowania Ellis Weaver?

Rozdział 36

Palm Springs, piątek, noc

Gdy tylko Serena zaczęła tkać, Erik zabrał komputer do pokoju gościnnego, podłączył go i zaczął wyszukiwać nowy materiał. Wprawdzie McCoy nie dzwonił, ale istniała możliwość, że zostawił coś w pliku.

I rzeczywiście tak było.

- Dzięki wam, bogowie hackerstwa - mruknął Erik.

Otworzył plik z Księgą Uczonych, całkowicie ściszył dźwięk - komentarz Faktoida bywał głośny i często obsceniczny - i zaczął czytać o nocy, w której zginęła Ellis Weaver.

Policja wykonała swoją robotę tak, jak się tego spodziewał po prowincjonalnych gliniarzach, których obowiązki polegały głównie na czepianiu się prostytutek, uprzątnięciu zwłok po wypadkach drogowych i zakuwaniu w kajdanki awanturujących się pijaków. Zresztą nawet gdyby tutejsza policja zajmowała się przestępstwami z najwyższej półki, to wóz okręgowej straży pożarnej opróżniając swój zbiornik i gasząc dymiące zgliszcza, nie pozostawił na miejscu zbrodni zbyt wielu dowodów.

To, co znaleźli, było makabryczne. Z babki Sereny zostało dostatecznie dużo, by dowieść ponad wszelką wątpliwość, że istota ludzka została spalona. Wszystko było widać w pliku wideo: plecy wygięte w agonii, strzępy ciała i odzieży, które nie uległy całkowitemu zniszczeniu, zwęglone, otwarte usta, z którymi musiały się wydobywać potworne krzyki.

Erik zrobił kilka głębokich wdechów. Widywał już raporty z sekcji zwłok i zdjęcia z miejsc zbrodni, te najbardziej przerażające zawsze przyprawiały go o mdłości. Zmusił się jednak, by skupić uwagę na stronach z raportami, w których szczegółowo opisywano dowody zebrane na miejscu zbrodni.

Właściwie było ich niewiele. Wgłębienia od opon na żwirowym podjeździe i ślady stóp wokół chatki... o tak, całe mnóstwo śladów. Pojawił się tu chyba każdy z miejscowych gliniarzy, który czymś jeździł i miał godzinę wolnego, żeby podzielić się swoją fachową opinią na temat tego wydarzenia. Oddział strażaków zostawił ślady i kałuże dosłownie wszędzie. Ekipa prowadząca dochodzenie w sprawie podpalenia zachowała się delikatniej, ale najpierw musiała ochrzanić wszystkich, którzy już wcześniej pozacierali ślady.

Jolly Barnes, osobnik, który od biedy mógł uchodzić za sąsiada kobiety, żył jak pustelnik kilometr dalej. Nie słyszał ani nie widział niczego, bo spędził tamtą noc jak wszystkie - pijany do nieprzytomności. Ellis Weaver nie miała żadnych przyjaciół, których można by było wypytać. Nie istniał żaden kochanek, mąż, eksmąż albo podglądacz. W chatce nie było niczego, co warto byłoby ukraść. Nie było telewizora ani komputera, ani żadnych fajnych urządzeń elektronicznych, bo przecież nie doprowadzono tu nigdy elektryczności. Ellis Weaver dysponowała gotówką w postaci miseczki z drobniakami i kilkoma zmiętymi banknotami. Furgonetka, którą jeździła, była starsza niż większość absolwentów wyższych uczelni.

Policjanci próbowali. Detektyw przydzielony do sprawy objeździł wszystkie obskurne bary, wymęczone słońcem osiedla baraków, kempingi dla pracowników sezonowych i ulubione miejsca spotkań ziomali. Garstka ludzi słyszała o zamordowaniu staruszki. Nikt nie wyglądał na winnego. Nikt się tą śmiercią nie przejmował. Nikt nie miał pojęcia, dlaczego ktoś miałby ochotę usmażyć mieszkającą samotnie starą kobietę. Nikomu nie zakłócała spokoju. Nikt jej spokoju nie zakłócał. Koniec rozmowy.

Nie było żadnych anonimowych telefonów do biura szeryfa, które sugerowałyby możliwy motyw albo sprawcę. Nikt nie przechwalał się tym morderstwem po pijaku w barach. Żadna wkurzona dziewczyna nie wydała skłonnego do przemocy chłopaka, który, tak się składało, przepadał za paleniem staruszek. I nie zgłosił się żaden informator, który wskazałby detektywowi właściwą drogę. Ani żaden dręczony wyrzutami sumienia, nafaszerowany amfetaminą narkoman, który chciał wyznać winę. Ślepy zaułek.

Po kilku tygodniach uwagę przepracowanego biura szeryfa skupiły nowsze zbrodnie. Sprawa Ellis Weaver pozostała otwarta, ale nie zanosilo się na zmianę ostatecznego wniosku: starsza pani poniosła śmierć od bomb napalmowych domowej roboty, sprawca lub sprawcy nieznani. W tym okręgu nigdy wcześniej nie doszło do takiej zbrodni. I nigdy potem.

Erik wyjrzał przez okno na ulicę, gdzie mały pikap lśnił w smudze księżycowej poświaty. Zastanawiał się, czy facet wozi w bagażniku pudło z płatkami mydłanymi i zapasowy kanister z gazem.

Rozdział 37

Los Angeles, piątek wieczór

Niall odsunął się od biurka i przeciągnął tak mocno, że aż zaprotestowały ścięgna. Szybko zerknął na monitory upewniając się, że cała Rarities Unlimited jest już pozamykana na noc, z wyjątkiem sekcji międzynarodowej: tam ludzie pracowali dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ale to był już problem jego zastępcy; ochroną w porze nocnej dowodził Ruben Valenzuela.

Niall jeszcze raz sprawdził monitory, zdjął z oparcia krzesła swoją znoszoną skórzaną kurtkę. Jeśli się pośpieszy, może dotrze do kuchni Dany, jeszcze zanim doda zbyt dużo oleju paprykowego do smażonych warzyw. Zawsze starała mu się zrewanżować za ultrapikantne curry, jakie przyrządzała.

Zadzwoił telefon. To była jego prywatna linia. Nie najbardziej prywatna, ale niewiele osób miało ten numer.

- Tak? - zapytał Niall.
- Tu Tannahill. Sheridan nie odbiera sygnałów.
- Mam z tego powodu płakać teraz czy później?
- Masz mi powiedzieć, gdzie ona jest.
- Załatwia sprawy związane z pchlim targiem.,

Na drugim końcu słuchawki dało się słyszeć ciche szcęknięcie. Doświadczenie podpowiadało Niallowi, że jego rozmówca bawi się piórem, a szcęknięcie nastąpiło w momencie, gdy pióro ze szczerzego złota zahaczyło o szczerozłoty celtycki pierścień. Niall próbował sztuczki z przetaczaniem pióra po palcach wiele razy, ale cholerstwo zawsze spadało mu na podłogę.

- Ufam, że to pchle targi w luksusowym wydaniu - powiedział Shane.

- Muzea.

Shane odchrząknął.

- Są jakieś wieści w sprawie ładnej, prawie szczerozłotej, iluminowanej karty z manuskryptu dla mojego kasyna?

- A o jakie wieści ci chodzi?
- Cena.

Ta lakoniczna odpowiedź sprawiła, że Niall uśmiechnął się od ucha do ucha. Dotychczas tylko jeden raz grał w pokera z Shane'em. Bardzo pouczające doświadczenie. Dowiedział się, między innymi, w jaki sposób Shane'owi udało się przetrwać po tym, jak oświadczył

swojemu despotycznemu ojcu, żeby zabrał swoje miliardy i wsadził je sobie tam, gdzie słońce nie dochodzi.

- Jedyna, o której wiem, nie jest na sprzedaż - powiedział Niall.

- Prędeż czy później wszystko jest na sprzedaż.

- Nie ta. Nie dzisiaj.

- Kiedy będzie, zawiadam mnie.

- Norman Warrick zostanie powiadomiony jako pierwszy. Jeżeli nie zechce tych kart albo nie będzie mógł sobie na nie pozwolić, damy ci znać.

- A po co staremu myszołowowi ta czy pozostałe kartki? Poza tym jego interesują rzeczy z piętnastowiecznej Francji.

Niall odnotował w myśli, że Shane najwyraźniej zna wiele szczegółów na temat stron z manuskryptu, które miała Serena Charters.

- Ja nie pytałem, a on nie kwapił się z wyjaśnieniami.

- Działasz jako jego pośrednik?

- Nie ja. Erik North.

- Co jeszcze możesz mi powiedzieć?

- Jestem głodny, a Dana gotuje bez mojego nadzoru.

Jego rozmówca na chwilę umilkł, a szczęknęciem po jego stronie świadczyło o tym, że przestał się bawić piórem i strącił je na dłoń.

- Nie ty jeden wiesz o tych kartkach - powiedział Shane.

Niall zmrużył oczy.

- Czy oprócz ciebie jest ktoś, o kimś chcesz porozmawiać?

- Jeszcze nie. Ale jeśli Serena Charters nie chciała nadawać tym kartom rozgłosu, nie powinna była ich przesyłać przez pomieszczenie pocztowe House of Warrick.

- Co jeszcze słyszałeś?

- Że te karty to falsyfikaty. Że zostały wyszabrowane przez hitlerowców. Że to lokalna historia lokalnych sojuszy politycznych. Że pochodzą z dwunastowiecznego traktatu o alchemii i zawierają wszystkie tajemnice wiecznego życia.

- O Jezu Chryste. Będziemy mieli po uszy geriatrycznych milionerów.

- I młodych miliarderów.

- Nie mów, że wierzysz w te brednie.

- Wierzę, że pierwsza strona jest fantastycznym przykładem złotej iluminacji w celtyckim stylu insularnym. Wierzę, że wszystkie

te kartki pochodzą z czegoś, co Erik North nazywa Księgą Uczonych. Wierzę, że zamordowanie Ellis Weaver miało jakiś związek z...

- Dobrałeś się do naszych plików - przerwał mu ze złością Niall.

- ...tymi stronami - dokończył Shane, nie przerywając nawet na chwilę. - Wiem, że chcę mieć tę iluminowaną dywanowo kartę ze splecionymi inicjałami w kolekcji Złotego Runa.

- Jak dostałeś się do naszych plików? - Pytanie Nialla zabrzmiało raczej jak rozkaz.

- McCoy jest bardzo dobry, ale nie jest Bogiem.

- A ty jesteś?

- Nie, ale mój ukochany tatuś napisał to oprogramowanie. Wie, gdzie są ukryte wejścia i jak je otworzyć. I pilnował, żebym się uczył, nawet kiedy chciałem grać w hokeja na jego własnym, prywatnym stadionie.

- W takim razie zmienię oprogramowanie.

- Na co?

Niall warknął coś pod nosem. Na rynku oprogramowania nie było niczego nawet w połowie tak dobrego, i obaj panowie o tym wiedzieli.

- Proponuję ci układ - powiedział Shane. - Ja zdradzę McCoyowi, jak wszedłem do waszego systemu komputerowego, jeśli zagwarantujecie mi pierwsze miejsce w kolejce po te karty.

- Bardzo bym chciał się zgodzić, ale nic z tego. Chodzi o uczciwość zawodową, pojęcie, z którym na pewno się spotkałeś. Moje nazwisko widnieje na kontrakcie z House of Warrick i Rarities Unlimited.

- Myślisz, że stary pan Warrick jest filarem uczciwości?

- Myślę, że jest filarem gówna. Ale co to ma wspólnego z naszą rozmową?

- Daj mi znać, jak zmienisz zdanie.

- Nie zmienię.

- Warrick sprzedałby cię w jednej nanosekundzie.

- Też mi odkrycie.

- Jesteś porządnym gościem, S.K. Niall. O wiele za porządnym jak na ten świat.

Niall prychnął ironicznie.

- Jasne, koleś. Jestem dobrą wróżką zdmuchującą sobie z tyłka błyszczący proszek.

Shane ryknął śmiechem, ale zaraz dodał:

- Wokół tych kart dzieje się coś niedobrego. Uważaj na siebie.

Zanim Niall zdążył zapytać, co ma na myśli, Shane się rozłączył. Niall patrzył na telefon zastanawiając się, czy do niego nie zadzwonić, ale w końcu się rozmyślił. Gdyby ten gracz miał jakieś konkretne informacje, na pewno by się nimi podzielił.

Mimo wszystko Niall nie bagatelizował słów Shane'a. Obaj należeli do ludzi, którzy szanują przeczucia, ślepy traf i nieoczekiwane wypadki zdarzające się nocą. Niall szanował Shane'a Tannahilla jeszcze z innych powodów, na przykład dlatego, że Shane dysponował czymś, co charakteryzowało każdego dobrego hazardzistę: świetnie rozumiał ludzi, grę i okoliczności, które wykraczały poza racjonalną fasadę rachunku prawdopodobieństwa.

Prieczucia, ślepy traf i nieoczekiwane wypadki zdarzające się nocą.

Wokół tych kart dzieje się coś niedobrego.

Kiedy Niall patrzył na morze światła i kopułę ciemności zalegającą nad Los Angeles, postanowił, że jeszcze raz porozmawia z Daną na temat zainstalowania kamer w jej domu. Tym razem zachowa się jak dżentelmen i naukowiec. Zaoferuje jej wybór.

Albo będzie mieszkała z kamerami, albo z nim.

Rozdział 38

Palm Springs, piątek noc

Serena nie wiedziała, która jest godzina, kiedy usłyszała dzwoniący przy jej łóżku telefon. Tak się zmęczyła tkaniem, przekładaniem sznurków i czółenek, i dociskaniem wątku, że czuła ból w całym ciele. Zamierzała położyć się tylko na chwilę i rozluźnić napięte mięśnie, ale położywszy się w poprzek łóżka, natychmiast zasnęła z szalem na oczach.

A teraz burczało jej w brzuchu.

Miała wrażenie, że burczenie jest głośniejsze od dzwonka telefonu.

Westchnęła, przeciągnęła się, żeby usunąć resztki zmęczenia i wstała. Owinęła szalem szyję i wyciągnęła rękę w stronę telefonu. Gdy tylko podniosła aparat, uświadomiła sobie, że nie jest u siebie.

- Rezydencja Northa - powiedziała po chwili wahania.
- Gdzie jest Erik? - zapytał bezceremonialnie jakiś mężczyzna.
- A kto dzwoni? - zapytała Serena, bardzo uprzejmym tonem recepcjonistki - smoka. Opłaciły się lata praktyki w biurze, kiedy dorabiała do tkania.
- S.K. Niall.
- Aha. Jego szef.
- Jeden z jego szefów. Czy pani Serena Charters?
- Tak.
- Gdzie Erik? - ponownie zapytał Niall.
- Nie wiem. Zajmowałam się tkaniem, a kiedy tkam, świat przestaje dla mnie istnieć. Jestem pewna, że krąży gdzieś w pobliżu.
- Może być w wieży.
- Wieży?

Na drugim końcu linii Niall westchnął. Erik najwyraźniej miał rację. Serena potrzebowała opiekuna.

- W swojej pracowni. Na górze. Gdzie pani teraz jest?
- W jego sypialni. - Serena, słysząc własne słowa, skrzywiła się i pośpiesznie dodała: - Pokój gościnny ma okna wychodzące na ulicę, skąd śledzi nas jakiś facet, dlatego Erik odstąpił mi swój pokój.

Niall przetrwał tę informację.

- W porządku. Proszę wyjść na korytarz, skręcić w prawo, przejść przez salon, wejść w odchodzący od kuchni korytarz, który wygląda, jakby prowadził do spiżarni, otworzyć drzwi, pójść

schodami na górę i suszyć Erikowi głowę tak długo, aż odłoży swoje cholerne pióro albo malutki pędzelek i zacznie zwracać na panią uwagę.

- A jeśli po prostu wrzasnę stąd, żeby odebrał telefon?

- Zignoruje panią tak, jak zignorował telefon. Kiedy pracuje, staje się naprawdę niemożliwy.

- To tak jak ja...

- Nie chciałem tego sugerować, ale skoro pani tak twierdzi, wypada mi się zgodzić.

Serena roześmiała się i doszła do wniosku, że szef Erika da się lubić.

- Dobrze, wychodzę drzwiami i kieruję się na prawo...

Zgubiła się raz, ale tylko dlatego, że Niall nie uwzględnił przechodniej szafy na palta w drodze do kuchni. Potem zaczęła się wspinać po starych krętych schodach do obszernego pomieszczenia na wieży, która z ulicy wyglądała tak osobliwie. Drzwi na samej górze były otwarte. W progu, na porzuconej kurtce Erika smacznie drzemał Pan Koneser. W pokoju było jasno od różnokolorowych świateł.

Erik nawet nie zauważył Sereny. Ponieważ stwierdził, że nie może zasnąć, pracował siedząc przy pulpicie. Jego mózg rozsadzał natłok spekulacji, obrazów, wspomnień, których nie mógł mieć, lęków, które miały aż nadto racjonalną podstawę, i żądy, którą, po raz pierwszy w życiu, tak intensywnie odczuwał w związku z Sereną.

Oczy Erika lśniły światłem odbitym niczym topazy. W prawej ręce trzymał mały scyzoryk, a w lewej długie, kremowe pióro.

W ogóle na nią nie spojrzał.

- S.K. Niall chce z tobą rozmawiać - powiedziała.

Erik chrząknął, zanurzył pióro w kałamarzu i znów zaczął pisać.

- On mnie nie słyszy. - Serena powiedziała do telefonu.

- Cholera. Spróbuj jeszcze raz.

- Erik, S.K. Niall właśnie do ciebie dzwoni.

- Zarazdoniegooddzwonię - wymamrotał Erik.

- Wydaje mi się, że mrucał, że zaraz do pana oddzwoni - powiedziała Serena.

- Czy pisze, czy robi iluminacje?

- W lewej ręce trzyma pióro, czy to pomocna informacja?

- Nie, jeśli dopiero zaczął stronicę. Jak daleko zaszedł? Serena zrobiła kilka kroków i zerknęła Erikowi przez ramię.

- Z tego, co widzę, jest blisko końca strony.
- Ma na sobie koszulę? Zamrugła oczami.
- Hm, tak. Dlaczego pan pyta?
- Proszę mu włożyć telefon do kieszeni.

Zawahała się, ale wzruszyła ramionami i wsunęła aparat do lewej kieszeni koszuli Erika. Wmawiała sobie, że jej palce wcale nie zdrząły, kiedy przesuwając dłonią po jego koszuli, poczuła intensywne bicie serca. Dotknęła ręką swego szala i nakazała sobie myśleć o czymś innym.

Erik pracował nadal, jakby Serena nie istniała.

- Erik! - Z aparatu w kieszeni dał się słyszeć głos Nialla. - Hejka, Erik. Dzwoni do ciebie połowa twojego czeku. Erik? Słyszysz mnie? Erik!!!

Serena wpatrywała się w dzieło, które tak przykuwało uwagę Erika. Po kilku chwilach wstrzymała oddech i wydała stłumiony odgłos podziwu. Wprawnymi ruchami pióra odtwarzał bardzo stary, trudny i niezwykle piękny styl pisania. W większości litery wydawały się znajome, ale Serena rozumiała tylko kilka słów. Zostały napisane martwym językiem, który zanikł dawno temu, na długo przed przyjściem na świat Erika Northa.

Karta została zapisana prawie w całości, puste były tylko dwa prostokąty pośrodku tekstu. Każdy z nich zawierał narysowany ołówkiem stary i zawity wzór, który prezentował człowieka i wszechświat zgodnie z teorią, jaką można było odnaleźć wyłącznie w celtyckich manuskryptach. Serena wiedziała, że te wzory, wypełnione farbami i złotem, staną się oszałamiająco piękne.

Potem uświadomiła sobie, że Erik nie tworzył tekstu, lecz kopiował z czegoś, co było przypięte z prawej strony stołu kreślarskiego i wyglądało jak współczesna fotografia. Z wyjątkiem wyrazistości kopii - oryginał najwyraźniej wyblakł tak, że prawie niczego nie można było na nim zobaczyć - nie dostrzegła żadnej innej różnicy w kaligrafii tych kart.

Erik dotarł do końca karty w tym samym momencie, gdy jego rozmówca zaczął tracić cierpliwość. Odłożył na bok pióro, posypał pergamin piaskiem i wziął do ręki telefon.

- Nie zdejmuj koszuli - powiedział do Nialla. - Wiesz, że gdy zatrzymuję się w połowie strony, to potem zawsze widać skutki,

zwłaszcza gdy w grę wchodzi mistrz kaligrafii, którego właśnie kopiuję.

- Czy Serena wciąż tam jest? - zapytał Niall.

Erik podniósł głowę, jakby odkrycie jej obecności było dla niego zaskoczeniem. Ona zaś przypatrywała się jego kopiom w taki sposób, jakby nigdy w życiu nie widziała czegoś podobnego. I prawdopodobnie tak było. Tak dokładne repliki - Erik odtworzył nawet sposób barwienia pergaminu, przygotowywania atramentu, sporządzania farb na podstawie przepisów sprzed tysiąca lat - zdarzały się równie rzadko, jak oryginały. Prawdę mówiąc, zdarzały się rzadziej. Tylko kilka osób na świecie miało dość cierpliwości, by zajmować się iluminacją i kaligrafią tak, jak to robiono w średniowieczu. Erik należał do tego grona.

Był najlepszy.

- Tak, nadal tu jest? Dlaczego pytasz? - odparł.

- Serena nie wie nic o tym, co zamierzam ci powiedzieć. Jeśli chcesz utrzymać ten stan rzeczy, wyciągnij łeb ze swojego kałamarza.

- Już jest na zewnątrz.

Chrząknięcie Nialla sugerowało, że nie do końca mu wierzy.

- Tannahill wie o jej kartach.

- Mam być tym zaskoczony? - zagadnął Erik, ziewając. - On dowiaduje się o wszystkim, na czym mu zależy. Gdy tylko zobaczyłem tę iluminowaną złotem, dywanową kartkę, domyśliłem się, że wkrótce Tannahill zacznie węszyć. Jest lepsza niż karta, który wisi w jego galerii złota, a on nigdy nie lubi zadowalać się drugim miejscem.

- Shane nie ogranicza się do węszenia - powiedział Niall. - On przykłada ucho do ziemi.

- To brzmi wprost niewygodnie.

- Posłuchaj, chłopie. Shane słyszał różne rzeczy o tych kartach. Niedobre rzeczy. Uważaj na siebie. Wyjmij broń ze schowka.

- Ale...

- Nienawidzisz broni - dokończył za niego zniecierpliwiony Niall. - Wiem, Pluszaczku. Już nieraz to słyszałem. Ale jeśli zaczniesz nosić kaliber 9 milimetrów, może dożyjesz dnia, w którym znowu będziesz mógł uważać się nad sobą. Przed twoim domem ktoś nadal parkuje?

- Tak. Wrócił Zły Billy. Mały pikap odjechał parę godzin temu.

- Prawdopodobnie nie dalej, niż do najbliższego taniego motelu.
- Tak właśnie myślałem. - Erik uśmiechnął się lekko. - Dobra wieść jest taka, że w Palm Springs nawet tanie motele nie są tanie. Będzie musiał się przejechać aż do Cat City, żeby wyczaić coś taniego. Jeśli coś się stanie, gliny będą mogły go tam dorwać.
- Nie licz na to.
- Ja na nic nie liczę, a już na pewno nie na kawałek metalu, który może totalnie schrzanić sprawy.
- Każda spluwa prędzej czy później się zacina.
- Jeśli ich nie używasz, to się nie zacinają.
- Zamknij się - warknął Niall. - Nie jesteś głupi, więc nie gadaj bzdur. Najbardziej wygadana gęba na całym świecie nie ma takiej siły, jak najbardziej tępa spluwa na całym świecie. Masz nosić ten pistolet, albo w tej chwili rwę twój kontrakt na strzepy.
- Shane naprawdę wpuścił ci wiatr do tyłka.

Kątem oka Erik zauważył, że Serena podchodzi do jednego ze stołów. Leżąca na nim karta była prawie skończona. Trzeba było jeszcze tylko nałożyć złotą folię. Mała „książeczka” pasków cieniutkiej złotej folii leżała otwarta na wąskiej tacy w dolnej części stołu. Lekki podmuch powietrza podnosił pasek folii, który błyszczał i poruszał się jak żywy.

Erik zmierzwił ręką włosy, które ostatni raz strzygł dwa miesiące temu i które były nastroszone z powodu takiej bez troski.

- W porządku. Dobrze. Będę spał z tym cholerstwem.
- Pamiętaj o tym. Jeśli zobaczę cię bez broni, zanim dam pozwolenie do działania, to w następnej sekundzie usłyszysz, jak twoja umowa zamienia się w pieprzone konfetti. Załapałeś, Pluszaku?
- Tak, tak, tak. - Erik zaklął. - Załapałem - dodał. Mówił do siebie. Niall już się rozłączył.

Serena w ogóle nie zwracała na nich uwagi. Właśnie odkryła serię zdjęć z cyklu „przed” i „po”. Karty na zdjęciach z pierwszej były w kiepskim stanie: poszarpane, brudne; atrament ledwo widoczny, a kolory tak wyblakłe, że przypominały szept. Czas nie zdołał zmienić tylko pierwotnego złotego połysku. Kartki „po” lśniły jak klejnoty, promieniały barwami i pięknem, które stworzył cierpliwy i utalentowany Erik North.

Był fałszerzem.

Bardzo dobrym fałszerzem.

A ona wpadła prosto w jego pułapkę.

Rozdział 39

Erik spojrział na leżącą na stole kartę, którą miał ozdobić iluminacją. Potem popatrzył na Serenę i zmarszczył brwi. Była blada, spięta, zaciskała wargi; patrzyła na niego z gniewem lub pogardą. Być może czuła jedno i drugie.

Przyszło mu do głowy, by zgadnąć, o co jej chodzi, ale młodsze siostry nauczyły go, że mężczyzna prędzej zajdzie w ciążę, niż domyśli się, dlaczego wyprowadził kobietę z równowagi. Doświadczenie w wychowywaniu sióstr sugerowało również, że nie powinien ignorować nastroju Sereny.

Niestety, siostry nie zdołały nauczyć go delikatności.

- Co tym razem zrobiłem nie tak?

Serena bez słowa wyciągnęła rękę w stronę fotografii „przed” i „po”. Końce jej miękkiego szala zatrzepotały, jakby chciały pofrunąć za jej palcami.

Podążył wzrokiem za wdzięcznym łukiem zakreślonym ręką kobiety.

- A więc panuje tu niezły bałagan. I co z tego? Nie spodziewałem się inspekcji w białych rękawiczkach.

Spojrzała na niego, jakby chciała powiedzieć: „Wal się”.

- Śmiało, Sereno. Wyduś to z siebie. Sądząc po tym, jak wykrzywiasz usta, to nie może być smaczne.

- Jesteś fałszerzem.

Fala czystego, gorącego gniewu przeszła Erika, gdy usłyszał pogardę w jej głosie. Był wstrząśnięty. Ten szok pozwolił mu opanować nerwy. Z najwyższym trudem.

- Nie sądź po sobie - wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Nigdy nie udawałam, że moje wyroby to zabytkowe tkaniny.

- Ale założę się, że znasz techniki dawnego tkactwa.

- Oczywiście. Nauczyłam się tkać na warsztacie tkackim starego typu, tak jak...

Erik cały czas mówił.

- I założę się, że wiesz, z jakich roślin produkowano kiedyś określone barwniki, znasz różnicę między wełną i owczą przędzą i...

- Każdy w miarę dobrze wykształcony tkacz wie...

- ... i różnice między gobelinami i kilimami oraz techniki, jakie stosowali tkacze w rozmaitych kulturach i epokach historycznych.

Oparła zaciśnięte pięści na biodrach i spojrzała na niego wyniośle - na przystojnego, aroganckiego sukinsyna, który siedział sobie jak gdyby nigdy nic pośród wszystkich swoich falsyfikatów.

- Tak - powiedziała z napięciem w głosie. - Wiem sporo o historii i tradycji różnych tkanin w kulturach, począwszy od skręcania sznurków w epoce kamienia łupanego do współczesnych kimon artystycznych z jedwabiu. I co z tego?

- To z tego, że gdyby Rarities chciała uzyskać ekspertyzę dotyczącą wartości albo ewentualnej autentyczności jakiejś tkaniny, mogłabyś im ją zaoferować w oparciu o swoją wiedzę i doświadczenie.

- Do czego zmierzasz?

- Fałszerz rozpozna fałszerza. - Mówił cicho, ale wyraźnie. - Jeśli chcesz się dowiedzieć, jak zrobiono wyrób z żelaza, idziesz do faceta, którego zawód polega na obrabianiu żelaza, i zadajesz mu pytania. Jeśli chcesz się dowiedzieć, czy jakaś technika tkacka była stosowana w okresie, na który datowana jest jakaś tkanina, wypytujesz specjalistę od tekstyliów. Jeśli chcesz jakiegokolwiek ekspertyzy, idziesz do kogoś, kto wie, jak dana rzecz została zrobiona, kiedy i z czego.

- Istnieje różnica między ekspertem a fałszerzem! Jego uśmiech był równie ironiczny jak ton głosu.

- Wiem. Po prostu myślałem, że ty nie wiesz. Jestem ekspertem od iluminowanych manuskryptów, zwłaszcza w celtyckim stylu insularnym. Szlifowałem swoją wiedzę robiąc to, co robili starzy skrybowie i mnisi - ręcznie sporządzałem manuskrypty. W ten sposób doksztalałem się, nauczyłem się robić repliki. Potem zorientowałem się, że mam do tego dar. Uwielbiam to robić. Nie jestem w tym zły. - Uśmiechnął się niewyraźnie. - Chrzanić skromność. Jestem w tym cholernie dobry. I zawsze, zawsze, dodaję do mojej pracy jakiś anachronizm, żeby ktoś, kto przyjrzy się jej uważnie, zorientował się, że została wykonana współcześnie.

Chciała mu wierzyć. Pragnęła tego tak bardzo, że aż się bała sobie na to pozwolić. Nawet nie uświadamiała sobie, że mocno ściska szal, wbijając paznokcie w dłonie. Doświadczała nieprzyjemnego uczucia jakby z oddalenia i tylko przez chwilę. Szal zdawał się grubieć pod jej palcami, tępić ostre krawędzie paznokci.

- A teraz - dorzucił cicho - ty mi powiedz, dlaczego miałbym ufać cienko sprzedanej artystce, której babka została zamordowana w

niewyjaśnionych okolicznościach, artystce, która na skutek tego morderstwa odziedziczyła kilka iluminowanych kart wartych...

- Czy ty mnie oskarżasz o... - przerwała mu z furją.

- Cicho bądź - warknął. - Teraz moja kolej, żeby wysuwać oskarżenia, a ty będziesz słuchała. Dlaczego nie miałbym wierzyć, że zamordowałaś swoją babkę? Dlaczego miałbym wierzyć, że nie wiedziałaś, że te karty zostały sfalszowane? Dlaczego w ogóle miałbym ci ufać po tym, jak odrzuciłaś ofertę miliona dolarów za te właśnie podejrzane karty? W co grasz, Sereno Charters? Czego naprawdę chcesz?

- Walnąć cię tak, żeby ci w uszach zadzwoniło. Omal się nie uśmiechnął.

- A drugi wybór?

- Wydrzeć się na ciebie.

- Już to zrobiłaś. Następna propozycja?

Potała dłońmi twarz, jakby próbowała się obudzić. Nie miał powodu, żeby jej ufać, tak samo jak ona nie miała powodu, żeby ufać Erikowi. Oboje o tym wiedzieli.

Nie była w stanie udowodnić, że nie zabiła swojej babki.

On zaś nie był w stanie udowodnić, że nie sprzedawał swoich falsyfikatów jako autentyków.

- Co za heca - powiedziała z goryczą. - Skoro mi nie ufasz, to po co mnie tu przywiozłeś? Przecież mogę się zakraść do pokoju i zamordować cię we śnie.

Tym razem naprawdę się uśmiechnął.

- Ciekawie byłoby popatrzeć, jak próbujesz to zrobić.

Podniosła głowę gwałtownie. Zobaczyła w jego złocistych oczach iskierki rozbawienia. Coś jeszcze. Coś gorętszego.

- Tak naprawdę wcale nie wierzysz, że zabiłam babcię, prawda?

- Nie.

- Dlaczego? - zapytała ponuro.

- To się nazywa zaufanie. Powinnaś spróbować.

- Nigdy się nie nauczyłam. Babcia... - Serena wzruszyła ramionami i z nieszczęśliwą miną mięła szal w palcach. - Nigdy nikomu nie ufała. Myślałam, że wszyscy się tak zachowują. Trzymać na dystans, zachować ostrożność, nigdy nie spodziewać się niczego oprócz złych wieści, nigdy nie dawać niczego, jeśli się nie musi, bo nigdy nie starcza na życie.

Erik zastanawiał się, jak jego siostry patrzyłyby na świat, gdyby zostały sierotami w wieku sześciu lat, a nie jako nastolatki. Gdyby ich opiekun okazywał im kamienne serce, a nie czułość, wpajał im paranoiczne reakcje, zamiast ciężko pracować. Erik w żadnym razie nie był idealnym rodzicem zastępczym, ale jego siostry nie postrzegały świata jako wroga, który tylko czyha na sposobność, żeby pożreć je żywcem. Zdarzało się wręcz, że Erik bał się, iż wychował swoje siostry na osoby zbyt otwarte, przesadnie ufne.

- Już mi zaufałaś trochę - powiedział w końcu. - Czy to ci zaszkodziło?

- Babcia ostrzegła mnie zwłaszcza przed fałszerstwem. A ty masz wszystkie cechy potrzebne, aby być fałszerzem.

- Z wyjątkiem jednej. Nie jestem nim. Serena przygryzła dolną wargę.

- Czy zaufałaś Rarities Unlimited, wierzyłaś, że ta firma mówi prawdę?

Przechyliła głowę, zastanawiając się nad odpowiedzią na pytanie Erika.

- Chyba tak, tak sędzę. Przecież reputacja jest dla tej firmy najważniejsza, prawda?

- Każdy ma tylko reputację.

Stać ją było na pokazanie, że jest zakłopotana.

- Przepraszam. Nie chciałam cię urazić. Jestem tylko...

- Ostrożna. Skinęła głową.

- Wręcz paranoicznie - dodał.

- Nie. Gdybym była paranoiczką, nigdy bym tutaj z tobą nie przyjechała, bez względu na to, jak szybko uwiodłeś mojego kota.

Wygiął wargi w uśmiechu i spojrział na zwierzę śpiące na jego kurtce.

- To było z wzajemnością. Najlepsze jest właśnie takie uwiedzenie. Zachowała maksimum ostrożności, pozostawiając tę sugestywną uwagę

bez komentarza.

Przez dłuższą chwilę Erik wpatrywał się w lśniące czarne futerko kota zwiniętego na swojej kurtce. Serena milczała. Zastanawiał się, czy jeśli powie jej teraz wszystko, ona weźmie nogi za pas. Potem pomyślał o kartach, napalmie domowej roboty i o Złym Billym, który czekał na ulicy.

Do diabła.

- Usiądź, Sereno - powiedział i wstał, przysuwając jej krzesło.

Nie było specjalnie wygodne, ale w tym pomieszczeniu można było usiąść albo na nim, albo na podłodze.

Już miała zapytać, dlaczego ma usiąść, ale przypomniała sobie komentarze Erika na temat zaufania i paranoi, i usiadła dość energicznie na dziwnym krześle. Miała długie nogi i metr siedemdziesiąt wzrostu. Przywykła, że zwykle sięga stopami podłogi. To krzesło było inne. Musiała oprzeć obcasy na szczebelku, siedziała jak dzieciak na krześle tatusia.

- W sprawie tych kart pracuję dla Rarities - powiedział Erik.

- Zdażyłam już na to wpaść.

- Rarities pracuje dla pewnego klienta.

- Nad tym się zastanawiałam. Dla kogo?

- House of Warrick. Serena znieruchomiła.

- Czego oni chcą?

- Co ci powiedział Warrick, kiedy się z nim spotkałaś? - zapytał Erik.

- Spojrzał na karty, zrobił się czerwony jak sos pomidorowy i próbował je ode mnie kupić. Nie chciałam sprzedać. On mi nie uwierzył.

- Ile ci zaproponował?

- Nie zostałam, żeby wysłuchać ostatecznej oferty.

- Dlaczego?

- Szłam już do drzwi.

- Tak bardzo ci się śpieszyło, że nie chciałaś się dowiedzieć, ile są warte?

- Nie podobało mi się jego zachowanie.

- Pod jakim względem?

Chciała powiedzieć Erikowi, że to nie jego sprawa. Potem przypomniała sobie, że powinna w końcu wyzbyć się dziecinnej skłonności do odpychania ludzi. Bo inaczej będzie żyła w samotności jak jej babka, samotna w płonącym domu. Czekająca na rzeź, a potem martwa owieczka.

- Norman Warrick zachowywał się tak, jakbym była psią kupą - powiedziała zdenerwowana. - Chciał wiedzieć, dlaczego zgłosiłam się do niego po roku. Nazwał mnie sprytną młodą dziewczyną, która „chce zerować na dorobku swoich domniemanych krewnych”.

Erik zmarszczył brwi.

- Wiesz, co chciał przez to powiedzieć?

- Nie mam pojęcia. Nic miłego, to pewne. Osobiście sędzę, że cierpi na uwiąd starczy. Zabrałam karty i skierowałam się do drzwi, a on wciąż zarzucał mnie ofertami. Muszę przyznać, że w tym momencie jego twarz miała bardzo interesujący odcień fioletu. Sędzę, że zrobiło mu się spięcie w obwodach. Można pomyśleć, że próbowałam go obrabować. Czy tak załatwia się sprawy w tej branży? Wrzeszczycie na siebie nawzajem, aż w końcu ktoś ustępuje?

- Tylko wtedy, gdy naprawdę dobrze się znamy.

- Ja go nie znam. I nie chcę go znać. Takiej zniewagi nie będę tolerowała od nikogo.

W jej oczach malował się gniew, ale także strapienie. Nie podobała jej się ta konfrontacja; nie chciała być traktowana lekceważąco i z pogardą. Niektórzy ludzie po prostu zbyliby całą historię wzruszeniem ramion. Serena nie była w stanie tak do tego podejść. Tamten incydent zabolął ją, wprowadził w zażenowanie, a potem we wściekłość.

Erik włożył ręce do kieszeni. Musiał to zrobić, bo inaczej założyłby pasemka jej włosów za uszy, potem wodziłby po tych uszach palcami, a potem próbowałby zakosztować jej miękkich warg.

Odwrócił się gwałtownie i spojrzał na ścianę pełną zdjęć „przed” i „po”. Wszystko, co zaszło, jeszcze bardziej utrudniało mu pracę. Wszystko sprzysięgło się przeciw niemu. Miał wrażenie, że zdobycie całkowitego zaufania Sereny będzie niemożliwe.

Więc do diabła z półśrodkami i subtelnością. Nie miał dość cierpliwości do tych podchodów i udawania, półprawd, uników czy jawnych kłamstw. Dlatego pracował dla obozu Pluszaków w Rarities. Wymogi życia pod przykrywką budziły w nim irytację. Był zbyt bezpośredni. Kierował nim zawsze impuls, żeby wyłożyć kawę na ławę, uporać się z problemem i spokojnie żyć dalej.

Nagle Erik zwrócił się do Sereny.

- Moja praca w Rarities idzie w dwóch kierunkach. Po pierwsze, mam przedstawić Rarities fachową opinię na temat twoich kart. Po drugie, mam spróbować je kupić od ciebie w imieniu House of Warrick.

Teraz czekał, aż wyłożona przez niego „kawa” doprowadzi do wielkiej awantury.

Rozdział 40

Serena wytrzeszczyła oczy, a jej wargi przypominały cienką kreskę.

- Nie zamierzam ich sprzedawać. - Uniosła dumnie podbródek, jakby chciała mu powiedzieć: „Idź do diabła”.

- Możesz sobie na to pozwolić? - zapytał Erik.

- Jak dotąd, udaje mi się jakoś żyć bez dużych pieniędzy.

- I do wszystkiego doszłaś sama.

- Tak, - Nawet nie ukrywała satysfakcji.

- A gdyby Warrick zaproponował ci milion dolarów?

- Już to zrobił.

Erik gwizdnął cicho. Jak na falsyfikat, wygórowana cena.

- Odmówiłaś mu?

- Tak.

- Dlaczego?

- Ponieważ mówił od rzeczy. Powiedział, że za tę cenę chce mieć „resztę księgi”. Nie ma żadnej „reszty”. Karty, które widziałeś, to wszystko, co mi zostawiła babka, zresztą pewnie wszystko, co miała. Kropka. Nie wiem. I nie mam pojęcia, jak się tego dowiedzieć. - Serena uniosła koniec szala i potarła skronie kojącą tkaniną. Zaczynała ją boleć głowa, tak, że marzyła o jakimś środku uśmierzającym. - W każdym razie nie skusiłaby mnie żadna suma pieniędzy, bez względu na to, ile i czy znajdę jakieś strony. Nie potrafię wytłumaczyć dlaczego, ale nie sprzedam ani jednej karty. Po prostu nie mogę. Należą do mnie w sposób, którego nie potrafię opisać. To byłoby jak sprzedawanie samej siebie.

- Wiem.

- Naprawdę? - zapytała ze znużeniem, ocierając policzek o szal. Ton jej głosu sugerował, że wątpiła, by Erik ją rozumiał.

- Czuję dokładnie to samo irracjonalne przywiązanie do Księgi Uczonych - powiedział. - Ale wiem, że nigdy nie będę miał dość pieniędzy, żeby przelicytować Warricka. Toteż muszę elegancko cierpieć męki, patrząc, jak część mnie samego jest sprzedawana na wolnym rynku. Jedyne co mogę, to prosić cię - błagać - żebyś pozwoliła mi zrobić replikę tych kartek, zanim na zawsze znikną z mojego życia.

Serena opuściła ręce i spojrzała na Erika. Spojrzała na niego naprawdę uważnie pierwszy raz od chwili, gdy zobaczywszy jego

prace, doszła do wniosku, że jest fałszerzem. Jego oczy były szczerze, przejrzyste, ciemnozłociste jak szkocka whisky z jednej destylarni. Włosy Erika miały ten sam złocisty odcień, a rzęsy i brwi były ciemniejsze, podobnie jak zarost między wydatnymi kośćmi policzkowymi i upartym podbródkiem. Mina sygnalizowała zniecierpliwienie lub złość, a może oba te uczucia jednocześnie, co potęgowało kipiącą w nim energię.

Już kiedyś go takim widziała, dawno, dawno temu.

I teraz, podobnie jak wtedy, znowu zniewolił ją spojrzeniem. W oczach Erika błyszczały żywiołowy ogień, inteligencja, siła. Nawet błagając o przysługę wcale nie wyglądał na słabeusza. Podobnie jak Pan Koneser napraszający się o jedzenie, Erik nie tylko prosił, ale i żądał, chociaż ani kot, ani człowiek nigdy by się na to nie zgodził.

- Uśmiechasz się - zauważył Erik.

- Przypominasz mi mój se... - w ostatniej chwili zmieniła - ...mojego kota.

Zerknął na kłębek czarnego futerka.

- Jak to?

- Nie będziesz chciał wiedzieć.

- Jasne, że chcę.

- Obaj jesteście arogancy. Erik zamrugął oczami.

- Arogancy? Kobieto, ja cię przecież błagam. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- I rzeczywiście wierzysz w to, co mówisz?

- Tak.

Dłonie świerbiły ją, by go pogłaskać, jakby był jej zabawką, z którą można się bawić i którą można pieścić. Uroki „odrodzonego dziewczictwa” bladły, ilekroć znalazła się blisko Erika. Ten męczyzna sprawiał, że zastanawiała się, czy z nim przeżyłaby coś wyjątkowego, co zadowoliłoby ją do głębi duszy. Na moment zamknęła oczy i wydała długo wstrzymywane westchnienie. Niezwykła tkanina szala uniosła się, jakby poruszona oddechem Sereny.

- Jesteś jak kot albo drapieżny ptak - powiedziała. - Arogancja jest w tobie zakorzeniona tak głęboko, tak normalna, że nie traktujesz jej jak arogancji. Po prostu stajesz nade mną i „błagasz” o to, co z łatwością mógłbyś zdobyć siłą.

- Nie zrobię tego.

- Wiem - odparła lakonicznie. - Dlatego ci to daję.

Patrzył na jej usta, kiedy mówiła. Kocia część jego osobowości rozmarzyła się na myśl o tym, że mógłby ją teraz porządnie wylizać.

- Masz aparat fotograficzny? - zagadnęła. Skinął głową, nie odrywając oczu od jej warg.

- Zrób tyle zdjęć kart, ile potrzebujesz - powiedziała.

- Dobrze.

Przechyliła głowę, zaskoczona jego brakiem entuzjazmu.

- Erik?

- Wyszedł na chwilę. Ja jestem jego niegodziwym bratem bliźniakiem. Tym, który myśli jak kot.

Zamrugła powiekami. Pochylił się ku niej.

- Kotem, który myśli o porządnym lizaniu. Rozchyliła wargi, z których uleciało ciche westchnienie.

- Co?

- To.

Zaczął wodzić koniuszkiem języka po jej wargach, sięgając wewnętrznej, gładkiej powierzchni, drażniąc ją, aż podniosła ręce i objęła dłońmi jego twarz.

Pomyślał, że Serena nie chce, by ją całował. Ale zaraz poczuł na języku czubek jej języka. W milczeniu przerywanym jedynie przyśpieszonymi oddechami, smakowali się nawzajem i przekonywali, że to zupełnie nowe, a zarazem niepokojąco znajome przeżycie, zupełnie nieoczekiwane, a jednak tak nieuchronne jak wpadanie rozpedzonej rzeki do morza.

Wciąż nie dość im było wzajemnego smakowania, dzielenia się sobą, bliskości. Nagle jego ręce przesunęły się. Napiął mięśnie ramion, ściągnął ją z taboretu i uściśnił w taki sposób, że zwały się ich ciała, od warg po kostki u nóg.

Prawie nie zauważyła zmiany pozycji, zbyt pochłonięta dokładniejszym smakowaniem Erika. Wpijała palce w napięte mięśnie jego pleców, ocierała się o jego stwardniałe ciało. Kiedy przyłgnęła do niego biodrami, wydał nieartykułowany dźwięk i podniósł ją tak, że już nie dotykała stopami ziemi. Powoli, stopniowo, reagował na ruch jej bioder coraz wyraźniejszą erekcją.

Ochrypty dźwięk, jaki wydała, sprawił, że Erik zapomniał o całym świecie. Z trudem powstrzymał się, by nie ściągnąć jej dzinsów i wziąć ją od razu, tak jak stali, mocno i do głębi. Walcząc z własnym pożądaniem, pragnąc wciąż ją całować, choć wiedział, że oboje zaraz

rzucą się na siebie trzeci raz, podniósł głowę i zdołał wypowiedzieć kilka słów:

- Ostatnia szansa, żeby powiedzieć „nie”. Potrząsnęła głową, jakby wynurzała się z głębokiej wody.

- Co?

Zobaczył głodne, zamglone, fiołkowe oczy Sereny, czerwień jej warg i wilgotny połysk skóry, która teraz smakowała jak las i mgła, gorąca, słodkawa, niezwykła. Pochylił głowę i z trudem nad sobą panując bardzo delikatnie przygryzł jej dolną wargę, a zaraz zaczął ją ssać.

- Pragniemy się nawzajem. Bardzo. Co z tym zrobimy?

To pytanie przywróciło Serenę do rzeczywistości. Zadrżała, sparaliżowana zaskakującą, niespodziewaną falą namiętności.

- O mój Boże - westchnęła gwałtownie. - Przepraszam. To... to do mnie zupełnie niepodobne. Nie wiem, co się stało.

- Czy to znaczy „nie”?

Przygryzła dolną wargę. Czowała reakcję swojego ciała, rozognionego żarem, jakiego nigdy dotąd nie zaznała, i z pewnością pragnącego czegoś więcej niż zwykły pocałunek.

- Tak byłoby lepiej.

- Dlaczego?

- Czy to ma jakieś znaczenie? - odparła, lekko zażenowana.

- Tak.

- Nie biorę środków antykoncepcyjnych i nie noszę prezerwatyw w džinsach - odparła ponuro. - Teraz już wiesz, w czym rzecz?

- Tak. Ale gdybyś je brała i gdybyś miała prezerwatywy? - zagadnął. Nieświadomie oblizwała wargi, zastanawiając się, co by było, gdyby je miała w kieszeni.

- Robilibyśmy to w poziomie. Albo w pionie. Albo w jakiegokolwiek pozycji. Ten pocałunek nie przypominał niczego, co do tej pory znałam, i był dokładnie taki, jak zawsze marzyłam.

Erik odetchnął przez zaciśnięte zęby.

- A niech to. Nigdy dotąd nie spotkałem kobiety, który potrafiłaby mnie podniecić tak szybko. Mógłbym się zatracić słuchając tylko twojego głosu.

- Żadnych kondomów w twoich džinsach?

Potrząsnął głową. Westchnęła.

- Cóż za cudowna zgodność - uśmiechnęła się nieznacznie. - Ale pamiętam z czasów, kiedy chodziłam na randki, że możemy robić to bezpiecznie, a ty nie będziesz musiał wziąć w rękę, żeby spokojnie przespać noc.

Roześmiał się krótko.

- Gdyby to była inna kobieta, może bym się tym i zadowolił.

- Ale nie masz takiego zamiaru? Pokręcił głową.

- Dlaczego? Nie miałabym nic przeciwko temu. - Popatrzyła na niego z uśmiechem. - Chętnie bym się z tobą pobawiła.

Jego oddech był ciężki, przygnieciony.

- Całkiem mnie dobijasz. Nie ufam sobie i wiem, że będę chciał cię uwieść, gdy tylko dotkniesz moich spodni. To po pierwsze.

- Nie martw się. Nie stracę... - Jej słowa gdzieś odpłynęły, gdy uświadomiła sobie, że straciła kontrolę, i to po zwykłym pocałunku. Gdyby dalej napierał, Serena oddałaby mu się bez reszty, nie zważając na konsekwencje. Jej oddech był szybki, świszczący. - Dobrze. Masz rację. Nie możemy ufać samym sobie. - Rzuciła mu bezradne spojrzenie. - Chcę, żebyś wiedział, że zachowuję się jak nie ja.

Uśmiechnął się, mimo że czuł narastające pożądanie, a każde uderzenie serca sprawiało ból, sprawiało, że pragnął wziąć to, co oferowała, tu i teraz, zanim Serena się rozmyśli.

- Jasne, że to ty.

- Nie wiem, jak ci to wyznać, żeby nie zwiększać twojej i tak sporej arogancji, ale jeszcze żaden mężczyzna nie podniecił mnie samym pocałunkiem. Owszem, zdarzało się, że któryś mnie zaciekał, a parę razy nawet zaintrygował, ale nigdy nie było dzwonów, gwizdów i rakiet.

Wyszczrzył zęby w bardzo męskim uśmiechu.

- Rakiet? Ach tak.

- Będziesz w tej kwestii nieznośny, prawda?

- Nie. - Chwycił końce jej szala, otarł nimi swoje usta i przyciągnął do siebie Serenę. - Będę taki łatwy, że nawet nie poczujesz, co cię uderzyło. Chodź.

- Erik?

- Kondomy w mojej sypialni. Powinniśmy zdążyć.

Dotarli do drzwi sypialni, gdzie ich dobre intencje zderzyły się z pożądaniem, które rozgorzało w obojgu tak nieoczekiwanie. Serena potknęła się i zaraz przywarła do ciała Erika z zapamiętaniem.

- Erik, czy mogę...?
- Tak - przerwał.
- Przecież nie wiesz, o co mam zamiar zapytać.
- Nie dbam o to, jeśli pozwolisz mi...

Nie dokończył. Nie był w stanie. Wtopili się w siebie ustami. Serena ramionami obejmowała szyję Erika, jej nogi oplatały go w pasie. Śmiejąc się, odwzajemniał jej pocałunki, mocno i głęboko, bo tak pragnęli oboje. Położył ręce na biodrach Sereny i przyciągnął ją do siebie jeszcze mocniej, wpijając palce w jej ciało. Wydała jakiś nieartykułowany dźwięk, starając się zbliżyć do niego jeszcze bardziej, maksymalnie, dosłownie wejść mu pod skórę.

Przepełniony triumfalnym uczuciem, nie podobnym do niczego, czego do tej pory doświadczył Erik zaniósł Serenę do łóżka. Położył ją na narzucie, prostopadle do wezglowia, ale ona nadal go nie puszczała. Z trudem utrzymując się na nogach i czując, że od gwałtownego bicia serca kręci mu się w głowie, sięgnął ręką do szuflady przy łóżku, a drugą wyciągnął penisa. Spragnione palce Sereny pomagały, ale też przeszkadzały, lecz mimo że czuł je przez prezerwatywę, nie miał powodów do narzekania.

Kilkoma szybkimi ruchami ściągnął jej dzinsy i bieliznę. O własnej nawet nie pomyślał - oboje byli tak podnieceni, że pragnęli jedynie spełnienia. Stanąwszy przy łóżku, między jej udami, zachował dość kontroli, by sprawdzić jej gotowość wygłodniałymi, czułymi palcami. Pulsujące ciepło jej reakcji paliło ich oboje. Jęknął i owinął swe biodra nogami Sereny. Uniosła się ku niemu, poddając się pożądaniu Erika i domagając się, by ją wypełnił.

Trzepotała rzęsami, kiedy brał ją w posiadanie długimi, mocnymi pchnięciami. Spod półprzymkniętych powiek obserwowała jego zmrużone oczy, napięcie na jego twarzy. Czuła też energię jego bioder pod swoimi stopami. Próbowwała się uśmiechnąć, próbowała wypowiedzieć jego imię, choćby zaczerpnąć powietrza, ale to było niemożliwe. Ciało już do niej nie należało. Należało do czegoś nieznanego, niewiarygodnego, niecierpiącego zwłoki.

Działając instynktownie, zdjęła szal, zarzuciła go Erikowi na szyję i przyciągnęła go do siebie bliżej. Jego pocałunek wlewał się w nią jak woda do ognia. Nagle przeszył ją spazm; czuła przyptyw ekstazy, nieoczekiwanej i przytłaczającej równie mocno jak sama namiętność.

Wyczuł jej pierwsze skurcze i przestał się kontrolować. Po prostu wbił się w Serenę i doświadczył takiego orgazmu, że, całkowicie wyczerpany i drżący, zastygł nad nią, wsparty na rękach. Ciężko dysząc, walczył ze sobą, żeby nie wsunąć się w nią jeszcze raz i jeszcze raz, mocniej i głębiej, aż znowu przywiedzie ją na skraj, wpadnie za nią do świata czystego ognia.

Jak przez mgłę, uświadomił sobie, że się porusza, i to od jakiegoś czasu, że porusza się powoli i dogłębnie, zdecydowanie, a ona odpowiada mu w tym samym zmysłowym rytmie, podnosi się ku niemu, przyciąga do siebie, zaciskając wokół niego aksamitną obręcz pożądania, wije się, gładka i słodka, drży i miota się dziko. Podążał za nią i razem z nią, rzucał się w czerwone zapomnienie, jakby odkąd spijali rozkosz z połączonych ciał, minęło tysiąc lat, a nie kilka sekund.

Ochryple wykrzykując jej imię, padł wreszcie na łóżko i pociągnął Serenę za sobą jak koc. Przykryła go płynnym ruchem, zupełnie wyczerpana, jeszcze drżąca od spazmów rozkoszy, które wciąż jeszcze przeszywały ją nieoczekiwanie. Przekręcając się na bok, chwycił jedną ręką róg prześcieradła nakrywając ich oboje.

Obudzili się w środku nocy, rozgrzani, wtuleni w siebie. Wcześniej Erik zdjął z nich obojga całe ubranie, zostawiając tylko szal, którego materiał wzmagął rozkosz. Wszeptał coś i przysunął do siebie Serenę jeszcze bardziej. Wtulając nos w jego szorstki policzek, drżąc z rozkoszy, ilekroć szal muskał jej piersi, delectowała się smakiem jego ciała i przesuwiała tak, by zrobić więcej miejsca między nogami. Pocałował łagodnie jej ramię. Nie rozmawiali ze sobą, ponieważ nie mieli do powiedzenia niczego, co pomogłoby im zrozumieć czy opisać błogość, łatwość i zdumiewającą naturalność bycia razem.

Potem znów zapragnęli siebie nawzajem. Tęsknie i namiętnie, zatopili się w sobie, dając i biorąc na przemian. Tym razem wszystko odbywało powoli. Tym razem delectowali się bliskością.

Tym razem kolorowe cienie przeplatały się, płynęły razem i leczyły głód trwający od tysiąca lat.

Rozdział 41

Erik ocknął się bez budzika i stwierdził z lekką zazdrością, że Serena smacznie śpi. Cicho stęknąwszy, usiadł tak, żeby widzieć swojego laptopa. Choć ekran był przyciemniony, nie uruchomił się wygaszacz, co oznaczało, że przyszła wiadomość z Rarities. Była to ważna wiadomość, ale nie priorytetowa, inaczej komputer wydawałby dźwięki przypominające klakson, póki Erik nie wyłączyłby tego cholerstwa.

Nie zapalając światła, co mogłoby zaalarmować faceta, który miał nocną zmianę na ulicy, Erik wygładził koniec szala, który przywarł do jego policzka, delikatnie pocałował tkaninę i położył na szyi Sereny. Po cichu zamknął komputer, odłączył od sieci i zaniósł do trzeciej sypialni. Między bliźniaczymi łózkami paliła się nocna lampka, miła pamiątka po ostatniej wizycie siostrzeńca, który akurat przechodził okres, w którym dzieci boją się ciemności.

Gdy tylko uruchomił komputer, na ekranie pokazał się odsyłacz. Erik wszedł na stronę i znalazł się w pliku, który zostawiła mu sekcja badań Rarities. Zeskanował pochodzenie swoich kart z Księgi Uczonych, a także karty z różnych innych źródeł, które już kiedyś analizował. Kliknięciem myszy uzyskał schematyczną prezentację informacji, począwszy od najświeższej transakcji przez kolejne lata wstecz. Pochodzenie dwóch z tych kart prześledzono aż do 1939 roku, a większość pozostałych - do lat czterdziestych. Niestety, wiele z nich wróciło do drobnych handlarzy, którzy zbankrutowali iw latach sześćdziesiątych sprzedawali swoje towary innym przedsiębiorcom dosłownie za bezcen.

Trzy z kart - te same, na których zbadanie od lat nie był w stanie otrzymać zezwolenia - były w posiadaniu doradcy od duchowości a la New Age i finansów, mieszkającego w Sedonie, w stanie Arizona. Przed sześciu laty, kiedy Erik skontaktował się z mnichem - przywódcą, guru, doradcą, przewodnikiem, jak go zgodnie z modą tytułowano, pytając o pochodzenie tych stron, mężczyzna odparł najzupełniej serio, że przybyły do niego bezpośrednio z Pierwszego Ognia, a zatem pytania dotyczące tego, gdzie i kiedy nabył owe święte przedmioty, nie mają najmniejszego sensu; karty były cudem, a nie czymś, co wyprodukował człowiek i co może być kupowane albo sprzedawane.

Chociaż Erik co rok próbował coś od niego wydobyć, naczelny guru nie zmieniał swojej wersji.

Erik nacisnął odsyłacz z napisem „więcej” i wszedł na stronę, która podawała mu rozszerzoną historię arkuszy. Wkrótce odkrył, że na kolejną rozmowę z Wielkim Ziółolubem raczej się nie zanosi. Guru prawie rok temu popełnił samobójstwo, podpalając się w swoim sanktuarium. Kiedy ugaszono pożar, w sanktuarium panował totalny nieład. Po świętych złotych przedmiotach zostały kałuże, a po cudownych kartach - popiół. Pozbawiona opieki guru i założycielskiego cudu kart z manuskryptu - kart, co do których Erik był pewien, że pochodzą z Księgi Uczonych, a nie z Pierwszego Ognia - sekta rozproszyła się w poszukiwaniu następnej ścieżki do mądrości, szczęścia i życia wiecznego.

Erik poczuł niemiły skurcz w żołądku. Zrobiło mu się zimno. Tłumaczył sobie, że przecież ludzie codziennie umierają, wielu ginie w pożarach, a spora część posiadała jakieś cenne przedmioty.

Powtarzał to sobie bez przerwy, ale dochodził nieodmiennie do tego samego wniosku, który wywoływał u niego zimne dreszcze.

Marszcząc brwi, skupił uwagę na ekranie i przewinął stronę. Losy karty numer 6 - jeszcze jednej, jakiej dotąd nie mógł zbadać - były wyjątkowo ciekawe. Młoda entuzjastka, Regina Jones, kupiła palimpsest przed ponad pięćdziesięciu laty. Od tamtego czasu przechodził z rąk do rąk, kolejno sprzedawany i odsprzedawany. Ponieważ miniatury nałożone na tekst nie wyróżniały się niczym szczególnym, był to przedmiot, który był regularnie „wymazywany” z chwili, gdy inna kolekcja stawała się obszerniejsza i bardziej ekskluzywna. Często tego rodzaju karty wracały do pierwszego domu aukcyjnego, gdzie były ponownie sprzedawane. Obecnie posiadaczką tej karty była znowu pani Jones, zapewne z powodu pewnego sentymentu.

- Alleluja! - odetchnął. - A teraz, pani Jones, sprawdźmy, czy wciąż jeszcze pani prowadzi sklepik Medieval Melange w Chicago, czy może przeniosła się pani w jakieś cieplejsze miejsce.

Kliknął na odsyłacz z napisem „więcej”. Pani Regina rzeczywiście przeniosła się w cieplejsze miejsce szesnaście lat temu, konkretnie na Florydę. W zeszłym roku zginęła w swoim sklepie. Specjaliści od podpałek orzekli, że był to typowy pożar obliczony na wyłudzenie pieniędzy z ubezpieczenia, ale coś poszło nie tak. Obiekt

handlowy, w którym mieścił się jej sklep, tracił pieniądze, ktoś podpalił go ze względu na polisę, a pani Jones miała to nieszczęście, że akurat w tym czasie robiła w swoim sklepie wieczorny remanent.

Erik uświadomił sobie, że ma zaciśnięte zęby, a ramiona napięte od stresu. Nie musiał się nawet zastanawiać, dlaczego. Miał przed oczami bardzo nieładny wzór i nie mógł go dłużej ignorować: posiadanie arkuszy z Księgi Uczonych przynosiło pecha, zwłaszcza w ostatnim roku. Troje ludzi zginęło w płomieniach: Ellis Weaver, Wielki Ziółolub i pani Jones.

To mógł być zwykły zbieg okoliczności.

Jasne. A węże lubiły czytać Szekspira.

Kliknął klawisz „opcje” i poukładał dane na nowo według częstotliwości, z jaką były wymieniane pewne nazwy. Żadnych niespodzianek. House of Warrick, Sotheby's i Christie's znajdowały się na samym szczycie listy. Natomiast zaskakujące, że niemal równie często był wymieniany niejaki D.J. Rubin. Dopiero w ciągu ostatnich dziesięciu lat inni handlarze zaczęli się pojawiać w tych danych z częstotliwością zasługującą na odrobinę uwagi. Internet naprawdę wpłynął na zmianę tradycyjnych praktyk aukcyjnych.

Erik wpisał na listę trzy nazwiska i odesłał ją do Rarities z prośbą o umówienie tych osób na rozmowy. Potem jeszcze raz kliknął na odsyłacz do D.J. Rubina i szybko czytał informacje. D.J. Rubin specjalizował się w handlu starzyzną i skupował za gotówkę towar innych handlarzy. Nie miał tej gotówki zbyt wiele, ale ci, którzy sprzedawali mu rzeczy, byli bankrutami i chętnie pozbywali się wszystkiego, co mogli jakoś upchnąć. D.J. Rubin nie kupował niczego ani nikogo od bardzo, bardzo dawna. Zmarł w 1938 roku na atak serca. Jego towar został rozgrabiony przez innych handlarzy, włącznie z House of Warrick, firmę, która w tamtych czasach nie mogła sobie pozwolić na przebieranie w klientach. Jak wiele rodzinnych interesów, House of Warrick omal nie zwinęła żagli podczas Wielkiego Kryzysu. Ale Normanowi Warrickowi udało się wyprowadzić ją z zapaści: miał talent i nieomyłne oko, którym potrafił wyłowić autentyki z garażowej wyprzedaży.

Erik uśmiechnął się ponuro. To mogło tłumaczyć awersję Warricka do oszustów: całą swoją reputację oparł na umiejętności wyszukiwania przedmiotów autentycznych. Czyli że w kwestii

prawdziwości arkuszy Sereny z Księgi Uczonych dojdzie do prawdziwego starcia między fachowcami.

Im częściej Erik je oglądał, tym większej nabierał pewności, że są autentyczne.

Może stary Norman jednak stał się już zgrzybiały. A jeśli tak, House of Warrick czekały kłopoty. Garrison i Cleary będą musieli udobruchać patriarchę, zanim ten zbruka zawodową reputację Warricków serią głupich decyzji.

Lecz w tym momencie Warrick był najmniejszym problemem Erika. Pracując szybko, ale nie pomijając niczego, znowu przejrzał dane, zmienił ich układ, a potem przetasował je jeszcze raz, za każdym razem stosując inne kryterium. Nic z tego, co widział, nie zmieniło jego opinii.

Shane Tannahill miał rację. Wokół kart z Księgi Uczonych działo się coś niedobrego.

Przez chwilę Erik siedział spokojnie, rozważając w myślach rozmaite scenariusze z szybkością komputera w departamencie obrony. Bez względu na to, jak podchodził do problemu własnej osoby, Sereny, nieznanego mordercy lub morderców oraz Księgi Uczonych, wniosek był zawsze ten sam.

Nie może ani na chwilę spuszczać z oka Sereny.

I kropka.

Wziął do ręki swój aparat i zadzwonił na numer Lapstrake'a. Odebrał po pierwszym dzwonku.

- Co jest, Eriku?

- Sprawdzam „ogon”. Czy to Zły Billy?

- Tak. Zmienili się ze współnikiem jakąś godzinę temu. To okropne pracować tylko we dwóch. Osiem godzin na zmianie, osiem wolnych, osiem na zmianie i tak w kółko aż do końca. Założę się, że już ich zmęczyło sikanie do rurek.

- Ach, to wspaniałe życie prywatnego detektywa.

Dyżurujący na ulicy Lapstrake prychnął, przeciągnął się i zrobił kilka kroków w jednym z niewyróżniających się niczym samochodów dostawczych, których Rarities często używała podczas obserwacji. Akurat ten reklamował się jako wóz do wynajęcia, solidny i właściwie wyceniony. Lapstrake wyjrzał przez judasza na tyłach samochodu.

- Żadne światła się u ciebie nie świecą. Czołgasz się tam po ciemku?

Tylko przez kilku minut. Potem zobaczysz dużo świateł. Czas na chiński alarm przeciwpożarowy? - zagadnął Lapstrake sardonicznie.

- Niezupełnie. Zabieram Serenę na szczyt góry, żeby mogła zobaczyć wschód słońca.

Lapstrake jęknął.

- A to mamy fart. Jak blisko ciebie mam pracować?

- Nie musisz iść na wyprawę. Po prostu daj mi znać, czy śledzi mnie więcej niż jeden człowiek. Jeśli tak, zlikwiduj ich po cichu, ale dopilnuj, żeby Zły Billy trzymał się mnie.

- Po cichu, co? Ile mam czasu?

- Pół godziny, jeśli będziesz miał szczęście. Dwadzieścia minut, jeśli ci go zabraknie. Zadzwoń do mnie, jeśli napotkasz jakieś problemy.

- Jeśli co napotkam? - odparował Lapstrake i rozłączył się. Miał mnóstwo roboty i niewiele czasu na jej wykonanie.

Siedząc w zaciemnionym domu, Erik nacisnął kciukiem klawisz z numerem 7 na swoim aparacie. Natychmiast drugi najbardziej prywatny numer Nialla poszedł w eter.

- Lepiej, żeby to była dobra wiadomość, chłopie - zabrzmiała gburowata formułka powitalna Nialla.

- Ktoś pali ludzi, którzy mają arkusze z Księgi Uczonych.

Niall mruknął pod nosem coś niezrozumiałego. Erik nie poprosił o tłumaczenie.

- Zwięźle - zażądał Niall.

- Właśnie przekazałem.

- Więcej danych.

- W ciągu ostatniego roku zginęło troje ludzi związanych z Księgą Uczonych. Babka Sereny w południowej Kalifornii, guru z Sedony w północnej Arizonie i pani Regina Jones z Florydy. Wszystkie zgony nastąpiły w wyniku pożarów. Raz nazwano to przypadkowym aktem przemocy, za drugim razem mówiono o samobójstwie, za trzecim o podpaleniu dla wyłudzenia pieniędzy z polisy.

- Cholera - powiedział Niall zjadliwym tonem. - Coś jeszcze?

- Żaden z arkuszy nie ma udowodnionego pochodzenia starszego niż 1939 rok. Jeśli taki istnieje, to jeszcze go nie znaleźliśmy. Przeszukiwanie danych sprzed lat sześćdziesiątych idzie bardzo

wolno, ponieważ większość z nich istnieje wyłącznie na mikrofilmach.

Niall chrząknął.

- To problem Dany. Chcę, żebyś zjawił się razem z Sereną w głównej siedzibie Rarities. Nasz samolot będzie czekał na lotnisku w Palm Springs za dwie godziny.

- A niech sobie czeka. Serena i ja wybieramy się na małą wycieczkę, zanim się wycofamy.

W Los Angeles Niall patrzył na telefon tak, jakby aparat właśnie go polizał.

- Co takiego?

- Wybieramy się na spacer.

- Akurat, jasna żesz mać! Daję ci bezpośredni rozkaz...

- Moim szefem jest Dana - przerwał mu Erik. - Tę sprawę zostawiła na mojej głowie.

- Chłopie, jeśli to spieprzysz, to osobiście wręczę ci twoją głowę.

- W porządku.

Erik nie powiedział nic więcej. Doszedł do wniosku, że szef nie będzie mógł usłyszeć, że coś spieprzył, bo prawdopodobnie wtedy będzie poza zasięgiem Nialla. Czyli martwy. Erik niespecjalnie się przejmował taką ewentualnością. Kiedy zostawi za sobą cywilizację, będzie miał najstarszego i najlepszego sojusznika: okoliczny teren.

- Budzę Danę - powiedział stanowczo Niall.

- Pozwól jej pospać. Cokolwiek powie, będzie bez różnicy. Zamierzam pogadać ze Złym Billym i zamierzam to zrobić w takim miejscu, w którym on będzie wiedział, że musi słuchać. Serena idzie ze mną. Dopóki to się nie skończy, ani na moment nie spuszczę jej z oka. Sprawa nie podlega negocjacjom.

- Dla tej sprawy jesteś gotów podrzeć swój kontrakt? - zapytał Niall.

- Potraktuj go jak pieprzone konfetti. Możesz sprowadzić kogoś innego, ale od Sereny nie spodziewaj się współpracy. Ona ufa mi jak staremu przyjacielowi. Bardzo staremu.

Trudno mu było nawet sobie wyobrazić, jak bardzo stara jest ich przyjaźń.

- Chodzi o coś więcej niż manuskrypt, prawda? - powiedział w końcu Niall.

- Tak. Chciałbym tylko wiedzieć, co to takiego.

- Dowiedz się, chłopie. Samolot będzie czekał, gdy wrócicie ze swego porannego spacerku. I przestaw swój aparat na GPS, żebyśmy wiedzieli, gdzie szukać twojego ciała.

- Czy to oznacza, że nie zostałem wylany?

- Pod warunkiem, że nie zginiesz, zanim sam zdążę cię zatłuc.

Niall przerwał połączenie uprzedzając zamiar Erika.

Erik głośno wyraził niesmak, a potem spojrzął na zegarek. Miał trochę czasu do rozpoczęcia swojej zwariowanej wyprawy. Wystarczająco dużo, by zeskanować karty Sereny do komputera i przesłać je Rarities.

Skoro już miał się tym zająć, to pomyślał, że przyjrzy się uważniej znakom zbiorczym. Było w nich coś, co nie dawało mu spokoju. Istniał jakiś wzór, który nieświadomie wyczuwał, wzór, który wykraczał poza naturalną u artysty ewolucję stylu na przestrzeni lat, których potrzebował, żeby skończyć Księgę Uczonych. W każdym razie Erik tak go zapamiętał.

Jeśli chodziło o to, który Erik pamiętał ów wzór, to Erik North naprawdę wolał tego nie wiedzieć.

Rozdział 42

Palm Springs, sobota, przed świtem

Serena nie mogła już dłużej ignorować hałaśliwie spływającej wody. Zamrugła nieprzytomnie oczami, próbując się zorientować, gdzie właściwie jest. Kiedy to sobie przypomniała, gwałtownie usiadła.

Pan Koneser wczepiał się w kołdrę i leżące pod nią rozgrzane ciało.

- Eriku! - zawołała, krzywiąc się z bólu i głaszcząc kota, żeby schował pazurki. - Gdzie jesteś?

- Proszę! Chwalmy Pana - odparł Erik z sąsiadującej z pokojem łazienki. - Więc ona jednak żyje. - Podszedł do drzwi i popatrzył na Serenę oczami, które błyszczały jak złote monety. - Już zaczynałem się zastanawiać, czy nie zabiłem cię przy czwartym razie. A może to był piąty raz?

Był świeżo umyty i ogolony. Miał na sobie dżinsy, flanelową koszulę i lekką kurtkę. Kiedy na niego patrzyła, wezbrały w niej wspomnienia i nowa fala pożądania.

- Chcesz spróbować jeszcze raz? - zapytała, zanim zdążyła pomyśleć.

- Kurczę, tak.

Czekała. On jednak nie zrobił nic, tylko patrzył na nią jak mężczyzna, który przypomina sobie, jak cudownie smakowała kobieta.

- Niestety - stwierdził - będziesz potrzebowała sił do czegoś innego.

- A ty? Czego ty potrzebujesz?

- Dobrze wiesz, czego potrzebuję, ale na razie zadowolę się butami do marszu.

- Butami do marszu - mruknęła do siebie, dopiero teraz uświadomiwszy sobie, że Erik był w skarpetkach. - Że też akurat takiej rzeczy można potrzebować, zanim wszędzie słońce. Przypuszczam, że nasz macho podróżnik zamierza wlec się jak ślepiec na górę bladym świtem, zamiast spać jak spałby każdy normalny człowiek po takiej nocy jak nasza... Puść mnie, Koneser!

- Co? Nie słyszę cię - powiedział Erik, ale dyskretnie rozbawiony głos sugerował coś zupełnie innego. - Lepiej już wstań, kochanie. Słońce nie będzie czekało ze wschodem całą wieczność.

- Wstanę, gdy tylko ściągnę tę wredną, czarną, włochatą kulę z brzucha. Tym razem Erik nawet nie próbował powstrzymać się od śmiechu.

Najwyraźniej Serena nie zaliczała się do skowronków. Kiedy się ją budziło, wyglądała na równie niezadowoloną jak jej kot. Nie żeby Erik nie chciał wpełznąć do niej do łóżka. Prawdę mówiąc, gdyby została tam jeszcze dziesięć sekund, zapewne nie wytrzymałby i położył się obok.

Serena zepchnęła kota, odrzuciła pościel i wyskoczyła z łóżka, zanim nad Erikiem zdążył zapanować zły bliźniak. Poczłapała do niego; była zbyt zaspana, by odczuwać zakłopotanie z powodu własnej nagości, którą osłaniał tylko zarzucony na szyję szal.

Erik aż syknął z wrażenia. Włosy Sereny tworzyły ognistą chmurę, skóra przypominała bladokremowy atlas, piersi były zwieńczone różowiutkimi koniuszkami, a między nogami widać było rudy płomień.

- Do diabła, jaka jesteś piękna - powiedział ochryple.

Popatrzyła na niego z kompletnym niedowierzaniem i ściągnęła z oparcia krzesła swoją koszulę nocną. „Koszula” była w rzeczywistości męską koszulą w rozmiarze XXL, uszytą z jedwabiu w intensywnym odcieniu ciemnego błękitu. Może nie nadawała się na rozpoczęcie zmysłowej gry seksualnej, ale pod względem wygody i miękkości biła na głowę każdą kosztowną bielizną, jaką kiedykolwiek miała na sobie.

Kiedy ją zobaczył owiniętą w luźne, lecz przywierające do ciała fałdy jedwabiu, spływającą na piersi kaskadę rudych włosów, magiczny szal otulający jej szyję, omal nie jęknął.

Uniosła ręce i odgarnęła włosy z twarzy. Jej warkocz rozplótł się tej nocy, co w praktyce oznaczało, że wyglądała, jakby uczesał ją huragan.

Dla ścisłości, huragan imieniem Erik.

- Gdybym wiedziała, że taki z ciebie skowronek - powiedziała dobitnie, wpatrując się w niego - poszłabym do łóżka wcześniej.

- Spróbujemy dziś wieczorem.

- Pójdziemy wcześniej spać? - mruknęła.

- Nie. Pójdziemy wcześniej do łóżka.

Uśmiechnęła się mimo porannej irytacji. Teraz, kiedy już trochę oprzytomniała, poczuła się naprawdę dobrze. Tu i ówdzie była trochę zeszywniała, ale czuła, jak rozsadza ją energia, i była przyjaźnie

nastawiona do świata. A szal wydawał się wyjątkowo miękki i elastyczny.

- Wyglądasz na zadowoloną - stwierdził.

- Tak się właśnie czuję - odparła przeciągając się.

Erik odwrócił wzrok, recytując w myśli listę powodów, dla których nie mógł jej zabrać z powrotem do łóżka. Albo na podłogę. Albo dokądkolwiek. Nieubłagana, nieroztropna żądza przejawiana przez jego własne ciało zdumiewała go. Po ostatniej nocy powinien z erekcją mieć większe kłopoty niż nieboszczyk.

Niestety, to szczęście nie było mu dane.

- Gdzie jest teczka? - zapytał bezceremonialnie.

- Dolna szuflada dużej serwantki, tam gdzie Koneser nie jest w stanie sięgnąć swoimi zabójczo ostrymi pazurami.

Przerażenie na twarzy Erika dobrze ilustrowało jego uczucia.

- Nie zrobiłby tego.

- Chyba nigdy nie miałeś kota...

- Zrobiłby to?

- Tak, gdyby mu to przyszło do głowy. Jako teoretycznie mądrzejsza połowa naszego dynamicznego duetu, muszę dbać, by Koneser nie miał sposobności robienia czegoś, czego robić nie powinien.

Erik popatrzył na walającą się dookoła przedzę i uśmiechnął się, bo przypomniał sobie, jak nieoczekiwanie miękka mu się wydała, gdy poczuł ją pod gołymi plecami.

- A co z twoimi materiałami do tkania? Koneser nie rzuca się na nie?

- Z początku mieliśmy z tym trochę problemów. - Serena powiedziała ironicznie.

- Założę się. Kto wygrał?

- Oboje. Koneser postanowił, że będzie się trzymał z dala od mojej przedzy i czółenek, a wtedy wolno mu będzie wchodzić do domu, zamiast spędzać dwadzieścia cztery godziny na dobę na dworze. - Ziewnęła, chwyciła swoje włosy oburącz, zwinęła w luźny węzeł na karku, narzuciła na nie szal i upięła w turban. Zaczynała traktować wszechstronność i przydatność tej tkaniny jak coś naturalnego, jakby szal był częścią jej ciała. - Czy już skończyłeś oglądać karty? I dlatego potrzebujesz teczki?

- Nawet nie zacząłem ich badać. Twoje iluminowane stronice są zamknięte w klimatyzowanym sejfie wraz z paroma innymi rzeczami - powiedział. Do tych paru innych rzeczy nie zaliczał się już pistolet. Erik wyjął go stamtąd i włożył do kabury na plecach, tuż obok aparatu, którego używał do porozumiewania się z Rarities. - Zamierzam użyć pustej teczki jako przynęty.

Chłodne wyczekiwanie w jego oczach sprawiło, że Serena strząsnęła z siebie resztki senności.

- Przynęty?

- Ubierz się, kochanie. Ruszamy na pieszą wycieczkę.

Nie dodał, że ona też jest częścią przynęty. Tego się właśnie obawiał. I dlatego nie zamierzał zostawiać jej w domu samej, bez względu na zainstalowany u niego nowoczesny system alarmowy. System przydawał się o tyle, o ile jego uruchomienie wywoływało reakcję o określonej prędkości i jakości. Bez właściciela domu system alarmowy był po prostu kosztownym sposobem płoszenia niepożądanych gości.

Erik nie uważał, że Lapstrake nie jest w stanie zapewnić Serenie bezpieczeństwa.

No, może miał co do tego pewne wątpliwości. Kiedy zapoznał się z plikami, uświadomił sobie, że babka Sereny wcale nie była paranoiczką. Po prostu lepiej niż on zdawała sobie sprawę, jaka jest stawka w tej grze.

- Pieszą wycieczkę? - powtórzyła Serena. - Żartujesz. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Nie żartujesz.

- Ta druga opcja jest prawdziwa.

Mimo obecności Lapstrake'a siedzącego w zaparkowanym na ulicy wozie i obserwującego gościa, który ich obserwował, Erik nie chciał ani na chwilę tracić Sereny z oczu. Nawet gdyby sam Niall pełnił dyżur na ulicy, Erik nie zostawiłby Sereny w domu. Nie żeby nie ufał Niallowi. Wręcz odwrotnie. Pozwoliłby Niallowi - a gdyby przyszło co do czego, również Lapstrake'owi - ochraniać własne siostry.

Ale nie Serenę.

To nie było racjonalne. Nie było też normalne. Lecz Erik nie mógł w sobie zwalczyć tego uczucia. Po prostu było. Erika nurtowało ponure przeświadczenie, że jeśli on i Serena znowu się rozdziela, stanie się coś nieodwołalnego.

Zresztą odkąd zobaczył oczy Sereny, fiołkowe oczy czarodziejki z liczącego tysiąc lat manuskrytu, które odżyły, nic nie było racjonalne. Niall nie musiał mu mówić, jak nieracjonalne jest jego zachowanie. Sam to wiedział, godził się z tym. Ale to niczego nie zmieniało. Nie zamierzał się z nią rozłączać.

Koniec dyskusji.

- A jeśli nie chcę iść na tę wycieczkę? - zapytała Serena, odwracając się.

- Będę ci współczuł przy każdym kroku.

- Och, zaraz serce mi pęknie z wrażenia. - Otworzyła walizkę, rzuciła mu nieodgadnione spojrzenie i powiedziała: - Wezmę prysznic i ubiorę się, a ty zaprowadź Konesera w jakieś piaszczyste miejsce na swoim dziedzińcu. On uznaje tylko taką odmianę kuwety.

- A jeśli ucieknie?

- Nigdy nie uciekał, a podróżuje ze mną, kiedy muszę jechać do Los Angeles albo San Francisco. Po prostu wie, do czego służy postój przy autostradzie.

- Pojąłem.

Erik chwycił zaspany kłębek czarnego futra, wepchnął sobie pod ramię i udał się na dziedziniec. Koneser wydał dźwięk, który brzmiał jak pytanie albo pogróżka. Erik uznał, że bardziej prawdopodobna jest ta pierwsza możliwość.

- Synek, zabieram cię do takiej góry piasku, że nie uwierzysz własnym oczom. Najlepszej, jaką będziesz miał, dopóki nie pójdziesz do tej Wielkiej Kuwety w niebie.

Rozdział 43

Okolice Palm Springs, sobota, świt

Eriku, zaczekaj! Wpadł mi kamyk do buta.

Przystanął i obejrzał się na Serenę. Robił to zresztą co kilka kroków, odkąd zaczęli iść w górę stromym, suchym szlakiem, który odchodził od równie stromej i równie suchej ścieżki, kończącej się w miejscu, gdzie zaczynał się szlak. Rzeźkie powietrze, pachniało chaparralem i było tak przejrzyste, że wszystkie kontury rysowały się tak wyraźnie, jak gdyby je wycięto nożem. Słońce zaczęło się wynurzać na wschodnim horyzoncie, pustynię przeszyły dwa długie promienie czerwonego i ciemnozłotego światła. W dole, na równinach jeszcze paliły się uliczne latarnie, a szyldy kawiarni połyskiwały zimnymi, neonowymi tęczkami, wabiąc zaspanych ludzi, by przyszli na filiżankę kawy i słodkie ciasteczko.

Erik i Serena pokonali może dwieście metrów wzniesienia. Nieco niżej podążał za nimi cień mężczyzny, który zatrzymywał się i ruszał w drogę w tych samych momentach, co oni. Jednak w przeciwieństwie do nich nie korzystał z latarki, żeby znajdować właściwą drogę. Erik doszedł do wniosku, że zapewne używa jakichś specjalnych okularów z noktowizorem, i właśnie dlatego kusilo go, żeby od czasu do czasu „przypadkowo” oślepić go światłem latarki. Gdy nosiło się okulary powiększające, nawet odległy snop światła mógł całkowicie oślepić.

Jednakże nie uległ tej pokusie, ponieważ nie chciał zniechęcać „ogona”. Zły Billy miał wprawę w śledzeniu ludzi w mieście, a nie w pościgach na wiejskim terenie. Nie umiał instynktownie wykorzystać przewagi naturalnej osłony, nocnych cieni albo plam wzmacniającego światła czy ukształtowania terenu. Nie żeby był głupi. Nie był. Na otwartym terenie zawsze przystawał, bo tam jego ciemna sylwetka mogła zostać zauważona na tle jaśniejszego krajobrazu, a ilekroć wydawało mu się, że jest niewidoczny, nadrabiał stracony dystans.

Erik był pewien, że Zły Billy nie spuszcza z oka skórzanej teczki na dłużej niż kilkadziesiąt sekund. Ale to miało się zmienić z chwilą, gdy pokonają górski grzbiet. Wtedy Wallace zacznie się denerwować i robić wszystko szybciej. W takich sytuacjach nawet człowiek ostrożny popełniał błędy.

Erikowi jakoś nie wydawało się, by Zły Billy grzeszył nadmiarem ostrożności.

Podszedł do Sereny i chwycił ją za lewe przedramię.

- Oprzyj się na mnie mocno i wyjmij z buta kamyk.

Gdy tylko się do niej zbliżył, zaczęła mówić cicho; wcześniej zdążył jej powiedzieć, żeby nie szeptała, ponieważ szepty niosą się o wiele dalej niż niski, mamroczący głos.

- W dalszym ciągu za nami idzie? - zapytała, zdejmując but.

- Tak.

- Cholera. Ile jeszcze musimy iść?

- Myślałem, że lubisz piesze wycieczki.

- Nie wtedy, gdy czuję na plecach wzrok nieznajomego. Erik nie spierał się z nią. Sam czuł mrowienie w karku.

- Za następne czterysta metrów znajdziemy się w miejscu, które świetnie nadaje się na zasadzkę.

Zesztywniała.

- Mówiłeś, że będziesz ostrożny!

- Ciszej - mruknął. Urządzanie zasadzki wymaga ogromnej ostrożności. - Ale...

- Chodźmy - przerwał jej niecierpliwie. - Niedługo będzie musiał zdjąć okulary, niezależnie od tego, jak może je regulować. Wtedy przyjdzie kolej na nas. Nie chcę, żeby było zbyt jasno.

Ruszył szybciej. Serena szła za nim w odstępnie najwyżej dwóch kroków. Teczka wystawała z jego plecaka jak kawałek sklejk. Kiedy powiedziała, że teczka będzie niewidoczna w ciemności, więc jak ich cień będzie wiedział, że oni mają ją ze sobą, Erik wyrzekł tylko dwa słowa: „soczewki noktowizyjne”.

Serena żałowała, że zadała to pytanie. Odtąd na każdym kroku zastanawiała się, czy tamten facet patrzy na nią w zbliżeniu, czy rejestruje z cholerną dokładnością jej zmagania na szlaku w dzinsach, bluzie i sportowych butach. I, oczywiście, w szalu. Tylko dzięki temu szalowi nie zmarzła na kość. Z początku było jej tak zimno, że nabrała pewności, iż mężczyzna, który ich śledzi, jest w stanie policzyć krostki jej gęsiej skóry przez swoje zaawansowane technicznie okulary. Jednak rozgrzała się po przejściu półtora kilometra stromym szlakiem. Wkrótce miało jej być gorąco. Tam, gdzie padały promienie słońca, temperatura wzrastała o prawie dziesięć stopni.

Przez ostatnie kilkaset metrów znajdowali się na odsłoniętym terenie, wdrapując się pod górę stromą granią. Serena zastanawiała się, czy nie zdjąć bluzy i nie zawiązać jej na biodrach. Może wtedy nie

cierpłaby jej skóra za każdym razem, gdy pomyślała, że obcy gość w goglach gapi się na jej tyłek.

Zamiast tego przesunęła szal w taki sposób, że jego końce spływały jej teraz na plecy. Może nie zakrywały zbyt wiele, ale poczuła się lepiej. W tej chwili akceptowała wszystko, co poprawiało jej samopoczucie. Lubiła piesze wycieczki, ale zwykle trzymała się szlaku. Najwyraźniej Erik miał inne upodobania albo wybrał szlak, który mógłby się spodobać wyłącznie górskim kozicom.

Kiedy sunęła niemal na czworakach w stronę ostatniej, prawie pionowej skały, żwirowe kamyki przesuwają się pod jej stopami jak marmurowe kulki. Poślizgnąwszy się, chwyciła gałąź krzaku pachnącego jak cedr, i odzyskała równowagę. Przynajmniej na tej wysokości roślinność nie była kolczasta. Kiedy potknęła się pierwszy raz, omal nie upadła twarzą na kaktus.

Obejrzał się, kiedy usłyszał, że Serena cicho klnie.

- Potrzebujesz ręki?

- Dzięki. Mam dwie.

Uśmiechnął się, ale na użytek Złego Billy'ego - który coraz bardziej zostawał w tyle, może dlatego, że większa ilość światła skłaniała go do ostrożności, albo dlatego, że bolały go nogi - powiedział bardzo wyraźnie:

- Po drugiej stronie grani pójdziemy szybciej. Do jaskini będziemy mieć zaledwie półtora kilometra. I przestań się zamartwiać, kochanie. Karty będą tam bezpieczne, a my spróbujemy ustalić, co się dzieje.

- Mam nadzieję, że będą bezpieczne. - Nie było żadnej jaskini i Serena dobrze o tym wiedziała.

- Zaufaj mi.

- Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałeś. Erik roześmiał się.

Po chwili Serena również wybuchnęła śmiechem. Pomimo wczesnej godziny i tego, że byli śledzeni, dostrzegała dyskretne piękno świtu. Powietrze było rześkie, a jednocześnie miękkie jak jedwab. Wokół unosiły się subtelne, lecz intensywne zapachy. Ciepło bijące od nagranych skał, pasma chłodu w cieniu, żywiczna woń kruchych, łamliwych roślin, pył drobnutki jak puder - wszystko to dawało poczucie przestrzeni i nieskończoności. Przed nią góry czarne jak aksamit, wynurzały się z mroków nocy, ukazując fantastyczną różnorodność geometrii brył. Światło słońca ożywiało pejzaż: zmienne,

sprawiło, że delikatne ślady jaszczurek kreśliły w pyłe wyrazisty relief. Wiatr także żył własnym życiem, wschodził wraz ze słońcem, długie podmuchy przypominały westchnienia.

- Pięknie, prawda? - zagadnął cicho Erik.

Skinęła głową i pogładziła szal, który tak rozkosznie się wtulał w jej pulsującą szyję.

- Wschód słońca na pustyni przywodzi mi na myśl gobelin, w którym splecione są razem światło i czas, i życie. I śmierć. Śmierć zawsze istnieje, tuż za życiem, podkreśla je. - Starła się nie patrzeć na idącego za nimi mężczyznę. - Babcia uwielbiała wschód słońca. Często tkala całą noc tylko po to, by zobaczyć, jak pierwsze promyki świtu padają na jej warsztat tkacki. Nazywała to bożą iluminacją, cenniejszą niż złoto.

- A więc była podróżniczką świtu?

Serena nie musiała się odwracać, żeby zobaczyć uśmiech Erika. Wyczuwała to w jego głosie.

- Raczej podróżniczką nocy. Moja babka uwielbiała ciemność, uwielbiała ciszę.

- Ty nie. Ziewnęła.

- Od czasu do czasu jest świetnie. Ale kocham tysiące barw, które ukazuje słońce. Uwielbiam słoneczną spiekotę latem i cierpliwość nasion czekających na deszcz. Kocham śpiew ptaków, lot motyla i widnokrąg rozciągający się w promieniu stu kilkudziesięciu kilometrów.

- Kochasz pustynię i kropka. - Powiódł opuszką palca po jej uśmiechniętych ustach, potem lekko odsunął szal, by poczuć, jak jego pieczyta przyśpiesza bicie jej serca. Chciał czegoś więcej, o wiele więcej, ale pora i miejsca nie sprzyjały jego pragnieniom. - Chodźmy. Im prędzej na wzgórzu pogadam z tym klaunem, tym prędzej będziemy mogli rozpocząć poszukiwania pozostałej części Księgi Uczonych.

Wschodzące słońce padało na twarz Erika, jego oczy wyglądały teraz jak złociste kryształy, tak żywe, że Serenie zaparło dech w piersiach.

- Pozostałej części? - zapytała schrypniętym głosem. - Mówisz o kartach, które utraciła moja babka?

- I, mam nadzieję, o tych, których nie utraciła.

- Co masz na myśli?

- Zastanawiałem się nad tym listem, jaki ci zostawiła. - Wciąż myślał o kartach i nieodmiennie dochodził do jednego wniosku, którego nie mógł ani udowodnić, ani zignorować. Ściszył głos jeszcze bardziej, pochylając się tak mocno, że jego wargi muskały ucho Sereny. - Starła się dać ci do zrozumienia, że utraciła kilka kart, ale że wciąż ma większość księgi.

Serena wzięła głęboki oddech. Powietrze pachniało świtem, pustynią i mężczyzną.

- Dlaczego tak twierdzisz?

- Dziś wczesnym rankiem...

- Poprawka - przerwała ironicznie. - Późno zeszłej nocy. Wczesny poranek mamy teraz.

Uśmiechnął się.

- Jak uważasz. Mam świetny pomysł: chcę sprawdzić znaki zbiorcze i marginalia na duplikatach, które mam, i na twoich kartach. Sądzę, że Erik użył jako licznika czerwonych kropek w pieczęci na co czwartej stronie. Jeśli mam rację, twoja babka przekazała ci strony z początku, środka i końca księgi. To znaczy domyślam się, że to był koniec.

- Ile stron?

- Pierwotnie blisko sześćset.

Podniosła głowę tak gwałtownie, że omal nie uderzyła go w podbródek.

- Ale gdzie reszta? Dlaczego mi jej nie przekazała?

- Może nie była pewna, czy reszta księgi do ciebie dotrze.

- Morton Hingham nie miałby... cholera, czyżby ona naprawdę była paranoiczką?

- Biorąc pod uwagę, w jaki sposób zginęła, miała wszelkie powody, żeby tak się zachowywać.

Serena wzdrygnęła się. Starła się odsunąć myśl o śmierci babki w płomieniach.

- W takim razie reszta księgi została utracona.

- Nie. Nie, jeśli zrobisz to, co ci kazała. Myśl jak ona. Myśl intensywnie, Sereno. I szybko myśl tak, jakby od tego zależało twoje życie.

Nie czekając na odpowiedź, Erik odwrócił się i zaczął ostatni siedemdziesięciometrowy odcinek podejścia na grań. Serena wpatrywała się w niego, oparłszy ręce na biodrach. Sprawność, z jaką

pokonywał stromą, najeżoną głazami drogę, budziła w niej podziw, lecz także irytację.

- Chłopie, lepiej, że nie wiesz, co powiedziałyby moja babka, widząc, jak o świcie wspinam się z jakimś macho - mruknęła pod nosem. Co do ostatniej nocy... no cóż, jej babka urodziła przecież kiedyś dziecko, więc zapewne sporo wiedziała o fali namiętności i ekstazie, która umierała i odradzała się jak feniks.

Ale o tym Serena nie zamierzała rozmyślać. Nie teraz, gdy szedł za nimi uzbrojony w gadzety podglądacz. Przesunęła menażkę, która wierciła jej dziurę w biodrze, i ruszyła w górę. Wspinała się ciężko dysząc i chwytając każdej gałązki, która wydawała się pewniejsza. Jeszcze nie dotarli do zadrzewionej strefy, lecz niektóre krzewy były wyższe od przeciętnego baseballisty.

- Uważaj na podłoże - zawołał cicho Erik. - Dużo luźnych kamieni. Idź prawą stroną.

Ostatnie siedem metrów wspinaczki odbyła po prawie pionowej ścianie. Widziała, w których miejscach Erik wsuwa buty do szczelin, idąc po skosie zamiast wybrać bardziej naturalną trasę środkiem, która sprawiała wrażenie łatwiejszej. Wzięła głęboki oddech i ruszyła za nim, skręcając w prawo tak jak on. Nie była tak sprawna i nie miała tyle siły w górnych partiach ciała, by podciągać się samymi palcami albo zaciśniętymi pięściami, ale duża giętkość pozwalała jej znajdować inne metody forsowania stromizny.

Kiedy w końcu znalazła się na grani, zrozumiała, dlaczego nie poszedł prosto. Na środku klifu, tuż za krawędzią, znajdowało się, niewidoczne z dołu rumowisko usypane z kamieni najróżniejszych rozmiarów - od winogrona po kantalupe. Gdyby próbowała wspinać się tamtędy po obluzowanych kamieniach, prawdopodobnie spadłaby na skały.

- Nieźle ci poszło - stwierdził Erik z aprobatą, kiedy zsunąwszy się na drugą stronę znalazła się w jego ramionach. Niechętnie wypuścił ją z objęć, przy okazji udało mu się popieścić jej ciało. - Widzisz tamte głazy?

Serena wmawiała sobie, że brakuje jej tchu po uciążliwej wspinaczce. Do pewnego stopnia miała rację, chociaż ta hipoteza nie uwzględniała reakcji jej serca, ilekroć czuła na sobie dotyk rąk Erika.

- Głazy - powiedziała, zmuszając się do koncentracji na czymś innym niż zapach upału i męczyzny. Zwilżyła językiem wysuszone

wargi. Powtarzała sobie, że wcale nie ma ochoty go posmakować. Wcale a wcale. Przecież знаła smak spoczonej skóry. Słony. Wielkie mi co. A zatem dlaczego ślinka ciekła jej do ust? - Te duże skały dwadzieścia metrów dalej? - zagadnęła. - Które wyglądają jak ustawione przez pijanego olbrzyma?

- Tak. - Czuł jej zapach. Chciał spać więcej tej rozkoszy, i to tak bardzo, że sam był tym wstrząśnięty. - Jest tam wgłębienie, w którym można się ukryć.

Popatrzyła na głązy z powątpiewaniem.

- Może starczy tam miejsca dla królika.

- Ukryłem się tam kiedyś podczas burzy. Wejście jest po drugiej stronie. Uważaj na węże.

- Co zamierzasz zrobić?

- Zaczekać, aż Zły Billy pokona ostatnie kilka metrów.

- A potem?

- Coś wymyślę. - Erik zmrużył oczy. - Czy już posługiwałaś się bronią?

- Czy liczy się sztucer na króliki?

- A trafiłaś z niego w cokolwiek? Uniosła brew.

- Rzadko chybiałam. Babcia robiła naprawdę smaczny gulasz z królika. To była przyjemna odmiana po fasolce pinto i papryczkach jalapeno.

W porządku. - Wsunął rękę pod cienką kurtkę i z kabury na plecach wyciągnął pistolet kaliber 9 milimetrów. - Jest nieodbezpieczony - powiedział, wyciągając palec. - Przy pierwszym strzale trzeba dwukrotnie nacisnąć spust. Potem wystarczy raz.

Wzięła od niego broń, manipulując tak, by nie celować ani w niego, ani w siebie. Ten gest uspokoił Erika. Obserwował ją, jak kilkakrotnie odbezpiecza broń, żeby wyczuć mechanizm. Potem przypiął swój aparat do paska, który pożyczył Serenie - najpierw jednak musiał zrobić w nim nowe dziurki, ponieważ była o wiele szczuplejsza w talii.

- Już wpisałem tam prywatny numer Nialla - powiedział. - Jeśli coś pójdzie nie tak, naciśnij klawisz „rozmawiaj”, odbezpiecz broń i pozostań w ukryciu. Jeżeli Zły Billy okaże się na tyle głupi, że będzie cię szukał, strzel do niego. I strzelaj, póki nie da za wygraną albo póki nie zabraknie ci naboju. Nie musisz się hamować ani okazywać skrupułów. Będiesz walczyła o swoje życie z mordercą.

Otworzyła szeroko oczy, ale zaraz je zmrużyła, bo uświadomiła sobie to, czego jej nie powiedział: jeśli ktoś ją dopadnie, to po trupie Erika.

- Zatrzymaj pistolet - powiedziała sztywno.
- Mam znacznie lepszą broń.
- Co?
- Teren dookoła.

Zatrzepotała powiekami. Chciała zadać mnóstwo pytań i zgłosić dalsze obiekcje, ale zdawała sobie z sprawę, że nic nie mogło zmienić decyzji Erika ani zaistniałej sytuacji.

- Nie rób takiej smutnej miny - dodał z uśmiechem. - Zamierzam cały czas kontrolować sytuację ze Złym Billym. Ale jeśli mi się to nie uda... - Zacisnął wargi. Bez względu na to, co się stanie, zadba o to, żeby nie doznała obrażeń. - Niall powie, co masz robić.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, usłyszeli chrzęst żwiru po drugiej stronie grani. Wallace zbliżał się. Sądząc po hałasie, jaki robił, nie szło mu zbyt łatwo.

Erik znacząco spojrzał w stronę głązów.

Na twarzy Sereny odmalowało się niezadowolenie, ale nie protestowała. Nie było już czasu i dobrze o tym wiedziała. Dotarła do głązów, znalazła szczelinę i cisnęła w otwór garść kamyków, żeby sprawdzić, czy w mrocznym wgłębieniu nie ma węży. Natychmiast wsunęła się do środka i zaczęła w myślach korygować plan Erika.

Przede wszystkim, nie zamierzała siedzieć i ssać kciuka, gdy on będzie narażał swoje życie.

Rozdział 44

Los Angeles, sobota rano

Risa Sheridan spojrzała na dzwoniący telefon jak na szczura. Na zewnątrz, poza jej skromnym pokojem hotelowym miasto powoli budziło się do życia. Sobotni poranek nigdy nie cechował się ożywioną krzątaniną. Większość odsypiała piątkowy wieczór.

Popatrzyła na budzik z urazą. Nikt nie powinien dzwonić do niej w sobotę rano przed siódmą. Tak więc albo ktoś w innej strefie czasowej zapomniał o trzygodzinnej różnicy czasu między wschodnim a zachodnim wybrzeżem, albo nie dbał o tę różnicę... ewentualnie obudził się w tej samej strefie czasowej i uznał, że Risa też powinna wstać.

Obstawiała ten ostatni wariant.

- Tak, panie Tannahill - zwróciła się do ciemnego, pustego pokoju. - Jak pan uważa, panie Tannahill. I czy ostatnio wspominałam, jakim pan jest kochanym, słodkim, miłym, nieubłagane wymagającym draniem?

Podniosła słuchawkę.

- Nie prosiłam o budzenie. Shane zignorował tę uwagę.

- Nie wspomniałaś też, że w ten weekend w L.A. odbywa się Międzynarodowa Wystawa Książki Antykwarycznej.

- Pan Tannahill. Cóż za niespodzianka.

W Las Vegas, wysoko ponad trwającym dwadzieścia cztery godziny na dobę zgiełkiem kasyna Złote Runo, Shane uśmiechnął się lekko słysząc najzupełniej beznamiętny głos swojej kuratorki. Złote pióro w jego lewej ręce zaczęło się leniwie przekręcać, tocząc po czubkach palców jak cyrkowiec wykonujący powolne akrobacje.

- Byłaś już na tej wystawie? - zapytał.

- Nie. Czekał.

Ona również czekała.

- Mów - powiedział.

- Wszystko, co mogło by cię zainteresować, zostało pokazane wszystkim dużym muzeom jeszcze przed rozpoczęciem imprezy - odparła Risa. - Nie potrafię podać żadnego powodu, dla którego miałabym tam być, chyba że każesz mi przeglądać jakieś popłuczyny.

- Ja potrafię.

- Oświeć mnie, czekam.

Shane żałował, że nie widzi pełnych, zmysłowych warg Risy wypowiadających kąśliwe komentarze. Nigdy jej nie tknął, ponieważ nie miał zwyczaju zabawiania się ze swoimi pracownikami. Co nie oznacza, że był ślepy. Po prostu miał dość inteligencji, by nie motać się w związek z taką tygrysią jak Risa Sheridan. Ale drażnienie się z nią zawsze było niezłą rozrywką.

- Bo ci kazałem - powiedział.

- Cudownie.

- I ponieważ Biblioteka Huntington, która byłaby logicznym wyborem z punktu widzenia tego, o czym mówię, ponoć ma obecnie problemy finansowe.

- Przecież to biblioteka. To normalne, że biblioteki mają za mało pieniędzy.

- To biblioteka o charakterze naukowym. Żadnego seksapilu, co oznacza, że nie ma żadnych dużych wystaw, które dawałyby pieniądze. Teren siedziby jest ogromny. Potrzeba armii ludzi, żeby funkcjonowała. Bardzo duże koszty, więc administracja prawdopodobnie chce je zmniejszyć: oszczędza na podstawowym utrzymaniu, wyprzedaje część zbiorów przechowywanych w piwnicach i tak dalej.

Risa pojęła, do czego zmierza Shane.

- A więc chwilowo niczego nie kupują.

- Miło się pracuje z inteligentną kobietą.

- Spróbuj zatrudniać dziewczyny do kasyna na podstawie ich ilorazu inteligencji, a nie rozmiaru stanika.

- Ten sam problem, jaki ma Huntington - żadnego seksapilu.

- Niektórym mężczyznom udaje się jakoś przebrnąć etap cycków i uśmiezków.

- Nie jest ich tylu, by zapełnić moje kasyna. Risa uznała, że i tak nie wygra.

- Poszukujesz na tej garażowej wyprzedazy starzyzny czegoś konkretnego, czy po prostu chcesz, żebym się rozejrzała?

- Patrz, na co chcesz, ale przede wszystkim uważnie nasłuchuj. Jeżeli ktoś zechce rozmawiać o Księdze Uczonych, z wielką przyjemnością zrobię z niego bogacza.

Wyprostowała się i całkiem oprzytomniała.

- A ona jest tutaj?

- Na tym polega twoje zadanie. Dowiedz się tego. I jeszcze coś, Risa.

- Tak.

- Jeśli tylko zauważysz oznaki niebezpieczeństwa, wycofaj się.

- Niebezpieczeństwa? - Zmarszczyła czoło. Owszem, nieraz zdarzało się, że nawiedzeni kolekcjonerzy krzyczeli albo grozili. Spotykała się nocą w dziwnych miejscach z handlarzami o wątpliwej reputacji. Nie było to przyjemne, ale stanowiło część jej pracy, zwłaszcza że była przebojową, ambitną kuratorką. Shane wiedział o tym, podobnie jak ona. Wręcz zachęcał ją do takich metod pracy. - Co słyszałeś? - zapytała ostro.

- Nic. I właśnie dlatego jestem nerwowy. Zaczynam myśleć, że ten, kto ma Księgą Uczonych, potrafi uciszać ludzi w sposób tradycyjny.

- Mianowicie?

- Po prostu ich zabija.

Rozdział 45

Okolice Palm Springs, sobota rano

Wallace, czyli Zły Billy, zerknął na kilkumetrowy odcinek dzielący go od grani. Kłął bez przerwy, monotennie i bardzo cicho. Zawsze brał do pracy podręczny bagaż, jednak nikt nie raczył go poinformować, że ten mięczakowaty uczoney z Palm Springs, którego dom obserwował, łązi po górach jak pieprzona kozica. Wallace wiedział, że gdyby nie spowalniająca marsz kobieta, straciłby Erika Northa z oczu po pierwszym kilometrze.

Nie szło mu się łatwo. Na szczęście był w dobrej formie fizycznej, bo inaczej teraz już by dyszał i gramolił się na czworakach. Postanowił, że gdy tylko będzie możliwe, kupi parę naprawdę drogich butów na długie marsze, a kosztami obarczy klienta.

Ale na razie utknął w miejscu, próbując wspiać się na stromą ścianę w starych butach do biegania. Ale pod tym względem mogło być jeszcze gorzej. Mógł na przykład, jak to się zdarzyło przy ostatnim zleceniu, mieć na sobie smoking i eleganckie, skórzane buty.

Jeszcze raz spojrzął na ścianę, nadstawiając uszu, ale nic nie usłyszał. Z poleceń, które otrzymał, wcale nie wynikało, że ma sprawić Northowi manto, ale też nikt mu tego nie zabronił. Znacznie łatwiej będzie śledzić Northa, kiedy będzie miał złamaną kostkę. Albo kark.

Wallace wybrał na grań drogę, która wyglądała na najłatwiejszą - dokładnie pośrodku. Zanim uświadomił sobie błąd, było za późno. Zabrakło chwytów, a przede wszystkim oparcia dla nóg. Będzie musiał zejść i próbować wspiać się inną trasą. Klnąc pod nosem, szukał palcem nogi stopnia, który dopiero co porzucił. But otarł się o skałę i ześlizgnął ze stopy.

Podałbym panu rękę, ale nie zostaliśmy sobie przedstawieni - odezwał się ktoś nad jego głową, po prawej stronie.

Prywatny detektyw był zbyt inteligentny, żeby od razu spojrzeć w górę. W ten sposób straciłby równowagę, zwłaszcza że głos dobiegał z miejsca między nim a wschodzącym słońcem. Podnosił głowę wolno. Bardzo wolno. Na krawędzi klifu zobaczył sylwetkę mężczyzny: siedział przykucnięty i wyglądał na doskonale obeznanego z górami i śliskimi miejscami na skałach. Sądząc po zrelaksowanej postawie, ten facet równie dobrze mógł stać na podwyższeniu i rzucać piłeczkami.

Wallace skupił się na oczach Erika, których bladość kontrastowała z zacięną twarzą - i dopiero wtedy zrozumiał, że popełnił ogromny błąd. Może ten gość zarabiał na życie robiąc ilustracje do książek, ale nie wyglądał na takiego, co da sobie w kaszę dmuchać. Jedyne pozytywem był taki, że North nie miał nic w rękach. Wallace'owi wystarczyło znaleźć oparcie dla ręki i nogi, wtedy drugą ręką sięgnie do kabury z pistoletem na szelkach.

Tak. Jasne. Jednak będzie musiał poczekać na tę małą przyjemność, aż zejdzie trochę niżej.

- Masz jakieś imię? - zapytał Wallace.

- Mam. A ty?

- David Farmer.

Erik spojrział na mężczyznę, który przywarł do skały czepiając się jej obiema rękami oparty na stopie. Wallace nie był bardzo spocony i nie sapał, co dobrze świadczyło o jego kondycji. Kłamał bez wahania, co z kolei dobrze świadczyło o jego inteligencji i zimnej krwi.

Nie spuszczać z niego wzroku, Erik z rumowiska na szczycie klifu wybrał kamień wielkości piłki baseballowej i otoczył go palcami.

- No dobrze, Davidzie Farmer. Co tu robisz?

- Jestem na wycieczce. Chyba się zgubiłem? Wiesz, jak się stąd wydostać?

- Drog jest kilka, ale jeśli nie zaczniesz mówić prawdy, żadnej nie będziesz potrzebował.

- Świetnie - odparł sarkastycznie Wallace. - Najpierw się gubię, a potem spotykam paranoicznego survivalistę.

- Życie jest do chrzanzu, prawda? - Uśmiech Erika wyprowadzał Wallace'a z równowagi jeszcze bardziej niż jego oczy. - Możesz zacząć jeszcze raz, od samego początku?

- Słuchaj, przykro, jeśli mi nie wierzysz. Po prostu zejść ze skały i...

- Spróbuj się ruszyć - przerwał mu spokojnie Erik - a zaczęłam rzucać w ciebie odłamkami skał. Zanim znajdzie cię ekipa ratunkowa - jeśli w ogóle kiedyś cię znajdzie - uzna, że jesteś kolejnym dumnym turystą, który myślał, że Matka Natura to miła starsza pani, a kuguary w gruncie rzeczy wolą zjadać marchewki niż dzieci. Rozumiesz, o czym mówię?

- Tak.

- Trzecia szansa. Kim jesteś?

Wallace rozważał, czy upierać się przy Davidzie Farmerze. Jednak stwierdził, że dotychczas nie doceniał Erika Northa. Ale to już się zmieniło. Nie ulegało wątpliwości, że przykucnięty nad nim mężczyzna jest w stanie z zimną krwią ukamienować go i zepchnąć ze skały.

W dodatku był dość sprytny, by uszło mu to na sucho.

- William Wallace - syknął przez zęby, usiłując się uśmiechnąć.

- Dlaczego chodzisz po pustyni o świcie?

- Ty mi powiedz - odparował. Zastanawiał się właśnie nad tym przez ostatnie trzy kilometry. Z pewnością istniały lepsze miejsca, w których można byłoby ukryć teczke.

Erik w zamyśleniu wpatrywał się w kamień, przechylając go na rozpostartej dłoni, jakby wypróbowywał wagę i balans pocisku. Nagle nastąpiła zmiana równowagi i kamień zaczął się toczyć prosto w twarz Złego Billy'ego.

- Dobrze, już dobrze! Będę mówił - odparł Wallace, przywierając ze strachu do skały.

Erik schwycił kamień tak szybko, że Wallace zdążył tylko zamrużyć oczami. A po chwili Erik znowu balansował odłamkiem skały na swojej dłoni.

- Śledzę tę skórzaną teczke - oświadczył Wallace.

- Dlaczego?

- Płacą mi za to.

- Kto cię wynajął? - zapytał Erik.

- Nie wiem.

- Zła odpowiedź.

Kamień stoczył się z ręki Erika, a potem przez krawędź grani. Chybił celu, ale tylko minimalnie. Obaj mężczyźni słuchali, jak kamień odbija się od skały, ociera o nią, odbija, a potem spada po stromym zboczu u podnóża klifu. Toczył się bardzo długo, odskakując od większych głazów z charakterystycznym, nieprzyjemnym chrzęstem.

- Jak myślisz, daleko się potoczysz? - zagadnął Erik, wybierając kolejny kamień. Teraz w jego ruchach nie było swobody. Zachowywał się jak rzucający piłkę baseballista, którym zresztą kiedyś był.

Wallace zaczął się denerwować.

- Powiedziałem ci prawdę. Nie wiem, kto mnie wynajął.

Skalny odłamek wyrzwał go w ramię. Równie dobrze mógłby to być nos Wallace'a. Obaj panowie o tym wiedzieli, lecz tylko jeden z nich naprawdę się tym przejął.

- Nie wiem! - powiedział Wallace podniesionym głosem.

Kamienie leciały teraz jeden po drugim, rzucając tak szybko, że nie mógłby się przed nimi uchylić, nawet gdyby był na płaskim terenie. Miał rozcięty policzek i czuł bolesne pulsowanie w potylicy. Próbował wpełznąć do rozpadliny w ścianie, ale była za wąska i za płytka.

Już nieraz zdarzało mu się otrzymywać ciosy, ale nigdy w momencie, gdy przywierał do skały. Przerazało go to niemal równie mocno, jak przeświadczenie, że Erik North postępuje z nim jak kot, który najpierw leniwie bawi się myszką, a potem ją pożera.

- Proszę - powiedział ochryple Wallace. - Musisz mi uwierzyć. Nie wiem!

- Nie wierzę ci.

Znowu spadł na niego grad kamieni. Poślizgnął i z najwyższym trudem utrzymał na skale.

- Przestań! - Głos mu się łamał. Oddychał chrapliwie, jakby go zarzynano. - Mówię ci, że nie wiem! Próbowałem coś wywęszyć, ale on jest za sprytny. Pracuję dla niego z przerwami od dziesięciu lat i nawet nie znam jego imienia i nazwiska! - Skulił się dysząc ciężko, jakby w oczekiwaniu na kolejne męki. - Ten drań jest naprawdę dobry, kimkolwiek jest. To może być kobieta. Tego nie wiem, do kurwy nędzy!

Erik wolałby nie wierzyć Wallace'owi. Ale jednak mu wierzył. Facet cały się trząsał.

- W jaki sposób ci płacą? - zapytał.

- Teraz to jest gotówka przesyłana do banku za granicą. Na początku to były banknoty o małych nominałach wysyłane na moją skrytkę pocztową.

- Z jakiego miasta? - Erik wiedział, że detektywa na pewno to ciekawiło i sprawdzał kopertę.

- Los Angeles dwa razy, Nowy Jork dwa razy, Miami, Denver, Dallas, Seattle.

- Ten chłopczyk - może dziewczynka - sporo podróżuje. - Erik przerzucił kamień wielkości pięści z ręki do ręki, jakby to była piłeczka tenisowa. - Jak myślisz, kto to taki?

- Nie mam pojęcia - odparł Wallace z obrzydzeniem, dygot powoli ustępował. - A próbowałem się tego dowiedzieć, wierz mi.

Erik wierzył. Możliwość szantażu musiała się wydać Wallace'owi atrakcyjna, zwłaszcza gdy zaczął wykonywać nielegalne, wysoko karane zlecenia, które wymagały płacenia za pośrednictwem zagranicznego banku.

- Jak jesteś wynajmowany?

- Telefonicznie. Numer jest zablokowany. Dzwoniącego nie da się namierzyć.

- Mężczyzna czy kobieta?

- Równie dobrze to mógłby być pekińczyk. Trudno powiedzieć, bo używa wysokiej klasy sprzętu do zniekształcania głosu. - Otarł wierzchem dłoni spocone, pokryte strużkami krwi czoło. - Pozwolisz, że zejdem z tej skały. Czuję w ręce zmęczenie.

- Ja też. Chcesz się przekonać, który z nas pierwszy coś upuści? Wallace zrezygnował z pomysłu wyciągnięcia broń pod pozorem schodzenia z klifu.

- Jakiego rodzaju zlecenia wykonujesz przeważnie dla swojego tajemniczego klienta? - zapytał Erik.

- Sprawdzam różne informacje na temat ludzi.

- Gówno prawda.

Wallace zastanawiał się, czy powinien za wszelką cenę obstawać przy tej pierwszej wersji odpowiedzi. Potem spojrzął w oczy Erika. O tej porze było już całkiem jasno, ale nawet coś gorętszego od promieni słońca nie zdołałoby rozgrzać tych oczu.

- Parę razy wywierałem naciski.

- Na kim?

- Boy hotelowy, który okradał pokoje. Spec od fałszowania czeków, który lubił używać nazwisk ludzi bogatych i anonimowych.

- Starsza pani na Florydzie - dorzucił niedbale Erik. - Pożar? Wallace nawet nie drgnął.

- Pewien guru w Sedonie? - zagadnął Erik, uważnie przyglądając się swojemu rozmówcy. - Znowu pożar.

Wallace wyglądał na skonsternowanego.

- Stara kobieta na Pustyni Mojave? - ciągnął Erik. - Tym razem był napalm.

- Co to ma być? Objazd stanów w poszukiwaniu piromaniaków?

Na Wallace'a znowu posypał się grad kamieni. Dezorientacja przemieniła się w czysty strach.

- Nie wiem, o czym mówisz! - wrzasnął. - Owszem, pracowałem w wielu stanach. Ale nie jestem pochodnią! Nie robię rzeczy w ten sposób!

Erik ważył odpowiedź, trzymając w dłoni kolejny kamień. Wallace bez wątpienia wiedział więcej, niż był gotów przyznać, ale nie wydawał się zdenerwowany słysząc pytania o trzy zgony w pożarze, więc pod tym względem nie mógł się okazać użyteczny. Erik mógł zwalić Wallace'a z klifu kamieniami, ale nie miało to większego sensu. Prawdę mówiąc Erikowi zależało tylko na nazwisku osoby, która wynajęła Wallace'a. A Wallace nie był w stanie podać tego nazwiska.

Kątem oka dostrzegł nieznaczny ruch. Szalik Sereny, unoszony leciutkim, ledwo wyczuwalnym powiewem. Odwrócił głowę tak, by ją widzieć, nie spuszczać wzroku z Wallace'a.

Serena stanęła po prawej ręce Erika. Podeszła kilka kroków do przodu, tak że w końcu mogła zobaczyć mężczyznę uczeponego ściany - natomiast on zobaczył lufę pistoletu wycelowaną prosto w jego głowę. Palce Sereny zbiełały od ściskania broni. Nogi kobiety drżały, ale nie lufa pistoletu.

- Czy on zamordował moją babkę? - zapytała.

Ton jej głosu sprawił, że Erikowi zjeżyły się włoski na karku. Ta kobieta zawsze walczyła o to, co kochała, a wrogów posyłała do piekła.

- Nigdy w życiu nie załatwiłem żadnej staruszki — powiedział natychmiast Wallace.

- Dobrze, że to nie był jej dziadek - odparł Erik. Nie miał pewności, czy należy wierzyć temu zawodowemu łgarzowi. - Prawda, Zły Billy?

Wallace zamknął się.

Erik miał ochotę rzucić w niego trzymanym w ręku kamieniem, a potem w ten sam sposób użyć jeszcze kilku odłamków. Tacy faceci jak Wallace strasznie go wkurzali. Byli barbarzyńcami, którzy lekceważyli cywilizację; wykorzystywali zasady, a jednocześnie łamali je, nie mieli światu do zaoferowania nic oprócz umiejętności naciskania spustu.

- Wierzysz mu? - zapytała Serena.

- Tak, póki nie uzyskam przekonującego powodu, żeby nie wierzyć. Nic z tego, co znaleźliśmy w jego dokumentach, nie sugeruje, że lubi podpalać ludzi. Woli kule albo łyżki do opon. - Erik przerzucił kawałek skały w rękach, myśląc szybko. - Okej, Zły Billy. Zejdiesz z tej skały i wrócisz do swojego samochodu. Będziemy cię obserwowali, ale nie z miejsc, w których będziesz się nas spodziewał. Jeśli okażesz się grzecznym chłopcem, twój samochód będzie nadal sprawny, kiedy do niego dotrzesz. Jeśli nie, czeka cię diabelnie długa droga powrotna do domu. Jakieś pytania?

- Myślisz, że jesteś prawdziwym twardzielem, co? - zapytał z goryczą Wallace.

- Jestem nie tylko twardy. Jestem inteligentny. Jeśli w to nie wierzysz, z przyjemnością ci to kiedyś zademonstruję. Jeszcze raz.

Wallace miał dość inteligencji, by ugryźć się w język i nie poczęstować Erika stekiem przekleństw. Zignorował Serenę, uznając ją za amatorkę. Gdyby nie to, że musiał sterczeć na tej skale, już wpakowałby jej kulkę.

- Zaczynaj schodzić - powiedział Erik. - Nie muszę ci mówić, co się stanie, jeśli nie będziesz trzymał rąk na widoku, prawda?

- Pieprz się - odparł bezceremonialnie Wallace.

- Nie w tym życiu.

- Pieprzony cipowaty...

Wallace poślizgnął się nagle. Wymachując rękami, wgramolił się niezdarnie na skałę, i jakimś cudem odzyskał równowagę. A przy tym udało mu się przemyścić do ręki broń.

Konieczność podwójnego pociągnięcia za spust sprawiła, że nieprzyzwyczajona do tego Serena za pierwszym razem chybiła. Kamień rzucony przez Erika trafił dokładnie w cel. Mężczyzna, zdzielony jak pałka, wypuścił broń z odrętwiałej dłoni. Drugi strzał Sereny był zupełnie do niczego, bo Erik ciskając kamieniem, niechcący trącił jej rękę, w której trzymała pistolet. Wallace tego nie widział, bo znów kurczowo przywarł do ściany. W jego umyśle istniało tylko jedno zagrożenie: Erik North.

- Niech zajmie się nim duch tego miejsca - powiedział Erik do Sereny, nie odwracając oczu od Wallace'a, który w błyskawicznym tempie tracił oparcie. Jedna sprawna ręka po prostu nie wystarczyła. - Dzięki temu będzie mniej pytań.

Przez moment spojrzała na Erika - i ciarki przebiegły jej po plecach. Pod jego uśmiechem wyczuwała zimny pragmatyzm wojownika, ale tak naprawdę nigdy to do niej nie docierało. Teraz ten stan rzeczy się zmienił.

Wallace zsuwał się ze ściany jak worek błota, potem staczał się po górskim zboczu. Po mniej więcej dwudziestu metrach zatrzymał się na jakimś większym głazie. Przez kilka sekund leżał nieruchomo, całkiem oszołomiony. Potem jednak dźwignął się na nogi i spojrzał na grań.

Nikogo tam nie było.

Odwrócił się i mimo ogromnego bólu zaczął schodzić po stoku, zastanawiając się, czy jego samochód stoi tam, gdzie go zostawił.

Stał.

Ale nie był sprawny.

Rozdział 46

Jak to, zgubiłeś ich?

Wallace skrzywił się. Nowoczesne urządzenie zniekształcające nie było w stanie ukryć gniewu w głosie tajemniczego klienta.

- Ty kretynie. Jak mogłeś ich zgubić? Gdzie?

- Na pieprzonej górze. North wodził mnie za nos, zrzucił ze skały i opróżnił mój bak. Kiedy dotarłem do miejsca, w którym moja komórka miała zasięg, zadzwoniłem do swojego partnera, a potem do ciebie.

- Znajdź ich. Szybko.

- Mam taki zamiar. Obchodzi cię, w jakim stanie będzie, kiedy z nim skończę?

- Nie.

- A co z nią? - zapytał Wallace.

- Zdobądź dla mnie te karty; każda metoda jest dobra.

- Nie płacisz mi tyle, żebym ryzykował morderstwo pierwszego stopnia.

- Przeleję na twoje nazwisko w banku Arua sto tysięcy.

- Dwieście.

- Sto pięćdziesiąt. Tylko nie nawal znowu, Wallace. Martwi nie wydają pieniędzy.

Rozdział 47

Palm Springs, sobota rano

Gdy tylko weszli do rezydencji Northa, odezwał się pager Erika. Spojrzał na wyświetlacz. Dana.

Z górnego piętra dobiegł ich warkot odkurzacza. Lila - Marie pracowała, starannie wypełniając domowe obowiązki.

- Zapomniałem zapytać, co Pan Koneser sądzi o odkurzaczach - powiedział Erik.

- Uwielbia je. Gdy się go odkurza, traktuje to jak specjalne wyróżnienie. Spojrzał na nią z ukosa. Gdy wracali do jego terenówki była spięta i blada.

Podczas jazdy milczała, patrząc na Erika tak, jakby widziała go po raz pierwszy. A potem zapytała: „Często to robisz?” Odparł: - „Nie, jeśli mogę tego uniknąć”.

O dziwo, ta odpowiedź chyba ją usatysfakcjonowała. Westchnęła, oparła się o fotel w samochodzie i powiedziała: - „Dla mnie to coś nowego”.

- „Wcale tak nie wyglądało. Nieźle dałaś sobie radę, Sereno. Prawdziwa z siebie tygrysica”.

Uśmiechnęła się na moment, ale był to szczery uśmiech. Uśmiech Erika też był szczery.

- Mówię poważnie - powiedziała Serena, słuchając szumu odkurzacza na górze. - Przez moją tępotę Koneser potrzebował trochę czasu, żeby dostać to, czego chciał, ale w końcu mu się to udało. Aż mruczy z rozkoszy, kiedy go odkurzam.

- Może powinienem powiedzieć Faktoidowi, żeby spróbował tego z Gretchen.

Serena zamrugnęła oczami.

- Co mówisz?

- Jeśli poprosisz, to ci powiem, ale lepiej, żeby tego nie wiedziała.

Spojrzała na jego spragnione usta i postanowiła, że jednak nie da się skusić.

- Jak uważasz. Idę sprawdzić, czy z Koneserem wszystko w porządku.

Erik z niedowierzaniem patrzył, jak Serena wchodzi na schody lekko kołysząc biodrami. Jego młodsze siostry na pewno zasypałyby go pytaniami, aż w końcu powiedziałby im więcej, niż chciałyby

wiedzieć. W pewnym sensie to byłoby nawet zabawne, ale przede wszystkim raczej irytujące.

Serena, bez wątpienia, nie była jego młodszą siostrą. I dzięki Bogu. To, co chciał z nią robić, nie kwalifikowało się do relacji braterskich, chyba że w starożytnym Egipcie.

Uśmiechając się, wstukał w komórce numer Dany.

- Co słysząc, szefowo? - zagadnął.

- Chciałam cię zapytać o to samo.

- Powiedziałem Niallowi, gdy tylko zszedłem z góry, wciąż badam te karty. Chyba że akurat zabieram Złego Billy'ego na wycieczkę w pustkowiu.

- Hm. Niall nic nie mówił prócz tego, że spóznisz się z przyjazdem. Czy Wallace'owi podobał się ten wypad?

- Wątpię.

- Czy przeżył w możliwym stanie?

- Mniej więcej. Nie ma na jego ciele takiej rany, której nie dałoby się przypisać upadkowi nieostrożnego turysty ze stromej skalnej ściany.

- Wybornie. - Dana prawie że zamruczała. - Dowiedziałeś się czegoś?

- Nie wie, kto go wynajął.

- Wierzysz w to?

- Na razie tak - odparł Erik. - Ta wersja pasuje do ogólnego wzorca. Wallace należy do facetów, którzy posunęliby się do szantażu, gdyby wiedzieli, że to warte zachodu. Ponieważ ten, kto go wynajął, wie, że gość potrafi połamać ofierze nogi, jest specem od mokrej roboty i prawdopodobnie zabija dla pieniędzy, zapłacił odpowiednią sumę pieniędzy. Zakładam, że każdego, kto może sobie na takiego typu pozwolić, warto dokładnie sprawdzić.

- Czy Wallace próbował cię zastraszyć?

- Tak. Nie dostrzegł różnicy między byciem twardzielem i posiadaniem inteligencji.

- Ty masz i jedno, i drugie.

- Nie. Jestem bystry, ale jestem mięczakiem. Spytaj Nialla. Gdzieś blisko Dany zabrzmiał głos Nialla.

- Jaja sobie robisz.

- Zawsze mnie zapewniałeś, że Pluszaki ich nie mają - powiedział Erik, uśmiechając się, ponieważ Niall nie mógł tego widzieć.

Kiedy Niall odpowiedział, jego głos brzmiał o wiele wyraźniej. Najwyraźniej zabrał Danie słuchawkę.

- Masz przy sobie broń? - zapytał kategorycznym tonem.

- Tylko dlatego, że postawiłeś taki warunek.

- Ten warunek nadal obowiązuje, chłopie.

- Nie słyszę cię, bo odkurzacz strasznie hałasuje - powiedział głośno Erik.

Dana najwyraźniej odebrała Niallowi telefon, bo tym razem Erik usłyszał jej głos.

- Nawet o tym nie myśl. Jeżeli Niall mówi, że masz nosić broń, to masz ją nosić. Jasne?

Erik wzruszył ramionami.

- Ty tu rządzisz.

- Pamiętaj o tym, kiedy będziesz brał udział w Międzynarodowej Wystawie Książki Antykwarycznej w Los Angeles.

- Możesz powtórzyć?

- Dobrze słyszałeś. Jeśli ktoś będzie pytał, Rarities ma klienta, który chce opinii na temat czternastowiecznych Godzinek.

- Jakiego rodzaju opinii?

- Czy książka jest warta pieniędzy, jakich żąda za nią Pinsky.

- Nie jest warta. Morgan Pinsky zawsze żąda za dużo. Widzisz? Właśnie zaoszczędziłem ci podróży do L.A.

- Wiesz, że wprost nie możesz się doczekać, żeby przeglądać wszystkie pudła z luźnymi kartkami i odkryć bryłkę szczerego złota w tym żużlu - odparła Dana. - Jeżeli Pinsky proponuje w miarę znośną cenę i pozwoli się targować, a manuskrypt rzeczywiście odpowiada opisowi, kup go.

- Określ, co to znaczy znośna cena.

- Poniżej miliona. Jego cena to przeważnie dwa z kawałkiem. Erik gwizdnął.

- Widać Pinsky łądzi się, że jest wielki.

- Być może. A może ma pięknie iluminowaną księgę Godzinek z nazwiskiem francuskiego księcia na okładce i herbem królewskiego bękarta na każdej stronie.

- A co z Biblioteką Huntington?

- Powiedzieli mu, że księga nie odpowiada potrzebom ich kolekcji. Zawiadomiłam hotel, że mają oczekiwać ciebie i gościa. A właściwie kilku gości. Niall upiera się, żeby nie zostawiać cię samego.

- Nie zapominaj o dziesięciokilogramowym kocie.

- Co?

- Może nawet ważyć już dziesięć i pół kilo. Koneser jest uzależniony od puszkowanego łososia, a Serena nigdy się z tym zwierzakiem nie rozstaje.

- Skoro hotel radzi sobie z niemowlętami, poradzi sobie z kotem.

- Czy Pinsky spodziewa się mnie?

- Oczywiście, że nie. Targ odbywa się przez cały jutrzejszy dzień. Licz się z tym, że będziesz nocował.

- Jest kilku handlarzy, z którymi muszę porozmawiać o brakujących kartach z Księgi Uczonych - zaczął Erik, starając się opanować zniecierpliwienie. - Czy ta sprawa z Pinsky nie może poczekać?

- Zakładam, że mówisz o takich osobach jak Albert Lars, Reginald Smythe i Janet Strawbinger. Wszyscy posiadali karty, które pierwotnie znajdowały się w Księdze Uczonych, mimo że obecnie uchodzą za piętnastowieczne druki z francuskiej księgi.

- Tak - odparł zniecierpliwiony. - Wszystko to sprawdziłem...

- Bert i Reggie będą na tej wystawie - przerwała mu Dana. - Bert, jak zawsze, żyje ponad stan, utrzymują go rodzice, którzy mają po pięćdziesiąt lat i wciąż świetnie się trzymają. Taki układ może potrwać jeszcze jakieś dziesięć lat, więc forsa na pewno przemówi do serca Berta. Reggie, jak zawsze, żyje od wyprzedaży do wyprzedaży. W jego przypadku pieniądze również będą otwierały drzwi. Trzeci handlarz, na którego temat zażądałeś informacji...

- Strawbinger.

- Tak, Strawbinger. Ona mieszka na innym kontynencie. W Niemczech. Jeden ze starych zamków pozbywa się zawartości swoich piwnic. Jej sytuacja finansowa jest całkiem dobra, więc żeby zwrócić jej uwagę, pieniądze mogą nie wystarczyć. Chyba że straci głowę w związku z przedmiotami z zamku i będzie cierpiała na brak gotówki, dopóki nie sprzeda ich części.

Erik wzruszył ramionami.

- Dla mnie była najmniej interesującą z tych trzech osób. - Szybko rozmyślał, rozważając rozmaite okoliczności. - Dobrze. Już

zeskanowałem karty Sereny i załadowałem je do mojego komputera i do archiwum Rarities. Przywieziemy prawdziwe karty, zostawimy je w jednej z krypt Rarities, trochę pokręcimy się na tej wystawie, a potem oboje będziemy wolni.

- Z wyjątkiem paru szczegółów, może być. Co masz na myśli?

- Chcę znaleźć resztę Księgi Uczonych. Cisza.

- To jedyny sposób, żeby jakoś wycenić karty, które są w posiadaniu Sereny, a przecież chodzi o spełnienie prośby twojego klienta - powiedział Erik gładkim tonem.

Dana wybuchnęła śmiechem.

- Właśnie to lubię u inteligentnych mężczyzn: - niemal zawsze są warci kłopotów, jakie przysparzają. - Głos Ralpa Kunga w tle odwrócił jej uwagę.

Cleary Warrick Montclair miała już dość czekania na połączenie. - A niech to diabli, ta kobieta nigdy nie daje za wygraną - powiedziała Dana. - Przełącz ją na mój drugi telefon.

Niall chwycił pierwszy telefon i zaczął szybko mówić do Erika:

- Uważaj na siebie. Wallace nie nosi ksywki Zły Billy tylko dlatego, że inne ksywki były już zajęte.

- Czy on naprawdę popełniał morderstwa? - zapytał Erik.

- Według tego, co ustalano na sali sądowej czy poza nią?

- Poza.

- Krążą pogłoski, że jest mordercą, a teraz ty w dodatku go wkurzyłeś. Nie bądź pluszakowatym palantem i nie pozwól, żeby te pogłoski stały się rzeczywistością.

Rozdział 48

Los Angeles, sobota po południu

Przeciągły, monotony huk potężnych odrzutowców, które spływały z nieba, by wylądować na międzynarodowym lotnisku w Los Angeles, nie przedostawał się do wykładanego sztucznym marmurem hotelowego foyer. Sąsiadujący z holem bar oblegali mężczyźni w okularach w drucianych oprawkach, nieświeżych koszulach i marynarkach ze sztruksu albo tweedu. Barman podawał więcej martini niż piwa czy wina. Sądząc po minie osoby serwującej koktajle, napiwki miłośników starych książek były takie same jak ich ubiór: marne.

Erik oderwał wzrok od baru i zerknął na umieszczony na sztaludze plakat witający wszystkich uczestników Międzynarodowej Wystawy Książki Antykwarycznej, a także zapraszający, by zechcieli się zarejestrować w biurze na niższym poziomie. Stłumił westchnienie, które wyrażało po części smutek, a po części zniecierpliwienie. Smutek brał się z niezachwianej nadziei, że gdzieś, jakimś cudem, pośród pierwszych wydań Hardy Boys i plakatów Betty Boop będzie leżała nieznana strona z Księgi Uczonych. Zniecierpliwienie miało to samo źródło: tyle śmieci, a tak mało rzeczy naprawdę wartościowych.

Ale coś podobnego można powiedzieć o wszystkim. Na przykład o holach hotelowych.

Według Lapstrake'a, dobre wieści były takie, że wprawdzie wspólnik Wallace'a rzeczywiście pojawił się w rezydencji Northa, ale dotarł tam zbyt późno, żeby dopaść Erika i Serenę. Nikt nie jechał za nimi do Los Angeles. Erik sądził, że mogli ściągnąć na siebie jakiegoś ducha opiekuńczego w Retreat - małym, bardzo wykwinnym hotelu, w którym Rarities zawsze lokowała swoich klientów - ale nie miał co do tego pewności. Był jednak przekonany, że nikt nie śledził ich w drodze do tego hotelu.

Na razie nie mieli ogona.

A Erik zamierzał pokręcić się trochę po holu, żeby sprawdzić, czy sytuacja nie uległa zmianie.

- Kazałeś mi uciekać tylnymi drzwiami z naszego cichego, luksusowego hotelu w Beverly Hills i przywiozłeś mnie do czegoś takiego? - zapytała Serena, rozglądając się po hałaśliwym, rozbrzmiewającym echem holu hotelu przy lotnisku. Klienci hotelu

Retreat w Beverly Hills mieli na sobie bardzo drogie rzeczy, które nosili z całą swobodą. W tym hotelu publiczność była zupełnie inna. Nie widziała parady tak okropnych ubrań od czasu, gdy robiła zakupy w sklepach z przecenioną odzieżą. - Niektóre z okryć, które ci ludzie mają na sobie, są tak stare, że mogłyby wisieć w muzeach jako eksponaty. - Popatrzyła na kompozycję ze sztucznych kwiatów, o wymiarach pięć na pięć metrów, którą uzupełniał prawdziwy kurz i pajęczyny. - Jeżeli chodzi o wystrój hotelu, to lepiej już nic nie mówić. Ja w każdym razie nie będę.

- Tak. Uprzedzałem, że będziesz zazdrościła Koneserowi, jeszcze zanim skończy się ta impreza.

- Miałaś rację. Z hotelu, który karmi swoich kocich gości kawałkami ostryg i kładzie ich na atlasowe poduszki w pokoju wielkości Rhode Island, do... - Popatrzyła na pajaka, który był pochłonięty przygotowywaniem muchy na nocną przekąskę. - .. .tego.

- Nigdy nie zgadłabyś, że te stare i rzadkie książki na dole są warte miliony dolarów, prawda?

- Zważywszy wygląd wszystkich zainteresowanych, to nie - odparła, zerkając w kierunku hotelowego baru.

- Większość z nich to wystawcy, a nie nabywcy.

- Wkładają wszystkie swoje pieniądze w towar, zamiast w garderobę?

- Mniej więcej. Ale głównie chodzi tu o profesorski sznyt. Fatalne ciuchy i uzębienie, wielki umysł.

- Nie zapominaj o fatalnych włosach.

Uśmiechnąwszy się od ucha do ucha, przecesał palcami rozwichrzoną czuprynę, której na pewno przydałoby się strzyżenie.

- Mówisz o mnie?

- Nie, nawet gdyby to był twój najgorszy dzień - odparła z roztargnieniem, przyglądając się pewnemu mężczyźnie... nie, to była kobieta... kobiecie, której włosy miały na sobie trzy cale henny i jeden cal bieli tuż obok różowej skóry na czaszce. - Ty masz wspaniałe włosy. Oddałabym wszystko, żeby takie mieć.

- Wolałbym, żeby twoje przykrywały jak ogień moje nagie ciało.

Te słowa i zmysłowy żar w oczach Erika sprawiły, że na chwilę wstrzymała oddech.

- Nie mów tak - powiedziała szybko.

- Dlaczego?

- To mnie dekoncentruje. Jego spojrzenie wędrowało po niej jak dłoń.

- Tak, oczywiście. - Z trudem oderwał od niej wzrok. Teraz omiatał spojrzeniem hol próbując wyłowić kogoś, kto patrzyłby na nich zbyt często albo wyglądał jak Ed Heller, którego zdjęcie Faktoid przesłał w formacie jpeg.

Jakaś kobieta o ciele dziewczyny z Playboya z gracją baleriny „podpłynęła” do Erika. Serena uważnie przyjrzała się tej kobiecie. Chociaż nie była typową piękną hollywoodzką, miała w sobie coś bardzo pociągającego. Jej włosy były jak lśniący płat północy, oczy - szeroko rozstawione i w kolorze błękitu z Delft. Usta nasuwały skojarzenia z burgundem i seksem. Mówiła głosem niskim, tajemniczym.

- Gdyby Shane powiedział, że tu będziesz, nie wściekałabym się tak bardzo, że muszę jechać na tę wystawę - oświadczyła.

- Risa! Skąd się tu wzięłaś? Nie widziałem cię całe wieki. - Erik pochylił się i uściskał Risę, a potem ją pocałował.

Serena powiedziała sobie, że nie jest zazdrosna. Po chwili powtórzyła tę myśl. Już miała to zrobić trzeci raz, kiedy Erik wypuścił oszalałą kobietę z objęć, uśmiechnął się do niej z widoczną przyjemnością i przedstawił sobie obie panie. Serena i Risa ucisnęły sobie ręce, a jednocześnie, w typowy dla kobiet sposób, obrzuciły się nawzajem uważnymi spojrzeniami.

Risa zastanawiała się, skąd Erik wytrzasnął tę powściągliwą, zamyśloną rudowłosą kobietę o lekko zamglonych, wiedźmowatych oczach i gibkim, eleganckim ciele, jakie Risa pragnęła mieć całe życie. Nie mówiąc o marynarce z tkaniny, która była tak niezwykła, że Risa z trudem powstrzymywała się, żeby jej nie dotknąć. Dziwne, że taka atrakcyjna kobieta nosiła jakąś nijaką apaszkę, ale przecież każdy ma swój własny, niepowtarzalny styl.

- Nie mów, że twój szef również kazał ci przeczesać ten śmietnik - powiedział Erik, odciągając uwagę Risy od Sereny. - Czym go zdenerwowałaś tym razem?

- Wystarczy, że oddycham. - Risa znowu zwróciła się do Sereny. - Gdzie zdobyłaś tę fantastyczną marynarkę?

- Zrobiłam ją.

Risa myślała, że to żart. Po chwili jednak uświadomiła sobie, że Serena wcale nie żartowała.

- No cóż, po marzeniu.

- Jakim marzeniu?

- Że kupuję sobie właśnie taką marynarkę i przyciągam kochanka stulecia.

- Hej, przecież ci złożyłem ofertę - powiedział Erik. Wywróciła oczami.

- Dopiero jak upewniłeś się, że nie jestem już w tobie zadurzona... Zresztą i tak zrobiłeś to, by ocalić moją dumę, kiedy mój chłopak rzucił mnie dla jakiejś bogatej dziewczyny, która była w stanie zapłacić za jego doktorat.

- To był nieudacznik, ładny chłoptaş bez żadnej moralności.

- Jestem pewna, że masz rację, kochanie. - Risa odparła przeciągle, podkreślając naturalną, zmysłową chrypkę w swoim głosie. - Pewnie dlatego, że jesteś dużym, niegrzecznym starszym bratem. - Mrugnęła do Sereny. - Przyjaźnię się z siostrami Erika, co oznacza, że mogę wyrównać z nim rachunki. On nie ma przede mną żadnych sekretów.

- Naprawdę? - Serena uśmiechnęła się szeroko. Z każdą sekundą coraz bardziej lubiła Rise. - Mogę ci zaproponować kieliszek wina albo może trzy?

- Możecie pogadać o moich sekretach później i zadzierzgnąć dziewczęce więzy - przerwał jej Erik. - Byłaś już na parterze? - zapytał Rise.

Wzruszyła ramionami, tak że po jej starannie skrojonym, jedwabnym zakiecie przebiegły świetlne refleksy. Z początku Serena myślał, że ten zakiet jest czarny, ale za sprawą tego intensywnego migotania światła wydał jej się jaskrawobłękitny, trochę jak jej oczy.

- Byłam tam - powiedziała Risa. Włożyła szczupłe dłonie z wypielęgowanymi paznokciami do kieszeni szytych na miarę czarnych spodni. - To co zwykle.

- Na czym zależy Shane'owi?

- Będziesz musiał go o to zapytać.

- Cholera - mruknął Erik. - Tego się obawiałem. Słyszał o dywanowej karcie ze złotej folii i rozmaitych kolorów, prawda?

Risa uniosła swoje błyszczące brwi.

- Cóż, już wolałbym, żeby on to zdobył, a nie inni ludzie, którzy przychodzą mi na myśl - powiedział Erik, ale nie był zadowolony z pojawienia się kolejnego konkurenta.

Tannahill był zagadką. Do pewnego stopnia można było mu wierzyć - do czasu, gdy Tannahill chciał coś zakupić. Wtedy zaczynała się nowa gra, z nowymi zasadami. Czyli całkowity brak zasad.

- Więc wolałbyś, żeby to raczej Shane kupił wyrób ze złota niż Norman Warrick? - zapytała Risa.

- A więc Shane szuka tej strony.

Risa uśmiechnęła się jak kot. Uwielbiała współzawodnictwo tak samo jak jej szef.

- Znasz go lepiej niż ja.

- Nikt nie zna Shane'a.

- Dziwne. To samo powiedział mi o tobie. Zgodziłam się z nim, a ja znam cię lepiej niż ktokolwiek inny, pewnie z wyjątkiem Nialla. - Risa uśmiechnęła się jeszcze szerzej, odwróciła do Sereny i wręczyła jej swoją wizytówkę. - Nie pozwól, żeby Erik odwiódł cię od wypicia paru drinków ze mną. Myślę, że możemy odkryć, że mamy wiele ze sobą wspólnego.

- Inteligentne kobiety w świecie rządzone przez mężczyzn? - zagadnął Erik, z udręczoną miną. To było ulubione powiedzenie jego siostr, gdy chciały wyrazić swoje pretensje.

Risa posłała mu całusa swymi pełnymi, zmysłowymi ustami.

- Dobrze zgadłeś.

Serena patrzyła za nią. Risa szła energicznym krokiem, ale jednocześnie jakimś sposobem było w niej mnóstwo niewymuszonej swobody, fantazji, jakby miała zawsze mnóstwo czasu.

- Nie mogę uwierzyć, że dałeś jej kosza - powiedziała Serena.

- Nie porywam dzieci z kołysek.

- Nie jest o wiele młodsza.

- Teraz nie. Wtedy była.

- Więc co się stało z „teraz”? Erik popatrzył na Serenę.

- Co masz na myśli?

- Dlaczego nie jesteście kochankami? - zapytała wprost.

- Za bardzo się lubimy, żeby zniszczyć przyjaźń seksem, a oboje wiemy, że byłby to seks na krótką metę.

- Skąd wiecie, że to byłby seks na krótką metę?

- Spojrzałaś kiedyś na parę butów i bez przymierzania wiedziałaś, że chociaż wyglądają fantastycznie, będą cię uwierać?

- Jasne. To się nazywa doświadczenie.

- Właśnie dlatego wiedzieliśmy.

Serena na moment spuściła ciemnorude rzęsy.

- W porządku.

- Co to oznacza?

- Właśnie to. W porządku, to ma sens. Tylko nastolatka musi skoczyć w przepaść, żeby się przekonać, jak boli lądowanie.

Erik otworzył usta, zamknął je i uśmiechnął się do Sereny. Wiedział, że nigdy nie pojmie umysłu kobiety, ale to nie przeszkadzało mu lubić bystrych kobiet.

- Lubię cię, Sereno Charters.

- A ja uczę się lubić ciebie, Eriku North.

- Nowe doznanie, prawda?

Oblizwała wargi, przypominając sobie, jak ten mężczyzna smakował.

- Dobijasz mnie - powiedział. Pochylił się i pocałował ją szybko, mocno, głęboko. Potem dorzucił cicho: - Lubię Risę, ale w tej sprawie jej nie ufam. To ambitna, inteligentna kobieta, która musi sobie wiele udowodnić. Załatwiła dla Shane'a kilka nabytków, które, szczerze mówiąc, były z pogranicza, jeśli chodzi o metody działania i pochodzenie wyrobów. Ona chce tych kart, ponieważ jej szef nie daje awansu nieudacznikom.

- Jesteś pewien, że ją lubisz?

- Tak, i to bardzo. Ale to mnie nie zaślepia. - Znowu mocno pocałował Serenę i wtulił twarz w niezwykle szal, który miała na szyi. Był zdumiony potrzebą upewnienia się, że jest tu z nim, w jego zasięgu, zupełnie jakby miała zniknąć na tysiąc lat, gdyby choć na moment odwrócił od niej oczy. - A teraz chodź się przekonać, czy uda nam się znaleźć jakieś arkusze z Księgi Uczonych.

Serena chciała powiedzieć Erikowi, żeby zaczekał. Kręciło jej się w głowie. Bardzo chciała nadal go całować. Jednak gdy dotarło do niej, o czym myśli, potrzęsnęła głową i poszła za Erikiem do ruchomych schodów. Kiedy zjeżdżała za nim na dół, uśmiechnęła się i powiedziała sobie w duchu: Babciu, niektórzy z nich mogą być warci zachodu. On nie przytłacza mnie nawet wówczas, gdy jest tak blisko mnie, że oddycham tylko nim.

Pierwszy raz zdarzyło jej się coś podobnego.

Prawdę mówiąc, zawsze uważała, że to niemożliwe. Ale miała dowód tuż przed sobą: zjeżdżał schodami, rozglądając się po niższej

antresoli oczami wygłodniałego drapieżnego ptaka. Skórzana kurtka, którą nosił do luźnych spodni i nieco już znoszonych, a więc wygodnych butów, sprawiała, że wyglądał jak ciemnoczekoladowy cień. Uznała, że Erik jest idealnie zbudowany: silny, ale nie za mocno umięśniony, i dostatecznie duży, by mogła się przy nim czuć rozkosznie kobieca, jak usta Risy.

Potem przypomniała sobie, co powiedział o Risie: „W tej sprawie nie ufam jej”. Erik żył w świecie, w którym zaufanie było rzadkim towarem. Ona żyła w świecie, w którym nauczyła się nie ufać nikomu. Nigdy nie ufała nikomu naprawdę. Nigdy całkowicie.

Jednak chciała w pełni zaufa Erikowi, nawet jeśli wiedziała, że jest to niemądre. Nic nie mogła na to poradzić. Ufała, że nie chce jej zabić, Ufała mu jako kochankowi. Teraz zaczynała ufać, że nie zrani jej w sposób, który co prawda nie był fizyczny, ale który potrafił sprawić prawdziwy ból.

Nie potrzebowała rad babki, żeby wiedzieć, że ufanie Erikowi w taki sposób jest głupotą. Zjawił się w jej życiu z powodu tajemnicy otaczającej Księgę Uczonych. Kiedy tajemnica zostanie odkryta, Erik ją zostawi. Koniec historii. Koniec romansu. W najlepszym razie poczuje się zraniona. W najgorszym skończy jak jej babka. Zostanie zamordowana.

Jednak w przeciwieństwie do babki Serena nie miałaby pojęcia, dlaczego zginęła.

Rozdział 49

Erik zszedł z ruchomych schodów, zaczekał na Serenę i zaprowadził ją do stolika, przy którym można było się zarejestrować, a który znajdował się w pobliżu korytarza, zaraz za toaletami. Mógł pokazać siedzącej za stołem wymiętej kobiecie wizytówkę Rarities i otrzymać dwie przepustki dla VIP - - ów. Jednak wolał zapłacić po dziesięć dolarów za bilet wstępu dla zwykłego uczestnika i mapę targów, zamiast mieć na karku jakąś osobę z działu PR, która bez przerwy mówiłaby mu, jak ważny jest ten czy inny eksponat, albo że ta wystawa książek jest najważniejszym miejscem dla liczących się kolekcjonerów z całego świata.

Przecież gdyby o tym nie wiedział, wcale by tu nie przyjeżdżał. Albo, ściślej rzecz ujmując, Dana by go nie przysłała.

Chociaż zawodowcy lubili marudzić, że na takich wystawach jest tyle bezwartościowych śmieci, zawsze trafiało się również coś wyjątkowego. Coś, na co nie mogło sobie pozwolić muzeum. Jakiś przedmiot, który był czymś innym, niż sugerował jego opis. Coś, co wypełniało lukę w czyjejs prywatnej kolekcji albo inspirowało kolekcjonera do zupełnie nowych poszukiwań. I właśnie dlatego przyjeżdżali tu wszyscy. W tym miejscu odbywało się nieustanne polowanie. Nigdy nie było wiadomo, na co człowiek może się natknąć.

A wystawcy przyjeżdżali, bo nigdy nie wiedzieli, co uda im się sprzedać.

- Do manuskryptów idzie się tędy - powiedział Erik, patrząc na mapę targów.

Stragan Reginalda Smythe'a znajdował się w środkowej nawie, dokładnie tam, gdzie rozpoczęłyby oglądanie nowicjusz. Na szczęście Erik nigdy przedtem nie miał kontaktów zawodowych ze Smythe'em, więc wiedział, że nie zostanie rozpoznany jako kompetentny nabywca. Zła wieść była taka, że metoda „podchodów” zajmowała więcej czasu.

Ale dzięki niej zawsze mógł jeszcze liczyć na plan awaryjny.

- Udawaj razem ze mną - powiedział cicho Erik. - Chciałaś tu przyjść i jesteś moją narzeczoną. Nie poruszaj żadnego tematu, jeśli ja nie wspomnę o nim pierwszy. Dobrze?

- Chyba tak.

- Nie chcę żadnych chyba.

- Dobrze. Ja jestem ślicznotką, a ty jesteś wielkim macho.

Erik wciąż jeszcze się śmiał, kiedy szli szerokim korytarzem z szeregiem drzwi po jednej stronie. Idąc cały czas za nim, przekonała się, że wszystkie drzwi prowadzą do tego samego miejsca - wielkiej sali balowej. Pomieszczenie zostało podzielone na mniejsze segmenty, w których znajdowały się stoiska rozmaitej wielkości, oferujące zróżnicowany towar.

Rozglądając się na wszystkie strony i starając się nie potknąć, bo patrzyła wszędzie, tylko nie przed siebie, Serena kroczyła obok Erika wąskim przejściem między straganami. Wprawdzie sala nie pękała w szwach od klientów, lecz do jej uszu dochodziły ledwo słyszalne strzępki rozmów, nieoczekiwane słowa i zdania.

- ... największy chorał, jaki kiedykolwiek widziałem. Rozmiar stolika do kart, iluminowany...

- ... od czasu Ewangeliarza z Lindisfarne nie było takiego...

- ... pewien, że został zamówiony przez Karola Wielkiego, ale nie mogę tego udowodnić. To dlatego cena jest tak...

- Coś już sprzedajecie?

- ... ilustrowaną stronę z Boskiej komedii. Proszę spojrzeć na wspaniałą...

- ... myślę, że ten arkusz pochodził z Biblii Karolingów. Wszelkie wewnętrzne dowody wskazują na dziewiąty wiek...

Było mnóstwo przedmiotów, które przyciągały wzrok Sereny. Chciała obejrzeć wszystko, ale Erik objął ją ramieniem i niemal na siłę prowadził wzdłuż rzędów fascynujących rękopisów. Co pewien czas zmuszała go, by przystanąć, żeby rzucić na coś okiem, ale ciągle ją poganiał.

- ... zobaczyć, podpisany o, tutaj, Bartolomeo Sanvito. Zapewniam pana, tak świetnie zachowanej piętnastowiecznej księgi...

- Hej, coś już sprzedajecie?

Serena odwróciła się, ale nie mogła dostrzec osoby, która zadawała wciąż to samo pytanie idąc równoległym przejściem i witając się z wystawcami.

- ... jakoś tego powiększonego inicjału. Wspaniały! Kwintesencja szesnastego wieku...

- ... wspaniały lapisowy błękit w szacie Madonny, ale to złota folia daje taki...

- Nie, to późny styl wschodnioangielski. Proszę spojrzeć na te twarze. Wyglądają tak, jakby skopioowano je z Psałterza Luttrella.

- Coś już sprzedajecie?

Wyczuwając niechęć Sereny do pobieżnego zwiedzania wystawy, Eryk prawie się uśmiechnął. Terroryzował ją skutecznie, póki mi znaleźli stoiska Reggiego Smythe'a. Jej cierpliwość się kończyła. Nawet ją rozumiał. Każdy, kto wykonywał tkaniny inspirowane średniowieczem, byłby zafascynowany wzorami i iluminacjami średniowiecznych ksiąg, zwłaszcza tych w stylu brytyjskim, który wiele zawdzięczał deseniom i symbolom celtyckich przodków.

Udając niechęć i mrużąc pod nosem, już nie próbował ciągnąć Sereny ze sobą. Stała w miejscu zerkając przez czyjeś ramię w znoszonej tweedowej marynarce na kartę, o której dyskutowano. Erik spojrzął na kartę, którą z lekka zwariowany wystawca usiłował sprzedać klientowi, noszącemu również identyfikator wystawcy. Na takich imprezach wystawcy częściej wymieniali się towarami niż sprzedawali go bezpośrednio zwiedzającym.

- Byłbym skłonny rozmawiać o transakcji dotyczącej czternastowiecznego arkusza z Francuskiego lekcjonarza epistolarnego - powiedział wystawca.

Do jego marynarki był przypięty (krzywo) trochę zabrudzony identyfikator z napisem: „Reggie Smythe”.

- Jasne, że byłbyś skłonny - odparł klient, na którym słowa Smythe'a najwyraźniej nie zrobiły wrażenia. - Ale jeśli dorzuciłbyś tamten uszkodzony arkusz z Le livre des quaire dames Chartiera, może moglibyśmy zacząć konkretną rozmowę.

- Uszkodzony! - Smythe cofnął się o krok, jakby ktoś go uderzył. Jego zmierzwione, szpakowate włosy niemal się zjeżyły na znak pogardy. - Tylko kretyn nazwałby uszkodzeniem te, piękne ślady spowodowane upływem czasu i użytkowaniem pergaminu.

Jego rozmówca wzruszył ramionami.

- Jeśli nie opchniesz żadnej z tych rzeczy do czasu zamknięcia wystawy w niedzielę, skontaktuj się ze mną. Będę przy tabliczce prowadzącej do wyjścia, w pasażu G.

Smythe uśmiechnął się ponuro i zwrócił do Erika i Sereny, ignorując mężczyznę, który mimo wszystko nadal kręcił się w pobliżu, spoglądając na arkusz.

- Śliczny, prawda? Chcielibyście się przyjrzeć dokładniej?

- Coś już sprzedajecie? - zabrzmiało ciche pytanie w równoległym przejściu.

- Nie, dziękuję - powiedział Erik, zanim Serena zdążyła otworzyć usta. Zaraz jednak pomyślał, że może warto zaryzykować. Niall zemdlałby widząc tak bezpośrednie podejście, ale na szczęście nie było go tutaj. - Moja ciotka ma bzika na punkcie staroci. Ma pan jakieś karty z początku dwunastego wieku, pisane w celtyckim stylu insularnym? Wolałbym świeckie niż kościelne. - Mówił powoli, sprawiając wrażenie osoby, która nauczyła się na pamięć nazw tego, za czym miała się rozglądać.

- Świeckie? Nie.

- A może jakieś, hm, palimp... palimpsesty? - Specjalnie zająknął się na rzadko spotykanym słowie.

- Całkowite czy częściowe? - zapytał Smythe, uśmiechając się łagodnie.

- Chyba może być jedno i drugie. O tym nie mówiła.

- Świeckie?

- Nie ma znaczenia.

- Wiek?

- Kurczę, dla mnie bez różnicy - stwierdził Erik nonszalancko. - Ale moja ciotka pasjonuje się piętnastowieczną iluminacją. - Wzruszył ramionami. - Nawet całkiem przyjemna, jeśli ktoś lubi takie rzeczy.

Odnalazł styl piętnastowiecznej iluminacji na każdej z zapisanych kart, które kiedyś należały do Księgi Uczonych, z wyjątkiem jednej.

- Pięknie - skrzywił się Smythe. - Hm, tak. Piętnastowieczną iluminacją jest uważana przez wielu za szczyt sztuki iluminatorskiej. - Odchrząknął i zanurkował pod ladę. Wynurzył się stamtąd z kartonowym pudełkiem. W środku, niczym obrazki w kolorowych ramkach z kartonu, leżał stos pergaminowych arkuszy, które różniły się pod względem epok, jakości i stanu. - To tego pan szuka - powiedział, dokonując szybkiej selekcji.

Erik wziął pudło, zważył je w rękach i uznał, że nadeszła pora na plan awaryjny: chrzanić subtelność. Zignorował rekomendacje Smythe'a i zaczął wertować oprawione kartki w tempie, które sugerowało, że albo dokładnie wie, czego szuka, albo niespecjalnie go interesuje to, co ogląda. Wątpliwości w tej kwestii pozostawił Smythe'owi.

Serena odczekała, aż Erik zacznie kończyć przeglądanie kart, po czym przestała silić się na uprzejmość i, oparłszy się na jego ramieniu, wpatrywała się w błyszczące elementy złota, kolorów i kaligrafii.

Wyczuwając zainteresowanie Sereny - i jej ciepły oddech na swoim karku - wygłaszał uwagi na temat kart z niemal taką samą prędkością, z jaką je przerzucał. Doszedł do wniosku, że jeśli będzie udawał głupka, nie znajdzie tu niczego interesującego. Reggie skupował nawet najgorszą tandetę, byle tylko zarobić.

- Szkolna wprawka - Erik lakonicznie ocenił wyjątkowo prymitywnie wykonaną kartę. - Musiał długo się uczyć, żeby dostać dobry stopień.

- Trzynasty wiek, nie piętnasty.

- Ciekawe, kto mu mieszał kolory? Wygląda, jakby użył moczu zamiast octu, a przedtem wypił za dużo mleka.

Arkusze śmignął Serenie koło nosa; zdążyła tylko zauważyć wyblakły, dość nieprzyjemny odcień zieleni.

- Czarna sadza zamiast żywicy dębowej i żelaza. Nie zgadza się z deklarowanym czasem i miejscem. Ale pasuje do rysunku, Nieudolna.

Smythe zerknął na omawiany arkusz i nie protestował. Kupił ten arkusz w ramach transakcji wiązanej wraz z kilkoma bardzo ładnymi, czternastowiecznymi arkuszami. Trudno, na jednym się zyskiwało, na drugim traciło.

- Idiota. Użył złotej farby przed innymi kolorami zamiast po. Pewnie myślał, że nakłada złotą folię. Założę się, że nauczyciel nieraz porządnie dał mu po łapach.

Kolejne dwa arkusze z łopotem pofrunęły do kartonu. Został jeszcze jeden.

- Przydałoby się lepsze lunellum - powiedział Erik, z lekceważeniem odsuwając ostatni arkusz.

- Co takiego? - zapytała Serena, pochylając się nad nim jeszcze bardziej.

Poczuł słodki oddech kobiety. Skóra szyi otulonej szalem wydawała się gładka jak krem. Gdy ją polizał okazała się równie smakowita.

- Lunellum to zakrzywiony nożyk używany do czyszczenia skóry - powiedział z roztargnieniem w głosie, oddychając głęboko, rozkoszując się bliskością Sereny i zastanawiając się, czy szal miałby coś przeciwko temu, gdyby zatopił w nim zęby. Oczywiście delikatnie. Ta dziwna myśl sprawiła, że się uśmiechnął. - Ten pergamin wygląda, jakby został przeżuty i wypluty.

Wystawca wzdrygnął się, ale nie zaprotestował. To był naprawdę kiepski przykład sztuki iluminatorskiej.

- Tyle w tym dobrego, że iluminator najwyraźniej wciąż jeszcze uczył się swojego rzemiosła, zatem kawałek dobrego pergaminu nie został zmarnowany na popisy niekompetentnego artysty - powiedział Erik.

Zastanawiał się, czy będzie musiał otwarcie wypytywać o kartę, którą Reggie wystawił na sprzedaż w Internecie. Być może już została sprzedana. Niech to cholera.

- Jak na razie widzę tutaj nie palimpsesty, tylko szkolne wprawki, wymazywane i poprawiane - stwierdził bezceremonialnie. - Ma pan coś lepszego, czy tylko marnuje pan mój czas?

Smythe bez słowa podszedł do innego pudła. Było niższe od poprzedniego, a karty ułożono w nim na płask, w kartonowych ramkach. Smythe otworzył je ostrożnie.

Serena westchnęła nagle tak, że Erik poczuł, iż jeżą mu się włosy na skroni, a serce bije przyspieszonym rytmem.

- Cudowna - powiedziała. - To nie jest mój ulubiony styl, ale mimo wszystko cudowna. - Zerknęła na nalepkę w rogu ramki: milion sto tysięcy dolarów.

Erik nie odezwał się słowem, tylko przygwoździł wystawcę groźnym spojrzeniem.

- Co jest z nią nie tak?

- Co pan ma na myśli? - zapytał Smythe.

- Niech pan zejdzie na ziemię. To wygląda na robotę Hiszpańskiego Fałszerza. Jeżeli to prawda, nie chowałby pan tej karty w pudle.

Wystawca chrząknął i porzucił nadzieję, że ten klient zupełnie się nie zna na iluminowanych manuskryptach.

- Też tak myślałem, póki nie zestawilem jej z paroma oryginałami. To znaczy, jeśli falsyfikat można nazwać oryginałem.

- Ma pan jeszcze takie karty? - zapytał Erik. - Chciałbym mieć większy wybór.

- Nie mam, nie przy sobie.

- W pana sklepie?

Reggie poprawił przekrzywiony identyfikator ze swoim imieniem i nazwiskiem.

- Prawdę mówiąc, nie mam więcej takich kart. W ciągu ostatnich lat sprzedałem jedną czy dwie. - Gdyby chciał udzielić precyzyjnej informacji, musiałby przyznać, że już kiedyś sprzedał tę kartkę, ale doszedł do wniosku, że taka dokładność wcale nie jest konieczna. Nie ma sensu mieszać klientowi w głowie.

Erik mógł mu powiedzieć, gdzie i kiedy ta kartka była już sprzedawana, ale zależało mu przede wszystkim na tym, żeby dotrzeć do najstarszego źródła. Do pierwszej osoby, która wypuściła kartę na rynek. Z tym właśnie człowiekiem chciał porozmawiać.

- A skąd wytrzasnął pan tego rodzaju karty na samym początku?

- W tamtym czasie kupowałem sporo na aukcjach majątków: takich, które nie mają porządnego spisu inwentarzowego, bo rzeczy nie są warte zachodu.

- Przypomina pan sobie, kiedy pierwszy raz zobaczył pan taką kartę? Reggie spojrzał na Erika.

- Młody człowieku, jestem w tej branży od trzydziestu pięciu lat. Mało prawdopodobne, że zapamiętałbym taką nieistotną kartkę...

- Tylko gdyby się pan sparzył.

- Jeśli się sparzyłem, to w tamtym czasie nie zdawałem sobie z tego sprawy. - Ostentacyjnie wrócił do oglądania karty. - Domyślam się, że jest to pastisz narysowany na podstawie prac Hiszpańskiego Falszera. Anioł z jednej karty. Zamek z drugiej. Smok z trzeciej. Madonna z czwartej. Świetna robota, ale obawiam się, że to nie autentyk. Za to bardzo ładny inicjał F, nie uważa pan? Świetna głębia i zrównoważenie mimo... hm... dość eklektycznej natury tej kompozycji.

- Sfałszowany pastisz autentycznych falsyfikatów - - powiedziała cicho Serena. - Chyba znowu zaczyna mnie boleć głowa.

- A co z tekstem na dole? - zagadnął Erik.

- Świecki. Z tego, co widzę, prawdopodobnie z dwunastego wieku. Dlatego wyciągnąłem tę kartę. To pudło zawiera rzeczy dla... hm... specjalnych nabywców o specjalnych potrzebach.

Erik zastanawiał się, czy określenie „specjalny” nie jest przypadkiem traktowane zamiennie ze słowem „głupi”. Albo „nieuczciwy”. Ale to akurat nie był jego problem. On miał za zadanie ustalić, czy ten arkusz został wycięty z Księgi Uczonych.

- Czy położył ją pan pod lampę?

Smythe nie pytał, jaki rodzaj lampy Erik ma na myśli. W tym kontekście mogło chodzić tylko o promienie ultrafioletowe.

- Tak. Znaleziono nikły ślad inicjału pod spodem. Kolejna litera F albo B.

Albo połączone E i S.

Erik nie zdradził się jednakże z tą sugestią.

- Tekst?

- Nie. Inicjał prawdopodobnie został wycięty z karty służącej do wprawek albo z dodatkowych kart na początku lub na końcu manuskryptu.

- Falszerze często tak postępują - zgodził się Erik. - Dzięki temu przynajmniej pergamin jest odpowiednio stary.

- Ale jeśli pergamin był tak cenny, to dlaczego pierwotni właściciele marnowali go na puste kartki? - zagadnęła Serena.

- Pamiętasz, w jaki sposób uzyskiwało się strony w tamtych czasach, jedna cała skóra na raz?

Skinęła głową.

- Skórę można było składać wielokrotnie, tworząc odpowiednią ilość coraz mniejszych kartek. Dzisiaj drukarze wciąż robią strony w wielokrotnych zestawach, zwanych legami albo librami, co oznacza, że zostają puste strony, jeżeli tekst nie rozłoży się na ich parzystą liczbę.

Znowu skinęła głową.

- W przeszłości takie przypadki występowały częściej. Wielokrotnie zdarzało się, że tekstu było po prostu zbyt mało, żeby wypełnić wszystkie strony libry - tłumaczył Erik. - A czasami książki były przepisywane, ale nie kończone. Czasami obecność pustych stron na początku i na końcu manuskryptu miała świadczyć o jego ważności. Taki wczesny przykład ostentacyjnej konsumpcji.

Serenie przypomniał się obraz, który mrocznym nurtem przewijał się przez jej pamięć.

- Chodzi ci o okładkę książki ze złota młotkowanego, wysadzaną rubinami i szafirami, perłami i kryształem górskim albo źle oszlifowanymi diamentami? Z wzorami, które...

Erik na moment znieruchomiał, po czym natychmiast wpadł jej w słowo:

- Tak, zupełnie jak księga, którą widzieliśmy w Huntington. - I zanim zdążyła powiedzieć, że przecież nigdy nie byli w Huntington, zwrócił się do Smythe'a: - Dwieście.

- Osiemset - odparł automatycznie Smythe.

- Spróbujmy jeszcze raz. Dla kolekcjonera ta karta jest głównie warta. - Erik gładził Serenę po policzku i wsunął palce pod jej szalik, w niemym błaganiu, by odegrała swoją rolę. - Kupuję ją tylko dlatego, że podoba się mojej narzeczonej, a ja w zeszłym tygodniu zapomniałem o jej urodzinach.

Serena przygryzła wargę, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Powoli otarła policzek o jego dłoń i zatrzepotała rzęsami, jak przystało na prawdziwą dobrą narzeczoną.

- Jesteś taki słodki. Ale nie musisz mi nic kupować. Kiedy powiedziałam, że wcale nie jestem zła, mówiłam serio.

- Kochanie, wiesz, że lubię kupować ci prezenty. - Erik zaczął wertować resztę pozostałych w pudle arkuszy. Nic nie wzbudziło jego zainteresowania.

- Pięćset - powiedział szybko Smythe, czując, że transakcja wymyka mu się z rąk.

- Dwieście pięćdziesiąt.

- Zapakować?

Erik energicznie skinął głową, zapłacił gotówką i chwycił Serenę za ramię. Odciągnął ją kilka kroków dalej, w miejsce, gdzie nikt nie mógł ich podsłuchać, i zapytał kategorycznym tonem:

- Gdzie widziałaś okładkę książki wysadzanej szlachetnymi kamieniami i złotem młotkowanym?

Serena pomyślała, że przejrzyste oczy Erika naprawdę mogłyby się podobać, gdyby nie to, że patrzył na nią gniewnie, wręcz jakby ją o coś oskarżał.

- Ja... To tylko jakieś dawne wspomnienie. Prawdopodobnie jeszcze ze szkoły.

Ale żadne z nich w to nie wierzyło.

- Czy to był styl barokowy, czy pełen lilijek, prosty czy może wymyślny?

- Przede wszystkim był bardzo celtycki - odparła. - Śmiały, lecz skomplikowany. Jak inicjały E i S na moich kartkach, ale nie te inicjały, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Potrafiłabyś to narysować?

- Mogłabym spróbować. A dlaczego?

- Jak stare jest twoje wspomnienie? Czy równie dawne jak wspomnienie o splecionych inicjałach?

Natychmiast zorientowała się, o co mu chodzi.

- Myślisz, że widziałam okładkę w tym samym czasie.

- Myślę, że gdybym włożył tyle pracy w manuskrypt, to albo ja, albo któryś z moich potomków na pewno staralibyśmy się go pięknie ozdobić, żeby podkreślić jego ważność.

Serena, zamknawszy oczy, usiłowała odtworzyć wspomnienie. Im bardziej się starała, tym trudniej było je uchwycić. Wydała odgłos świadczący o niezadowoleniu: przypominał fukanie kota.

- Przykro mi. Nie mogę bardziej pomóc. Po prostu tego nie widzę. Chciał nalegać, ale wyczuł, że na nic by się to nie zdało.

- Obejrzyjmy jeszcze trochę arkuszy. Może to odświeży ci pamięć.

- A jeśli nie odświeży?

- Przeszukamy bazę danych w Rarities.

- A jeśli...

- A jeśli jutro umrzemy? - przerwał jej niecierpliwie i zaraz pożałował wypowiedzianych słów.

- Potrafisz człowieka pocieszyć.

- Tak - odparł z niezadowoleniem. - Miły ze mnie miś. - Szybko i mocno pocałował Serenę. - Chodź. Musimy jeszcze przejrzeć mnóstwo szajsu, a czasu nie ma zbyt wiele.

- Do naszej śmierci? - odparła zgryźliwie.

Nie odpowiedział. Bo właśnie zobaczył mężczyznę, którego twarz do złudzenia przypominała Eda Hellera z fotografii w archiwach Rarities.

Rozdział 50

Heller był całkiem pewien, że Erik North go zauważył. Wallace ostrzegał go, że Erik potrafi być nieprzewidywalny, ale Heller mu nie wierzył. Na miłość boską, przecież ten facet był cholernym naukowcem. W dodatku zniewieściałym artystą. Wallace musiał być chyba strasznie zaspany, skoro dał się złapać na tamtej skalnej ścianie.

Jednakże Heller musiał przyznać, że Erik ma naprawdę bystry wzrok.

Dobre było to, że Heller musiał tylko sporządzić listę ludzi, z którymi Erik i Serena spotkali się podczas targów; pogadać dyskretnie ze wszystkimi osobami, z którymi rozmawiali, i upewnić się, że wrócili na nocleg do hotelu Retreat. Jutro miał robić to samo. Żadnej ciężkiej roboty. Facet z okropnymi włosami - Smythe, Reginald, zwany Reggiem, biały mężczyzna, rasa kaukaska, jakieś pięćdziesiąt lat, zamieszkały w Bostonie, rozwiedziony - chętnie rozmawiał o wszystkim, również o tym, co właśnie sprzedał młodemu człowiekowi, który wiedział o manuskryptach znacznie więcej, niż początkowo mogło się wydawać.

Hellerowi nie udało się powstrzymać Smythe'a, który zaczął perorować na temat swojego żółwia i głupich macior z pralni chemicznej, które powinny iść na zasilek zamiast niszczyć guziki przy jego koszulach.

Taki rodzaj śledztwa był o wiele łatwiejszy niż klęczenie wśród różnych krzewów czy kaktusów, żeby zrobić z bliska zdjęcia jakiejś drobnej kobietki, kiedy posuwa ją ktoś inny niż jej stary. Niektórzy pracownicy naprawdę podniecali się oglądaniem seksu. Heller do nich nie należał, chyba że drobna kobietka miała niezłe walory, albo facet był hojnie obdarzony przez naturę. Wtedy obserwowanie ich akrobacji było nawet dość zabawne.

- Coś już sprzedajecie?

Znajome słowa sprawiły, że Heller wrócił do rzeczywistości. Marszcząc czoło, spojrział na przejście. Ktoś powinien przywalić temu świrowi łokciem w gardło. W ciągu ostatnich piętnastu minut zadał to pytanie chyba milion razy.

Poczuł burczenie w żołądku. Wyjął z kieszeni marynarki batonik Granola i odwinął z papierka. Przy pierwszym kęsie przypomniał sobie, dlaczego woli jeść orzeszki w zwyczajnej postaci, zamiast pokruszonej miazgi, zmieszanej z miodem i czymś tam jeszcze, w

zależności od tego, co w danym tygodniu jego żona sprzedawała jako zdrową żywność.

Może Erik wkrótce zgłodnieje. Kafajka naprzeciw holu wcale nie była zatłoczona, a zapach frytek wydawał się całkiem zachęcający.

Heller westchnął cicho. Kiedyś przyjdzie taki dzień, że nie będzie musiał wozić się z pełnoziarnistymi batonami oraz sztuczną czekoladą i tęsknić za frytkami. Kiedyś dorwie naprawdę dobrą fuchę, jak Wallace. Będzie zamawiał steki i dziwki, kiedy zechce. Skoro dostawał parę tysiąków za złamanie ręki tu i tam, to stuknięcie jakiegoś faceta powinno mu przynieść co najmniej dziesięć tysięcy. Kurczę, może nawet dwadzieścia. Będzie srał forszą, jak zwykła mawiać jego nieżyjąca babcia.

Jeśli Wallace jeszcze raz zaproponuje, że przyjmie go do naprawdę porządnej roboty, powie tak.

Rozdział 51

Los Angeles, sobota po południu

Risa Sheridan uśmiechnęła się do młodego dealera, który próbował jej zaimponować swoją wiedzą o iluminowanych manuskryptach i seksie. Wysiłał się niepotrzebnie, ale jeszcze o tym nie wiedział. Ona zaś miała w zanadrzu jeszcze kilka pytań i liczyła, że w końcu otrzyma sensowne odpowiedzi. Shane Tannahill strasznie chciał zdobyć tę połączaną stronę dywanową. Nawiasem mówiąc, rozmaici ludzie na wystawie zapewniali ją, że to sprzeczność terminologiczna: słowo „dywanowa” odnosiło się do malarstwa, a słowo „połączana” dotyczyło złocistego efektu. Risa tylko uśmiechała się raz po raz i kontynuowała wypytywanie targowiczów.

Skoro Shane chciał połączanej strony dywanowej, postanowiła zdobyć dla niego kartę, na której będzie o wiele więcej złota niż kolorowej farby, a odcisnięty w złocie wzór będzie się ciągnął od bordiury do bordiury. Jej największy problem polegał na tym, że zdawała sobie sprawę, iż nie jest jedyną osobą, która prowadzi poszukiwania na jego rzecz. Shane Tannahill stosował wobec swoich podwładnych drapieżny model awansowania: wrzucić wszystkie rekiny do tego samego basenu i zobacz, który z nich będzie pływał najdłużej.

Zamierzała być ostatnim rekinem. Nie wiedziała tylko, ile rekinów Shane razem z nią wpuścił do basenu. Jednego była absolutnie pewna: że nie tylko ona została wysłana z misją zdobycia tej karty. Możliwe, że Shane wezwał na pomoc wiele rekinów. Niestety, jeśli chodziło o współzawodnictwo, Risa nie była najpodlejszym rekinem w tym stawie: nie posunęłaby się do pewnych rzeczy, żeby wygrać. Ważniejsze było dla niej, żeby móc bez wstydu spojrzeć w lustro, na przykład podczas nakładania makijażu.

Nie każdy zatrudniony przez Shane'a pracownik miał tego rodzaju skrupuły, a to oznaczało, że Risa musiała być najszybsza i najinteligentniejsza.

- A więc słyszał pan o jakichś stronicach w celtyckim stylu insularnym, ale nie ma pan mi nic do pokazania? - zagadnęła.

- Nic, co byłoby nowością na rynku, ale jest to świetny przykład epoki, która panią interesuje.

Spojrzała na arkusz z niekłamaną ciekawością. Jej doświadczone oko dostrzegło inspirację celtycką biżuterią w każdym pociągnięciu pióra osoby, która wykonała iluminację. Sam styl deseni pozwolił jej

umieścić arkusz w konkretnym półwieczu i ustalić mniej więcej kilkusetkilometrowy obszar, z którego mógł pochodzić. Ale gdyby powiedziała gorliwemu naukowcowi po drugiej stronie szklanej szyby, że pomylił się w datowaniu arkusza o cały wiek i podał niewłaściwy kraj pochodzenia, na pewno nie wydobyłaby od niego żadnych informacji. Dlatego szerzej otworzyła oczy, oblizwała wargi, które zdawały się fascynować mężczyzn — z przyczyn, które dla niej samej pozostawały niepojęte - i posłała młodzieńcowi powłóczyście spojrzenie, gwarantujące, że zacznie myśleć penisem, a nie głową.

- Czy to są karty, o których pan słyszał?

Chciał, żeby tak było, naprawdę chciał. Prawie równie mocno jak tego, by lepiej poznać tę kobietę o zmysłowych ustach, złamałby wiele przepisów kodeksu cywilnego, byle tylko uprawiać z nią seks.

- Hm, nie. One były malowane. Ta jest, jakby to powiedzieć, narysowana. - Wskazał inicjał, który rzeczywiście został wykonany czerwonym atramentem, a nie farbą. - Ale ten rodzaj rysunku to przecież typowa cecha celtyckiego stylu insularnego i jakby techniki.

- W takim razie pozostałe karty, te, o których pan słyszał, nie byłyby takie wartościowe? - zapytała, przysięgając sobie w duchu, że nigdy nie będzie używać słowa "jakby", żeby jakby zastępować nim wszystkie inne słowa.

Westchnął, myśląc o dolnej wardze pełnych ust Risy.

- Prawdę mówiąc, one mają, jakby, większą wartość, ponieważ są rzadsze. Jeżeli są, jakby, prawdziwe.

- Prawdziwe? To znaczy autentyczne?

- Tak. To jest zawsze, jakby, pytanie, kiedy nowe rzeczy trafiają na rynek. Zwłaszcza... - Przerwał, bo zbyt późno przypomniał sobie, że dzisiaj ma sprzedawać manuskrypty, a nie pouczać absolwentkę historii sztuki o obowiązkach i pułapkach czekających na kuratora prywatnych kolekcji. Przygładził ręką niepokojąco przerzedzone włosy. Wiedział, że podobnie jak brat jego matki, do trzydziestego piątego roku życia całkiem wyłysieje. - Nowe rzeczy zawsze, jakby, rodzą nowe pytania.

- A więc Warrick krytykuje te karty? - zagadnęła, czytając między wierszami.

Zawahał się, a potem poruszył się lekko. Najwyraźniej nie będzie pierwszym, który wspomni o dyskretnym i krytycznym werdykcie House of Warrick na temat tych kart.

- Między innymi.
- Naprawdę? A kto jeszcze je oglądał?

- Nikt. Ale jeśli Norman Warrick twierdzi, że do tych stron trzeba, jakby, podchodzić z dużą ostrożnością, to nikt się nie wychyli i nie wyrazi odmiennej opinii. Ktokolwiek jest właścicielem tych kart, będzie miał, jakby duże trudności z ich sprzedażą.

Uśmiechnęła się. Shane wysłucha tych słów z zadowoleniem, gdyż okoliczności związane z tymi kartami doprowadzą do obniżenia ceny i odstraszą innych nabywców. Ale postanowiła na razie mu tego nie mówić. Niech się trochę pomęczy.

Nie żeby takiemu bogatemu człowiekowi jak Shane kiedykolwiek zależało na pieniądzach. Zresztą jemu chyba na niczym nie zależało.

- Dziękuję, że poświęcił mi pan tyle czasu - powiedziała Risa. - Wiele się od pana nauczyłam. Od tej pory oglądając karty w celtyckim stylu insularnym, będę umiała je właściwie ocenić.

- Jeżeli ma pani jeszcze jakieś, jakby, pytania, to ja, jakby, z przyjemnością.

Machnęła rękę, nawet nie oglądając się na niego.

Patrzył za nią tęsknym wzrokiem. Dopiero kiedy wmieszała się w tłum zgromadzony wokół wartej wiele milionów dolarów Księgi Godzinek, młody naukowiec uświadomił sobie, że został przez tę kobietę o zmysłowych, oszałamiających ustach bardzo subtelnie zrobiony w konia.

Ktoś, kto wiedział o niechęci Warricka do nowych odkrytych kart, nie potrzebował, jakby, pomocy w wyborze naprawdę ładnego przykładu brytyjskiej iluminacji w archaicznym celtyckim stylu insularnym z początku dwunastego wieku.

Rozdział 52

Ludzie wciąż się tłoczą wokół tej księgi - stwierdziła Serena, obserwując dyskretny pojedynek na łokcie, rozgrywający się między widzami, którzy próbowali podejść bliżej do wartej miliony dolarów głównej atrakcji targu.

Erik nawet nie podniósł głowy. Wydawało się, że pochłania go wybieranie arkuszy z Księgi Godzinek przez jakąś włoską damę, ale tak naprawdę koncentrował uwagę na dwóch mężczyznach w garniturach, siedzących na krzesłach pod ścianą. Mocno pochyleni ku sobie, patrzyli sobie w oczy jakby chcieli się odgrodzić od otoczenia. Najwyraźniej byli przekonani, że hałas panujący w sali balowej zagłuszy ich rozmowę. W większości przypadków tak by się stało. Jednak Erik miał znakomity słuch, a mężczyzna zajmujący się sprzedażą, mówił donośnym głosem.

- ... żeby zapłacić milion. Ona nie wie, co ma. Od czasu Księgi z Kells nie było niczego o porównywalnej jakości.

- Jesteś pewien, że ona nie wie?

- Gdyby wiedziała, to przecież wyznaczyłaby za nią wielomilionową cenę, czyż nie? To powtórka sytuacji z tamtą wspaniałą Ewangelią włoską z zeszłego roku. Jeden spadek. Jeden tępy spadkobierca. Jeden dobry zakup dla nas.

- Tak, ale...

- Posłuchaj - przerwał mu tamten. - Ten, kto nie docenia tego, co ma, nie zasługuje na posiadanie tego. Jeśli ona weźmie parę tysięcy dolarów za dzieło sztuki warte wiele milionów dolarów, jest to cena, którą zapłaci za ignorancję w dziedzinie kultury.

- Pod warunkiem, że to legalne.

- Nie ma problemu. Jeszcze nie uchwalono ustawy przeciwko głupocie. Żaden z mężczyzn nie wspomniał o etyce, zapewne dlatego, że nie byli

tym tematem zainteresowani.

- A więc sądzisz, że uda ci się zdobyć ten manuskrypt za parę tysięcy?

- Może. Być może będę musiał dojść aż do stu tysięcy, bo ona jest ostrożna i mówi, że nie ma całości, ale krążą słuchy, że jednak ją ma. Po prostu chce podbić cenę. Ty wyłożysz gotówkę, a ja wezmę dwadzieścia procent od ponownej sprzedaży.

- Piętnaście. A to i tak tylko połowa tego, ile by wyniosło znaleźne.

- Tak, ale beze mnie ty...

- Piętnaście - przerwał mu człowiek z forszą.

- Zgoda. Piętnaście. Ale będę potrzebował tych pieniędzy szybko. Wiadomość o arkuszach, które przesłała Warrickowi, już poszła w świat.

- Tak. A ja słyszałem wiadomość, że to falsyfikaty.

- Tere fere. Moje źródło twierdzi, że są ze szczerego złota.

- Co to za źródło?

- To co zawsze.

- Tak? A któż to taki?

- Mała ptaszyna.

Erik wciąż patrzył na ilustrację piętnasto wiecznego artysta przedstawiającą scenę Boskiego objawienia, kiedy jeden z dwóch mężczyzn przemaszerował obok niego pośpiesznie ten, którego głos był tak donośny, ten który rozmawiał z „małą ptaszyną”.

- Coś już sprzedajecie? - zapytał nad ramieniem Erika.

- Nie - odparła właścicielka, młoda kobieta imieniem Marianne, obserwując Erika kątem oka. - A pan?

- Nie, do diabła. Na takich imprezach nikt nie kupuje. Po prostu dajemy darmowy pokaz.

Kiedy mężczyzna skręcił w kolejne przejście i zaczął wypytywać wszystkich innych właścicieli o sprzedaż, Erik podniósł oczy.

- Kto to był? - zapytał Marianne.

- V.L. Stevenson. Ma swój straganik niedaleko wejścia, ale nigdy go w nim nie ma.

- Zapewne dlatego niczego nie udaje mu się sprzedać - skomentowała Serena.

Spojrzenie Marianne sugerowało, że wolałaby, żeby Erik był sam, ale odpowiedziała uprzejmie:

- Chyba ma pani rację. Większość właścicieli stoisk umawia się, że będą sobie nawzajem pilnować interesu, ale... - Wzruszyła ramionami, nie mówiąc rzeczy najbardziej oczywistej: dzielenie się obowiązkami z wiecznie wędrującym V.L. Stevensonem nie było najmądrzejszym wyjściem. Przysunęła się do karty, którą studiował Erik, i pąsowym paznokciem pokazała jeden z obrazków. - Ciekawy w tym manuskrypcie, oprócz użycia złotej folii, jest fakt, że to jeden z

najwcześniejszych znanych nam przykładów wykorzystania do celów zdobniczych księgi z gotowymi wzorami z biblioteki Pepys.

- Co to takiego? - zapytała Serena.

- Średniowieczna kolekcja obiektów do kopiowania - coś jak clip art - wyjaśnił Erik. - Była to księga ze szkicami ptaków i innych rzeczy, na których wzorowali się autorzy iluminacji i miniatur, kiedy zdobili manuskrypty.

- Czyli wtedy nie istniało coś takiego jak ochrona praw autorskich.

- Nie było takiej potrzeby. Kopiowanie było konieczne, jeśli umiejętność czytania i religia w ogóle miały się rozprzestrzeniać. Zanim wprowadzono numerowanie stron, iluminowane inicjały i miniatury służyły jako sposób zapamiętywania, na której stronie zaczyna się określone kazanie, dlatego zdobienia również były kopiowane.

- Przed epoką druku udostępnianie manuskryptów mniej uprzywilejowanym zakonom religijnym było zaszczytem i powinnością - wyjaśniła Marianne. - Bogate klasztory wypożyczały swoje książki do kopiowania biedniejszym, które nie mogły sobie pozwolić na zamawianie tak drogich dzieł.

Serena popatrzyła na arkusz. Był dość kolorowy, ale wydał jej się źle skomponowany. Ptaki wyglądały jak przyklejone na chybił trafił, żeby tylko nie odpadły od karty.

- Potem pojawiła się prasa drukarska - powiedział Erik, wskazując następny arkusz. Ten zawierał mniej kolorów. Tylko najważniejsze części rozpoczynały pomalowane na czerwono inicjały. - Dzięki niej nie było już potrzeby ręcznego kopiowania. Współcześni szydzili z niższej jakości kopii, ale wcześniej oryginalność wcale nie była w cenie. Wręcz na odwrót. Była traktowana jako coś podejrzanego.

- To logiczne - stwierdziła Serena. - Większość pierwszych książek była poświęcona tematyce religijnej, a z punktu widzenia religii oryginalność to synonim herezji.

Erik wyszczerzył zęby w uśmiechu i przebiegł opuszkami palców po jej długim, rudym warkoczu.

- Szybka jesteś, co?

- Dostatecznie szybka, żeby dać ci po łapach, jeśli będziesz się czepiał mojej frotki - powiedziała, mając na myśli elastyczną opaskę

na końcu warkocza. Zauważyła, że Erik lubi rozplatać jej włosy. - Jeśli rozwalisz mi warkocz, będziesz musiał go z powrotem spleść.

- Już się cieszę. - Z uśmiechem zwrócił się do Marianny. - Ten manuskrypt jest interesujący, ale nie tego dokładnie potrzebuję. Ma pani jakieś palimpsesty, zwłaszcza z piętnastego wieku? Najlepiej, żeby to były miniatury i inicjały.

- Przykro mi. Specjalizujemy się w całych manuskryptach. Szukał pan u Reggiego Smythe'a?

- Tak.

Marszcząc brwi rozejrzała się po pomieszczeniu, jakby szukała inspiracji.

- O, ależ oczywiście! Albert Lars. Na samym końcu pasażu J. Ma ogromną kolekcję iluminowanych pojedynczych kart i dziwnych drobiazgów. - Szybko pisała na wizytówce. - Jeśli nie znajdzie go pan za straganem, proszę spróbować zadzwonić na ten numer. Robi wiele popołudniowych pokazów.

- Dziękuję, zrobię tak - powiedział ciepło Erik.

Mówił szczerze. Nie chciał ułatwiać Edowi Hellerowi już i tak prostego zadania, a poza tym doszedł do wniosku, że nikt nie poleci mu poczciwego starego Berta, dzięki czemu miałby wymówkę, żeby poszukać drugiego handlarza, który w przeszłości miał udokumentowany związek z jakimiś kartami z Księgi Uczonych. Może Heller przeoczy ten związek. Może nie. Warto spróbować.

Erik wsunął wizytówkę do kieszeni i zaczął powoli przemieszczać się w kierunku pasażu J. Po drodze rozmawiał z właścicielami i personelem, mając nadzieję, że Hellerowi zdrtwieje ręka od robienia notatek na temat tego, z kim i na jakie tematy rozmawiali. Kiedy dotarli do pasażu J., oczy Sereny wydawały się zaszkłone.

- W porządku. Myślę, że już załapałam - powiedziała. - Nazywa się je miniaturami, ponieważ pierwotnie wykonywano je za pomocą czerwonej farby, która nosiła nazwę minium.

- Dokładnie. Stąd słowo miniaturysta - ktoś, kto maluje na czerwono. Potem pojawiły się inne kolory. Nazwa pozostała, ale zmieniło się znaczenie.

- Rozumiem. Miniatury są niezależne od tekstu i nie stanowią jego części jak inicjały. Mogą wręcz nie mieć nic wspólnego z tekstem.

- Zgadza się.
- Słowo „kodeks” ma nietypową liczbę mnogą.
- Tak.

- To już chyba wiedziałam. Zupełnie jak słowo „indeks”, które teraz ma odmianę regularną. Myślisz, że to samo stanie się ze słowem „kodeks?”

- Tylko pod warunkiem, że ludzie zaczną go używać jako synonimu „książki”.

- Jakoś sobie tego nie wyobrażam. Większość ludzi nawet nie jest pewna, co to synonim.

Wybuchnął śmiechem.

Serena mówiła teraz bez przerwy. W ten sposób układała sobie w głowie oderwane fakty. Koneser znał ten jej zwyczaj. Nie zwracał na to uwagi. Z Erikiem było przyjemniej. Wydawało się, że lubi jej perorowanie.

- Chryzografia to pisanie płynnym złotem - powiedziała, porządkując gmatwaninę nowych pojęć. - Białko to substancja wiążąca. Sproszkowane metaliczne złoto nadaje atramentowi charakterystyczną barwę. Było coś jeszcze.. . - Zmarszczyła brwi. - Och, tak. Ta zawiesina jest robiona z białka kurzych jaj. Obrzydliwość. Jak sądzisz, kto pierwszy się zorientował, że to jest takie kleiste?

- Matka pierwszego dziecka, które upuściło jajko i w ten sposób przykleiło swoją ulubioną myszkę do podłogi.

Serena zachichotała.

- Heksateuch i inkunabuł, te słowa istnieją naprawdę. Pierwsze odnosi się do pierwszych sześciu ksiąg Starego Testamentu. Drugie oznacza każdą książkę wydrukowaną przed 1501 rokiem. „Primer” to inne określenie Księgi Godzinek, wzięte z „godziny primy”, czyli części pierwszego z codziennych nabożeństw. Ponieważ większość ludzi nauczyła się czytać - jeśli w ogóle podjęła taki wysiłek - z Księgi Godzinek, dzisiaj używamy w języku angielskim słowa „primer”, kiedy mówimy o elementarzach i podręcznik opisujących podstawy czegoś.

- Tyle tego i jakie to piękne. Fantastyczne.

- Ha, ha - odparła bez emfazy. - Każdy inaczej rozumie określenie „insularny celtycki”.

Erik wybuchnął śmiechem.

- Tylko jeżeli mówisz o epokach. Dlatego ja przeważnie dodaję do opisu: „z początku dwunastego wieku”. To uproszczony sposób powiedzenia, że mamy do czynienia z manuskrytem z okresu romańskiego w insularnym stylu celtyckim.

- A więc styl Erika Uczonego był anachronizmem?

- Może. A może skomplikowany, ale wybijały styl celtycki przemawiał do jego duszy bardziej niż surowy styl romański. Tak czy owak, to była kwestia jego świadomego wyboru, a nie konieczności. Nie był ignorantem. Wiedział, co się dzieje na kontynencie. Być może nawet brał udział w jednej z krucjat. Z pewnością miał przyjaciół albo sojuszników, którzy walczyli z Saracenami.

- Skąd wiesz?

- Księga Uczonych wymienia jednego z sojuszników Erika. Jest nim Dominic le Sabre, zwany Mieczem. Był normandzkim rycerzem, który otrzymał w Anglii lenno w nagrodę za wielkie czyny, jakich dokonał na krucjatach.

- Szczodrość ze strony króla.

- Do pewnego stopnia. Król Anglii był sprytnym draniem. Dał swojemu „Mieczowi” - ten przydomek oznaczał wspaniałego wojownika i przywódcę - ziemię i małżeństwo w rejonach przygranicznych, gdzie Sasi wciąż niechętnie skłaniali głowę przed angielskim królem. Za jednym zamachem król pozbył się dzielnego normandzkiego wojownika - przywódcy, ulokował potężnego sojusznika w pobliżu linii wroga i wymierzył policzek zarozumiałym Sasom.

Serena pomyślała o eleganckich, wykonanych z miłością stronicach, które zostawiła jej babka.

- Jakoś nie wydaje się możliwe, żeby taka piękna, skomplikowana sztuka pochodziła z epoki politycznych spisków, jakie knuto za plecami adwersarzy. Albo całkiem jawnie. Wspominałam o otwartej wojnie?

Erik spojrział na nią gdy marszczyła czoło.

- Nie bez powodu otaczano wówczas klasztory wysokimi murami, a świeckie zamki palisadą i fosami. Jeśli nie toczyła się wojna, trzeba było się obawiać bandytów lub ambitnych sąsiadów. W tamtych czasach siła oręża zapewniała więcej pokoju niż konfesjonał. Tereny Przygraniczne, Ziemie Sporne, Szkockie Marchie, Niziny... bez względu na nazwy północ Anglii i południe Szkocji niejedną raz

były świadkiem rozlewu krwi. - Wzruszył ramionami. - Krew prawdopodobnie była pierwszym atramentem.

- Optymistyczna myśl.

- Realistyczna.

Serena nie oponowała. Zauważyła, że Erik co parę minut niedbale zerka na tłum. Tak jak w tej chwili.

- Znalazłeś to? - zapytała z napięciem w głosie.

- To, za czym się rozglądasz.

Na moment mignęła mu pulchna twarz Hellera i jego krótkie, jasne włosy.

- Tak, znalazłem.

- Kto to taki?

- Nikt, kogo chciałabyś poznać.

Erik zastanawiał się, czy nie powinien pozwolić Hellerowi iść za nim do jakiegoś spokojnego miejsca, gdzie nie przeszkodziłoby im jacyś mający dobre intencje świadkowie. Jednak zrezygnował z tego pomysłu. Heller nie będzie wiedział o tajemniczym pracodawcy więcej niż Wallace, a prawdopodobnie mniej. W tej spółce Wallace zdecydował o wszystkim.

- Wygląda na to, że Berta tu nie ma - powiedziała Serena.

Erik przestał obserwować Hellera kątem oka i przeniósł wzrok na pusty stragan Berta.

- Jeśli chodzi panu o prywatny pokaz pana Larsa - odezwał się szczupły młodzieniec za sąsiednim straganem - to odbywa się po drugiej stronie korytarza, w Srebrnym Pokoju. Niech się pan nie przejmuje, że jest za późno. On nie przykłada szczególnej wagi do etykiety.

- Dziękuję - powiedział Erik.

- Co teraz zrobimy? - zapytała cicho Serena.

- Pójdziemy na imprezę Berta.

- Nie byliśmy zaproszeni. Spojrzał na nią z ukosa.

- Kupcy zawsze są zapraszani na imprezy Berta.

- To dlaczego odbywa się w prywatnym pokoju?

- Zobaczysz.

Rozdział 53

Erik podał jedną ze swoich wizytówek Rarities Unlimited niechlujnie wyglądającemu portierowi stojącemu pod drzwiami Srebrnego Pokoju. Chwilę później w drzwiach pojawił się Bert, uśmiechnięty jak krokodyl. Był to wysoki, chudy mężczyzna o rzadkich blond włosach; ubrany w koszulę z surowego jedwabiu i dżinsy, garbił się jak uczonec, ale miał w sobie coś z byłego producenta pornosów. Powitał Erika jak starego przyjaciela albo osobę, która ma coś do sprzedania - serdecznym uściskiem dłoni i męskim kuksańcem w ramię.

W poprzednim życiu Bert był hollywoodzkim producentem. A przynajmniej tak utrzymywał w rozmowach z ludźmi, których interesowała jego kariera. W pewnym sensie była to prawda. Rzeczywiście produkował filmy. Niektóre z nich miały nawet dialogi.

Jego bogata rodzina odetchnęła z ulgą, gdy postanowił jednak zmienić środki wyrazu: zaczął kolekcjonować średniowieczne wyroby. Szybko przzerzucił się z broni i zbroi na przedmioty łatwiejsze w transporcie. Przez kilka lat jego pasją była biżuteria rozmaitego rodzaju i wartości, szczególnie jej celtycka odmiana. Potem zajął się iluminowanymi kartami. Nie całymi manuskryptami, tylko kartami. Nieraz powtarzał, że i tak w danej chwili można patrzeć tylko na jedną stronę.

- Hej, młody, gdzie ty się podziewał? - zapytał Bert. - Kopę lat. - Wchodź, wchodź. Gdybym wiedział, że jesteś w mieście, wysłałbym ci zaproszenie przez kuriera. - Nie czekając na odpowiedź, dokładnie przyjrzał się Serenie z miną faceta, który doskonale wie, jak podczas castingu korzystać z władzy, ambicji i kanapy. - To jest twój Brzuszek Dnia?

Serena zmusiła się do lekkiego uśmiechu. Mężczyźni, tacy jak, Bert byli główną przyczyną, dla której spędziła ostatnie cztery lata jako „odrodzona dziewczina”. Jedyna różnica między tym facetem a niektórymi mężczyznami, którzy wyleczyli ją z fascynacji płcią przeciwną, polegała na tym, że w jego bladoniebieskich oczach malowała się chłodna kalkulacja.

Erik chciał ją przedstawić, ale przerwała mu w pół zdania.

- Nie rób sobie kłopotu - powiedziała nonszalancko. - Brzuszek i Końskie Zady nie muszą sobie podawać imion.

Uśmiech Berta przerodził się w chrapliwe rżenie.

- No, uważaj, chłopie. Te spryctary będą brały alimenty, zanim stuknie ci czterdziestka.

- Spryctary nie wychodzą za mąż - powiedziała, śmiejąc się perliście. - Towaru się używa, a potem się go pozbywa.

- Szkoda, że cię nie poznałem, zanim wyrosły ci zęby - powiedział Bert i naprawdę się do niej uśmiechał.

- Ona się urodziła z zębami - stwierdził Erik. - Możesz mi wierzyć.

- Nigdy nie myślałem, że dominy są w twoim typie.

- Ja też nie - odparł Erik. - Życie jest pełne niespodzianek. Te najlepsze mają przy sobie bicze z czarnego aksamitu.

Serena rzuciła mu spojrzenie, które zapowiadało zemstę. Uśmiech Erika sugerował, że wprost nie może się doczekać, a nawet ma parę własnych pomysłów na wyrównanie rachunków.

- Człowieku, jesteś nieźle zakrecony. Podoba mi się - orzekł Bert, ciągnąc ich do pokoju. - Towary znajdziesz wzdłuż przeciwległej ściany. Ty i Minka chcecie się czegoś napić?

Erik omal się nie udławił ze śmiechu, kiedy skojarzył „Minkę” z dominą. Serena wydała coś w rodzaju prychnięcia, które zaraz przeszło w kaszel.

- Dzięki - odparł i pociągnął duży łyk, starając się nie roześmiać.

- Na razie jest nam dobrze.

- Świetnie. Dajcie znać, jak będziecie czegoś potrzebowali. Bawcie się dobrze. - To rzekłszy, Bert wrócił do małego tłumu zgromadzonego w pokoju.

- Bert to specyficzny gość - powiedział obojętnym tonem Erik.

- Wręcz fantastyczny - odparowała Serena. - Jak myślisz, ile czasu mu zajęło nauczenie się tej roli?

- Czasami myślę, że to nie jest rola.

- Przerażasz mnie.

- Nie martw się, Minka. Zaopiekuję się tobą.

- Możesz mi nadmuchać - odparła lakonicznie.

- To też.

Zanim zdołała cokolwiek odpowiedzieć, wziął ją pod rękę i podprowadził do ściany. Nie znał wszystkich graczy, ale często wystarczyło spojrzeć, żeby określić pochodzenie. Ludzie z wschodniego wybrzeża nosili skórzane buty, luźne spodnie i koszule z wycięciem. Miejscowi mieli na sobie dzinsy, buty do biegania,

koszule za trzysta dolarów, sportowe kurtki po dwa tysiące baksów. Dwie z kobiet - niewątpliwe tutejsze - były ubrane jak seksualne trofea. Dwie inne wyglądały jak przepracowane żony pracowników akademickich z college'u z górnej półki. Kobiety - trofea w ogóle nie interesowały się kartami. Kobiety w ciemnych sukienkach, zachowawczych czółenkach i z naszyjnikami z pereł, były bardzo zaintrygowane zawartością szklanych gablot.

Erik również. Idąc przed Serenę, szybko oglądał ofertę. Od czasu do czasu wyciągał swój aparacik, wpisywał jakieś notatki albo słał zapytania do bazy danych w Rarities.

Karty w Srebrnym Pokoju były dla Sereny rewelacją. Dotychczas traktowała manuskrypty jako coś uładzonego, wręcz zachowawczego, zawierającego opis duchowy aspiracji człowieka. Ale jak wszystko co ludzkie, iluminowane manuskrypty dzieliły się na wiele rodzajów. Bert kolekcjonował odmianę najbardziej szokującą w XXI wieku, który wciąż po purytańsku traktował fizjologiczne funkcje ciała, w tym także, ale nie jedynie, seks.

Serena pochyliła się nad gablotą, spoglądając z mieszaniną niesmaku i fascynacji. Stwory na marginesach były groteskowe, miały wyolbrzymione genitalia i zachowywały się wyraźnie perwersyjnie.

- Boję się o to zapytać, ale... - zaczęła.

- Co one robią? - wtrącił z uśmiechem Erik.

- Nie! Na ten temat wiem już stanowczo zbyt dużo.

Zastanawiałam się, jaki tekst ilustrują.

- To fragment Ewangelii według świętego Marka.

- Żartujesz.

- Nie.

- To po co...?

- To zdobienie?

- Zdobienie - odparła obojętnym tonem. - Nie przyszłoby mi do głowy użyć tego słowa w opisie demonicznej proktologii.

Roześmiał się i jeszcze raz spojrzął na kartę, o której właśnie rozmawiali.

- Może on tylko mierzył swojemu kompanowi temperaturę.

- Może mam na imię Minka.

Pokręcił głową i postanowił przestać się z nią droczyć.

- Kiedy tworzono te manuskrypty, piekło było czymś bardzo realnym. Było siedliskiem wszystkich grzechów, wszystkiego, co było

groteskowe, wszystkiego, czego Bóg zabraniał człowiekowi, a w Biblii znajdował się szczegółowy opis tych okropności. Niestety, wiele osób związanych z manuskryptami, od skrybów po świeckich właścicieli i całkiem pokaźną liczbę kapłanów, po prostu nie umiało czytać. Czerpało odporność przeciw piekłu z marginaliów i zdobień, a te groteskowe elementy miały odstraszać człowieka od czynienia zła, bo pokazywały, jaki los czeka grzesznika w piekle.

Serena rozejrzała się po sali, zerknęła na ludzi wpatrzonych w gabloty.

- Nie wydają się zmartwieni czy zaskoczeni.

- Nie są. To zupełnie inna kultura. Oni kupują historyczne ciekawostki albo powiększają prywatne lub naukowe kolekcje dotyczące perwersji na przestrzeni wieków.

Serena pochyliła się nad następną gablotą i próbowała obejrzeć jej zawartość. Była pochłonięta oglądaniem, kiedy wrócił Bert.

- Czy tu coś się pani spodobało? - zapytał. Odpowiedział za nią Erik.

- Jeszcze nie. Mieliśmy nadzieję, że może natknąłeś się znowu na jedną z piętnastowiecznych miniatur: tego samego rodzaju, co miniatura, którą sprzedałeś House of Warrick, kiedy zaczynałeś karierę w branży. Palimpsest, pamiętasz? Wspaniała miniatura z wierzchu, a pod nią dwunastowieczny tekst.

Uśmiech Berta nieco stężał.

- Nie zajmuję się już takimi rzeczami.

- To fatalnie. Bo ostatnio interesują mnie tylko takie rzeczy. Od kogo ją kupiłeś? Może mają więcej takich miniatur albo wiedzą, gdzie mógłbym je znaleźć. Z przyjemnością zagwarantuję ci znaleźne.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Mówię o miniaturze, którą sprzedałeś House of Warrick piętnaście lat temu - odparł Erik, uśmiechając się swobodnie. - Tego rodzaju palimpsest to moja nowa pasja. Jestem gotów bardzo dobrze zapłacić, żeby ją podtrzymać. Dlaczego nie miałbyś na tym skorzystać?

- To było dawno temu. Nie pamiętam, kto mi ją sprzedał. Erik nie wierzył mu.

- Może jednak jeszcze się nad tym zastanowisz? Spróbuj. Wydaje mi się, że powinienes pamiętać swoją pierwszą dużą transakcję. Nie mógłbyś sprawdzić w swoich dokumentach?

- Przykro mi. Przechowuję tylko dane z ostatnich pięciu lat, bo inaczej utonąłbym w papierach.

Erik spojrzał w blade oczy Berta, zastanawiając się, dlaczego facet kłamie.

- Wielka szkoda. Mógłbyś zarobić na tym masę pieniędzy. Jeśli sobie coś przypomnisz, daj mi znać.

Bert zawahał się.

- Ile?

- Zależy, jak dobra będzie informacja. Minimum pięć tysięcy. Po twarzy Berta przemknął wyraz zaskoczenia.

- Pomyślę o tym.

- Koniecznie to zrób. A skoro już mowa o pieniądzach, pomyśl też o wolnych od podatku dziesięciu tysiącach.

Bert wyglądał tak, jakby właśnie uruchomił proces myślenia.

- Masz te pieniądze przy sobie?

- A jak myślisz?

- Ile czasu potrzebujesz, żeby je przynieść?

- Kilka godzin - odparł Erik.

- Wiesz, gdzie jest mój dom?

- Mogę go znaleźć.

- Bądź tam dziś wieczorem o dziewiątej. Tylko banknoty o niewielkich nominałach. Nie z tych samych serii.

- Mogę być przed dziewiątą.

Bert uśmiechnął się. To nie był przyjemny uśmiech.

- Daj spokój. Potrzebuję czasu.

- Na co? Na prześwietlenie mózgu?

Śmiech Berta i tym razem wydał się odpychający.

- To, co dla ciebie warte jest dziesięć, dla innych może być warte więcej. Dlatego przynieś trochę więcej gotówki, koleś. Uwielbiam licytacje. Zawsze strasznie mnie podniecają.

Rozdział 54

Los Angeles, sobota wieczór

Na tle przytulnego, pastelowego wystroju dużego apartamentu w Retreat błękitne oczy Nialla nie wyglądały szczególnie przyjaźnie. Podobnie jak pistolet, który sprawdził kilkoma szybkimi, wprawnymi ruchami. Zadowolony, że broń jest gotowa do użycia, wepchnął ją do kabury na plecach.

- Posłuchaj - powiedział Erik, chyba już piąty raz. - Nie musisz iść z...

- Głuchy jesteś? - przerwał mu niecierpliwie Niall. - Bo ja nie, do cholery. Słyszałem cię głośno i wyraźnie. A teraz ty mnie posłuchasz, Pluszaku. Za każdym razem gdy masz przy sobie trzydzieści tysięcy gotówką, dostajesz obstawę. Zwłaszcza jeśli w grę wchodzi taki bydlak jak Bert. Biografia tego faceta zbrzydzałaby nawet skunksa.

Serena patrzyła to na jednego, to na drugiego mężczyznę. Przez przypadek, a może rozmyślnie, obaj byli ubrani w ciemne koszule, ciemne spodnie i ciemne kurtki. Obaj nosili buty, w których można było chodzić po mieście, ale także po górskich wertepach. Erik miał na głowie czarną czapkę baseballową, zasłaniającą jego jasne włosy. Niall nie potrzebował nakrycia głowy; jego włosy były czarne jak noc.

- Pokaż mi swoją - rzucił Niall szorstko, wyciągając rękę.

Erik lekko zacisnął usta, ale sięgnął ręką za plecy, wyciągnął broń, odwrócił ją i wręczył Niallowi rękojeścią do przodu. Starszy mężczyzna sprawdził pistolet, chrząknął z aprobatą i podał ją z powrotem Erikowi.

- Czysta i naładowana - powiedział Niall. - Co ty w ogóle robisz w obozie Pluszaków.

Erik sprawdził, czy broń nie jest odbezpieczona i bez słowa włożył ją do kabury.

- Czuję się pominięta - powiedziała ironicznie Serena, kładąc puste ręce na biodrach. - Żadnego ubioru a la czarny kot, żadnej broni, tylko niebieskie džinsy, sportowe obuwie i czerwony sweter.

- Wobec tego zostań tutaj - rzekł Erik. - Tak jak ci kazałem.

- Od ciebie nie przyjmuję poleceń.

- Co ty powiesz...

- Czy ona umie posługiwać się bronią? - Niall zapytał Erika, uniemożliwiając kontynuację sporu, który przerwało jego przybycie.

- Zastrzeliłabym Wallace'a, gdyby Sir Galahad nie podbił mi ręki
- powiedziała.

- Ale wcale by ci się to nie spodobało - odparł wściekle Erik.

- Mam przez to rozumieć, że tobie by się spodobało? -
prowokowała go Serena.

Nie odpowiedział. Nie mógł, jeśli nie chciał podważyć swojej
pozycji, i wiedział o tym. Ale to wcale nie zmniejszało jego
wściekłości. Choćby nie wiadomo jak walczyła, wiedział, że bardziej
niż on żałowałyby, że dopuściła się przemocy. Nie twierdził, że nie
byłaby w stanie zabić tamtego faceta; po prostu uważał, że nie
powinna być osobą, która dopuści się tego czynu.

Niall popatrzył na Serenę z aprobatą.

- To dobrze. I nie przejmuj się czerwonym swetrem. Przy
skąpym świetle czerwień jest pierwszym kolorem, który wygląda jak
czern.

- Nie mówiłam serio, kiedy powiedziałam, że czuję się pominięta
- Serena zwróciła się do Nialla. - Czy znane ci jest pojęcie ironii?

- Nigdy o czymś takim nie słyszałem - odciął się Niall. - Pracuję
z delikatną roślinką, która nie rozpoznaby ironii, nawet gdyby
ugryzła ją w jej idealny tyłek.

Erik ruszył do drzwi.

- Nie zaczynaj się kłócić z Sereną. Tylko marnujesz czas.

- A ja przypuszczam, że jesteś uosobieniem zdrowego rozsądku -
padła kąśliwa uwaga Sereny.

- Myślałem, że nigdy tego nie zauważysz.

Erik zatrzaskał drzwi za sobą. Bardzo energicznie.

Serena mówiła sobie, że nie ona jest uparta, tylko Erik jest w
stosunku do niej nadopiekuńczy. Tak czy owak, kłótnia nie powinna
była aż tak zboleć. A bolała tak bardzo, że Serena miała łzy w
oczach, co doprowadzało ją do jeszcze większego szału.

- Nie martw się - powiedział spokojnie Niall. - Pogodzi się z tym.
Facet potrzebuje trochę czasu, żeby się przyzwyczaić do silnej
kobiety.

- Nie ma potrzeby, żeby pochylał swój sztywny kark - oznajmiła
Serena, gwałtownie otwierając drzwi. - Gdy tylko pan Warrick
otrzyma wiadomość, że moje strony nie są na sprzedaż, Erik może
wrócić do pieprzenia porażająco słodkich młódek, które nie
powiedziałyby „gówno”, nawet gdyby miały go pełno w buzi.

- Wątpię - odparł Niall, idąc za nią. - Gdy już mężczyzna naprawdę w czymś zasmakuje, to nie będzie sięgał po byle co.

Mówił już do siebie. Serena dogoniła Erika i maszerowała z nim krok w krok.

Rozdział 55

W srebrnej terenówce Erika panowała taka cisza, że można byłoby ją kroić nożem i kłaść ją na krakersy. Erik ignorował tę ciszę, podobnie jak ignorował Serenę.

Ona zawsze taka była - niezależna, pełna determinacji, niosąca na barkach okrutne powinności życia jak sztandar podczas bitwy.

Ta myśl pojawiła się w umyśle Erika, ale nie całkiem do niego należała. Podobnie jak obraz Sereny dosiadającej bitewnego rumaka: to była Serena teraz, ale także inna Serena - niższa, delikatna, choć nie krucha; cieńsze usta wyrażające ból, „uciekanie, zawsze uciekanie, bo mgła się cofa, a on jest tam, zawsze za oparami mgły, i czeka na pomstę.

Mężczyzna, którego kochałam ponad śmierć, skrzywdzony po śmierci, Erik Uczony czarodziej, który będzie chciał zabić mnie i dziecię z niego zrodzone.

Patrzyła na niego, zaglądała prosto w jego duszę, rozpostartą przez czas, oczami fiołkowymi od udreki i żalu, i nadziei, która nie chciała umrzeć.

Pomóżcie nam!

Nie powtarzajcie naszych błędów!"

Erik poczuł na skórze lodowate ukłucie kocich pazurów. Wizja była tak wyrazista, tak prawdziwa, że jeszcze miał przed oczami strach kobiety i czuł w nozdrzach korzenny zapach saszetki wysuwającej się z pięknie utkanej szaty.

Szybko zerknął na Serenę. Wpatrywała się w niego uważnie; miała rozszerzone źrenice, jej twarz była blada. Zastanawiał się, co zobaczyła, ale obawiał się, że doskonale wie, co to było.

Natychmiast przestał walczyć z czymś, czego nie był w stanie pojąć ani kontrolować. Mógł zapanować jedynie nad własną reakcją. Na moment oderwał jedną rękę od kierownicy, żeby musnąć wierzchem dłoni jej policzek.

- Nie martw się - powiedział ochryple. - Jeśli istnieje jakiś sposób, to go znajdziemy.

Zupełnie jakby byli kochankami od zawsze, odwróciła głowę i musnęła wargami jego dłoń, pocieszając go tak, jak on pocieszył ją.

„Jeśli istnieje jakiś sposób...”

Niall obserwował tę parę z tylnego siedzenia. Nie wiedział, co się stało, ale domyślał się, że coś złego. Przez moment w tym

samochodzie było obecne coś, co trzeszczało jak ukryta błyskawica, zapach korzennych przypraw i czasu, rozpacz i nadziei...

Wypadki zdarzające się nocą.

Klnąc w duchu, sprawdził kaburę na ramieniu. Ciężka rękojeść pistoletu była na swoim miejscu, wciąż zimna, mimo że ciepło jego własnego ciała powoli przenikało przez skórzany futerał. Obecność broni przywróciła mu pewność siebie na tym samym instynktownym poziomie, który pozwolił mu dostrzec, że między Erikiem i Sereną dzieje się coś niezwykłego.

Potem Niall pomyślał o dewizie Dany, kobiety o zapierającej dech w piersiach inteligencji i demonstrującej równie oszałamiający pragmatyzm: „Jeśli nie możesz czegoś pokonać, nie walcz z tym”.

- Będziemy obrzucać Berta pieniędzmi, dopóki nam nie zdradzi, co wie - oświadczył Niall.

- Czyimi pieniędzmi? - zapytała Serena. - Ja nawet nie mogę sobie pozwolić na kupienie Koneserowi kociej żywności.

- Naszymi pieniędzmi. Jeżeli Bert zdoła nas doprowadzić do pozostałej części Księgi Uczonych, Dana uzna, że były to pieniądze dobrze wydane.

- Dlaczego? Przecież i tak nie będzie na sprzedaż - odparła Serena.

- Sztuka - powiedział krótko Erik. - Nie właściciel, nie klient. Tylko sztuka się liczy, tylko sztuka przetrwa.

Głęboko nabrała powietrza w płuca. Wszystko działo się zbyt szybko, wręcz z prędkością światła, podczas gdy jej bardziej odpowiadało cierpliwe, ponadczasowe tkanie.

- Szkoda, że babka nie zostawiła mi więcej informacji.

- Uważała, że zostawiła ci wystarczająco dużo informacji - odparł Niall. - Wykorzystaj je. Coś takiego jak Księga Uczonych należy do historii ludzkości, bez względu na to, kto ją przechowuje z pokolenia na pokolenie.

- Jak mam myśleć jak nieżyjąca kobieta? - zastanawiała się głośno Serena.

Stara dąbrowa, dźwięk rogów myśliwych, tętent kopyt podrywających strzępy ciemnej, wonnej ziemi, dziki krzyk sokoła wędrownego...

- W jaki sposób myślę jak nieżyjący mężczyzna? - zapytał Erik pełnym napięcia głosem.

Kiedy Serena spojrzała na niego, jej oczy były fiołkowe nie tylko od migających świateł nocy w Los Angeles. Zobaczyła dwóch Erików. Jeden był o kilkanaście centymetrów niższy, ale równie silny, z włosami i brodą przyciętymi tak, że mieściły się pod bitewnym hełmem, szybki, pewny siebie do granic arogancji, zagorzały jak sokół wędrowny, który siedział na jego odzianym w skórę ramieniu. Jego oczy, oczy Erika, wpatrywały się w nią, żądając... czegoś.

Rzuciła mu niemal wystraszone spojrzenie i zamilkła. Poczowała się tak, jak w noc, podczas której zginęła jej babka, kiedy czas był jak nieoprawione arkusze księgi, a ona odwracała je, by znaleźć tysiącletni wzór.

Na zewnątrz, w wilgotnej od deszczu nocy, syrena wyła głośniejsz i ciszej, niby głos ciemności.

Erik skręcił w boczną uliczkę, zaparkował wóz i zgasił światła. Nikt nie przejechał obok. Nikt nie skręcił i nie zaparkował za nimi.

- Lapstrake najpewniej zwabił go w pułapkę.
- Mam nadzieję, że Danie dobrze się jechało - odparł sucho Niall.
- Naprawdę była wkurzona, że musiała mu pozwolić prowadzić jej nową zabawkę.
- Przynajmniej miała dobry gust i kupiła srebrnego mercedesa terenowego - zauważył Erik.

Niall potrząsnął głową.

- Ona staje się w tym wozie diabłem wcielonym. Zjada sportowe samochody na śniadanie. Zamiast zwalniać na wybojach i nierównościach terenu, ona dosłownie nad nimi przelatuje.

Erik uruchomił silnik, włączył światła i wrócił na miejską autostradę. Kilka kilometrów dalej skręcił w jedną z nienumerowanych bocznych uliczek, które pokrywały daleko wysunięty teren Hollywood jak niedbale splecioną sieć. Samochody, na długich odcinkach stojące bezładnie wzdłuż ulic, utrudniały przejazd. Tę nielegalną praktykę stosowano nagminnie w starych osiedlach, gdzie domy były podzielone na mieszkania do wynajęcia, w związku z czym, zawsze brakowało miejsc do parkowania.

Drewniane bungalowy tłoczyły się jak domki plażowe, choć na przestrzeni wielu kilometrów nie było plaży. Jedyne naturalne elementy pejzażu stanowiły suchy, pokryty gąszczem parów, dzikie winorośle i bluszcz, rozwiewane przez wiatr śmieci i wysuszone zielsko. Za kilka tygodni przez matę z martwego listowia i odpadów

przebiję się świeża trawa, obudzona padającym deszczem, na razie jednak to miejsce wydawało się kompletnym pustkowiem.

Dom Berta z pewnością nie wyglądał tak, jak można było się tego spodziewać na wzgórzach górujących nad sporą częścią Los Angeles. Był to bungalow mały, stary, otoczony wąskimi, krętymi uliczkami, wzdłuż których rosły starzejące się eukaliptusy, których kruche gałęzie łamały się przy każdym silniejszym podmuchu. W zapalonych światłach frontowych widać było zielsko zarastające zaniedbany dziedziniec.

- Nie parkuj blisko - powiedział Niall.

- Nie musisz mi mówić tego, co wiem - warknął Erik.

Nawet nie zwolnił, kiedy Niall przyglądał się okolicy. Minał dwie przecznice, a potem wcisnął się w wolne miejsce między dwoma samochodami, które najwyraźniej kosztowały więcej niż domy, naprzeciwko których je zaparkowano. Taki właśnie był Hollywood: pozory często myliły. Bungalowy były skromne i dość sfatygowane, ale łatwo było z nich dojechać do setek tysięcy miejsc pracy, co oznaczało, że ziemia kosztowała tu pięć razy tyle co postawione na niej budynki. Gdyby pejzaż był ładniejszy, bungalowy już dawno ustąpiłyby miejsca drogim i bardzo drogim rezydencjom, ale tutaj widok składał się z zarośniętego zielskiem stoku i domu sąsiada, który zdecydowanie należało odmalować.

- Wygląda, że tu mamy imprezę - powiedział Niall, wysiadając z wozu.

- Dla niektórych całe życie jest imprezą - odparł Erik, blokując drzwi i szyby terenówki jednym naciśnięciem kciuka na gruby klucz.

Samochody były zaparkowane dosłownie wszędzie. Młodzi i modnie ubrani imprezowicze mieszały się z starszymi i zgorzkniałymi w bungalowach, które były tak małe, że wystarczyło dziesięć osób, a już robił się straszny tłok. Jakaś para wyszła na środek ulicy, dzieląc się papierosem: żadne z nich nie wyglądało na pełnoletnie. Zapach marihuany snuł się wokół nich jak kadzidełko.

Serena musiała robić uniki między błyszczącym porsche a zakurzonym lexusem. Jeżeli w ogóle był tu jakiś chodnik, to nie udało się jej postawić na nim stopy. Mimo niedawnych opadów, zielsko było suche, a kolce i rzepy przyczepiały się skarpet i dżinsów. Kiedy ciężka woń marihuany się rozrzedziła, powietrze zapachniało eukaliptusem i zeschniętymi chwastami.

Na bocznym dziedzińcu, który w domu Berta pełnił rolę garażu, stał jakiś samochód.

- Na tyłach jest alejka - powiedział Erik.

Zrobił krok do przodu, ale zatrzymał go Niall, kładąc twardą rękę na jego ramieniu.

- Najważniejsze bezpieczeństwo, chłopie. Pluszaki zabezpieczają tyły i zajmują się klientami.

Erik próbował dyskutować z Niallem, ale wiedział, że robi to nadaremnie. Zacisnąwszy zęby, wziął Serenę pod ramię i ruszył za nim, idąc tak blisko, że oboje mogli go dotknąć.

- Zaczekajcie tu - powiedział cicho Niall.

Serena zaczęła protestować, ale umilkła, gdy Erik nagle ścisnął palcami jej ramię.

Rozdział 56

Niall podszedł do samochodu. Dotknął maski: metalowa powierzchnia była chłodna. Wóz stał tu zaparkowany tak długo, że silnik zupełnie wystygł. Naprzeciwko na ulicy stały inne samochody, ale wyglądały jak przyjęcie dwa domy dalej: były nowe i drogie.

Szybko obszedł bungalow dookoła. Od tylnego podwórza odchodziła aleja, która albo była nieutwardzona, albo po prostu nikt jej od dawna nie sprzątał. Tu nie było żadnych samochodów. Po drugiej stronie, kilka domów dalej w górę, odbywała się jeszcze jedna impreza. Niskie ogrodzenie nadawało podwórku Berta pozory niewymuszonej dyskrecji. Przeszkłone drzwi prowadziły z pomieszczenia, które zapewne było sypialnią, do zapuszczonego ogrodu. Z wyjątkiem światła nad kuchennym zlewem, tyły domu były pogrążone w całkowitej ciemności.

Niall bezszelestnie wrócił na frontowy dziedziniec.

- Jak na razie, wszystko Okej. - Powiedział do Erika, zniżając głos. - Zobaczmy, czy on jest w domu. Tym razem ty idziesz pierwszy. Serena, zostajesz ze mną.

Mówiąc to, przytrzymał Serenę za ramię. Owinął na palcach zwisający koniec szala. Podniósł rękę, potarł ją i z zaciekawieniem spojrzął na szal. Cholerstwo przypominało w dotyku stalową szczotkę, a ona wodziła po nim opuszkami palców, jakby to był aksamit.

Erik wszedł na ganek z frontu i nacisnął dzwonek. Zamiast typowych dźwięków, pojawienie się gościa oznajmiały ekstatyczne okrzyki kobiety bliskiej orgazmu.

- To pewnie ścieżka dźwiękowa z jego ostatniego filmu - powiedział obojętnym tonem Erik.

- Mam nadzieję, że dostała Oscara - mruknęła Serena.

Drzwi otworzył Bert. Miał na sobie dzinsy i kolorowy, ręcznie robiony sweter, który mógł być modny przed dwudziestu laty. Sądząc po wyglądzie mankietów, nosił ten sweter równie długo. Brzuch, który maskował garnitur, teraz dumnie napinał kolorową włóczkę. Bert ścisnął w rękę wysoką szklanę napełnioną czymś, co z zapachu przypominało dżin przechowywany w temperaturze pokojowej. Pociągnął wielki haust, który powinien był palić przetyk jak benzyna, ale najwyraźniej był przyzwyczajony do mocnych trunków. Nawet nie chrząknął.

- Kto to? - zapytał, patrząc na Nialla.

- Mój facet z pieniędzmi - odparł Erik.

- Mam nadzieję, że przynieśliście dużo gotówki, koleś. Niall wyglądał na znudzonego.

- Tak, no cóż... Wchodźcie - powiedział Bert. - Jesteście pierwszymi gośćmi. Chcecie się czegoś napić?

- Nie, dziękuję - odparł Erik, za siebie i resztę.

- Jak sobie życzysz. - Bert zerknął na swoją szklanę, zakołysał lekko tłustawym płynem, wypił do dna i poszedł do kuchni po więcej. Aby osiągnąć upragniony stan zamroczenia, powinien wypić jeszcze parę kolejek. - Siadajcie, jeśli chcecie - zawołał przez ramię, wszedłszy do kuchni. - Drugi uczestnik licytacji powinien być tu lada...

Odgłos tłukącego się szkła, krzyk przerażonego Berta i smród benzyny towarzyszyły eksplozji jaka nastąpiła w kuchni. Erik rzucił się pędem do Berta, ale Niall powstrzymał go stanowczym ruchem i pchnął w stronę Sereny.

- Wyprowadź ją stąd! - warknął Niall. - Nie wychodźcie drzwiami frontowymi. On tam będzie czekał!

Zanim skończył mówić, kolejna porcja płonącej benzyny rozlała się po podłodze i doprowadziła do eksplozji, ale tym razem bombę wrzucono przez boczne okno i do salonu, sprawiając, że od ognia zajęło się wszystko, odcinając uciekinierom dostęp do drzwi frontowych. Po chwili rozpętał się grad pocisków; nastąpiły kolejne eksplozje, a pomieszczenie paliło się coraz intensywniej. Paliwem nie była benzyna. To był napalm. Przylepiał się do wszystkiego i płonął, płonął, płonął.

Kuchnia stanęła w ogniu. Wycie Berta przedzierało się przez huk rozszalałego żywiołu.

- Korytarz! - wrzasnął Erik.

Serena już wbiegła w kojącą ciemność i straszliwy nieład panujący w sypialni Berta. Zauważywszy przeszkłone drzwi, jednym susem znalazła się przy nich. Były zamknięte na klucz. Szarpnęła za klamkę i ruszyła po krzesło, chcąc rozbić szybę. Erik uprzedził ją. Chwycił ciężkie, drewniane krzesło i zamachnął się nim z całej siły. Szyba i mebel wyleciały na zewnątrz.

Krzyki Berta ustały po wybuchu kolejnego pocisku.

Niall z wyciągniętym pistoletem, skoczył przez rozbite drzwi i omiótł wzrokiem podwórko. Nie było tam nic prócz cieni

poruszających się w chwiejnym blasku płomieni, które strzelały w górę przy każdej eksplozji.

- Uliczka! - Niall zawołał do Sereny.

- Ale Erik...

Niall wyszarpnął Serenę przez dziurę w drzwiach i pchnął w kierunku uliczki, a sam zawrócił rozejrzeć się za przyjacielem.

Erik już wbiegał z powrotem do sypialni. Na jego pokrytej sadzą twarzy malowała się wściekłość. Niall nie musiał pytać o Berta. Oprócz smrodu galaretowatej benzyny w nocnym powietrzu zaczynał się unosić inny fetor.

- Na dwór! - zwięźle zakomenderował Niall.

Obaj mężczyźni dogonili Serenę, gdy wdrapywała się na uszkodzone ogrodzenie, by zeskoczyć na ulicę. Gdy tylko Erik wylądował w wąskim zaułku, Niall gwałtownym ruchem ściągnął z niego kurtkę. Potem koszulę. Potem czapkę. Kolejne części ubioru spadały na ziemię tłąc się smętnie.

- Masz coś na spodniach? - Niall zapytał cichym, ale stanowczym głosem.

- Nie wydaje mi się - odparł Erik, rozcierając ramię w miejscu, w którym koszula omal nie przepaliła się na wylot.

- Zorientowałbyś się. Napalm to straszne gówno. Masz jakieś dokumenty w koszuli albo w kurtce? - mówiąc to Niall ściągnął kurtkę i dał ją Erikowi.

- Nie. Serena, dobrze się...

- Nic jej nie jest. Miała dość rozumu, by osłonić włosy tym swoim szalikiem z drutu kolczastego. - Niall kopnął płonąca odzież. - Ty pierwszy. Serena w środku. Ruszaj.

Erik szedł uliczką w stronę swojego samochodu, po drodze zakładając kurtkę. Gdy tylko miał wolną lewą rękę, wyciągnął z kabury na plecach pistolet i odbezpieczył go. Poruszał się szybko, ale był czujny. Obserwował każdy cień.

W uliczce nie było żadnej latarni. Zresztą nie była potrzebna. Rozszalałe pomarańczowe płomienie zapewniały dostateczne oświetlenie. Niektórzy z sąsiadów, porzuciwszy oglądanie telewizji czy imprezę, pobiegli po węże ogrodowe. Strumienie zimnej, chlorowanej wody tryskały nad dachami z cedru, suchymi trawnikami i drewnianymi ogrodzeniami.

Niektórzy z imprezowiczów nie byli tak rozgarnięci. Podbiegali truchcikiem do ognia, gapili się i pokrzykiwali, jakby to był punkt wieczornego programu rozrywkowego.

Niall i Erik uważnie przyglądali się twarzom tłoczących się ludzi. Nikt nie wyglądał znajomo ani nie zachowywał się dziwnie. Nikt nie stał na uboczu z uśmiechem seksualnej ekstazy.

Z płonącego domu do ich uszu dochodził przerażający łoskot. Ogień rozkwitał i wypluwał swoje płonące nasiona we wszystkich kierunkach. Jakaś kobieta krzyknęła, gdy drzewka eukaliptusowe stanęły w płomieniach.

- Wynoście się stąd! - Niall krzyczał do ludzi stojących na ulicy, o wiele za blisko pożaru. Wpatrywali się, zszokowani, w piekło, w jakie zmienił się dom ich sąsiada. - Uciekajcie! - wrzeszczał.

Kilka osób posłuchało go. Pozostali ruszyli się z miejsca dopiero przy drugiej eksplozji. Dla kilkorga było już za późno. Płonące szczątki sypały się na nich jak grad, czepiając się ubrań i ciał. Ludzie zataczali się w ciemność, krzycząc wniebogłosy.

Erik miał nadzieję, że ktoś im udzieli pomocy. Sam nie mógł, bo naraziłby Serenę na niebezpieczeństwo, do czego nie chciał dopuścić.

Krzyki słychać było teraz na całej ulicy, nikt nie zwracał uwagi na troje przechodniów w małej alei. Trzymając broń przy lewej nodze, żeby nie wzbudzać paniki wśród uczestników imprez, Erik szybko przeszedł między dwoma domami na ulicę. Jego wóz stał raptem dziesięć metrów dalej. Prawą ręką wyciągnął kluczyki z dzinsów i zwolnił blokadę.

- Wsiadaj i szybko zamknij drzwi - powiedział, nie patrząc na Serenę. Rozglądał się dookoła spodziewając się jasnego błysku pistoletu lub zataczającej świetlisty łuk butelki z płonącym napalmem.

Gdy Serena znalazła się w samochodzie, z mroku między domami wynurzył się Niall. Trzymał broń przy prawej nodze, wmieszany między grupki ludzi wybiegających z wszystkich domów w tym kwartale na widok łuny pożaru dwie przecznice dalej. Jeśli nawet ktoś zauważył szelki od broni, kontrastujące z jego ciemną koszulą, albo broń na tle ciemnych spodni, nie było żadnych reakcji.

Erik stał przy drzwiach kierowcy, obserwując cienie i gapiów. Nie troszczył się, że jest na widoku. Z domów w tej części dzielnicy wypływały strumienie ludzi. Większość z nich miała w ręku napoje

albo egzotyczne papierosy. Niektórzy wcinali kanapki i chipsy, patrząc, co się dzieje.

- Właż - powiedział szybko Niall, dotarłszy do samochodu Erika.

Erik zablokował wóz od wewnątrz, wsunął pistolet do kabury i wślizgnął się za kierownicę.

Niall rozejrzał się ostatni raz i wsiadł na tylne siedzenie. Nie włożył broni do kabury.

- Jedź. Żadnych świateł. Otwórz okna. Serena, kładź się na podłogę.

- Ale... - zaczęła.

- Zrób to - warknął Niall. - Muszę mieć wolne pole do strzału.

Zsunęła się z fotela i wcisnęła pod spód najgłębiej, jak się dało. Erik uruchomił silnik i pootwierał wszystkie okna, żeby w razie potrzeby Niall mógł strzelać.

- . Masz zamiar to zgłosić? - Erik zapytał Nialla.

- Już to zrobiłem, więc nie marnuj czasu, chłopie. Straż pożarna już jedzie. Ale chyba niewiele pomogą Bertowi. Upiekł się żywcem.

Pomimo burzącej krew adrenaliny, Erik oddalał się wolno od płonącego bungalowu. Wjechał w wąską ulicę i wystawił głowę przez okno, jakby rozglądał się pilnie za następną imprezą. Tylko nieliczni zdawali się rozumieć, co jest powodem zamieszania na końcu następnej przecznicy.

Erik chciał się stąd wydostać, zanim wszyscy się połapią.

- Światła z naprzeciwka - powiedział.

- Mogę już usiąść? - zapytała Serena. Niall chrząknął.

Potraktowała to jako zgodę i wgramoliła się na fotel.

Erik włączył reflektory.

Kilka przecznic dalej mrok przeszył ryk syreny, z każdą sekundą głośniejszy. Po chwili dołączyło do niego wycie jednostek nadciągających z różnych kierunków, i to niepokojąco szybko.

Erik spojrzął przed siebie, zaklął, zerknął na prawo i na lewo, i powiedział zdenerwowanym głosem:

- Trzymajcie się.

Mocno skręcił kierownicę w lewo i dał nura między dwa zaparkowane samochody. Przednie koła uderzyły w krawężnik, potem samochód przedarł się przez trawnik, a tylne koła opuściły wąski pas ruchu. Erik zgasił światła i czekał.

Syreny wyły, ambulans jak rakieta wjechał na skrawek wolnej przestrzeni. Zanim Erik zdążył się wycofać, następne światła i syreny zasygnalizowały zbliżanie się licznych karet. Oceniał odległość, obliczył czas, jaki musiałyby zużyć na cofnięcie się i uporządkowanie sytuacji, i postanowił trzymać się z dala od wszystkiego, co wjedzie wąską, osiedlową drogą.

Kilka sekund później przetoczyła się obok niego ciężarówka najeżona toporkami strażackimi i wykaszarkami do zarośli; jej światło wirowało kreśląc oślepiający szlak. Tuż za nią jechał wóz z drabiną, który omal nie staranował zaparkowanych po obu stronach samochodów.

Erik zobaczył oczy Nialla w lusterku wstecznym. Żaden z mężczyzn nie powiedział ani słowa, obaj ciągle rozglądali się w poszukiwaniu kogoś, kto by szybko odjeżdżał z miejsca zdarzenia zamiast do niego zmierzać. Na zewnątrz nie było ludzi: mieszkańcy tej ulicy otwierali drzwi, żeby zobaczyć, co się stało. Każdy pojazd, który próbowałby tu wyjechać, zostałby zatrzymany przez nadjeżdżające z naprzeciwka wozy straży pożarnej.

W pobliżu bungalowu Berta płomienie wspinały się po eukaliptusach tworząc pełne wdzięku, żarłoczne fontanny. Siedząc w samochodzie, Serena nie była w stanie stwierdzić, czy bardzo pożar się rozprzestrzenił.

- Mam nadzieję, że ci chłopcy są dobrzy w swoim fachu - powiedział Erik, głosem schrypniętym od nadmiaru adrenaliny. - Zima tego roku jest sucha. Więcej uwagi poświęcał teraz pokładowemu komputerowi niż pożarowi. Kiedy próbował wybrać alternatywne trasy, zapalały się kolejne światełka.

- Racja - zgodził się Niall. - Ostatnie opady nie wystarczyły, żeby porządnie zmoczyć poszycie i drewniane gonty. Ruszaj się, chłopie. Zaraz będą stawiać blokady.

- Co ty powiesz.

Ostatni rzut oka na komputer upewnił go, że ma przed sobą wiele wąskich uliczek i, od czasu do czasu, ledwo przejezdną alejkę. Żadna z tych dróg nie prowadziła tam, gdzie Erik sobie życzył, chyba że przedostałby się przez jedno z dwóch skrzyżowań, zanim zostaną zamknięte przez gliniarzy.

Cofnął się i jechał tak, jakby miał koguta i syrenę, aż dotarł do pierwszego skrzyżowania.

Za późno.

Wóz patrolowy szeryfa już dawał sygnały świetlne. Erik mógł, jak przystało na porządnego obywatela, poprosić o pozwolenie na przejazd, albo spróbować pojechać drugą trasą.

Skręcił i cofnął się o dwie przecznice, potem przejechał jeszcze jedną i dotarł do wąskiej uliczki, która stanowiła drogę dojazdową dla straży pożarnej, łączącą dwa stare pododcinki, a nie normalną drogę dla uczestników ruchu drogowego. Żeby zniechęcić kierowców, ułożono podkłady kolejowe.

Erik zredukował obroty i jechał podskakując na podkładach. Kiedy znalazł się z powrotem na ulicy, przełączył wóz na jazdę na wszystkich kołach i błyskawicznie ruszył w stronę drugiego skrzyżowania. Dotarł tam równocześnie z wozem patrolowym.

Terenówka Erika śmignęła przez skrzyżowanie, zanim gliniarz zdążył wysiąść /, samochodu.

Jeden z głowy. Został jeszcze jeden - powiedział Erik, zerkając na pokładowy komputer.

W ciemnościach słyhać było syreny, ale z tej odległości na razie nie przejmował się nimi.

Przecznice dalej migające światła wozu policyjnego zbliżały się z naprzeciwka do skrzyżowania. Erik bez wahania przycisnął gaz do dechy. Wielki silnik zaryczał radośnie. Mercedes skoczył do przodu jak rakieta. Minęli skrzyżowanie i wjechali na jakiś podjazd. Erik wyłączył światła, zanim zdążył do niego dotrzeć wóz patrolowy, Kobieta policjantka obrzuciła Erika surowym spojrzeniem, ale chwilowo miała na głowie ważniejsze sprawy, niż karceni kierowcy o zapędach macho.

Policjantka szybko przejechała pół przecznicy aż do skrzyżowania, krzyknęła, żeby się zatrzymać, wyskoczyła z wozu i zaczęła stawiać światła odblaskowe, żeby odciąć dojazd do miejsca pożaru.

Erik cofnął się i odjechał od blokady, z powrotem do anonimowej, miejskiej dżungli L.A.

Niall wybuchnął śmiechem.

- Zawsze powtarzam, że marnujesz się w obozie Pluszaków.

- Jeśli spisała mój numer rejestracyjny, ty płacisz mandat - brzmiała odpowiedź Erika.

Rozdział 57

Los Angeles, sobota, noc

Dana podniosła głowę znad biurka, kiedy do jej gabinetu weszli Erik, Niall i Serena. Poruszyła nozdrzami i skrzywiła się.

- Śmierdzi, jakby ktoś wziął prysznic z benzyny.

- Właściwie to był napalm - odparł Niall. - Nie klasy komercyjnej: płatki mydlane, benzyna i flara jako zapalnik. Ale zadziałał całkiem skutecznie.

Dana zerwała się z miejsca i powiodła ciemnymi oczami po Niallu, szukając ran.

- Sprawdź swojego Pluszaka - powiedział Niall, wskazując kciukiem Erika. - Nie zdążył się wydostać w porę spod benzynowego deszczu.

- Wydawało mi się, że to kurtka Nialla - powiedziała, zerkając na Erika. - Jakieś trwałe obrażenia oprócz zniszczonego ubrania?

- Nie. Tylko tu i ówdzie mnie osmaliło.

Zlustrowawszy go uważnie, przyjęła to oświadczenie i zwróciła do swojego partnera.

- Mam się spodziewać oficjalnego dochodzenia?

- Nie sądzę. Erik wyciągnął nas stamtąd, zanim zjawili się mundurowi. Będą zbyt zajęci drapaniem się w jaja na widok bomb domowej produkcji, żeby przejmować się nami.

- Znakomicie. Nie chciałabym wydzwaniać, prosząc o kolejną przysługę. - Spojrzała na Erika. - Ślepy zaułek?

- Bardzo ślepy - odparł beznamiętnym głosem. - Bert zginał, zanim zdołał nam powiedzieć, od kogo kupił jedną z zapisanych kart Księgi Uczonych.

Dana zmrużyła oczy. Usiadła z powrotem za biurkiem i zaczęła przebierać palcami po wymagowanym flecie. Po dwudziestu sekundach jej palce raptownie znieruchomiały.

- Dokonajmy aktualnej oceny tego, co mamy, tego, czego nie mamy i tego, co moglibyśmy zdobyć. Szybko.

- Zanim zaczniesz się łać benzyna? - zapytał sardonicznie Erik.

- Dokładnie. - Podniosła słuchawkę telefonu i wybrała jakiś numer. - Michael, jak się masz? Znasz gości w pokoju numer dziewięć? - Czekala. Po chwili uniosła brwi. - Tak, ci z tym zagłodzonym kotem. Czy ktoś zażyczył sobie pokoju gdzieś w pobliżu? - Jej oczy zmieniły się w wąskie szparki. - Kto? Już są w

środku? Dobrze. Kiedy ona się zjawi, umieść ją na drugim końcu budynku i zacznij malować wszystkie pokoje około dziewiątej. Nie, nieważne na jaki kolor. Po prostu ma dobrze wyglądać. - Dana odłożyła słuchawkę i zaczęła kłać po niemiecku.

Niall skrzywił się.

- Co się dzieje?

- Cleary Warrick Montclair przenosi się do Retreat na czas nieokreślony. Syn i kochanek - przepraszam, konsultant do spraw ochrony - są razem z nią.

- Skąd wiedzieli, że będziemy w Retreat? - zapytał ją Erik.

- Powiązanie między Retreat i Rarities Unlimited nie jest żadną tajemnicą - westchnęła Dana, dodając coś niecenzuralnego. - Jasna cholera. Zdaje się, że powinnam była częściej oddzwaniać do Cleary. Przy tej kobiecie nawet kamień straciłby cierpliwość. Powinna się leczyć, jest chorobliwie przywiązana do swojego ojca. Tego rodzaju więź pasuje do pięcioletniej dziewczynki, ale w przypadku kobiety mającej ponad pięćdziesiątkę, może tylko razić.

Nie mówiłaś jej, że nie zamierzam sprzedawać swoich kart? - zapytała Serena.

- Wiele razy.

- W takim razie po co tutaj przyjeżdża?

- Ona mi nie wierzy. Chce porozmawiać z tobą osobiście. Powiedziałam jej, że to absolutnie wykluczone. W to również nie uwierzyła.

Serena uniosła podbródek i zmrużyła oczy.

- Uwierzy. Już nigdy więcej nie chcę mieć do czynienia ani z nią, ani z jej ojcem.

- Norman Warrick często wywołuje u ludzi taką reakcję - stwierdziła ironicznie Dana. - Dlatego do kontaktów z mediami zawsze wypychają Garrisona. Po tym jak wyszumiał się w wojsku i zrobił dyplom z bycia czarującym na Harvardzie. Och, Sereno, o czymś sobie przypomniałam. Garrison dzwonił i prosił, żebym ci przekazała tę wiadomość, bo nie mógł się z tobą skontaktować. Chciałby cię zaprosić jutro na lunch. Czuję, że między wami zaszło jakieś nieporozumienie.

- Nie obchodzi mnie to, że jest czarujący. Moje karty nie są na sprzedaż.

- A jest czarujący? - zagadnął Erik.

- Co? - zapytała Serena, spoglądając na niego.

W ciemnej kurtce Nialla rozpiętej na nagiej, owłosionej piersi, z policzkami umazanymi sadzą, włosami potarganymi od wiatru, Erik zdecydowanie nie wyglądał na istotę cywilizowaną.

- Czy Garrison jest diabelnie czarujący? - zapytał.

- Och. - Serena wzruszyła ramionami. - Jest bardzo dobrze ułożony. Podobnie jak Paul Carson, na swój sposób. A także przystojny. To jednak nie wystarcza, by zrekompensować zachowanie Warricka. Nic nie jest w stanie zrekompensować takiego grubiaństwa.

- Widać Garrison chciałby spróbować - powiedział Erik.

- Nie jestem zainteresowana.

- To dobrze - odparł Erik. - Dopilnuję, żeby otrzymał tę wiadomość.

- Jestem w stanie przekazać mu ją osobiście.

- W porządku. - Przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował. - Nie mam nic przeciwko temu, żeby usłyszał parę miłych słów.

- Jakich słów?

- Na przykład „do miłego niezobaczenia”.

Po twarzy Sereny przemknęło rozbawienie i irytacja. W końcu rozbawienie wzięło w górę. Erik zrobił zadowoloną minę, jak Koneser po udanych łowach.

- Przypominasz mojego kota.

- Nawet nie zamierzam pytać, dlaczego.

- Jesteś pewien?

Roześmiał się i znowu ją pocałował.

- Jestem pewien.

Niall spojrział z ukosa na Danę i uśmiechnął się znacząco, ona zaś mrugnęła do niego. Potem podniosła słuchawkę telefonu i wybrała numer alarmowy Faktoida, ten, który był sklasyfikowany jako „odbierz, bo umrzesz”.

Odebrał po piątym dzwonku. Sprawiał wrażenie zdyszanego.

- Co?

- Gdzie jesteś?

- Eee...

- Nieważne. Możesz być w centrum komputerowym za pół godziny?

- Gówniany los.

- Traktuj to jako odpowiedź twierdzącą.

- Cholera. Ja... ona... my... syrop czekoladowy... Gówniany los.

- Pół godziny. - Dana rozłączyła się i popatrzyła na Nialla unosząc brwi. - Naprawdę zdaje mi się, że po raz pierwszy słyszałam, jak ten chłopak się trzęsie.

- A co powiedział? - zapytał Niall.

- Coś o syropie czekoladowym i gównianym losie.

Niall omal nie zakrztusił się ze śmiechu. Podobnie jak Erik.

- Co? - spytała Dana.

Obaj potrząsnęli głowami, nie mogąc przestać się śmiać. Spojrzała na nich z niesmakiem. Wstała i podeszła do drzwi.

- Chodź ze mną, Sereno. Zostawmy te pawiany. Niech tu sobie wyją, a tymczasem opowiem ci wszystko, co zgromadziliśmy na temat Księgi Uczonych. Panowie, jak już odzyskacie tę odrobinę rozumu, z którą się urodziliście, to pamiętajcie, że jesteśmy w separacie numer 3.

Rozdział 58

Los Angeles, sobota, późna noc

Przed Sereną i Erikiem stały filiżanki z gorącą kawą. Dana i Niall pili herbatę tak mocną, że chyba mogłaby roztopić szkło. Niall dolał sobie mleka, Dana piła bez dodatków. Na ekranach ustawionych wokół widać było cyfrowe obrazy każdej z siedemnastu znanych kart z Księgi Uczonych. Pozostałe ekrany były puste; czekały na stosowne komendy.

Ze środkowego ekranu przemawiała twarz Faktoida, którego stanowczy głos było słychać dzięki głośnikom. Znajdował się w centrum komputerowym Rarities. Jak na Faktoida, wyglądał normalnie, jeśli nie brać pod uwagę zmierzwionych włosów i czekoladowej smugi na podbródku.

- Okej - warknął. - Od pierwszej do siedemnastej. Najwcześniej znane pochodzenie. Poczynając od ekranu 1 w górę: 1963... 1959... 1944.

- Kto pierwszy posiadał kartę na ekranie 3? - zapytał szybko Erik.

- Derrick James Rubin.

- Mów dalej. Ale podawaj mi nazwiska i daty.

Faktoid powiedział coś, co wszyscy potraktowali jako całkowicie nieistotne. Co gorsza, jego odzywka wydała im się mało oryginalna. Po chwili wrócił do prezentacji.

- Jeden - 1963, Christie's, nabyta od osoby prywatnej, już nieżyjącej, brak dalszych informacji; 1959, Sotheby's, pośrednictwo dla osoby prywatnej, karta była prezentem urodzinowym od ojca, obecnie już nieżyjącego, brak dalszych informacji; 1944, majątek Rubina, brak katalogu, brak dalszych informacji; 1956, Sotheby's, wciąż poszukują pochodzenia na mikrofilmach; 1958, Christie's, mikrofilmy są sprawdzane; 1944, majątek Rubina, brak katalogu, brak dalszych informacji; 1948, pośrednictwo Warricka, sprawdzają pochodzenie; 1962, Mirabeau Auctions przez osobę prywatną, obecnie już nieżyjącą, ponoć należała do rodziny od pokoleń, brak dalszych informacji.

Erik siedział bez ruchu, podczas gdy poirytowany technik komputerowy przebiegał przez ekrany. Erik pochłaniał kolejne nazwiska i daty, a jednocześnie szukał jakiegoś wzoru. Kiedy doszli do kart Sereny, jedynym nie podlegającym dyskusji faktem było to, że

przeszukiwanie mikrofilmów trwa o wiele dłużej niż przeszukiwanie skomputeryzowanych baz danych.

- Ostatnie osiem ekranów to karty Sereny Charters, odziedziczone po jej babce, obecnie już nieżyjącej, brak dalszych informacji. Ponoć należały do rodziny od pokoleń.

Wszyscy w milczeniu wpatrywali się w ekrany.

- Z wyjątkiem ekranu 8 - powiedział Erik - karty Sereny to jedyne, które nie są palimpsestami.

- Co powiedziałaś? - zagadnął Niall.

- Że były zapisane. Faktoid, pokaż mu.

W głośnikach dało się słyszeć niewyraźne mamrotanie, ale po chwili obraz na ekranach podzielił się i można było zobaczyć karty w normalnym świetle i w promieniach ultrafioletowych. Ślady dawnych tekstów wyglądały upiornie, ale były całkiem wyraźne.

- Daj mi wszystko, co masz na temat karty z ekranu 8 - powiedział Erik.

- Już patrzę... - odparł Faktoid. - Według rodzinnej legendy państwo Blackthornowie kupili ją od jednego z ubogich szkockich imigrantów, którzy zostali wygnani w okresie Wysiedleń. - Ziewnął. - To może nas odesłać wstecz aż do bitwy pod Culloden, czyli do 1746 roku - dla tych, którzy mają braki w zakresie znajomości historii. Ponieważ Blackthornowie wywodzą się od szkockiego żołnierza w brytyjskiej armii - który pisał słowo „thorn” dodając do niego „e” - przebywali w Stanach Zjednoczonych, jeszcze zanim ten kraj ogłosił niepodległość. To samo można powiedzieć o karcie.

- Pokaż drugą stronicę.

- Jest pusta.

- Wiem. Pokaż. Tu masz lepszą rozdzielczość, niż ja u siebie w domu. Faktoid burknął coś pod nosem i dodał głośno:

- Ekran 19.

- Tam. W rogu. Widzicie znak zbiorczy?

- Tak. I co z tego?

- Zestaw go ze znakami zbiorczymi z kart Sereny.

Faktoid przymknął się, zrobił powiększenie, powycinał, powklejał i zestawiał znaki zbiorcze, żeby można było je porównać.

- Dobrze - powiedział Erik. - Tak myślałem. Strona na ekranie 3 została wycięta z oprawy.

- A zatem? - spytała Dana. Erik wzruszył ramionami.

- A zatem wygląda na to, że ten, kto miał tę książkę, wyciął ładną iluminowaną stronę z przodu książki i sprzedał ją. Prawdopodobnie za żywność albo żeby spłacić dług.

- Czy to oznacza, że kartki Rubina pochodzą od rodziny Blackthornów? - zapytała Serena.

- Nie. Wszystkie kartki Rubina są palimpsestami. Ta kartka nie została wymazana.

- Co nam to daje? - zapytała Dana.

- Duże prawdopodobieństwo, że Księga Uczonych przybyła do Ameryki w XVIII wieku, była przekazywana z pokolenia na pokolenie, a kiedy sytuacja robiła się naprawdę niewesoła, od czasu do czasu wyrywano z niej arkusz.

Serena zamknęła oczy i ujrzała w wyobraźni list babki: „W ciągu minionych stuleci utraciliśmy trochę kart, ale nie tak znowu wiele. Aż nadeszło moje pokolenie.”

Nie była świadoma, że wypowiada słowa listu na głos. Dopiero otworzywszy oczy, zorientowała się, że Dana i Niall dziwnie na nią patrzą.

- Nie przerywaj - rzuciła Dana.

Serenę nagle ogarnął smutek, dodatkowo potęgowany zmęczeniem. Szybko spadał poziom adrenaliny, która pozwalała jej trzymać fason po pożarze. Ogarnęła ją apatia, czuła się teraz opuszczona.

- To był list mojej babki do mnie, część jej testamentu.

- Powiedz im, co jeszcze było w tym liście - rzekł Erik.

- Jeszcze im tego nie mówiłeś? - zapytała Serena ze znużeniem w głosie. - Oni cię zatrudniają. Nie ja. Należysz do nich.

- Pomyłka, należę do samego siebie.

- Co fakt, to fakt - przyznał lakonicznie Niall. - Gdyby należał do mnie, lepiej by reagował na polecenia.

- Gdyby należał do mnie - dorzuciła Dana - mieszkałby w L.A. i pracował dla nas na całym etacie. Ale mieszka w Palm Springs i ugania się za górskimi kozłami.

- Owcami - poprawił ją Erik.

- Nieważne.

Serena spojrzała na Erika pociemniałymi, fiołkowymi oczami. Pragnęła wierzyć, pragnęła ufać.

Bała się.

„Nie powierzaj swojego dziedzictwa żadnemu mężczyźnie. Od niego zależy twoje życie.”

Gdyby nie posłuchała rady babki, czy byłaby mądra, czy tylko głupia jak wszystkie pierworodne z jej rodu?

„Nie powtarzaj naszych błędów!”

Serena jęknęła. Teraz otrzymywała poradę od własnej wyobraźni. Wkrótce popadnie w taki sam obłąd jak jej babka.

- To nie ma znaczenia - stwierdziła. - Babcia była paranoiczką. Po dzisiejszym wieczorze wiem dlaczego.

Dana i Niall wymienili spojrzenia.

- Przestańcie - powiedziała z goryczą Serena. - Może wyglądam na osobę łagodną, powolną, ale nie jestem taka. Jest absolutnie jasne, że kimkolwiek był tajemniczy licytant Berta, zamordował moją babkę, kiedy próbowała odzyskać zagubione karty. Ten sam człowiek zamordował Berta, zanim zdążył nam powiedzieć, skąd pochodzi ta karta. Potem dołożył wszelkich starań, żeby mnie także zamordować. Komuś naprawdę zależy na tym, żeby Księga Uczonych nigdy nie została złożona w całość.

- Martwi mnie fakt - powiedział szorstko Erik - że ta osoba jest gotowa, chętna i cholernie dobrze przygotowana do tego, by mordować. Dowiodła swojej determinacji co najmniej cztery razy w zeszłym roku.

- Co? - zapytał ostro Niall.

Erik liczył morderstwa na palcach.

- Kobieta na Florydzie. Mnich New Age. Babka Sereny. Bert. Łączą ich dwie rzeczy. Po pierwsze, każde z nich zginęło w pożarze. Po drugie, każde z nich było ostatnim znanym ogniwem w łańcuchu prowadzącym do kart wyjętych z Księgi Uczonych.

- Ale ja nic nie wiem o tych zagubionych kartach - szybko powiedziała Serena.

- Jeszcze nie - zgodził się z nią Erik. - Ale czy po czterech morderstwach sądzisz, że ta osoba - lub osoby - pozwolą ci się czegoś o nich dowiedzieć?

Rozdział 59

Spokojny głos Dany przerwał ciszę, jaka zapadła po słowach Erika.

- Powiedz nam, co naprawdę wiesz, Sereno. Może będziemy w stanie pomóc, choćby proponując kolejne i trudniejsze cele.

Serena oparła łokcie na stole, i skrzywiła się widząc zadrapania, które powstały, gdy w szalonym tempie forsowała ogrodzenie domu martwego mężczyzny. W roztargnieniu poprawiła szal, który ochronił jej włosy przed ognistym deszczem, a potem gestem, który wszedł jej w nawyk, pogładziła materiał opuszkami palców. Miała wrażenie, że szal odwzajemnia jej pieśczętę. Tkanina wywierała na nią kojący wpływ. Może po prostu chodziło o namacalne połączenie z przeszłością: wzorzysty materiał stanowił dowód, że coś jest w stanie przetrwać mimo brutalności mordercy.

- Babka była pierworodną córką, o ile wiem, jedynym dzieckiem w swoim pokoleniu - odparła powoli Serena. - Sprawowała pieczę nad Księgą Uczonych. Jakimś sposobem utraciła księgę lub jakąś jej część. Erik uważa, że miała większą część manuskryptu, który zostawiła w spadku. - Westchnęła, zmęczona - Jeśli tak jest, zostawiła księgę w taki sposób, że teraz nie potrafię jej odnaleźć.

Palce milczącej Dany odgrywały skomplikowany renesansowy utwór na stalowym blacie współczesnego stołu.

- Czy sądzisz, że któraś z ofiar morderstw wiedziała, gdzie znajduje się cała księga?

- Nie - powiedziała Serena.

- Erik? - zagadnęła Dana.

Zastanawiał się nad jej pytaniem, rozważał rozmaite możliwości i w końcu potrząsnął głową.

- Nie.

- W porządku. Na razie dajmy sobie spokój z lokalizacją całej księgi - powiedziała Dana. - Jeśli chodzi o mordercę, wydaje mi się, że to jeden człowiek, z prostego względu: jeśli jakąś tajemnicę zna więcej niż jedna osoba, szybko zaczynają trąbić o tym media. - Zerknęła na Nialla.

Niall zawahał się, a potem skinął głową.

- Na razie przyjmuję tę wersję. Erik kiwnął głową.

- Jestem tkaczką, a nie detektywem - zabrzmiała odpowiedź Sereny. Dana zwróciła się do Erika.

- Wspomniałeś o czterech morderstwach w zeszłym roku. Kto był pierwszy?

- Ellis Weaver.

Serena chrząknęła. Prawdopodobnie nie miało to znaczenia, ale kto wie. Niczego nie można uważać za przypadek. Przepraszając w duchu nieżyjącą babkę, powiedziała:

- Ja znałam ją pod imieniem i nazwiskiem Lisbeth Serena Charters. Spojrzeli na nią wszyscy troje.

Z głośnika popłynął komentarz Faktoida:

- Cholera. Minuta.

- Kiedy postanowiła rozpocząć nowe życie, wybrała imię Ellis - które było połączoną formą inicjałów L i S - a nazwisko Weaver miało związek z jej zawodem - wyjaśniała Serena.

- A co z nazwiskiem Charters? - dopytywał się Erik. - Nosiła je z wyboru, czy dlatego, że musiała?

- Raz udało mi się przyprzeć ją do muru i powiedziała, że to jest panińskie nazwisko jej babki.

- Jakie było trzecie nazwisko twojej babki? - zapytał chłodno Erik. Serena wyglądała na zdeorientowaną.

- Nazwisko, które nosiła, zanim wybrała nazwisko Charters - wyjaśnił.

Z jego oczu również wiało chłodem. Był wściekły. Już myślał, że zdobył jej zaufanie, a tymczasem dowiodła, jak mało mu ufa. Była skłonna uprawiać z nim seks, ufała mu na tyle, by nie obawiać się, że on ją zabije, kiedy będzie spała w jego łóżku, w jego ramionach, ale poza tym... ta zwyczajna odmiana zaufania, jaka na co dzień buduje prawdziwą intymność... o nie, nie, ta dama nie wierzyła w tego rodzaju rzeczy.

Serena uniosła podbródek. Spojrzała wprost w oczy Erika, w których malował się gniew.

- Nie wiem.

- Nie wiesz czy nie powiesz? - odciął się.

- Nie wiem.

Nic nie powiedział. Nie musiał. Jego niedowierzanie było doskonale widoczne w zmrużonych, błyszczących, bursztynowych oczach.

- Faktoid?

- ... minuta.

- W czasie gdy on będzie przeszukiwał bazy danych - wtrąciła się Dana - rozważmy możliwości związane z czterema morderstwami w jednym roku.

Erik przeniósł wzrok na Danę.

Jego szefowa uniosła ciemne brwi. Wyglądała wręcz groźnie. Typowy mężczyzna. On mógł mieć tajemnice, ale swojej kochance odmawiał tego prawa.

- Nigdy cię nie widziałam w antypluszakowym wcieleniu. Ten rodzaj męskości robi wrażenie. Wprost ociekasz testosteronem. Nic dziwnego, że Niall chce twojego powrotu.

Erik stłumił w sobie wybuch złości, choć z dużym trudem. Zamknął oczy, pomyślał o wszystkich sytuacjach, w których własne siostry doprowadzały go do szału, i przypomniał sobie, że przecież taki nastrój przemija. Kiedy otworzył oczy, spojrzenie miał chłodne, ale przynajmniej nie zionął furją.

- Od czego chcesz zacząć? - zapytał Danę.

- List napisany przez Ellis Weaver przed śmiercią sugeruje kilka rzeczy - powiedziała uprzejmie Dana.

Serena wydawała się zaniepokojona.

- Skąd wiedziałaś o... Och, oczywiście, od Erika.

- Tak, od Erika. - Dana popatrzyła na niego. - Zdaje się, że nie wspomniałeś jej o tym?

- Nie wiedziałem, że chcesz, żebym informował Serenę o każdym drobiazgu, który przekazuję tobie - odparł. Jego głos zdradzał ogromne napięcie, podobnie jak mięśnie wokół ust.

Dana z wdziękiem machnęła lewą ręką.

- W rodzinach i w interesach zawsze są jakieś tajemnice. Jestem pewna, że Serena nie potraktowała twoich tajemnic służbowych bardziej osobiście, niż ty jej tajemnic rodzinnych.

Niall zdusił śmiech i zaraz zakaszłał nerwowo, a potem zaczął się przyglądać swoim rękom, jakby nagle wyrosło na nich futro. Erik popatrzył na niego.

- Jakie rozkosznie rozsądne podejście. Jak ci się udało jej nie udusić?

- Życie w czystości i ciągła modlitwa - wyznał z ironią Niall. Dana zignorowała ich obu i zerknęła na Serenę.

- Czy twoja babka wspominała kiedykolwiek o okolicznościach, w jakich te arkusze zaginęły?

- Nie.
 - Mówisz to z wielkim przekonaniem.
 - Bo tak jest. Do czasu tego listu nigdy nawet nie wspominała o Księdze Uczonych. Przynajmniej nie wymieniła tytułu. Mówiła o moim dziedzictwie i o tym, że moja matka utraciła do niego prawo.
 - Bo uciekła? - zagadnęła Dana.
 - Nie. Bo przyjęła nazwisko Charters. Babcia obawiała się, że to może ją zdekonspirować.
 - Nawet mimo że używała nazwiska Weaver? - zapytał Erik.
 - Tak.
 - Czego się bała? - zagadnął Niall.
 - Nigdy o tym nie mówiła. Po prostu spędziła życie w ukryciu.
 - A jedną z rzeczy, które ukrywała, była Księga Uczonych - stwierdził Niall. - Nazwisko Charters musi jakoś się z tym wiązać.
 - Założę się, że ta księga została odziedziczona po babce, która miała panięskie nazwisko Charters - zawyrokował Erik.
 - Ciekawe - powiedział Niall. - Ale niespecjalnie przydatne, chyba że jako miernik stopnia paranoi Ellis Weaver.
 - Strachu - poprawiła go cicho Serena, ocierając dłoń o szal. - Kiedy ją znaleziono, była już martwa.
- Niall chrząknął.
- No, dobrze. A zatem co ją zdradziło?
 - Prawdopodobnie pytania, jakie zadawała, kiedy postanowiła rozejrzeć się za brakującymi kartkami z Księgi Uczonych - odparł Erik. - To jedyne, co pasuje do szablonu tych morderstw.
 - Pasuje? - podchwyciła Dana. - W jaki sposób?
 - Pomyśl tylko. Ona musiała wiedzieć, gdzie się znajdują zagubione karty. Albo wynajęła kogoś, kto je odnalazł.
 - Wallace'a? - zapytał Niall.
 - Na razie obstawiam właśnie jego - zgodził się Erik. - Każ Shelowi sprawdzić. Sprawdź archiwa Mortona Hinghama. Potrzebowała jego pośrednictwa, żeby wynająć kogoś takiego. To na jego nazwisko zawsze rejestrowała swój wóz i przez jego kancelarię płaciła podatek od nieruchomości pod swoim przybranym nazwiskiem.
- Dana sięgnęła po jeden z przenośnych telefonów, których było sporo na terenie Rarities. Bardzo szybko połączyła się z Shelem.
- Dlaczego uważasz, że to jest Wallace? - zapytała Serena.

- Nadal żyje - odparł bezceremonialnie Erik. - Sądząc po jego przeszłości, jest w stanie robić bomby domowym sposobem i zwabiać do ślepych uliczek ludzi z policji, kiedy prowadzą dochodzenie w sprawie morderstwa.

A trzy z tych czterech morderstw zostały zaklasyfikowane jako przypadkowe albo jako samobójstwo.

- A jeśli chodzi o Berta? - zapytała, dygocząc.

- Założę się, że ta sprawa zostanie powiązana z jakimś laboratorium amfetaminy albo wojną gangów narkotykowych - powiedział Erik. - Albo pozostanie otwarta i niewyjaśniona, ponieważ gliny nie połączą jej z innymi morderstwami.

- Więc nie powiemy o tym policji?

- Nie ma pośpiechu - odparł Niall. - Ty i Erik jesteście jedynymi celami, jakie pozostały, a my zapewnimy wam dobrą ochronę.

- Erik! - zawołała wyraźnie przygnębiona Serena. - Dlaczego on miałby być celem?

- Z tego samego powodu co Bert - odparł swobodnie Niall. - Bert o czymś wiedział. Ten, kto wrzucił bomby, nie może mieć pewności, że Bert nie powiedział nam o tym, zanim został usmażony.

Serena wzdrygnęła się. Erik położył rękę na jej dłonie i spojrzał surowo na Nialla. Może i był wkurzony na Serenę, ale nie zamierzał pozwalać, żeby Niall ją denerwował.

Niall uśmiechnął się od ucha do ucha. Mam cię, chłopie. Albo raczej to ona ma ciebie.

- Ale Wallace powiedział, że pracuje dla kogoś innego - zaprotestowała Serena. I zaraz dodała: - Wróć. Nie myślę logicznie. To oczywiste, że powiedziałaby coś takiego, nawet gdy trzymał się kurczowo skały, a Erik rzucał w niego kamieniami.

Dana uśmiechnęła się jak kot.

- Drogi chłopcze, o tym nie wspomniałeś ani słowem. Erik zignorował jej uwagę.

- Już ci mówiłem, że marnujesz się w obozie Pluszaków - powiedział Niall.

Erik zignorował również jego komentarz.

- Teraz przynajmniej wiemy, jak go wywabić na zewnątrz bez narażania Sereny na niebezpieczeństwo.

- Wiemy? - zapytała Serena, mrugając oczami. Niall skinął głową i zwrócił się do Erika:

- Świetnie. Bo właśnie zamierzałem to zaproponować, a wiedziałem, że nie zgodziłbyś się, gdybym ją poprosił.

- Co zamierzałeś zaproponować? - zapytała kategoriycznym tonem Serena. - O czym ty mówisz?

- O przynęcie - odparł lakonicznie Niall. - Erik właśnie zgłosił się na ochotnika.

Rozdział 60

Tylko pod warunkiem, że nie będzie innego wyjścia - szybko wtrąciła się Dana. - Wiesz, co myślę o sytuacjach, w których nadstawiają karku ludzie, którzy nie są profesjonalistami.

- Nie mamy dość czasu, żeby zaaplikować naszemu Pluszakowi kurs powtórkowy - odparł Niall zniecierpliwionym tonem.

- Wcale tego nie sugeruję - powiedziała Dana, z zabójczą precyzją w głosie. - Po prostu twierdzę, że najpierw wypróbujemy wszystkie inne sposoby. - Oderwała wzrok od Nialla i spojrzała na Serenę. - Najbardziej oczywisty plan, to znaleźć Księgę Uczonych i użyć jej jako przynęty. Z tego, co mówił Erik, twoja babka uważała, że zostawiła ci wystarczająco dużo informacji i jeśli je wykorzystasz, to "Księga Uczonych się odnajdzie".

- Próbowałam - rzekła Serena, pocierając bolące skronie. - Po prostu nie rozumiem tego, co usiłowała mi przekazać.

- Czy twoja babka zawsze przejawiała paranoję? - zapytał Niall.

- Ostrożność - poprawiła go Serena. - Tak. Jak daleko sięgnę pamięcią.

- I dłużej - dorzucił Erik. - Nie chciała rozmawiać z twoją matką, gdy uciekła i zmieniła swoje nazwisko na Charters.

Serena powoli skinęła głową.

- To według mnie sugeruje, że nazwisko Charters było jej o wiele bliższe, niż wolała przyznać w rozmowie z tobą - ciągnął Erik. - Może było to jej własne nazwisko. Wydaje mi się, że to jedyne logiczne wyjaśnienie, dlaczego wpadła w szal, kiedy tego nazwiska użyła jej córka: zaczęło figurować w oficjalnych kartotekach i ktoś, komu starczyło uporów, mógł je tam odszukać.

- Faktoid? - rzuciła ostro Dana. - Słyszałeś? Milczenie. Po chwili z głośników padło pytanie:

- Jak dawno temu używała nazwiska Charters? Wszyscy troje znów spojrzeli na Serenę.

- Z pewnością nie później niż czterdzieści pięć lat temu - odparła Serena. - Miałyby wtedy jakieś trzydzieści pięć lat, w przybliżeniu.

- W jakim przybliżeniu? - zapytał ostro Faktoid.

- Hm... pięć lat?

- To ja pytam ciebie - mruknął Faktoid.

- Ja nie wiem. Kiedy zginęła, miała mniej więcej osiemdziesiąt lat. A przynajmniej tak mi się wydaje. Choć może to było tylko moje założenie.

- Jaka była jej data urodzenia? - zapytał Faktoid.

- Nie wiem. Nie obchodziłyśmy jej urodzin. Nawet moje nie były specjalnym świętem. Pamiętam nawet... - Serena zmarszczyła brwi. - Kłóciłyśmy się o to. Strasznie. Obie na siebie krzyczałyśmy. Ja chciałam mieć urodziny w dniu, w którym naprawdę się urodziłam. Gdy tylko do niej przyjechałam, próbowała mnie skłonić do zmiany daty urodzin i nazwiska. Ale ja odmawiałam. To było jedyne, co mi zostało po matce. Nie chciałam się z tym rozstać.

- W którym stanie twoja babka brała ślub? - zapytał Faktoid.

- Nigdy o tym nie wspominała.

Faktoid powiedział coś, co brzmiało jak „kurwa”.

- To już drugi raz - ostrzegł go Niall. Cisza.

Przerwał ją Erik:

- Serena ma trzydzieści cztery lata. Jej matka uciekła, kiedy miała siedemnaście lat. Zakładając, że zaszła w ciążę dość szybko, mogła mieć osiemnaście lat, kiedy urodziła Serenę. Serena miała trzydzieści trzy lata, kiedy zginęła jej babka. Załóżmy, że Ellis - Lisbeth - miała osiemdziesiąt lat, kiedy zginęła. To by znaczyło, że kiedy zmieniała tożsamość, miała najwyżej dwadzieścia dziewięć lat, ale równie dobrze mogła mieć dziewiętnaście lat. Szukaj aktów zawarcia małżeństwa w tym okresie czasu, z panińskim nazwiskiem Charters.

- To jakiś dowcip, prawda? - zawarczał głośnik.

- Nie.

- Hm, wal się, facet. Będę musiał znowu grzebać w mikrofilmach! Żaden stan nie ma w komputerach danych ze starych czasów.

- Ściągnij wszystkich researcherów, jakich mamy, oprócz tych, którzy pracują z April Joy nad projektem singapurskim - natychmiast odparła Dana. - Jeśli to nie wystarczy, wynajmij więcej ludzi.

Faktoid wyłączył mikrofon i przez dłuższą chwilę wyrzaskiwał przekleństwa aż do utraty tchu. Potem znowu włączył mikrofon i powiedział:

- Już działałam.

- Podczas gdy on będzie sobie wrywał zielone włosy z głowy, my wypróbujemy inną drogę do prawdy - zaproponował Niall.

- Na przykład jaką? - zagadnęła Dana.

- Na przykład taką: kiedy Ellis - Lisbeth zaczęła szukać zaginionych kart? - Niall patrzył na Serenę.

- Nie wiem - powiedziała. - W liście w ogóle o tym nie wspomniała, ale gdybym miała zgadywać, to myślę, że parę miesięcy przed morderstwem.

- Zgadzam się - rzekł Erik. - Właśnie w ten sposób morderca znalazł ją po tylu latach. Żeby odzyskać te karty, musiała wyjść z ukrycia.

Niall chrząknął.

- Czy to prowadzi nas do czegoś nowego?

- Mnie nie - odparł Erik. - Dana?

Potrząsnęła głową. Jej palce znowu naśladowały grę na flecie.

- Serena?

- Nie. Milczenie.

- Czy kiedykolwiek widziałaś Księgę Uczonych"? - Dana w końcu zapytała Serenę.

- Tak. Myślę, że ją widziałam. A może mi się to śniło? - Zmarszczyła czoło, zastanawiając się, w jaki sposób oddzielić sen od wspomnienia. I czy to w ogóle jest możliwe.

- Kiedy? - zapytała Dana.

- Czasami... potrafię niemal... - Serena powoli ściągnęła elastyczną frotkę z grubego warkocza, potrząsnęła nią, zatopiła twarz w dłoniach i zaczęła masować bolące skronie. Włosy koloru ognia opadły na stalowy blat i piętroszyły się na nim jak płonące węgielki.

- Co pamiętasz? - zapytał łagodnie Erik.

- Splecione inicjały. Włosy babki jak matowe srebro z aureolą światła latarni. Sznur przypominający zacieranie suchych rąk. Złoto, które lśniło i płynęło, i ześlizgiwało się, pobłyskiwało, kiedy przewracała kartki w grubej, starej księdze, której okładka była zrobiona ze złota wysadzanego szlachetnymi kamieniami. Księga, której zakładką był kawałek niezwykłego materiału, utkanego przez dawną dawną nieżyjącą czarodziejkę. Wyglądała dokładnie jak ten szal. - Serena uniosła głowę i zobaczyła, że Erik wpatruje się w nią swoimi złocistymi oczami. - Sen. To wszystko. To tylko sen.

- Materiał nie jest snem - zauważył Erik.

- Jaki materiał? - zapytała Dana.

Serena z westchnieniem sięgnęła ręką pod włosy. Jak często się zdarzało, szal jakimś sposobem okręcił się wokół jej szyi. Nie za ściśle. Nie za luźno.

- Gdy tylko dotknęłam szala, nie byłam w stanie się z nim rozstać - powiedziała, odwijając go z szyi - więc wmawiam sobie, że wygląda lepiej, kiedy go noszę.

Erik głaskał tkaninę, z uśmiechem patrząc na różnorodność barw i wzorów. Materiał promieniał, żarzył się, jak gdyby przepełniało go życie.

- Gdyby wyglądał trochę lepiej, świeciłby w ciemności. - Wyciągnął rękę. - Mogę?

Owinęła materiałem jego dłoń, ale nie wypuściła go całkowicie z własnych rąk.

- Masz rację. Teraz błyszczy bardziej niż przedtem, kiedy miałam go na sobie.

- Może jest jak pergamin. I trzeba go dotykać, żeby zachował połysk. - Poglądził tkaninę opuszkami palców a następnie potarł nią policzek. Jeśli nawet zauważył, że Serena nie wypuściła szala z rąk, nie powiedział nic. - Niesamowita tekstura. Miękka, ale nie przejrzysta, zwarta, ale przyjemna w dotyku, przypominająca aksamit, ale nie zachęcająca do drzemki.

Szczególnie przyjemna była ostatniej nocy, kiedy otulała ich oboje i pieściła ich nagą skórę, jak cień pełen żywych kolorów. Ale nie było potrzeby o tym mówić. Była czymś tak osobistym, tak jak ich uczucia.

Rozłożył tkaninę na swojej dłoni i podziwiał świetlne refleksy.

- Zupełnie jakby trzymało się w ręku tęczę.

Dana i Niall popatrzyli na siebie. Żadne z nich nie dostrzegło w tym podziwianym przez Erika kawałku materiału niczego wyjątkowego. Był interesujący, ale na pewno nie zasługiwał na pełne czci słowa i gesty.

Niall przysunął się bliżej i zaczął podnosić tkaninę, ale natychmiast wypuścił ją z palców.

- Nie wiem, czym się tak zachwycasz, chłopie. Mnie w dotyku przypomina szorstki angielski tweed. I ma w sobie mniej więcej tyle samo urody.

Z początku Erik myślał, że ten facet żartuje. Potem zrozumiał, że Niall mówi całkiem serio. Podał materiał Danie. Szarpnął nim lekko, niechętnie, aż w końcu Serena go puściła.

- A co ty o nim sądzisz? - Erik zapytał Danę.

Podniosła jeden koniec tkaniny, potarła ją palcami i powiedziała:

- Zgadza się z Niallem. Faktoid?

- Z tego miejsca wygląda jak kawałek worka. Serena spojrzała na Danę i Nialla, a potem na Erika.

- Nie pojmuję tego.

- „... .której materiał zdawał się wytrzymałszy od zbroi i był jak przynęta dla jednego mężczyzny. Niezwykle sukno utkane przez czarodziejkę Serenę z Silverfells”. - Erik cicho wygłosił cytat.

- Czy to z Księgi Uczonych? - zapytała Serena.

- Z księgi, wspomnienie Erika Uczonego, sen. - Erik ironicznie wykrzywił usta. - Nie jestem pewien, czy to ma znaczenie. Prawie tysiąc lat temu ten materiał został utkany przez Serenę z Silverfells. - Położył tkaninę na rękach Sereny, ale wciąż ją trzymał. - Teraz należy do innej Sereny, również tkaczki. Podobnie jak Księga Uczonych. Jedyne, co musi zrobić, to pamiętać.

Poczuła się nieswojo, jakby jej ciało musnęła zimny powiew. Był taki pewny, jego oczy tak przejrzyste, głębokie jak czas, wyczekujące... Zacisnęła palce na magicznym materiale.

- Nie mogę pamiętać czegoś, czego nigdy nie wiedziałam!

- Przypomnisz to sobie. Uniosła podbródek.

- Tego ostatniego zdania w ogóle nie rozumiem.

- W takim razie po prostu będziesz musiała mi zaufać, prawda?

Przygryzła wargę i po chwili uświadomiła sobie, że oboje trzymają prastarą, niezwykłą tkaninę, a ich palce splatają ze sobą. Westchnęła głęboko, jakby się poddała.

- Chyba nie mam dużego wyboru, co?

- Zawsze masz wybór - odparł szorstko Erik. - I właśnie to diabelnie mnie przeraża. Bo jeśli źle wybierzesz, zginiesz.

Rozdział 61

Los Angeles, sobota, późny wieczór

Cleary Warrick Montclair nerwowo krążyła po obszernym apartamencie w hotelu Retreat i spoglądała na zegarek.

- Cholera - syknęła przez zęby.

- Co się stało? - zapytał Garrison.

- Jest już zbyt późno, żeby porozmawiać z nimi dziś wieczorem. Jej syn westchnął.

- Wobec tego uspokój się, Cleary - odparł cierpliwie. Już dawno się nauczył, że wołała, gdy zwracał się do niej tak, a nie „matko” czy „mamo”, zwłaszcza gdy była zestresowana i zniecierpliwiona. Ostatnio wciąż była taka.

- Jak mam się uspokoić, kiedy tata jest przygnębiony? - Natychmiast uświadomiła sobie, że prawie krzyczy. Zaczęła powoli oddychać. - Gdzie jest Paul?

- Za sąsiednimi drzwiami, jak zwykle - mruknął Garrison, tak żeby matka go nie usłyszała. Skoro chciała udawać, że jest dziewczyną siostrą Cleary, jemu to nie przeszkadzało. Ale Paul przynajmniej trochę łagodził jej histeryczne zachowania. Garrison przypuszczał, że to wystarczająco dobry powód, by tolerować starszego mężczyznę, nawet jeśli Paul czasami zachowywał się tak, jakby on tu rządził. Garrison podziwiał Paula, ale też nie znosił jego niezachwianej interesowności. Paul nigdy nie tracił panowania nad sobą, nawet w obecności osób bardzo trudnych. - Mam go sprowadzić?

- Tak.

Garrison ostentacyjnie wyszedł na korytarz, przemaszerował kilkanaście metrów na lewo i zapukał do drzwi pokoju sąsiadującego z sypialnią Cleary.

Drzwi szybko się otworzyły. W bluzie i dżinsach Paul wyglądał bardzo młodo, zachował doskonałą sylwetkę.

- Czy coś się stało? - zapytał Garrisona.

- Cleary jest przygnębiona. Chce cię zobaczyć.

Po twarzy Paula przemknęło zniecierpliwienie. Wrócił do pokoju, wziął kartę magnetyczną do drzwi i wyszedł na korytarz.

Cleary czekała przy drzwiach. Otworzyła je, zanim Paul zdążył zapukać.

- Musisz coś zrobić! Tata nie zniesie już dłużej tego czekania, a negocjacje z innymi domami aukcyjnymi przeciągają się i w końcu

wszystko stracimy, chyba że ruszymy z miejsca, ale nie ma tych ludzi w pokojach, a nasz człowiek w holu jeszcze ich nie widział i...

Gdy Paul wszedł do apartamentu Cleary, drzwi od korytarza zamknęły się tuż przed nosem Garrisona. Spojrzał na swoją pustą szklankę i doszedł do wniosku, że kolejny drink dobrze by mu zrobił. W jego własnym pokoju. W hotelowym barze nie zauważył żadnej kobiety, którą warto byłoby zaciągnąć do łóżka.

Z jego punktu widzenia jedyną dobrą wiadomością tego dnia było to, że jego ukochany słodki dziadunio postanowił nie opuszczać Palm Desert. Za to Garrison był mu bardzo wdzięczny. Już i tak klął na swój los, bo musiał przylecieć z Manhattanu, żeby być na każde skinienie swojej matki. Gdyby jeszcze musiał wytrzymać z Warrickiem, bez wątpienia byłby gotów kogoś zabić.

Krocząc wolno korytarzem, Garrison zastanawiał się, ile Serena Charters będzie kosztować House of Warrick, zanim dostanie to, na czym jej zależy.

Albo jeszcze lepiej: to, na co zasługuje.

Rozdział 62

System wentylacyjny Retreat był tak skuteczny, że do apartamentu z dwiema sypialniami, w którym zamieszkali Erik i Serena, dochodził tylko lekki zapach świeżej farby. Nie zdążyli nacieszyć się prywatnością. Gdy tylko przekroczyli próg pokoju, zza drzwi wyłonił się Lapstrake i zaraz je zamknął.

- Cześć, Ian - powiedział Erik. - Poznałeś już Serenę?

- Nie. - Lapstrake uśmiechnął się do rudowłosej kobiety, której zmysłowe oczy potrafiły wprowadzić każdego mężczyznę w rozmarzenie.

- Cześć, Serena, mam na imię Ian.

- Do widzenia - Erik przerwał mu bezceremonialnie i otworzył drzwi, zanim Serena zdołała cokolwiek powiedzieć. - Niall chce z tobą porozmawiać.

- Jesteś pewien? - zapytał Lapstrake, oglądając się przez ramię za Sereną.

- Tak. - Erik dał Lapstrake'owi mało eleganckiego kuksańca i wypchnął go za drzwi, które natychmiast zatrzasnął i zaryglował.

Odgarnęła włosy z twarzy.

- To było bardzo niegrzeczne.

- On jest o wiele za przystojny.

- Naprawdę? - ziewnęła. - Jakoś nie zauważyłam.

- Akurat! Jakiego koloru miał oczy?

- Hm. Niech pomyślę. Mam pięćdziesiąt procent szansy, że zgadnę. Jasne?

- Ciemne. - Erik popatrzył na nią dziwnie. - Ty naprawdę nie zwróciłaś na niego uwagi, prawda?

- Jeden przystojny blondyn to maksimum moich możliwości.

- Ian jest ciemnowłosy.

- O rany, świetnie go znasz. Może powinnam być zazdrosna?

Erik wybuchnął śmiechem. Był zaskoczony. Przyciągnął Serenę do siebie i tulił ją w ramionach.

- Jesteś dla mnie dobra - powiedział łagodnie. - Po tym, co zaszło dziś wieczorem, nie byłem pewien, czy prędko znowu będę się śmiał.

Serena poczuła napięcie w ramionach i bolesne ukłucie w sercu. Przypomniała sobie, jak Erik wbiegał do kuchni Berta pod gradem kul.

- Mogłeś zginąć - powiedziała schrypniętym głosem, całując jego nagą pierś pod kurtką Nialla. - Na pewno nic ci nie jest?

Przez moment oddychał ciężko, nieregularnie. Przyciągnął ją do siebie i wtulił twarz w jej szyję. Miękki szal pieścił jego usta; w końcu odsunął go nosem, żeby poczuć smak zakrytej nim skóry.

- Z każdą sekundą czuję się lepiej. Odsunęła się od Erika i popatrzyła na niego.

- Chodziło mi o pożar. Masz jakieś poparzenia?

- Tak. Okropne. Chcesz zobaczyć?

Roześmiała się widząc jego szelmowską minę. Ale po chwili gdy wpił usta w jej wargi, zaparło jej dech w piersiach. Smakował głodem i czasem, ciemnością i pragnieniem. Pomimo pytań, na które oboje wciąż nie znajdowali odpowiedzi, cała jej kobiecość reagowała bardzo intensywnie. Cokolwiek miało się zdarzyć w przyszłości, pa razie wystarczało im, że teraz są razem, że żyli.

- Serena?

- Tak - szepnęła. - Och, tak.

To było ostatnie wyraźne słowo przez dłuższy czas, który mijają na ponownym odkrywaniu, jak cudownie do siebie pasują, jak głęboki i właściwy jest ich związek. Ogień, który w nich zapłonął, był szczodry, uzdrawiający, nie zaś śmiertcionośny.

Kiedy już leżała bliska zaśnięcia, uśmiechnięta, pod wargami czując powolny rytm jego serca, delikatnie uwolnił nadgarstek od przywierającej doń tkaniny. Starając się nie obudzić Sereny, zsunął się z łóżka i podszedł do zasłoniętego grubymi kotarami okna. Laptop na stoliku obok łóżka dawał dość światła, by Erik mógł omijać meble.

Jedna z kart Sereny zajmowała cały ekran. Tło ze złotej folii lśniło intensywnie. Kolory nałożone na splecione ze sobą inicjały błyszczały jak szlachetne kamienie.

To piękne światło podkreślało zarys jego warg, kiedy stanął nagi przy oknie, nieznacznie uchylając kotarę, żeby jednym okiem spojrzeć na świat.

- To nie jest miły uśmiech - powiedziała leniwie z łóżka. Pod kołdrą była naga, z wyjątkiem szala, który teraz otulał jej nadgarstek. Przyszło jej do głowy, że przedtem musiał również okrywać przegub.

Pozwolił, by uchylona zaledwie na centymetr kotara swobodnie opadła. Odwrócił się od okna i podszedł do łóżka. Na jego zaciętych wargach ukazał się prawdziwy uśmiech, kiedy dostrzegł rudozłoty blask włosów Sereny na tle jasnego drewna oparcia. Uniósł kołdrę i

poczuł upajający, intymny zapach Sereny. Wsunął się do łóżka obok niej.

- Właśnie zaczęło padać - powiedział cicho. - Heller będzie przemarznięty, mokry i wściekły po nocy na dworze, w swoim małym pikapie. Natomiast ja tutaj, z tobą, będę rozgrzany, wyluzowany i bardzo zadowolony.

Nie była tak rozbawiona jak Erik. Nie mogła się uśmiechać myśląc, że ktoś ich śledzi, nawet jeśli ten żart Erika był wyjątkowo złośliwy.

- A gdzie według ciebie jest Wallace?

- Leczy poranioną głowę. - I, być może również połamane kostki w rękę. Erik nie zwierzył się jednak Serenie z tych nadziei. Mimo że była gotowa

użyć broni, kiedy im obojgu coś zagrażało, miała bardziej miękkie serce niż on. Za tę część genetycznej mieszanki zapewne była odpowiedzialna jej matka. Z pewnością nie babka, o czym Erik był przeświadczony, przetrząsnąwszy liczne źródła.

Przytulił Serenę, rozkoszując się dotykiem jej skóry, a także świadomością, że pasują do siebie tak doskonale, jakby od zawsze byli kochankami.

- Masz jakieś przebłyski wspomnień o wzorach i złotych okładkach zdobionych klejnotami lub czymś jeszcze związanym z Księgą Uczonych? - zapytał.

Objęła Erika, podziwiając siłę i sprężystość jego ramion. Westchnęła. Przebłyski. To słowo dobrze określało jej wspomnienia... były jak błyskawica na ciemnym tle zapomnianych lat.

- To było tak dawno. - Uśmiechnęła się, słysząc własne słowa. - W każdym razie z perspektywy dziecka. Dla mnie lata między pierwszym i piątym rokiem życia to okres przeżyty przez inną, w gruncie rzeczy nie znaną osobę. Między piątym i dziesiątym rokiem nie był wiele lepszy. Dziesięć do piętnastu przypomina rozmazaną plamę. Trochę lepiej było między szesnastym a dwudziestym rokiem życia, a okres od dwudziestego pierwszego roku życia do teraz jest jedynym, o którym jestem w stanie rozmawiać inteligentnie.

- Kiedy wyprowadziłaś się z chatki?

- W dniu moich osiemnastu urodzin. Babcia sama mnie zachęcała. Powiedziała, że niczego nie osiągnę, jeśli będę siedziała tam czekając na jej śmierć.

Gwizdnął cicho.

- Nie była typem ciepłej, kochającej babuni.

- Była realistką. Nie ceniła ludzi, którzy nie umieli wziąć się do roboty i żyć własnym życiem. Może nie przytulała mnie zbyt często, ale też nie wyrządziła mi krzywdy. Najwyżej czasem podniosła głos. Wykonywała swoje obowiązki. Zawsze.

Całując jej ogniste włosy, których blask tonował panujący w pokoju mrok, powiedział:

- I zawsze był to obowiązek, nigdy przyjemność.

- Jej jedyną przyjemnością było tkane i... - Głos Sereny zamarł, gdy upiorna błyskawica przecięła światłem utracone lata dzieciństwa.

- I? - zapytał cicho Erik.

- Chyba czytanie.

- Miała dużo książek?

- Nie. Żadnej.

- A jednak pamiętasz, że czytała?

- Tak.

Erik czekał. Wiedział, że pamięć, choć bywa złudna, mimo to trwa jak góry San Jacinto wznoszące się nad pustynią. Ponieważ Serena milczała, wtulił nos w jej włosy i zapytał spokojnie:

- Możesz opisać to wspomnienie? Westchnęła.

- Obudziłam się i ujrzałam jej twarz w świetle lampki. Spoglądała na stół i uśmiechała się. Właśnie dlatego pomyślałam, że śnię. Za dnia nigdy się nie uśmiechała, może tylko czasami, gdy tkala. Ale tym razem nie tkala. Tylko siedziała. To również było dziwne. Jej ręce nigdy nie były bezczynne. Tkanie, szycie, czerpanie wody ze studni, farbowanie króliczych skórek dla nędznego sklepiku w Palm Springs, który sprzedawał turystom kiczowate pamiątki... zawsze była pochłonięta jakąś pracą, nawet w godzinach nocnych.

Wydał cichy okrzyk zaskoczenia. Słowa Sereny opisywały styl życia, który mógł istnieć sto, dwieście, a może tysiąc lat temu, kiedy nocne ciemności mógł rozświetlać tylko ogień.

- Na co patrzyła, kiedy się uśmiechała? - zapytał. - Co leżało przed nią na tamtym stole?

- Coś pięknego. Coś, co wyglądało jak falujące światło, ilekroć...

- Serena znowu umilkła.

- Przewróciła kartkę? - podsunął.

Zamknęła oczy. To nie pomogło. Wspomnienie wybuchających grudek ognia i wycia Berta spływały do jej świadomości jak topione szkło.

- Nie wiem. Nie umiem tego zobaczyć. - Wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić. - Ale to musiała być ta księga. Choć może wymyślam sobie całą tę historię, żeby wypełnić lukę w pamięci i być może to wszystko jest nieprawdą?

- Nie wymyśliłaś sobie wzoru ze splecionymi inicjałami. Ani okładki, którą właśnie rysowałaś dla Dany, póki nie wszedłem do pokoju, nie powiedziałem, że masz już dość, wyrywając cię z jej osłoniętych aksamitem stalowych szponów.

- Czy już ci za to podziękowałam?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu i pocałował kącik ust Sereny, co ożywiło w nim bardzo przyjemne wspomnienie.

- O, tak.

Uśmiechnęła się, ale tylko na moment.

- Jak sądzisz, jaka część mojej pamięci jest prawdziwa?

- Nazywam się North, a nie Proust.

- Gdzie jest filozof, kiedy akurat go potrzebuję? - odparowała.

- Pije herbatę z cykuta.

Uśmiechnęła się, chociaż dręczył ją niepokój dokuczliwy jak jesienny wiatr. Niemal widziała postać babki uśmiechającej się w świetle lampki, obraz, który mógł być częścią jej pamięci albo snu.

Ale wizja nie była tak wyraźna, by Serena mogła zajrzeć babce w oczy, by dowiedzieć się, co wywołało uśmiech.

Jeżeli w ogóle można było coś z nich wyczytać.

A niech to!

- Daj już temu spokój - powiedział Erik.

- Czemu?

- Temu, co sprawia, że jesteś spięta i pochmurna. Przestań się zamartwiać tą historią. Ciesz się winem, które wysłała Dana w ramach przeprosin.

- Jedz, pij i wesel się, bo jutro... - Serena umilkła w pół zdania. Erik objął jej dłoń.

- Wszystko będzie w porządku.

- To przysłowie mówi coś innego.

- Od dzisiaj przysłowie jest inne.

Podniósł rękę Sereny do ust. Pod osłoną pocałunku wsunął język między jej palce. Hałas deszczu bębniącego o szyby zagłuszył jej westchnienie, ale kiedy Erik delikatnie wodził językiem po jej nadgarstku, od razu wyczuł, jak szybko zaczęło bić jej serce.

- Próbujesz mnie zdekoncentrować? - zapytała.

- Tak.

- Świetnie ci idzie.

- Chcesz zobaczyć, w czym jeszcze jestem świetny? Poczowała napływającą falę pożądania.

- Nie mogę się doczekać.

Jego palce przystąpiły do pieszczot, sondowały ją, przekonywały się o jej gotowości; pod wpływem nagłej żądzy oddech Erika również stał się nierówny.

- Nie musisz czekać.

Jednym ruchem zagłębił się w niej.

Obok łóżka splecione inicjały płonęły migotliwym blaskiem, zupełnie jakby żyły własnym życiem.

Rozdział 63

Los Angeles, niedziela rano

Monitory na ścianach separatki pokazywały wszystkie siedemnaście kart z Księgi Uczonych. Na dole każdego ekranu podano najwcześniejsze znane pochodzenie danej strony. Chwilowo nikt nie zwracał uwagi na ten pokaz.

Paul Carson i Cleary Warrick Montclair stali wraz z Niallem za weneckim lustrem. Obaj mężczyźni uważnie obserwowali Cleary. Miała rozbiegane spojrzenie - była roztrzęsiona, co świadczyło, że przestaje nad sobą panować.

Po drugiej stronie lustra weneckiego Garrison Montclair zajął miejsce przy końcu stalowego stołu konferencyjnego. Naprzeciwko Garrisona usiedli Serena i Erik, natomiast fotel u szczytu stołu przypadł Danie. Na środku stołu stały przekąski i napoje, którymi jednak nikt się nie interesował.

- Dziękuję, że zgodziłaś się na to spotkanie, Sereno - zaczęła Dana słodkim głosem, któremu całkowicie przeczył chłód bijący z jej oczu. Była wściekła, że została zmuszona do tej konfrontacji. Jednak wybór był jasny: jeśli chciała, żeby House of Warrick współpracował w tropieniu iluminowanych kartek, musiała informować Cleary o wszystkim, co się dzieje w trakcie poszukiwań, nawet jeśli to były mało istotne szczegóły. - Pani Warrick Montclair bardzo martwi się o swojego ojca.

Erik, który siedział z twarzą zwróconą w stronę lustra weneckiego, nie ukrywał ironii malującej się na twarzy. Jeżeli coś takiego można było nazwać zgodą, to owszem, Serena się zgodziła. Dla ścisłości, uniosła w górę ręce i powiedziała: „Dobrze. Pogadam z Garrisonem. A potem odjeżdżam!”

- Garrison, pan, zdaje się, występuje w charakterze rzecznika? - zapytała Dana, obrzucając go wyjątkowo nieprzyjaznym spojrzeniem.

Erik wydał odgłos świadczący o tym, że jest zdegustowany. Cóż to był za eufemizm! Paul, praktycznie, zaniósł rozwrzeszczaną Cleary do tego szpiegowskiego przybytku. Cleary chciała w rozmowie twarzą w twarz przekonać Serenę, jak bardzo jest ważne, żeby sprzedała te kartki - i samą Księgę Uczonych - firmie House of Warrick. Dana sprzeciwiła się temu pomysłowi. Serena powtórzyła swoją odmowę Paulowi Carsonowi, wymawiając jedną sylabę.

Garrison uśmiechnął się ujmująco. Wyglądał całkiem elegancko i świeżo w ciemnoszarych, flanelowych spodniach, białej koszuli z wycięciem i długimi rękawami. Jeśli po jego oczach można było poznać, że niewiele spał, natomiast wypił zbyt wiele szklaneczek martini, to wcale się tym nie przejmował. Każdy, to miał matkę taką jak Cleary, musiał od czasu do czasu wyglądać trochę gorzej.

- Przyłączam się do podziękowań Dany - odezwał się Garrison, spoglądając na Serenę ze szczerym zrozumieniem i współczuciem. - Chciałbym też przeprosić za moją matkę. To wspomniała kobieta interesu, ale gdy w grę wchodzi sprawy rodzinne, zupełnie traci dystans.

Wyraz twarzy Sereny nie był zachęcający. Świadczył bardziej wymownie niż słowa, że ma serdecznie dość słuchania o problemach Cleary.

- Jestem tutaj - powiedziała Serena. - Jeżeli myślał pan, że będę robiła dobrą minę do złej gry, to pan mnie nie zna.

Garrison westchnął.

- Przykro mi, Sereno.

- Mnie też - odparła spokojnie. Uśmiechnął się.

Ona nie.

- Zdaje się, że zamierzał pan przedstawić pani Charters jakąś propozycję - powiedziała Dana. Jej wzrok zapowiadał, że bez względu na wynik tego spotkania nie będzie obsypywała Garrisona płatkami róż.

- To tyle, jeśli chodzi o uprzejmości - stwierdził ze smutkiem Garrison.

- Dokładnie. - Dana czekała.

- A więc dobrze. - Wypił łyk kawy, którą dotychczas ignorował. Kiedy odstawił filiżankę, spojrzał wprost na Serenę. - House of Warrick jest gotowy zapłacić pani milion dolarów za cztery arkusze manuskryptu, które są w pani posiadaniu, i za pani pisemną zgodę na cesję na rzecz House of Warrick wszelkich zysków z manuskryptu, którego część stanowiły kiedyś te karty.

Serena nie czekała nawet sekundy.

- Nie.

- Pani Charters... Sereno - powiedział Garrison, ocierając czoło znużonym gestem. - Mogę zapytać dlaczego?

- Czy sprzedałby pan własne serce za milion dolarów? - odparowała Serena.

Wydawał się zaskoczony.

- Hm, nie, oczywiście, że nie.

Dotknęła przedziwnego szala, który zawsze nosiła na szyję. Miała na sobie bluzkę w kolorze leśnej zieleni, szal był z zielonego materiału przetykanego złotem. Ostatniego wieczoru na tle czarnej koszuli wyglądał jak migocząca północ. Bez względu na rodzaj oświetlenia, nadawał jej skórze opalizujący, perłowy odcień.

- W pewnym sensie nie jestem w stanie tego wyjaśnić - powiedziała w końcu. - Te karty są częścią mnie samej, tak jak pana serce jest częścią pańskiego ciała.

- Proszę wybaczyć - odparł Garrison, marszcząc czoło - ale trudno mi uwierzyć, że kobieta dysponująca skromnymi środkami odrzuca ofertę miliona dolarów za cztery arkusze manuskryptu, które na otwartym rynku poszłyby za mniej niż tysiąc dolarów za sztukę.

- I tu pojawia się interesująca kwestia - odezwał się Erik, utkwivszy w Garrisonie spojrzenie drapieżnika. - Dlaczego House of Warrick jest skłonny wydać milion na kartki, które według Normana Warricka są falsyfikatami? Czy obawiacie się, że ktoś inny mógłby się z tym nie zgodzić i podważyć wiarę w umiejętności starszego pana? Ktoś taki jak ja? Nie mogę się doczekać rozmowy w cztery oczy z pańskim dziadkiem na temat wartości kart Sereny. One są równie autentyczne jak piękne.

- Żaden z przedstawicieli House of Warrick nie wyraził oficjalnie opinii na temat tych kart.

- Ciekawe - stwierdził Erik obojętnym tonem. - A jednak każdy, kto się liczy w branży iluminowanych manuskryptów, wie, że Norman Warrick uważa karty Sereny za falsyfikaty.

Garrison wykonał gest wyrażający zniecierpliwienie.

- Nie mogę ponosić odpowiedzialności za różne plotki. A co do troski o reputację mojego dziadka - bzdura. Mylił się w przeszłości - chociaż rzadko - i House of Warrick jakoś się nie zawalił. Powód, dla którego oferujemy milion, ma charakter emocjonalny, a nie zawodowy. Moja matka strasznie się denerwuje, że dziadek z powodu tych kart dostanie zawału, co bardzo utrudniłoby nasze negocjacje z koalicją domów aukcyjnych. To bardzo ważny okres dla House of Warrick. Matka chce kupić te karty, by ratować życie swego ojca i

rodzinną firmę. Jeżeli to wydaje się panu nierozsądne, proszę porozmawiać z Cleary. Ja już wyczerpałem temat. - Przeniósł spojrzenie na Serenę. - Proszę, błagam panią, niech pani przemyśli tę sprawę. Mój dziadek panią obraził, ale czy pani nie uważa, że śmierć to zbyt duża kara za zniewagę?

Erik zerwał się błyskawicznie z miejsca. Gdyby Serena nie położyła ręki na jego dłoni, przeszedłby po stole, żeby dopaść młodzieńca.

- Gdybym chciała zatrzymać te karty tylko po to, żeby zrobić komuś na złość - powiedziała dobitnie - miałyby pan rację. Ale tak nie jest. Karty są moje. Pozostaną moje. Koniec dyskusji.

- Milion sto tysięcy - brzmiała odpowiedź Garrisona.

- Nie.

- Milion i ćwierć...

- Nie - przerwała mu Serena ze złością. - Za żadną cenę. Czy pan nie rozumie? Żadna część Księgi Uczonych nie jest na sprzedaż.

- Kochana, wszystko jest...

- Zdaje się, że spotkanie możemy uznać za skończone - powiedziała Dana, zagłuszając kulturalny głos Garrisona. - Zaprezentował pan swoją ofertę i powody, dla których panu się spieszy. Nie ulega wątpliwości, że pani Charters ofertę odrzuciła.

W korytarzu na zewnątrz trzasnęły drzwi. Drzwi separatki uchylły się, tak że w przejściu można było zobaczyć rozwścieczoną twarz Cleary. Niall położył swoją wielką dłoń na drzwiach i zamknął je energicznym pchnięciem. Cleary najpierw chciała wbić paznokcie w jego rękę, a potem wybuchnęła histerycznym płaczem.

- Wyprowadź ją stąd - zwrócił się Niall do Paula.

- Oczywiście. Przepraszam. To było bardzo... trudne.

Cleary, oparła się o Paula, zaniósła się chrapliwym, spazmatycznym szlochem.

Niall chrząknął i zdjął rękę z drzwi. Tak jak się tego spodziewał, natychmiast się otworzyły i do pomieszczenia wkroczyła Dana. Nie zapomniała zamknąć za sobą drzwi i zablokować gałki własną ręką.

- Prześliśmy panu Warrickowi końcowy rachunek - wyraźnie akcentowała każde słowo.

- Rezygnuje pani? - zapytał ze zdumieniem Paul.

- Podpisaliśmy umowę w sprawie próby zakupu kartek Sereny. Dokonaliśmy próby. Do sprzedaży nie doszło.

- Nie! - ostro zaprotestowała Cleary, odrywając się od Paula. - Nie pozwolę, żeby ta mała suka rozpowszechniała fałszywe pogłoski, że mój ojciec nie umie dokonać właściwej wyceny. Ma teraz lepsze oko niż kiedykolwiek. Kiedy dowiecie się, skąd naprawdę pochodzą te karty, sami zobaczycie. Jeszcze pożałuje dnia, w którym przyszła do taty opowiadając kłamstwa i przewracając nasze życie do góry nogami!

- Cleary, spójrz na mnie - powiedział Paul. Przyciskając dłoń do jej twarzy, sprawił, że odwróciła się ku niemu. - Jesteś pewna, że tego chcesz? Im bardziej naciskasz, tym większy stres odczujesz ty i twój ojciec. Jeśli się wstrzymasz i poczekaasz, aż sprawa przycichnie, prawdopodobnie w ciągu kilku miesięcy zapomną o pani Charters i jej kartach.

- Nigdy - zarzekła się Cleary. - Doprowadzę ją do ruiny: zniszczę ją i te karty, nawet jeśli ma to być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu. Nie rozumiesz? Wszystko, co ma House of Warrick, to reputacja, a jej uosobieniem jest tata!

Paul spojrzał na jej zaczerwienione oczy, poczuł, jak bardzo jest spięta i rozdygotana, i zrozumiał, że tej rundy nie wygra. W kwestii ojca i House of Warrick Cleary nie zamierzała zachowywać się normalnie czy zdroworozsądkowo.

- Dobrze. Zrobimy po twojemu. Zresztą to i tak nie ma znaczenia. Życie to gra i nikt nie wychodzi z niej żywy, nawet Norman Warrick. - Przytulił Cleary do piersi i nad jej głową popatrzył na Danę. - Proszę tę sprawę skończyć. House of Warrick jest na to przygotowany.

- Skończyć? - zapytała Dana. - Rozumiem przez to, że chodzi panu o zbadanie pochodzenia tych kart?

- Tak. I, oczywiście, proszę nas stale o wszystkim informować. Cleary będzie przy tym obstawała.

- Co godzinę? - szorstko pytał Niall.

- Jeśli nie częściej - odparł Paul, wykrzywiając usta w grymasie, który z trudem przypominał uśmiech.

- Czy to oznacza, że House of Warrick zdwoi wysiłki przy przeszukiwaniu własnych archiwów? - zapytała Dana. - O ile Serena nie zdoła powiązać dostatecznie dużej liczby wspomnień z dzieciństwa, żeby znaleźć Księgę Uczonych, to jesteśmy w punkcie, w którym zamykają się wszystkie inne drogi prowadzenia śledztwa.

Sotheby's i Christie's zrobiły tylko tyle, ile uznały za stosowne. Tak więc pozostają jedynie archiwa Warricka.

Paul szybko skinął głową.

- Osobiście tego dopilnuję.

Dana puściła gałkę i odstepiła na bok - w samą porę, bo sekundę później została pewnie stratowana przez Garrisona.

- Czy matka - Cleary - czuje się dobrze? - spytał Garrison zwracając się do Paula.

- Dojdzie do siebie, gdy wszystko zostanie ustalone.

- A co tu jest do ustalania? Sprawa zakończona.

- Niezupełnie - odparł chłodno Paul. - Cleary chce, żeby Rarities Unlimited kontynuowała badania dotyczące kart Sereny.

- To szaleństwo! Bez względu na to, co znajdziemy, nie będzie...

- To uspokoi Cleary - przerwał mu Paul. - Taka rzecz z pewnością jest warta kilka tysięcy dolarów...

Garrison spojrzał błagalnie na sufit. A potem wzruszył ramionami.

- Tak. Jasne. Jak sobie chcecie. Kurwa. Dana uniosła brwi.

- Poprawiona wersja umowy będzie gotowa w ciągu kilku godzin. Prześlę ją do Retreat do podpisania.

Mówiła do pleców Garrisona.

- Proszę przesłać poprawioną umowę do Palm Desert - powiedział Paul. - Tam będzie Cleary. Chce wrócić do ojca.

To rzekłszy, Paul ruszył korytarzem, nakłaniając Cleary, żeby się pośpieszyła. W połowie drogi do drzwi wejściowych uniosła głowę i powiedziała coś niewyraźnie.

Paul zatrzymał się i, obejrzawszy się przez ramię, zawołał do stojącej w korytarzu Dany:

- Aktualne wieści co godzinę, chyba że dochodzenie wejdzie na nowe tory. O czym powiadomi nas pani niezwłocznie. Zgoda?

Dana wolałaby zjeść węża na surowo. Była jednak kobietą interesu, a firma House of Warrick należała do bardzo dobrych klientów.

- Zgoda.

Rozdział 64

Los Angeles, niedziela, wczesne popołudnie

Resztki chińskiego zarcia na wynos leżały porozrzucane na stalowym stole separatki. Pałeczki sterczały zawadiacko z pustych białych kartonowych pudełek. Serwetki wymazane ostrą musztardą i jeszcze pikantniejszym olejem paprykowym upchnięto do ozdobnych pudełek. W kubkach stygła zimna zielona herbata, niedopita i zapomniana. Butelki z piwem Tsingtao czekały w kubełku z częściowo już roztopionym lodem. Nawet nie zostały otwarte.

Serena oparła brodę na rękę. Patrzyła szklistym wzrokiem na ścianę monitorów, jakby nie widząc wytłuszczonej kaligrafii ani wspaniałych iluminacji. Razem z Erikiem, Mailem, a od czasu do czasu nawet z Daną, spędzili większość dnia usiłując odkryć coś nowego na podstawie danych o kartach.

Ilekcją działań badań miał coś nowego, informacja pojawiała się na odpowiednim ekranie. Od czasu, kiedy przyszła nowa wiadomość, upłynęło wiele godzin. Dzięki staremu mikrofilmowi House of Warrick prześledził pochodzenie kolejnej karty aż do majątku Rubina.

Brak dalszych informacji.

Erik również patrzył na monitory niewidzącym wzrokiem, pochłonięty myślami o prześladowającym go wzorze, który ciągle zdawał się coś do niego szeptać. Należało dowiedzieć się więcej o poprzednich właścicielach. Był tego pewien. Wzór już prawie się materializował, był niemal w zasięgu...

Przymknął oczy i całkiem znieruchomiał, jakby ten wzór był płochliwą kukawką, którą uczył jeść z ręki.

Niall spojrział na niego. Serena chciała coś powiedzieć, ale Niall powstrzymał ją gestem ręki. Przysunął się do niej i powiedział cicho:

- Daj mu spokój. Dlatego właśnie Dana walczyła ze mną, żebym go zatrzymał w dziale badań. On ma niezwykły dar znajdowania wzorów tam, gdzie inni widzą tylko natłok i chaos informacji. Dzięki takim ludziom jak on i Shane Tannahill człowiek zaczyna wierzyć w wypadki, które zdarzają się nocą. Jednak Shane stanowczo Danie odmówił. I wtedy wykradła mi Erika.

Serena, patrząc na Erika, przypomniała sobie innego mężczyznę, który potrafił dostrzegać reguły, mężczyznę, który jechał na koniu, miał na ramieniu sokoła wędrownego, zaś przy koniu biegł pies myśliwski. Byłby do niej przyszedł właśnie tak, dumny i wolny, ale

ona potrzebowała go zbyt mocno, by zostawić los Silverfells w rękach dumnego mężczyzny. Dlatego utkała przynętę, do której dałby się zwabić tylko jeden mężczyzna. I rzeczywiście przyszedł.

Zauroczony.

Miała nadzieję, że on, człowiek, który dostrzegał wszelkie wzory, zauważy doskonałość wzoru, który utkali razem, bo jeśli nie był tym mężczyzną, którym miał być, wystrzegaliby się zaoferowanej przynęty.

Ostatecznie dostrzegł tylko własne upokorzenie. On, mistrz wzorów, dał się omamić niezwykłej tkaczce. On, mistrz wzorów, został kochankiem ostatniej czarodziejki Silverfells, klanu, który był zakazany dla Uczonych. On, mistrz wzorów, został przez nią ujarzmiony.

A potem nienawiść pożarła miłość.

A jeszcze później zaległa mgła, która ich rozdzieliła.

Serena widziała te słowa wyraźnie: inicjały, podkreślone złotem i srebrem, oraz mniejsze litery - czarne jak prawda, którą ujawniały. Widziała je, choć nigdy nie widziała karty, na której zostały napisane.

Lecz te słowa istniały, migotały w jej świadomości.

Chłodne powietrze kłuło Serenę w skórę. Nie czuła strachu. Raczej stan podwyższonej świadomości, pogodzenia się z tym, że jest w życiu coś więcej ponad to, co daje się zobaczyć, dotknąć, posmakować, usłyszeć, powąchać. Był jeszcze czas. W nieskończoność opisywany przez poetów i filozofów, przyszpilony do ścian lub przymocowany do nadgarstków kajdankami przez moźnych, pocięty na kawałki przez matematyków i uczonych, tak aby można było każdy jego segment nazwać, ponumerować, zdefiniować za pomocą bijącego serca atomu....

I zawsze niepojęty.

Trwając w milczeniu uświadomiła sobie, że czas nigdy nie zostanie zrozumiany, bo przecież nikt nie rozumie dziecka, które żyje w dorosłym, w tym samym ciele, przechodząc wszystkie etapy i zmiany.

Erik wyprostował się gwałtownie.

- Faktoid, jesteś tam?
- ... minuta - zamruczał głośnik.
- Teraz - powiedział lakonicznie Niall.

- Cholera. - Usłyszeli szelest i trzask, jakby coś wyrznęło w ścianę. - Już jestem!

- Masz tę komputerową rozpiskę, o którą cię prosiłem? - zapytał Erik.

- Który element? - zapytał Faktoid.

- Główne cechy stylistyczne prac Hiszpańskiego Falszera w zestawieniu z głównymi cechami stylistycznymi kart, które...

- Tak, tak - przerwał mu Faktoid. - Blisko, ale nie dość blisko. Zdecydowanie falsyfikat dzieła falszera. Ale facet jest naprawdę dobry.

Erik skinął głową.

- Kiedy nastąpiła zmiana? W latach czterdziestych?

- Kurczę, facet, skoro już i tak wiedziałeś, to po co kazałeś mi skakać przez płonące obręcze?

- Tylko się domyślałem. Teraz już nie.

Serena chciała go zapytać, czego już nie musi się domyślać, ale Niall przecząco potrząsnął głową.

- Używając stylu drugiego falszera - ciągnął Erik - przeszukaj bazę danych pod kątem zgodności całych lub niekompletnych manuskryptów.

- Och, jasne - odparł Faktoid sarkastycznym tonem. - To potrwa nie dłużej, niż dwa machnięcia cycków striptizerki. Kurwa. Co ty sobie myślisz? Że jestem cudotwórcą?

- Ja tego nie słyszałem - powiedział Niall, nie wiadomo do kogo.

- Tak - odparł Erik.

Faktoid w imponujący sposób trzasnął palcami, wyłączył głośnik i zabrał się do roboty.

- O co w tym wszystkim chodziło? - spytał Niall zwracając się spokojnym tonem do Erika.

- Jeszcze nie teraz. Jeżeli to fałszywy trop, nie chcę wpływać na nikogo.

- A jeżeli nie jest fałszywy?

- Życie robi się bardzo ciekawe.

- Znasz to stare chińskie przekleństwo, prawda? - zapytał Niall.

- Które?

- Obyś żył w ciekawych czasach.

Rozdział 65

Los Angeles, niedziela, późne popołudnie

Nie robimy postępów - powiedział Erik, odsuwając się od stalowego stołu. - Potrzebujemy nowych informacji.

Niall wessał ostatnią nitkę zimnego makaronu z rozmokłego kartonu i powiedział:

- Kiedy liczyliśmy ostatnio, Dana miała piętnastu researcherów porównujących dane.

- Nie takich informacji.

- A jakich?

Erik popatrzył na Serenę. W jej mrocznym spojrzeniu malowała się udreka. Nie musiał posiadać szczególnych umiejętności, żeby się domyśleć, że miała wizję ognistego deszczu wyłaniającego się z ciemności i wiedziała aż nadto dobrze, co jej babka musiała widzieć i czuć, i czego zaznała w ostatnich chwilach życia.

- Szukamy w niewłaściwym miejscu - oświadczył. - Musimy postępować zgodnie z instrukcjami Ellis - Lisbeth.

- Z miłą chęcią, chłopie - odparł Niall. - Jakie one były, do jasnej cholery?

- Żeby myśleć jak ona. Pamiętać dzieciństwo Sereny.

- Cóż, łatwizna. - Tubalny, pełen ironii głos Nialla zdawał się szydzić z każdego wypowiedzanego słowa. - Co nas powstrzymuje?

Serena skupiła wzrok na Eriku.

- Próbowałam. Ale to wszystko - pokazała ręką całe pomieszczenie z monitorami, kamerami, sprzętem telefonicznym - rozprasza mnie. Po prostu wydaje się niewłaściwe.

- Rozumiem. Jak możemy pomóc?

- Hipnoza? - zasugerował Niall.

- Nie działa - odparła. - Już raz próbowałam, żeby wyjaśnić sny o mgle, lesie i warsztacie tkackim, którego wcześniej nie widziałam na oczy, pełnym wzorów, które mnie prześladowały, i o ludziach mówiących językiem, który był stary, zanim Chaucer zaczął pisać wiersze. - Wzruszyła ramionami. - Przekonałam się, że nie ulegam hipnozie.

- Nic dziwnego - powiedział Erik.

- Dlaczego? - zapytała.

- Hipnoza wymaga podatności na sugestię i ufności - powiedział rzeczowym tonem Erik. - A ty jesteś podatna na sugestię mniej więcej

w takim stopniu jak kamienny mur. A co do ufności, cóż, już parę razy to przerabialiśmy, prawda?

Uśmiechnęła się niewyraźnie.

- Założę się, że ciebie również nie da się zahipnotyzować.

- Założę się, że masz rację - Niall uprzedził reakcję Erika. - To jedna z tych rzeczy, które podobały mi się w nim najbardziej. Doprowadził doktora Coopera do szału.

- Jeśli naprawdę chcesz mi pomóc - powiedziała do Erika - to pozwól mi wrócić do chaty mojej babki. Chociaż wiem, że nic tam nie ma, nie mogę się pozbyć uczucia, że to miejsce ożywi moją pamięć.

- Nie ma mowy - wtrącił Niall. - Nie opuścisz siedziby Rarities, póki nie złapiemy mordercy - albo morderców.

Serena wciąż patrzyła na Erika.

- Pustynia to świetny pomysł - oświadczył. - Już nic nie zdziałam w czterech ścianach, wśród tych wszystkich komputerowych monitorów. Jak zawsze, mam namiot i śpiwory w terenówce. Co o tym myślicie?

- Że to cholerny idiotyzm! - warknął Niall. Serena zignorowała go i uśmiechnęła się do Erika.

- Ostatni raz spałam pod gołym niebem, gdy byłam nastolatką.

- Nic nie da się z tym porównać. - Odwzajemnił uśmiech, ale bruzdy wokół oczu i ust nadawały jego twarzy wyraz smutku.

- Masz może lampę? - zapytała nagle. - Taką staromodną, na naftę albo gaz ziemny, i w której wytwarza się ciśnienie za pomocą małej ręcznej pompki, i która ma jedwabne osłonki, dające bardzo wyraźne światło, prawie tak dobre jak światło dzienne.

- Czy takiego rodzaju lampy używała twoja babka?

- Nie - powiedział Niall. - Powtórz: nie.

- Tak - odparła Serena równocześnie z nim. - Możesz mi znaleźć coś takiego? Dźwięk, widok i zapach takiej lampy palącej się w ciemności to moje najżywsze wspomnienie z dzieciństwa.

- A zapach uruchamia więcej wspomnień, niż jakiegokolwiek inne doznanie zmysłowe - zauważył Erik. - Dobry pomysł. Bardzo dobry. Mam taką starą lampę w domu. Uwielbiam jej światło. Rysunki robione przy świetle takiej lampy mają w sobie coś wyjątkowego. - Wyciągnął rękę.

Serena przyjęła propozycję i mocno splótła palce z jego palcami.

- Ściągam Danę - oświadczył szorstkim tonem Niall. - Kiedy wrócimy, macie tu być, do kurwy nędzy.

Erik zerknął na Nialla.

- Przestań zrędzić. To długa jazda.

- Ktoś za nami jedzie? - zapytała Serena.

- Nie zauważyłem - powiedział Erik, odruchowo zerkając kolejno w lusterka samochodu.

Oczywiście nie wspomniał o Lapstrake'u, zresztą nawet go nie dostrzegł w długim korowodzie samochodów wyjeżdżających z Los Angeles. Po prostu wiedział, że Lapstrake gdzieś tu jest, w terenówce Dany, i próbuje ściągnąć na siebie uwagę Hellera, a jedna z kobiet z ochrony ma czerwoną perukę i zakamuflowaną broń.

Niallowi nie podobał się pomysł opuszczenia przez Erika i Serenę siedziby firmy bez żadnej ochrony. Kłócił się w tej sprawie z Daną, aż trzęsły się ściany, potem wymknął się z pomieszczenia, by zająć niezbędnymi przygotowaniami.

Pomimo że rozsadzała ich niecierpliwość i chcieli jak najszybciej uwolnić się od mnóstwa świateł i tłumów Los Angeles, dopiero po prawie dwóch godzinach Niall oświadczył, że zrobił wszystko, co w jego mocy. Kiedy Erik i Serena wyjeżdżali z Rarities Unlimited, byli sami.

Z tego, co Erik zdążył zaobserwować, nadal byli sami.

- Nie musimy tego robić - powiedział do Sereny. - Niall ma rację, że to duże ryzyko. Jeżeli Lapstrake nie zdołał wywabić Hellera, może się okazać, że na pustyni będzie liczne towarzystwo.

- Martwisz się tym?

- Gdybym uważał, że jestem w stanie to zrobić bez ciebie, nie martwiłbym się.

- A więc martwisz się.

- Tak, kurwa, cholernie - powiedział z nieskrywanym sarkazmem.

- Ale tylko o mnie, nie o siebie. Erik nie zaprzeczył.

- Jeśli będę ranny, to moja własna wina, jeśli ty będziesz ranna, to moja wina.

- Bzdura.

- Właśnie tak uważam.

- Nie mogę być odpowiedzialna za twoje nieracjonalne odczucia.

- Jasna cholera - syknął przez zaciśnięte zęby, słysząc echo swoich własnych klótni sprzed lat. - Jesteś pewna, że nie znasz moich sióstr?

Serena uśmiechnęła się i dotknęła jego policzka. Jego zarost i męski pot sprawiły, że uśmiechnęła się łagodniej.

- Chciałabym je poznać. Czy one są równie inteligentne i uparte jak ty? Odetchnął, a potem rzekł z powagą:

- Nie chcę znowu cię stracić. Znowu.

- I jest to równie emocjonalne i nieracjonalne jak wszystko, co mówiłem dziś wieczorem - mruknął Erik.

- Ale znacznie bardziej sensowne - odparła.

Jedyną widoczną reakcją Erika było zeszywnienie ramion. Zawahała się, a potem wydała przeciągłe westchnienie.

- Erik, ja też to czułam. A nie chciałam. Czuję się nieswojo, nawet kiedy o tym myślę. - Dotknęła szala, który otulił jej szyję, jakby chciał chronić to wrażliwe, pulsujące miejsce. - Ale to... jest. Znałam cię, zanim cię spotkałam. Ty też mnie znałeś. Czasami widzę w tobie innego mężczyznę, jak kolorowy cień rzucony przez niezemskie światło. - Zawahała się. - Czy ty widzisz we mnie inną kobietę?

- Tak. Czasami. I też czuję się nieswojo. Jestem w tak dużym stopniu człowiekiem dwudziestego pierwszego wieku, że nie mogę spokojnie podchodzić do czegoś, co nie daje się odtworzyć w laboratorium w dokładnie określonych warunkach.

Serena zareagowała zduszonym prychnięciem, a potem roześmiała się na cały głos.

- Jeśli tak rzecz ujmijemy, to nasze niepokoje brzmią nedorzecznie. Najważniejsze rzeczy nie zostały jeszcze odtworzone w żadnym laboratorium - kreatywność i wyobraźnia, śmiech i strapienie, czas i pamięć, nienawiść i miłość, i pragnienie. Wszystko to, co czyni nas ludźmi.

Pogładził policzek Sereny wierzchem dłoni. Potem dotknął palcami starej tkaniny na jej szyi, cieplej dzięki jej ciepłu, pełnej życia za sprawą jej żywotności.

- Jak ja w ogóle mogłem cię utracić?

- Domyślałam się, że byliśmy tak samo uparci i dumni wtedy, jak...

- Jej głos zamarł, ale oboje wiedzieli, co zamierzała powiedzieć. - ... jak jesteśmy teraz.

- Tak - powiedział. - To by wiele wyjaśniało. Odkrycie nie było specjalnie pocieszające.

W milczeniu jechali do jego domu, żeby zabrać stamtąd lampę, która - mieli taką nadzieję - obudzi wiele wspomnień z dzieciństwa Sereny.

Rozdział 66

Pustynia, tereny na wschód od Palm Springs, niedziela, noc

Bardziej elegancko byłoby spalić tego starego człowieka, kiedy spał, ale to zwróciłoby zbyt dużą uwagę. Przynajmniej nie trzeba było zachowywać ostrożności ani opowiadać historyjek o tym, że uderzył się w kaloryfer. Stary człowiek był urżnięty do nieprzytomności. Zabójczo łatwy.

Oddychając przez zaciśnięte zęby, cień w ciemnym ubraniu stanął nad stosem koców, który pełnił funkcję łóżka. Smród dochodzący stamtąd był tak okropny, że łzawiły mu oczy; najwyraźniej na krótkiej liście cnót pustelnika nie figurowało zamiłowanie do czystości.

- Staruszkule, jak możesz znosić ten fetor?

Dłonie w czarnych rękawiczkach wyciągnęły się ku niemu. Szybkie, gwałtowne kręcenie zarośniętej brody na chude ramię, suchy trzask i oto dokonała się kompletna metamorfoza.

Z człowieka urżniętego do nieprzytomności zrobił się nieboszczyk.

Zadowolony, że nikt nie zainteresował się dziwnym samochodem zaparkowanym na zaniedbanym podwórzu, napastnik wsiadł do wozu, podjechał na tyły domu i zarzucił na pojazd brudny brezent. Włożył nocne okulary, wyregulował je ze względu na zdumiewająco intensywny blask gwiazd. Dopiero wówczas intruz odszedł w ciemność.

Zabójczy cień szybko poruszał się po górzystym terenie. Nie powinien się spóźnić. W chatce, gdzie żyła w samotności i zginęła pod gradem ognistych pocisków Lisbeth Charters, zapowiadała się pracowita noc.

Rozdział 67

Helikopter wystrzelił wólcnię białego światła ukazując skrawek pustej ziemi. W blasku tej nieprzyjemnej dla oka iluminacji drzewka Jozuego wyglądały jakby zastygły w geście przerażenia i kapitulacji, z uniesionymi w górę kolczastymi ramionami. Snop światła omiatał teraz teren wokół wypalanej chatki, w poszukiwaniu świeżych śladów opon i pojazdów.

Niall nie spodziewał się, że coś tu znajdzie, ale należał do ludzi ostrożnych i ta cecha nie raz uratowała mu życie.

- Wygląda czysto - powiedział w końcu do mikrofonu zamontowanego w hełmie. - Zabierz nas na dół.

Helikopter wypadł z nocnego mroku jak dźwig samobójca. W ostatniej chwili pilot skorygował parametry lotu. Metalowe płozy helikoptera tylko musnęły ziemię delikatnie niczym motyl.

- Kiedyś naprawdę się machniesz, - Niall powiedział do swojego mikrofonu. - Lepiej, żeby to nie było w godzinach pracy dla firmy.

Uśmiech Larry'ego był jak smuga bieli na tle żarzących się bursztynowo światełek na konsoli. Kilkanaście metrów dalej z małej doliny wyłoniły się zgliszcza chaty nieżyjącej kobiety.

- Co o tym sądzisz, Ian?

Hałas wirników zmniejszył się do dającego się wytrzymać ryku. Lapstrake odpiął pas bezpieczeństwa i sięgnął do swojego hełmu. Zanim go ściągnął, powiedział:

- Myślę, że jesteś prawie tak dobrym pilotem, za jakiego się uważasz. To słowo „prawie” sprawia, że systematycznie siwieję.

Larry roześmiał się, a jednocześnie patrzył, jak obaj mężczyźni zamieniają hełmy na bardzo dyskretne, przenośne zestawy komunikacyjne na baterie.

- Odbierasz mnie? - zapytał Niall. Cienki jak włos mikrofon w kąciu jego ust podchwycił słowa mówiącego.

- Cztery na cztery - odparł Lapstrake.

- Idziemy. Zważywszy, jak Erik jeździ, może być już godzinę po nas. Musimy wybrać i zająć pozycje, zanim reflektory jego wozu staną się widoczne na tamtym małym wzniesieniu.

Trzymając plecaki, obaj mężczyźni wylądowali i założyli je na plecy.

Chociaż lądowanie było lekkie, helikopter lekki nie był. Płozy zrobiły wgłębienia w mokrej od deszczu, nieutwardzonej powierzchni

dróżki. Ale pod tymi paroma centymetrami, spieczona ziemia pustyni pozostawała twarda i nietknięta.

Lapstrake spojrział na rozoraną drogę.

- A jeśli Erik zauważy ślady zostawione przez helikopter?

- Wtedy będzie wiedział to, czego i tak się domyśla - odparł chłodno Niall. - Ani mi przez myśl nie przeszło, że miałbym mu pozwolić wyruszyć bez wsparcia, chociaż oboje strasznie marudzili, że muszą przebywać z dala od tłumu, żeby Serena mogła sobie coś przypomnieć.

Rozejrzał się dookoła. Nawet bez okularów noktowizyjnych, które miał teraz na szyję, zauważył, że wbrew jego oczekiwaniom teren nie jest dobrze osłonięty. Drzewa - jeśli w ogóle można było je nazwać drzewami - przypominały kolczaste, wieloreknie strachy na wróble, a nie prawdziwe drzewa. Tylko Faktoid mógłby się ukryć za którymś z nich.

- Skały? - zagadnął Lapstrake, wskazując najbliższą stertę kamieni, piętrzącą się na pustyni.

Niall chrząknął. To było trochę zbyt oczywiste, ale przecież Erik nie wybierał się tutaj na polowanie. Chodziło raczej o to, aby miał poczucie przestrzeni. Wolności.

- Tak, skały. Pozbądźmy się tego świetlnego show.

Spojrzął na Larry'ego i zrobił ręką gest, który sugerował przyśpieszenie obrotów.

Larry pojął aluzję. Wirniki zaczęły obracać się szybciej, podczas gdy pilot rozgrzewał silnik. Kurz, piasek i drobne kamyki siekły wszystko, co znajdowało się w zasięgu strumienia powietrznego wytwarzanego przez maszyny. Helikopter zawracał jak gorliwy pies i odskoczył w noc. Potężny snop białego światła omiótł dwóch mężczyzn, gdy maszyna odfrunęła w nowe miejsce.

Zamykając oczy pod wpływem pustynnych podmuchów, czując w uszach pulsowanie wywołane hałaśliwym rykiem metalowej bestii, dwaj mężczyźni stali obok siebie czekając, aż powietrze się uspokoi i będą mogli spojrzeć przed siebie.

Nie zauważyli cienia, który oderwał się od pobliskich głązów. Nie słyszeli, jak zachodzi ich od tyłu. Bez najmniejszego ostrzeżenia coś chwyciło ich za włosy i stuknęło głową o głowę tak mocno, że rozległ się obrzydliwy trzask, który jednak dotarł tylko do uszu napastnika.

Dla Nialla i Lapstrake'a rozpoczęła się zupełnie inna noc: taka, której można nie przeżyć, jeśli nie ma się choć odrobiny szczęścia.

Cień bardzo szybko zaciągnął bezwładne ciała za głazy. Powolny wypływ ciemnej krwi z ich czaszek sugerował, że jeszcze żyją. Napastnik rozważył ten fakt, ale zaraz wzruszył ramionami. Jeżeli zechce zadać im później jakieś pytania, to prawdopodobnie jeszcze będą przytomni. Jeśli nie będzie pytań, to równie dobrze mogą umrzeć teraz albo za parę godzin. Inteligentny człowiek zawsze zostawia sobie kilka możliwości do wyboru.

Napastnik był bardzo inteligentny.

Ciszę panującą w dolinie przerwał warkot nadjeżdżającego samochodu. Wkrótce zbliży się do zakrętu, z którego schodziło się na dróżkę do pustelnika. Potem będzie skręt na nieoficjalną strzelnicę. A potem koleiny prowadzące do spalonej chaty.

Cień zdwoił wysiłki. Zerwał plecaki z mężczyzn i odrzucił w stronę głazów, tak żeby znalazły się poza zasięgiem ofiar. Zręcznie urwał trochę taśmy samoprzylepnej z rolki i pośpiesznie okręcił nią kończyny mężczyzn.

W ciągu dwóch minut Niall i Lapstrake mieli związane ręce na plecach i nogi skrupowane w kostkach. Cień zakleił im jeszcze usta i owinął taśmą głowy: gdyby przypadkiem odzyskali przed śmiercią przytomność, nie będą mogli podzielić się tą informacją z nikim.

Z wiele mówiącą swobodą i zręcznością dłonie w czarnych rękawiczkach obszukiwały powalonych mężczyzn. Najpierw broń Nialla, a potem Lapstrake'a powędrowały za pasek napastnika. Znalazszy scyzoryki cisnął je w ciemność tak daleko, że nie odnalazłby ich nawet całkiem przytomny i nie skrupowany mężczyzna.

Zadowolony, że obaj są całkowicie unieszkodliwieni, napastnik umknął z miejsca przestępstwa i znów wmieszał w mrok, by czekać na przyjazd ostatnich uczestników dramatu.

Rozdział 68

Z lampą i sprzętem campingowym w bagażniku terenówki, Erik i Serena skręcili z autostrady na podrzędną, asfaltową drogę, która łączyła mało zaludnioną pustynię Mojave z jasnymi światłami i wygórowanymi ambicjami wielkomiejskiej południowej Kalifornii.

Nie zauważyli, by ktoś skręcał za nimi.

Erik nie widział również nikogo, kto by ich śledził na trasie z autostrady do jego domu. Małego pikapa czy jasnego nissana typu sedan nie zaparkowano przed „Zamkiem Northa” w oczekiwaniu na jego powrót. I nie było w pobliżu nikogo, kto by go obserwował za pomocą lornetki.

A jeśli ktoś tam był, to nie zareagował dość szybko na wyjazd terenówki Erika spod jego rezydencji. Nikt nie jechał za Erikiem i Sereną z Palm Springs do samotnej, podrzędnej drogi prowadzącej na wschód, do pustyni Mojave.

Oprócz samochodów i betonu zostawili za sobą ławicę chmur, która zaległa nad Los Angeles i zbliżała się do Palm Springs. Ale nawet bez chmur noc była ciemniejsza niż zwykle. Nie pojawiał się księżyc, którego blask zdobiły ciemną noc pasemka srebra. Poza zasięgiem reflektorów, w górze, wspaniale lśniło niebo usiane jasnymi gwiazdami.

Erik nieustannie spoglądał w lusterka, nawet na asfaltowej drodze i dalej, na nieutwardzonej dróżce, prowadzącej do chat zamieszkiwanych przez garstkę pustelników. Lisbeth była kiedyś jedną z nich. Najbardziej stanowczą. Jej chata znajdowała się najdalej i była najlepiej ukryta.

Serena obudziła się, kiedy Erik zjechał na nieutwardzoną drogę, która wiała się, wznosiła i opadała przez ładnych kilka kilometrów nierównego pustynnego terenu. Odchodziły od niej mało widoczne ścieżki prowadzące do chat i różnych ukrytych miejsc. W jasnym świetle reflektorów na zwirowej nawierzchni było widać, że po wczorajszym deszczu przed nimi przejeżdżał tędy jeszcze jeden samochód, a może było ich więcej, ale chociaż Erik często spoglądał przed siebie i za siebie, nie dostrzegł w okolicy żadnych poruszających się światła. Żwirowa droga była pusta.

Chyba że ktoś jechał bez włączonych światła.

W ramach eksperymentu zgasił reflektory, zostawiając tylko światła postojowe. Potem jechał w ogóle bez światła. W ten sposób

posuwał się wolniej, ale dość bezpiecznie, pod warunkiem, że nikt inny nie jechał drogą w taki sam, zakonspirowany sposób. Na stromej drodze nie było wybojów albo skalistych wybrzuszeń, które czyhały na nieuważnych kierowców. Kolejny prowadzący do spalonej chatki to była zupełnie inna sprawa. Tu trzeba było wielkiej ostrożności i dobrego oświetlenia, zwłaszcza po deszczu.

Erik włączył reflektory. Nie chciał stuknąć w sarnę z wielkimi uszami czy wałęsającego się kojota.

- No i? - zagadnęła, obserwując go, jak sprawdzał lusterka.

- Jak na razie wszystko w porządku. Lapstrake musiał zwabić Hellera jeszcze w L.A. Nikt nie śledził nas, gdy wyjeżdżaliśmy z Palm Springs. Nie widzę nikogo we wstecznym lusterku. Ani przez przednią szybę, skoro już o tym mowa.

- Wobec tego dlaczego wyglądasz, jakbyś się wybierał na pogrzeb?

W przytłumionym świetle kontrolki na tablicy rozdzielczej uśmiech Erika był równie ponury, jak jego twarz.

- Po prostu jestem naturalnym typem wesołka.

- Myślę, że jesteś marudny z niewyspania. Gdybyś dał mi prowadzić przez jakiś czas, mógłbyś się zdrzemnąć.

- Potrzebuję najwyżej pięć, sześć godzin snu na dobę.

- Tak? Masz jeszcze jakieś inne wady, o których powinnam wiedzieć? Tym razem uśmiechnął się naprawdę.

- Wady? A ile snu ty potrzebujesz?

Serena opuściła do połowy okno. Owionęło ją czyste, rześkie pustynne powietrze.

- Muszę przespać co najmniej siedem godzin bez przerwy. - Zrobiła głęboki wdech, żeby naprawdę poczuć ostre, suche powietrze, żeby dotarło nie tylko do świadomego umysłu, ale również do głębiej ukrytych pokładów uspiionych wspomnień. - Babcia nie należała do wielkich śpiochów. Z wiekiem potrzebowała coraz mniej snu.

- Po sześćdziesiątce zdarza się to dość często. Nie sądzę, by dziadek spał nocą dłużej niż dwie, trzy godziny. - Mówiąc to, Erik ciągle zerkał w lusterka i na drogę. Trasa zrobiła się bardziej stroma, mijali więcej zjazdów, coraz mniej było śladów opon. - Wiesz, ile osób mieszka przy tej drodze?

- Tu jest pięć domów, włącznie z chatą babci. Jej chatka jest położona najgłębiej. Zjazd, który właśnie minęliśmy, prowadzi do domu, a raczej rudery Jolly'ego Barnes'a.

- Jolly'ego?

- Tak. Jak w dowcipie: wysocy faceci nazywają się Shorty, chudzi są Hefty... a wieczne ponuraki noszą imię Jolly - dokończył Erik. - Tu cię mam. Rozumiem, że Jolly nie jest ponurakiem? (ang.: shorty - niski; hefty - masywny; jolly – wesoły)

- Kto wie, może jest ciągle niesfornym szczeniakiem. Nigdy nie miałam okazji lepiej go poznać. Nie dość, że wiecznie pali te okropne, zawijane ręcznie papierosy i nigdy nie pija żadnych płynów oprócz wina, które zamawia skrzynkami, to potrafiłby wysuszyć kaktusa z odległości kilku metrów.

Erik zaśmiał się, chociaż czuł narastający lęk. Coś było nie tak. Wmawiał sobie, że ciarki przechodzące mu po plecach biorą się wyłącznie z ciemności, wyłącznie z tych wielokrotnych śladów opon na rzadko uczęszczanej drodze, z faktu, że zbliżali się do miejsca, w którym została zamordowana kobieta... byle tylko nie przyznać, że gdzieś w ciszy jego umysłu odzywa się głos mężczyzny, bardzo podobny do jego głosu, a jednocześnie niepodobny, że zna tego mężczyznę, choć jest on dla niego obcy, że ostrzega go, iż ciało jest kruche, śmierć - nieodwracalna, a zuchwali mistrzowie popełniają błędy jak wszyscy inni.

W głębi duszy zastanawiał się, czy powinien się zgodzić, by Niall też tu przyjechał.

Głos w jego umyśle nie miał nic do powiedzenia na ten temat.

Dzięki, brachu, pomyślał sarkastycznie. Koniecznie daj mi znać, kiedy będę mógł cię wypuścić na wolność.

Potem uświadomił sobie, że mówi do pięciu procent swojej osobowości, które zazwyczaj starał się ignorować. Niedobrze. Jak tak dalej pójdzie, zacznie widywać kogoś innego w lustrze i mówić odmianą angielskiego, która wyszła z mody wieki temu. I wtedy przyjdą po niego panowie z siatkami i koszulami o naprawdę długich rękawach.

- Ten zjazd prowadzi do wąwozu - powiedziała Serena, wskazując na prawo. - Ludzie używają tego miejsca do nauki strzelania, na przykład do butelek.

- Jak to daleko od drogi?

- Mniej więcej kilometr.

Erik zdecydowanie skręcił kierownicą i podjechał do miejscowej strzelnicy. Nie dostrzegł tam nic prócz rozbitego szkła lśniącego w świetle reflektorów i połysku zużytych mosiężnych łusek. Zawrócił na drogę,

- Widzisz po lewej stronie koleiny na krawędzi światła reflektorów? — zapytała Serena kilka minut później.

Mruknął, dając do zrozumienia, że słucha jej uważnie.

- Prowadzą do chaty babci - powiedziała.

- A dokąd prowadzi droga? - zapytał, zatrzymując się przy koleinach. W świetle reflektorów ślady opon były dobrze widoczne. Odchodziły od

kolein, które kończyły bieg przy spalonej chacie.

- Kilkadziesiąt metrów dalej znajduje się myjnia. Dalej można iść tylko na piechotę. Niektórzy parkują tam samochody, wyruszając na pustynne szlaki. Większość jednak zawraca i jedzie tam, skąd przyjechała.

Erik wjechał na małe wzniesienie, by się upewnić, czy nikt nie stoi na czatach. Zaniedbany plac parkingowy był pusty. Nikt nie zostawił wozu na weekend. Nie zauważył świeżych śladów ludzkiej obecności: nic, tylko pustynia i ponadmetrowe obniżenie terenu przechodzące w myjnię.

Bez słowa zawrócił, tak jak inni kierowcy po ostatnim opadzie, i odjechał tą samą trasą, którą tu dotarł.

- Myślisz jak babka, prawda? - zapytała Serena, kiedy dotarł do kolein, prowadzących do zgliszcz domu i jej dzieciństwa.

- To znaczy jak? - zapytał, przyglądając się koleinom przed skretem.

- Paranoicznie.

Nie zaprzeczył. Powinien poczuć się lepiej, gdy stwierdził, że są tu sami. Nie widział wozu zaparkowanego w jakimś podejrzanym miejscu. Jeszcze bardziej budujący wydawał się fakt, że ślady jego samochodu były tu pierwsze.

Jednak nie czuł się uspokojony.

I ciągle czuł ciarki na plecach.

Mocniej chwycił kierownicę, przygotowując się na wyboje i niespodzianki. Gdyby znalazł lepszy sposób ożywienia pamięci Sereny, użyłby go. To jednak było niemożliwe.

Nie miał innego wyjścia.

- A ty? - zagadnął. - Myślisz jak ona?

- Nigdy nie rozumiałam babki. I właśnie dlatego jej rada, żebym myślała jak ona, kiedy była w moim wieku, wydaje się bezsensowna. Trudno mi sobie ją wyobrazić jako trzydziestoparolatkę, a tym bardziej myśleć tak, jak ona.

- Samotna kobieta, wychowująca dziecko w spartańskich warunkach w chatce na pustyni, gdzie mogła korzystać tylko z wygód rodem z początków dziewiętnastego wieku. - Erik potrząsnął głową. - Nie, nie wyobrażam sobie ciebie w takiej sytuacji. Ale są między wami pewne podobieństwa.

- Obie jesteśmy kobietami? - zasugerowała ironicznie Serena.

- Obie jesteście tkaczkami. Obie jesteście powiązane z Księgą Uczonych w dość... - zawahał się - niezwykle sposób.

Przez chwilę milczenie zakłócał tylko warkot silnika i chrzęst kół sunących po nierównej, kamienistej drodze. Serena westchnęła.

- Trudno temu zaprzeczyć - stwierdziła. - Gdy pierwszy raz ujrzałam te karty, poczułam, jakbym obudziła się z głębokiego snu mówiąc: „One są moje”. To samo z szalem, tylko wrażenie było mocniejsze. - Poglądziła palcami starą tkaninę. - Teraz moje słowa o tym brzmią dziwnie, ale... - Wzruszyła ramionami. - To niczego nie zmieni. Możesz to nazwać, jak chcesz. Ja już się nie przejmuję. Dla mnie to jest prawdziwe. To jedyne, co ma dla mnie znaczenie.

- Wiem, co czujesz.

Rzuciła mu spojrzenie, którego w ciemnym wnętrzu pojazdu nie był w stanie zinterpretować.

- Pierwszy raz zobaczyłem fragment Księgi Uczonych w wieku dziewięciu lat - powiedział. - Nigdy - ani wcześniej, ani potem - nie czułem takiej fascynacji. Póki nie spotkałem ciebie. Nie - stwierdził, zanim zdążyła się odezwać. - To nie musi mi się podobać. Tobie też nie musi. Ale taka jest cholerna rzeczywistość. Szukam tej książki przez całe życie. Pojawia się nocami w snach, śni mi się, że zapisuję jej strony, że latam po zachmurzonym niebie jak sokół wędrowny i krążę po lesie jak pies gończy. Śni mi się kobieta o fiołkowych oczach czarodziejki i włosach jak ogień: w jej oczach widzę gniew, miłość, strach i rozpacz. Podejrzewam, że w taki sam sposób patrzyłem na nią.

Nastąpiło pełne napięcia milczenie, a potem Serena z westchnieniem odparła:

- To prawda.

Usłyszał te słowa, mimo że wypowiedziała je cicho. Coś w nim drgnęło - coś, co przypominało gniew, miłość, strach rozpacz.

- Nie podoba mi się, gdy czuję, że przeżywam życie innej osoby - powiedziała Serena z napięciem w głosie.

- Mnie też.

- Czy z tego powodu odciąłbyś się od Księgi Uczonych? - W myślach dorzuciła: Ode mnie...

- Nie jestem pewien, czy mam wybór - odparł głosem równie ponurym jak jego twarz.

- Wypuść mnie.

Gwałtownie odwrócił ku niej głowę.

- Co takiego?

- Wysiadam tutaj - powiedziała spokojnie. - Zawróć i jedź do domu. Obiecuję, że jeśli odnajdę Księgą Uczonych lub pochodzące z niej karty, udostępnię ci je. Jeśli nie będę miała dzieci, otrzymasz tę księgę i będziesz mógł ją przekazać swoim dzieciom. Zgoda?

- Serena, co u...

- Zatrzymaj wóz - powiedziała kategorycznym tonem, kładąc rękę na klamce i nie zwracając uwagi na jego słowa.

Jednocześnie zablokował drzwi i zaciągnął hamulec.

- Do diabła, co się z tobą dzieje?

- Nic. Tu chodzi o ciebie, nie o mnie.

Patrzył na nią zmrużonymi oczami, czując ból w trzewiach. A jednocześnie widział rozchodzenie się kolorowych cieni, nakładanie się warstw czasu, gniew, miłość i rozpacz.

- „Przybyłeś do mnie kiedyś, zwabiony wzorem, którego nie chciałeś zrozumieć. Zapłaciłam za bycie przynętą. Ty zapłaciłeś za to, że zostałeś zwabiony. Nasze dziecko...” - Głos jej się załamał. Potrząsnęła głową. - Nieważne - dodała ponuro. - To było dawno temu. Ale po co nam przeszłość i cały jej ból, jeśli nie po to, by wyciągnąć z niej naukę? Wracaj do tego, co rozumiesz, Eriku North. Pozwól mi iść tam, gdzie muszę.

- Nigdzie cię nie puszczę samej, dopóki nie będę wiedział, co tu się dzieje, do cholery!

- Czy to jest twój wybór, podjęty dobrowolnie?

- Co ty...

- Jest?

W samochodzie zapanowała cisza. Po chwili zrozumiał: nigdy nie zabrałaby mu prawa wyboru. Ból w trzewiach znacznie zmalął.

- Tak, mój wybór, podjęty dobrowolnie. Cofnęła palce od klamki.

W milczeniu, które aż kipiało od niesamowitych cieni, przejechali ostatnie kilkaset metrów do chatki innej Sereny.

Rozdział 69

Warsztat tkacki stał tam - powiedziała cicho Serena.

Noc była łaskawa dla spalonej chaty. W ciemności nie było widać smug sadzy na wysokich kamiennych ścianach. Końce zwęglonych belek przestały wyglądać jak czarne, psujące się zęby. Cienie w rogach kojarzyły się z mrokiem, a nie poruszonymi wiatrem szczątkami i kłębami popiołu.

Trzymała w górze łagodnie szumiącą lampę, oświetlając północny róg chatki. Wystające z okiennych ram odłamki szkła migotały w chwiejnym świetle. Serena skierowała lampę w prawo, rozpamiętując przeszłość.

- Ktoś zabrał brzuchaty piecyk po śmierci babci. Mam nadzieję, że będzie mu służył lepiej niż nam. Zawsze gdy wiał wiatr z północnego wschodu, dym wracał do chatki. Dlatego babcia wołała używać kominka, chociaż nie ogrzewał pokoju, tak dobrze jak piec.

- Gdzie spałaś? - zapytał Erik.

Światło lampy otaczało go jasnym blaskiem, kontrastującym z kryjącymi się po kątach cieniami. Oczy Erika lśniły jak czyste złoto.

- W zachodnim rogu. Początkowo spałyśmy razem. Kiedy byłam już starsza, zrobiła dla mnie posłanie w nogach swego łóżka, bliżej paleniska, a nie obok. Babcia zawsze bardzo pilnowała ognia. Ironia losu.

Serena obróciła się powoli, wciąż trzymając lampę. Powiew nocnego chłodu, ciepło promieniujące od lampy, delikatne migotanie gazowego płomienia, charakterystyczny zapach ropy naftowej i rozgrzanego szkła: to wszystko było znajome, bliskie. Napływały echa wspomnień, coś jej szeptały. ..

Wstrzymała oddech, próbując je zatrzymać, lecz zaraz z powrotem wślizgnęły się w ciemność. Ale coś zostawiły. Cząstkę jej dzieciństwa.

Erik obserwował Serenę stojącą na granicy ciemności i jasności. Jej oczy płonęły fioletowym blaskiem, dziko rozwichrzone włosy przypominały ogień; w jednej ręce trzymała światło, a w drugiej czas, i chyba nigdy nie pożądał jej tak bardzo jak teraz.

Z dużym trudem odwrócił wzrok. Wpatrywał się w palenisko znajdujące się naprzeciw warsztatu tkackiego. Podłoga w tym miejscu była kamienna. Właściwie cała chatka była wyłożona kamieniem.

Przykucnął na piętach i patrzył, jak światło płąsa po kamiennej mozaice podłogi za każdym razem, gdy Serena bierze oddech.

Jeśli nie zwracało się uwagi na sadzę i zniszczenia, to podłoga układała się w pewien wzór. Lisbeth Serena Charters bardzo starannie dobrała i ociosała kamienie. Podobnie jak ściany, podłoga stanowiła przemyślaną kompozycję złożoną z wyselekcjonowanych kolorowych skał, a nie bezładną mieszaninę elementów, które akurat nawinęły się pod rękę.

- O co chodzi? - zapytała Serena.

- O podłogę. Jestem zaskoczony, że nie wyłożyła jej drewnem. - Wstał. - To o wiele łatwiejsze niż kładzenie kamieni.

- Kupno odpowiedniego drewna wiązałoby się z kosztami. Zresztą nawet gdyby mogła sobie pozwolić na taki wydatek, wcale by tego nie chciała. Była niezwykle wyczulona, jeśli chodziło o ogień. Więc dobrze. Była paranoiczką. - Serena wzruszyła ramionami. - Warsztat tkacki stał maksymalnie oddalony od paleniska. Kuchnia znajdowała się na zewnątrz, a wszystko, co mogła zrobić z kamienia, było z kamienia. Raz zostałam straszliwie zbesztana, kiedy zaczęłam się bawić płonącymi gałązkami z paleniska, wyobrażając sobie, że to sztuczne ognie na święto czwartego lipca. Polała je - a przy okazji mnie - wodą z wiadra i wrzeszczała, że jestem bezmyślna. „To ty nie wiesz, jak łatwo palą się stare nici i dokumenty?”

- Nici?

- Jej materiały tkackie. Wszystko nazywała nićmi, nie używała słowa „przędza”.

Rozejrzał się po małym pomieszczeniu. Jeżeli na ścianach znajdowały się kiedyś półki, to już ich nie było. Nie zostały po nich nawet otwory.

- Czy miała dużo tych dokumentów?

- Tylko moje szpargały ze szkoty. Używała ich do rozpalenia ognia.

- Jakieś rodzinne zdjęcia?

- Żadnych mi nie pokazywała.

- I żadnych książek?

- W każdym razie ja sobie nie przypominam. Chyba że uwzględni się moje podręczniki szkolne i stare książki telefoniczne w szopie.

- Myślałem, że nie miała telefonu. Uśmiechnęła się lekko.

- Nie miałyśmy. Skądś te książki zdobyła. Były tańsze niż papier toaletowy.

Zamrugnął oczami, a potem wybuchnął śmiechem.

- Twoja babka była niezwykła. A więc obie tu spałyście, tu jadałyście, pracowałyście, robiłyście wszystko. Ten pokój był całym jej życiem.

- To prawda. Szłam na piechotę na przystanek autobusowy, żeby dotrzeć do szkoły, chyba że babcia akurat jechała do miasta sprzedać tkaniny i królicze skórki albo żeby kupić fasolę i mąkę.

Pokiwał głową, zastanawiając się nad czymś innym. Wzory. Regularności. Przerażona kobieta posiadająca jedyną rzecz, którą ceniła tak bardzo, że spędziła całe życie w ukryciu - i ukrywając tę rzecz.

- Ona jest tutaj - powiedział.

- Co?

- Księga Uczonych musi być ukryta tutaj. To jedyne, co mi pasuje do wzoru.

- Wobec tego została utracona - odparła Serena. - Stoimy na jej popiołach.

- Obawiała się ognia, bo martwiła się, że nie zdoła uchronić Księgi Uczonych. Na pewno była przygotowana na taką ewentualność.

Serena wyjrzała przez wypalone drzwi.

- Gotowała na dworze. Może ukryła ją gdzieś z dala od wszelkiego ognia.

Erik spojrzął poza krąg światła lampy, na rozległą ciemność pustyni. Pomyślał o kobiecie, która miała dość siły i determinacji, by własnymi rękami zbudować dom z tutejszego kamienia i przez prawie pół wieku żyć we wzniesionej przez siebie chatce. Taka kobieta potrafiłaby krążyć po okolicy, chodzić wszędzie, gdzie chciała, mając przy sobie Księgę Uczonych.

I ukryć ją.

- Jeśli dobrze się przygotowała - powiedział - księga nie została utracona. Ale do jej znalezienia diabelnie długa droga.

Serena w milczeniu przyglądała się chatce spod półprzymkniętych powiek, usiłując przypomnieć sobie dokładnie, jak tu kiedyś było. Podeszła do miejsca, w którym dawno temu stała jej paleta. Nie zostało z niej nic prócz wspomnień. I kamienia.

Babcia dobrze wybrała materiał na budowę domu.

- Weź lampę - powiedziała Serena w roztargnieniu.

Erik podszedł do Sereny i przytrzymał druciany uchwyt lampy.

- Teraz idź tam, gdzie stał warsztat tkacki - powiedziała. - Nie. Bardziej w prawo. Jeszcze. Babcia bardzo uważała, żeby tkaniny nie znajdowały się zbyt blisko ognia. Tak, dokładnie w tym miejscu.

Nie zważając na popiół i sadzę, Serena usiadła tam, gdzie kiedyś spała. Przymknąwszy powieki, przypominała sobie, gdzie stał warsztat tkacki, jak wyglądał w świetle lampy, kiedy budziła się i widziała, jak jej babcia wciąż tka i tka, niezwykła jak ogień, niezłomna i wytrwała jak tutejsza ziemia. Może brakowało jej czułości, ale kiedy Serena budziła się w nocy, babka zawsze przy niej czuwała.

Zawsze.

Owinięta utkaną przez babcię ciepłą pościelą, Serena leżała cichutko, senna, nie otwierając oczu. Lubiła obserwować pokój przez tęczową mgłę opuszczonych rzęs, podczas gdy jej babcia pracowała. Przeważnie tak właśnie zasypiała.

Jednak czasem, zwłaszcza w pierwszym roku po śmierci matki, sen nie przychodził, albo przychodził na krótko i dziewczynka budziła się. Szybko nauczyła się, że powinna być cicho i nie przeszkadzać babci, która teraz była dla niej jedynym oparciem.

Niekiedy nagrodę za to znieruchomienie był wyjątkowy sen, sen czarownej urody, sen o młotkowanym złocie i różnokolorowych klejnotach błyszczących odbitym światłem; czas i lampa łagodnie pulsowały, podczas gdy Serena widziała przewracane kartki, pełne uczuć i wspomnień...

„Ty nie śpisz, dziewczyno. Nie próbuj mnie zwodzić. Ja wiem.

Cisza i nienaturalnie nieruchome ciało dziewczynki

- Jeśli komukolwiek o tym powiesz, wywiozę cię stąd i zostawię gdzieś samą. Będiesz dla mnie martwa jak twoja matka.

W odpowiedzi tylko zduszony jęk. A potem cisza.

- Masz o tym zapomnieć. Masz o tym wszystkim zapomnieć!

A później, znacznie później, w ciemności zgrzyt ocierających się o siebie kamieni.

Nad ranem sen, o którym nikt nie mówił.

Nigdy".

Serena odetchnęła głęboko. Ze zdumieniem odkryła, że po jej policzkach ciekną strumienie gorących łez, które stygną opadając na jej ręce. To również było jej dzieciństwo.

- Widziałam Księgą Uczonych - rzekła.

Oczy Erika, złociste jak okładka książki, były pełne życia: obserwował Serenę z życzliwością, czego tak brakowało jej w dzieciństwie.

- Tak - odezwał się. - Mówiłaś o tym.

- Chodzi mi o to, że widziałam ją naprawdę.

- Zgadza się. Opisałaś swoje wizje z dzieciństwa, które teraz cię nawiedzają. - W dodatku opowiadała je głosem małego dziecka, który ranił mu serce.

Przekonała się, że Erik jej wierzy, i westchnęła.

- Miałaś rację. Księga Uczonych jest tutaj.

Skinął głową. Niepokoił się o nią bardziej niż o cokolwiek innego, włącznie z księgą.

- Dobrze się czujesz?

Jej uśmiech był trochę niepewny, ale szczery.

- Tak. Po prostu czasami wspomnianie bywa bolesne.

- Bolesne. - Uśmiechnął się lekko. - Och, tak. To jest wszystko.

Mogę przesunąć lampę?

- Co? Och. Tak. Przepraszam. Nie pomyślałam.

- Wspomnianie to przecież także myślenie. Bardzo specjalny rodzaj. - Zrobił kilka kroków w stronę północnego rogu chatki. - Czy warsztat tkacki stał pod samą ścianą?

- Nie. To był warsztat pionowy, więc babcia musiała zostawić trochę miejsca, żeby sprawdzać deseń.

Spojrzał na nią nierozumiejącym wzrokiem.

- Tkaczka widzi tył warsztatu - wyjaśniła Serena - więc żeby zobaczyć deseń, babcia musiała podchodzić od drugiej strony, skierowanej do ściany. Wieszła lustro na ścianie, żeby sprawdzać nitki osnowy, ale najlepiej sprawdzać bezpośrednio.

- Dlaczego tkęła w ten sposób?

- Naprawdę chcesz słuchać wykładu na temat przyczyn, dla których...

- Nie - przerwał jej pośpiesznie. - Uwierzę ci na słowo. A więc warsztat tkacki znajdował się jakieś pół metra, metr od ściany?

- Raczej niecały metr. Podnóżki warsztatu wystawały na jakieś pół metra po obu stronach ramy. Nie potrzebowała więcej przestrzeni. Starła się, żeby warsztat zbytnio nie zawadzał. Chatka była mała. Babcia, chociaż nie należała do dużych kobiet, świetnie sobie radziła. Miała może metr pięćdziesiąt osiem wzrostu i była naprawdę szczupłą, zupełnie jakby życie na pustyni wysuszyło ją na wiór.

- A więc podnóżki utrzymywały ramę warsztatu w odległości mniej więcej pół metra od ściany. Czy była w stanie nad nimi przejść?

- Bez trudu.

Przysiadł na piętach i wpatrywał się w kawałek podłogi, który przed pożarem znajdował się za warsztatem tkackim. Po dłuższej chwili odsunął na bok kawałki zwęglonego drewna i popiół. W świetle lampy kamienne czółenko wyglądało jak uśpiony duch, który bez trudu mógłby się zmieścić na dłoni. W roztargnieniu podniósł je lewą ręką, prawą unosząc lampę. W popiele znalazł ich więcej. Upuścił trzymane w dłoni czółenko, ręką odgarnął wszystko od ściany na miejsce, w którym niegdyś stał warsztat tkacki.

- Jaką szerokość miał warsztat? - zapytał.

- Najwyżej dwa metry, łącznie z ramą. Na górze i na dole były wałki do przewijania tkanego materiału i wypuszczania przędzy osnowy do tkania.

Chociaż kiwał głową, wątpiła, czy słucha jej uważnie. Wstała z podłogi i podeszła do Erika. Stojąc poza kręgiem światła rzucanego przez lampę, patrzyła, jak Erik mierzy spojrzeniem ścianę i podłogę, jakby chciał przewiercić je na wylot. Była dziwnie pewna, że badając kamienie używa nie tylko zmysłu wzroku.

Mistrz wzorów.

Zignorowała niepożądany szum w swoim umyśle.

- Czego szukasz?

- Wejścia - odparł, nie podnosząc głowy.

- Do kamienia?

- Ściana nie jest wystarczająco gruba, nawet w dolnej części, żeby uchronić księgę przed pożarem. Księga musi być w podłodze.

Opadła na kolana i obiema rękami zaczęła odgarniać z kamiennej posadzki nadpalone szczątki. Czółenka grzechotały zataczając kręgi na szorstkiej kamiennej podłodze i hałasując tak nieprzyjemnie, że zagryzła usta.

Jak kości, którym zakłócono spokój w krypcie.